★

DWUKROTNA LAUREATKA NAGRODY
NAJLEPSZA CZESKA POWIEŚĆ KRYMINALNA

MICHAELA KLEVISOVÁ

KROKI MORDERCY

LITERACKA UCZTA!
NIE TYLKO DLA MIŁOŚNIKÓW KRYMINAŁU
MARTA GUZOWSKA

WYDAWNICTWO STARA SZKOŁA

MICHAELA
KLEVISOVÁ

KROKI MORDERCY

WYDAWNICTWO
STARA
SZKOŁA

PROLOG

Wyspa Belle-Île, Bretania, Francja, 20 czerwca 1975

Najgorszy dzień jej życia zaczął się całkiem normalnie.

Malowała się. Podkreśliła powieki czarną kreską, rzęsy obciążyła trzema warstwami tuszu, a wargi wypełniła ceglastą szminką, którą tydzień wcześniej kupiła sobie z rozrzutności na paryskim dworcu Gare de l'Est. Stanęła bokiem do lustra i uśmiechnęła się na widok swojej szczupłej sylwetki w białej tunice i brązowych spodniach z kantem. Wyglądała dokładnie tak, jak chciała: efektownie, a jednocześnie naturalnie. W tym stroju mogła spacerować po klifie, a potem zamienić tenisówki na sandały i iść do restauracji na obiad. Julia z radością zauważyła, że kobieta w pozłacanej florenckiej ramie wygląda na spokojną. W głębi duszy drżała. Przyszło jej na myśl porównanie do gitary, w której struny ktoś uderzył z całej siły. Ale na zewnątrz nie dawała po sobie niczego poznać. Absolutnie niczego. Ucieszyło ją, że tak dobrze nad sobą panuje.

Podeszła do okna mansardy. Biały domek, w którym mieszkała jej przyjaciółka Kamila z mężem Jacquesem, stał na prostokątnym rynku miasteczka Locmaria. Julia zmierzyła wzrokiem plac z kościółkiem i studnią pośrodku, przez większość dnia zalany słońcem i całkowicie wyludniony. Wychyliła się, żeby lepiej widzieć domki z niebieskimi okiennicami, zdobione kiśćmi hortensji. Przypomniała sobie podniecenie, które ogarnęło ją, gdy Kamila przywiozła ją tu tydzień temu. Julia po raz pierwszy w życiu wyjechała na Zachód. Po czterech latach rozłąki spotkała się ze swoją najlepszą przyjaciółką. To był najpiękniejszy prezent, jaki mogła sobie dać na dwudzieste trzecie urodziny.

Zaskoczyło ją, że Kamila żyje w tak idyllicznym miejscu, w którym czuć atmosferę ze starych pocztówek sanatoryjnych. I – dlaczegóż by tego nie przyznać – trochę oburzało to, że przyjaciółka traktuje swój piękny dom jak coś oczywistego, nie dba o ogród i nawet opiekę nad dzieckiem zazwyczaj pozostawia Jacquesowi. W trakcie wizyty Julii Kamila kilka razy zamknęła się w sypialni, z której pół godziny później wracała z zapłakanymi oczami. To małżeństwo najwyraźniej miało problemy. A Julia instynktownie wyczuła, że z powodu długiej rozłąki zaczynają się pojawiać rysy również na jej przyjaźni z Kamilą.

Znała ją od dziecka. Zaprzyjaźniły się w przedszkolu w rodzinnych Teplicach. Obie przeżyły pierwszą miłość podczas obowiązkowych zbiorów chmielu, zdały maturę z wyróżnieniem, czytały Appolinaira, pisały do gazet studenckich, złożyły podania na historię sztuki na uniwersytet w Pradze, zdały egzaminy, a przez cały pierwszy semestr musiały pracować w mleczarni, żeby „poznać życie klasy robotniczej". Obie były tak oszczędne, że same szyły sobie ubrania, a włosy rozjaśniały nad umywalką utleniaczem. Fizycznie były do siebie podobne do tego stopnia, że ludzie brali je za bliźniaczki. Lecz cztery lata temu ich życia gwałtownie się rozeszły. Julia do dziś studiowała i mieszkała w Pradze, natomiast Kamila przeprowadziła się tutaj, między te pobielone ściany. Miała dom, męża, dziecko. A to wszystko tylko dzięki temu, że pięć lat wcześniej na placu Wacława pewien francuski turysta spytał ją o drogę na zamek praski, a ona zaprowadziła go aż na Hradczany. Dziwne, że ci dwoje się w sobie zakochali – intelektualistka i robotnik portowy, mężczyzna z ludu. Kamila niespodziewanie zaszła w ciążę, wyszła za mąż i wyprowadziła się do Bretanii. Julia nie widziała jej od lipca 1970 roku. Ale bardzo często o niej myślała.

Teraz przerażona uświadomiła sobie, że każdy cień na szczęściu przyjaciółki przynosi jej złośliwą rozkosz. Kiedy Kamila wyjechała, Julię długo męczyła tęsknota i zazdrość. Lecz tęsknota z miesiąca na miesiąc słabła, natomiast zazdrość rozrastała się jak rak. Julia brzydziła się sobą. Ale jak zmienić swoje uczucia? Można sobie uświadomić, że są złe, można się za to nienawidzić, można próbować je ignorować, ale raczej nie uda się ich odegnać tylko dlatego, że się nam nie podobają.

Wycieczka na Belle-Île nie była nawet w połowie tak przyjemna, jak spodziewała się Julia. Najbardziej niepokoił ją mąż Kamili. Miał czarne oczy, zmierzwione brwi i preferował luźne, pogniecione i brudne ubrania. Wszystko robił z papierosem w dłoni, a Julia czuła, że jest cały przesiąknięty dymem. Tytoniem pachniał jego ulubiony fotel, ręcznik w łazience i gazeta, którą przez chwilę przeglądał. Podczas minionych siedmiu dni często spotykała się z tym mężczyzną wzrokiem. Na początku widziała w nim ostrożną ciekawość, jakby ten zaniedbany Francuz patrzył na nią niczym na jakieś egzotyczne zwierzę, które go fascynuje, ale jednocześnie przeraża. Później trochę rozluźnił się w jej towarzystwie. W ostatnich dniach jego spojrzenie zawierało coś więcej niż zainteresowanie obserwatora. Julia nie była już dla Jacquesa tylko dziwną istotą ze Wschodu, która nie potrafi korzystać z ekspresu do kawy, nigdy nie jadła krewetek i wytrzeszcza oczy na widok pełnych półek wiejskiego sklepu spożywczego. Ten mężczyzna – mąż jej najlepszej koleżanki – jej pragnął. Schlebiało jej to, ale jednocześnie przerażało. Na szczęście większość czasu spędzali w czwórkę: ona, Kamila, Jacques i ich czteroletnia córka Dominique. Jacques pracował jako zarządca portu w Le Palais, dokąd codziennie przed świtem wyjeżdżał, a wracał po południu. Dotychczas nigdy nie został z Julią sam na sam.

Ale dziś Kamila wybiera się na ląd do lekarza. Potem zrobi zakupy i wróci promem dopiero o szóstej. Uzgodnili, że Julia spędzi ostatni dzień na Belle-Île w towarzystwie Jacquesa i dziecka.

Praga, 24 października 2006

Julia usłyszała, że przed domem zatrzymuje się auto. Dźwięk silnika brzmiał obco, lecz mimo to zaczęła nasłuchiwać. Przerwała pisanie i rzuciła okiem na zegar z wahadłem wiszący nad stołem. Za dziesięć jedenasta. To nie może być on! Przyjedzie dopiero tak za godzinę, z pewnością nie wcześniej. Zawsze odwiedzał ją koło północy, w czasie, kiedy okna wszystkich domów przy ulicy Krokusowej były już ciemne, a chodniki puste. Tak się umówili. Żadne z nich nie chciało, żeby ktoś go tu zobaczył. „Jeśli dziś przyjechał wcześniej, to popełnił wielki błąd" – pomyślała Julia i wstała od stołu. Około jedenastej Joanna Truskawka z sąsiedniego domu chodzi na spacer z psem. W willi naprzeciw również jeszcze nie śpią… Julia podeszła do okna w przedpokoju i odsłoniła firankę dokładnie w chwili, kiedy kierowca zatrzasnął drzwi. Poczuła ulgę. Przy chodniku nie stał znajomy ciemny sedan, tylko małe czerwone autko, jakie zazwyczaj kobiety sprawiają sobie na jeżdżenie po sklepach. Oddalał się od niego młody mężczyzna w skórzanej kurtce – ciekawe, do kogo przyjechał? Julia była pewna, że mężczyzna nie mieszka przy ulicy Krokusowej i że nigdy wcześniej go nie widziała. Wiedziała, że nie powinna podglądać, skoro sama nie chce, by ludzie naruszali jej prywatność, ale mimo to patrzyła na młodzieńca, dopóki nie znikł jej z zasięgu wzroku. Potem z westchnieniem wróciła do stołu. Leżał na nim otwarty zeszyt szkolny, zapisany szybkim, zamaszystym, niedbałym pismem. Wersy wiły się jak węże, a niemal każde słowo kończyło się ostrym, długim, jakby agresywnym pociągnięciem.

„Moja terapia" – pomyślała Julia. – „Już po tym strasznym piśmie widać, jak bardzo jej potrzebowałam".

Wzięła do ręki długopis i przyłożyła go do kartki. Dziwne, że po trzydziestu jeden latach przypominają się jej takie szczegóły jak kolor okiennic domku Kamili. Może skupia się na nieistotnych detalach właśnie dlatego, że istotne elementy tej historii próbowała przez wiele lat wyprzeć z pamięci. Na próżno.

Chciała zostać cały dzień w domu i czekać na Kamilę, ale Jacques oświadczył, że zaplanował wycieczkę. Po krótkiej wymianie zdań wyruszyli jego poobijanym renaultem na przylądek Pointe des Poulains na północnym zachodzie wyspy. Pomimo nadciągającej burzy Jacques upierał się, że spacer wokół latarni morskiej jest obowiązkiem każdego turysty odwiedzającego Belle-Île.

Ciągle mówił, a Julię trochę to denerwowało. Wprawdzie dość dobrze rozumiała język francuski, ale Jacques miał dziwny, twardy akcent, typowy dla Bretończyków.

– Będziesz zachwycona. Obiecuję. Pointe des Poulains to najpiękniejsze miejsce na Belle-Île. Podczas wakacji okupują je tłumy turystów, ale założę się, że dziś będziemy pod latarnią zupełnie sami. Przejdziemy się po skałach. Trochę wieje, ale dzięki temu przynajmniej zobaczysz porządne fale.

Zwolnił, kiedy mijali stado owiec, rozglądające się po okolicy.

– Mhm – mruknęła Julia, ponieważ przy swoim ograniczonym słownictwie nie potrafiła odpowiedzieć po francusku żadnym sensownym zdaniem.

Jacques postukał stawami palców w szybę auta. Nieogrodzone pastwisko gwałtownie opadało ku brzegowi, a dalej już tylko kłębił się

Atlantyk. Kolor wody przechodził od przejrzystego turkusu poprzez błękit do rtęciowej szarości.

– Pięknie, nie?

Spojrzał na Julię, a ona zauważyła, że oczy błyszczą mu z zachwytu.

– Mhm – odpowiedziała banalnie.

– Lubię sztorm. Oczywiście pod warunkiem, że nie jestem akurat w pracy. W zeszłym roku w grudniu była tu piekielna zawierucha. Wiatr sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Fale pryskały aż na górę przy latarni, a skały mają tam dziesięć-piętnaście metrów. Wyobrażasz sobie?

Julia wzruszyła ramionami.

– Nie – odparła zgodnie z prawdą. – Byłam nad morzem tylko raz – dodała powoli. – W Jugosławii. Wyglądało spokojnie. Przypominało basen.

Zaskoczyła go.

– Powinnaś częściej podróżować, Julio. Im więcej miejsc poznajesz, tym większą liczbą żyć żyjesz. Nie lubisz przygód? Nie przepadasz za ryzykiem? Nie chcesz poszerzać swoich horyzontów?

Rozmowa zmierzała w kierunku, który się jej nie podobał. Wiedziała, że trzy ostatnie zdania nie dotyczyły podróży. Prawdopodobnie Jacques sugerował, że powinna poszerzyć swoje horyzonty poprzez seks z żonatym zarządcą portu w Le Palais.

– Co na tym przylądku jest takiego wyjątkowego? – wróciła surowym tonem do poprzedniego tematu.

Jacques mlasnął niezadowolony.

– Po prostu podoba się ludziom. Mnie trudno to oceniać, bo znam go od dziecka. W szkole prowadzaliśmy tam dziewczyny i podciągaliśmy im sukienki, schowani za twierdzą Sary Bernhard. – Zaśmiał się. – Znasz Sarę Bernhardt, tę aktorkę? W XIX wieku kupiła byłą twierdzę wojskową na Pointe des Poulains i przebudowała ją na letnią rezydencję. Teraz okna są

tam zabite deskami, a drzwi zarastają chwastami. Popada w ruinę. – W kąciku ust zaczął mu się intensywnie ruszać papieros, nieodzowny dodatek, bez którego Francuzi chyba nie wychodzą z domu.

Julia nie odpowiedziała. Zmroził ją widok pastwiska pod ciężkim niebem. Nagle poczuła niemal pewność, że przyjazd na Pointe des Poulains był błędem.

Brzeg na Pointe des Poulains rozrywają fale, odgryzające z czarnych skał coraz to nowe i nowe kęsy. W wietrzne dni ocean wyje tu i zawodzi prawie ludzkim głosem.

– To płacz dusz utopionych marynarzy – oświadczył patetycznie Jacques, gdy Julia spytała go o te dziwne dźwięki.

„Jakież to przytłaczające" – pomyślała, ale zostawiła tę uwagę dla siebie. Jacques dobrze przewidział, że na przylądku będą sami. Bardzo się ochłodziło, a Julia w cienkim swetrze trzęsła się z zimna.

Niebo nad morzem było grafitowe, a w dali co jakiś czas rozlegały się grzmoty, ale Jacquesa pogoda wcale nie niepokoiła.

– Burza dotrze tu najwcześniej za pół godziny. Wierz mi, znam się na tym. Osiem lat pracuję w porcie. Znam Atlantyk jak własną kieszeń. Ty się boisz, księżniczko?

Zrobił Julii zdjęcie przed latarnią. Kiedy zaprowadził ją na skraj urwiska i zmusił, by spojrzała w dół, od wysokości skał i huku fal zakręciło się jej w głowie. Coś do niej krzyczał, ale wiatr wyrywał słowa z jego ust.

– Kręci mi się w głowie – odpowiedziała, mocno ściskając drobną dłoń Dominique. Wystarczyłby jeden fałszywy krok, a już nigdy nie wsiadłaby do renaulta Jacquesa, nie rzucałaby z promu mewom kawałków bagietki, nie wyganiałaby karaluchów spod materaca łóżka w akademiku, nie zazdrościłaby Kamili życia we Francji. Czy wiatr może porwać ją w dół?

– Naprawdę się boję. I przecież jest z nami dziecko! Niepotrzebnie ryzykujemy, Jacques. Chcę wracać – powiedziała zdecydowanie.

Lecz Jacques wciąż twierdził, że muszą się trochę przejść.

Szli po szczytach skał porośniętych trawą i janowcem, którego intensywnie żółte kwiaty wzbogacały słone powietrze zapachem kokosów.

Zatrzymali się po około pięciuset metrach. Patrzyli na dziwaczne kształty skał obijanych przybojem. Ze spokojną oczywistością, niemal jak przyjaciele, oparli się o siebie ramieniem, a po chwili oboje się odsunęli. Spojrzeli na Dominique. Kucała przy krzakach i zrywała kwiaty. Wiatr czochrał jej włosy.

– Bądźmy wobec siebie szczerzy, Julio. Chcę być z tobą sam na sam. I wiem, że ty ze mną też. Wracajmy do domu. Kamila wróci dopiero za dwie godziny.

Kiedy nie odpowiadała, Jacques nieustępliwie kontynuował:

– Jeśli nadejdzie porządny sztorm, możliwe, że wieczorne promy zostaną odwołane, a Kamila będzie musiała przenocować na lądzie.

– A Dominique? – usłyszała swój głos Julia, pomimo iż poprawna reakcja powinna wyglądać całkiem inaczej.

– Zaprowadzę ją do sąsiadów. Przyjaźni się z ich córką.

– A jak to wyjaśnisz Kamili? Słuchaj, ja nie chcę… Kamila to moja przyjaciółka. Nie przyjechałam tu do niej, żeby…

– Powiem sąsiadom, że chcę cię zabrać na kolację do Le Palais, a Dominique jest już zmęczona.

Żeby nie musieć odpowiadać, Julia uwolniła się z objęcia Jacquesa, wzięła go za rękę i zaprowadziła na skraj urwiska. Poryw wiatru uderzył ją w piersi tak gwałtownie, że się zachwiała, ale dzielnie podeszła do przepaści. Czterometrowe fale rzucały się na skały sterczące z wody niczym czarne, wilgotne menhiry. Jacques miał rację, gdy mówił, że podczas

sztormu morze jest najpiękniejsze. W tym, jak masy wody wdzierały się na brzeg i rozpryskiwały o skalny mur, było coś upojnego. Julię ogarnęło podniecenie, jakby robiła rzecz niebezpieczną i zakazaną, a przecież tylko stała z obcym mężczyzną na skraju urwiska i patrzyła, jak niebo ciężeje nad Atlantykiem. Na nic więcej się nie zdecyduje, więc dlaczego czuje się tak brawurowo, tak odważnie?

Jacques zdecydował za nią. Obrócił ją ku sobie i zamierzał pocałować.

Potem stało się coś strasznego.

Julia odłożyła długopis i oparła się w fotelu. Czuła zmęczenie, jakby wykonała ciężką, fizyczną pracę. A przecież tylko siedziała i pisała. Wypisała się z bólu, wyrzutów sumienia i poczucia winy. Po raz pierwszy po trzydziestu jeden latach.

Pisała w trzeciej osobie – wydawało się jej to mniej osobiste, mniej raniące. Lecz mimo to nie potrafiła zwierzyć się kartce ze wszystkiego. Dokończy opowieść, gdy zbierze potrzebną odwagę. Ale na dziś wystarczy już wspomnień.

CZĘŚĆ I

PIERWSZE MORDERSTWO

ROZDZIAŁ 1

Praga, 25 października 2006

W nocy przed tym, jak w parku leśnym na końcu ulicy Krokusowej została znaleziona zamordowana dziewczyna, Julia Keller nie mogła usnąć. Było tak cicho, że wyraźnie słyszała dzwony z wieży Świętego Macieja. Wprawdzie kościółek znajdował się zaledwie nieco ponad kilometr od jej domu, ale za dnia dźwięk jego dzwonu ginął w hałasie drogi czteropasmowej, otaczającej dzielnicę willową niczym rozwarta obręcz. Julia starała się unikać zatłoczonych tras. Nie lubiła metropolii, jej smrodu, anonimowości, ulic zaścielonych śmieciami. Ale urodziła się w mieście, od pięćdziesięciu czterech lat oddychała powietrzem skażonym przez smog i nigdy nie znalazła w sobie odwagi na tak radykalną zmianę jak przeprowadzka na wieś.

Możliwe, że pozostała w Pradze głównie z powodu swojego domu na Dejvicach, na wzgórzu zwanym Baba. Po rozwodzie przypadła jej willa z początku dwudziestego wieku z odłażącym szarym tynkiem i balkonem, który od lat groził zawaleniem. Dom był zaniedbany i bynajmniej nie należał do praskich perełek architektonicznych, tak chętnie podziwianych przez turystów. Mimo to Julia ceniła nieco posępną atmosferę kamiennych schodów łączących drzwi wejściowe zdobione witrażem z niemal całkowicie zarośniętą ścieżką zanurzającą się w ogrodzie i bujną zielenią,

której od lat nie dotknęła ręka ogrodnika. Dokładnie taki ogród Julia zawsze pragnęła mieć, ale dopóki mieszkała tu ze swoim mężem, nie mogła sobie na niego pozwolić. Ludwik prawie codziennie biegał wokół domu z kosiarką lub sekatorem jak samozwańczy architekt krajobrazu. Wszystkie linie żywopłotu musiały zachowywać harmonię, jednolitości trawnika angielskiego nie mógł szpecić żaden chwast. Gdy Ludwik odkrywał pojedynczy mniszek, ostrożnie wycinał go scyzorykiem. Był opętany porządkiem i dyscypliną – wartościami obcymi Julii. Dlatego od rozwodu sekator odpoczywał w szopie, a Julia z radością obserwowała, jak przyroda się rozrasta, wyciąga macki na wszystkie strony i zmienia pomysły Ludwika (niezbyt oryginalne) według własnego uznania.

Jesienią widok z okna przypominał Julii obraz impresjonistyczny. Ciężkie gałęzie przerośniętych krzewów pochylały się ku ziemi, a liście mieniły się na nich dziesiątkami odcieni zieleni, brązu i żółci. Spadały w wysoką trawę, skąd nikt ich nie zgrabiał i gdzie gniły, dopóki nie przykrył ich śnieg. Kiedy Julia przymykała powieki, nie widziała granicy między krzewami i trawnikiem. Po pniu starej jabłoni piął się bluszcz, wygięte gałęzie dzikiej róży zanurzały się w kępach turzycy. Julia nie rozumiała, jak ktoś może woleć pięciocentymetrowy trawnik umęczony kosiarką i okaleczone krzaki przycięte w nienaturalne kształty. Skąd ludzie biorą w sobie bezczelność do narzucania swoich poglądów przyrodzie, z której się wywodzą? Julia całym sercem kochała swój swobodnie rozrastający się ogród. Gdy ogarniał ją smutek lub wracały złe wspomnienia, uspakajała się widokiem szerokiej palety zieleni i brązu za swoim oknem. Teraz również wstała z łóżka, po ciemku podeszła do okna i z radością wpatrywała się w gąszcz. Dzwon Świętego Macieja właśnie wybił wpół do drugiej.

Wtedy to zobaczyła. Błysk ruchu w przestrzeni pomiędzy dwoma krzakami, oświetlonej światłem księżyca. Ludzka sylwetka na chwilę zastygła, a po sekundzie zniknęła w cieniu. Julia za drżała. Próbowała dojrzeć w ciemności coś więcej. Ktoś jest w jej ogrodzie. Kto? Co tam robi? Żołądek ścisnął się jej ze strachu. Nie bała się o siebie – była przecież w zamkniętym domu. Martwiła się o koty. Miała ich łącznie dwanaście i kochała je porywczą, altruistyczną miłością, jakiej – co przyznawała niechętnie – nigdy nie czuła do męża, a może nawet do dzieci. Wiedziała, że niektórzy sąsiedzi obgadują ją z powodu tej hodowli. Po rozwodzie przylgnęła do niej łatka dziwaczki lubiącej zwierzęta bardziej niż ludzi. Nie zamierzała jednak niczego w swoim życiu zmieniać. Przecież po dotychczasowych perypetiach życiowych ma pełne prawo do nietypowego hobby.

O jej łydkę otarło się jedwabiste futro rudego kota – Pana Ministra. Przed czterema laty, krótko po rozwodzie Julii, przyszedł pod drzwi i bardzo szybko zastąpił Ludwika Kellera w roli pana domu. Miał mądry wzrok, a Julia często przyłapywała się na tym, że przypisuje mu ludzkie cechy i motywacje. Zawsze, kiedy ogarniały ją obawy lub melancholia, Pan Minister przytulał się do niej, jakby chciał ją pocieszyć. Teraz również podbiegł i głośnym mruczeniem domagał się uwagi.

Lecz nie było czasu na czułostki. Julia delikatnie odsunęła kota, otworzyła okno i wychyliła się w noc. Znów zadrżała. Wprawdzie w drugiej połowie października słońce w dzień wciąż grzało jak w lecie, ale po zmroku temperatura szybko spadała. Łagodny wietrzyk szeleścił liśćmi jabłoni. Poza tym panowała cisza. Julia wytężała słuch, ale nigdzie nie rozlegał się dźwięk kroków ani żaden inny podejrzany hałas. Może się jej przywidziało? Nie ma powodów do paniki.

Po ciemku bała się sama wyjść z domu, postanowiła więc poczekać do świtu i wtedy sprawdzić ogród. Zamknęła okno i w nagłym przypływie strachu zaciągnęła zasłonę. Zazwyczaj chciała przez wszystkie okna widzieć niebo, ale teraz nie mogła pozbyć się wrażenia, że jeśli włączy światło, intruz będzie ją obserwować. Wracanie do łóżka nie miało sensu. Julia narzuciła na ramiona szlafrok, włączyła czajnik i wsypała do filiżanki dwie czubate łyżeczki kawy rozpuszczalnej. Oczywiście mogłaby zadzwonić na policję, ale co by powiedziała? Nie potrafiłaby udowodnić, że po jej ogrodzie chodził ktoś obcy. Właściwie już nie była pewna, co widziała. To była jedna z nielicznych sytuacji, gdy żałowała, że mieszka sama. Gdyby w pokoju na górze spała Klara lub Michał, obudziłaby ich i razem wyszliby przed dom. Ale ani jedno z dorosłych dzieci nie chciało żyć z nią pod jednym dachem.

Potrząsnęła głową, żeby odgonić nieprzyjemne myśli. Nie chciała grzebać w przeszłości i zastanawiać się, dlaczego zawiodła jako żona i matka. Usiadłszy przy stole kuchennym, popijała kawę i wzdrygała się przy każdym cichym dźwięku. Był to mimowolny strach. Julia wiedziała, że z wnętrza jej starego domu często dobiegają trzaski i jęki, których nie trzeba się bać.

O szóstej rano stwierdziła, że na zewnątrz jest wystarczająco jasno, by sprawdzić ogród. Znów otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz. Wszędzie panował zastygły spokój, typowy dla pory brzasku. Powietrze było mroźne, a krzaki w miękkim porannym świetle wyglądały jak scenografia przedstawienia teatralnego o Śpiącej Królewnie. Julia włożyła kalosze, do jednej ręki wzięła konserwę z karmą dla kotów, a do drugiej ciężką metalową latarkę. Najpierw pomyślała, że uzbroi się w pogrzebacz, ale nie chciała, żeby zobaczył ją z nim któryś z sąsiadów. Latarka była dyskretniejsza, a w razie potrzeby również mogła posłużyć jako broń.

Wzięła ze sobą też torebkę z witaminami dla zwierząt. Zamówiła je przez Internet, a pracowniczka wirtualnego sklepu osobiście je wczoraj przywiozła. „Świetna obsługa" – pomyślała Julia. Może w ten sposób mogłaby kupować wszystkie artykuły zoologiczne? Są tam tańsze, a Julia nie lubiła szastać pieniędzmi. Z drugiej strony – wpuszczanie do domu dostawców wydawało się jej dość ryzykowne. Wczoraj poczuła ulgę, kiedy zobaczyła, że witaminy przywiozła młoda kobieta, a nie mężczyzna. Mieszka sama, więc musi uważać na oszustów.

Wyszła przed dom i powoli szła między krzakami. Trawa pośrodku ogródka wyglądała, jakby ktoś ją udeptał. Czy mogła to zrobić Julia podczas wieczornego karmienia? Raczej nie, bo zawsze chodzi po żwirowej ścieżce. Teraz wysypała mięso do plastikowych misek w rogu ogrodu, a z kranu nalała do starego garnka świeżą wodę. Zawołała cicho, a po wysokiej trawie natychmiast zaczęli się do niej zbliżać pierwsi stołownicy.

Rzadko na wołanie przybiegały wszystkie koty. Błąkały się po okolicy i wracały do domu co dwa-trzy dni. Mimo to Julię zaniepokoiło to, że naliczyła tylko jedenaście zwierząt. Nie wiedziała, czego dokładnie się boi, ale ogarnęło ją złe przeczucie. Może z powodu niedawnej rozmowy z Joanną Truskawką z sąsiedniego domu, niemogącej znieść tego, że koty Julii wypróżniają się na jej angielski trawnik i czasem drzemią na jej huśtawce? Największym zuchwalstwem wykazał się Pan Minister, który tydzień temu wkradł się przez okno tarasowe do willi Truskawków, poszedł do sypialni i z dostojną oczywistością zwinął się w kłębek na ich łóżku.

– Jestem tolerancyjnym człowiekiem, ale to, że jakiś obcy kocur sypia sobie na mojej poduszce, to już przesada – ryczał Juraj Truskawka z balkonu, kiedy Julia myła przy kranie kocie miski, udając, że nie ma pojęcia, czyje zwierzę dopuściło się takiego wybryku.

Następnego ranka Joanna Truskawka wyszła z domu dokładnie w chwili, kiedy Julia zmierzała do piekarni po świeże rogaliki.

– Dziś będzie piękna pogoda – zaszczebiotała Joanna i dogoniła Julię. Była to korpulentna czterdziestopięciolatka, niegdyś uznana menadżerka, którą uzależnienie od alkoholu i leków pobudzających najpierw wystrzeliło na szczyt, a zaraz potem pozbawiło stanowiska i dobrej opinii. Julia wiedziała, że jej sąsiadka trzeci rok pozostaje bez pracy, pozwala utrzymywać się mężowi, a poczucie swej zbyteczności próbuje utopić w butelkach wermutu. Julii było żal sąsiadki, ale nie czuła wobec niej współczucia. Pomimo iż mieszkały obok siebie prawie od ćwierćwiecza, nie zaprzyjaźniły się, a nawet nie przeszły na „ty".

– Po południu ma być aż dwadzieścia stopni. Jak na połowę października, jest naprawdę ciepło – odparła ostrożnie Julia i na chwilę zatrzymała wzrok na czarnych czółenkach Joanny. Bez wątpienia kiedyś kosztowały mnóstwo pieniędzy, ale teraz były znoszone i miały zdarte czubki. Od kiedy Joanna zaczęła wykonywać „wolny zawód", jak podniośle określała swoje bezrobocie, przestała dbać o wygląd. Czasem nawet było czuć od niej pot. Julia odsunęła się. Nie lubiła, kiedy ktoś obcy szedł obok i delikatnie ją przy tym dotykał. Poza tym spodziewała się problemów, a intuicja jej nie zawiodła.

– Wie pani, zawsze dobrze się dogadywałyśmy, prawda? Lubię panią, pani Julio. Jest pani bardzo miłą kobietą. Tylko te koty mi przeszkadzają. Musi je pani zlikwidować – oświadczyła Joanna. Mimo iż była dopiero siódma rano, w jej oddechu czuć było delikatny zapach wermutu.

– Nie rozumiem. To moje koty i trzymam je na terenie prywatnym.

– Niech się pani opamięta. Od kiedy Ludwik się wyprowadził, zachowuje się pani… dziwnie. Ja też kocham zwierzęta, oczywiście, że tak, ale co za dużo, to niezdrowo. Pani koty wciąż pojawiają się w naszym

ogrodzie. Kiedy wjeżdżam autem, boję się, że któregoś z nich rozjadę. Jestem wrażliwym człowiekiem, pani Julio. Nie zniosłabym widoku martwego kota!

Julia posłała jej ostre spojrzenie. Joanna w ogóle nie wydawała się jej wrażliwa.

– Nie pozbędę się ich. Nie ma mowy.

– Ach, Boże, po co ten oficjalny ton? Ja naprawdę uwielbiam zwierzęta. Chodzi mi tylko o ich dobro. Rozumiem, że potrzebowała pani jakiegoś zajęcia, kiedy dzieci tak szybko się wyprowadziły. Pewnie czuje się pani samotna, ale… – Nie dokończyła i zmierzyła Julię złośliwym wzrokiem. Wiedziała, że trafiła w czuły punkt.

– Nie czuję się samotna! Nie przeszkadza mi, że Klara i Michał się wyprowadzili. Przecież każde dziecko musi kiedyś opuścić gniazdo, a moje po prostu zrobiły to kilka lat wcześniej niż inne. Koty nie mają z tym nic wspólnego – odparła Julia, ale wiedziała, jak nieszczerze to brzmi.

– To pani opinia. Według mnie nie jest normalne, że ktoś mieszka w mieście i ma tyle zwierząt. – Joanna pogłaska ją po ręce. – Pani kotki zasługują na to, by każdy miał osobnego właściciela, który mógłby się nim odpowiednio zająć. W schronisku nie byłoby im źle, a potem na pewno wziąłby je stamtąd ktoś dobry. Żeby pani pomóc, zadzwoniłam do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami i spytałam, czy mogliby wziąć pani koty do siebie. Oczywiście najpierw odmówili, ale kiedy wspomniałam, że jest pani wpływową osobą z kontaktami w Ministerstwie Ochrony Środowiska – zrobiła znaczącą pauzę – …zmienili zdanie i powiedzieli, że przyjadą. Zaszczepią je, odrobaczywią i zaczną oferować nowym właścicielom.

– Czy pani żartuje? – spytała Julia z nadzieją w głosie.

– Oczywiście, że nie żartuję. Dla pani informacji: większość schronisk nie przyjmuje dorosłych kotów. Biorą tylko kocięta. Powinna się pani cieszyć, że to załatwiłam. Radzę pani tam zadzwonić i powołać się na ustalenia ze mną. Bez pani zgody nie przyjadą, bo ma pani koty na terenie prywatnym – dodała sąsiadka niemal z żalem. – Coś pani powiem, pani Julio, ale zostanie to tylko między nami, dobrze? Mężowi wczoraj skończyła się cierpliwość. Twierdzi, że od kiedy pani zwierzęta okupują nasz ogród, nie czuje się w domu dobrze. Wie pani, on nie jest taki jak ja. Nie znosi kotów. – Stanowczo spojrzała na Julię. – Powiedział, że jeśli nie pozbędzie się ich pani dobrowolnie, załatwi je trutką na szczury.

– Pani mi grozi? – Tylko na takie słowa zdobyła się Julia. Dlaczego sąsiedzi nie zostawią jej w spokoju? Dlaczego nawet w swoim ogrodzie nie może robić tego, co chce?

– Boże, po cóż te mocne słowa? Powiedzmy, że panią ostrzegam.

Julii nie wydawało się prawdopodobne, że pogróżki Truskawków są poważne. Słyszała, że ich małżeństwo się rozpada. Pewnie znów są pokłóceni, a podpita Joanna odreagowuje złość na niej i na kotach.

Lecz teraz przypomniała sobie każde słowo tej dziwnej rozmowy, a po plecach przeszły jej ciarki. A jeśli Joanna mówiła prawdę? Czy to możliwe, że sąsiad wszedł w nocy na jej teren, żeby wrzucić do kocich misek trującą przynętę?

Z głębi ogrodu dobiegło ciche, pełne żalu miauknięcie. Chwilę trwało, zanim Julia zorientowała się, skąd dokładnie dochodzi. Po tonie kociego głosu poznała, że jest źle. Nauczyła się rozróżniać różne rodzaje miauczenia – znała kocie przywitanie, okazywanie radości i bólu. To było wołanie o pomoc.

Rozgarnęła krzaki, a przerażenie ją sparaliżowało. Przez kilka sekund nie mogła się ruszyć, krzyknąć, oddychać. Potem chrypliwie wciągnęła do

płuc chłodne powietrze i zaczęła działać.

Pod niską gałęzią samotnie rosnącego świerku srebrnego leżała prostokątna pułapka klatkowa, jakiej myśliwi używają do łapania szkodników. Była stara, a na zardzewiałych kratkach wisiały przylepione kłębki starej sierści. Teraz w środku trząsł się czarno-biały kot Julii – Chaplin.

Julia nie miała pojęcia, jak się tę pułapkę otwiera. Wiedziała jedno: musi szybko wydostać z niej kota. Zwierzę trochę się uspokoiło, wbijało w nią przerażony wzrok i tylko co jakiś czas cicho piszczało. Julia szarpała drzwiczkami. Bez skutku. Złamała sobie dwa paznokcie i zadrapała się o zardzewiałą krawędź klatki. Potem zauważyła zapadkę, mocno przytrzymującą drzwiczki. Palce Julii były tak rozedrgane, że z początku nie potrafiła jej odblokować. Potem klatka nareszcie się otworzyła, a kot wystrzelił z niej jak z procy. Wyglądał na przestraszonego, ale zdrowego.

Julia rozpłakała się w przypływie ulgi. Co by się stało, gdyby dziś wyjątkowo nie przyszła do ogrodu tak wcześnie? Zazwyczaj karmiła koty około ósmej, po powrocie ze sklepu i po śniadaniu. Uświadomiła sobie, jak wielkie szczęście miał Chaplin. Gdyby nie jej bezsenność i cień dostrzeżony w ogrodzie, kocur za kilka godzin mógłby umrzeć. Właściciel klatki mógłby po nią przyjść i Bóg wie, co zrobiłby ze zwierzęciem.

Kto przyniósł tu tę pułapkę? Dlaczego? Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami na pewno nie łapałoby zwierząt w prywatnym ogrodzie bez zgody właściciela. Jeśli klatkę przyniósł Truskawka, to do czego było mu potrzebne żywe zwierzę, skoro mógł je po prostu otruć? Julia znów spojrzała na pułapkę, w której została przynęta: duża, śmierdząca kość wołowa. Spokojny ogród, który tak uwielbiała, nagle wydał się jej przerażający. Jednego była pewna: ta klatka nie skrzywdzi już żadnego zwierzęcia. Julia mogła obciążyć ją kamieniem i rzucić z mostu do rzeki

lub, jeśli będzie mieć wystarczająco dużo siły, zniszczyć młotkiem w piwnicy. Szła przez ogród szybkim krokiem, niosąc otwartą klatkę w jednej ręce, a latarkę w drugiej. Gdyby w tamtej chwili stanął jej na drodze ktokolwiek z rodziny Truskawków, zmobilizowałaby całą energię, która drzemała w jej wątłym ciele, i przeciągnęłaby go ciężką pułapką po głowie.

Wiedziała, że właściciel przyjdzie po swój łup. Wystarczy czekać przy oknie i patrzeć. Prawdopodobnie pojawi się lada moment…

Była już prawie przy drzwiach domu, kiedy mimowolnie podniosła wzrok ku sąsiedniej willi.

Za firanką na pierwszym piętrze ktoś stał i obserwował ją.

ROZDZIAŁ 2

Weronika Truskawka jeszcze nigdy nie widziała zwłok. Lubiła oglądać seriale kryminalne, więc myślała, że umie sobie jako tako wyobrazić, jak wygląda zamordowany człowiek, lecz rzeczywistość okazała się całkiem inna. Weronice trochę podniósł się żołądek, ale nie potrafiła odwrócić wzroku od zamordowanej dziewczyny. Blada twarz z sinymi wargami i odsłoniętymi zębami przyciągała jej uwagę jak magnes.

Ofiara leżała na boku w rzadkich paprociach, patrzyła wytrzeszczonymi oczami w niebo, a ręce miała rozrzucone w teatralnym geście, jakby dziwiła się swojemu nieszczególnemu końcowi. Jedna noga zawinęła się w nienaturalnej pozycji pod ciałem, druga stopa w skórzanej tenisówce opierała się o pień. Spod podciągniętej nogawki czarnych płóciennych spodni wystawała mlecznobiała łydka. Z dębowego sklepienia co jakiś czas opadał na dziewczynę suchy liść, a jesienne słońce prześwitujące przez korony drzew tworzyło na czerwonej kurtce koronkowe, złote odblaski. Gdyby nie wytrzeszczone oczy i wyszczerzone zęby, ciało wyglądałoby niemal spokojnie. Wzrok Weroniki zatrzymał się na ciemnym czerwonym krwiaku na chudej szyi. Owszem, to również zna z seriali kryminalnych – najprawdopodobniej są to ślady po duszeniu. Zatem ma przed sobą ofiarę morderstwa. *Morderstwa!* Na rękach poczuła gęsią skórkę, a dobrze znany młody lasek w sąsiedztwie dzielnicy willowej nagle wydał się jej złowrogi i niebezpieczny.

Gdyby Weronika była bohaterką serialu, prawdopodobnie uciekłaby z krzykiem lub zemdlałaby z wrażenia. Lecz pozosta ła względnie spokojna. Ją samą zaskoczyło, że nawet nie czuje strachu. Ciekawość przezwyciężyła mdłości, a Weronika zrobiła kolejny krok w stronę nieruchomego ciała. Zamordowana dziewczyna mogła mieć tak dwadzieścia cztery – dwadzieścia sześć lat. W lewym uchu wisiały dwa srebrne kółeczka, jakie nosiła również Weronika. Kto mógł ją zabić? Dlaczego?

Gdzieś w gęstwinie trzasnęła gałązka, a Weronika gwałtownie się wyprostowała. Miała dopiero szesnaście lat i nie do końca rozumiała, w jak poważnej sytuacji się znalazła. Wyobrażała sobie, jak będzie opowiadać rodzicom, chłopakowi, koleżankom i policji o tym, co odkryła podczas porannego joggingu, a zamiast ze strachu – trzęsła się z podekscytowania. Znajdzie się w centrum uwagi, wszyscy będą ją wypytywać, a ojciec i matka – rozpieszczać przez kilka kolejnych dni, jakby była chora… Dopiero gdy usłyszała czyjeś kroki, dotarło do niej, że być może znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Morderca wciąż może być blisko. Powinna stąd jak najszybciej zniknąć!

Panika ścisnęła jej gardło. Weronika odwróciła się gwałtownie, potknęła się o suchą gałąź, rozdarła sobie spodnie o jej czubek i boleśnie uderzyła się w łydkę. Cicho krzyknęła, ale nie zatrzymywała się. Kluczyła między drzewami, brodziła przez zaspy suchych liści i biegła coraz szybciej, dopóki w boku nie zaczęło ją kłuć z wyczerpania. Oświetlony słońcem skraj lasu zbliżał się zbyt powoli. Dopiero teraz dziewczyna zaczynała rozumieć, jak straszną rzecz widziała, a jej ramionami wstrząsnął płacz. Dlaczego tu nikogo nie ma? Uświadomiła sobie, że gdyby morderca ją zaatakował, prawdopodobnie nikt nie usłyszałby wołania o pomoc. A potem – co za ulga – ujrzała na ścieżce małżeństwo z psem na smyczy.

Weronika stanęła. Oddychała gwałtownie i połykała łzy.

– Tam jest ciało! – krzyknęła. – Widziałam martwą kobietę! Martwą… kobietę! Leży za mną, w paprociach.

Potem musiała usiąść na ziemi, bo ugięły się pod nią kolana. Klara Keller siedziała na dywanie w pokoju swojego wynajmowanego mieszkania, oparta plecami o szafę. Dochodziła dopiero dziewiąta rano, ale ona już była pijana. Piła ze szklanki drogie czerwone wino i, pomimo że jej nie smakowało, czuła wdzięczność za otępienie, które dzięki niemu ją ogarnęło. Otaczały ją porozrzucane rachunki, wyciągi z banku i wciąż zaklejone koperty z groźnymi czerwonymi paskami.

Przez ostatnie pół roku Klara wyczerpała limity kilku kart kredytowych, wzięła pożyczkę i kupiła mnóstwo rzeczy na raty. Miała tyle nowych ubrań, że nie mieściły się w szafie, więc wieszała je na klamkach okien i na karniszach. Używała kremu na noc z dodatkiem kawioru. Do kolacji piła drogie wina. Z pracy wracała taksówką, a włosy strzygła i farbowała w najdroższym salonie w Pradze. Było tak cudownie czuć się bogatą! Już prawie zapomniała, jak to jest, kiedy trzeba przeżyć za śmieszną pensję i kiedy nie posiada się do dyspozycji tych wszystkich magicznych kart, którymi można płacić, choć nie ma się żadnych pieniędzy…

Dopiero niedawno zrozumiała, jak naiwnie dała się nabrać sloganom reklamowym typu: „Z naszym kredytem już nigdy nie będziecie musieli się ograniczać". To była prawda, ale tylko do czasu, gdy wydała pożyczone pieniądze. Potem musiała zacząć spłacać długi, a łączna suma miesięcznych spłat przekraczała wysokość jej zarobków telefonistki w biurze podróży. Sprzedała więc pierścień po prababci, a potem pożyczyła od koleżanki dwadzieścia tysięcy koron, choć nie miała pojęcia, z czego je odda. Zaciągała jedne długi, by spłacać inne. Wypłacała pieniądze z karty kredytowej, by mogła spłacić inną kartę. Wczoraj wieczorem po raz

pierwszy uświadomiła sobie, że przesadziła. Wróciła z domku letniskowego w Marzenicach w Górach Łużyckich, gdzie spędziła tydzień ze swoim chłopakiem, a po powrocie czekała na nią skrzynka pocztowa pełna wezwań do zapłaty i kar finansowych. W jednej z kopert była również wiadomość od właściciela mieszkania. Informował ją, że jeśli do południa następnego dnia nie otrzyma czynszu, natychmiast ją wyeksmituje.

Klarze trzęsły się ręce. Wzięła dla kurażu kolejny łyk i zadzwoniła do matki. To jej ostatnia nadzieja.

Julia odebrała po pierwszym sygnale.

– Pracuję – powiedziała zamiast przywitania. Cała ona, przeciwieństwo stereotypu kochającej, gotowej do poświęceń matki utrzymującej ciepło domowego ogniska. Praca była dla niej wszystkim. Praca, a ostatnimi laty również koty. Klara sądziła, że jej matka nigdy tak naprawdę nie kochała jej, syna ani męża. Wyszła za Ludwika Kellera z nudów lub z przekonania, że złe małżeństwo jest lepsze niż żadne. Klara nie wiedziała, czym tak naprawdę kierowała się matka. Jedno było pewne – Julia nie była typem matki i dusiła się w jednowymiarowym związku. Zrobiłaby lepiej, gdyby pozostała wolna i bezdzietna lub ewentualnie poślubiła wolnomyśliciela wyznającego taką samą hierarchię wartości jak ona. Klara wyobraziła sobie, jak matka siedzi teraz w pokoju przy laptopie, a na kolanach panoszy się jej jeden z tych dumnych, egoistycznych ulubieńców. Kochała matkę, ale nie rozumiała jej. Jakby każda z nich pochodziła z innej planety.

– Słuchaj, mamo, muszę od ciebie pożyczyć pieniądze – powiedziała Klara bez ogródek.

– Nie da rady, skarbie. Nie mam nawet na dopłatę za prąd.

Przesadzała. Klara była pewna, że pensja redaktorki czasopisma artystycznego musi bez problemów wystarczać na utrzymanie domu i jednego człowieka, nawet pomimo tego, że jest to specjalistyczna gazeta

z wąskim gronem czytelników. Może i Julia Keller była postrzelona, ale na pewno nie była biedna.

– Wystarczyłoby mi pięćdziesiąt tysięcy.

– Żartujesz sobie ze mnie?

Klara wyraźnie słyszała stukot klawiatury laptopa. Matka rozmawia z nią, ale ani na chwilę nie przestaje pracować.

– Mam problemy. Duże problemy – podkreśliła Klara, żeby matka nie lekceważyła jej słów. – Po raz pierwszy proszę cię o coś takiego, mamo. A ściślej mówiąc, po raz pierwszy proszę cię o cokolwiek.

– Wiem, skarbie.

Klara w duchu przeklęła matkę za obojętny, niecierpliwy ton. Traktuje córkę jak natrętnego właściciela galerii, który dzwoni do niej po raz trzeci w tym tygodniu i próbuje przekonać ją, by w swoich artykułach promowała jego, a nie konkurencję.

– Nie, nie wiesz, mamo. Niczego o mnie nie wiesz. Kiedy mnie ostatnio odwiedziłaś? Kiedy zadzwoniłaś, żeby zapytać, jak się mam?

– Przecież co środę chodzimy na obiad – odpowiedziała Julia lekko. – Klaro, co się z tobą dzieje? Piłaś, prawda?

Klara odłożyła szklankę na stolik konferencyjny.

– Nie. Oczywiście, że nie piłam. Jest dziewiąta rano – odparła urażona. Uświadomiła sobie, że odeszły od tematu. – Może i wystarczyłoby mi czterdzieści tysięcy, mamo. No dobrze, powiem ci prawdę. Zadłużyłam się. Wyczyściłam kilka kart kredytowych i wzięłam parę pożyczek. Tę pierwszą mi w banku wręcz wcisnęli… Kupiłam sobie masę ubrań. I komputer, i auto. Nie mam z czego spłacić długów.

– Musisz wypić piwo, którego nawarzyłaś.

Klara zacisnęła wargi. Czasem zastanawiała się, dlaczego jej matka, przez większość osób uznawana za kobietę ciepłą i wrażliwą, jest tak

chłodna wobec własnych dzieci. Czy nie potrafi wznieść się ponad nienawiść do męża, z którym spłodziła Klarę i Michała? Klara bała się ojca, a do serca matki nigdy nie znalazła drogi. Czasami uważała to za swoją klęskę, a czasami za niesprawiedliwość. Tak czy inaczej, czuła się samotna, nieodwołalnie i rozpaczliwie samotna.

– Łącznie mam długów na ponad ćwierć miliona. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy! Potrafisz sobie wyobrazić, ile to pieniędzy? Muszę szybko spłacić przynajmniej część.

– Klaro, przestań z tymi głupimi żartami. Przecież słyszę, że jesteś pijana. Wstydź się.

– Mamo, mówię śmiertelnie poważnie. Nie płacę czynszu. Nie stać mnie. Nie chciałam ci o tym w ogóle mówić. – Teraz już nie potrafiła powstrzymać szlochu. – Chciałam, żebyś myślała, że jestem samodzielna. Chciałam sama się o siebie zatroszczyć. Mam trzydzieści lat, a nie potrafię niczego.

Matka głośno westchnęła.

– Uspokój się, Klaro. Jeśli naprawdę masz takie długi, powinnaś się nad sobą zastanowić. Czy nie wiedziałaś od razu, że nie będzie cię stać na ich spłatę?

– Nie chcę tego słuchać, mamo. Wyrzuty mogę sobie robić sama.

– Dobrze. Jeśli chcesz rady, to poproś bank o przedłużenie terminów. Słyszałam, że to możliwe. A z właścicielem mieszkania spotkaj się osobiście, przeproś i ubłagaj, żeby jeszcze poczekał. Ja nie mam oszczędności. Za samo ogrzanie tego domu płacę horrendalne kwoty, a w zeszłym tygodniu znów zostawiłam prawie dwa tysiące u weterynarza. Wyobraź sobie, że jeszcze rok temu sterylizacja kotki kosztowała sześćset koron, a teraz już osiemset. A ja akurat musiałam wysterylizować dwie

dziewczynki. Potrafiły krzyczeć przez całą noc. Dziwne, że kota kastrują za trzysta.

Klara obróciła oczy w słup. Dziewczynki! Nie cierpiała, kiedy matka mówiła o zwierzętach jak o ludziach. Poza tym kiedy tylko zaczynała mówić o kotach, była nie do zatrzymania.

Julia wzięła głęboki oddech.

– Skoro już mowa o kotach, posłuchaj, co mi się przydarzyło. Znalazłam w ogrodzie…

Klara wiedziała, że jeśli szybko nie zatrzyma matki, wysłucha półgodzinnego monologu o uroczych, ale doskonale bezużytecznych niemych pyszczkach.

– Mamo! Te bestie mnie nie obchodzą! Pomóż mi. Proszę! – Nienawidziła się za to skomlenie, za głos przepełniony poniżeniem. Ale od kogo innego zdobyć pieniądze, jeśli nie od matki? Auta nie mogła sprzedać, bo było zapisane na jej chłopaka. Powinna przynajmniej zacząć oszczędzać, żyć skromnie, jeść grzanki z czosnkiem zamiast kawioru na francuskiej bagiecie, ale czy Piotr zostałby z nią, gdyby nagle okazało się, że jest biedna?

Poznali się pół roku temu w barze. Piotr jest osiem lat młodszy od niej, przebojowy i nieodpowiedzialny. Na studiach utrzymywał się z handlu akcjami i czasem udawało mu się zarobić niezłą sumkę, ale uwielbiał drogie i luksusowe rzeczy, więc nigdy nie miał pieniędzy. „Kasa" była jego bożkiem, sensem życia, motorem napędowym.

– Chcę wreszcie się wzbogacić, żeby być szczęśliwym – wyznał Klarze kilka godzin po tym, jak się poznali. – Nie rozumiem, jak ktoś może spokojnie żyć, nie mając oszczędności. Ja potrzebowałbym kilku milionów na koncie, żeby czuć się pewnie. To byłoby coś wspaniałego. To byłoby jak sen! Ty tak nie uważasz?

Miała wtedy we krwi sporo alkoholu i chciała zrobić dobre wrażenie. Bez namysłu palnęła, że jest doskonale zabezpieczona, ponieważ ojciec-przedsiębiorca regularnie wysyła jej szczodre kieszonkowe. Nie podejrzewała wtedy, że jeszcze kiedyś spotka się z Piotrem. Ale on zadzwonił następnego dnia, a ona ciągnęła swoje kłamstwa. Wypłaciła z banku oszczędności i zapraszała Piotra na kolacje do luksusowych lokali. Wyposażyła mieszkanie drogą elektroniką, zapłaciła za ich wspólny urlop nad morzem, na urodziny kupiła swojemu chłopakowi komputer. Od stóp do głów ubierała się w drogich butikach, a gdy szła po mieście z firmową torebką na ramieniu, trzymała brodę wysoko, jakby ta mała skórzana rzecz jakimś cudem podniosła również jej własną wartość. Było to dziwne, całkiem nowe uczucie. A Klarze spodobało się tak bardzo, że sprawiała sobie kolejne niepotrzebne rzeczy z okazałymi znakami firmowymi: pióro, jedwabną chustę, kalendarz w skórzanej oprawie.

– Ile to kosztowało? – pytał Piotr, gdy wypakowywała w domu zakupy z zadrukowanych toreb.

– Nawet nie wiem. Zbytnio się nad tym nie zastanawiam – odparła obojętnie.

Dlaczego to robiła? Dlaczego w wieku trzydziestu lat kłamała jak licealistka? Najprawdopodobniej kupowała sobie miłość. Piotr często powtarzał, że ją kocha. Szeptał jej zdania, których Klara ani razu nie słyszała od matki ani od ojca: „Jesteś dla mnie wszystkim. Potrzebuję cię". A Klara czuła, że jako dziewczyna z biednej rodziny, zarabiająca piętnaście tysięcy koron brutto, niczego podobnego nigdy by nie usłyszała.

Ponieważ swój związek zbudowała na wymysłach, musiała kontynuować kłamstwa. Kiedy skończyły się oszczędności, próbowała utrzymać wysoki poziom życia, zadłużając się. Piotr wciąż wierzył w jej bogatego ojca, którego wprawdzie nigdy nie widział, ale chętnie wydawał

jego pieniądze. Chciał używane auto, to je dostał. Ostatnimi czasy namawiał Klarę, żeby rozejrzała się za droższym mieszkaniem w lepszej dzielnicy. A wczoraj wspominał o telewizorze, który nie wygląda jak pudło, tylko jest płaski jak obraz i można go powiesić na ścianie… Klara jęknęła. Będzie musiała wyznać mu prawdę. Ach, Boże. Nie wybaczy jej, że go okłamywała! Zostawi ją. Z nerwów podniósł się jej żołądek. Skoro nie udał się plan A, trzeba wypróbować plan B.

– Jeśli nie możesz mi nic pożyczyć, to może mogłabym… Mamo? Jesteś tam?

– Przepraszam, ale dzwoni mi drugi telefon. Widzimy się w środę, tak?

Rozłączyła się! Julia, zawsze tak uprzejma wobec obcych i tak czuła wobec swoich kotów, nie uznała swojej córki za osobę godną pożegnania.

– Cholera! Cholera, cholera, cholera! – Klara sięgnęła po szklankę. Na dnie został ostatni łyk wina, więc wypiła go szybko i poszła sprawdzić, czy coś zostało w butelce. To koniec. Koniec nadziei na szybką spłatę chociaż najpilniejszych długów. Bez pomocy matki sobie nie poradzi. Właściciel wyrzuci ją z mieszkania. A Piotr ją opuści.

W wieku trzydziestu lat miała wrażenie, że życie to rozpędzony pociąg, do którego musi szybko wsiąść, bo w przeciwnym razie już go nie dogoni. Wszystkie jej koleżanki były zamężne lub żyły w długich związkach. Niektóre miały dzieci i wyglądały z tymi wrzeszczącymi zawiniątkami na rękach na jakieś takie… spokojne, spełnione. Klara nie chodziła jeszcze z żadnym mężczyzną dłużej niż kilka miesięcy. Adoratorów nie brakowało, lecz im była starsza, tym mniej im wierzyła. Z nieudanego małżeństwa rodziców wyniosła przeświadczenie, do jakiego niektóre kobiety dojrzewają w dużo późniejszym wieku i dopiero po naiwnych marzeniach, nadziejach, wierze, rozczarowaniach i stracie iluzji dochodzą do wniosku, że najlepiej jest żyć samemu. Dlatego Klara nigdy nie zaczynała związków

z nadzieją, wręcz przeciwnie, była ostrożna i nieufna. Jej młodość zmieniła się przez to w serię zmarnowanych miłostek, nadeszły trzydzieste urodziny, a wraz z nimi nieuniknione poczucie całkowitego krachu. Klara była samotna i miała nudną pracę bez perspektyw, ponieważ na przekór rodzicom odeszła z liceum tuż przed maturą i nigdy nie zadbała o wykształcenie.

Zanim poznała Piotra, często siadywała z butelką wina na balkonie i zastanawiała się, gdzie popełniła błąd. Dlaczego nie jest mężatką i nie ma dziecka? Dlaczego mieszka sama w wynajętym mieszkaniu, które traktuje bardziej jak noclegownię niż jak dom? Czasem myślała o powrocie do matki, mieszkającej w dużej willi z wieloma niewykorzystanymi pokojami. Tylko czy chciałaby żyć w domu, w którym każdy kąt przypomina jej kłótnie rodziców i poczucie własnej bezsilności? Wciąż dobrze pamiętała dziurę w ścianie, wybitą tłuczkiem do mięsa, którym ojciec próbował trafić matkę. Potrafiłaby z dokładnością co do centymetra wskazać miejsce, w którym w wieku sześciu lat klęczała i prosiła ojca na kolanach, żeby przestał krzyczeć na mamę. Miała około ośmiu lat, kiedy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że przestała być dzieckiem. Kiedy zasypiała, zostawiała uchylone drzwi swojego pokoju na wypadek, gdyby rodzice znów się pokłócili. Już nie była dzieckiem mamy. Była jej strażniczką.

Dlaczego rodzice zaczęli ze sobą chodzić? Tak bardzo do siebie nie pasowali! Matka całymi dniami pracowała, a ojca doprowadzało to do szału. Chciał mieć w domu doskonałą gospodynię, a kiedy zorientował się, że nie zmieni żony-intelektualistki, zaczął na niej przynajmniej rozładowywać agresję. Ubóstwiał porządek, natomiast matka była niewiarygodnie chaotyczna. Klara nie rozumiała, dlaczego Julia od niego nie odeszła. Cierpiała w milczeniu, niemal z zadowoleniem, jakby wszystkie wyrzuty męża uważała za zasłużoną karę. Klara często modliła

się do Boga o śmierć ojca. „Byłoby nam bez niego tak dobrze" – szeptała do złożonych dłoni. „Matka byłaby szczęśliwsza. Uśmiechałaby się. Chodziłaby ze mną i z Michałem do zoo i do cyrku. Miałaby dla nas więcej czasu. Kochałaby nas".

Modliła się często, ale najwyraźniej niewystarczająco gorliwie, ponieważ Bóg wysłuchał jej próśb po długim czasie i tylko częściowo. Ojciec nie umarł, ale znalazł sobie młodszą kobietę z większym upodobaniem do porządku. Lecz matka nie zaczęła się dzięki temu uśmiechać, tylko chodziła po domu jak lunatyczka. Na zoo, cyrk i matczyną miłość było za późno, ponieważ Klara już dorosła i pragnęła mieć własne życie.

Westchnęła. Nie, nie chciała aż tak głęboko zanurzać się we wspomnieniach. O czym myślała na początku? A, tak, o czasie po swoich trzydziestych urodzinach. Była wtedy zrozpaczona i samotna. Pragnęła mężczyzny, jakiegokolwiek mężczyzny, z którym mogłaby żyć i założyć rodzinę. „Tym razem go od siebie nie odepchnę – obiecywała sobie. „Nie będę zdystansowana i nieufna, przeciwnie, zrobię wszystko, żeby ze mną został". Spotkała Piotra i…

Z rozmyślań wyrwał ją dzwonek telefonu.

– To ja, dziewczynko. Przepraszam, że tak cię zbyłam, ale dzwonili do mnie z redakcji.

Matka. Świat nie widział: zadzwoniła, żeby przeprosić!

– Nic się nie stało, mamo.

– Poczekaj sekundkę… Wyobraź sobie, że po ulicy właśnie przejechały trzy radiowozy. Wjechały do lasku. Dziwne. Ciekawe, co się tam stało. Pójdę sprawdzić, czy…

Klara przerwała jej wymownym westchnieniem. Miała dużo poważniejsze problemy niż radiowozy przy ulicy Krokusowej. Matka

natychmiast się opamiętała.

– Przepraszam. Mów. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

Klara wzięła głęboki oddech. Nie, nie chciałaby wracać do domu, z którym łączy ją tyle złych wspomnień. Tyle że jeśli zamierza utrzymać przy sobie Piotra – a to jest jedyne, na czym jej teraz zależy – nie ma innego wyjścia.

– Jeśli nie możesz pożyczyć mi pieniędzy, to może mogłabyś mi pomóc w inny sposób – wyrzuciła z siebie przygotowane wcześniej zdanie. – Nie korzystasz z tych pokoi na poddaszu, gdzie mieliście kiedyś z tatą sypialnię i pracownię, prawda? Chciałabym wprowadzić się tam z Piotrem. Dzięki temu zaoszczędzę na czynszu i będę mogła szybciej spłacić długi.

Cisza.

– Mamo? Jesteś tam?

– A gdzie miałabym być? – Znowu cisza. – Ty chciałabyś mieszkać tutaj? Co za pomysł? Przyzwyczaiłaś się już przecież do swojej prywatności. Wyprowadziłaś się, jak miałaś siedemnaście lat, to było tak dawno… I chcesz mi tu przyciągnąć tego Piotra? Czy on nie ma gdzie mieszkać? Naprawdę nie wiem, gdzie się tu wszyscy pomieścimy.

Klarze się wydawało, czy może naprawdę w głosie matki słyszała panikę?

– Mamo! Mieszkasz w tym domu zupełnie sama!

Cisza.

– Przecież wiem. Tylko poddasze trochę zacieka i… – Julia westchnęła zrezygnowana. – Dobra. Niech będzie. Tylko mam nadzieję, że ten twój Piotr lubi zwierzęta. Właściwie dlaczego jeszcze mi go nie przedstawiłaś? Mógłby przyjść z tobą w środę na obiad?

Klara mocno ściskała słuchawkę. Starała się nie płakać, ale po policzku spływała jej łza.

– Nie bój się, mamo. Piotr bardzo, bardzo lubi zwierzęta.

– Mam nadzieję, że mówisz prawdę. Kiedy chcecie się wprowadzić?

– Dostałam czas do dzisiejszego południa. Albo zapłacę, albo muszę opuścić mieszkanie. Spakuję najpilniejsze rzeczy i przyjadę. Nie chcę tu być, kiedy przyjdzie właściciel.

W słuchawce zabrzmiał cichy szelest, a potem matka odkaszlnęła. Klara nie była pewna, ale miała nieprzyjemne wrażenie, że ten dziwny szum to wypowiedziane szeptem słowa:

– Ach, Boże.

Julia otworzyła domowy barek i nalała sobie brandy. Zazwyczaj nie pijała alkoholu, ale zawsze miała w zapasie coś mocniejszego dla gości. Podniosła rzeźbiony kieliszek pod światło i przyjrzała się bursztynowej cieczy. Może powinna się upić. Właśnie traci wolność – tę wolność, o której przez dwadzieścia sześć lat małżeństwa mogła tylko tajnie marzyć i której przez te cztery lata nie zdążyła jeszcze w pełni wykorzystać. Kiedy Ludwik odszedł do młodszej kobiety, dzieci już dawno mieszkały poza domem, więc Julia została sama w niszczejącej willi, a kiedy tylko pokonała początkową depresję, stwierdziła, że samotność niezmiernie jej odpowiada. Mogła kiedykolwiek i gdziekolwiek iść, nie musząc nikomu tego zgłaszać. Mogła robić, na co tylko miała ochotę, i nie musiała się z tego rozliczać. Nagle samodzielnie decydowała o swoim życiu i tylko od niej zależało, w którą stronę je skieruje. Przez dwadzieścia sześć lat Ludwik nieustannie ją kontrolował. Woził ją autem do pracy i z pracy, towarzyszył jej na zakupach i u dentysty, chyba po to, by nigdzie nie mogła porozmawiać z mężczyzną, który wydałby się jej bardziej interesujący niż mąż. Po rozwodzie zaczęła wszędzie chodzić sama i musiało minąć trochę czasu, nim pozbyła się uczucia, że jej samotność jest w pewien sposób

niestosowna – że to upośledzenie, za które powinna się wstydzić. Zdenerwowana niepewnie rozglądała się po ludziach, a w duchu zastanawiała się, co o niej myślą. Jest im jej żal? Na ulicy czasami ulegała poczuciu zagrożenia, jakby samotność automatycznie zmieniała ją w potencjalną ofiarę przestępców. Ciągle oglądała się za siebie. Sprawdzała, kto za nią idzie. Kilka razy nawet zboczyła z zaplanowanej trasy, bo zdawało się jej, że ktoś ją śledzi.

Lecz po kilku miesiącach przywykła do samotności, a nawet polubiła ją. Wreszcie mogła rozwinąć skrzydła. Uczyła się radości życia, zupełnie jakby wiele lat przeżyła w tunelu, a teraz po raz pierwszy mogła wyjrzeć na zewnątrz. Zaskoczyło ją, że świat jest taki kolorowy. Nagle zaczęła zwracać uwagę na dźwięki, barwy, smaki i zapachy, zastanawiać się nad drobnostkami i być dzięki nim szczęśliwa. Znów zaczęła o siebie dbać. Zafarbowała siwiejące włosy, kupiła absurdalnie drogie kosmetyki, wymieniła sukienki w kolorze skórki od ziemniaka na kolorowe kostiumiki. I znalazła hobby, na jakie jej mąż nie zgodziłby się za żadne skarby. Od wielu lat służbowo odwiedzała aukcje dzieł sztuki (zazwyczaj w towarzystwie Ludwika), ale po rozwodzie zaczęła na nich również kupować. Interesowały ją przede wszystkim tanie dzieła młodych, jeszcze niedocenionych artystów. Czasem również grafiki i szkice w przystępnych cenach. Kiedy tylko udało się jej z pensji zaoszczędzić kilka tysięcy, inwestowała te pieniądze w swoją nową pasję. Uwielbiała podniecenie, które ogarniało ją podczas licytacji upatrzonego dzieła. Podbijała cenę uparcie, ale nigdy nie przekraczała wyznaczonego sobie wcześniej limitu. A kiedy pozostali zainteresowani odpadali, a licytator potwierdzał zwycięstwo Julii, czuła upojne poczucie zwycięstwa.

To nie była jedyna przyjemność, na jaką pozwalała sobie po rozwodzie. Miała jeszcze coś, jedną zakazaną rozkosz, którą starannie ukrywała przed

całym światem. Teraz prawdopodobnie będzie musiała z niej zrezygnować. Już nie będzie żyć sama, a jej życie znów będą obserwować inni ludzie.

Z lęku ścisnął się jej żołądek. Zakosztowała wolności, a teraz znów ją traci. Ale jak mogłaby odmówić Klarze? Obowiązkiem matki jest przybycie z odsieczą, kiedy córka ma problemy. Czy może nie? Julia przyznawała to niechętnie, ale wolałaby pomóc Klarze spłacić długi niż mieszkać z nią pod jednym dachem. Ponadto jeśli wierzyciele podaliby Klarę do sądu, komornik przyszedłby do miejsca jej stałego zameldowania, czyli na ulicę Krokusową. Julia wiedziała, że komornicy bezlitośnie zabierają wszystko, co znajdą w domu dłużnika, bez względu na to, do kogo to należy. I z pewnością nie marzyła o tym, żeby ktoś obcy kręcił się tu i szperał w jej rzeczach.

Lecz oszczędności nie posiadała. Wszystkie dochody inwestowała w dom, koty, zakupy lub aukcje. Gdyby miała problemy, wiedziała, od kogo pożyczyć. Niektóre rzeczy mogła też sprzedać… Mimo to wciąż się wahała.

Zanim poda Klarze pomocną dłoń, musi dowiedzieć się, dlaczego jej córka znalazła się w tej sytuacji bez wyjścia. Za wysokimi długami z pewnością kryje się coś dużo poważniejszego niż nieprzemyślane zakupy odzieżowe.

ROZDZIAŁ 3

Wiadomość o morderstwie w dejvickim parku leśnym zastała inspektora Józefa Bergmana niecałe dwa kilometry od domu. Przed kilkoma dniami zamknął brutalną sprawę – porwanie, a następnie morderstwo dziecka – i czuł, że pilnie potrzebuje urlopu. Wczoraj wieczorem był tak wyczerpany, że zapadł w głęboki sen w swoim fotelu w biurze i obudził się dopiero o wpół do ósmej rano. Na szczęście była sobota, więc wypił kawę i udał się do domu na zasłużony odpoczynek. Dziesięć minut temu zjechał w Mniszku pod Brdami z autostrady D4 i skierował swojego szarozielonego dżipa grand cherokee na połataną drogę powiatową. Ostrożnie jechał wśród zaoranych pól i połaci suchej, żółtej trawy z wysepkami powykręcanych sosen. Tę część drogi z Pragi na gospodarstwo w Kozich Górach lubił najbardziej, ponieważ zazwyczaj przynosiła ukojenie połączone ze świadomością, że obowiązki służbowe zostają gdzieś za plecami, a Bergman aż do jutra nie będzie musiał troszczyć się o nic więcej niż o to, czy w lodówce jest wystarczająco dużo schłodzonych piw i czy znów powinien rozrzutnie zaserwować kotu na śniadanie konserwę włoskiego tuńczyka (bo niestety nie w był w stanie utrzymywać w domu zapasów kociego pokarmu). Czar okolicy znów zadziałał, a na długim zjeździe ze wzgórza pokrytego pastwiskami kudłatych herefordów inspektor głośno odetchnął z ulgą. W przypływie dobrego nastroju otworzył okno i głęboko wciągnął chłodne jesienne powietrze, doprawione szczypiącym smrodem wypalanych miedz. W ogóle

mu nie przeszkadzało, że foliowa płachta, którą przyczepił taśmą klejącą do sufitu kabiny, głośno szeleści i łopocze. Było to jedno z wielu jego ulepszeń mających ustrzec auto przez zużyciem. Pod nogami miał gumowy dywanik, który również przykrył folią, a na nią położył grubą szmatę, by wchłaniała wodę i błoto. Wszystkie siedzenia w aucie pokryte były ręcznikami, żeby pośladki ewentualnych pasażerów nie mogły dotknąć tapicerki z jasnej skóry. Bergman dobrze wiedział, dlaczego tak pielęgnuje swoje auto. Jeśli kiedyś postanowi je sprzedać, będzie mógł zażądać dużo większej kwoty niż za wóz z brudnym sufitem i siedzeniami. Taki już był: wprawdzie czarnego kocura Diego Maradonę karmił konserwami z tuńczyka, a w przypływie dobrego humoru kupował mu drogie wątróbki królicze, ale poza tym bardzo uważnie podchodził do wydatków, a znajomi podejrzewali go wręcz o chorobliwą oszczędność. Rozrzutne inwestycje w menu kota pokazywały, jak ważne jest dla Bergmana to zwierzę. Nie lubił szastać pieniędzmi, ale tuńczyka z puszki serwował kotu bez namysłu, a potem niemal z ojcowską życzliwością obserwował, jak zadowolony Diego je.

– Kochasz tylko tego kocura – zarzuciła mu kiedyś siostra Karla, do której uciekał, gdy życie starego kawalera dawało mu się we znaki. W duchu przyznawał jej rację – na miłości rzeczywiście mu nie zależało. Uważał ją za przeceniane uczucie, które niepotrzebnie komplikuje ludziom życie. Zawsze, kiedy się zakochiwał, tracił spokój i wolność, a w zamian zyskiwał bardzo niewiele. Dostosowywał się, podporządkowywał się, marzył, czynił sobie wyrzuty i cierpiał tylko po to, by w końcu zrozumieć, że marnuje czas i energię, bo w żadnym związku nie będzie mu tak dobrze jak w samotności. Po dwóch nieudanych małżeństwach stwierdził, że po prostu nie pasuje do życia w parze. Poza tym nie potrafił wyobrazić sobie kobiety, która na dłuższą metę tolerowałaby jego wymagającą pracę. Obie jego byłe żony nalegały, by zmienił zawód – nie znosiły

nieprzewidywalności, nocnych telefonów, zepsutych weekendów i powrotów o świcie. Próbował wyjaśnić im, że bez tej pracy nie byłby szczęśliwy i że gdyby z niej zrezygnował, nie byłby już mężczyzną, którego pokochały. Obie żony bardzo się od siebie różniły, ale ku zaskoczeniu Bergmana obie odpowiedziały tak samo:

– W takim razie odchodzę.

Szosa zanurzyła się w lesie mieszanym, a przez okno wtargnął zapach butwiejących liści i wilgotnej gliny. Bergman włączył radio i zaczął nucić jazzową melodię. Za kilka minut wjedzie na podwórze starego gospodarstwa i zaparkuje dżipa w stodole – pod ciepłą maskę przychodzą tam spać kuny. Idąc przez podwórze, zawoła kota, zjedzą śniadanie (Bergman smażone jajka ze słoniną, a Diego tuńczyka), a potem każdy zajmie się swoimi sprawami. Kocur miał własne życie, nie oczekiwał od Bergmana niczego prócz regularnych dostaw pokarmu i nie złościł się, jeśli pan zostawiał go bez wyjaśnienia samego na kilka dni. Był idealnym lokatorem. Bergman żałował, że życie z żadną kobietą nie układało się mu tak bezproblemowo jak z Diegiem. Może gdzieś po świecie chodzi istota, z którą byłby szczęśliwy. Lecz inspektor nie był pewien, czy w wieku pięćdziesięciu dwóch lat ma jeszcze siłę jej szukać.

Właśnie zbliżał się do wąskiej dróżki przed gospodarstwem, gdy zadzwonił telefon. Na widok numeru kapitana Adama Danesza Bergman cicho zaklął.

– Słucham.

Po pierwszym usłyszanym zdaniu wcisnął hamulec i zawrócił.

– Gdzie dokładnie? – spytał i przez chwilę w milczeniu przytakiwał skinięciami głowy. – Dobrze. Jadę tam.

Nie po raz pierwszy Józef Bergman zajmował się morderstwem popełnionym w tej dzielnicy. Osiem lat temu w lesie na Babie znaleziono młodą kobietę uduszoną żelazną struną. Ostatecznie Bergman posłał za kratki chłopaka ofiary – chorobliwie zazdrosnego przedsiębiorcę ze znajomościami w najwyższych kręgach politycznych. Nie przyznał się do winy, ale obciążało go kilka dowodów. Sprawie towarzyszyła nieprzyjemna kampania medialna rozpętana przez matkę oskarżonego w celu uwolnienia syna od zarzutów. Matka twierdziła, że śledczy zostali przekupieni, by zamknąć niewinnego człowieka i zdyskredytować przed wyborami jego bliskiego przyjaciela – wpływowego polityka. Rozgłos po kilku tygodniach ucichł, ale mimo to nazwisko Bergmana pojawiło się w kilku popularnych dziennikach. Inspektor nie lubił wspominać tego medialnego śledztwa, a kiedy teraz przemierzał znajome ulice, nerwowo kręcił się na siedzeniu.

Park leśny na Babie zalewało miękkie przedpołudniowe słońce. W przyległych ulicach panował senny spokój, jakby w ogóle nie należały do leżącej pod wzgórzem metropolii. Bergman otworzył okno, które podczas jazdy tłoczniejszymi trasami zawsze pozostawało zamknięte. W nos uderzyła go woń świeżo skoszonej trawy, która kojarzyła się mu raczej z latem i wsią niż z końcem października i Pragą. Zauważył mężczyznę z kosiarką spalinową, przycinającego w jednym z ogrodów bujny trawnik angielski. Z okna sąsiedniej willi wyjrzała kobieta, ale szybko schowała się za firankę. Na rozpadających się betonowych kolumnach przy furtce dwa koty siedziały dumnie jak sfinksy.

Bergman wcisnął gaz. Nie powinien teraz gapić się na okolicę, Danesz już na niego czeka. Wprawdzie zwłoki nie uciekną, ale mimo to wiedział, że nie może tracić czasu. Godziny bezpośrednio po przestępstwie są dla śledztwa najistotniejsze i nie należy pozwalać mordercy na zyskanie zbyt dużej przewagi.

Zamordowana dziewczyna leżała w rzadkim bukowym lasku, dość daleko od wydeptanych ścieżek. Zza opadłych liści wyłaniały się paprocie, otaczające ofiarę niczym zielona dekoracja. Policjanci ogrodzili miejsce zbrodni taśmą, nie udało się im jednak zniechęcić ciekawskich, którzy w grupkach obserwowali kolejne działania.

Bergman schylił się, przeszedł pod taśmą i podszedł do umundurowanych policjantów. Na miejscu był już fotograf i technicy kryminalni. Danesz rozmawiał z młodą kobietą w długim czarnym płaszczu, ale kiedy spostrzegł Bergmana, przeprosił ją i ruszył mu naprzeciw.

– Czekaliśmy na pana – oświadczył zamiast przywitania. Potem skinął na kobietę w płaszczu. – Patolożka sądowa, Kwieta Arnold. Doktor Jonasz ma urlop, ale na szczęście pani Arnold mogła przyjechać.

Bergman podał kobiecie rękę. Przywitała się, ale bez uśmiechu. Miała brązowe włosy przystrzyżone w bombkę i bursztynowe oczy. „Jest za młoda" – pomyślał inspektor. Czy ma wystarczająco duże doświadczenie? Jeszcze nigdy z nią nie pracował, ale starał się nie okazywać nieufności. Razem pochylili się nad zwłokami. Ofiarą była szczupła blondynka z dużym biustem. Wiek: około dwudziestu pięciu lat. Za życia mogła być piękna, ale teraz szpeciły ją wyszczerzone zęby, wytrzeszczone oczy i krwiaki na szyi.

Patolożka się wyprostowała.

– Najprawdopodobniej została uduszona rękami. To znaczy, że niemal na pewno mamy do czynienia z morderstwem.

– Kiedy to się stało?

– Myślę, że nie żyje od około dwunastu godzin. Rigor mortis jest już w pełni rozwinięty. Ale szczegóły poznamy dopiero po sekcji.

– Ułożenie ciała sugeruje, że umarła tutaj. Nie wydaje się, żeby ktoś zaciągnął ją tu martwą. – Bergman kucnął. Złoto-brązowa pierzyna z opadających liści była pod nogami dziewczyny rozryta aż do gliny. – Najwyraźniej walczyła z mordercą. Ale czego tu, na Boga, szukała? Nie prowadzi tu żadna droga, ścieżka, nic. – Pokręcił głową. – Dziwię się, że została znaleziona tak szybko. W takim miejscu mogła leżeć niezauważona tygodniami.

Danesz wskazał na grupkę ludzi za taśmą policyjną. W środku stała drobna blondynka i gorączkowo gestykulowała rękami.

– Znalazła ją tamta dziewczyna. Ta jasnowłosa. Twierdzi, że przyszła pobiegać i zobaczyła między paprociami coś kolorowego.

– Pobiegać? Tu? Poza ścieżką? – Bergman z niedowierzaniem zmarszczył czoło. Potem znów spojrzał na ofiarę. Była ubrana w czarne płócienne spodnie, rozpiętą czerwoną kurtkę z kreszu i białe skórzane tenisówki. Między nieco podwiniętym bawełnianym podkoszulkiem a paskiem spodni widniał kawałek bladego, płaskiego brzucha. Bergman przyglądał się nodze w tenisówce, opartej o próchniejący pień. Po latach pracy w wydziale kryminalnym zobojętniał, lecz mimo to często żal mu było ofiar, szczególnie kobiet. Wyobraził sobie, jak rano wkładała spodnie i zawiązywała buty. Czy zrobiłaby tego dnia coś inaczej, gdyby wiedziała, że to ostatnie godziny jej życia?

Zauważył, że spod pleców leżącej dziewczyny wystaje coś czarnego. Pochylił się i rozpoznał róg dużej torby z dermy.

Pół godziny później wzięli ofiarę na nosze i zanieśli do czekającego auta. Bergman ruszył do blondynki, której to straszne odkrycie przerwało poranny jogging. Była blada, ale nie wyglądała na przesadnie wstrząśniętą. Wciąż stała w swojej grupce i coś relacjonowała.

Bergman podszedł do niej od tyłu i delikatnie dotknął jej ramienia.

– Czy mogę panią na chwilę prosić?

– Pewka – Natychmiast przerwała opowieść, obejrzała się, a on zauważył, że oczy lśnią jej jak w gorączce. – Weronika Truskawka – przedstawiła się z poważną miną i podała mu chłodną rękę. Mogła mieć tak piętnaście-szesnaście lat, ale jak na swój wiek zachowywała się wyjątkowo rozważnie. Bergman nie zdziwiłby się, gdyby po takim szoku trzeba by ją było zawieźć do lekarza.

– Czy dobrze się pani czuje?

– Pewka. – Najwyraźniej to było jej ulubione słowo. Spróbowała się uśmiechnąć, ale wargi tylko skrzywiły się kurczowo. Czyli nie jest aż taka spokojna. – Wie pan… strasznie się przeraziłam.

– Nic dziwnego. – Odprowadził ją trochę na bok. – Czy możemy porozmawiać? Chce pani na chwilę usiąść w aucie, czy może woli pani pojechać do mojego biura?

– Wolałabym zostać tutaj – powiedziała.

Skinął głową.

– Chciałbym usłyszeć, jak znalazła pani ciało.

– Przecież opowiadałam to już temu chudemu facetowi w garniturze – wskazała na Danesza.

– Wiem. Teraz proszę opowiedzieć to mnie.

– Wyszłam pobiegać. Robię tak co rano. Nagle…

– Biegła pani tędy? – przerwał jej. – Czy nie byłoby wygodniej po ścieżce?

Wzruszyła ramieniem i przewróciła oczami. To był pierwszy gest odpowiadający jej wiekowi, a Bergman poczuł ulgę. Im naturalniej ta dziewczyna będzie się zachowywać, tym bardziej ta rozmowa mu pomoże.

– Jasne, ale taki bieg jest najskuteczniejszy! Jeśli chcę pracować nad kondycją, muszę biegać w terenie. Zawsze zbaczam ze ścieżki i biegnę tam, pod górę. Próbuję pozbyć się cellulitu na udach, a bieganie pod górkę jest najskuteczniejsze – dodała porozumiewawczo, jakby rozmawiała z koleżanką. – Pisali o tym w „Dziewczynie".

Bergman nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Zatem opuściła pani ścieżkę. Co było dalej?

– No, zobaczyłam czerwoną plamę. Tę jej kurtkę. – Machnęła ręką w stronę auta, do którego właśnie wkładano zwłoki. – Podbiegłam sprawdzić, co to jest. A potem… Naprawdę muszę to wszystko znów opisywać? Robi mi się od tego niedobrze.

– Obawiam się, że tak.

– No dobrze. – Nie wydawało się, żeby jakoś bardzo jej to przeszkadzało. – Od razu zorientowałam się, że ta dziewczyna nie żyje. Po oczach, zębach i tak dalej. Znam to z telewizji. Bardzo się wystraszyłam, ale… – Zawahała się.

– Ale?

– Wie pan, oglądam dużo seriali kryminalnych. Zawsze myślałam, że gdybym znalazła trupa, zaczęłabym krzyczeć, zemdlałabym albo bym uciekła… Ale w rzeczywistości czułam raczej ciekawość. Podeszłam bardzo blisko i pochyliłam się nad nią. Chciałam się jej przyjrzeć. – Podniosła ku niemu wielkie oczy i dodała przepraszająco: – Nigdy wcześniej nie widziałam martwego człowieka.

Przyglądał się jej z zainteresowaniem. Dziwne dziewczę. Przypuszczał, że większość jej rówieśniczek po znalezieniu ciała naprawdę by zemdlała lub uciekłaby z krzykiem. Ale ta dziewczyna traktowała całą tę przygodę jak niecodzienne wydarzenie, na którym powinna ugrać dla siebie jak najwięcej. Pomyślał, że być może w jej wieku zachowałby się tak samo.

– O której godzinie to było?

– No… Koło ósmej.

– Dotknęła jej pani.

Wytrzeszczyła oczy.

– Nie! Boże, w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła. Fuj!

– Zna ją pani?

Zdecydowanie pokręciła głową.

– Nigdy w życiu jej nie widziałam. Wie pan, to dość dziwne, bo tu na górce żyjemy jak na wsi. Wszyscy się tu znamy, przynajmniej z widzenia.

– Czy po drodze zauważyła pani coś lub kogoś podejrzanego?

Zagryzła dolną wargę.

– Nie – odparła po chwili niemal z żalem. – Nic.

– W takim razie nie będę już pani zatrzymywać, pani… – próbował sobie przypomnieć – …Weroniko. – Podał jej swoją wizytówkę. – Gdyby przypomniała sobie pani coś, co mogłoby mnie zainteresować, proszę zadzwonić. Kiedykolwiek, nawet w nocy, jeśli tylko będzie pani mieć ochotę.

Zrobiła rozczarowaną minę.

– To wszystko? O nic więcej mnie pan nie zapyta?

Uśmiechnął się do niej. „Chce być w centrum uwagi" – pomyślał rozbawiony. Ale niestety jej pięć minut sławy już się kończy.

– Dziś nie. Może kiedy indziej. Proszę wracać do domu, a następnym razem niech pani biega raczej po ścieżkach.

Słońce wdrapało się nad korony drzew i grzało jak w lecie. Bergman przyniósł czarną torebkę denatki do auta, rozścielił folię na masce i ostrożnie wyciągał skromny majątek dziewczyny. Jak na wielkość torebki, znajdowało się w niej zaskakująco mało rzeczy, w większości tanich

i zużytych. Na masce leżał brązowy płócienny portfel z uszkodzonym zamkiem, ceglasta szminka, przestarzały telefon komórkowy, czarny plastikowy grzebień z kilkoma złotymi włosami między ząbkami i futerał na dokumenty z pękniętym grzbietem, niezdarnie zaklejonym przeźroczystą taśmą. Na fotografii w dowodzie osobistym uśmiechała się dziewczyna z wyraźnymi kośćmi policzkowymi i gęstą grzywką. Nie była zbyt podobna do ofiary, ale prawdopodobnie tylko dlatego, że zdjęcie pochodziło sprzed kilku lat. Zdjęcie na prawie jazdy było nowsze i potwierdziło Bergmanowi, że naprawdę trzyma w dłoniach dokumenty martwej dziewczyny. Nora Mach, dwadzieścia siedem lat, wolna. Kiedy otworzył portfel, zaskoczyło go, ile znalazł w nim banknotów o wysokich nominałach. Czy to normalne, że młode kobiety noszą przy sobie dwadzieścia tysięcy koron w gotówce? Tak czy inaczej, zawartość portfela świadczyła o tym, że zbrodnia nie została popełniona na tle rabunkowym. Znów sięgnął do torebki. Była głęboka i miała mnóstwo dużych wewnętrznych kieszeni. W jednej z nich znalazł zieloną plastikową teczkę z fakturami i potwierdzeniami odbioru. Przejrzał je.

– Wiemy o niej wszystko: jak się nazywała, gdzie pracowała – rzucił w stronę Danesza, który przez cały czas stał obok niego i przyglądał się w milczeniu. – Internetowy sklep zoologiczny „Szczekuś". – Z bocznej kieszonki wyciągnął wizytownik. – Nora Mach, przedstawicielka handlowa. – Postukał palcem w wachlarz z banknotów przyciśniętych portfelem. – Być może to wyjaśnia, dlaczego miała przy sobie tyle pieniędzy. Może rozwoziła klientom towar, za który płacono gotówką. – Wskazał na pęk kluczy, wśród których największy był do auta. – Gdzieś w okolicy prawdopodobnie znajdziemy jej wóz. Według dokumentów jest to niebieski ford focus, sześcioletni, numery rejestracyjne 1A2 5578.

Danesz skinął głową.

– Mam go poszukać?

– Proszę sprawdzić, czy nie stoi w pobliżu. Potem trzeba będzie zadzwonić do jej rodziców i odwiedzić ich. Pojedziemy tam razem.

Wyciągnął z torebki ostatni przedmiot – duży kasztan. Wciąż błyszczał, co świadczyło o tym, że kobieta podniosła go z ziemi niedawno, może w dniu śmierci. A może ktoś dał go jej na szczęście. Jej chłopak? W każdym razie talizman jej nie ochronił. Bergman z westchnieniem zaczął odkładać rzeczy z powrotem do torby.

Danesz uśmiechnął się smutno. Prawdopodobnie obaj myśleli o tym samym.

– Te morderstwa młodych dziewczyn są najgorsze. Oczywiście oprócz przestępstw popełnianych na dzieciach. Nie potrafię się do nich przyzwyczaić.

– I już się pan nie przyzwyczai. – Bergman zdecydowanym ruchem zamknął torbę. – Do nich nie da się przyzwyczaić. Jedyne, co może pan zrobić, to nauczyć się z nimi żyć.

ROZDZIAŁ 4

Nieszczęścia wybierają swoje ofiary losowo i atakują bez ostrzeżenia. Mimo to większość ludzi wierzy, że akurat im nic się nie przytrafi. Wypadki, choroby, morderstwa i napaści ich nie dotyczą. Zagrażają tylko „pozostałym".

Natomiast Ludwik Keller był ostrożniejszy. Bardzo dobrze wiedział, że na świecie roi się od podstępnych ludzi, tylko czekających na okazję, by kogoś okraść lub oszukać. Dlatego najbezpieczniej jest siedzieć za zamkniętymi drzwiami antywłamaniowymi. Dziwne, że kobiety nie potrafią zaakceptować tej prostej prawdy. Julii nie wbił tego do głowy przez dwadzieścia sześć lat małżeństwa. Wciąż gdzieś mu uciekała. A Zuzanna, ta dobra, posłuszna, uległa Zuzanna, ostatnio przejawia podobne skłonności do buntu jak jego była żona.

Na przykład wczoraj wymyśliła, że wyskoczy do warzywniaka po dynię. Chciała ją wydrążyć, włożyć do środka świeczki i zrobić z niej stroik na stół. I to tylko dlatego, że zbliża się bezsensowne zachodnie święto zwane Halloween. Śmieszne! Oczywiście to był tylko pretekst. Zamierzała wałęsać się po ulicach, a jego – Ludwika – zostawić w domu. Dobrze wiedziała, że jeśli jej mąż ma w horoskopie „czarny" dzień, nie wychodzi z mieszkania bez potrzeby. Nigdzie jej nie puścił. Wprawdzie dochodziła dopiero osiemnasta, ale ściemniało się, więc wyjaśnił, że samotna kobieta w nocy na ulicy może paść ofiarą gwałciciela.

– Nie pamiętasz tego mordercy spartakiadowego, który zabijał nawet w biały dzień? – przypomniał jej.

– To było dwadzieścia lat temu – odparła ponuro.

– A czy to oznacza, że podobny zboczeniec nie może biegać po mieście również dzisiaj? – spytał Ludwik.

Musiała przyznać, że nie. Lecz i tak naburmuszyła się i przez resztę wieczoru nie powiedziała do męża ani słowa. Nie potrafił jej wyjaśnić, że „czarne" dni są niebezpieczne i nie powinno się ich lekceważyć.

A teraz przebiera się w pokoju obok i zamierza wyjść. Przez uchylone drzwi mignęło mu udo w rajstopach, a jego gardło zaciskało się z wściekłości. Wmawiała mu, że musi iść do lekarza. Bez wątpienia kłamała – przecież dziś jest sobota! Żaden lekarz nie przyjmuje w sobotę. A może jednak przyjmuje? Ludwik zaczął stukać palcami w blat stołu. Poluzował klaczy uprzęże, a ona poczuła się bezkarna. Tym razem nie będzie jej przesłuchiwać, bynajmniej. Nie będzie też próbować jej zatrzymać. Niech idzie. On będzie deptać jej po piętach i przekona się na własne oczy, dokąd ucieka jego żona. Dziś jest na szczęście „zielona" sobota, czyli neutralny, stosunkowo bezpieczny dzień. Ludwik na wszelki wypadek jeszcze raz sprawdził w kalendarzu, w którym każde pole było oznaczone odpowiednią barwą – zgodnie z przepowiedniami astrologicznymi. Tak, dziś nie powinno przytrafić mu się poza domem nic złego.

Piętnaście minut później Zuzanna zawołała z pokoju dziennego, że wychodzi. Nawet nie zadała sobie trudu, by zajrzeć przez uchylone drzwi do jego pracowni i pożegnać się. To również potwierdzało, że do żadnego lekarza się nie wybiera. Nie chce kłamać Ludwikowi prosto w oczy, dlatego tak się zachowuje. Poczekał, aż usłyszy stukot obcasów na betonowej posadzce, a potem pośpieszenie chwycił marynarkę i ostrożnie wyszedł na

klatkę schodową. Za Zuzanną właśnie zamknęły się drzwi wejściowe. Zaczął biec, przeskakiwał co drugi schodek, na ostatnim potknął się i boleśnie wykręcił kostkę. Jakby tego było mało, przed blokiem wpadł na panią Liman z pierwszego piętra, która przy zderzeniu upuściła torbę z zakupami. Ludwik w duchu przeklął Zuzannę. Cholerna baba! Gdyby siedziała w domu, żadna z tych nieprzyjemności by go nie spotkała.

Kiedy pomagał pani Liman pozbierać z chodnika jabłka, z których każde potoczyło się w inną stronę, Zuzanna zniknęła za rogiem.

– Przed chwilką spotkałam pańską żonę – powiedziała pani Liman. – Też się śpieszyła. Dlaczego na pana nie poczeka?

– Niech się pani martwi o siebie – warknął, wcisnął jej w dłoń ostatnie jabłko i obrócił się do niej plecami.

– No wie pan! – usłyszał za plecami, ale nawet się nie obejrzał. Złość rosła w nim jak dobrze wyrobione ciasto drożdżowe. Zaślepiała go, ściskała mu gardło. Najchętniej coś by skopał, zniszczył, pobił kogoś – może wtedy by mu ulżyło. Ostatnio często ponosiły go nerwy. Nawet drobnostka potrafiła wyprowadzić go z równowagi. A jeśli akurat się nie wściekał, to trząsł się z irytacji. Bywały dni, w których czuł się dobrze, a myśl miał przejrzystą jak szklanka czystej wody, ale czasem jego dusza zmieniała się w labirynt z mnóstwem zdradliwych zaułków. W chwilach jasnego umysłu uświadamiał sobie, że dzieje się z nim coś niedobrego. Ale nie miał siły na obronę.

Przyśpieszył kroku, już prawie biegł. Zatrzymał się na skrzyżowaniu, żeby rozejrzeć się, gdzie jest Zuzanna. Dostrzegł ją na przystanku autobusowym. Spod wąskiej wełnianej sukienki wystawała jej idealna łydka w rajstopach. Dla kogo się tak wystroiła? I dlaczego ma taką poważną minę? Jej ponura twarz zbiła go z tropu. Przecież gdyby szła na

potajemne spotkanie z kochankiem, byłaby radosna i podekscytowana. Czy może nie?

Ludwik schował się między krzakami bzu i obserwował Zuzannę przez gęste liście. Nawet nie zauważył, że stoi w kałuży, a po chwili poczuł, że do mokasynów przesiąka mu woda. To nie schłodziło jego wściekłości – wręcz przeciwnie. Zuzanna tego pożałuje! Patrzył, jak żona nerwowo spogląda na zegarek. Wiedział, że trudno będzie wsiąść tak, by go nie zauważyła.

Ale okazało się, że miał szczęście. Na przystanek przyszła grupa zagranicznych turystów. Ludwik wmieszał się między nich i wcisnął się do autobusu. Wsiadł tylnymi drzwiami, natomiast Zuzanna skorzystała ze środkowych. Między ramionami szczebioczących Włoszek widział jej plecy w marynarce, ale potem widok zasłoniła mu korpulentna turystka. Ludwik zaczął cedzić przez zęby przekleństwa. Nie cierpiał środków komunikacji miejskiej. Brzydził się ludzi, ocierających się o niego to udem, to biodrami. Na myśl, że wdycha powietrze, które przed chwilą przeszło przez płuca innego człowieka, robiło mu się niedobrze. Zazwyczaj jeździł autem, a gdyby nie dzisiejsze śledztwo, za nic nie wsiadłby do autobusu.

Zakładał, że Zuzanna pojedzie na stację metra, więc zaskoczyło go, gdy już na czwartym przystanku zobaczył ją na chodniku. Drzwi autobusu się zamykały, kiedy Ludwik dopiero zaczął przedzierać się przez tłum. Kilku osobom nadepnął na nogę i z hukiem zeskoczył na krawężnik. Wystraszył się, że Zuzanna obróci się, słysząc jego kroki, zaczną się kłócić, a jego wyprawa szpiegowska pójdzie na marne.

Zauważył, że na tym przystanku zazwyczaj wsiadał, kiedy jeszcze mieszkał z Julią na Babie. Wtedy komunikacja miejska aż tak mu nie przeszkadzała, choć już wówczas najbezpieczniej czuł się w zamkniętym domu. Czasem żałował, że tak łatwo się poddał i zostawił Julii popadającą w ruinę, ale wciąż ładną willę. Ceny nieruchomości rosły, a gdyby po

rozwodzie sprzedali dom w tak prestiżowej lokalizacji i podzielili się pieniędzmi, Ludwik żyłby teraz jak pan. Lecz Julia odziedziczyła tę willę po siostrze babci, więc sprawiedliwe było, że przypadła jej. A Ludwik zrobiłby wtedy cokolwiek, byle tylko żona jak najszybciej zgodziła się na rozwód. Upór i samodzielność Julii go dobijały. Marzył o troskliwej, matczynej, oddanej żonie, ale Julia żyła tylko pracą. Dlaczego, na Boga, się z nią ożenił? I jak mógł wytrzymać z nią dwadzieścia sześć lat? Pewnego dnia uświadomił sobie, że jeśli natychmiast jej nie opuści, skończy w wariatkowie – lub ją zabije. Kiedy poznał o czternaście lat młodszą, uległą i posłuszną Zuzannę, nie zastanawiał się nad rozwodem ani sekundy.

Szła szybko po spękanym chodniku, a obcasy co chwilę wczepiały się w szpary między płytami. Kiedy się zachwiała, Ludwik uśmiechnął się złośliwie. Szedł za nią w bezpiecznej odległości, nie spuszczał jej z oczu, a kiedy raz obejrzała się za siebie, szybko schował się w bramie. Pomyślał z dumą, że mógłby pracować jako prywatny detektyw. Na pewno zarabiałby więcej niż teraz jako urzędnik w urzędzie skarbowym. A w śledzeniu byłby całkiem niezły.

Stało się jasne, że Zuzanna nie idzie do lekarza. Szła w górę stromej ulicy, przy której znajdowały się tylko domy mieszkalne i park. Ludwik dobrze znał tę okolicę i wiedział, że nie ma tam żadnej polikliniki. Więc dokąd zmierza jego żona? W grę wchodził tylko gabinet prywatnego lekarza, który może przyjmować również w sobotę. Czyżby ginekologa? Zatrzymał się gwałtownie. Czy Zuzanna jest w ciąży? Tylko tego by brakowało! Trzeciego dziecka nie chce – za żadne skarby. Przecież w wieku pięćdziesięciu czterech lat ma prawo do spokoju! Dzieci z małżeństwa z Julią w ogóle się im nie udały, a on nie chciał ryzykować kolejnym fiaskiem. Klara wyprowadziła się z domu w wieku siedemnastu lat i nawet nie skończyła liceum. Michał rok później wyjechał do Francji, by

studiować francuski, znalazł tam pracę i dał się wmanewrować w całkowicie pozbawione przyszłości małżeństwo z hinduską z biednej paryskiej dzielnicy. Teraz podobno ma swoją firmę i zarabia niezłe pieniądze, ale nawet nie przyjdzie mu do głowy, by podesłać ojcu kilka groszy. Od rozwodu Ludwik nie miał kontaktu z dziećmi i wcale mu go nie brakowało. Były po prostu nieznośne. I nigdzie nie jest napisane, że trzeci potomek byłby lepszy.

Musiał przyśpieszyć, bo tracił Zuzannę z oczu. Jeśli wejdzie do prywatnego gabinetu ginekologicznego, będzie oczywiste, że jest w ciąży. Wprawdzie twierdzi, że bierze tabletki antykoncepcyjne, ale mogła je potajemnie odstawić – przecież kobiety tak robią, kiedy chcą bez zgody partnera założyć rodzinę. Za trzy miesiące Zuzanna skończy czterdzieści lat, a zegar biologiczny musi już bić na alarm, ale co to kogo obchodzi? Ludwik nie dbał o jej uczucia. Przed ślubem powiedział, że nie chce kolejnych dzieci. Wiedziała, co robi.

Skręciła w ulicę Krokusową i rozglądała się na obie strony, jakby czytała numery domów na płotach. Szuka adresu przy tej ulicy! Ten zbieg okoliczności zaskoczył Ludwika. Czyżby ginekolog jego drugiej żony miał gabinet tuż obok willi pierwszej małżonki?

Zatrzymał się na rogu, częściowo schowany za budką telefoniczną. Ciekawość na moment przezwyciężyła wściekłość, a Ludwik był niemal spokojny.

Potem Zuzanna zatrzymała się przed domem Julii, przez chwilę najwyraźniej się wahała, spojrzała na zamknięte okna i położyła palec na dzwonku. Drewniane drzwi z witrażem otworzyły się i pojawiła się w nich Julia. Wszystko stało się tak szybko, że Ludwik nie zdążył uświadomić sobie powagi sceny, która odegrała się na jego oczach. Stał dość daleko, ale widział, że jego była żona ma twarzowy, kasztanowy kolor włosów

i wyraźnie odmłodniała. Wbił paznokcie w dłonie. Czego, u licha, Zuzanna chce od Julii? Spotkały się przecież tylko raz, kiedy Zuzanna towarzyszyła mu na rozprawie rozwodowej, i nie zamieniły ze sobą więcej niż pięć zdań.

Jego pierwsza żona pojawiła się przed domem i kobiety chwilę rozmawiały przez płot z kutego żelaza. Potem Zuzanna weszła do ogrodu, ostrożnie zamknęła za sobą furtkę i rozejrzała się, jakby chcąc sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi. Ludwik w ostatniej chwili schował się za budkę.

Nie zauważyła go.

Wbiegła za Julią po czterech kamiennych schodkach i obie zniknęły za drzwiami.

Ludwik stał na chodniku zamroczony.

Sąsiadka Julii, Lada Hrubesz, postanowiła zrobić sobie miłe przedpołudnie. Jak na drugą połowę października było wyjątkowo ciepło, niemal bezwietrznie, a słońce przyjaźnie przebijało przez żółknące korony jarzębin. Po wczorajszym deszczu pozostały na chodniku kałuże, pobłyskujące jak małe jeziorka. Lada zazwyczaj pod koniec września wnosiła z balkonu na pierwszym piętrze wiklinowe krzesła i stolik, żeby nie zniszczyła ich dżdżysta jesienna pogoda, lecz teraz postanowiła wynieść meble na zewnątrz i zjeść śniadanie na świeżym powietrzu.

Spała długo, a kiedy przełykała pierwszy kęs grzanki i kończyła jajko na miękko, w radiu wybijała właśnie godzina jedenasta. Lada zrobiła sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, przeczytała sobotnią gazetę, odłożyła ją na kolana i zmrużyła oczy ku słońcu. Z ogrodu za domem usłyszała stłumiony warkot kosiarki – to oznaczało, że Wacław już zszedł na dół i zajął się trawnikiem. Kobietę ogarnęło przyjemne poczucie bezpieczeństwa. Uwielbiała te drobne weekendowe rytuały, dzięki którym życie stawało się poukładane i przewidywalne. Jej małżeństwo również było przewidywalne,

może czasem trochę nudne, ale z pewnością harmonijne. I właśnie tego czterdziestoośmioletnia Lada najbardziej potrzebowała do szczęścia. Czasem czuła się wręcz przesadnie ustatkowana, ale zawsze, gdy na próbę decydowała się na jakąś ekstrawagancję, przekonywała się, że przygody i wyskoki nie są dla niej. Nie cierpiała zmian, a największe zadowolenie przynosiło jej życie płynące jak leniwa rzeka. Wyszła za mąż w wieku dziewiętnastu lat za kolegę z klasy, a jeśli los miał dla niej przygotowane kolejne przygody – ona z lekkim sercem z nich zrezygnowała. Kochała Wacława spokojną, ale tym głębszą miłością. Miał swoje wady, ale i tak nigdy ani przez sekundę nie zapragnęła od niego odejść, by poznawać innych mężczyzn z innymi wadami. Dzieci nie mieli. Kiedy po trzydziestce dowiedzieli się, że Lada nigdy nie zajdzie w ciążę, właściwie zbytnio ich to nie zasmuciło. Przywykli już do życia we dwoje, a jeden dla drugiego był dzieckiem i rodzicem.

Na murowanym słupku ogrodzenia zobaczyła wykarmioną trójkolorową kotkę – jedną ze swoich kudłatych koleżanek. Wstała z krzesła, weszła do domu, wróciła z puszką karmy dla kotów i zastukała łyżeczką w jej krawędź. Z miłością obserwowała, jak zwierzę zeskakuje z płotu i zaczyna jeść. Zamiłowanie do kotów dzieliła ze swoją przyjaciółką Julią Keller z willi naprzeciwko. Dzięki kotom kobiety zbliżyły się do siebie cztery lata temu. Lada znalazła wówczas rannego bezdomnego kota, niosła go na rękach do domu i spotkała sąsiadkę. Julia od razu ją zagadnęła, pytała, co stało się kotu, czy należy do Lady i co zamierza z nim zrobić. Zawiozły zwierzę do weterynarza, a potem czekały w salonie Lady, aż kot wybudzi się z narkozy. Od tego dnia zaczęły się odwiedzać. „Ale trzeba przyznać, że Julia z tą miłością do kotów odrobinę przesadza" – pomyślała Lada. „Ma ich dwanaście, to trochę za dużo".

Właśnie teraz przed willą jej przyjaciółki zatrzymało się auto, a dwoje młodych ludzi zaczęło wypakowywać na chodnik kartony i wypchane torby. Lada poznała, że kobieta to Klara Keller, i zdziwiona uniosła brwi. Czyżby córka Julii wprowadzała się do niej? Wiedziała, że młoda Kellerówna nie ma z matką najlepszych relacji.

Młodzi wnieśli bagaże do środka, a na ulicy znów zapanował spokój typowy dla weekendowego przedpołudnia. Nie trwał jed nak długo. Po kwadransie przy furtce Julii zatrzymała się kobieta, około czterdziestoletnia tleniona blondynka w czarnym kostiumie i czółenkach na wysokim obcasie. Zamiast torebki trzymała skórzaną aktówkę. Wyglądała trochę jak agentka ubezpieczeniowa, chociaż gdyby nią była, zapewne przyjechałaby autem, natomiast ta kobieta przyszła pieszo. Lada oparła się o poręcz i z ciekowością przyglądała się blondynce.

Na progu pojawiła się Julia. Lada pomachała do niej, ale przyjaciółka tego nie zauważyła. Wyglądała na… zaskoczoną. Może nawet przestraszoną. Cała ta scena robiła się coraz bardziej interesująca. Kobiety cicho rozmawiały. Szkoda, że na balkon po drugiej stronie ulicy nie dotarło ani słowo. Potem Julia skinęła ręką w zapraszającym geście i obie zniknęły w przedpokoju.

Lada potrząsnęła głową. Kiedyś przy okazji zapyta Julię, cóż to za strojnisia zaszczyciła ją w sobotę swoją wizytą. Spojrzała w dół na kota i rzuciła mu jeszcze jedną łyżkę mięsnych kostek w galaretce. Potem spokojnie rozejrzała się po ulicy zalanej słońcem… a jej wzrok zatrzymał się na sylwetce mężczyzny kulącego się za budką telefoniczną.

To Ludwik Keller. Bez wątpienia. Nie widziała byłego sąsiada od czterech lat, ale w ogóle się nie zmienił.

Przestępował z nogi na nogę i nie spuszczał wzroku z domu swojej ekszony.

Potem ze ślepej uliczki, wiodącej do lasku, wjechał na ulicę Krokusową radiowóz, po nim kolejny i jeszcze jeden. Ladzie wydało się dziwne, że pomimo iż od dwóch godzin siedzi na balkonie, nie widziała przyjazdu policjantów. Co robili tam tak długo? Do aut policyjnych dołączyła ciemna limuzyna, ale po kilkudziesięciu metrach zahamowała i zatrzymała się za niebieskim fordem, który od wczoraj stał przed domem Hrubeszów. Ladę ciekawiło, kto go tam zaparkował. Nie lubiła, kiedy obce wozy psuły jej widok spokojnej ulicy. Z limuzyny wysiadł szczupły młody mężczyzna w garniturze, obszedł forda i spisał jego numery rejestracyjne.

Lada stanęła w rogu balkonu, żeby lepiej widzieć. Dziś przy ulicy Krokusowej dzieją się naprawdę dziwne rzeczy.

Młodzieniec w garniturze wsiadł do swojej limuzyny, ale zamiast odjechać w stronę centrum, zawrócił i znów ruszył do lasku. Może to był detektyw? Oni przecież chodzą w cywilu.

Lada Hrubesz pokręciła głową i usiadła do kawy, która tymczasem zdążyła jej całkiem wystygnąć. Dziś jest naprawdę dziwny dzień. Co takiego musiało stać się w lasku, że w okolicy roi się od policjantów? I dlaczego Ludwik Keller śledzi byłą żonę? Kiedy zamyślona Lada dopijała chłodny napój, ogarnęło ją łagodne podekscytowanie, niezmiernie przyjemne z uwagi na monotonię jej życia.

ROZDZIAŁ 5

Właściciel pułapki na koty nie przyszedł po swoją zdobycz przez całą sobotę. Julia go nie przyłapała, choć każdą wolną chwilę spędziła przy oknie. Żeby się upewnić, czy nie przegapiła intruza, sprawdzała co jakiś czas wysoką trawę w pobliżu miejsca, w którym znalazła klatkę. Złamane źdźbła zdążyły się już wyprostować, a nowych nikt nie zdeptał. Julia postanowiła wziąć tydzień wolnego i czyhać na łowcę kotów. Musi się dowiedzieć, kto próbował skrzywdzić jej zwierzęta. O co mu chodziło? Julia poczuła gęsią skórkę na myśl o tym, że pułapka należy do sadysty, który znajduje zaspokojenie w męczeniu bezbronnych zwierząt. Może kiedy dowie się, kto to jest, poczuje ulgę.

Jednak dzień był dramatyczny nawet bez spotkania z właścicielem pułapki. Przed południem z głośnym stukaniem, krzykami i trzaskaniem drzwiami wprowadziła się na poddasze Klara ze swoim chłopakiem. Julia wolała zostać na parterze, podsunęła fotel do okna i uspokajała się filiżanką mocnej czarnej herbaty z mlekiem. Kiedy nad głową zaczęła jej dudnić głośna muzyka rockowa, poczuła się, jakby na górze nie zamieszkało dwoje dorosłych ludzi, tylko para nastolatków. Chłopak Klary nie podobał się Julii ani trochę. Miał twardą linię warg, a od jego zimnego spojrzenia przechodziły ją dreszcze. Ale może niesprawiedliwie go osądza i okaże się miłym młodzieńcem.

Chwilę później dzwonek nad drzwiami wejściowymi rozległ się ponownie, a kiedy Julia wyjrzała na zewnątrz, czekał ją szok. W kobiecie

przed furtką natychmiast poznała drugą żonę Ludwika. Zuzanna Keller wyglądała tak samo jak wówczas, gdy towarzyszyła Ludwikowi podczas rozprawy rozwodowej: tleniona blondynka, chorobliwie chuda, schludna. W stonowanym kostiumie i z czarną aktówką zamiast torebki wyglądała jak agent biura nieruchomości, który zamierza ubić świetny interes. Tylko twarz pod warstwą makijażu jakby postarzała się o dziesięć lat.

Julia nie miała pojęcia, czego ta kobieta u niej szuka. Nie czuła wobec niej najmniejszej urazy – Zuzanna odebrała jej męża w czasie, gdy Julia pod ciężarem nieszczęśliwego związku zaczynała załamywać się psychicznie. Po raz pierwszy w życiu poważnie myślała o rozwodzie, a los – jakby wiedział, jak jest niezdecydowana i słaba – załatwił tę sytuację za nią i pozbawił jej konieczności działania. Ludwik w jednym z coraz rzadszych przebłysków dobrego humoru otworzył butelkę czerwonego wina i triumfalnie oświadczył, że chce się rozwieść. Co za ulga! Mimo to teraz na widok drugiej żony Ludwika żołądek Julii ścisnął się od złych przeczuć. Nie było wątpliwości, że razem z Zuzanną nadchodzą kłopoty. Jakie – to się dopiero okaże.

Zuzanna Keller przywitała się zduszonym głosem.

– W czym mogę pomóc? – spytała Julia, a jej głos zabrzmiał chłodniej niż zamierzała.

Zuzanna odkaszlnęła nerwowo. Rozpuszczone włosy w kolorze spłowiałej słomy opadały w regularnych falach aż na ramiona. Miała proste perłowe kolczyki, perłowy naszyjnik i ciemny kostium z wąską spódnicą sięgającą do kolan. Wyglądała na pewną siebie kobietę, która dobrze wie, czego chce od życia, ale jej zachowanie temu zaprzeczało. Miała rozbiegany wzrok i mówiła cicho, niepewnie, jak często robią osoby wstydliwe lub samotne, nieprzywykłe do komunikacji z innymi ludźmi. Prawdopodobnie nie chodzi do pracy i siedzi wiecznie zamknięta w domu –

wywnioskowała Julia i w tej chwili zrobiło się jej Zuzanny żal. Nie zdziwiłaby się, gdyby Ludwik zmusił swoją drugą żonę do życia w zamknięciu. Julię przez ponad dwadzieścia lat próbował wmanewrować w rolę kapłanki domowego ogniska. Na próżno. Ale Zuzanna na pewno jest mniej odporna. Ciekawe, czy już odciął ją od przyjaciół i rodziny, twierdząc, że to sami nieznośni, egoistyczni i na wskroś źli ludzie?

– Nie wiem, czy mnie pani pamięta – zaczęła Zuzanna tak cicho, że Julia musiała wytężyć słuch, by ją zrozumieć. Zeszła więc ze schodów i oparła się o furtkę, ale nie otworzyła jej. – Nazywam się Zuzanna Keller, jestem drugą żoną pani byłego męża… czyli Ludwika i… ehm… – Najwyraźniej nie wiedziała, jak zacząć. Wreszcie odważyła się podnieść wzrok ku Julii. Wyglądała na zrozpaczoną. – Muszę z panią porozmawiać. Czy mogę na chwilę wejść?

Julia się zawahała. Nie chciała wpuszczać Zuzanny do domu, ale ciekawiło ją, co sprowadza tę młodą kobietę. Gdyby teraz jej odmówiła, na pewno przez całą noc zastanawiałaby się nad tym, dlaczego druga żona Ludwika przyszła na ulicę Krokusową.

Otworzyła furtkę, wpuściła Zuzannę na żwirową ścieżkę i ruszyła przed nią do domu. Z poddasza wciąż dochodziła ta okropna muzyka. Sfrustrowana Julia westchnęła. Gdzie są te czasy, gdy podczas rozważań rozpraszały ją tylko trzaski leciwej drewnianej podłogi i krzyk ptaków w ogrodzie! Dlaczego pozwoliła Klarze wprowadzić się tutaj? To była pochopna i nierozważna decyzja. Trudno im będzie żyć pod jednym dachem, skoro nie dogadywały się nawet na odległość.

– Córka – wyjaśniła i w przepraszającym geście podniosła wzrok ku sufitowi. – Poproszę ją, żeby ściszyła. – Zaprowadziła Zuzannę do pokoju. Nie umknęło jej, że młodsza kobieta krytycznym wzrokiem spojrzała na zestaw wypoczynkowy podrapany kocimi pazurkami. Bez wątpienia

widziała, że wszystkie meble są zniszczone i należałoby je wymienić. Jak to na rozprawie powiedział Ludwik? „Zuzanna to domowy typ człowieka. Jej mieszkanie zawsze jest jak z cukru". U Julii nie mógł o niczym takim nawet marzyć.

– Wstawię wodę na herbatę – zaproponowała Julia i ruszyła do kuchni. Obejrzała się w chwili, gdy Zuzanna próbowała odsunąć jedno z krzeseł. Nie udało się jej to. Julia duży stół w pokoju dziennym oznaczyła w duchu tabliczką „nie używać" i przywiązała grubym sznurem zasunięte krzesła do jego nóg. Kierowała się prostym powodem: kiedy krzesła stały nieprzywiązane, koty co chwilę je przewracały. A po co ryzykować, że zwierzę zrobi sobie krzywdę? Julia dawno zrozumiała, że ten, kto chce hodować w domu koty, musi się do nich dostosować i niejedno poświęcić. W porównaniu z radością, którą dawały jej zwierzęta, był to niewielki podatek.

– Tam proszę nie siadać – zawołała. – Krzesła są przywiązane. Z tego stołu nie korzystam, jem w kuchni. – I nie zamierzając niczego więcej wyjaśniać, dodała: – Proszę usiąść na wersalce i dać mi pięć minut.

– Przywiązane? – Zuzanna znów pociągnęła za krzesło, które jednak wciąż stawiało opór.

– Tak, dokładnie. Z powodu kotów.

– Co? – Zuzanna posłała jej zaskoczone spojrzenie, ale Julia zamiast odpowiedzieć, odwróciła się plecami. Było jej obojętne, co pomyśli sobie o niej ta wystrojona osóbka.

W kuchni zrobiła dzbanek mocnej czarnej herbaty i wyjęła z lodówki placek truskawkowy. Kupiła go dla Klary, jednak córka oświadczyła, że jest na diecie i słodkiego ciasta nawet nie tknęła. „Naprawdę zachowuje się, jakby miała osiemnaście lat, a nie trzydzieści" – pomyślała wtedy rozczarowana Julia. Ale teraz nie był czas, by o tym myśleć.

Wbiegła po schodach na poddasze, zapukała do drzwi pokoju Klary i poprosiła o ściszenie muzyki. Klara nie odpowiedziała, ale głośniki umilkły. Julia w błogosławionej ciszy ruszyła z brzękającymi na srebrnej tacy filiżankami do pokoju.

Zuzanna stała obok wersalki i oglądała obrazy olejne i akwarele wiszące na ścianie.

– Podobają się pani? – zagadnęła Julia.

Zuzana się wzdrygnęła, jakby została przyłapana na czymś zakazanym.

– Tak. – Rozłożyła ręce. – Ale ja w ogóle nie znam się na sztuce.

Usiadła na wersalce i dystyngowanie ułożyła ręce na kolanach.

– Zatem słucham – zachęciła ją Julia. – Co panią sprowadza?

Zuzanna spuściła wzrok na czubki swych lśniących czółenek.

– Ludwik – odparła prosto.

– Proszę?

– Muszę panią o coś spytać. To ważne. Nie zawracałabym pani głowy, ale tylko pani może mi pomóc.

Zapowiadało się bardzo ciekawie. Julia zapomniała, że zamierzała nalać herbatę. W napięciu czekała na kolejne słowa.

– Czy Ludwik ciągle zamykał panią w domu? Przepraszam, że o to pytam, ale ostatnio zachowuje się tak dziwnie…

– Mnie nie mógł zamknąć w domu. Chodziłam do pracy. Pani nie pracuje?

Zuzanna pokręciła głową.

– Po ślubie złożyłam wypowiedzenie. Ludwik twierdził, że utrzyma nas oboje. Że nie muszę się przemęczać. Wtedy wydawało mi się to bardzo dżentelmeńskie.

– On wciąż pracuje w urzędzie skarbowym?

– Tak. Ale dwa lata temu przeszedł zawał i od tego czasu ma tylko pół etatu. Pieniędzy ledwo nam wystarcza, ale Ludwik nie chce nawet słyszeć o tym, żebym ja też zaczęła zarabiać. Kiedy wychodzi do pracy, wraca po pięciu godzinach, a mnie na ten czas wyznacza zadania. Zanim wróci, muszę ugotować, wyprać, wyprasować, zetrzeć kurze, umyć podłogę, zdezynfekować kosz na śmieci i nie wiem co jeszcze.

– Pani codziennie myje podłogę? – Julia przypomniała sobie opętanie czystością swojego byłego męża. Twierdził, że porządna gospodyni powinna każdego dnia przetrzeć podłogi mopem, a półki ściereczką. A raz w tygodniu umyć okna, bo one są jej wizytówką. Julia nie potrafiła wyobrazić sobie bardziej bezsensowej czynności. Według niej okna są czyste, dopóki coś przez nie widać.

– Oczywiście – odparła Zuzanna, jakby chodziło o najbardziej naturalną rzecz na świecie. – Chodzi mi o to, że kiedy Ludwik jest w pracy, nie mogę nigdzie wyjść. Po prostu nie zdążę. A kiedy wraca do domu, nigdzie mnie nie wypuszcza. Twierdzi, że małżeństwo powinno cały swój wolny czas spędzać razem.

– To jak udało się pani przyjść tutaj? – spytała rzeczowo Julia. – Wsypała mu pani do kawy proszki nasenne?

Zuzanna rzuciła jej ostre spojrzenie, ale odpowiedziała łagodnie:

– Próbowałam od kilku dni, ale Ludwik nie odstępował mnie na krok. Nie chciałam do pani dzwonić, bo mógłby znaleźć na bilingu pani numer. Sprawdza mój wykaz połączeń. A poza tym bałam się, że po prostu się pani rozłączy. Miałam nadzieję, że osobiście łatwiej będzie mi panią przekonać, żeby mnie pani wysłuchała. – Nalała sobie herbatę i dolała do niej mleko. – Mnie też zaskoczyło, że pozwolił mi wyjść. Powiedziałam, że idę do lekarza. – Zachichotała jak niegrzeczna uczennica, której udało się uciec z lekcji matematyki. – To była pierwsza wymówka, jaka przyszła mi do

głowy. O dziwo, Ludwik nawet zbytnio mnie nie wypytywał. Dopiero potem zrozumiałam, że jest sobota i gabinety w szpitalach są zamknięte. Ale proszę sobie wyobrazić, że Ludwik w to uwierzył!

– Jest pani pewna?

– Tak. Przecież w przeciwnym razie by mnie nie wypuścił. Bałam się, że będzie chciał iść ze mną, ale został w domu. Chyba źle się czuje. Jest trochę przeziębiony.

– Dopóki żył ze mną, nie był aż taki zaborczy – zaczęła ostroż nie Julia, ale od razu poprawiła się w duchu. Był zaborczy, tylko ona nie pozwalała sobą rządzić. Dlatego tak często się kłócili, dlatego w ich domu latały talerze. Wiedziała, że jeśli choć trochę ustąpi, Ludwik ukradnie jej kolejny kawałek wolności. Nie miał stricte złego charakteru. Kochał ją, dlatego kiedyś za niego wyszła. Lecz jego miłość była tak bardzo uzurpatorska i ograniczająca, że Julia czuła się w małżeństwie jak w klatce.

– Bił panią? – dociekała Zuzanna.

– Na początku nie. Ale pod koniec bywał agresywny. Nigdy mnie nie uderzył, raczej popychał, szarpał, rozładowywał wściekłość. Czasem dostawał napadów szału i rzucał we mnie czym popadnie. – Jej wzrok powędrował na dziurę w tynku, która powstała jakieś sześć-siedem lat temu. Właśnie w tym miejscu rozprysnęła się pusta butelka po winie.

Zuzanna spuściła oczy i krótko skinęła, jakby bez słów potwierdzała, że wie, że to dobrze zna.

– Nie chcę zabierać pani czasu, ale proszę mi powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Czy miała pani czasem wrażenie, że Ludwik ma trochę… No po prostu że z jego psychiką nie wszystko jest w porządku?

Julia się zamyśliła.

– Pamiętam, że miewał takie dziwne lęki. Walczył z nimi dbałością o porządek. Kiedy go to dopadało, pracował w ogrodzie, przycinał krzewy

w różne kształty i wysypywał ścieżki żwirkiem. Ani jeden kamyczek nie mógł opaść poza ścieżkę. Wyprasowaną bieliznę układał w komin jak w wojsku. Rzeczy na biurku układał według własnego systemu, kubek na długopisy na górze po prawej stronie, czyste kartki po prawej na dole i tak dalej. Miejsce pracy dzielił na sektory i w każdym umieszczał tylko określone rzeczy. Żartowałam sobie z tego. – Ale przy wspomnieniach bynajmniej nie było jej do śmiechu. Żołądek ścisnął się jej z żalu.

– Teraz jest dużo gorzej – wyznała posępnie Zuzanna.

Julia nie potrafiła sobie wyobrazić, co może być gorszego niż dwudziestominutowe kazanie z powodu przypadkowego przesunięcia zszywacza z sektora A do sektora C.

– To znaczy? – spytała bardziej z grzeczności niż z prawdziwej ciekawości.

– Kiedy poznałam Ludwika, jego chorobliwe zamiłowanie do czystości mi imponowało. We wszystkim miał system, a ja widziałam w tym gwarancję stabilności. Myślałam, że to właśnie z takim mężczyzną powinnam założyć rodzinę, a nie z jakimś wolnomyślicielem. Nie kochałam go, ale nie chciałam już być sama. – Na chwilę zamilkła. – Tyle że Ludwik traktuje mnie, jakby był moim ojcem. Nigdy nie powinnam była zgadzać się na taki związek.

Julia wciąż nie rozumiała, co tak strasznego dzieje się w małżeństwie Zuzanny. Uniesieniem brwi zachęciła ją, by mówiła dalej.

– Ludwik ma podzielone nie tylko biurko, ale też życie. Nie tylko swoje, ale i moje. Raz w miesiącu chodzi do astrolożki. Płaci za przepowiedzenie, które dni są dla niego bezpieczne, a w których powinien raczej trzymać się od wszystkiego z daleka. Krytyczne dni są w kalendarzu oznaczone na czarno. Wtedy nigdy nie wychodzi z domu. Nawet się nie goli, żeby przypadkiem się nie zaciął! – Pod wpływem nerwów jej głos się

zmienił. – Z początku walczył ze sobą i w te czarne dni jeździł przynajmniej do pracy. Ale w zeszłym tygodniu jego tramwaj wykoleił się akurat w czarny dzień. Ludwikowi nic się nie stało, ale ten wypadek utwierdził go w przekonaniu, że gwiazdy nie kłamią. W tym miesiącu ma jeszcze dwa czarne dni i na oba wziął urlop. Ja w takie dni nie mogę chodzić na zakupy. Nie mogę nawet wynieść śmieci! Ludwik całe nasze życie podporządkował kolorom pól w swoim kalendarzu. Neutralne dni są zielone, szczęśliwe to kolor czerwony. Ale tych jest bardzo mało. Uwierzyłaby pani, że seks wchodzi w grę tylko w czerwone dni?

– Może w czarne istnieje ryzyko zawału lub upadku z łóżka – odparła bezlitośnie Julia.

Ale Zuzanna się nie obraziła. Zaśmiała się nerwowo.

– Proszę powiedzieć, czy panią traktował tak samo i czy potrafiła się Pani przed tym obronić. Muszę wiedzieć, co na niego działa.

– Nie chodził do astrolożki i nie bawił się kredkami. Był wybuchowy, opętany porządkiem, czasem agresywny, ale nie zachowywał się jak wariat. – Głos Julii znów brzmiał chłodniej, niż zamierzała. Zaskoczyło ją to, jak bardzo Ludwik się zmienił. Zdaje się, że rozwód wzięła za pięć dwunasta.

– Może przesadzam i nie dzieje się nic strasznego. Może jestem przewrażliwiona. Może to zupełnie normalne, że mężczyzna boi się o swoją partnerkę i nie chce zostawiać jej samej. Nie wiem, gdzie leży granica między troską a ograniczaniem wolności osobistej.

– Ta granica znajduje się w pani. Nie musi pani tolerować niczego, co panią krzywdzi.

Zuzanna opuściła długie, zawinięte, mocno pomalowane rzęsy.

– Julio, pani jest silną kobietą. Pani miała z nim łatwiej. Szanował panią.

„Albo jego choroba nie zdążyła się jeszcze rozwinąć" – dodała w duchu Julia. Bo zachowanie Ludwika bez wątpienia wynika z choroby psychicznej. Po informacjach usłyszanych od Zuzanny Julia była tego niemal pewna. Akurat niedawno czytała w gazecie artykuł o zaburzeniach lękowych. Ludwik wykazywał prawie wszystkie oznaki.

– Powinna go pani zmusić do wizyty u psychiatry.

– Próbowałam.

– I co?

Pokręciła głową.

– Krzyczał, że chcę go zamknąć w wariatkowie i zdradzać. Jest ciężko. Mieszkamy w moim mieszkaniu. Ludwik nie ma żadnych oszczędności. Pani zostawił ten dom… – rozejrzała się, a w jej zielonych oczach błysnął sprzeciw. – Gdybym się z nim rozwiodła, nie miałby dokąd pójść. Musielibyśmy zamienić moje mieszkanie na dwa mniejsze, a do tego czasu mieszkać razem. To byłoby piekło. Poza tym boję się, że tak łatwo by mnie nie opuścił. Gdybym pogroziła mu rozwodem… – Nie dokończyła i wyraźnie zadrżała.

– Ludwik zostawił mi ten dom, ponieważ odziedziczyłam go po siostrze babci. Należy do mnie – odparła Julia, tym razem celowo chłodnym głosem. – To jest tylko i wyłącznie moja własność.

– Wiem, Ludwik mi to wyjaśnił. Proszę się nie gniewać, nie miałam na myśli nic złego.

– W porządku.

W milczeniu piły herbatę i pozwalały swoim myślom na bezcelowe tułaczki, jakby obie kobiety były starymi przyjaciółkami, które w swoim towarzystwie czują się tak swobodnie, że nie muszą każdej minuty wypełniać rozmową.

– Jak długo z nim pani była? – spytała wreszcie Zuzanna.

– Prawie dwadzieścia sześć lat. To było straszne małżeństwo.

– A dlaczego… – Zuzanna nie dokończyła, ale Julia domyślała się, jak miało brzmieć to pytanie.

– Dlaczego za niego wyszłam? Miałam swoje powody. Z miłością nie miały one nic wspólnego, podobnie jak te pani. A dlaczego nie odeszłam od niego wcześniej? Bałam się, tak samo jak pani. Byłam pogodzona ze swoim losem. – „I przyjmowałam to jako karę" – dodała w duchu. Zasłużoną karę. Wolałaby powiedzieć: Kiedy miałam dwadzieścia trzy lata, zrobiłam coś, czego nigdy sobie nie wybaczę. A potem marnowałam się w nieudanym małżeństwie i miałam nadzieję, że w ten sposób odkupię swoje winy.

Nie powiedziała jednak o tym ani słowa. Dlaczego miałaby zwierzać się obcej kobiecie, skoro tego rozdziału życia nie znał nawet jej były mąż ani dzieci? Postawiła za przeszłością kropkę, a przynajmniej bardzo stara się to uczynić.

Zuzanna wypiła ostatni łyk herbaty i spojrzała na Julię z wyczekiwaniem.

– Obawiam się, że pani nie pomogę – powiedziała Julia stanowczo.

– Nie szkodzi. Przynajmniej mnie pani wysłuchała. Czuję się teraz dużo lepiej.

– Niech pani przekona Ludwika, żeby porozmawiał z psychiatrą. Uzależnienie od astrolożki może być niebezpieczne. W tym na pewno się pani ze mną zgadza.

– Tak.

– Musi pani ustalić granice. Na to nigdy nie jest za późno.

Julia wstała, a Zuzanna zrozumiała, że rozmowa dobiegła końca. Odłożyła filiżankę i pożegnała się.

Kiedy Julia odprowadzała ją do drzwi, spojrzała z bliska na jej twarz i zauważyła blednący siniec pod okiem, starannie zamaskowany grubą

warstwą matowego pudru.

Przeszył ją chłód.

Cztery lata temu wierzyła, że Ludwik na dobre zniknął z jej życia.

Teraz nie była już tego taka pewna.

ROZDZIAŁ 6

– Obyśmy tylko nie mieli do czynienia ze zboczeńcem, który dusi kobiety dla przyjemności. – Danesz dmuchał do kubka z gorącą kawą i wyglądał na zrezygnowanego, zresztą tak jak każdego poranka. Nienawidził wczesnego wstawania i nie rozumiał, dlaczego jego szef tak lubi zwoływać narady o ósmej. Danesz osiągał pełną wydolność dopiero koło południa. – Nie została zgwałcona. W jej torbie było mnóstwo pieniędzy, na sobie miała biżuterię, więc możemy wykluczyć tło rabunkowe. Była to porządna i bezproblemowa dziewczyna. Jakoś mi się to wszystko nie podoba.

Zasmucony Bergman pokiwał głową. Kiedy morderca wybiera przypadkową ofiarę, śledztwo zawsze jest trudniejsze. Ponadto maniak może zaatakować ponownie.

– Trochę przypomina mi to robotę tego windowego mordercy z dziewięćdziesiątego siódmego – dedukował Danesz. – Pamiętacie jego pierwszą ofiarę? Akurat wracała z banku, wypłaciła sobie pieniądze na urlop. Miała w torebce dwadzieścia pięć tysięcy koron. Temu facetowi nawet nie przyszło do głowy, by tam zajrzeć. Chciał tę dziewczynę tylko zabić, nic więcej.

– Przecież dobrze pan wie, że pieniądze to nie jedyny możliwy motyw. W grę wchodzi również zazdrość, szantaż… Na przykład dlaczego miała przy sobie dwadzieścia pięć tysięcy, skoro tego dnia sprzedała tylko jedne witaminy dla kotów za pięćset koron? – Bergman wstał od stołu, podszedł

do okna i wyjrzał na zewnątrz. Poranne niebo było bladoniebieskie, a delikatna mgła nad miastem stanowiła obietnicę pięknego jesiennego dnia. Inspektor cieszył się, że ma biuro na ósmym piętrze, z widokiem na dolinę. Najciekawsze myśli przychodziły mu do głowy, gdy ślizgał się wzrokiem po dachach okolicznych kamienic i zębatych konturach osiedla na horyzoncie. – Przypomnijmy sobie fakty. Co wiemy? – kontynuował, nie przestając wyglądać za okno.

Słyszał, jak Danesz kartkuje notes i zaczyna mówić zmęczonym głosem:

– W parku leśnym zamordowano dziewczynę. Nora Mach, wykształcenie średnie, dwadzieścia siedem lat, wolna, przedstawicielka handlowa sklepu internetowego z artykułami zoologicznymi. Została uduszona. Wyniki sekcji zwłok wskazują na to, że śmierć nastąpiła dwudziestego czwartego października między godziną dwudziestą pierwszą i dwudziestą trzecią. W pobliżu ofiary znaleziono torbę z dokumentami, telefonem komórkowym, fakturami w teczce i dwudziestoma tysiącami koron w portfelu. Z tego można wywnioskować, że nie było to przestępstwo na tle rabunkowym.

– Pod warunkiem, że ta dziewczyna nie miała przy sobie innych cennych rzeczy, mogących zainteresować mordercę – zauważył ponuro Bergman.

– Cóż mogłaby przy sobie mieć? Sprej przeciw pchłom? – rzuciła ironicznie kapitan Rolnik, która zazwyczaj razem z Daneszem tworzyła zespół Bergmana. Wbrew swojemu nazwisku nie kryła niechęci do zwierząt domowych i wiejskiego stylu życia.

Bergman wzruszył ramionami. Nie miał nastroju do żartów.

– To naszym zadaniem jest sprawdzenie, co mogła mieć przy sobie. – Spojrzał na Danesza. – Proszę kontynuować.

– W sąsiedniej ulicy znaleziono auto, niebieskiego forda należącego do ofiary. W bagażniku znajdowało się sześć dziesięciokilowych worków ze żwirkiem dla kotów, w skrytce deski rozdzielczej był zeszyt z listą zamówień. – Danesz wziął do ręki zwykły szkolny zeszyt w linię i otworzył go. – Wydaje się, że dwudziestego czwartego października Nora Mach miała dostarczyć towar dwóm klientom. Pani Julii Keller przy ulicy Krokusowej miała przekazać witaminy dla kotów. Chyba tak się stało, bo w torbie ofiary znaleźliśmy podpisane potwierdzenie odbioru. Potem ofiara miała zawieźć żwirek do dzielnicy Hostivarz, ale nie odjechała z Krokusowej. – Danesz na chwilę zamilkł. Pił kawę tak łapczywie, że część wylała się na stół. Obojętnie zmiótł płyn dłonią na dywan. – To chyba wszystko, co wiemy.

– Nie, nie wszystko. – Bergman dosiadł się do stołu obok Danesza, uważając, by jego rękaw uniknął kontaktu z mokrą plamą. Danesz nie przestawał go zaskakiwać swoją niezdarnością i niesystematycznością. Jak można tak żyć? Chaotyczny Danesz stanowił doskonałe przeciwieństwo niezwykle dokładnego Bergmana, któremu spokój przynosiły tylko system i porządek. „Nie mógłbym z nim mieszkać" – pomyślał inspektor – „i na szczęście nie muszę. Danesz to dobry policjant i nic więcej nie powinno mnie interesować". – Wiemy jeszcze kilka innych rzeczy – kontynuował na głos. – Nie zapominajcie o wczorajszej wizycie policji u rodziców ofiary.

– Jasne – przytaknął Danesz takim samym tonem jak szesnastoletnia Weronika Truskawka. Bergman uniósł brwi, ale postanowił nie komentować słownika kolegi. – Ofiara mieszkała z nimi. Podczas rewizji w jej pokoju nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby nam pomóc odkryć motyw. Od rodziców dowiedzieliśmy się w skrócie, że Nora była bezkonfliktowa, lubiana, spokojna i bardzo towarzyska. Ukończyła liceum o profilu artystycznym, interesowała się restaurowaniem obrazów i rzeźb,

wieczorami pomagała w atelier jednej restauratorki i już trzykrotnie bezskutecznie składała dokumenty na Akademię Sztuk Pięknych. Sklep zoologiczny traktowała jako pracę dorywczą, zanim dostanie się na studia. Do egzaminów przygotowywała się chyba bardzo rzetelnie, bo jej szuflady pełne były książek o sztuce, notatek i wycinków z czasopism branżowych. Nie miała chłopaka, z ostatnim rozeszła się półtora roku temu. Podobno wyjechał i pracuje teraz w Birmingham. To rozstanie ewentualnie mogłoby stanowić motyw, ale minęło już półtora roku. Poza tym jeśli ten facet w dniu morderstwa był w Birmingham, to jest poza podejrzeniami. Trzeba to sprawdzić.

– Zatem proszę to sprawdzić – odparł Bergman.

– Pewka.

Tym razem Bergman nie odpuścił sobie cichego westchnienia dezaprobaty. Kapitan Rolnik wyciągnęła z kieszeni pilnik i zaczęła szlifować krótkie paznokcie w gładkie półkola. Bergman zastanawiał się, czy ta kobieta daje w ten sposób do zrozumienia, że przemowa kolegi ją nudzi. Wiedział, że między jego dwojgiem podwładnych od zawsze panuje źle ukrywana rywalizacja.

Danesz przez kilka sekund przeglądał notatki.

– Co jeszcze wiemy… Co jeszcze wiemy… Łatwo nawiązywała znajomości. Według matki często rozmawiała na ulicy z całkowicie obcymi ludźmi. Nie miała wrogów, a przynajmniej rodzicom nic o nich nie wiadomo. Jej najlepsza przyjaciółka…

– Moment, jeszcze raz. – Rolnik odłożyła pilnik i postukała świeżo spiłowanym paznokciem o stół. – Często rozmawiała na ulicy z całkowicie obcymi ludźmi – powtórzyła, kiwając w zamyśleniu głową. – Tę informację z pewnością powinniśmy zapamiętać.

– Zgadzam się – potwierdził Bergman, a kątem oka dostrzegł, że Rolnik wyprostowała się dumnie na krześle. Wyciągnął z kieszeni chusteczki higieniczne i starannie wytarł z blatu schnące krople kawy. Nie wytrzyma ich widoku ani sekundy dłużej!

– W pierwszej kolejności sprawdzimy tego odtrąconego chłopaka z Birmingham. Potem porozmawiamy z klientką Nory z ulicy Krokusowej. Jak się nazywa? Kelner? Keller? Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Wątpię, żeby nasza ofiara przywiozła jej te witaminy o dziesiątej wieczorem. Według mnie przyjechała na Babę po południu, może pod wieczór. Ale zamordowana została dopiero między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią. Powstaje zatem pytanie, co robiła po wizycie u tej Keller? Dlaczego nie pojechała do kolejnego klienta i została na Babie aż do wieczora? – Przesunął wzrok z Danesza na Rolnik. – Może poznała się z kimś na ulicy, prawda, Rolnik? Ze swoim mordercą.

Pomimo iż w centrum miasta rozlegał się hałas dnia powszedniego, w ulicy Krokusowej panowała senna, niemal prowincjonalna atmosfera. Bergman bez problemu potrafiłby sobie wyobrazić zamieszkanie w takim miejscu. Nie lubił brudu i rumoru zatłoczonych miejskich ulic – właśnie dlatego wyprowadził się na gospodarstwo w Kozich Górach. Słoneczna dzielnica Baba z mnóstwem dużych ogrodów była jednak całkiem inna niż zadymiony, klaustrofobiczny Żižkov, na którym Bergman spędził dużą część życia. Podobało mu się tutaj. Oczywiście kiedy nie myślał o tym, że kilkadziesiąt metrów stąd została zamordowana młoda kobieta.

Dom numer dwadzieścia pięć, w którym mieszkała Julia Keller, był najmniejszy i najbardziej zaniedbany z całej ulicy. Mimo to nie można było odmówić mu pewnego uroku. Uwagę inspektora przykuły drewniane drzwi z oryginalnym witrażem i ciekawie zaprojektowany balkon z oknami na całą ścianę. Zielony płot podupadał, podobnie jak słupki furtki. Bergman

przypomniał sobie, że kiedy jechał tędy przedwczoraj, na obu słupkach siedziały koty. Przypomniał sobie również kobietę, która wyjrzała przez okno, a na widok jego auta szybko schowała się za firankę. Wcisnął dzwonek, zastanawiając się, czy to właśnie ta kobieta przyjdzie mu otworzyć.

Tak, to była ona. Natychmiast poznał twarz z wyraźnie wystającymi kośćmi policzkowymi i szpiczastą brodą. Julia Keller mogła mieć około pięćdziesięciu pięciu lat, a w młodości z pew nością była bardzo piękna. Najwyraźniej należała do kobiet, które nie są świadome swojej urody lub nie przywiązują do niej zbytniej uwagi, ponieważ wcale nie próbowała jej podkreślać. Była bez makijażu i biżuterii, a równe włosy związała z tyłu głowy zwykłą gumką. Jak na swój wiek miała wyjątkowo szczupłą i silną sylwetkę, lecz maskowała to luźną koszulą i szerokimi płóciennymi spodniami. Nie było w niej nic wyzywającego, ale mimo to Bergman wiedział, jak bardzo musi pociągać mężczyzn. Zresztą wzrok inspektora również spoczął na jej twarzy dłużej niż było to konieczne i uprzejme.

– Julia Keller?

– Tak. W czym mogę pomóc? – Miała dokładnie taki głos, jakiego się u niej spodziewał: nisko osadzony i kulturalny.

– Inspektor Józef Bergman, policja kryminalna. – Pokazał jej odznakę. – Czy mogę z panią porozmawiać?

– W sprawie Klary? – spytała.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– No… Pomyślałam, że może coś przeskrobała przez długi i… – Nie dokończyła i pokręciła głową. – Proszę o tym zapomnieć. O czym chce pan ze mną rozmawiać?

– Kim jest Klara? – zadał konieczne pytanie uzupełniające.

– No przecież moją córką. – Uśmiechnęła się z ulgą, a jej zielone oczy rozbłysły. – Skoro pan nie wie, kim jest Klara, to z pewnością nie przychodzi pan z jej powodu, prawda?

– Nie, ale przyznaję, że bardzo mnie pani zaciekawiła. Może zechciałaby mi pani powiedzieć, w jakie kłopoty się wplątała? – spytał trochę żartobliwym tonem.

Julia natychmiast spoważniała.

– Nie. To prywatna sprawa.

– Żartowałem – wyjaśnił Bergman bez uśmiechu. – Lecz powód mojej wizyty bynajmniej nie należy do wesołych. Wręcz przeciwnie. Czy mogę wejść?

Znów obejrzała się do ciemnego przedpokoju i uniosła ku inspektorowi twarz pełną napięcia.

– A może usiądziemy w ogrodzie? Jest tak pięknie…

Nie protestował, ale ciekawiło go, dlaczego Julia Keller nie chce wpuścić go do domu. Tyle że, jak już słusznie zauważyła, inspektor nie ma prawa naruszać jej prywatności. Nie jest o nic podejrzana. „Na razie" – dodał Bergman w duchu ponuro.

– Akurat zrobiłam kawę. Napije się pan?

– Bardzo chętnie. Poproszę.

Bez słowa obróciła się na pięcie i – chyba po to, by nie przyszło mu do głowy wejść za nią do środka – zamknęła mu drzwi przed nosem. Bergman stał na krzywych kamiennych schodach i próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś potraktował go tak nieuprzejmie. Wydaje się, że Julia Keller ma coś do ukrycia. Ale mogą to być tylko brudne naczynia lub bałagan. Inspektor wiedział, że nie powinien być przesadnie podejrzliwy.

Po pięciu minutach kobieta wyszła z kutą srebrną tacą, na której dźwięczały filiżanki z delikatnej porcelany. Bergman nie był wielkim

znawcą, ale przeczuwał, że to dość cenne okazy. Czy Julia wyciągnęła dla niego swoje najlepsze naczynia? Próbuje pokazać, że prowadzi dom na odpowiednim poziomie, pomimo iż jej córka jest prawdopodobnie zadłużona po uszy?

– Pan wciąż tutaj? – Uniosła brwi. – Myślałam, że pójdzie pan usiąść za dom.

Szedł za nią po żwirowej ścieżce do zarośniętego ogrodu.

– Nie lubię chodzić sam po czyimś terenie.

Obejrzała się za siebie i posłała mu ironiczny uśmieszek.

– Akurat!

– Oczywiście jeśli nie chodzi o parcele osób podejrzanych.

– To oznacza, że mnie o nic pan nie podejrzewa. – Nakryła drewniany stolik obrusem i wskazała Bergmanowi krzesło. – Świetnie. Kamień spadł mi z serca!

Tym razem to Bergman nie był pewien, czy ta kobieta mówi poważnie, czy żartuje. Żeby nie musieć odpowiadać, rozejrzał się po zaniedbanym ogrodzie. Gałęzie krzaków rozrastały się na wszystkie strony, a trawa sięgała niemal do kolan. Czuł się jak w scenografii *Królewny Śnieżki*.

– Widzę, że prace ogrodowe nie należą do pani hobby. Jeśli nie zacznie pani działać, wkrótce całkiem to pani zarośnie.

Uśmiechnęła się.

– Mnie się ten styl podoba.

– Naprawdę? Dlaczego przynajmniej nie skosi pani trawnika? – Lecz natychmiast uświadomił sobie, że trzycentymetrowa murawa odebrałaby temu ogrodowi znaczną część uroku.

– Dywan mam w domu. Nie muszę go mieć też tutaj. – Zdecydowanym ruchem zamieszała kawę. – Córka się odgraża, że to wykosi, ale według

mnie angielskie trawniki są obrzydliwe.

Teraz to on się uśmiechnął.

– Przyzwyczaiłaby się pani.

– Oczywiście. Człowiek przywyknie do wszystkiego. Nawet do więzienia. Ale nie chcę się przyzwyczajać. Kiedy coś mi się nie podoba, staram się dopasować to do swojej wizji. To znaczy… ostatnio tak robię. Nie zawsze taka byłam.

W jej głosie zabrzmiała twarda nuta. Bergman stwierdził, że dotknął czułego miejsca, choć niezbyt rozumiał, jak uwaga o trawniku mogła jego rozmówczynię tak zdenerwować. Wolał zmienić temat.

– Przejdźmy do rzeczy. Przyszedłem tu z powodu kobiety, która dwudziestego czwartego października przywiozła pani towar ze sklepu zoologicznego.

Twarz Julii się rozluźniła.

– Co chciałby pan o niej wiedzieć? Nie znam jej. Po raz pierwszy robiłam zakupy przez Internet.

– O której godzinie przyjechała?

– Chyba o siódmej wieczorem. Nie, piętnaście po siódmej. Akurat zaczynały się wiadomości.

– Jak długo u pani była?

– Pięć minut. Dała mi tylko witaminy dla kotów, wzięła pieniądze i wyszła.

– Czy przyjechała autem?

Julia wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie wyglądałam za nią. Od razu poszłam oglądać wiadomości. – Napiła się kawy i spojrzała pytająco na Bergmana. – Co ta kobieta zrobiła? Okradła jakiegoś klienta? Zawsze bałam się zakupów przez

Internet. Albo trzeba dać obcej osobie numer swojej karty płatniczej, albo otworzyć drzwi do swojego domu i zapłacić w gotówce. Ani jedno z tych rozwiązań zbytnio mi się nie podoba.

– Została zamordowana.

Julia gwałtownie odłożyła filiżankę na skraj podstawki, a kawa wylała się jej na kolana.

– C-co?

– Wczoraj rano znaleziono jej ciało. Więcej szczegółów nie mogę pani ujawnić ze względu na prowadzone czynności śledcze. Prawdopodobnie pani ostatnia widziała ją żywą. Oprócz mordercy, oczywiście.

– To stało się tutaj, prawda? W naszym lasku.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Wczoraj widziałam tu radiowozy. Nigdy wcześniej nie było tu tylu glinia… Hm. Policjantów.

Bergman zamyślił się na krótką chwilę. Ile szczegółów może jej zdradzić? W końcu skinął głową.

– Ma pani rację. Stało się to tutaj. Proszę mi powiedzieć, o czym rozmawiała z panią ta kobieta?

– Prawie o niczym. Chociaż… Pytała, czy jestem tą Julią Keller z czasopisma „Czeskie atelier". Twierdziła, że czyta moje artykuły. Wyglądało to tak, jakby chciała ze mną podyskutować, ale zbyłam ją. Wie pan, pracuję w tej branży już długo i czytelnicy kojarzą moje nazwisko. Ludzie często pytają mnie o pracę, wszyscy zadają te same pytania, a mnie już dość męczy powtarzanie w kółko tego samego.

– Była sama?

– Tak. O ile nikt nie czekał na nią przed domem. Już mówiłam, że nie wyglądałam po jej wyjściu przez okno. Do głowy by mi nie przyszło… –

Zamilkła i zaczęła rytmicznie pocierać dłonią plamę na spodniach. – Coś strasznego.

– Zatem nie wspomniała, czy zamierza odwiedzić tego dnia jeszcze jakichś klientów.

– Nie. Chociaż proszę poczekać… Właściwie tak! Kiedy szukałam drobnych, powiedziała, że teraz musi jechać z tym cholernym żwirkiem dla kotów na drugi koniec Pragi. Nawet nie odpowiedziałam, chciałam się jej szybko pozbyć. Właśnie zaczynały się…

– Wiadomości. Rozumiem. – Bergman jednym łykiem dopił kawę i wstał. – Dziękuję za informacje, pani Keller. Bardzo mi pani pomogła.

Spodziewał się, że kobieta też wstanie i odprowadzi go do furtki, lecz ona wciąż siedziała, wpatrując się w niego pustym wzrokiem. Twarz miała białą jak kartka papieru.

– Czy coś się stało? – spytał, przechylając z troską głowę.

– Czyli zamordowali ją, gdy stąd wychodziła?

– Prawdopodobnie. Do kolejnego klienta już nie dotarła.

– Ale przecież lasek musiał być o tej porze pełen ludzi! Cała dzielnica wyprowadza tam psy!

– Stało się to później.

– Później?

– Może mogłaby mi pani jeszcze powiedzieć, czy tego wieczora lub tej nocy zauważyła pani coś podejrzanego. Nie widziała pani kogoś wychodzącego z lasu między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią? O ile wiem, jedyna droga z lasku prowadzi właśnie na ulicę Krokusową. Może akurat wyjrzała pani przez okno i… Proszę się zastanowić. To może być ważne.

Zbladła jeszcze bardziej. Dolna warga trochę jej zadrżała, ale szybko ją przygryzła.

– Nie. Niczego nie widziałam. Nawet nie mogłam widzieć, bo o tej porze już spałam – odparła cicho, nie patrząc inspektorowi w oczy.

Józef Bergman założyłby się o swoją kolekcję podstawek pod piwo, że kłamała.

Kiedy z głośnym skrzypnięciem zamknęła się za inspektorem furtka, Julia zaczęła układać filiżanki i cukiernicę na srebrnej tacy. Dlaczego on tak przenikliwie na nią spojrzał, zanim wyszedł? Na pewno zorientował się, że coś przed nim ukrywa. Ale jeśli Julia nie chce sobie komplikować życia, nie powinna być wobec niego szczera. W nocy z dwudziestego czwartego na dwudziestego piątego października tak naprawdę nie zmrużyła oka. Jakby niemal przeczuwała, jaki dramat rozgrywa się kilkaset metrów od jej domu… Spędziła przy oknie mnóstwo czasu i rzeczywiście widziała coś podejrzanego, coś bardzo podejrzanego – poprawiła się w duchu. Wprawdzie zdarzyło się to dużo później niż między dziewiątą a jedenastą wieczorem, ale mimo to chyba powinna była o tym wspomnieć. Problem w tym, że nie miała najmniejszej ochoty zwierzać się akurat policjantowi. Gdyby wyjawiła, że po jej ogrodzie o wpół do drugiej w nocy błąkał się intruz, ten przebiegły inspektorek przyczepiłby się do niej i już nie dałby jej spokoju. Wystarczy, że jest ostatnią osobą, która widziała tę dziewczynę żywą. „Oprócz mordercy" – poprawiła się ponownie. Policję zdecydowanie należy trzymać jak najdalej od siebie. Dziś jesteś świadkiem, jutro oskarżonym. Julia powtórzyła tę myśl na głos, pokiwała głową i ruszyła po żwirowej ścieżce w stronę domu. Z pewnością nie potrzebuje jeszcze kłopotów z wydziałem kryminalnym. Bergman lub któryś z jego sługusów zaraz zaczęliby się jej pchać do domu, a to było ostatnie, o czym Julia marzyła. Nie chce mieć z policją nic wspólnego. Bo kimkolwiek był nocny gość w ogrodzie, z pewnością przyszedł tam tylko po to, by położyć pod

świerkiem pułapkę na koty. Z morderstwem w lasku ten łajdak nie miał nic wspólnego. Na pewno nie.

A dlaczego nie?

Rozejrzała się po zarośniętym ogrodzie, a dobrze znana gęstwina wyglądała nagle złowrogo. Przypływ irracjonalnego strachu zmusił ją, by przyśpieszyła. A jeśli z krzaków ktoś ją obserwuje?

Wbiegła do domu, zatrzasnęła za sobą drzwi i dwa razy przekręciła klucz.

ROZDZIAŁ 7

Pokój Weroniki Truskawki mieścił się na górnym piętrze domu rodzinnego, tuż pod dachem. W zimie nie dało się go porządnie ogrzać, a w lecie panował w nim nieznośny upał, ale Weronika sama wybrała to pomieszczenie i lubiła je. Odpowiadało jej, że śpi z dala od rodziców. Ojciec i matka zazwyczaj spędzali wieczory w salonie na parterze i często prowadzili ze sobą głośne debaty. Kiedy Weronika zamykała się na poddaszu, dzieliło ją od nich puste pierwsze piętro, a ich krzyki docierały do niej stłumione. Kiedy nasunęła na uszy słuchawki, iluzja tego, że jest w domu sama, była niemal doskonała.

Teraz siedziała na dywanie przy przeszklonych drzwiach prowadzących na miniaturowy balkonik i przez metalową poręcz obserwowała okolicę. W głębi domu rodzice znów podnosili głosy.

– Wracam z pracy głodny jak ruska wycieczka, a ty zamiast kolacji dajesz mi piętkę z pasztetem! Pokaż mi faceta, który by coś takiego wytrzymał? Ciągle chodzisz nawalona, a w łóżku lepiej bawiłbym się z dmuchaną lalką niż z tobą.

– Coś ty powiedział?

– Prawdę. Chcesz usłyszeć jeszcze jedną? Już nawet ten seks z tobą jest do niczego.

– I kto to mówi! Dwa razy stękniesz i za pięć minut jest po wszystkim.

– Wiesz co, pocałuj mnie w dupę.

– A kiedy ty ostatnio całowałeś moją dupę? Mów! Odpowiedz na to pytanie.

Bach! Cios, który wylądował na twarzy matki, było słychać aż na poddaszu. Tuż potem Joanna Truskawka rozpłakała się głośno, a zniesmaczona Weronika postawiła oczy w słup.

Nie potrafiła żałować matki ani nienawidzić ojca, bo zbyt często bywała świadkiem takich scen. Jedyne uczucie, jakie ją ogarnęło, to potworna samotność. Rodziców w ogóle nie obchodziło to, że przedwczoraj ich jedyna córka znalazła kilkadziesiąt metrów od domu zamordowaną kobietę. Podrażniona matka powiedziała jej tylko:

– Mówiłam ci, żebyś nie chodziła do tego lasu. Nie możesz biegać po ulicach?

Ojciec stwierdził, że tam zawsze była melina – przecież nie tak dawno ktoś załatwił tam kochankę jakiegoś bogacza. Potem, przy kolacji, Juraj Truskawka, zaatakował córkę:

– Po kiego diabła dzwoniłaś po gliny? Nie mogłaś stamtąd po prostu uciec i trzymać gęby na kłódkę? Już widzę, jak zaraz będą się nam pałętać po domu psy. Tylko tego mi brakowało. – A po chwili: – Zeznawałaś już? O co cię pytali?

Weronika odpowiedziała cicho, że złożyła zeznania od razu, rano w lasku. Nie rozumiała, dlaczego nikt jej nie obejmie i nie spyta, jak się czuła, kiedy znalazła zamordowaną kobietę, czy się bała i kto ją uspokoił. Teraz z grymasem na twarzy pomyślała, że to dla nich typowe: rodzice zawsze troszczą się przede wszystkim o siebie. „Nie zmartwiliby się zbytnio, nawet gdyby ktoś udusił mnie" – stwierdziła Weronika i zaczęła uparcie obgryzać paznokieć palca wskazującego lewej ręki. „Leżałabym pod płachtą w kostnicy, a oni by się tu wykłócali i bili. Nie brakowałoby im mnie. W ich życiu nic by się nie zmieniło. Nic".

Włączyła muzykę, ale nawet przez rytm dudniący w słuchawkach przebijał się krzyk z parteru. Już wiedziała, co będzie potem: wzajemne przepraszanie, a potem skrzypienie łóżka w sypialni na pierwszym piętrze. Weronika czasem zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej, gdyby jej rodzice umarli lub po prostu zniknęli z tego świata. Jej samotność nie zwiększyłaby się ani trochę, a jako bonus zyskałaby spokój i wolność.

Wstała i kopnięciem zatrzasnęła drzwi pokoju, które czasem same się otwierały. Jeszcze bardziej podkręciła głośność w słuchawkach. Za chwilę przyjdzie po nią Dawid, a wszystko inne przestanie się liczyć – rodzice mogą się tu nawet pozabijać. Wprawdzie Weronika miała dopiero szesnaście lat, ale już marzyła o poważnym związku, a nawet o dziecku, choć jej myślenie było dość naiwne. Gdyby urodziła dziecko, wreszcie miałaby kogoś, kto bezwarunkowo kochałby ją taką, jaka jest. Na świecie pojawiłaby się istota, która Weroniki potrzebuje. Upojna wizja… Pierwszego chłopaka miała rok temu. Była to tylko nieprzyjemna próba, która nigdy więcej się nie powtórzyła, ale odpowiedzialna dziewczyna od razu poprosiła ginekologa o antykoncepcję. Tabletki poprawiły jej skórę i czuła się dzięki nim doroślejsza. Ale teraz igrała z myślą, że je odstawi.

Dawid zatrzymał się na chodniku po drugiej stronie ulicy i schylał się po kamyczek, żeby rzucić nim w jej okno. Nie otworzyła od razu. Stała za firanką i korzystała z tego, że może patrzeć na swojego chłopaka, kiedy on jej nie widzi. Nie był typowym przystojniakiem, ale Weronice się podobał – miał delikatne kobiece rysy, ciemne włosy i przejrzyste niebieskie oczy. O jego życiu nie wiedziała prawie nic. Wyjawił jej tylko, że przed nią chodził z dużo starszą dziewczyną, właściwie już kobietą, ale związek nie wytrzymał próby czasu. Pochodził z dużo biedniejszej rodziny niż Weronika. Mieszkał w małym mieszkaniu z bezrobotną matką i trojgiem rodzeństwa i pracował w sklepie akwarystycznym na przedmieściach.

Wprawdzie zarabiał tylko najniższą pensję, ale miał kontakt ze zwierzętami, które – jak twierdził – kochał bardziej niż ludzi. Weronika poznała go dwa tygodnie temu w nocnym tramwaju numer 54, zaledwie parę godzin po tym, jak ojciec podczas kłótni oblał matkę wrzącym rosołem. Matka z makaronem we włosach pojechała taksówką na pogotowie, a płacząca Weronika uciekła z domu. Chciała tułać się do świtu, jak już wiele razy wcześniej, a potem wrócić do cichej willi. Lecz tym razem spotkała dziewiętnastoletniego Dawida. Odprowadził ją do domu, a potem kilka razy odwiedził, zazwyczaj wieczorem lub w nocy. Uśmiechnęła się na myśl, że jeszcze nigdy nie widzieli się w świetle dnia. Wydawało się jej to niezmiernie romantyczne.

Na palcach wyszła z pokoju, a idąc na dół, z zadowoleniem zauważyła, że rodzice zamknęli się już w sypialni. Świetnie, przynajmniej nawet nie zauważą, że się wymknęła. Po morderstwie w lasku prawdopodobnie nie wypuściliby jej z domu po zmroku.

Usiadła obok Dawida na krawężniku w kręgu żółtego światła latarni, a kiedy otarła się ramieniem o jego łokieć, zadrżała z oczekiwania. Długie pocałunki w ciemności pod przerośniętymi krzakami już przestały jej wystarczać. Chciała żyć jak dorosła. Najchętniej otwarcie spytałaby Dawida, czy dziś zamiast spaceru nie wolałby się z nią kochać.

– Widziałeś kiedyś trupa? – rzuciła zamiast tego i niedbale przeniosła gumę do żucia z jednego kącika ust do drugiego. Już przynajmniej trzykrotnie opowiedziała Dawidowi przez telefon, jak znalazła zamordowaną kobietę, ale musiała znów wrócić do tego tematu. Miała wrażenie, że to przerażające przeżycie uczyniło z niej kogoś wyjątkowego i że powinna należycie to wykorzystać, ponieważ poza tym nie ma w niej nic intrygującego.

– Nie. – Dawid spojrzał jej badawczo w oczy. – Krzyczałaś?

Pokręciła głową.

– Ani trochę. Podeszłam obejrzeć ją z bliska, ale to było głupie. Teraz ciągle mi się śni. Wyglądała strasznie. Te wyszczerzone zęby… – Zamilkła.

– To już przeszłość. – Objął ją w pasie.

Weronika przycisnęła się do niego z wdzięcznością, ale było jej trochę przykro, że Dawid o nic jej nie wypytuje. Jakby nawet jego w ogóle nie interesowało, co przydarzyło się jej przedwczoraj.

– Stało się to tej nocy, kiedy ostatnio mnie odwiedziłeś – rzuciła znacząco. Tamtego wieczora Dawid przyszedł bardzo późno. Weronika już leżała w łóżku. Rzucił jej kamyczkiem w okno, ale ona nie mogła do niego wyjść, bo słyszała rodziców na korytarzu. Tylko mu pomachała i uzgodnili, że zadzwonią do siebie. Potem Dawid odjechał.

– I co z tego?

– Nie spotkałeś nikogo w drodze do auta? To mógłby być morderca. – Podekscytowana wytrzeszczyła oczy. – Przypomnij sobie, Dawidzie! Może go widziałeś! Powiedzielibyśmy o tym temu gliniarzowi.

– Głupia jesteś. – Spojrzał na nią z ukosa. – Dzwonić do gliniarza – powtórzył prześmiewczo i prychnął wściekle. – Jeśli zwrócisz na siebie uwagę glin, od razu zaczną cię podejrzewać. Myślisz, że oni naprawdę prowadzą jakieś śledztwa? Bzdura. Szukają kogoś, kogo można oskarżyć, i zamykają sprawę jak najszybciej, żeby dostać premię.

– Dlaczego mieliby podejrzewać mnie? Przecież to ja znalazłam tego trupa. Jestem świadkiem koronnym – dumnie wypowiedziała słowa zasłyszane w serialach kryminalnych.

– To jeszcze nie znaczy, że nie mogłaś załatwić tej babki.

– Robisz sobie ze mnie jaja.

Mrugnął do niej.

– Jasne, że robię. Ale faktem jest, że policja często posyła za kratki niewinnych ludzi.

– Tak mylisz?

– Nie myślę. Wiem.

– Od kiedy? – spytała, ale ponieważ Dawid nie odpowiadał, wzruszyła ramionami. – Mnie wydaje się to dość dziwne. Ten inspektor wydawał się sympatyczny…

– Tak? Jeśli tak ci się spodobał, to zacznij z nim chodzić.

Roześmiała się.

– Proszę cię, mógłby być moim ojcem. Pięćdziesięcioletni dziadek. – Znów się zaśmiała, ale zabrzmiało to nienaturalnie.

Dawid wstał.

– To co robimy? – Dał jasno do zrozumienia, że już nie chce rozmawiać o morderstwie, a Weronika zrozumiała, że w jego oczach jej atrakcyjność po tym, jak znalazła trupa, bynajmniej nie wzrosła.

– Mnie to obojętne. – Westchnęła znudzona. – Możemy iść do ogrodu sąsiadki na jabłka. W ogóle ich nie zrywa. Spadają na trawę i gniją. Chcesz?

Dawid przytaknął. Kusiło go bycie z Weroniką sam na sam w jakimś ustronnym miejscu. Już zaczynał się z nią trochę nudzić. Ciągle te gadki o trupie i o śledztwie! Mówiła, jakby po maturze chciała wstąpić do policji. Przecież była jeszcze dzieckiem, a on nie wiedział, czy nie powinien się z nią rozejść. Ale zawsze, gdy tylko o tym myślał, czuł ucisk w klatce piersiowej, a gardło zaciskało mu się z powodu uczucia, którego dotychczas nie znał zbyt dobrze – uczucia niezastąpionej straty. Weronika z tym swoim dziecięcym, okrągłym noskiem i przedwcześnie poważnymi bursztynowymi oczami była po prostu rozkoszna. Dzieciństwo, dojrzewanie i kobiecość przenikały się w niej w sposób, obok którego niewielu

mężczyzn przeszłoby obojętnie. A Weronika to wiedziała – musiała wiedzieć, bo dlaczego tak wwierca się oczami pod skórę mijanych facetów, jakby testowała siłę swojego spojrzenia? Dawid zacisnął w kieszeni ręce w pięści. Po prostu zakochał się w kobiecie-dziecku, ale wciąż starał się zapanować nad swoimi uczuciami. Wiedział, że kiedy otworzy się przed Weroniką i powie jej o sobie wszystko, może to oznaczać koniec ich związku. Czy jest na tyle dojrzała, by mógł położyć na jej barki ciężar własnej klęski?

Przeszli przez starannie utrzymany ogród Truskawków i przeskoczyli przez niskie druciane ogrodzenie na teren Julii Keller. Porastała go dzika i chaotyczna zieleń. Gałęzie drzew uginały się pod ciężarem jabłek aż do ziemi. Trawa w niektórych miejscach sięgała Weronice aż do pasa, a krzaki dzikiej róży wczepiały się jej w nogawki. Dziewczyna stanęła pod najwyższą jabłonią, zerwała dwa duże owoce i podała jeden Dawidowi. Chciwie wgryzła się w swoje jabłko, a zimny sok ściekał jej po brodzie i kapał na kurtkę.

– Usiądziemy tam? – Wskazała na miejsce otoczone z trzech stron krzewami. Tu będą mieć prywatność. Wątpiła, by Julia chodziła tu po zmroku. Widywała ją zawsze o szóstej po południu, o tej porze sąsiadka karmiła koty, a potem wracała do domu i już nie wychodziła do ogrodu. „Pewnie boi się po zmroku" – stwierdziła Weronika. Spojrzała na dom Julii i zauważyła, że we wszystkich oknach jest ciemno. Potem na parterze mignął stożek światła, jakby ktoś chodził tam z latarką. Wywaliło bezpieczniki? Weronika zastanowiła się nad tym przez chwilę.

Było jej trochę żal Julii. Wiedziała od rodziców, że sąsiadka jest postrzelona i samotna. Mąż się z nią rozwiódł, a dzieci uciekły. Ona, Weronika, jest w dużo lepszej sytuacji. Ma chłopaka i obrońcę. Spojrzała na Dawida.

– Mogę cię o coś zapytać?

Kiedy nie odpowiadał, kontynuowała:

– Traktujesz naszą znajomość poważnie?

– Jasne.

– Jak bardzo?

– O tak! – Odrzucił niedojedzone jabłko, nachylił się nad nią i powoli położył ją w wysokiej trawie. Potem zaczęli się całować. Przywarła do niego i pomyślała, co powiedzieliby jej rodzice, gdyby ją teraz widzieli. Należałoby się im, żeby zaszła z Dawidem w ciążę. Może wtedy wreszcie zaczęliby troszczyć się o jej uczucia i nauczyliby się rozmawiać z nią, a nie tylko mówić do niej.

Nagle Dawid ją puścił. Podniósł się na łokciach i wpatrywał się w krzaki. Zaskoczona Weronika zauważyła, że ciemnoniebieski zmrok zmienił się w czarną jak atrament ciemność. Jak długo tam leżą? Pół godziny? W objęciach Dawida zazwyczaj traciła poczucie czasu.

– Co się dzieje? – spytała.

Zasłonił jej ręką usta.

– Ciszej! Ktoś tu idzie.

Żołądek ścisnął się jej ze strachu. Teraz ona również słyszała szelest kroków w trawie. Zbliża się Julia, któżby inny? Zobaczy ich tu i zadzwoni do jej rodziców, by powiedzieć im, w jakiej sytuacji i z kim zastała ich córkę. Weronika próbowała odepchnąć Dawida, ale nie wypuścił jej.

– Nie ruszaj się do cholery!

Posłusznie usiadła z powrotem na trawie. Dobra, niech Julia ich znajdzie. Może nawet nie byłoby tak źle, gdyby rodzice dowiedzieli się, że ich szesnastoletnia córka ma chłopaka, z którym tarza się w ogrodzie sąsiadki. Przynajmniej zyskałaby trochę uwagi, której ostatnio w ogóle jej nie poświęcali.

– Może jeśli będziemy cicho, to nas nie zauważy – szepnął Dawid. Wargami dotykał przy tym jej ucha. Zadrżała, ale nie ze strachu, tylko z wcześniej nieznanego podniecenia.

Potem między krzakami pojawiła się ciemna sylwetka. Męska sylwetka. Weronika wydała z siebie zduszony krzyk. Do ogrodu Julii przyszedł złodziej. Przypomniała sobie światło latarki, ślizgające się po ścianach pokoju. Najprawdopodobniej już był w domu i łup ma przy sobie. Zobaczy ich tu i zabije, żeby nie mogli zeznawać przeciw niemu! Widziała już tyle filmów kryminalnych, że w jej głowie natychmiast zaczął się rozgrywać przerażający scenariusz. Mężczyzna pochylił się, jakby szukał czegoś w trawie. Zaklął. Głośno sapał i coraz wściekleј rozgarniał gałęzie krzewów. Weronice tak szczękały zęby, że gdyby intruz na chwilę przestał się ruszać, na pewno by to usłyszał. Tyle że mężczyzna miał całkiem inne problemy. Może schował coś w ogrodzie Julii, a teraz nie może tego znaleźć? Zakopał tam skradzione pieniądze?

Po kilku minutach się wyprostował. Uderzył pięścią w pień drzewa i znów zaklął. Stał jakieś dwa-trzy metry od Weroniki. W ciemności nie widziała jego twarzy. Sylwetka wydała się znajoma, ale nie potrafiła jej z nikim skojarzyć. Może to były mąż Julii? Ale czego by tu szukał? Podobno rozeszli się skłóceni i nie utrzymują ze sobą kontaktu.

Mężczyzna powoli się oddalał. Kiedy zniknął im z oczu, Weronika szepnęła przez zaciśnięte zęby:

– Ale mnie przestraszył. Ciekawe, po co tu przyszedł?

– Chyba tu mieszka, nie? Przyszedł po coś i nie mógł tego znaleźć – stwierdził Dawid i znów zamierzał objąć dziewczynę. – Całe szczęście, że nas nie zauważył. Trzeba było się tak nie wiercić! Mam nadzieję, że nie wróci tu za chwilę z latarką.

Weronika się odsunęła. Nie dawało jej spokoju, czego ten mężczyzna szukał w ogrodzie Julii.

– Nie mieszka tu. Tego jestem pewna. Sąsiadka mieszka sama. Byłam u niej wiosną, kiedy zgubiłam klucze i czekałam na rodziców. – Na chwilę zamilkła. – Zauważyłeś, że kiedy tu przyszliśmy, ktoś chodził po domu z latarką? Chyba właśnie widzieliśmy złodzieja. Albo… – Zaczęła się cała trząść. – Albo to był ten *morderca z lasku!*

– Chyba masz zbyt bujną fantazję, skarbie.

– W sumie wyglądał bardziej jak złodziej – myślała Weronika na głos. – U Julii jest co ukraść. Kiedy u niej byłam, dała mi truskawki z bitą śmietaną i pozwoliła przymierzyć mi swoje bransolet ki, kolczyki i tak dalej. Ma mnóstwo biżuterii. Wszystko oryginalne, żadnych podróbek. Złoto, kamienie szlachetne. Pokazała mi na przykład bransoletkę z osiemnastego wieku. Podobno dziedziczy się ją u nich w rodzinie z matki na córkę. Była serio boska. Potem przymierzyłam jeszcze jedną bransoletkę, którą dostała prababcia Julii, kiedy urodziła pradziadkowi dziesiąte dziecko. Romantyczne, co? Też chciałabym mieć dziecko – dodała znacząco i spojrzała Dawidowi w oczy. Nie zareagował w żaden sposób, więc kontynuowała: – Kiedy opowiadałam potem o tym rodzicom, zabronili mi tu przychodzić. Twierdzą, że Julia jest szurnięta. – Zaśmiała się. – Tata miał tak przerażoną minę, jakby się bał, że zaciągnie mnie do piwnicy, poderżnie mi gardło, a potem upiecze mnie na grillu.

Dawid znów nachylił się do Weroniki, jakby miał już dość jej gadania i chciał ją uciszyć. Tym razem całowali się poważnie i w skupieniu. Dziewczyna zapomniała o tajemniczym mężczyźnie i swojej sąsiadce. Nawet problemy z rodzicami ulotniły się z jej głowy.

– Kocham cię – szepnęła Dawidowi, kiedy puścił ją po długiej chwili.

– Kocham cię – powtórzył po niej. Jeszcze nigdy nikomu tego nie powiedział.

– Chciałabym uciec z tobą z domu. Nie musiałabym chodzić do szkoły, a ty do pracy.

– Zwariowałaś? A z czego byśmy żyli?

– Załatwiłabym coś na początek. Tata zawsze ma w szafie pod ubraniami dziesięć tysięcy. Kiedy część wyda, zawsze to uzupełnia. Nazywa to pieniędzmi na wszelki wypadek. Zabrałabym mu je.

Dawid zaśmiał się z jej naiwności. Wprawdzie w oczach czasem błyskała jej kobiecość, ale mimo to wciąż była dzieckiem, niemającym pojęcia o wartości pieniędzy.

– Dziesięć kawałków? To wystarczyłoby nam góra na miesiąc, dziewczynko.

Zamiast odpowiedzi westchnęła smutno.

– Dlaczego chcesz uciekać z domu? Ojciec cię bije?

Nie przypominała sobie, żeby rodzice kiedykolwiek ją uderzyli. Ojciec i matka toczyli między sobą niekończące się bitwy, które tak ich wyczerpywały, że na komunikację z córką nie wystarczało im czasu i energii. Weronika nienawidziła pustego, znudzonego wzroku, który pojawiał się na twarzy matki zawsze, gdy córka zaczynała opowiadać jej przeżycia ze szkoły lub spotkań z przyjaciółkami. Weronika czuła się jak mebel, do którego rodzice wprawdzie się przyzwyczaili, ale z którego nie korzystają zbyt często i może nawet nie zauważyliby, gdyby pod ich nieobecność ktoś go wyniósł. Poczucie zbyteczności bolało córkę bardziej, niż zabolałoby kilka klapsów.

– Tak – skłamała. Chciała, żeby Dawidowi było jej żal.

Nachylił się do niej.

– Przykro mi.

Objęła go mocno.

– Gdybyś ty też skombinował trochę kasy, moglibyśmy uciec. Chociaż na kilka miesięcy. Potem wrócimy. Życzyłabym rodzicom, żeby szaleli ze strachu. Interesują ich tylko moje oceny. Moje *wyniki*. Nigdy nie spytają, czy jestem szczęśliwa. Kiedy zwieję, zrozumieją, że nie byłam szczęśliwa. – Zamilkła i przez chwilę dopracowywała w duchu swój plan. – Chciałabym, żeby mama przeze mnie płakała. *Przeze mnie*, rozumiesz? Może nawet zadzwoniliby z ojcem na policję i rozpoczęliby poszukiwania. Moje zdjęcie pojawiłoby się w tym programie telewizyjnym… Jak on się nazywa… Już wiem, *Na tropie*. – Ta wizja ją podniecała. – Może to pomogłoby ich małżeństwu. Przestaliby się kłócić, bo oboje martwiliby się o mnie.

– Brzmi fajnie, ale gdzie byśmy mieszkali? Jestem przyzwyczajony do łóżka, a nie do ławki w parku – zażartował.

– Moglibyśmy coś wynająć, nie? Przecież masz osiemnaście lat, możesz wynająć mieszkanie. Nikt nie będzie mnie u ciebie szukać. Starzy nie mają pojęcia, że się spotykamy. W ogóle nikt nie wie, że cię znam.

Dawid zaczął się nad tym zastanawiać. I nagle wpadł na pewien pomysł. Ryzykowny, ale tym bardziej kuszący. Zaczął go rozwijać – bardziej dla zabawy niż po to, by naprawdę go zrealizować. Lubił otwierać w myślach drzwi, które w rzeczywistości prawdopodobnie na zawsze pozostaną zamknięte.

– Mówisz, że twoja sąsiadka ma w domu jakieś klejnoty?

Weronika przytaknęła.

– Kiedy opisałam tacie tę bransoletkę po prababci, powiedział, że takie coś może być spokojnie warte nawet dwieście tysięcy.

Dawid z wrażenia aż gwizdnął.

– A widziałaś, gdzie ta baba je trzyma?

– W takiej szkatułce.

– A gdzie trzyma tę szkatułkę?

Weronika zrobiła zdziwioną minę.

– Skąd mam to wiedzieć? I dlaczego o to pytasz?

– Jeśli ta bransoletka naprawdę jest warta dwieście tysi… Potrafisz sobie wyobrazić, jak byśmy żyli, gdyby udało się nam ją sprzedać?

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Chyba zwariowałeś! Nie umiałabym okraść Julii! To dobry człowiek.

– Myślałem, że chcesz uciec z domu. Na gigancie potrzebujesz kasy. Dużo kasy.

– Wiem, ale…

– Pójdziesz tam i dyskretnie sprawdzisz, gdzie trzyma te klejnoty. Kiedy wyjdzie z domu, włamię się do niej i je zwinę. Ty zapewnisz sobie na ten czas mocne alibi. A mnie nikt nie będzie podejrzewać. Przychodzę do ciebie dopiero od dwóch tygodni, w dodatku tylko wieczorem. Ludzie z okolicy mnie nie znają. Co ty na to, Weroniko? Przecież z twojego pokoju widać jej dom, prawda?

– Tylko tył. Kiedy Julia włącza światło w pokoju, mogę obserwować, jak siedzi na fotelu przy oknie. Nigdy nie zaciąga zasłon. Często tam czyta albo po prostu patrzy na ogród. Jest strasznie… samotna. Ale nie widziałabym, że wychodzi z domu. Kiedy nie ma jej w pokoju na dole, może być w innym pomieszczeniu.

– Z żadnego waszego okna nie widać jej furtki?

Zastanowiła się.

– Może z pokoju dla gości.

– Świetnie. W takim razie usiądziesz tam i będziesz czekać. Kiedy zobaczysz, że sąsiadka wychodzi, zadzwonisz do mnie. Przecież chodzi do

pracy, nie? Ja będę w aucie kilka ulic stąd. Nie mogę wyjść z waszego domu, to jest chyba jasne. Wiesz, jak to jest. Ludzie zawsze zauważają rzeczy, które w ogóle ich nie dotyczą… Czyli wejdę tam od strony ogrodu, przez okno tarasowe. Na pewno da się je wyłamać dłutem. Przy odrobinie szczęścia te stare futryny będą tak spróchniałe, że szybko puszczą. W najgorszym razie wybiję szybę – dodał, jakby miał już doświadczenie w podobnych sytuacjach.

– Włamywałeś się już kiedyś? – Weronika nie była pewna, czy to by jej przeszkadzało, czy może sprawiłoby, że Dawid pociągałby ją jeszcze bardziej.

– Ja nie, ale znam chłopaka, który ma na koncie kilka takich akcji. – Dawid zrobił tajemniczą minę, ale potem stracił kontrolę nad mimiką i posłał Weronice szeroki uśmiech. To było jeszcze bardziej ekscytujące niż marzenie o głównej wygranej w loterii. Jeśli udałoby się sprzedać te kosztowności, zdobyłby kwotę, o której dotychczas nawet nie marzył. Oczywiście nie zamierzał przeznaczać jej na jakąś dziecinną ucieczkę z domu. Miał zupełnie inne, poważniejsze plany – plany uratowania swojego życia. Z tyloma pieniędzmi mógłby oddzielić się od przeszłości grubą kreską i zacząć od nowa, inaczej i dużo lepiej.

– O czym myślisz? – Weronika wzięła go za rękę.

– Planuję.

Nagle ogarnął ją strach.

– Dawid, zapomnij o tym. Jeśli sprzedasz gdzieś tę bransoletkę, gliniarze natychmiast cię namierzą.

– Przecież opchnąłbym ją na czarnym rynku. Wiem, do kogo się zwrócić. Mam znajomych.

Chciała spytać, skąd ma takie kontakty, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

– Opowiadałam bzdury – wyrzuciła z siebie. – Nie potrzebuję pieniędzy. W ogóle nie chciałabym uciec z domu. Gdybym przez dwa miesiące nie pokazała się w szkole, wywaliliby mnie. Rodzice by mnie za to chyba zabili.

Nadal miał zamyśloną minę.

– Nie musimy uciekać, ale kasa i tak by się nam przydała – oświadczył. – Pokaż mi człowieka, który nie chciałby jej mieć. Pieniądze to współczesna religia, skarbie. Wszyscy mówią, że nie da się kupić szczęścia, ale to bzdura. Jasne, osiągnięcie szczęścia jest proste, jeśli ma się na to czas. Tylko skąd go brać, skoro przez osiem godzin dziennie trzeba tyrać na chleb. Pomyślałem… – Nie dokończył zdania. Gwałtownie usiadł. Weronika zrobiła to samo i wtedy usłyszała, co tak przestraszyło Dawida. Znów ktoś szedł przez ogród w ich kierunku.

Tym razem również nie zdążyli uciec. Właściwie nie mieli nawet dokąd. Siedzieli między gęstymi krzewami. Jedyna droga ucieczki prowadziła wprost w ramiona nadchodzącego mężczyzny.

Zatrzymał się w tym samym miejscu co poprzednio. Coś niósł. Wyglądało to jak duże druciane pudło. Może to była klatka? Położył ją na ziemi, ułamał ze świerku kilka gałązek i starannie układał je na prętach. Najwyraźniej próbował ją zamaskować.

Weronika wzięła Dawida za rękę. Już się tak nie bała, raczej ciekawiło ją, co ten mężczyzna kombinuje. Poza tym miała nadzieję, że Dawid zapomni o klejnotach i zacznie myśleć o intruzie.

Jakieś pięć minut później mężczyzna wyprostował się, stęknął i zniknął w krzakach.

– Nie idzie do furtki – zauważyła Weronika. – Przelazł przez płot tak samo jak my, tylko z drugiej strony. – Wtedy zrozumiała, kto to mógł być. Mężczyzna sylwetką i chodem przypominał kucharza z restauracji na rogu

ulicy. – Słuchaj, Dawid… – Zająknęła się. – Chyba wiem, co to za facet. Kucharz z Korony! Chodźmy zobaczyć, co tam przyniósł.

Podeszli do klatki, umiejętnie ukrytej pod gałązkami świerku. Zapach świeżej żywicy mieszał się ze smrodem przynęty z wędzonego mięsa.

– Co to? – Weronika spojrzała pytająco na Dawida. – Śmierdzi ohydnie. Chyba zaraz zwymiotuję.

– Pułapka – odparł chłopak ponuro. – Jeż albo kot wejdą do środka, pociągną za przynętę, a drzwiczki za nimi się zatrzasną. Z takiego więzienia nie ma ucieczki. Zwierzę zdechnie z pragnienia lub głodu albo zostanie zabite przez człowieka, który nastawił pułapkę. – Głos drżał mu od sprzeciwu, a Weronika przypomniała sobie, że Dawid bardziej lubi zwierzęta niż ludzi. Kiedyś zwierzył się jej, że uważa ludzkość za pomyłkę przyrody. Nic dziwnego, że to zdarzenie tak go zdenerwowało.

Przyszedł jej do głowy zbawienny pomysł.

– Wiesz, Julia hoduje koty, ma ich mnóstwo. Dziesięć albo i więcej. Kocha zwierzęta. Rozumiałbyś się z nią. Jest dobra. Nie możemy jej okraść – dodała z naciskiem. – Obiecaj mi, że już nie będziesz o tym myśleć.

Uśmiechnął się drwiąco.

– Przecież sama mówiłaś, że byłaś u niej tylko raz. W ogóle jej nie znasz. Skąd możesz wiedzieć, czy jest dobra? Ludzie nie są dobrzy. Są jak wirusy, niszczące tę planetę.

Weronika straciła pewność siebie.

– Powinniśmy powiedzieć jej, co tu znaleźliśmy.

– A jak chcesz wyjaśnić, że weszliśmy do jej ogrodu?

– Nie wiem. Nieważne. Przecież nie zostawimy tu tej pułapki. Jeśli złapie się jakiś kot, kucharz rano go zabierze i… – Wytrzeszczyła oczy. – Boże! W tej restauracji gotują koty! – Na rękach pojawiła się jej gęsia

skórka. – Jak pomyślę, ile razy byłam tam z rodzicami, robi mi się niedobrze.

– Chodźmy stąd. – Dawid wziął ją za rękę. Lecz zanim opuścili ogród, chłopak ułamał gałązkę bzu, ostrożnie włożył ją do klatki i stukał w śmierdzące mięso, dopóki nie zwolnił zapadki. Drzwiczki się zatrzasnęły. – Teraz już nie złapie się w to żadne zwierzę. Zadowolona? Rusz się. Musimy iść.

Posłusznie pozwoliła zaprowadzić się do płotu. Przyznała, że nie umiałaby logicznie wyjaśnić Julii, co robiła na jej terenie. Lepiej spróbuje zapomnieć o tej pułapce. Ale czy to możliwe? Cała się trzęsła, lecz już nie z podniecenia.

Kiedy tylko bezpiecznie zeskoczyła do swojego ogrodu, poczuła ulgę.

– Nie myśl o tym. – Dawid miał jeszcze ochotę na pieszczoty. Przejechał dłonią po jej gołej skórze między paskiem dżinsów a krótką kurteczką. – Lepiej wymyśl pretekst, żeby wejść do tego domu na zwiady. Musimy wiedzieć, gdzie trzyma klejnoty.

Już nabrała powietrza, by zaprotestować, więc szybko położył jej palec na usta.

– Cicho, malutka. Daj mi skończyć. Nie musimy uciekać z domu. Od początku wiedziałem, że raczej nie mówisz poważnie. Ale to nie znaczy, że nie możemy zwinąć biżuterii. Podzielimy się pieniędzmi i będziemy żyć jak w bajce.

Zaczął ją całować. Tym razem Weronika nie przylgnęła do niego, a nawet nie objęła go wokół szyi. Z niezadowoleniem uświadomił sobie, że zaczyna być uzależniony od jej bliskości. Wcale mu się to nie podobało. Dopóki niczego od nikogo nie oczekiwał, nikt nie mógł go skrzywdzić. Teraz wszystko jest inaczej.

– Muszę już iść – szepnęła i bezkompromisowo wyślizgnęła się z jego ramion. Potem zniknęła w domu bez pożegnania.

Dawid stał w kręgu żółtego światła latarni i zastanawiał się, czy w jego zmarnowanym życiu coś potoczyłoby się inaczej, gdyby spotkał tę dziewczynę kilka lat wcześniej.

W sąsiednim domu Julia Keller podeszła po ciemku do okna tarasowego. Stała przy nim przez prawie całe popołudnie, ale potem musiała zrobić kolację, więc na godzinę opuściła punkt obserwacyjny.

Usmażyła jajka, posypała je świeżą pietruszką i zaniosła dwie porcje na poddasze. Klara i Piotr przez cały dzień nie zajrzeli do kuchni. Prawdopodobnie wypakowywali rzeczy z pudeł i urządzili pokój. Na pewno są głodni i ucieszą się z jedzenia.

Zapukała, ale za zamkniętymi drzwiami nikt się nie poruszył. Wzruszyła ramionami. Wprawdzie była u siebie w domu, ale nie chciała wchodzić do pokoju dorosłej córki bez pytania. Zrezygnowana ruszyła z powrotem do kuchni. Włoży kolację do lodówki, młodzi i tak na pewno ją znajdą.

– Mamo? – Drzwi sypialni na poddaszu skrzypnęły, a na wydeptanym dywanie w korytarzu pojawił się stożek światła. Julia się odwróciła.

– Przyniosłam wam kolację.

– To miło z twojej strony.

Czy to przywidzenie, czy może oczy Klary naprawdę błysnęły ze wzruszenia? Julia stwierdziła, że to tylko gra światła i cienia. Przecież taka reakcja nie pasowała do jej córki.

– Proszę. – Wcisnęła Klarze tacę do ręki i spróbowała uśmiechnąć się przyjaźnie. – Smacznego. – Chciała się odwrócić i zejść na dół, ale zdawało się jej, że Klara wciąż tam stoi. Julia udała więc, że ściera palcami kurz

z ram obrazów na ścianie obok drzwi pokoju. Gdyby miała z córką normalne relacje, spytałaby: *Co ci się tak właściwie przydarzyło? Jak wpadłaś w takie długi? Chcesz mi się zwierzyć?* Lecz rozmowa telefoniczna zbudowała między matką i córką niewidzialną barierę. Julia czuła się winna. Czy gdy odmówiła pożyczenia pieniędzy, zachowała się jak wyrodna matka? Nie wiedziała, czy to była odpowiednia reakcja, czy karygodna. Czy rodzic powinien wyciągać swoje dzieci z kłopotów, choć nie popiera ich stylu życia? Gdzie leży granica między matczyną pomocą z miłości do dziecka a niezdrowym poświęceniem?

Julia kochała Klarę, ale nigdy, nawet kiedy Klara była jeszcze dzieckiem, nie okazywała jej wystarczająco dużo miłości. Wyczerpywały ją ciągłe walki z despotycznym mężem i próby budowania – pomimo sprzeciwu Ludwika – własnej kariery. Czasem przyłapywała się na tym, że myśli o dzieciach jak o ciężarze. Kradły jej ostatnie resztki wolności. Przywiązywały ją do domu, którego nienawidziła. Ale może to nie jest wina Julii? Może po prostu przyroda nie obdarzyła jej cechami, które czynią z kobiety dobrą matkę?

Teraz, gdy będzie mieszkać z córką pod jednym dachem, ich związek zostanie wystawiony na wielką próbę. Znajdą wreszcie wspólny język, czy definitywnie się od siebie oddalą? Julię najbardziej bolało to, że nie wiedziała, gdzie popełniła błąd. Od kiedy między nią i córką panuje ta antypatia? Chyba od pierwszej sekundy po porodzie. Gdy włożyli Julii dziecko w ramiona, ogarnęło ją nieodparte przeczucie, że nie potrafi kochać tego krzyczącego zawiniątka. Zaszła w ciążę, choć wcale tego nie planowała i nie chciała. Ciężarna wychodziła za mąż. I długo trwało, zanim przestała myśleć o dziecku jak o swoim wrogu… Przypomniała sobie, jak często nie podchodziła do małej dziewczynki pomimo jej głośnego szlochu. Julia siedziała na wersalce, malowała paznokcie i udawała obrażoną. Potem

przychodził Ludwik, przewijał dziecko, a na nią krzyczał. Niemowlę najwyraźniej wyczuwało chłód matki, bo zaczynało płakać zawsze, gdy go dotknęła. Dopiero po pierwszych urodzinach Klary sytuacja trochę się uspokoiła. Julia była już pogodzona z nieudanym małżeństwem, a czasem nawet czuła się dobrze w roli cierpiętniczki. „To kara" – powtarzała sobie. „Kara, na którą zasługujesz". Odnajdywała w tym pewne pocieszenie.

Z młodszym dzieckiem – z synem Michałem – Julię łączyła dużo większa więź niż z Klarą. Szkoda, że Michał mieszka we Francji i nie przyjeżdża do domu częściej niż raz w roku.

Na ramie obrazu nie było ani jednego pyłka kurzu, więc Julia odwróciła się i zamierzała zejść na dół. Klara z tacą w ręce wciąż opierała się o futrynę.

– Wyobraź sobie, że tego dnia, kiedy się wprowadziliście, w lasku zamordowano kobietę – zaczęła Julia. – Pamiętasz, jak mówiłam ci przez telefon, że kręci się tu mnóstwo policji? Przyjechali właśnie z tego powodu.

– Hm. Nie powinna chodzić sama po zmroku. – Klara wzruszyła ramionami na znak, że cudze nieszczęście ani trochę jej nie interesuje.

– Jestem ostatnią osobą, która widziała ją żywą – kontynuowała Julia. – Była z internetowego sklepu zoologicznego. Przywiozła mi witaminy dla kotów.

Klara skinęła głową. Współczucie dla ofiary morderstwa wyraziła tylko nieznacznym zaciśnięciem warg.

– Ty też nie powinnaś włóczyć się sama – powiedziała Julia. – W sumie może nawet dobrze, że ten twój Piotr wprowadził się tu razem z tobą.

Klara nie odpowiadała. Wbijała w matkę puste spojrzenie i wyglądała, jakby myślała o czymś zupełnie innym.

– Co tak na mnie patrzysz? – spytała Julia. W jej głośnie zabrzmiało większe podrażnienie, niż planowała.

– Zamyśliłam się.

– Chcesz porozmawiać?

Młoda kobieta się zawahała. Była blada, bez makijażu, a pod jej oczami widniały ciemne kręgi. Tłuste, piaskowe włosy zwisały w strąkach wzdłuż twarzy. „Wygląda jak narkomanka" – przemknęło Julii przez głowę. „Boże, ześlij na mnie, co zechcesz, tylko niech moja córka nie bierze narkotyków!". Tak czy inaczej, jest bardzo zastanawiające, dlaczego nagle potrzebuje tylu pieniędzy. W tę bajkę o kupowaniu drogich ubrań na kredyt Julia nie wierzyła ani trochę. Tylko wariat mógłby wydać setki tysięcy na ciuchy.

– Wolę zostać tutaj. Piotr zasnął. Nie chcę, żeby się obudził i… – Obejrzała się do pokoju i ściszyła głos. – Ale niedługo muszę z tobą porozmawiać, mamo. To ważne.

– Dlaczego nie teraz?

Klara pokręciła głową.

– Chcę być z tobą sama. – Znów obejrzała się za siebie. – Piotr mógłby mnie szukać, zejść na dół i… Sama wiesz. Może jutro? Miałabyś czas? W tym tygodniu pracuję tylko w środę i czwartek. Mogłybyśmy wyskoczyć gdzieś za Pragę.

Julia chciała powiedzieć, że zamierza czyhać przy oknie na złodzieja kotów, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Powinna trochę zbliżyć się do córki. Dlaczego nie zrobić pierwszego kroku już dziś?

– Dobrze. Możemy wyjechać nawet rano. Chcę wziąć tydzień wolnego i... odpoczywać.

– To jesteśmy umówione?

– Tak. – Kiedy matka wypowiedziała to słowo, w całym domu nagle zgasło światło, a Julia uznała to za symboliczną kropkę za rozmową

z Klarą. Cieszyła się, że ma wymówkę. – Pójdę sprawdzić korki – powiedziała i zeszła ze schodów.

Teraz stała na parterze przy oknie tarasowym i patrzyła na ciemny ogród. W ręce trzymała wyłączoną latarkę i delikatnie stukała nią w udo. Nie udało się jej włączyć bezpieczników, ale to nic. Jutro poprosi Franciszka z restauracji Pod Koroną, żeby rzucił na to okiem. Za kilkaset koron pomagał jej już kilka razy z tak zwanymi męskimi pracami, z którymi nie potrafiła sobie poradzić sama.

Spojrzała na fosforyzującą wskazówkę budzika. Czy 21:10 to nie jest zbyt wczesna pora na kogoś, kto zastawia pułapki na czyimś terenie? Może przyszedł po tę klatkę, kiedy ona akurat nie patrzyła? Ciekawe, jaką miał minę, gdy zobaczył puste miejsce pod świerkiem. A może poczeka kilka dni, żeby mieć pewność, że jakieś zwierzę się złapie? Julia nie chciała nawet myśleć o cierpieniu żywej istoty, która przez cały ten czas mogłaby niezauważona tkwić w zamkniętej klatce.

Po omacku doszła do przedpokoju, odsłoniła firankę i wyjrzała przez zakurzone okno na ulicę. Wiał wiatr, ze starych orzechów Lady Hrubesz spadały na chodnik brązowe poskręcane liście, a przy krawężniku po drugiej stronie ulicy znów zaparkowało to małe czerwone auto, które Julia widziała przy ulicy Krokusowej po raz pierwszy w nocy, gdy w lasku zostało popełnione morderstwo. Czy kierowca mógł mieć coś wspólnego z jej śmiercią? Czy Julia powinna poinformować o nim policję?

Przez chwilę bębniła w zamyśleniu palcami o parapet, ale potem stwierdziła, że nie będzie niepotrzebnie wtrącać się w sprawy, które jej nie dotyczą. Nie powiedziała detektywom o pułapce klatkowej ani o mężczyźnie, który był tamtej nocy w ogrodzie, więc nie powie również o czerwonym volkswagenie. Wystarczy, że najprawdopodobniej była ostatnią osobą, z którą ta dziewczyna rozmawiała. Julię zmroziło na

wspomnienie podejrzliwych spojrzeń inspektora i jego natrętnych pytań. Nie, lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

Odwróciła się na pięcie, włączyła latarkę i zdecydowanym krokiem poszła do sypialni. Z zadowoleniem pomyślała o pu łapce, która jest zabezpieczona w zamkniętej piwnicy i która już nigdy nie przyniesie cierpienia żadnemu zwierzęciu.

Powinna wyrzucić z głowy te wszystkie nieprzyjemne sprawy, wziąć tabletki nasenne i spróbować zasnąć.

I dokładnie tak zrobiła. Ale obudziła się w środku nocy i uświadomiła sobie coś przerażającego. Coś, co musi zgłosić na policję. Jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 8

Kapitan Sylwia Rolnik siedziała w fotelu z filiżanką gorącej kawy w dłoniach i z nieobecnym wzrokiem kołysała się w przód i w tył. Z jej popielatej twarzy wystawały wielkie niezapominajkowe oczy z zaczerwienionymi bielmami, obramowane ciemnymi kręgami od niewyspania, niezbyt udanie zamaskowanymi kilkoma warstwami beżowego pudru.

– Myślałam o tym całą noc – westchnęła i z trudem przeniosła wzrok na Bergmana.

– I co pani wymyśliła?

– No właśnie nic – odparła Sylwia ponuro, napiła się kawy i zrobiła niezadowoloną minę. – Boże! Nie cierpię taniej kawy rozpuszczalnej!

Bergman odpuścił sobie uwagę, że jeśli jego podwładna chce pić w biurze lepszą kawę, to powinna ją kupić. Przywykł już, że Sylwia Rolnik zawsze kręci na coś nosem. Wieczne niezadowolenie było jej równie nieodłączną cechą jak rozczochrane krótkie jasne włosy i absurdalnie drogi markowy długopis, którym tak lubiła zapisywać notatki. O jej życiu wiedział niedużo – w sumie tylko tyle, że wychowała się na wsi na północy Moraw, w szkole podstawowej stała się ofiarą szykan i w wieku siedmiu lat postanowiła zostać policjantką, by móc obronić każdego krzywdzonego człowieka. Spełniła swoje marzenie i należała do najlepszych w swoim fachu. Dla pracy poświęcała życie prywatne, do każdego zadania podchodziła z pełnym zaangażowaniem, czasem aż przesadnym. Jakby

wciąż musiała przekonywać samą siebie, że nie jest tak słaba, uległa i niezdarna, jak wydawało się jej w dzieciństwie.

Teraz kartkowała swój notatnik.

– Na gardle ofiary nie znaleziono żadnych odcisków palców, choć została uduszona rękami. To znaczy, że morderca miał rękawice. W miejscu popełnienia zbrodni i w okolicy leży gruba warstwa liści, więc nie znaleźliśmy żadnego odcisku podeszew oprócz tych, które należały do ofiary. Powstały, gdy podczas walki rozgarnęła liście i rozryła ściółkę aż do gliny. Interesująca jest chyba tylko jedna rzecz. Ofiara miała za paznokciami kawałki drewna. Przed chwilą przyszedł raport z laboratorium, według którego drzazgi pochodzą ze starego, suchego drewna, a nie z żywych drzew. Wygląda na to, że przed śmiercią trzymała się czegoś drewnianego, na przykład oparcia ławki lub jakichś drzwi… Ale wszystko wskazuje na to, że umarła w środku lasu, gdzie nie ma niczego takiego.

Bergman pokiwał głową. To wszystko na pewno układa się w całość – musi się układać. Trzeba tylko tę całość odkryć. Zazwyczaj ekscytowało go rozwiązywanie poplątanego kłębka ludzkich powiązań i motywów. Musiał sobie z tym radzić na początku każdej nowej sprawy. Lecz tym razem brakowało końcówek nici, za które można by chwycić. Nagle coś przyszło mu do głowy.

– Mówi pani: stare drewno? Nora Mach interesowała się restaurowaniem zabytków, prawda? Te drzazgi prawdopodobnie weszły jej pod paznokcie podczas pracy. Mogą nie mieć z morderstwem żadnego związku.

– Tym gorzej – westchnęła Sylwia Rolnik. – Nie mamy motywu – kontynuowała i znów napiła się kawy, tym razem już bez grymasu obrzydzenia. – Nie mamy śladów. Nie mamy świadków. Obeszliśmy wszystkie domy w bezpośrednim sąsiedztwie lasku, ale bez skutku. Nikt nie

zauważył niczego ani nikogo podejrzanego. Była noc, więc wszyscy spali. A przynajmniej tak twierdzą. – Zaczęła bębnić perfekcyjnie spiłowanymi paznokciami o porcelanową filiżankę. – Krótko mówiąc: mamy tylko ułamki informacji.

Bergman podniósł wzrok znad sterty teczek i dokumentów leżących na jego biurku. Od dwóch godzin bezskutecznie próbował je uporządkować. Sylwia nie cierpiała taniej kawy, a on podobnymi uczuciami darzył chaos. Nie potrafiłby wyjść dziś do domu, jeśli nie posegregowałby papierów, które przez kilka ostatnich intensywnych dni zgromadziły mu się na stole.

– Innymi słowy, nie dowiedziała się pani absolutnie niczego – dogryzł podwładnej.

Gwałtownie odstawiła filiżankę.

– Z tym się nie zgadzam! Wprawdzie nikt nie widział niczego podejrzanego, ale pani… – szybko przewracała kartki notesu – pani Hrubesz z ulicy Krokusowej zeznała, że około dwudziestej trzeciej pod latarnią przed jej domem zaparkował czerwony volkswagen i wysiadł z niego młody chłopak w skórzanej kurtce. Nigdy wcześniej go nie widziała. Na tylnej szybie była naklejona diablica z trzema ogonami. Kobieta nie wie, kiedy auto odjechało, bo poszła spać – dodała Rolnik z uśmiechem. – Ale rano wozu już nie było. To ten sam dom, przed którym stał samochód ofiary – przypomniała z podniesionym palcem wskazującym. – I mamy tu jeszcze jeden obcy wóz przy ulicy Krokusowej. Czarne audi, prawdopodobnie najnowszy model A6. Przed północą parkowało niedaleko lasku. Wyłączone światła i silnik. Siedział w nim około pięćdziesięcioletni mężczyzna. Wysiadł około pięciu minut przed północą i udał się do domu pani Keller. To nam, dla odmiany, zgłosiła pani… – Sylwia znów zajrzała do notatek – pani Truskawka. Wyprowadzała psa, twierdzi, że później niż zwykle, bo kłóciła się z mężem i wcześniej nie miała czasu. Według niej

mężczyzna z audi był przystojny, miał włosy do ramion i, podobnie jak twierdziła pani Hrubesz o tym chłopaku z czerwonego volkswagena, pani Truskawa również widziała go w tej okolicy po raz pierwszy. Ale wydał się jej trochę znajomy, mówiła, że może go znać z telewizji. Ciekawe, prawda? – Zamknęła notes. – Chociaż wątpię, żeby miało to coś wspólnego z naszą sprawą.

Bergman skinął głową.

– Prawdopodobnie rzeczywiście nie ma nic wspólnego. Ale w naszej obecnej sytuacji musimy chwytać się każdej brzytwy.

– Były chłopak Nory Mach ma żelazne alibi – kontynuowała kapitan Rolnik cicho. – W chwili morderstwa siedział w barze w centrum Birmingham. Przynajmniej dziesięciu kolegów może to potwierdzić.

Bergman znów skinął głową i wciąż przekładał kolorowe teczki z prawej strony na lewą i z lewej na prawą.

– Wszyscy z otoczenia ofiary mają żelazne alibi – powiedziała Rolnik beznamiętnym głosem. – Jakie kolejne kroki pan proponuje?

– Jeszcze raz porozmawiamy z rodzicami tej dziewczyny – oświadczył Bergman, ale w jego głosie mimowolnie zabrzmiała ta sama bezradność, której jego podwładna nawet nie próbowała ukrywać. – I sprawdzimy te dwa wozy, które pojawiły się tamtej nocy przy Krokusowej.

Sylwia spojrzała na inspektora.

– Musimy go znaleźć – powiedziała stanowczo. – Nie może uciec.

Miał wrażenie, że jej oczy nienaturalnie błyszczą. Od łez? „Dlaczego tak pani zależy na tej sprawie?" – chciał spytać, ale natychmiast uświadomił sobie, że to pytanie byłoby niepotrzebne i niestosowne. O życiu prywatnym Sylwii Rolnik wiedział jeszcze jedną rzecz. Kiedy miała trzynaście lat, straciła starszą siostrę, którą ktoś zgwałcił, a potem zabił kamieniem w parku leśnym niecałe sto metrów od domu. Morderca prawdopodobnie

szedł za nią od przystanku autobusu nocnego, ale potem po prostu rozpłynął się w powietrzu. Śledztwo zostało zakończone dwanaście lat temu bez ujęcia sprawcy, a Bergman wiedział, że po tak długim czasie rzadko pojawiają się istotne zeznania lub ślady. Wściekłość, bezsilność i żądza zemsty były, obok szykan z dzieciństwa, kolejnym motorem napędowym, który doprowadził Sylwię do akademii policyjnej. Nigdy wcześniej Bergman nie zastanawiał się nad tym, czy to są odpowiednie pobudki do kariery w policji. Dziś po raz pierwszy zaczął wątpić, czy Sylwia wybrała odpowiednią pracę. Jeśli zacznie zbytnio utożsamiać się z ofiarami morderstw i ich rodzinami, wcześniej czy później załamie się nerwowo.

Telefon zadzwonił akurat w chwili, gdy Bergman wychodził z biura. Miał za sobą męczący dzień spędzony na nudnej robocie papierkowej. Znów potwierdziło się, że niewymagająca fizycznego wysiłku, ale jednostajna praca biurowa wyczerpuje dużo bardziej niż śledztwo w terenie. Nie mógł się doczekać wyjścia na świeże powietrze.

Lecz podróż do domu musi jeszcze poczekać. Śledztwo dotyczące morderstwa w parku leśnym na Babie utknęło w martwym punkcie, a Bergman wiedział, że każda rozmowa może przynieść przełomową informację, rzucającą na sprawę nowe światło. Wbiegł z powrotem do biura i chwycił słuchawkę.

– Bergman.

– Muszę z panem porozmawiać. To… może być ważne.

Zaskoczyło go, jak bardzo jej głos go ucieszył. Julia Keller przypadła mu do gustu i gdyby nie to, że poznał ją podczas śledztwa dotyczącego morderstwa, może nawet zaprosiłby ją na kolację. Już długo nie spotkał kobiety, która wzbudzałaby w nim taką ciekawość i pragnienie bliższego poznania. Tyle że na pewno ma męża, a przyjaźń z policjantem raczej by jej

nie interesowała. „Nie szkodzi, w moim życiu i tak nie ma miejsca dla kobiety" – przypomniał sobie Bergman, ale nagle przestał być tego pewien.

– Mogę przyjechać do pani jeszcze dziś. Za pół godziny?

Zaskoczył ją.

– A nie moglibyśmy omówić tego przez telefon?

Oczywiście, że by mogli, ale Bergman uświadomił sobie, że chciałby się z nią zobaczyć. Poza tym nie dawało mu spokoju pytanie, dlaczego przy pierwszej wizycie zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Ukrywa coś? Czy tym razem wpuści go za próg?

– Nie – odparł stanowczo. – Przyszło mi do głowy jeszcze kilka pytań, które chciałbym pani zadać. I tak przyjechałbym w najbliższych dniach. Możemy więc połączyć obie sprawy.

Westchnęła.

– Dobrze, skoro to konieczne.

– W takim razie do zobaczenia za pół godziny.

Chwycił kluczyki do auta i z zapałem ruszył do drzwi. Kiedy wsiadał do windy, uświadomił sobie, że jego zmęczenie wyraźnie opadło.

Otworzyła, zanim zdążył zadzwonić. Najwyraźniej wyglądała go za firanką.

– Ma pan piętnaście minut spóźnienia – zwróciła mu uwagę i stanęła na progu tak, że nie mógł wejść. Była ubrana w równie prosty strój jak przy jego pierwszej wizycie, ale tym razem miała delikatny makijaż i rozpuszczone włosy.

– Przepraszam. Centrum było zapchane. – Zajrzał jej przez ramię do przedpokoju, ale nie zobaczył nic ciekawego, tylko róg starej rzeźbionej komody. – Znów będziemy siedzieć w ogrodzie? – spytał z nutką ironii w głosie. Niebo od rana miało kolor ołowiu, a na asfalt zaczęły właśnie spadać pierwsze krople deszczu.

Zrezygnowana Julia zwiesiła ramiona i wpuściła go do środka.

– Dziś napadałoby nam do kawy. Proszę wejść.

Z rosnącą ciekawością wszedł do ciemnego przedpokoju. W nozdrza uderzyła go delikatna stęchlizna, typowa dla starych domów z leciwymi meblami. Na drewnianym wieszaku wisiała zielona peleryna, pod nią na czarno-białych kaflach stały zabłocone kalosze w bliskim sąsiedztwie eleganckich czarnych czółenek na obcasie. Bergman zatrzymał się, by obejrzeć gustowną drewnianą rzeźbę z resztkami polichromii, umieszczoną całkowicie nieodpowiednio w najciemniejszym kącie pomieszczenia. Przedstawiała chyba jakiegoś świętego w długich szatach, ze splecionymi dłońmi.

Julia weszła do pokoju, więc inspektor pośpieszył za nią. Nawet na niego nie patrząc, skinęła ręką na wersalkę.

– Proszę usiąść.

Na miękkich poduszkach królowały trzy koty: dwa po bokach wersalki, a jeden pośrodku. Bergman zastanowił się, czy ma wcisnąć się między nie, czy może powinien jednego po prostu zrzucić.

– Proszę się nimi nie przejmować, bez problemu zmieścicie się tam w czwórkę – rzuciła Julia, jakby czytała mu w myślach. – W tym domu ciężko znaleźć wolny fotel. Koty są wszędzie. – Wskazała brodą na mebel, na którym pod sufitem stało tekturowe pudło, a z niego wystawały czubki kocich uszu. – Nie wpuszczam ich tylko na piętro, tam mam sypialnię i potrzebuję trochę prywatności. Nie chciałabym, żeby spały ze mną w łóżku. Przez całą noc bym się stresowała, że któregoś przygniotę.

Potem wyszła do kuchni, skąd zaraz rozległ się szum nalewanej wody, syk gazu i stukanie filiżanek.

Bergman stał na środku pokoju i rozglądał się z ciekawością. Pomieszczenie wyglądało na trochę zaniedbane, ale nie można mu było

odmówić przytulności i niezaprzeczalnego uroku. Podłogę z szerokich desek pokrywał perski dywan z poplątanymi frędzlami, a inspektor od razu poznał, że jest to drogi, oryginalny wyrób, a nie tania imitacja. Nad zestawem wypoczynkowym wisiały dwie ładne martwe natury Josefa Šímy. Całą przeciwległą ścianę zajmowało duże płótno Jana Jíry z cyklu Oczy. Uwagę inspektora przykuł również wiszący w wykuszu duży obraz pędzla Jana Baucha, przedstawiający trzy kobiety. Musiały to być bardzo drogie eksponaty, może nawet białe kruki. Bergman jeszcze nigdy nie widział w tak zaniedbanym wnętrzu tylu wyjątkowych oryginalnych dzieł. Z pewnością można by je sprzedać za setki tysięcy koron, a Bergman chętnie by się dowiedział, jak Julia weszła w ich posiadanie.

Oprócz obrazów w pokoju znajdowały się również inne cenne przedmioty. Pośrodku stołu stała waza zaprojektowana przez Émile'a Gallé. Julia trzymała w niej dalie, choć z pewnością była na tyle wartościowa, że należałoby ją trzymać w witrynie. Dominantę pomieszczenia stanowiła dębowa szafa z mnóstwem szuflad i przeszklonymi drzwiami przesuwnymi. Bergman z rozbawieniem przyglądał się niejednorodnej mieszaninie przedmiotów na półkach – droga porcelanowa rzeźba tancerki w plisowanej sukience sąsiadowała z drewnianą figurką kota i kiczowatym ceramicznym dzwoneczkiem z napisem „Pozdrowienia z Karkonoszy". Za oknem rozpadało się porządnie, a pokój pociemniał, ale Bergman nie włączył światła i w półmroku nadal przyglądał się przedmiotom w witrynie. Zastanawiał się, dlaczego Julia, bez wątpienia mająca świetny gust i posiadająca tyle pięknych eksponatów, trzyma tu taki kicz. Nagle pojął, że rzeczy na półkach są w pewien sposób powiązane, a Julia szanuje je bez względu na ich prawdziwą wartość.

Bezgłośnie podeszła do niego od tyłu.

– Kawa gotowa.

Udało mu się ukryć zaskoczenie. Julia chodziła po domu cicho jak duch.

– Pamiątki z urlopów? – Wskazał na witrynę.

– Raczej pamiątki od ludzi, których lubię. – Postawiła na stole tacę z dzbankiem kawy, dzbanuszkiem mleka i dwiema filiżankami. – A te drewniane figurki kotów po prostu zbieram – dodała na wyjaśnienie.

Podeszła do ściany, włączyła lampę i usiadła w szerokim fotelu.

– W jaki sposób weszła pani w posiadanie tylu pięknych obrazów? – spytał. Usadowił się między śpiącymi kotami i wlał do swojej kawy trochę mleka. – To bardzo drogie okazy, na pewno pani o tym wie.

– Owszem, niektóre są cenne.

Wydawało mu się, czy znów przez jej oczy przemknął lęk?

– Często odwiedza pani aukcje dzieł sztuki, prawda? Też trochę się tym interesuję. Akurat w przyszłym tygodniu będzie ciekawa licytacja. Organizuje ją dom aukcyjny… Jak on się nazywa… Mam to na końcu języka…

Zamiast podpowiedzieć mu nazwę domu aukcyjnego, spytała szybko:

– Skąd pan wie, że chodzę na aukcje?

– Proszę nie zapominać, że jestem detektywem.

– Pan mnie sprawdzał? Boże, dlaczego?

Uśmiechnął się.

– Może dlatego, że jest pani ostatnim człowiekiem, który widział naszą ofiarę żywą?

– Rzeczywiście. Przepraszam.

– Nie powiedziała mi pani jeszcze, skąd pani ma te obrazy i antyki. Czy jest pani kolekcjonerką?

Przyszło mu do głowy, że może Julia Keller dostaje rzeczowe łapówki od artystów, właścicieli galerii i domów aukcyjnych, które reklamuje w swoim czasopiśmie. Czyżby właśnie to wywoływało jej nerwowość i opór przed wpuszczeniem policji do domu? Inspektor jednak od razu odrzucił tę myśl. Coś takiego Julia ukrywałaby raczej przed swoim szefem, a nie przed policjantem prowadzącym śledztwo w sprawie morderstwa. Co mu do tego, czy jakaś redaktorka dorabia sobie do pensji łapówkami?

– Tak, kupuję te rzeczy na aukcjach – odpowiedziała nerwowo. – A niektóre z nich dostałam.

Atmosfera uległa gwałtownemu ochłodzeniu, a Bergman zaczął żałować, że nie trzymał języka za zębami. Przecież przyszedł tu w zupełnie innej sprawie! Nie potrafił jednak pozbyć się wrażenia, że w tym śledztwie wszystko jest ze sobą powiązane.

– Pytam tylko z ciekawości. – Rozłożył ręce. – Moja była żona zajmowała się rzeźbiarstwem i zbierała antyki oraz dzieła sztuki. Dzięki temu trochę się na tym znam. – Inspektor miał już wypróbowane, że gdy wyjawi jakąś informację ze swojego życia prywatnego, prawdziwą lub zmyśloną, ludzie się uspokajają i w zamian za zaufanie również otwierają się przed nim. Potwierdziło się to również w tym przypadku.

– Mój były mąż nie cierpiał sztuki, a antyki uważał za bezwartościowe graty. – Julia się zaśmiała. – Ale może powinnam raczej powiedzieć panu, dlaczego do pana dzwoniłam. – Spojrzała mu w oczy. – Chodzi o tę zamordowaną dziewczynę. Wyglądała identycznie jak moja córka. A kiedy mówię identycznie, to mam na myśli identycznie. Wie pan, w pierwszej chwili sobie tego nie uświadomiłam. Przywiozła mi przecież tylko witaminy i wyszła. Ale kiedy potem próbowałam przypomnieć sobie jej twarz… Przeraża mnie, jak bardzo była do niej podobna. Mam od tego gęsią skórkę.

Jakby na potwierdzenie tych słów podwinęła rękaw i pokazała mu rękę ze zjeżonymi włoskami.

Mogła to być bezwartościowa informacja, ale równie dobrze mogła przynieść zwrot w śledztwie, które dotychczas nie ruszyło z miejsca.

– Czy ma pani jakieś aktualne zdjęcie córki?

Wstała, otworzyła szufladę i bez słowa podała mu kolorową fotografię. Blondynka z wąską talią i dużymi piersiami przeciągała się rozkosznie na białym leżaku pod palmą. Miała bardziej kanciastą szczękę i węższy nos niż ofiara, ale rzeczywiście były do siebie bardzo podobne. Nawet fryzura się zgadzała: piaskowe włosy rozjaśnione platynowymi pasemkami, sięgające niemal do ramion.

– Czy mogę ją zachować?

– Oczywiście. Są podobne, prawda?

Przytaknął.

– Co z tego wynika? – spytał.

– Pan pyta mnie, co z tego wynika? – Jej głos poszybował nienaturalnie wysoko. – Chyba to pan tu jest od wyciągania wniosków! Ja tylko mówię, co sobie uświadomiłam.

– A ja pytam, dlaczego to panią tak przeraziło.

Potarła dłońmi twarz, a potem westchnęła na znak, że się poddaje.

– No dobrze. Powiem panu wszystko. Wprawdzie są to prywatne sprawy Klary, ale przecież chodzi o morderstwo… Krótko mówiąc, Klara ma długi. Chyba dość duże. Mieszkała sama w wynajętym mieszkaniu, ale kilka dni temu wróciła do mnie, bo nie było jej stać na czynsz. Twierdzi, że wydała ćwierć miliona koron na jakieś bzdury. Na ubrania, na urlop… Pomyślałam, że może chciał się na niej zemścić ktoś, od kogo pożyczyła i nie oddała. Myślę, że może chodzić o dużo większą kwotę. Klara to moja córka, ale prawie nic o niej nie wiem.

Ostatnie zdanie było tak gorzkie, że Bergman pozwolił mu należycie wybrzmieć w ciszy. Dopiero po chwili powiedział:

– I dlatego podejrzewa pani, że to pani córka miała zostać zamordowana?

– Pan by tak nie pomyślał? Wprawdzie tu nie mieszkała, ale przez cały czas była tu zameldowana. Ktoś mógł się zaczaić, a kiedy zobaczył, że ta dziewczyna wychodzi z mojego domu…

Tę teorię należało sprawdzić, ale była trochę naciągana. Przecież Nora wyszła od Julii przed dziewiętnastą trzydzieści, a zamordowana została między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią. Jeśli morderca widziałby, jak wychodzi z jej domu, to dlaczego nie zaatakował od razu?

– Czy rozmawiała pani o tym z Klarą?

Pokręciła głową.

– A jest w domu?

– Nie. Czy kiedy wróci, mam jej przekazać, że chce pan z nią pomówić?

– Zadzwonię do niej. Niech pani będzie tak miła i zachowa dla siebie treść naszej rozmowy.

Skinęła, ale kiedy na niego spojrzała, Bergman z jej oczu wyczytał, że go nie posłucha. Zaskoczyło go, że zaczyna tę kobietę rozumieć i potrafi odczytywać jej gesty i miny, choć poznali się zaledwie kilka dni temu. Lubił ją, nawet pomimo jej niechęci do współpracy. Kiedy wychodził, nie wytrzymał i uśmiechnął się do niej. Tym razem jako mężczyzna, nie jako detektyw na służbie.

ROZDZIAŁ 9

Cyganka wywróżyła kiedyś Klarze z ręki, że zginie w wypadku samochodowym. Przedwcześnie podstarzała Bułgarka z wygasłym spojrzeniem zatrzymała ją na ulicy i kiepską czeszczyzną zaproponowała przepowiedzenie przyszłości. A Klara kupiła sobie za czterysta koron dożywotni strach.

Chyba nie powinna wierzyć w słowa tej kobiety. Wróżka zachowała się bardzo nieprofesjonalnie. Przecież tragiczne informacje powinna zachować dla siebie. Prawdopodobnie w ogóle nie potrafiła zaglądać w przyszłość. Klara wielokrotnie uspokajała się tym, że z pewnością dała się nabrać oszustce, lecz mimo to obawy zapuściły w niej korzenie i bynajmniej nie słabły – wręcz przeciwnie. Czasem, kiedy Klara długo nie musiała nigdzie jechać autem, zapominała o strachu, ale gdy tylko siadała za kierownicą lub na fotelu pasażera, przerażenie wracało z pełną mocą.

Teraz też drapało ją w klatce piersiowej, jakby ktoś opuszkiem palca łaskotał ją od środka pod żebrami. Ale nie miała wyboru – musiała tę fobię pokonać. Zaprosiła matkę na wycieczkę, więc nie może oczekiwać, że będzie się z nią tłukła za Pragę pociągiem.

Auto Julii zostało w garażu, a Klara wsiadła do jasnoniebieskiej skody, którą kupiła za pożyczone pieniądze Piotrowi. Jeśli już musiała jechać samochodem, czuła się bezpieczniej, gdy kierowała. Miała wrażenie, że dzięki temu przynajmniej w jakimś stopniu decyduje o swoim losie.

Wąska jezdnia wiła się przez dębowy las. Trawa była jeszcze zielona jak w lecie, ale korony drzew już kwitły nasyconymi odcieniami czerwieni, pomarańczu i żółci. Grube gałęzie tworzyły nad drogą sklepienie, a na asfalcie pobłyskiwały plamki słonecznych promieni. Klara skręciła w leśną drogę, ciągnącą się wzdłuż zaniedbanego sadu jabłkowego. Gdzieniegdzie z pni sterczały suche badyle i niczym czarne ręce z rozczapierzonymi palcami pięły się ku niebu. Żywe gałęzie pod ciężarem czerwono-żółtych jabłek uginały się prawie do ziemi, a przy każdym powiewie wiatru spadały z nich liście. Klara opuściła szybę i głęboko wciągnęła słodkawy zapach gnijących w trawie owoców. Julia obok niej ożyła. Klara wiedziała, że jej matka uwielbia wyludnione miejsca sprzyjające kontemplacji – zarośnięte ogrody, opuszczone budynki, ruiny starych domów bez dachów, okien i drzwi, gdzie można było wejść i szukać resztek cudzych żyć w stertach gruzów i zniszczonych mebli. Klara nie rozumiała upodobania matki – jej takie miejsca wydawały się depresyjne.

– No to jesteśmy.

Milczały przez całą drogę. Matka obserwowała jesienne krajobrazy, a Klara z wdzięcznością zanurzyła się we własne myśli. Teraz nadszedł czas, by wyjaśnić, dlaczego tu przyjechały. Ale Klara nie chciała się z tym śpieszyć. Przecież od wyniku dzisiejszych negocjacji, jak w duchu nazywała wyjazd w góry nad Mniszkiem pod Brdami, może zależeć cała jej przyszłość.

– Znasz to miejsce? Kiedyś przywiózł mnie tu… – Klara chciała dodać: mój były chłopak, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Jej życie miłosne to nie sprawa matki.

– Nigdy tu nie byłam.

– Możemy przejść przez sad, a potem wejść na szczyt. Jest tam ładny widok na dolinę Berounki. Nie ma mgły, więc może zobaczymy nawet

Karlsztejn.

– Jak chcesz.

Julia tonem swojego głosu dała jasno do zrozumienia, że przyjechała tu niechętnie i pod przymusem. To zdenerwowało Klarę. Dlaczego matka wciąż jest wobec niej taka chłodna? Czy naprawdę nie potrafi odpowiedzieć inaczej niż jednym lub dwoma słowami? Klara wściekle wyszarpnęła kluczyk ze stacyjki, wysiadła z auta i trzasnęła drzwiami.

Szły po wąskiej, bagnistej ścieżce. Z przodu Klara w drogich, srebrzystych kaloszkach ze sztucznym futerkiem, a za nią Julia w solidnych butach górskich. Niebo było bladoniebieskie, jesienne słońce kłuło w oczy, a powietrze pachniało dymem – działkowicze z pobliskich ogródków palili zgrabione liście. Klara nie mogła pozbyć się uczucia, że tę chwilę już kiedyś przeżyła, że cofnęła się w czasie, jakby przewinęła kasetę video i znów oglądała dobrze znane ujęcia. Ale może to jesienna przyroda przypomniała jej dawną wycieczkę, na którą wybrała się z matką na przełomie października i listopada jakieś dwadzieścia lat temu. Michał leżał wtedy w szpitalu ze szkarlatyną, a ojciec wybiegł z domu po tym, jak demonstracyjnie rozrzucił po wszystkich pomieszczeniach zawartość swojej szafy. Zdenerwowało go, że matka nie ułożyła wypranej bielizny w kominy. Julia wtedy nie płakała, nie klęła ani nie próbowała sprzątać. Spakowała do plecaka kanapki, wzięła Klarę za rękę i zaprowadziła ją na dworzec. To był prawdopodobnie najpiękniejszy dzień, jaki razem przeżyły. Dlaczego nigdy tego nie powtórzyły? Czy mogą dziś wrócić do tamtego porozumienia dusz?

„Raczej nie" – stwierdziła Klara. Julia wyglądała na zmartwioną i wydawało się, że chce mieć tę wycieczkę jak najszybciej za sobą. Kiedy zaczęły wchodzić na strome zbocze, dyskretnie spojrzała na zegarek i cicho westchnęła.

Klara zebrała w sobie odwagę na zadanie pierwszego pytania i wzięła głęboki oddech.

– Myślisz, że mogłabyś dla mnie…

– Poczekaj. – Julia zatrzymała się i zaskakująco stanowczym gestem uciszyła córkę wyciągniętą dłonią. – Najpierw będę mówić ja. To ważne.

Klara zmarszczyła brwi niezadowolona.

– Obiecałaś, że mnie wysłuchasz.

– I zrobię to. Ale najpierw muszę cię o coś spytać. Klaro, chodzi o coś bardzo, bardzo ważnego.

– O co, na Boga?

– O to morderstwo w lasku.

Klara postawiła oczy w słup.

– Jasne. Nie będę chodzić sama w nocy do lasu. Nie dam się udusić ani zgwałcić. Zadowolona?

– Nie. – Julia chwyciła ją obiema rękami za ramiona, jak miała w zwyczaju, gdy chciała powiedzieć coś istotnego. – Uświadomiłam sobie… To znaczy, wiedziałam o tym przez cały czas, tylko wcześniej nie dotarło do mnie, jak ważne to może być… – Zawiesiła głos. – Ta zamordowana dziewczyna wyglądała dokładnie tak jak ty, Klaro.

Klara zbladła. Rozchyliła wargi, jakby chciała jakoś zareagować, ale nie wydobyła się z niej ani głoska.

– Co możesz mi na ten temat powiedzieć?

– Ja? – Klara wytrzeszczyła oczy. – A co mogłabym powiedzieć?

– Pomyśl, Klaro. Była do ciebie podobna. Zanim spotkała mordercę, wyszła z mojego domu. Z domu, w którym jesteś zameldowana, w którym ktoś mógł cię szukać, czekać na ciebie, chcieć od ciebie… nie wiem czego! Raczej ty powinnaś wiedzieć. – Julii histerycznie zawibrował głos. – Mów

wreszcie! Wspominałaś, że masz długi. Na pewno pożyczałaś pieniądze tylko od banków? Nie wplątałaś się w coś z jakimiś… podejrzanymi ludźmi? Wyprowadziłaś się tak nagle… Nie uciekasz przed nikim? Nikt ci nie groził? Czy morderca mógł myśleć, że zabija ciebie?

Klara się skrzywiła. Na jej twarz powoli zaczęły powracać kolory, ale wargi wciąż drżały.

– Oczywiście, że nie. To kompletna bzdura! Dlaczego ktoś… Ty chyba naprawdę zwariowałaś!

– Boję się o ciebie. Nie możesz mi się dziwić, jestem twoją mamą.

Tym razem na twarzy Klary pojawiła się jawna pogarda.

– Dzięki za informację.

Strząsnęła z ramion ręce matki i ruszyła po ścieżce pod górę. Ta wycieczka nie mogła zacząć się gorzej. Zamierzała poprosić matkę o dużą przysługę, ale zanim zdążyła wypowiedzieć pierwszą prośbę, pokłóciły się. Naprawdę ostatnio prześladuje ją pech.

Dopiero po chwili, po kilkuset metrach wspinaczki w milczeniu, Klara ponownie zastanowiła się nad znaczeniem matczynych słów. Na myśl o tym zbiegu okoliczności przeszły ją ciarki.

– Słuchaj, mamo… Ta dziewczyna naprawdę wyglądała tak jak ja?

Julia nawet nie musiała odpowiadać. Jej zmartwione spojrzenie mówiło wszystko.

Zegar z wahadłem w pokoju dziennym Julii wybił godzinę trzecią, a Piotr wyłączył telewizor. Cieszyło go, że te dwie wyjechały – przynajmniej nie musiał przez cały dzień ukrywać się na poddaszu, gdzie śmierdziało stęchlizną i gdzie ciągle potykał się o nierozpakowane kartony. Nie podobało mu się, że Klara tak nagle opuściła swoje mieszkanie i przeprowadziła się do matki. Wyjaśniła mu, że pokłóciła się

z właścicielem, wypowiedziała umowę, a teraz szuka nowego, lepszego mieszkania. Dopóki go nie znajdzie, będzie mieszkać u Julii. „Tylko tego mi brakowało. Teściowej na karku" – pomyślał. Poszedł do kuchni po coś do jedzenia. To dziwne, że wszystko w tym domu jest tak zaniedbane, skoro ojciec Klary posiada ogromny majątek. Prawdopodobnie rozwiódł się z Julią Keller już dawno i nie widzi powodu, by wspierać byłą żonę finansowo. Piotr doskonale go rozumiał. Gdyby on był bogaty, też bardzo by uważał, w kogo inwestuje swoje pieniądze.

Często się zastanawiał, dlaczego Ludwik Keller nie kupił Klarze mieszkania. Dla Piotra byłoby to zdecydowanie wygodniejsze rozwiązanie niż ciągłe wynajmowanie. Pomyślał, że jeśli Klara miałaby mieszkanie własnościowe, może nawet zacząłby myśleć o ślubie. Jeśli dobrze się orientuje, po dziesięciu latach małżeństwa automatycznie stałby się właścicielem połowy majątku, który Klara posiadała przed ślubem.

W lodówce znalazł zaskakująco drogie jedzenie: holenderską goudę, oryginalną węgierską kiełbasę, zielone i czarne oliwki oraz słone irlandzkie mięso. Mlasnął z uznaniem. Wprawdzie Julia Keller ma zaniedbany dom, ale na jedzeniu najwyraźniej nie oszczędza. Smakoszka. Zajrzał do spiżarni, gdzie odkrył jeszcze puszkę suszonych pomidorów w zalewie i dwie butelki bordeaux. Trochę dużo tych luksusowych przysmaków jak na to, że w tym domu mieszka samotna kobieta! Zauważył, że wszystkie opakowania są nienaruszone, a jedzenie nietknięte. Może Julia szykuje zapasy na jakąś imprezę. Piotr wahał się przez kilka sekund, a potem zaniósł jedzenie na stół i wyjął z chlebaka pół bochenka. Przecież te dwie nie mogą oczekiwać, że będzie tu przez cały dzień siedział o suchym pysku! Jeśli Julia spodziewa się wieczorem gości, może kupić nowe jedzenie. Nawet do głowy mu nie przyszło, że to raczej on powinien pójść do sklepu. Po pół

roku z Klarą przyzwyczaił się, że o jedzenie nie trzeba się martwić, bo samo po prostu materializuje się w lodówce.

Kiedy zjadł całe opakowanie sera, pół słoika zielonych oliwek i kawałek kiełbasy, odłożył to, co zostało, do lodówki i zaczął zastanawiać się nad jakąś rozrywką na resztę popołudnia. Może jednak pojechałby do szkoły? Zdążyłby jeszcze na ostatni wykład, a potem mógłby wpaść do biblioteki. Jeśli nie chce ryzykować, że wyrzucą go z uniwersytetu, powinien w tym tygodniu skończyć przynajmniej jedną z trzech zaczętych prac zaliczeniowych.

Lecz zamiast zacząć się ubierać, podszedł do okna i spojrzał na ogród. Kiedy wyobraził sobie, jak wsiada do przegrzanego tramwaju, a potem szuka miejsca w przepełnionej sali wykładowej, ogarnęło go zmęczenie. O wiele wygodniej było zostać w domu i zabijać czas gapieniem się! W wysokiej trawie spostrzegł dobrze wykarmionego kota z błyszczącym futrem i obserwował, jak zwierzę leniwie przedziera się przez przerośnięte krzaki. Mógł mu tylko pozazdrościć bezproblemowego życia, wolnego od wszelkich kłopotów egzystencjalnych. Ktoś codziennie napełnia mu miskę jedzeniem, głaszcze go i rozściela ciepłe posłanie, by kot mógł w pełni poświęcić się swoim kocim rozrywkom. Piotr też chciałby ułożyć sobie życie w ten sposób.

Kiedy tylko postanowił, że zostanie w domu, znów zaczął się nudzić. Przesuwał wzrok po białych ścianach pokoju. Tynk zszarzał, miejscami zaczynał się kruszyć. „Brakuje tu męskiej ręki" – pomyślał Piotr, ale nawet nie przyszło mu do głowy, żeby pomalować pomieszczenie. Dlaczego miałby inwestować czas i energię w cudzą nieruchomość? Podszedł do ściany i zaczął po kolei przyglądać się obramowanym grafikom i obrazom olejnym, jakby był w galerii. Wszystkie wydawały mu się wprost ohydne. Gdyby kiedyś Klara odziedziczyła ten dom po matce (przyjemna wizja!),

Piotr wyrzuciłby wszystkie te starocie i kiczowate obrazy. Kupiłby nowoczesne wyposażenie w IKEA, a na ścianach powiesiłby plakaty w antyramach.

Zaczął bawić się myślą, że willa przy ulicy Krokusowej należy do niego. Nie było to przecież nierealne. Gdyby ożenił się z Klarą, pewnego dnia byłby tu panem. Julia nie jest już najmłodsza. Jej drugi potomek, syn Michał, od lat żyje w Paryżu, ma dziecko z jakąś hinduską i nie zamierza na stałe wracać do Czech. Któż inny niż Klara ze swoją rodziną miałby zamieszkać tu po śmierci Julii?

W przedpokoju zadzwonił telefon. Piotr nie odebrał, ale z ciekawością podszedł do otwartych drzwi i słuchał, jak głos dzwoniącej osoby nagrywa się na sekretarkę.

– Julio, dziś będę trochę później – oświadczał męski głos. – Przyjmiesz ode mnie drobne przeprosiny?

Znajomy Julii nie przedstawił się i nie pożegnał. Piotr nie rozumiał tej wiadomości. Jakie przeprosiny? Może to właśnie dla tego mężczyzny przeznaczone było jedzenie w lodówce i w spiżarni?

Piotr wrócił do pokoju dziennego, stanął pośrodku i przesuwał wzrok po witrynach i szufladach mebli z masywnego dębu. Na półkach za szkłem stały bez ładu i składu szlifowane kieliszki do wina, whisky i szampana, serwis do herbaty z kruchej porcelany i osiem lub dziewięć kruchych porcelanowych figurek. Piotr odsunął szkło i wyciągnął jedną z nich. Była to tancerka z archaiczną fryzurą, anielską twarzyczką i plisowaną sukienką. Rosenthal A.G. – przeczytał Piotr pod spodem, ale nic mu to nie mówiło. Kiedy Klara odziedziczy dom, wszystkie te bezsensowne stare rupiecie powędrują do kosza na śmieci.

Bez namysłu pociągnął za żelazny uchwyt jednej z szuflad i otworzył ją. W środku znajdowały się leki. Zajrzał do kolejnej i tym razem trafił na

pudełko starych fotografii. Czy dałoby się sprzedać je w antykwariacie? Trzecia szuflada była zamknięta. Piotr wzruszył ramionami i zamierzał odwrócić się od mebla, gdy nagle w jednej z filiżanek w witrynie spostrzegł kluczyk. Bez wątpienia będzie pasował do strzeżonej szuflady. „Głupia kryjówka" – pomyślał. Dlaczego ludzie tak często zamykają szuflady i szafki, a klucz odkładają tuż obok, najlepiej na dobrze widocznym miejscu? Ostrożnie wyjął klucz i wsunął go do zamka. Pasował. Ciekawe, czego Julia tak strzeże? Oszczędności?

Trochę go rozczarowało, że w szufladzie znalazł tylko podniszczone drewniane pudełko pełne ohydnej starej biżuterii, wycinki z gazet i zapisane kartki. Wyciągnął szkolny zeszyt i otworzył go na pierwszej stronie, zapełnionej pośpiesznym, niedbałym pismem. Zaczął czytać.

Wyspa Belle-Île, Bretania, Francja, 20 czerwca 1975

Najgorszy dzień jej życia zaczął się całkiem normalnie.

Malowała się przed lustrem. Podkreśliła powieki czarną kreską, rzęsy obciążyła trzema warstwami tuszem, a wargi wypełniła ceglastoczerwoną szminką, którą tydzień wcześniej kupiła sobie z rozrzutności na paryskim dworcu Gare de l'Est. Stanęła bokiem do lustra i uśmiechnęła się na widok swojej szczupłej sylwetki w brązowych spodniach z kantem i białej tunice. Wyglądała dokładnie tak, jak chciała: efektownie, a jednocześnie naturalnie. W tym stroju mogła…

Znudzony zamknął zeszyt. Najwyraźniej to jakieś opowiadanie. Wiedział, że matka Klary pracuje jako dziennikarka. Może oprócz artykułów pisze też książkę. Piotr lubił czytać, ale wyłącznie powieści fantastyczno-naukowe, które umożliwiały mu upragnioną ucieczkę z realnego świata. „Szkoda

czasu na romantyczne bzdury dla bab" – pomyślał i odłożył zeszyt na miejsce.

Odsunął na bok wycinki z gazet, których treść również go nie interesowała, i wyciągnął z szuflady matową plastikową teczkę schowaną na spodzie szuflady. Na białej karteczce ktoś napisał niebieskim atramentem: *Ubezpieczenie na życie.*

– No proszę, nareszcie coś ciekawego – skomentował Piotr zaskakujące odkrycie. Nigdy by nie przypuszczał, że zaniedbana i na pierwszy rzut oka biedna Julia wyrzuca pieniądze na ubezpieczenie na życie. Pięć minut później jego zdziwienie się spotęgowało. Z umowy wynikało, że Julia płaci co miesiąc zaskakująco wysoką kwotę, by jej dzieci, Klara i Michał, dostały po jej śmierci po pół miliona koron.

– Pięćset tysięcy dla Klary – wyszeptał Piotr. – I do tego ten dom. Skąd Julia bierze pieniądze na to ubezpieczenie? Przecież to musi pochłaniać olbrzymią część jej wypłaty!

Odłożył teczkę do szuflady i mlasnął z zadowoleniem. Jeśli wziąć jeszcze pod uwagę, że Klara odziedziczy kiedyś wielki majątek po bogatym ojcu, przed Piotrem rysuje się obiecująca przyszłość. Chodzi z dobrze zabezpieczoną kobietą, więc bieda mu nie grozi. Dobrze sobie wybrał.

ROZDZIAŁ 10

U schyłku popołudnia Julia zrobiła sobie kawę i usadowiła się w swoim ulubionym fotelu z Panem Ministrem na kolanach. Podniosła filiżankę z delikatnie pomalowanej podstawki, ale zanim przyłożyła ją do ust, niechcący wylała kilka kropel na futro kota. Trzęsły się jej ręce – jasny dowód na to, że wycieczka z Klarą zdenerwowała Julię bardziej, niż chciałaby przyznać.

Nie chodziło nawet o to, że się pokłóciły – to zdarzało się już wiele razy. Julii nie dawało spokoju coś innego, czego niestety nie potrafiła dokładnie określić. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że w mijającym właśnie popołudniu coś nie gra. Tylko co?

W duchu po raz kolejny przewijała sobie to, co stało się w Brdach.

Kiedy Klara dowiedziała się, że zamordowana dziewczyna była do niej podobna, zbladła. Julia mogłaby przysiąc, że na przedramieniu córki widziała gęsią skórkę.

– Klaro, bądź ze mną szczera. Jestem twoją mamą, pomogę ci. Boisz się kogoś? – spytała miękkim głosem.

– Oczywiście, że nie!

– Będzie chciał z tobą porozmawiać inspektor, który prowadzi śledztwo w sprawie tego morderstwa. Nazywa się Bergman.

Klara stanęła. Złość wykrzywiła jej twarz. Nagle wyglądała bardzo brzydko.

– Chyba nie mówisz poważnie! Nasłałaś na mnie gliny? Chyba zwariuję! Jakbym miała mało problemów.

Kiedy prychnęła, przez szparę między przednimi zębami wyleciała jej ślina i zwisała z dolnej wargi. Zniesmaczona Julia od wróciła wzrok, ale natychmiast poczuła wstyd z powodu swojej reakcji i znów spojrzała na Klarę. Jak to możliwe, że czuje obrzydzenie wobec własnej córki? Czy innym matkom też się to zdarza? Przecież bez wątpienia kocha Klarę. W przeciwnym razie nie bałaby się o nią tak bardzo.

– Nikogo na ciebie nie nasłałam. Po prostu się martwię, więc powiedziałam policji wszystko, co przyszło mi do głowy w związku z tą dziewczyną. Chodziło mi tylko o twoje bezpieczeństwo.

– Świetnie. Bardzo ci dziękuję.

Długo szły w milczeniu, Klara wściekła, a Julia zamyślona. Dopiero gdy zbliżały się do szczytu, Julia postanowiła ponownie odezwać się do Klary.

– Twoja kolej. Teraz mów ty. Dlaczego mnie tu zaciągnęłaś? Czego ode mnie potrzebujesz? Czy chodzi o długi?

– W pewnym sensie. – Klara zmieniła wkurzoną minę na lekko lizusowski uśmiech.

Julia pokręciła głową.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy! Naprawdę napożyczałaś aż tyle? Posłuchaj, możemy umówić się tak, że będziesz u mnie mieszkać, dopóki wszystkiego nie spłacisz. Nie musisz dokładać się do rachunków. To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. Już kilka razy ci mówiłam, że nie mam…

– Mamo, w porządku. Nie chcę, żebyś spłacała moje długi. Muszę to zrobić sama. Wypiję to piwo aż do dna. Może to będzie dla mnie dobra nauczka. – Przy ostatnich słowach zaśmiała się smutno.

– W takim razie czego ode mnie chcesz? I dlaczego musimy rozmawiać o tym tutaj? Zachowujesz się, jakbyś chciała powierzyć mi tajemnicę państwową.

– W domu mógłby nas usłyszeć Piotr.

Julia zmarszczyła brwi.

– A to byłaby taka tragedia?

– Tak, bo chcę z tobą porozmawiać o czymś, co go dotyczy. Zrobiłam straszne głupstwo. Powiedziałam mu, że jestem bogata.

– Co?

– Kiedy się poznaliśmy, byłam pijana. Opowiadałam bzdury. Przechwalałam się. Zmyśliłam, że ojciec ma kasy jak lodu i że co chwilę posyła mi mnóstwo pieniędzy.

– No i?

– Nie rozumiesz? Wmówiłam facetowi, którego kocham, że mój tata jest przedsiębiorcą i ma na koncie miliony.

– Ludwik? Przedsiębiorcą? – Julia zaśmiała się głośno. Wachlarzyki zmarszczek w kącikach jej oczu pogłębiły się, ale mimo to wyglądała młodo, jakby śmiech odbierał jej wiele lat.

– Powinnaś pisać książki, Klaro. Masz fantazję jak Agatha Christie. Boże, jak mogłaś komuś powiedzieć coś tak głupiego? Nawet gdyby twój ojciec się wzbogacił, co nigdy się nie stanie, wciąż przysyłałby ci na gwiazdkę przecenione książki i w życiu nie zobaczyłabyś od niego ani grosza.

– Piotr wciąż w to wierzy – powiedziała Klara.

– Co? – Julia się zatrzymała. – Przecież chodzisz z nim pół roku! Przez cały ten czas go okłamujesz?

– Wiem, że to błąd. Nie musisz robić mi kazania.

– Nie przedstawiłaś go Ludwikowi? – Julia przypomniała sobie męża w jego nieodłącznych luźnych szarych spodniach i koszuli z dużym kołnierzem, które po raz ostatni były modne w latach osiemdziesiątych. Gdyby Piotr go zobaczył, natychmiast zrozumiałby, że ten mężczyzna może zarabiać duże pieniądze jedynie w snach.

– Nie.

– Piotr nie chciał go poznać?

– Właściwie to nawet nie. Twierdzi, że chodzi ze mną, a nie z moimi krewnymi. Nie interesujecie go.

– Nie interesujemy go? – powtórzyła Julia z niedowierzaniem.

– Nie.

– A jego rodzice? Wiesz coś o nich? Czy oni ciebie też nie interesują?

– Nie żyją. Nie rozmawiamy o nich. Piotr urodził się, gdy byli już starzy. Odziedziczył po nich jakąś straszną ruderę na wsi, którą natychmiast sprzedał i puścił pieniądze w obieg.

– Dlaczego wmówiłaś mu taką bzdurę? – Julia podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Na początku podobało mi się udawanie kogoś, kim nie jestem. Dobrze się bawiłam. Traktowałam to jak rolę w filmie. Przecież wiesz, że kiedyś chciałam być aktorką. Czegoś się nauczyłam na tych wszystkich kółkach teatralnych. – Zaśmiała się. – Grałam bogatą dziewczynę. Człowiek szybko przyzwyczaja się do luksusu. Podjeżdżasz na stację benzynową i wydajesz na alkohol i słodycze więcej, niż zarobiłaś przez cały dzień. Przynajmniej przez chwilę możesz sobie wyobrażać, że to twoje prawdziwe życie i że naprawdę masz mnóstwo kasy. – Spojrzała na matkę z boku. – Rozumiesz, co mam na myśli?

Julia wyglądała na zaskoczoną.

– Chyba tak.

– To dlaczego masz taką dziwną minę?

– Nie mam dziwnej miny. Po prostu nie wiedziałam, że pieniądze są dla ciebie takie ważne.

– Nie są dla mnie takie ważne. Próbuję ci wyjaśnić, jak wpakowałam się w te długi. To była zabawa. Myślałam, że będę z Piotrem chodzić tylko przez kilka tygodni. Boże, przecież on jest osiem lat młodszy ode mnie! Byłam pewna, że szybko się mną nacieszy i odejdzie.

Julii nie umknął gorzki ton głosu Klary. Przeraziło ją, że córka tak mało w siebie wierzy.

– Kiedy zrozumiałam, że Piotr traktuje mnie poważnie, było już za późno, by się przyznać. Co mam teraz zrobić? Posadzić go na tapczanie, nalać mu piwa i powiedzieć, że przez ostatnie pół roku go okłamywałam?

– Im szybciej się przyznasz, tym lepiej.

– Wiem. Ale muszę to zrobić mądrze. Powiem Piotrowi, że firma taty zbankrutowała i nie dostanę już żadnych pieniędzy. To wyjaśni, dlaczego nagle jestem taka biedna. Dzięki mieszkaniu u ciebie nie będę płacić za czynsz i stopniowo pospłacam długi. Zmienię się, mamo. Będziesz mnie kryć? Proszę!

– Dlatego mnie tu przywiozłaś?

– Musiałam ci o tym powiedzieć, skoro u ciebie mieszkamy. Będziesz codziennie widywać się z Piotrem. Na pewno będziecie rozmawiać. Mogłoby się wydać, że tata pracuje w urzędzie skarbowym. Boże, to byłaby katastrofa! – Klara zaśmiała się zduszonym głosem, ale Julia do niej nie dołączyła. – Wiesz, jak się bałam, kiedy się wprowadziliśmy? Robiłam wszystko, żebyś ani na chwilę nie została z Piotrem sama.

– Jak wyjaśniłaś mu, że się do mnie wprowadzasz? Bogate panny raczej nie mieszkają u swoich matek.

– Powiedziałam, że pokłóciłam się z właścicielem mieszkania i że mnie z niego wyrzucił. Piotr myśli, że to tylko sytuacja tymczasowa, dopóki nie znajdę czegoś lepszego. Jak widzisz, na wszystko znajdę wymówkę. Jestem mistrzynią kłamania – dodała Klara cierpko. – Sama już czasem nie wiem, co jest prawdą, a co zmyśliłam.

Julia schyliła się po źdźbło suchej trawy i teraz rozgryzała je zębami.

– Nie podoba mi się to, Klaro. Powiedz Piotrowi, jak to było, od początku. Jeśli zostaniecie razem, kiedyś spotka się z Ludwikiem i wtedy wyda się, że go okłamałaś. Potrafisz sobie wyobrazić konsekwencje?

– Nie widziałam ojca od dwóch lat. Gdzie mieliby się spotkać? – Na przykład na waszym ślubie?

– Tam go nie zaproszę. Nie dogadujemy się. Nienawidzę go. Nigdy nie wybaczę mu tego, jak cię traktował.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam. Maltretował cię. Ile było tych scen, popychań? Czytałam mnóstwo artykułów o tym, jak wygląda przemoc domowa. U nas ona *się działa*. A ja byłam *przy tym*, mamo.

Julia miała obojętną minę.

– Przestań. Po prostu wyznaj Piotrowi prawdę. Nie możesz budować związku na kłamstwie. – Julia zawiesiła głos, bo zrozumiała, że ona popełniła ten sam błąd. Okłamała przyszłego męża, Ludwika, w sprawie dużo ważniejszej niż sytuacja finansowa przyszłego teścia. *Okłamała go w sprawie na wagę życia…*

Klara nie zauważyła zamyślenia matki. Skupiała się na własnej rozpaczy.

– Ale Piotr mnie zostawi. Mamo, ja jestem po trzydziestce! Chcę mieć dzieci! A wszyscy porządni faceci są pozajmowani. Jeśli chodzi o związki,

przespałam odpowiedni moment. Nie chcę zostać sama i pocieszać się karmieniem kotów jak ty.

– Może tak byłoby dla ciebie lepiej – szepnęła Julia niemal bezgłośnie. Na myśl o zwierzętach zaczęła żałować, że rano nie zdążyła sprawdzić, czy w ogrodzie pojawiła się nowa pułapka. Wystawiła tylko miski z karmą i wyjechała. Ale cóż zrobić, teraz ma na głowie dużo ważniejsze problemy niż tropienie złodzieja kotów.

Znów szły w milczeniu. Z mgły wyłonił się piękny dzień, dojrzałe dzikie róże wdzięczyły się ku ultramarynowemu niebu, a w miejscach osłoniętych od wiatru słońce grzało jak w lecie. Julia zaczynała trochę się odprężać, gdy nagle przez głowę przemknęła jej niepokojąca myśl. Stanęła, a zaskoczona Klara wpadła jej na plecy. Julia chwyciła ją za ramiona.

– Skoro masz długi, to dlaczego nie sprzedasz auta?

Dziewczyna poczerwieniała.

– Należy do Piotra. Przecież wiesz, jak nie lubię kierować. Nie chciałabym mieć swojego auta.

– Skąd wziął pieniądze na taki wóz? Myślałam, że jeszcze studiuje.

– Inwestuje na giełdzie – odpowiedziała Klara, ale nie spojrzała matce w oczy i poczerwieniała.

– Na Boga, Klaro! Byłam pewna, że nie jesteś tak głupia, by wyrzucić setki tysięcy na buty i torebki, ale pomyliłam się. Jesteś jeszcze głupsza. Czy tobie nigdy nie przyszło do głowy, że ten człowiek po prostu cię wykorzystuje?

– Nie. Kocha mnie. Twierdzi, że jestem dla niego bardzo ważna i że mnie potrzebuje. – Klara spojrzała na matkę z ukosa. – Od ciebie nigdy niczego podobnego nie słyszałam.

Weszły na szczyt wzgórza. Drzewa były tu rzadsze, trawę wyparły gołe skały, a ścieżka kończyła się na skraju przepaści. Spojrzenie w dół

przypomniało Julii inne urwisko, skalisty morski brzeg, na którym stała trzydzieści jeden lat temu, ale odgoniła to wspomnienie, zanim gardło zdążyło zacisnąć się z żalu. Nie, na pewno nie będzie o tym myśleć. Nie teraz. Gdyby tylko potrafiła wymazać tę okropną chwilę z pamięci!

Próbowała skupić się na krajobrazie – lesie sosnowym i błyszczącej wstążce rzeki wijącej się głęboko w dolinie. Na przeciwległym zboczu z mglistych oparów wyłaniała się kanciasta wieża Karlsztejna. Ciszę rozcięło trąbienie pociągu pośpiesznego, pędzącego gdzieś poza zasięgiem wzroku na trasie Praga – Pilzno. Julia się uśmiechnęła: tym razem odegnała złe wspomnienia z zaskakującą łatwością.

Kątem oka spojrzała na córkę, na jej mocno pomalowaną twarz i nieudolnie maskowane kręgi pod oczami. Klara była ładna, ale ostatnio schudła, twarz miała obsypaną pryszczami, a modnie ostrzyżone włosy – brudne. Julia zauważyła tę zmianę już kilka miesięcy temu, ale dopiero teraz zrozumiała, co się stało. Najwyraźniej z powodu długów radość została wyparta z życia jej córki przez zmęczenie i otępienie. Julia znała ten stan umysłu, choć sama nigdy nie miała problemów finansowych. Takie samo poczucie beznadziei potrafi wywołać nieudane małżeństwo i świadomość ponurej przyszłości, tak odmiennej od wymarzonego życia.

– Nie potrafisz sobie wyobrazić, jakie to jest straszne – szepnęła Klara.

– Te długi? – Julia w geście zrozumienia położyła córce dłoń na przedramieniu. Może to będzie pierwszy krok do ich zbliżenia…

– Nie! Straszna jest świadomość, że nie mogę sobie niczego kupić. Niczego! Wyobrażasz sobie, jak cierpię, gdy przechodzę w mieście obok sklepów? Wolę siedzieć w domu, by nie patrzeć na te wszystkie rzeczy, których nie mogę mieć. Przez ostatnie pół roku przywykłam do tego, że żyję jak człowiek, mamo, nie jak żebrak. A nagle nie stać mnie nawet na

koszulkę za trzysta koron! Życie bez pieniędzy jest… do niczego. Piotr ma rację.

Matka odsunęła rękę.

– Nie, nie ma. A ty powinnaś od niego odejść. Całkowicie zmienił ci hierarchię wartości, nie widzisz tego? Jesteś ładną i mądrą dziewczyną, Klaro. Zacznij wreszcie myśleć o sobie! – Lecz kiedy tylko Julia wypowiedziała te słowa, zrozumiała, jak absurdalnie brzmi ta rada w jej ustach. Dlaczego córki tak często popełniają te same błędy co ich matki? Julia długimi latami trwała w związku, który ją niszczył. Szkoda, że przed ślubem z Ludwikiem nikt nie wygarnął jej tak, jak ona teraz Klarze. – Ten człowiek nie kocha ciebie, tylko kłamstwa, których mu naopowiadałaś. Po co miałabyś z nim dalej żyć? Podaj mi jeden sensowny powód.

– Podam ci je nawet dwa. Piotr mnie kocha, a ja chcę mieć dzieci. Jak najszybciej. Nie mam ochoty szukać kolejnego faceta. Jasne, przyznaję, że popełniłam kilka błędów. Dwa błędy. Nie powinnam była go okłamywać i pożyczać tylu pieniędzy. Ale naprawię to. Ciebie proszę o jedną, jedyną rzecz. Kryj mnie. Nie musisz okłamywać Piotra. Wystarczy, że nie będziesz zaprzeczać moim słowom. Nie może się dowiedzieć, że tata pracuje w skarbówce i jest bez grosza. To by mnie zniszczyło.

To był trudny wybór. Lecz Julia miała wrażenie, że wie, która decyzja jest właściwa. Sama skomplikowała sobie swoje życie z powodu mężczyzny – czy dokładniej mówiąc: z powodu dwóch mężczyzn – i nie chciała, by córka poszła w jej ślady.

– Nie, Klaro. Nie będę cię kryć. Nie mam na to nerwów. Powiedz Piotrowi, że twój ojciec jest biedny jak mysz kościelna. Jeśli chcesz, mogę załatwić to za ciebie. Kiedyś mi za to podziękujesz.

– Dobra. – Twarz Klary była biała, jakby pod skórą nie płynęła ani kropla krwi. – Boże, co za dzień! Nasyłasz na mnie gliniarzy z powodu

jakiejś uduszonej dziewczyny, a potem chcesz jeszcze przegonić mi chłopaka. Jaka ja jestem głupia, że nie trzymałam języka za zębami! Coś ci powiem. Jeśli będziesz się mieszać między nas, jeśli zrobisz coś głupiego, a Piotr mnie opuści, nie zamienię z tobą do śmierci ani słowa!

– Opuści cię tak czy inaczej, kiedy przestaniesz mu kupować rzeczy.

Z powrotem w dolinę wracały w milczeniu.

Rozmowa z Klarą była nieprzyjemna, ale Julia wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego tak ją zaniepokoiła. Coś się nie zgadzało, coś zgrzytało, tylko co? Odłożyła filiżankę i zaczęła drzemać w fotelu. Odpowiedź przyszła w stanie połowicznego czuwania, gdy Julia była odprężona i pozwoliła myślom płynąć swobodnie. „Nasyłasz na mnie gliniarzy z powodu jakiejś uduszonej dziewczyny" – powiedziała Klara. Skąd wie, że ta dziewczyna została uduszona? Julia była pewna, że ona nic takiego jej nie powiedziała. Sama nie wiedziała, w jaki sposób ta biedaczka straciła życie. Możliwe, że sąsiedzi rozmawiają o tym morderstwie i po okolicy rozniosły się szczegóły, które jeszcze nie dotarły do uszu Julii. „Muszę spytać o to Klarę" – obiecała sobie, zanim zasnęła.

ROZDZIAŁ 11

Sen w fotelu przerwało Julii bicie zegara z wahadłem. Kiedyś go lubiła, ale w ostatnich dniach jego dźwięk raczej ją denerwował, niż cieszył. Najchętniej od razu położyłaby się do łóżka, ale wiedziała, że to niemożliwe. Przede wszystkim musi przygotować kotom kolację. Otworzyła puszkę z mięsem, wstawiła wodę na makaron i – żeby odpędzić senność – zaczęła wycierać meble miotełką do kurzu. Robiła to rzadko, a przedwczoraj zawstydziła się, kiedy ujrzała, jak inspektor przegląda zakurzone rzeczy na jeszcze bardziej zakurzonych półkach.

Zatrzymała się przed przeszkloną witryną z pamiątkami z podróży, kieliszkami i serwisem herbacianym Rosenthala. Przesuwne szkło jest niedomknięte! Julia była pewna, że rano zasunęła szybę do końca. Podejrzanie wyglądała też jedna z szuflad – domknięta niedbale i krzywo. Kto inny mógł to mieć na sumieniu niż ten przeklęty dandys Piotr? Skoro nie zawahał się przed splądrowaniem jej lodówki, prawdopodobnie bez oporów zajrzał też do szafy i szuflad. Jak wiele odkrył? Rzeczy pozostały na miejscu, ale mimo to Julia obiecała sobie, że zrobi wszystko, by Piotr jak najszybciej zniknął z jej życia.

Dziesięć minut później w kaloszach i kamizelce z futrzaną podszewką zanurzyła się w mroźnym zmierzchu. Po niemal letnim dniu nastał jesienny wieczór. Powietrze było ciężkie od mgły, chodniki wilgotne, a nad ogrodami wisiał szczypiący smród palonych liści. Julia z garnkiem jedzenia

dla kotów obeszła dom, zboczyła ze żwirowej ścieżki i ruszyła do ogrodu. Między drzewami owiał ją chłód.

– Kici kici!

W krzakach rozległ się szelest, a Julia ujrzała błysk pierwszego kociego futra. Wyklepała z misek liście i rozdzieliła do nich pokarm, nie przestając nawoływać kolejnych stołowników znanym sygnałem – stukaniem łyżką o garnek. Po chwili naliczyła wszystkich dwanaście grzbietów i poczuła ulgę. Przez chwilę stała i patrzyła, jak niektóre koty łapczywie jedzą, podczas gdy inne przyjaźnie ocierają się o jej nogawki. Jak mało wystarczy do szczęścia! Julia żałowała tylko, że sposób życia, który w pełni jej odpowiada, odnalazła dopiero teraz, gdy już trzy czwarte ziemskiej wędrówki ma za sobą. „Tak jak z mężczyznami" – pomyślała. – „Nauczyłam się ich rozumieć, kiedy nie jest mi to już prawie do niczego potrzebne".

Ruszyła w stronę świerku, pod którym kilka dni temu znalazła pułapkę na zwierzęta. Szła spokojnie, nie podejrzewała, że tym razem również zobaczy coś strasznego. Ale potem zauważyła świeżo udeptaną trawę. Od drzewa prowadziły dwie niedawno wydeptane ścieżki: węższa w lewo, szersza w prawo. A pod dolnymi gałęziami – znowu! – leżało coś ciemnego i kanciastego.

Julia z przerażenia upuściła garnek i łyżkę. Nie miała wątpliwości, że znów znalazła pułapkę. Podbiegła do niej, a gdy padła na kolana w wilgotną trawę, w nozdrza uderzył ją odrażający smród zepsutego mięsa. Na szczęście wewnątrz nie męczyło się żadne zwierzę, przynęta wyglądała na nietkniętą, ale drzwiczki były zatrzaśnięte. Najwyraźniej zamknęły się samowolnie.

– Dzięki Bogu! – szepnęła Julia, ale od razu uświadomiła sobie, że nie ma za co dziękować. Jest przecież oczywiste, że ktoś poluje na jej koty.

Kto? Dlaczego?

Powoli przyglądała się szerszej z wydeptanych ścieżek. Wydawało się bowiem, że pierwszy pas leżącej trawy po kilku metrach zanika i prowadzi donikąd, ale drugi wyraźnie wił się do płotu Truskawków. Julia z nieokreślonym strachem podniosła wzrok ku sąsiedniej willi, jakby bała się, że zostanie przyłapana na czymś zabronionym.

W oknie wykuszu poruszyła się firanka.

– Dość tego!

Julii zrobiło się z wściekłości ciemno przed oczami. Ktoś z rodziny Truskawków, prawdopodobnie Juraj, czyha przy oknie, żeby zobaczyć jej reakcję na pułapkę. Dobra. Chcą wojny, będą ją mieć. Julia, nie zważając na śmierdzącą przynętę, podniosła klatkę. Była ciężka, większa i masywniejsza niż poprzednia. Ruszyła w stronę furtki. Po drodze potknęła się o garnek, który zostawiła w trawie, ale utrzymała się na nogach i brnęła dalej. Pierwszą pułapkę schowała w piwnicy, a przy spotkaniu z Truskawkami robiła pokerową minę, ale tym razem złość pozbawiła ją skrupułów. Niech tylko ktoś spróbuje ją powstrzymać!

Wyszła na chodnik i trzasnęła za sobą żelazną furtką tak mocno, że przerdzewiały płot się zachwiał. Długo wciskała dzwonek na kolumnie przed sąsiednią willą. Potem ujęła pułapkę w obie ręce niczym broń. Możliwe, że gdyby ktoś jej od razu otworzył, nie opanowałaby się i uderzyłaby go tym ciężkim przedmiotem w głowę.

Lecz trwało kilka minut, nim w głośniku rozległ się wesoły głos Joanny Truskawki. Julia zdążyła w tym czasie trochę ochłonąć.

– Kto tam?

– Keller. Muszę porozmawiać z pani mężem.

– Mamy gości. Czy nie może pani przyjść kiedy indziej?

– Nie.

Joanna Truskawka westchnęła.

– No dobrze, skoro to takie pilne. Proszę wejść. Już otwieram.

Następnie rozległo się brzęczenie zamka, a Julia szybko łokciem popchnęła furtkę. Pod podeszwami skrzypiał jej starannie zagrabiony biały żwirek. Wzdłuż ścieżki stały kiczowate białe latarnie, ale teraz nie świeciły. Zauważyła doskonały trawnik angielski, wkopany basen i stare tuje, przycięte nożycami ogrodowymi w dziwaczne kształty. Dokładnie o takim ogrodzie zawsze marzył Ludwik – pomyślała i z zadowoleniem rzuciła okiem na ciemną dżunglę po swojej stronie płotu.

Do masywnych drewnianych drzwi z mosiężną kołatką w kształcie lwiej głowy Julia dotarła akurat w chwili, gdy gwałtownie się otworzyły. Żwirową ścieżkę zalało światło, a tuż potem opadł na nią olbrzymi cień Juraja Truskawki. Mężczyzna wyglądał nienagannie, jak zresztą zawsze, gdy Julia go spotykała. Miał na sobie wyprasowaną białą koszulę, krawat i szare spodnie od garnituru. Z jadalni dobiegał brzęk sztućców i szum głosów większej grupy ludzi. Julia zmarszczyła nos, zaatakowana powiewem drogiej wody kolońskiej. Jeśli Juraj Truskawka wydaje przyjęcie, to jak znalazł czas, by obserwować ją przez okno?

Julia wiedziała, że pierwszych trzydzieści sekund słownego pojedynku decyduje o wyniku. Dlatego nie chciała dopuścić Juraja do głosu.

– Nie zapomniał pan czegoś w moim ogrodzie? – syknęła i rzuciła mu ciężką klatkę pod nogi. Metal głośno trzasnął o próg. Juraja opuściły dystyngowane maniery i uskoczył przestraszony. „Jeden zero dla mnie" – pomyślała Julia.

– Chyba pani zwariowała! – Sięgnął po pułapkę i skrzywił się, gdy poczuł słodkawy smród zepsutego mięsa. – Co to jest? – ryknął. – Śmierdzi jak padlina.

Julia ze złośliwym zadowoleniem zauważyła, że głosy we wnętrzu domu ucichły. Wyobraziła sobie, jak goście nadstawiają uszu.

– Pan bardzo dobrze wie, co to jest. I zapewniam pana, że będę się bronić.

– Co? Pani chyba…

– Niech pan milczy! Wszedł pan bez pozwolenia na ogrodzony teren prywatny i zastawił pan pułapkę na mojego kota. Myślę, że za oba te czyny mogę złożyć oskarżenie. Spotkamy się w sądzie. – Odwróciła się na pięcie i triumfalnie ruszyła do furtki.

– Proszę poczekać!

Julia poznała po głosie Weronikę Truskawkę. Zatrzymała się niechętnie. Żałowała, że to dziecko zepsuło jej świetny występ zakończony zwycięskim opuszczeniem sceny.

– Słucham, Weroniko? – Obejrzała się, a zanim spojrzała na dziewczynę, prześwidrowała jej ojca nienawistnym spojrzeniem. Nie wydobył z siebie ani słowa i wyglądał, jakby naprawdę nie miał z pułapkami na koty nic wspólnego. „Dobry aktor" – pomyślała Julia. Zza jego ramienia wyglądała blondynka z twarzyczką barokowego anioła.

– Czego chcesz? – ponagliła ją niecierpliwie Julia.

– To jest pułapka na zwierzęta, prawda?

– Dokładnie tak. Pułapka na zwierzęta, którą ktoś podłożył w moim ogródku. – Julia bojowo podniosła wzrok na Juraja.

– Wiem, kto to zrobił.

– Ja też. Twój ojciec.

– Tata? Nie! Widziałam… Chociaż właściwie… – Weronika umilkła i przygryzła jędrną dolną wargę.

– Co widziałaś?

– W sumie to nic. Proszę o tym zapomnieć. – Dziewczyna cofnęła się do przedpokoju.

Ojciec obrócił się do niej gwałtownie.

– Co to ma znaczyć, Weroniko? Ty coś wiesz na temat tego obrzydlistwa?

– Nie, tato. Widziałam tylko… tylko cień w ogrodzie pani Keller. Przez okno. Nie wiem, kto to był. – Weronika bezradnie skakała wzrokiem z ojca na Julię i z powrotem. Było jasne, że nie mówi całej prawdy. „Prawdopodobnie dziewczyna próbuje kryć ojca" – pomyślała Julia.

– Kiedy widziałaś ten cień? – spytała Julia, żeby ją sprawdzić.

– Już nie pamiętam. – Dziewczyna podniosła ku niej oczy ciemne jak dwie studnie. Źrenice miała rozszerzone ze strachu. – Naprawdę nie pamiętam!

Julia postanowiła jej nie męczyć. Obróciła się i ruszyła w stronę swojej willi, ale po dwóch krokach stanęła, wróciła do drzwi Truskawków i podniosła z podłogi klatkę.

– To sobie, za pozwoleniem, wezmę. Koniec z łapaniem zwierząt.

– Świetny pomysł. Niech to pani bierze i się stąd wynosi. Wariatka! – Truskawka doszedł do siebie po przeżytym szoku, a głos drżał mu ze zdenerwowania. – Właśnie narobiła mi pani ogromnego wstydu. Odwiedzają mnie moi najważniejsi klienci, a pani wpada tu z jakąś śmierdzącą klatką. Jeśli jeszcze kiedyś się tu pani pokaże, to…

– To co? – Julia obróciła się i spojrzała na niego wyzywająco.

– To własnoręcznie panią uduszę. – Zaśmiał się ponuro.

– No proszę, znowu mi pan grozi. To już drugi raz w tym tygodniu. O ile mnie pamięć nie myli, we wtorek przekazał mi pan za pośrednictwem żony, że jeśli nie pozbędę się swoich kotów, otruje je pan. Powinien pan

uważać na to, co pan mówi, panie Truskawka. Jeśli moim kotom coś się stanie, naślę na pana policję.

– Mieliby słowo przeciwko słowu. Jak pani myśli, komu by uwierzyli? Właścicielowi biura nieruchomości czy postrzelonej wielbicielce kotów?

– Mam nadzieję, że temu, kto mówi prawdę. Ostrzegam pana. Proszę trzymać się z daleka ode mnie i moich zwierząt. – Podeszła dwa kroki bliżej. Sama była zaskoczona tym, ile nienawiści przesiąkło do jej głosu. – Nie jestem tak bezbronna, jak pan sądzi. Nie chcę, żeby wtrącał się pan w moje życie. A pan na pewno nie chce, by pańska żona dowiedziała się, z kim był pan w niedzielę na aukcji sztuki nowoczesnej w Hiltonie.

To był strzał w ciemno. Julia nie miała pojęcia, kim jest ta pulchna rudowłosa kobieta w płaszczu z futrzanym kołnierzem, do której Truskawka tak poufale się nachylał. Widziała ich tylko przelotnie, kiedy wychodziła z przepełnionej sali w przerwie na płacenie. Nie zauważyli jej, a ona zapomniała o tej sytuacji. Dopiero teraz zrozumiała, jak mocną broń może mieć w rękach.

Sądząc po przerażeniu, które błysnęło w oczach Juraja, strzał trafił w dziesiątkę.

– Niech się pani wynosi!

Dopiero kiedy zatrzasnęły się drzwi, Julia uświadomiła sobie, że z osłabienia nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Zamiast ulgi, że nieprzyjemną rozmowę ma już za sobą, znów poczuła, jak ze strachu ściska się jej żołądek.

Ma za sobą niezwykle ciężki dzień, a w nocy czeka ją kolejna próba nerwów. Przyjedzie do niej mężczyzna, który odwiedza ją od roku – zawsze w nocy, by nie widział go żaden z sąsiadów. Dotychczas udawało się utrzymać w tajemnicy, że się spotykają. Lecz teraz koniec z tym, mogą zapomnieć o kochaniu się w pustym domu i o nocnych rozmowach,

z których ani słowo nie dotrze do nieupoważnionych uszu. Jak kobieta może ukrywać związek, mieszkając w jednym domu z dorosłą córką?

Julia nareszcie przyznała przed sobą, że to dlatego nie chciała przyjąć Klary z powrotem pod swój dach. Tak, zależy jej na tym mężczyźnie bardziej niż na własnej córce. Nie chce go stracić. Gra dla niego w niebezpieczną grę: kłamie, ryzykuje własną reputacją. A teraz wszystkie jej starania pójdą na marne, bo wróciła Klara i odebrała jej prywatność. Co będzie dalej?

Sześć godzin później Klara leżała w pokoju na poddaszu na łóżku małżeńskim swoich rodziców i przyglądała się Piotrowi garbiącemu się nad klawiaturą. W słabym świetle trzyramiennego żyrandola kończył pracę zaliczeniową, z którą męczył się od tylu tygodni.

Zajrzał do słownika i zmarszczył brwi:

– Cholera! Prawie nic tu nie widzę!

– Kupię lampy punktowe – odpowiedziała Klara, choć nie miała pojęcia, skąd weźmie na to pieniądze.

– Ty naprawdę chcesz tu mieszkać? Ze swoją matką? – Podniósł wzrok. – Chyba żartujesz. Śmierdzi tu kotami i pleśnią. Lepiej szybko wynajmij jakieś mieszkanie albo pakuję walizki i znikam bez ciebie. A tak w ogóle to dlaczego nie wprowadziliśmy się do twojego ojca?

Odwróciła się.

– Przecież wiesz, że się z nim nie widuję. Mieszka z nową żoną i… i w ogóle. Nie bój się, to tylko rozwiązanie tymczasowe. Obiecuję.

Przez następne pięć-dziesięć minut patrzyła, jak Piotr przepisuje coś z książki do notesu. Nagle zaklął i cisnął długopisem przez pokój.

– Co jest? – Klara usiadła w napięciu. Wieczorem byli na spacerze, a Piotr miał niezwykle dobry nastrój, żartował, przyjaźnie się z nią

przekomarzał i okazywał jej zaskakująco dużo uwagi. Nie wiedziała, co wywołało tę zmianę, ale cieszyła się z niej. Teraz powrócił stary i dobrze znany Piotr-choleryk.

– Mam to gdzieś! – Jednym gwałtownym ruchem wyrwał z notesu kartkę i zmiął ją. – Rzucam to.

– Jesteś zmęczony. Rano pójdzie ci lepiej.

Cisnął papierem o ścianę i spojrzał Klarze w oczy. Miał minę jak małe dziecko zamierzające zrobić coś zakazanego, pomimo iż wie, że dostanie za to burę.

– Nie. Nie pójdzie. Kończę z tą głupią szkołą. Ekonomia to nie kierunek dla mnie. Z tego nie będzie porządnej kasy. Szkoda, że nie uświadomiłem sobie tego wcześniej.

– To co chcesz robić? – Starała się mówić neutralnie, ale głos i tak wyrażał dezaprobatę.

Piotr wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Cokolwiek. – Podszedł do łóżka i opadł na materac tak gwałtownie, że sprężyny skrzypnęły. Splótł ręce za głową i wbił wzrok w sufit. – W lutym złożę papiery na prawo. W czerwcu pójdę na egzaminy. Do tego czasu mógłbym teoretycznie pracować gdzieś dorywczo. – Oparł się na łokciu i spojrzał z bliska na Klarę. – Tylko po co miałbym to robić, złotko, skoro mogę wrzucić kilka ofert na giełdę, a ty masz pieniędzy pod dostatkiem? – Kiedy nie reagowała, kontynuował: – Słuchaj, ile masz oszczędności? Na pewno coś odkładasz, prawda? Kobiety zawsze oszczędzają i nie wydają wszystkich pieniędzy.

– Ja wydaję. Nie oszczędzam – wydusiła przez zaciśnięte gardło.

– Nie wierzę. Widzę, jaki z ciebie czasem dusigrosz. W sklepie kupujesz najtańsze wino, chociaż lubisz drogie. Na pewno masz w banku kilkadziesiąt tysięcy. Nie próbuj mi wmówić, że przepuszczasz wszystko,

co ci posyła ojczulek. – Usiadł, a oczy mu zabłysły. – Wiesz co, właśnie wpadłem na świetny pomysł.

– Jaki? – Klara czuła się zmęczona. Bardzo, bardzo zmęczona.

– Na początku ta twoja przeprowadzka wcale mi się nie podobała, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Nie jesteś do niczego przywiązana. Wykorzystajmy to. Złóż w pracy wypowiedzenie, ja rzucę studia i przez dwa-trzy miesiące pojeździmy po świecie. Co myślisz o Afryce? Zawsze chciałem ją zobaczyć.

– Sama nie wiem…

Rozłożył ręce.

– Korzystaj z życia, póki jesteś młoda i zdrowa, kochanie! Jutro może cię przejechać tramwaj i na co wtedy będą ci te oszczędności?

– Przysięgam, że nie mam żadnych oszczędności. Nie jestem typem człowieka odkładającego na czarną godzinę.

– Ściemniasz. Nie uwierzę, dopóki nie pokażesz mi wyciągów z banku. – Zaśmiał się, gdy zobaczył na jej twarzy grymas niezadowolenia, i podniósł ręce w obronnym geście. – Nie, nie. Nie wściekaj się. Żartowałem. Twoje pieniądze to oczywiście twoja sprawa. Nie jesteśmy małżeństwem. Jeszcze.

Klara nie mogła się nadziwić. Co dziś w niego wstąpiło? Po raz pierwszy przyznał, że myśli o małżeństwie. Ogarnęła ją wielka radość, którą szybko wyparło poczucie bezradności. Obiecałaby teraz Piotrowi cokolwiek, złożyłaby wniosek o kolejny kredyt i zabrałaby go do tej Afryki, gdyby tak bardzo nie była świadoma tego, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Dwie firmy kredytowe już wygrażały jej sądem i prawdopodobnie od dawna figuruje na liście dłużników. Nawet gdyby chciała zadłużyć się jeszcze bardziej, żaden bank nie pożyczy jej już ani grosza.

Będzie musiała wyznać Piotrowi przynajmniej część prawdy. Oczywiście nie powie mu, jak bardzo okłamywała go przez cały ten czas – nie teraz, kiedy przyznał, że widzi w niej swoją przyszłą żonę. O długach ani słowa. Powie mu tylko, że koniec z nocnymi hulankami i kupowaniem drogich niepotrzebnych rzeczy. Źródło pieniędzy wyschło. Kropka. Może Piotr nie będzie dociekać, co się stało.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co? Jesteś milionerką?

Zdenerwowało ją, że Piotr myśli tylko o pieniądzach. O czymkolwiek by nie rozmawiali, zawsze wcześniej czy później poruszał temat finansów. Klara uświadomiła sobie, że zaraziła się jego myśleniem i że w duchu kładzie znak równości między słowami „bogata" i „szczęśliwa".

Spróbowała się roześmiać.

– Wręcz przeciwnie. Jestem spłukana.

– Zadzwoń do taty.

Dziwne, z jakim trudem nagle przychodziły jej kłamstwa.

– To w niczym by mi nie pomogło. Jego firma… zbankrutowała. Ojciec jest zadłużony jak Argentyna. Nie dostanę już od niego ani grosza.

– Naprawdę? – Patrzył na nią przymrużonymi oczami. Nie wierzy jej! Teraz, kiedy jest bliżej prawdy niż kiedykolwiek wcześniej.

Zdenerwowała się jeszcze bardziej.

– Tak. Naprawdę. Po co miałabym zmyślać?

– Kiedy się o tym dowiedziałaś?

Dlaczego o to pyta?

– Kilka dni temu. Mam być szczera? To przez bankructwo taty musiałam się wyprowadzić. Bez jego kasy nie mogę sobie pozwolić na wynajem.

Mama kiedyś wyjaśniła jej, że jeśli już ktoś musi kłamać, powinien wpleść w kłamstwo chociaż część prawdy. Wtedy wygląda to bardziej wiarygodnie. Klara od dziecka kierowała się tą zasadą i zazwyczaj dobrze na tym wychodziła.

Lecz tym razem popełniła błąd. Piotr świdrował ją ostrym spojrzeniem.

– Przecież chodzisz do pracy! Zarabiasz pieniądze. Szesnaście tysięcy koron na rękę. Czy siedemnaście? Co robisz z tymi pieniędzmi? Mogłaś tam dalej spokojnie mieszkać!

Dziko machał rękami. Rzadko widywała go tak wkurzonego. Spoważniał, a między jego brwiami pojawiły się dwie pionowe zmarszczki. – Zaraz, zaraz! Czyli ty mnie okłamałaś! Nie pokłóciłaś się z właścicielem mieszkania? Wyprowadziłaś się z mieszkania, bo myślałaś, że nie możesz sobie już na nie pozwolić?

– To się po prostu wszystko zbiegło w czasie… Pokłóciłam się o niezapłacony czynsz. I tego samego dnia dowiedziałam się, że tata zbankrutował – zmyślała. Musi tylko zapamiętać, co naopowiadała Piotrowi. Może powinna to sobie gdzieś zapisać? – Wszystko zwaliło mi się na głowę, więc po prostu spakowałam się i wyszłam. Tak bywa. Nieszczęścia chodzą parami. – Zaśmiała się. – Słyszałeś to powiedzenie, że diabeł zawsze sra na jedną kupkę?

Piotr wciąż był poważny.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tacie od razu?

– Ja… sama nie wiem. Nie chciałam ci o tym mówić, więc powiedziałam tylko o kłótni z właścicielem mieszkania. Wydawało mi się, że tak będzie łatwiej.

– Jak często mnie okłamujesz, żeby ułatwić sobie życie?

– Nigdy! – Do oczu napłynęły jej łzy. „Ciągle" – poprawiła się w duchu. „Okłamuję cię od chwili, gdy się poznaliśmy. Dziesięć, sto razy dziennie.

Kobieta, z którą myślisz, że chodzisz, w ogóle nie istnieje. Cały nasz związek to jedno wielkie kłamstwo. Ja jestem kłamstwem".

Piotr milczał. Jasnozielonymi, niemal bezbarwnymi oczami patrzył na zakurzone ściany, a Klara zastanawiała się, o czym on teraz myśli. Opuści ją? A jeśli tak, to czy dlatego, że go okłamała, czy dlatego, że jest biedna? Potem przyciągnął ją do siebie.

– Nie szkodzi, kotku. Kocham cię. – Uśmiechnął się i zaczął ją delikatnie głaskać. – Kiedyś i tak będziesz bogata.

„Znów mówi o pieniądzach". Choć nie było jej do śmiechu, zaśmiała się. Ona bogata? Absurdalna wizja.

– Myślisz, że wygram na loterii?

– Nie. Przecież odziedziczysz po matce ten dom.

Prychnęła.

– Starą ruinę. Kto by ją chciał?

– Zwariowałaś? Dom na Babie ma olbrzymią wartość. Nawet jeśli przez dziurę w dachu padałby deszcz do łóżka, dostałabyś za niego fortunę.

– Może i tak. Ale mama jest żywa i zdrowa. Do każdego dania dodaje czosnek, a to jest naturalny antybiotyk, jeśli cię to interesuje. Za trzydzieści lat będzie w takiej samej kondycji jak dzisiaj, może nawet mnie przeżyje. Musiałabym dosypywać jej do kawy trutkę na szczury, żeby cokolwiek po niej odziedziczyć. – Przestraszyło ją to, jak cynicznie zabrzmiały jej słowa. – Oczywiście żartuję – dodała szybko.

Nigdy wcześniej nie myślała o domu matki jak o majątku, który mógłby jej przypaść. Nie potrafiła sobie wyobrazić wychowywania własnych dzieci w tych ścianach, ponieważ miała stąd wspomnienia, które ją przerażały. Ale teraz zrozumiała, że jeśli naprawdę odziedziczyłaby willę, mogłaby ją sprzedać. Na koncie w banku pojawiłaby się siedmiocyfrowa kwota. *Kilka milionów*. Znów mogłaby kupować na stacjach benzynowych absurdalnie

drogie szampany, a potem zostawiać je niedopite na blacie w kuchni, żeby się rozgazowały i ogrzały. Mogłaby kupić Piotrowi ten płaski telewizor, który wiesza się na ścianie jak obraz. Mogłaby być *szczęśliwa* i nikt nie naliczałby jej od tego odsetek.

– Myślę, że z tym domem byłyby tylko problemy – powiedziała szybko, wystraszona kierunkiem, w który pobiegły jej myśli. – Na pewno nikt by go nie chciał. Matka strasznie go zapuściła. Zresztą sam się rozejrzyj!

Piotr upierał się przy swoim.

– To wielki majątek. A tak w ogóle, to skąd go macie? Kupił go ojciec? Twoja matka raczej nie wygląda na bogaczkę.

– Bo nią nie jest. Dom odziedziczyła po siostrze babci, kiedy byłam mała. Przeprowadziliśmy się tu z mieszkania w Teplicach. Rodzice najpierw byli zachwyceni: Praga, Dejvice, dzielnica snobów. Ale potem zorientowali się, że dostali konia trojańskiego. Przyjechali i zastali dom w strasznym stanie. Ciocia była sparaliżowana po udarze, ostatnie lata przed śmiercią przesiedziała na wózku inwalidzkim. Mama często mi opowiadała, jakie spustoszenie odkryła tu po śmierci ciotki. Na ziemi sterty brudnych ubrań, zużyte chusteczki, stare leki, plamy od krwi. Wszędzie pleśń, a do tego dziurawy dach. Mama podobno siadła w tym bałaganie i przez godzinę płakała. Z początku nie chciała tu zamieszkać, ale tata ją przekonał, a potem podobno była mu za to wdzięczna. Najpilniejsze remonty pochłonęły kilkadziesiąt tysięcy. To były w tamtych czasach olbrzymie pieniądze.

– Byliście biedni?

– Zależy, jak na to spojrzeć. Na pewno nie byliśmy bogaci.

– W którym roku się tu wprowadziliście?

– W osiemdziesiątym szóstym. Miałam dziesięć lat.

– A kiedy twój ojciec założył firmę? Od razu po przewrocie?

Czy to przesłuchanie? Klara zrobiła się czerwona. Modliła się, żeby nie było tego widać w świetle lampki nocnej.

– Nie. Później.

Piotr skinął głową, jakby takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Po rozwodzie?

– Tak.

Znów skinął, jakby ją egzaminował, a ona udzieliła poprawnej odpowiedzi.

– Tak myślałem. Ten dom nie wygląda, jakby mieszkał tu kiedyś bogaty przedsiębiorca. Tylko nie rozumiem, dlaczego twój ojciec zostawił go przy rozwodzie twojej matce. Skoro nie miał jeszcze wtedy pieniędzy, powinien był lepiej dopilnować swoich spraw. Musiała mu za niego zapłacić?

Klarę ogarnął lęk. Dlaczego Piotr zadaje jej tyle pytań? Czyżby wyczuł, że przez cały czas wodziła go za nos? I dlaczego wciąż mówi o pieniądzach. Przez twarz Klary przemknął grymas zniesmaczenia, łagodny i niemal niewidoczny. Piotr go nie zauważył.

– Nie musiała mu nic dawać. Po prostu się spakował i zostawił jej dom. Należał przecież do niej, to ona go odziedziczyła. To było sprawiedliwe rozwiązanie. – Zamyśliła się. – Wiesz, myślę, że chciał po prostu rozwieść się jak najszybciej. Reszta go nie obchodziła. Miał dużo młodszą kochankę! Nie chciał kazać jej czekać i walczyć z żoną o pieniądze. Myślał rozporkiem, a nie głową. Jesteś facetem, więc na pewno umiesz to sobie wyobrazić.

Piotr wyszczerzył zęby, ale uśmiech nie rozjaśnił mu oczu. Klara zastanawiała się, czy w ogóle jej słucha.

– Wiesz, ile zarabia twoja matka?

– Raczej nie więcej niż dwadzieścia tysięcy koron. Pracuje w snobistycznej gazecie, której prawie nikt nie kupuje. Twierdzi, że nie ma

oszczędności, bo całą wypłatę pochłaniają koty i dom. – Odsunęła się od niego. – Boże, dlatego cię to interesuje?

Pokręcił głową. Jego wzrok wciąż był zamglony i dociekliwy.

– Czy twój ojciec przysyła jej pieniądze?

– Nie. Dlaczego miałby to robić?

Piotr zaczął brzdękać środkowym palcem o wargę. Wydawał mlaśnięcia, które denerwowały Klarę. Wreszcie przestał.

– Zagadka. Jak kobieta ze średnią pensją może płacić tak kurewsko wysokie ubezpieczenie? Ostatnie słowa wymówił tak cicho, że Klara nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

– Ubezpieczenie? O czym ty mówisz?

– O niczym. Po prostu głośno myślę. Zapomnij o tym.

Nagle się ożywił. Powalił Klarę na skrzypiące łóżko. Zaczął ją całować, a gdy zmiękła mu w ramionach, wsunął jej dłoń pod bluzkę. Powoli się rozebrali. Klara namacała na szafce nocnej wyłącznik lampki.

– O czym mówiłeś. – Spróbowała znów. – O jakim ubezpieczeniu.

Oparł się na łokciu.

– Nie podbieraj mnie. Dobrze wiesz, że twoja matka ma ubezpieczenie na życie na milion koron. Po jej śmierci połowa tych pieniędzy trafi do ciebie, a połowa do twojego brata.

– Co? – Usiadła tak gwałtownie, że uderzyła Piotra czołem w brodę.

– Nie mów, że o tym nie wiedziałaś.

– Nie! Ale skąd ty o tym wiesz?

– Po południu rozejrzałem się trochę po domu. Nudziłem się – dodał, jakby to go usprawiedliwiało. – Znalazłem w szufladzie umowę ubezpieczeniową.

Wzburzona Klara wzięła głęboki wdech, więc szybko dodał:

– No co? Skoro twoja matka zostawiła mnie tu samego, mogła się spodziewać, że przejrzę jej rzeczy. Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

– Ja na pewno nie.

Zignorował jej uwagę.

– Masz szczęście. Julia to praktyczna kobieta. Myśli o twojej przyszłości.

Była to na tyle nowa i szokująca informacja, że Klara nie potrafiła szybko odpowiedzieć. Julia praktyczna? Piotr musi się mylić. Bóg wie, co tak naprawdę znalazł w tej szufladzie. I dlaczego wpycha nos w nie swoje sprawy?

Z rozważań wyrwał ją nasilający się dźwięk. Po cichej ulicy nadjeżdżał samochód. Światła reflektorów przemknęły po ścianie i rzuciły na podłogę dziwaczny cień fikusów i wieszaka na ubrania. Auto zatrzymało się pod oknem pokoju.

– No proszę, co za kłamczucha. Jednak spodziewa się gości – szepnął Piotr i włączył lampkę.

– Kto? – Klara wzdrygnęła się przy słowie „kłamczucha".

– Twoja matka.

– Jakich gości? – O czym ten Piotr znów mówi?

– Po południu znalazłem mnóstwo przysmaków. W lodówce węgierską kiełbasę, w spiżarni wino. Zniknęły w moim brzuchu. Kiedy wróciłyście z wycieczki, a ty byłaś w łazience, poszedłem przeprosić twoją mamę. Spytałem, czy nie zjadłem poczęstunku dla gości. Powiedziała, że nie i że nikogo się nie spodziewa. Ale zrobiła przy tym dziwną minę. Wydawało mi się, że się zdenerwowała.

– Myślę, że naprawdę nikogo się nie spodziewa. Przecież już po północy. Kto miałby tu przyjść o tej porze?

Auto z włączonym silnikiem wciąż stało przed domem. Kierowca lekko, niemal niesłyszalnie zatrąbił, a w tej samej chwili na parterze brzęknęła porcelana, skrzypnęło gwałtownie odsuwane krzesło, a kapcie na koturnach pobiegły po drewnianej podłodze do przedpokoju.

– Zgaś światło! – Klara wyskoczyła z łóżka do okna, zahaczyła nogą o kabel lampki i prawie zrzuciła ją z szafki. – Szybko!

Kiedy pomieszczenie pogrążyło się w ciemności, Klara ostrożnie odsunęła firankę. Piotr miał rację. Matka właśnie uchyliła drzwi wejściowe, a na zniszczone granitowe schody padł stożek światła.

Auto znów ruszyło. Reflektory cięły mgłę. Oświetliły boczną ścianę budki, w której Julia trzymała kontenery na śmieci, jarzębinę przed domem i zardzewiały wrak skody. I sunęły dalej. Nagle zgasły, a wóz – elegancka ciemna limuzyna – powoli jechał w górę ulicy.

– Nie jedzie do nas – szepnęła Klara. – Ale dlaczego wyłączył światła? Matka chyba rzeczywiście spodziewa się gości, ale innych.

Auto zatrzymało się kawałek za domem Truskawków. Mgła już prawie je pochłonęła, więc Klara widziała tylko sylwetkę wysiadającego kierowcy. Miał falujące włosy do ramion i długi czarny płaszcz. Mógł to być szczupły mężczyzna lub wysoka i wysportowana kobieta. Klarę zaskoczyło, że matka nie zamknęła drzwi na dole – wręcz przeciwnie, otworzyła je na oścież, a światło z przedpokoju ozłacało gęstwinę pnących róż.

Kierowca limuzyny robił coś przy aucie. Trzasnęły drzwi, potem delikatnie opadła pokrywa bagażnika. Kierowca ruszył po chodniku z powrotem do domu Julii. Pod podeszwami jego butów skrzypiały kamyki.

– Ten człowiek tu idzie! – Klara odsunęła się od firanki, żeby nie było jej widać z zewnątrz. Nie przestawała jednak wpatrywać się w mgłę. – To chyba mężczyzna, ale nie jestem pewna. Jest jeszcze za daleko.

– Olej go. – Niezadowolony Piotr zaczął przewalać się na łóżku. Przeszkadzało mu, że Klarę bardziej interesują wydarzenia na zewnątrz niż on. – Nie rób z tego afery. Po prostu idzie tu jakiś facet. Czy twoja matka nie może mieć kochanka? Przecież nie jest aż taka stara i wygląda całkiem nieźle. Chodź do mnie i pozwól nam też na odrobinę prywatności, skarbie.

– Kochanka? Moja matka? – Klara z powątpiewaniem uniosła brwi. – Nie znasz jej. Twierdzi, że mężczyźni to natrętne robactwo. – Znów zaciekawiona podeszła do okna. – Ale może rzeczywiście kogoś ma. Tylko dlaczego nie zaparkował pod domem? Myślisz, że coś przede mną ukrywa?

– A co za różnica?

– Mam prawo wiedzieć, z kim spotyka się moja matka. A jeśli to oszust? Wyobraź sobie, że dałaby się mu ogłupić i przepisałaby ten dom na niego. Ubezpieczenie też mogłaby zmienić na jego korzyść, kosztem moim i Michała.

Żartowała, ale Piotr potraktował jej słowa poważnie. Wyczuła, że zastygł w łóżku. Wziął głośny wdech, żeby odpowiedzieć.

– Coś niesie – uprzedziła go. – Jakąś paczkę. Wygląda na dość ciężką.

Wreszcie udało się jej wzbudzić ciekawość Piotra. Wygrzebał się spod kołdry i nagi przycisnął się do jej pleców.

– Pokaż tę swoją zagadkę.

Mężczyzna właśnie przechodził po chodniku pod oknem. Był szczupły, a włosy kręciły mu się we mgle w małe pierścionki. Z poddasza nie było widać jego twarzy. Niósł nieforemną rzecz o wysokości około metra i szerokości pół metra, owiniętą w szmaty lub papier i dodatkowo zabezpieczoną folią. Ramieniem popchnął furtkę, ale zatrzymał ją nogą, zanim otworzyła się na oścież, jakby wiedział, że w pewnym miejscu zacznie głośno skrzypieć.

– Zna nasz dom – szepnęła Klara. – Ciekawe, co niesie.

– Kiedy was nie było, nagrał się na sekretarkę. Mówił, że przywiezie coś na przeprosiny czy coś w tym stylu. Nie mam pojęcia…

– Pst! – Klara szturchnęła go łokciem w żebra. – Chcę usłyszeć, co powie.

Mężczyzna wszedł po schodach do drzwi i zniknął Klarze z oczu. Rozmawiał z jej matką, ale przez zamknięte okno słychać było tylko stłumione głosy. Klara w przypływie ciekawości chwyciła klamkę i otworzyła je. Zapomniała, że jest wypaczone. Drewniana rama głośno skrzypnęła.

– Ale ty jesteś głupia! Gratuluję, teraz twoja matka wie, że ją śledzimy. I oczywiście pomyśli, że to ja podsłuchuję. Nie lubi mnie. Widzę to w jej oczach.

– Uciszysz się wreszcie, do cholery?

Czekała w napięciu, czy matka wyjdzie przed dom i spojrzy w ich okno. Zamiast tego drzwi wejściowe zamknęły się, a głosy przeniosły się na korytarz.

– Koniec zabawy, podglądaczko. Chodź do łóżka.

– No poczekaj! – Zniecierpliwiona odepchnęła rękę błądzącą po jej ciele. Gość wciąż ją intrygował. Czyżby matka naprawdę znalazła sobie kochanka?

Klara podeszła na palcach do drzwi, w ostatniej chwili omijając poluzowaną deskę w podłodze. Piotr za jej plecami westchnął niezadowolony.

– Obcy facet interesuje cię bardziej niż ja.

Tym razem uciszyła go tylko głośnym syknięciem. Uchyliła drzwi. Matka i ten mężczyzna stali pod schodami i choć dzieliło ich od poddasza wolne piętro, Klara przez szparę między poręczami wyraźnie słyszała każde słowo.

Rozległ się szelest papieru. Potem matka jęknęła:

– Zwariowałeś? Mówiłam, że niczego od ciebie nie chcę.

– Jeszcze powiedz, że ci się nie podoba.

– Ale ja nie chcę, żebyś mi cokolwiek dawał. Nigdy tego nie oczekiwałam. Przyjmuję te rzeczy tylko dlatego, że mi je wciskasz. Dlaczego to robisz? Dlaczego wciąż coś mi przynosisz?

– Chyba z miłości. – Mężczyzna od razu zaprzeczył swym słowom cynicznym śmiechem. – A może płacę w ten sposób za twoją dyskrecję. Pewnie obie odpowiedzi są prawdziwe.

– Ach, Boże. – Przez chwilę panowała cisza. – Sebastianie, posłuchaj… Nie musisz mnie kupować. Nie chcę od ciebie nic oprócz tego, żebyś czasem przyjechał i…

Zamilkła w połowie zdania. Z parteru dobiegał przerywany oddech i szelest ubrań. Coś głośno stuknęło w ścianę, jakby dwoje ludzi całowało się namiętnie – albo walczyło. Klara odwróciła wytrzeszczone oczy w stronę Piotra. „Co się tam dzieje, do diabła?"

– Zabierz to. Nie chcę cię tu z tym widzieć – powiedziała Julia zachrypniętym głosem. – Nie potrzebuję od ciebie żadnych prezentów.

– Jak sobie życzysz, najjaśniejsza pani. Ale może najpierw wypijemy lampkę wina? A potem znikam, obiecuję. Możesz mi na przykład opowiedzieć o tym morderstwie. Piszą o nim we wszystkich gazetach, a przecież wiesz, jak uwielbiam plotki. To stało się tej nocy, kiedy u ciebie byłem, prawda?

– Tak. Widziałeś kogoś wychodzącego z lasku?

– Nawet gdybym widział, zachowałbym to dla siebie. Nie chcę, żeby nasz związek się wydał.

Julia się zaśmiała. Był to dźwięczny, młodzieńczy śmiech, jakiego Klara u niej nie znała. – Ty nigdy się nie zmienisz.

– A powinienem?

– Ułatwiłoby to nam wiele rzeczy. – Julia westchnęła. – Wejdź dalej. I bądź cicho, przecież wiesz, że mam tu córkę. Jeśli słyszała, jak wchodzisz… – Zamilkła. – Zastanawiam się, co mam jej powiedzieć, jeśli o ciebie zapyta.

– Może prawdę? – zaśmiał się sarkastycznie.

Przez kilka sekund z dołu dobiegało tylko tykanie zegara z wahadłem.

– Nie – odezwała się wreszcie Julia. – Prawdę nie.

ROZDZIAŁ 12

Poniedziałek był „czerwony", czyli wyjątkowo korzystny i bezpieczny. Ludwik czekał na niego od początku października. Obudził się w spokojnym, niemal świątecznym nastroju. Przez szparę w zaciągniętych zasłonach wpadało na poduszkę szarosrebrne światło wczesnego świtu, a uchylone okno wpuszczało do sypialni świeże powietrze. Ludwik potarł oczy. Na ułamek sekundy ogarnęło go poczucie szczęścia, które jednak minęło, zanim zdążył się nim nacieszyć. Pozostało tylko zdziwienie. Czy naprawdę powodem do radości może być banalne obudzenie się kolejnego dnia? Ludwik przeżył coś takiego po raz pierwszy. Oby zdarzało się to częściej! Pod wpływem nagłego impulsu postanowił, że po pracy – dziś kończy już o wpół do pierwszej – zabierze Zuzannę na wycieczkę, na przykład do Konopiště. Kiedy wrócą, mogliby zrobić w mieszkaniu gruntowne porządki. Czerwone dni trzeba wykorzystywać jak najpełniej. Leniuchowanie nie wchodzi w grę.

Sięgnął na drugą stronę łóżka i trochę go zirytowało, że jego ręka nie napotkała tam żony. Ale była to tylko mała rysa na poza tym doskonałym dniu. Zuzanna na pewno jest w toalecie albo przygotowuje śniadanie do łóżka. Przecież wie, jak bardzo Ludwik nie lubi budzić się sam w czerwonych dniach.

Zamknął oczy i na dziesięć minut znów zanurzył się w słodkim półśnie. Za chwilę Zuzanna wślizgnie się do sypialni w krótkim, śnieżnobiałym szlafroczku, którego rąbki zawsze tak uwodzicielsko ślizgają się po

miękkich udach. Oddał się zmysłowym wizjom, które ostatnio pojawiały się w jego życiu coraz rzadziej. Miał już przecież swoje lata i pomimo iż żył z wyraźnie młodszą kobietą, seks stopniowo spadał na jedno z ostatnich miejsc jego hierarchii wartości. Ludwik przeczuwał, że Zuzanna pragnie więcej pieszczot – kilka razy nawet to sugerowała – ale on nie zamierzał jej ustępować. Im częściej się będą kochać, tym większa będzie szansa na spłodzenie niechcianego potomka – w tym temacie Ludwik nie miał wątpliwości. Wolałby do śmierci żyć w celibacie, niż wychowywać na starość kolejne dziecko. Szczerze mówiąc, trochę się obawiał, że Zuzanna któregoś dnia wysłucha wołań natury i potajemnie odstawi antykoncepcję.

Ale nie w czerwony dzień. Dziś wszystko jest bezpieczne – nawet seks. Astrologia jeszcze nigdy Ludwika nie zawiodła. Otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Siódma dwadzieścia! Szybko usiadł. Najwyraźniej znów usnął, bo budzik dzwonił za dziesięć siódma. Pół godziny przeznaczone na miłość przeleciało właśnie Ludwikowi między palcami, choć nawet nie dotknął Zuzanny. Gdzie ta kobieta się podziewa?

Wyskoczył z łóżka tak szybko, że zakręciło mu się w głowie. Oparł się ramieniem o ścianę. Zanim sypialnia przestała się wściekle kręcić, minęły kolejne trzy minuty. Nie będzie już żadnych porannych pieszczot, żadnych ud Zuzanny w rozcięciach cienkiego szlafroczka, żadnych kawowych pocałunków. Ludwik głośno zaklął. Dokładnie za trzydzieści siedem minut powinien usiąść przy biurku w urzędzie skarbowym. Wprawdzie pracował przy sąsiedniej ulicy, a dojście do pracy zajmowało mu od zatrzaśnięcia drzwi mieszkania do otwarcia drzwi biura zaledwie osiem minut, ale jeśli chce wziąć prysznic i zjeść śniadanie, musi się pośpieszyć. Ludwik zawsze, bez względu na okoliczności, je duże śniadanie. Dba o swoje zdrowie i nie zamierza przez nieregularną dietę nabawić się wrzodów żołądka.

– Zuzko? Wszystko w porządku, kochanie?

Cisza.

Wyszedł z sypialni, rozpinając po drodze prążkowaną górę od piżamy. Idąc, nadepnął prawą nogą na czubek lewej skarpety narciarskiej i wyciągnął z niej stopę. W taki sam sposób zdjął prawą skarpetę i obie zostawił na podłodze tam, gdzie zsunęły mu się z nóg. Od zawsze sypiał w ciepłych skarpetach, żeby w nocy się nie przeziębić. W mroźne dni jego sypialnia zmieniała się w jaskinię lodową, bowiem Ludwik bał się zamkniętych przestrzeni i niezależnie od pogody sypiał przy uchylonym oknie. Za kilka tygodni do ciepłych skarpet dołączy baranica ze sztucznej skóry. A że jest trochę nietypowa? No i co z tego? Przypomniał sobie źle ukrywane zdumienie Zuzanny, gdy po raz pierwszy położył się do wspólnego łóżka w skarpetach i czapce. Zuzanna, na przekór zimnu, przez cały rok sypiała tylko w cienkiej koszuli nocnej. Twierdziła, że otwarte okno w ogóle jej nie przeszkadza. To Ludwik w niej lubił – tę tępą zdolność do ustępstw, dostosowywanie się i nieskończoną tolerancję. W porównaniu z krnąbrną Julią Zuzanna była prawdziwym skarbem.

O ile akurat nie psuła mu czerwonego dnia.

Wściekły Ludwik zajrzał do łazienki, do toalety i do kuchni. Nic. Mnąc dłonią zarośniętą brodę, powoli podszedł do stołu. Na dworze powoli się rozjaśniało, a przez okno wpadło do kuchni niebieskoszare światło, od którego Ludwikowi mieniło się w oczach. O talerz przykryty nierdzewną pokrywką oparta była wiadomość.

Poszłam coś załatwić. Miłego dnia. Do zobaczenia po południu. Z.

Ludwik wpatrywał się w kartkę wyrwaną z notesu, zapisaną dużym, krągłym, niemal dziecięcym pismem.

– Co to ma znaczyć?

Jeszcze nigdy nie wyszła z domu, wcześniej się z nim nie naradzając, nie mówiąc, dokąd idzie i kiedy wróci. Przez cztery lata przestrzegała bez

marudzenia niepisanych zasad, dzięki którym ich małżeństwo chodziło jak w zegarku. Na swoją obronę Ludwik od razu dodał w duchu, że przecież nie oczekuje od Zuzanny niczego, czego sam nie robi. Zawsze informował żonę o wszystkich swoich wyjściach, ale nie było ich zbyt wiele – właściwie chodził tylko do pracy i czasem do lekarza. Ani razu nie poszedł z kolegami na piwo. Nawet do głowy by mu nie przyszło, by w drodze z biura zboczyć ze znanej trasy i umilić sobie czas samotnym spacerem. Wyznawał teorię, że małżonkowie powinni cały wolny czas spędzać razem i że wszystkie kroki muszą bezwarunkowo ze sobą omawiać. Dlaczego kobiety tego po prostu nie zaakceptują?

Wzniosły nastrój prysł, a zirytowany Ludwik zmiął kartkę w kulkę. Uświadomił sobie, że stoi boso na zimnych kafelkach, i zaklął. Jeśli się przeziębi, będzie wiedział, kto jest temu winien. Zuzanna zepsuła mu czerwony dzień, jedyny czerwony dzień w październiku! Horoskopu na listopad Ludwik jeszcze nie znał. Kto wie, ile czerwonych dni czeka go w przyszłym miesiącu. Może znów tylko jeden, a może nawet żaden! Jak Zuzanna mogła wyjść akurat w dniu, w którym *tradycyjnie* uprawiają seks?

Poszedł po kapcie, usiadł przy stole i z nieobecną miną zaczął przeżuwać twardy tost z zimnym, trochę spalonym jajkiem sadzonym. Nie przygotowała mu nawet porządnego jedzenia! Bestia! Z prysznica zrezygnował, było już za sześć ósma. Przyjdzie do biura spóźniony o całe dwie minuty! To też jest wina Zuzanny.

Na chodniku prawie wpadł na panią Liman z mieszkania naprzeciwko, podobnie jak w sobotę, gdy potajemnie śledził Zuzannę.

– Pan ciągle się gdzieś śpieszy, panie Keller – wycharczała staruszka. – Do pracy, do pracy?

– A dokąd by indziej? Proszę zejść mi z drogi – warknął.

– Widziałam rano szanowną małżonkę. – Pani Liman oparła torbę na kółkach o mur, jakby zakładała, że rozpocznie z Ludwi kiem rozmowę. Miała około osiemdziesięciu lat, była zgarbiona i pomarszczona jak przemarznięte jabłko. Zapewne kiedyś była bardzo piękna i pozostało jej upodobanie do próżności. Zaspy pudru w głębokich zmarszczkach i srebrzyste cienie pod opadającymi powiekami miały wywołać iluzję młodości i świeżości, lecz wzbudzały raczej współczucie wobec kobiety, która nie potrafi starzeć się z godnością. Nieposłuszne włosy, a właściwie meszek, sterczały jej wokół głowy na wszystkie strony niczym biała aureola.

– Wychodziła z mieszkania na paluszkach, żeby pana nie zbudzić.

To Ludwika zaciekawiło. Pani Liman była znaną plotkarką i monitorowała wszystko, co działo się wokół.

– O której godzinie?

– O wpół do siódmej. Szłam akurat na badania, więc wiem dokładnie…

Niecierpliwie wszedł jej w słowo:

– Nie mówiła, dokąd idzie?

Pani Liman pytająco uniosła brwi. Miała je całkowicie wydepilowane i niewprawnie namalowane drżącą ręką. Ludwik wyobraził sobie, jak ta kobieta wieczorem zmywa z siebie makijaż, aż w końcu z lustra zaczyna na nią patrzeć naga, pomarszczona twarz bez brwi.

– Takie rzeczy chyba powinien wiedzieć raczej pan, prawda? – zauważyła chłodno.

– Gdybym wiedział, nie pytałbym pani.

– Mówiła, że idzie na jakieś spotkanie – rzekła staruszka z drwiącą nutą w głosie. – Czyżby żonka zdradzała? – Z tymi słowy ścisnęła w drżącej dłoni uchwyt torby na kółkach i sapiąc, zaczęła z mozołem wchodzić po

schodach. – Co za pech, że nie mamy tu windy. Gdybym wiedziała, że dożyję do osiemdziesiątki, nie wprowadzałabym się do bloku bez windy.

Zirytowany Ludwik obrócił się do niej plecami. Spotkanie? Jakie spotkanie może mieć bezrobotna kobieta o siódmej rano? To przypomniało mu cel jej sobotniej wyprawy. Nie była u lekarza, jak twierdziła, tylko u Julii. Czy poszła tam również dzisiaj? Te dwie prawdopodobnie przyjaźnią się i spotykają za jego plecami. Może widują się codziennie, kiedy Ludwik jest w pracy. A jeśli Julia odwiedza Zuzannę w jej mieszkaniu – *w jej i Ludwika mieszkaniu* – i obgadują go przy kawie i ciasteczkach? Na razie nie pytał Zuzanny, co robiła u Julii, bo nie chciał, żeby wiedziała, że ją śledził. Poczułaby się zagrożona i następnym razem działałaby ostrożniej. Niech sobie myśli, że go przechytrzyła, przynajmniej pozbędzie się obaw i będzie coraz odważniejsza. Ludwik bardzo chciałby wiedzieć, co te dwie knują. Szkoda, że dziś Zuzanna okazała się sprytniejsza i wymknęła się mu!

– Ja jej pokażę – syknął, a dwie kobiety, które akurat mijały go na chodniku, obejrzały się zaskoczone.

Dopóki chodzi do pracy, wszystko ma utrudnione. Zuzanna codziennie zostaje bez nadzoru. Oczywiście regularnie dzwonił na telefon stacjonarny, żeby sprawdzić, czy jest w domu, ale jak mógłby sprawdzić, czy jest tam sama? Najchętniej złożyłby wypowiedzenie, żeby mieć Zuzannę pod ciągłą kontrolą. Może tak zrobi. Musi tylko doczekać do wieku emerytalnego. Cieszył się na ten dzień jak małe dziecko.

Kiedy przechodził przez portiernię, jego myśli kręciły się wokół Julii. To z pewnością jej zasługa, że Zuzanna zrobiła się taka nieposłuszna. Czy jego była żona spotyka się z obecną po to, by zemścić się za rozwód? Buntuje ją przeciw niemu? Ma żal i próbuje rozbić ich szczęśliwe małżeństwo?

Otworzył swój gabinet, ostrożnie zamknął za sobą drzwi, a gniew kipiał w nim już tak dziko, że Ludwik musiał wziąć głęboki oddech, żeby trochę się uspokoić. Co za bestia! Poczuł ulgę, gdy zobaczył, że jest sam – stół jego kolegi był starannie posprzątany, a krzesło dosunięte. Cichy i uprzejmy Józef Kubesz najwyraźniej zachorował lub wziął urlop.

Ludwik ściągnął marynarkę, powiesił ją na wieszak i strzepnął z klapy niemal niewidoczny paproszek. Stanowczym krokiem podszedł do okna i otworzył wentylację. Bolała go głowa, a skóra na skroniach była napięta, jakby mózg miał za chwilę wybuchnąć i rozprysnąć się po ścianach. Ludwik podszedł do biurka, a jego wzrok padł na kalendarz z polem oznaczonym na czerwono. Dziś jest czerwony dzień. Ludwik jeszcze nigdy nie miał tak fatalnego czerwonego dnia.

– Cholera!

Wziął z biurka pierwszy przedmiot, który wpadł mu w rękę – kalkulator – i mocno cisnął nim o ścianę. Plastikowa obudowa rozpadła się na kilka kawałków. Na stare linoleum spadły dwie długie baterie.

Ludwik wyobraził sobie, że dokładnie w ten sposób rzuca o ścianę Julią. Natychmiast poczuł ulgę.

Ale kiedy po południu wrócił do domu, a Zuzanna oświadczyła mu z niewinnym uśmiechem, że rano musiała iść do lekarza, znów zrobiło mu się ciemno przed oczami. Nie wierzył w ani jedno jej słowo. Już nigdy jej nie uwierzy. Jak mógłby wierzyć, skoro spoufaliła się z Julią?

Bez słowa chwycił Zuzannę za szyję i popchnął ją na meble kuchenne tak mocno, że ledwo udało się jej zaczerpnąć powietrza. Potem zrobił sobie herbatę i – żeby nie musieć słuchać jej cichego płaczu – poszedł obejrzeć w telewizji wiadomości.

Czyhanie na właściciela pułapki nie miało już sensu. Zdradził się sam. Julia była pewna, że zastawił ją Juraj Truskawka. Wprawdzie kiedy wczoraj go zaatakowała, wyglądał na zaskoczonego, ale to potwierdza tylko jego talent aktorski, a nie niewinność.

Julia jeszcze nigdy nie spotkała człowieka z oczami tak złymi jak oczy Juraja Truskawki. Emanowało z nich coś okrutnego, podstępnego, pierwotnego, co nie słabło nawet wtedy, gdy Juraj się uśmiechał. Zawsze kiedy ich spojrzenia się przecinały, klatka piersiowa Julii kurczyła się od nieprzyjemnego przeczucia. Julia wiedziała, że osądza sąsiada tylko na podstawie wyglądu, którego przecież nikt sobie nie wybiera, lecz mimo to była pewna jego winy. W sądzie przegrałaby z kretesem. Nie miała żadnych dowodów. Tylko te jego oczy… Kiedy wczoraj ujrzały klatkę, błysnęło w nich zaskoczenie, lęk, a potem wściekłość. A później wbiły się w Julię, jakby chciały ją przepędzić. Wprawdzie Juraj zdecydowanie zaprzeczał, że ma z tą sprawą coś wspólnego, ale Julia wierzyła, że ciało mówi o ludziach więcej niż ich słowa.

Była niemal pewna, że Juraj Truskawka pod osłoną nocy wkradł się na jej posesję i zostawił tam klatkę z przynętą. Kiedy wrócił po zdobycz i zobaczył, że klatka zniknęła, przyniósł drugą, jeszcze większą.

Jaki motyw mógł zmusić tego wymuskanego współwłaściciela agencji nieruchomości do tak ohydnych czynów? Nienawiść do zwierząt? Frustracja z powodu rozpadającego się małżeństwa? Z trudem ukrywane zboczenie? Chore pragnienie napędzenia strachu samotnej kobiecie? Jeśli odpowiedzi C lub D są poprawne, to Juraj Truskawka może być niebezpieczny. Niektórym ludziom przynosi satysfakcję strach lub cierpienie innych istot. Czy Juraj Truskawka może być jednym z nich? Czy chciał złapanego kota *męczyć* i czerpać zadowolenie ze świadomości, że zwierzę jest zdane na jego łaskę i niełaskę? Julię przeszył lodowaty dreszcz.

Spojrzała na Pana Ministra, który rozsiadł się wygodnie na lodówce. Przecież nikt nie mógłby dla własnej radości skrzywdzić tak pięknego, wrażliwego i inteligentnego zwierzęcia.

– Boże, to nie może być prawda!

Zaraz potem zaczęła sobie wyrzucać, że tak szybko pozwoliła ponieść się wyobraźni. Wprawdzie nie przepadała za Jurajem Truskawką, ale myśl, że w domu zrzuca on z siebie garnitur z krawatem, wkłada rękawice robocze i zajmuje się męczeniem zwierząt, wydawała się jej absurdalna. Owszem, bez wątpienia jest cholerykiem, ale gdy nagromadzi się w nim złość, rozładowuje ją na żonie. Julia wiedziała o tym aż za dobrze, byli przecież sąsiadami.

Większą klatkę położyła w piwnicy obok pierwszej, małej, i próbowała zapomnieć o całej tej obrzydliwej sprawie. Wzywanie policji lub wysyłanie skargi do urzędu miejskiego nie miało sensu, bo sąsiedzkie spory ciągną się latami i w przypadku braku dowodów prowadzą donikąd. Nie trzeba podsycać konfliktu – oczywiście pod warunkiem, że Truskawka nie pojawi się w ogrodzie po raz trzeci. Ale to na pewno się nie stanie.

Poszukiwania właściciela klatki zostały zakończone, a Julii pozostał tydzień niepotrzebnego urlopu. Żałowała, że bezsensownie zmarnowała wolne dni na ślęczenie przy oknie i czyhanie na intruza. I tak przyszedł akurat wtedy, gdy nie patrzyła. Ale rozpamiętywanie błędów nic nie da. Pozostały tydzień urlopu spróbuje wykorzystać w ciekawszy sposób.

Z Klarą nie rozmawiała od wczorajszego wyjazdu. Mogła tylko mieć nadzieję, że młodzi spali, kiedy w domu późnym wieczorem pojawił się gość. Co powie, gdy córka spyta, kim był mężczyzna stojący o drugiej w nocy przed drzwiami z dziwnym pakunkiem? Julia potrafiła kłamać i miała przygotowanych kilka różnych wyjaśnień, ale w świetle dnia wszystkie wydały się jej absurdalne. Może powinna po prostu przyznać:

„Tak, mam kochanka. Chodzę z żonatym mężczyzną, a jakby to samo w sobie nie było wystarczająco trudne, ten mężczyzna jest znanym reżyserem, a po piętach wciąż depczą mu paparazzi. Dlatego odwiedza mnie wyłącznie w nocy, kiedy są najmniejsze szanse na to, że nasz związek się wyda. Gdy spotykamy się w innych miejscach, udajemy, że się nie znamy. Bywa to strasznie denerwujące". Julia westchnęła. Nie, nie powinna nikomu mówić o Sebastianie. Dopóki zachowuje tę tajemnicę dla siebie, jest bezpieczna.

Cieszyła się, że Klary nie ma w domu. Wcześnie rano słyszała, jak córka zbiega po schodach, potem trzasnęły drzwi wejściowe i skrzypnęła furtka. Piotr na pewno też wyszedł, bo z poddasza nie dobiegały żadne odgłosy. Bogu dzięki! Julia nie wiedziała dlaczego, ale w obecności Piotra mięśnie brzucha napinają się jej ze zdenerwowania. Co Klara widzi w tym wychudzonym, oskubanym kurczaku? Piotr ma zapadniętą klatkę piersiową, na głowie półcentymetrowego rudawego jeżyka, a w zielonych oczach lśni mu czasem chłodne wyrachowanie. Owszem, jest wyraźnie młodszy od Klary, lecz to nie w tym tkwi problem. Julia dobrze widziała, jak podczas przeprowadzki pozwolił nosić Klarze ciężkie pudła i jak pchał się do domu, nie przepuszczając w drzwiach swojej dziewczyny. Być może ma buntowniczy czar – przyznała Julia – ale podstawy dobrego zachowania, wpajane pokoleniu Julii od wczesnego dzieciństwa, jemu są całkowicie obce. Julia mogłaby mu to wybaczyć, gdyby nie ta absurdalna historia Klary o ojcu-przedsiębiorcy. Zatem nasz drogi Piotr wierzy, że chodzi z kobietą z bogatej rodziny – a ściślej mówiąc, że Klara ma bogatego ojca, po którym kiedyś odziedziczy wielki majątek. Julia prychnęła zniesmaczona. Może powinna posadzić Piotra na tapczanie, zrobić mu kawę i powiedzieć prawdę o Ludwiku. To byłby prawdopodobnie najprostszy sposób na pozbycie się tego chłopaka z domu.

Żeby zacząć myśleć o czymś przyjemniejszym, otworzyła kalendarz wydarzeń kulturalnych. Dziś o dwunastej trzydzieści pójdzie do biblioteki na wykład o architekturze romańskiej. Przedtem wstąpi do którejś z kawiarni na Starym Mieście na grzany sok jabłkowy z cynamonem, a jeśli po wykładzie nie będzie się jej jeszcze chciało wracać do domu, kupi sobie kilka rogalików i pójdzie pokarmić mewy na Moście Karola.

Na piątek żadnego planu obmyślać nie musi, ponieważ jest zaproszona na tradycyjne jesienne grillowanie u Hrubeszów, które odbywa się co roku w ostatni weekend października jako przyjęcie urodzinowe Lady. Niestety przyjdzie tam również Juraj Truskawka, wieloletni kolega Wacława – uświadomiła sobie z przykrością. No cóż, tak musi być. Czy się jej to podoba, czy nie, będzie musiała jakoś znieść obecność Truskawki. Nawet przez myśl jej nie przeszło, by odrzucić to zaproszenie. Nie może jej przecież zabraknąć na urodzinach najlepszej przyjaciółki!

Najbardziej cieszyła się na weekend. W sobotę pójdzie na aukcję dzieł sztuki organizowaną przez dom aukcyjny Sen. A w niedzielę na licytację w domu aukcyjnym Ametyst – jedno z najbardziej prestiżowych wydarzeń w tej branży. Julia uwielbiała podekscytowanie towarzyszące licytacjom w sali wypełnionej dystyngowanymi kolekcjonerkami z kapelusikami na głowach oraz obcesowymi handlarzami z ciężkimi złotymi łańcuchami na szyjach. Na tak wyjątkowym wydarzeniu powinna sobie coś kupić. Może tę srebrną broszkę z początku wieku, która tak bardzo podobała się jej w katalogu? Na myśl o emocjonującym boju o upragniony przedmiot zaszumiała jej krew w skroniach. Jeszcze jest jesień, a przedświąteczny sezon aukcyjny już rusza pełną parą.

Narzuciła płaszcz, wsunęła do kieszeni skórzane rękawice i po krótkim zawahaniu włożyła do torebki książkę. Jeśli chce posiedzieć w kawiarni, powinna mieć ze sobą coś do czytania, żeby nie musieć gapić się w ścianę.

Wprawdzie już dawno przyzwyczaiła się do samotności, ale wciąż miała w sobie zakorzenione staromodne przeświadczenie, że kobieta siedząca w kawiarni bez towarzystwa wygląda, jakby polowała na mężczyzn. Nie chciała, by ktoś pomyślał o niej w ten sposób.

Kiedy zamknęła za sobą furtkę, zauważyła, że ze skrzynki na listy wystaje rożek koperty z brązowawego papieru ekologicznego. Było dopiero za piętnaście dziesiąta, więc najwyraźniej listonoszka przyszła dziś wcześniej niż zazwyczaj. Julia odszukała w torebce kluczyk i wyciągnęła list.

Par avion. Znaczek z Unii Europejskiej. Od kogo to mogło być? Rzadko przychodzą do niej listy na adres prywatny, a przesyłki z zagranicy nie dostała od kilku lat. Czyżby wytropił ją jakiś międzynarodowy dom aukcyjny i chce zaproponować współpracę „Czeskiemu atelier"? Może zapraszają ją na jakieś wielkie wydarzenie, na przykład na licytację angielskiej siedziby szlacheckiej wraz z wyposażeniem, jakie czasem organizuje Christie's. Zamiast od razu otworzyć kopertę, położyła ją na słupku płotu i zaczęła szukać w torebce futerału z okularami. Podobało się jej przedłużanie chwili niepewności i ekscytującego oczekiwania. Czuła się, jakby zwlekała z rozpakowaniem prezentu, a zamiast otworzyć pudełko, najpierw potrząsała nim i próbowała zgadnąć, co jest w środku. Włożyła okulary i z bliska spojrzała na pieczątkę. Le Palais.

Julii zrobiło się tak słabo, że musiała oprzeć się ramieniem o furtkę, żeby nie upaść.

Le Palais, Wyspa Belle-Île, Bretania.

Gardło się jej ścisnęło, jakby ktoś ją dusił.

Przeczuwała, że kiedyś ta chwila nastanie.

Zatem przeszłość wreszcie ją dopadła.

ROZDZIAŁ 13

– Był sobie raz król. Stareńki, ale wciąż rządził i cieszył się życiem. Było mu dobrze. Wszystkiego miał pod dostatkiem, mógł do woli jeść i pić, bawić się i odpoczywać, a bogactw różnych miał tyle, że nie potrafił ich nawet zliczyć. Tylko jedna rzecz go martwiła: że wkrótce będzie musiał to wszystko opuścić, że umrze… Rozmyślał więc, jak tego uniknąć. Coś wciąż podpowiadało mu, że nie wszyscy ludzie muszą umierać i że wiecznie mogliby żyć ci, którym się na świecie dobrze wiedzie, a umierać mogliby tylko ci, którzy by chcieli. I tak długo o tym rozmyślał, aż postanowił znaleźć czarodzieja potrafiącego zatrzymać czas…

Pan Minister zeskoczył Julii z kolan, przeciągnął się i ziewnął. Podniosła wzrok znad książki:

– Nie ciekawi cię to?

Kocur wlepił w nią mądre, bursztynowe oczy.

– Miau – odparł jak zawsze, kiedy Julia go zagadywała. To był ich rytuał.

– Jeśli ci się nie podoba, nie musisz słuchać. Nikt cię nie zmusza.

Kocur uparcie się w nią wpatrywał, jakby czytał z ruchu jej warg.

– Miau – powiedział wreszcie poważnie, podszedł do okna tarasowego i tęsknie wyjrzał na ogród.

– Na twoim miejscu nie wychodziłabym w nocy na dwór. W domu jest lepiej.

Na okrągłym stoliku obok fotela Julia miała butelkę porto i szlifowany kieliszek. Dolała sobie. Co innego pozostaje jej dziś wieczorem? Co innego pozostaje jej przez wszystkie kolejne wieczory?

– Chcesz latać za kocicami? Daj sobie z nimi spokój. I tak cię nie chcą – rzuciła do Pana Ministra i sięgnęła po kieliszek. – Wykastrowane kocury śmierdzą jak samiczki. Wstyd, co? Mam taki jeden zabawny poradnik o kotach. Wiesz, co piszą w nim o was, o kastratach? *Czasami łażą za nimi kocury jak za kotkami w rui.* Chyba lepiej siedzieć w domu i słuchać bajek, prawda?

Była pijana, ale jeszcze nie wystarczająco. Za każdym razem, kiedy pomyślała o kopercie z papieru ekologicznego, wsuniętej w szufladzie pod stos dokumentów, podnosiły się jej włosy na karku.

Gdy rano rozerwała kopertę i wyjęła z niej kartkę złożoną na czworo, natychmiast zrozumiała, co się stało. Była to klepsydra. Julia poznała to po czarnej ramce, przeświturającej na drugą stronę. *Jacques albo Kamila*. Rozłożyła kartkę. Klepsydra była napisana po francusku. *Jacques Lapin*. Bez słowa wyjaśnienia.

Czyli Jacques umarł. Dwa tygodnie temu, list z Francji szedł długo. Jak do tego doszło? Miał tylko pięćdziesiąt pięć lat. Co robił przez cały ten czas, który upłynął od ich ostatniego spotkania? Jak żył? Usiadła na podmurówce płotu i patrzyła gdzieś w pustkę, dopóki z otępienia nie wyrwało jej ironiczne pytanie:

– Cóż to, zakręciło się pani w głowie?

Jeszcze zanim Julia podniosła wzrok, poznała głos Joanny Truskawki. Pamiętała jak przez mgłę, że powiedziała sąsiadce „dzień dobry", z trudem wstała, wróciła do domu i schowała klepsydrę do szuflady.

Straciła ochotę na wykład o architekturze romańskiej i spacer po mieście. Nie ugotowała nawet obiadu, a przez cały dzień dolewała sobie

tylko kawy i porto. Język kleił się jej do podniebienia. Może powinna nalać sobie trochę wody? Ale kuchnia wydaje się tak daleko…

Julia pochyliła się nad książką. Wiedziała, że czytanie kotu bajek jest głupie, ale chwilowo nie potrafiła wymyślić żadnego skuteczniejszego sposobu na relaks. Wodziła oczami po literach, ale nie mogła skupić się na znaczeniu słów. Żona Kamila – jest napisane na klepsydrze. Czyli nie rozwiedli się. Została z nim pomimo tego, co się stało. A on został z nią.

Julia zrozumiała, w jak absurdalnej sytuacji się znalazła. Czy nie powinna upajać się teraz poczuciem ulgi i wyzwolenia? Jedyny człowiek, który znał jej tajemnicę, nie żyje. Już niczego nikomu nie powie. Nareszcie jest wolna.

Ale jak Kamila ją znalazła? Po raz ostatni rozmawiały WTEDY – 20 czerwca 1975 roku. Ich przyjaźń skończyła się w tym strasznym dniu, niespodziewanie i nieodwracalnie. Potem Julia wyszła za mąż, zmieniła nazwisko, przeprowadziła się z Teplic do Pragi. Jej rodzice nie żyją. Nie utrzymuje kontaktu z żadnym wspólnym znajomym, odgrodziła się od przeszłości grubą kreską. Tylko Jacques wiedział, jak się teraz nazywa i gdzie mieszka, choć nie widzieli się od trzydziestu jeden lat i od dawna do siebie nawet nie pisali.

„Przed śmiercią dał Kamili mój adres. Czyli powiedział jej, że utrzymywaliśmy kontakt również POTEM. Dlaczego to zrobił? Co jeszcze wyjawił żonie? Wszystko?".

Julia znów sięgnęła po porto i spojrzała w złote oczy Pana Ministra.

– Na czym skończyliśmy? – Książka na jej kolanach zamknęła się, ale Julia szybko znalazła stronę, na której przed chwilą zaczęła czytać kolejną bajkę. – Aha, już mam… – Usadowiła się wygodnie w fotelu. – *Od tej chwili król zapraszał na swój dwór różnorakich magów i uczonych, by wypytywać ich, czy istnieje jakiś sposób, by zatrzymać czas lub przedłużyć*

życie człowieka. Jedni obiecywali, że wynajdą eliksir przedłużający życie, inni przechwalali się, że potrafią powstrzymać starość i…

Dom był pusty i cichy jak wówczas, gdy Julia mieszkała sama. W ogrodzie zapadał zmrok, a Pan Minister, pogodzony z wizją wieczoru spędzonego w domu, zrezygnowany usnął na dywaniku przed oknem tarasowym.

Julia odłożyła książkę na stół, wstała z fotela, otworzyła najniższą szufladę mebli i wyciągnęła z niej szkolny zeszyt. Dziś dokończy swoją opowieść. Powierzy papierowi to, co jej ciąży. Miała wrażenie, że jeśli tego nie zrobi, głowa pęknie jej z napięcia. Zamiast ryzykować kolejną nieprzespaną noc, wolała ponownie przeżyć sekundy, o których przez trzydzieści jeden lat nie chciała nawet myśleć – a potem raz na zawsze zamknie za nimi drzwi.

Przeleciała wzrokiem po nierównych rzędach liter, zamyśliła się na kilka sekund i zaczęła pisać.

Juraj i Joanna Truskawkowie obejrzeli wiadomości i zamówili taksówkę na dwudziestą trzydzieści. Joanna zamknęła się w łazience, a po dwudziestu minutach wynurzyła się z niej w doskonałym makijażu i w wesołym nastroju, który zazwyczaj świadczył u niej o nieco podwyższonym poziomie alkoholu we krwi. Uwielbiała święto niepodległości. Był to jeden z najbarwniejszych dni w jej szarym życiu. Dzięki kontaktom z wysoko postawionymi urzędnikami Juraj był co rok zapraszany na przyjęcie w zamku prezydenckim. Pojawiali się tam politycy, znani artyści, wpływowi przedsiębiorcy i inni wybrańcy. Joanna z wielką przyjemnością towarzyszyła tego dnia mężowi. Lubiła czuć, że – choć na kilka godzin – należy do najwyższych warstw społecznych.

Kiedy wsiadała do taksówki, zakręciło się jej w głowie od upojnej świadomości, że podczas gdy ona jedzie na przyjęcie, w którym udział weźmie również prezydent kraju, to zwykli ludzie (z nizin społecznych, ten motłoch jak na przykład sąsiadka Julia Keller), spędzają zwykły wieczór przed telewizorem. Joanna była szczęśliwa. Och tak, była dziś szczęśliwa mimo tego, że kiedy wyszli z domu, a ona przytuliła się do męża, odsunął się od niej z obrzydzeniem, a w taksówce szybko usiadł obok kierowcy, choć zazwyczaj siadał razem z nią na tylnym siedzeniu. „Nie zepsujesz mi dzisiejszego wieczora, Juraju Truskawko" – pomyślała i spojrzała ukosem na jego ostry profil. Kiedy odwracała od niego wzrok, zauważyła, że zegar na desce rozdzielczej wskazuje godzinę 20:38. To ją zdenerwowało.

– Na co czekasz, człowieku? Jedziemy! – wybuchła zniecierpliwiona. – Jesteśmy zaproszeni na ważną imprezę towarzyską w zamku prezydenckim, czy pan to rozumie? Nie mamy czasu do stracenia.

Weronika z okna mansardy patrzyła, jak tylne czerwone światła taksówki nikną we mgle. Nareszcie! Dziwne, jaką ulgę zawsze czuła, kiedy rodzice wychodzili z domu. Dopiero kiedy zamknęły się za nimi drzwi, uświadomiła sobie, w ich obecności zaciskała ze strachu mięśnie brzucha i tłumiła oddech w obawie przed kolejną kłótnią. Dlaczego po prostu się nie rozwiodą? Dlaczego nie zejdą sobie z drogi, skoro razem najwyraźniej nie są szczęśliwi? Kiedy przedwczoraj ojciec wylał matce na brzuch filiżankę gorącej herbaty, Weronika przysięgła sobie uroczyście, że nigdy – nigdy – nie będzie żyć w związku, którą ją niszczy. Miała szesnaście lat, groziła jej ocena niedostateczna z trzech przedmiotów, ale nie była głupia. Czasem myślała nawet, że pod wieloma względami jest mądrzejsza od wielu dorosłych. „Niepotrzebnie komplikują sobie życie" – pomyślała, gdy szukała w lodówce czegoś na kolację. „Gdybym ja nie była z Dawidem

szczęśliwa, po prostu bym się z nim rozstała. Kropka. Ale moi rodzice nic takiego nie zrobią. Prędzej się pozabijają, niż rozwiodą" – stwierdziła.

Kiedy zjadła, zaczęła się niechętnie zastanawiać, co począć z wolnym czasem. Dlaczego wszystkie dni są identyczne? Dlaczego nic się nie dzieje, do cholery? Ucieszyłaby się, gdyby wydarzyło się coś rewolucyjnego, wielkiego, ekscytującego, co wyrwałoby ją na chwilę z monotonii. Znudzona włączyła telewizor i bez większego zainteresowania zaczęła oglądać program Na tropie.

– Policja Republiki Czeskiej poszukuje świadków włamania do kościoła Świętej Barbary w Vimperku, z którego skradzione zostały przedmioty sakralne o wartości pięciu milionów koron…

Weronika przewróciła oczami i wyłączyła telewizor. Lubiła ten program tylko wtedy, gdy omawiano w nim morderstwa. Usiadła przy toaletce matki i zrobiła sobie makijaż tak intensywny, że prawie nie poznawała się w lustrze. Potem chodziła po domu i włączała wszystkie światła. Nie lubiła ciemności.

Przymierzyła suknię wieczorową matki. Potem drugą i trzecią. Tę ostatnią zostawiła na sobie. Była o kilka numerów za duża, ale podobało się jej, jak dorośle w niej wygląda. W dolnej szufladzie biurka w pracowni znalazła papierosy i zapalniczkę. Wiedziała, że ojciec je tam trzyma, chociaż od kilku miesięcy wmawia matce, że rzucił palenie. Wzięła je do swojego pokoju, otworzyła okno i zapaliła.

Czy powinna zadzwonić do Dawida i powiedzieć mu, że jest sama w domu? Boże, oczywiście, że tak. Dlaczego już dawno tego nie zrobiła?

Rzuciła się na telefon i szybko wystukała na klawiaturze dobrze znany numer.

– Abonent jest chwilowo niedostępny…

Zadzwoniła do kilku koleżanek, ale żadna nie miała dla niej czasu. Wściekle cisnęła mały srebrny telefon na łóżko. Dlaczego nikomu na niej nie zależy? Czy na świecie nie ma ani jednej istoty, którą ucieszyłoby jej towarzystwo?

Opadła na łóżko – zwisały z niego tylko nogi w czółenkach matki. Paliła, strzepywała popiół na czystą pościel i czuła się… niegrzecznie i dorosło. Tak, dorosło. Chciałaby już być dorosła. Niezależna. Bogata jak tata.

Jak to powiedział Dawid? „Starą biżuterię można opchnąć za mnóstwo kasy".

Wstała i wyjrzała na dwór. W ciemności przyjaźnie świeciło okno tarasowe Julii Keller.

Dzwonek rozległ się akurat w chwili, kiedy Julia schowała zeszyt z zapiskami z powrotem do szuflady i jeszcze raz wyciągnęła z koperty klepsydrę. Kartka z czarną ramką drżała jej w palcach. Julię na moment ogarnął absurdalny strach, że za drzwiami stoi Kamila; że przyjechała z Francji, żeby wykrzyczeć jej w twarz całe swoje rozczarowanie i ból. Ale było to tylko lekkie muśnięcie lęku, a Julia z łatwością je w sobie stłumiła. Prawdopodobnie nigdy więcej nie spotka Kamili. Klepsydra Jacquesa to ostateczna kropka za ich zniszczoną przyjaźnią.

Kiedy szła do drzwi, była już całkiem spokojna. Otworzyła je na oścież, jakby chciała pokazać gościowi i sobie, że się nie boi.

Na lśniących od deszczu schodach stała Weronika Truskawka.

Zaskoczona Julia uniosła brwi.

– Cześć, Weroniko. Co cię sprowadza?

Dziewczyna uśmiechnęła się, odsłaniając krzywe kły. Wargi miała tak mocno pomalowane czerwoną szminką, że przypominała upiora, który

przed chwilą delektował się ludzką krwią. Natomiast oczy mocno podkreślone czarną kredką nadawały jej twarzy bladości i postarzały przynajmniej o pięć lat. Jasne włosy mokre od deszczu przyklejały się do skroni. Miała na sobie dziwaczny srebrzysty habit, wyglądający jak o dwa rozmiary za duża suknia wieczorowa. Uniosła tani kubek ceramiczny.

– Czy ma pani może trochę oleju? Chciałam usmażyć sobie na kolację paluszki rybne, ale skończył się nam olej…

Julia spojrzała na nią nieufnie. Paluszki rybne niezbyt pasowały do sukni wieczorowej i czerwonej szminki.

– Jasne, wejdź.

Weronika niepewnie weszła do przedpokoju.

– Mam ściągnąć buty?

– Nie musisz. To znaczy… Na dworze pada, prawda? To lepiej ściągnij. W szafce są kapcie naszej Klary, wełniane z pomponami. Widzisz je?

Dziewczyna uniosła bardzo pofałdowaną suknię i odsłoniła nogi w masywnych sznurowanych butach, sięgających jej do kostek. Schyliła się i zaczęła je rozwiązywać.

– Takie się teraz nosi? – Julia sceptycznie zmierzyła ją wzrokiem.

Weronika wzruszyła ramionami.

– Mnie nie interesuje, co się nosi. Ubieram się według nastroju.

Weszła za Julią do pokoju i ruszyła prosto do stołu.

– Tam nie możesz usiąść. Krzesła są przywiązane.

– Proszę? – Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

– Przywiązałam krzesła do nóg stołu, żeby koty ich nie przewracały. Bez przerwy tu ganiają i boję się, żeby nie zrobiły sobie nimi krzywdy.

– Aha. – To wyjaśnienie najwyraźniej w ogóle Weroniki nie zaskoczyło. „Pierwsza osoba, która przyjmuje tę wiadomość normalnie" – uświadomiła

sobie Julia. – W takim razie usiądę tam – oświadczyła dziewczyna, szurając po błyszczącym parkiecie do kompletu wypoczynkowego. Odstawiła kubek na stół i dosłownie opadła na fotel. – O, jaki wygodniutki! Nie ma pani może tych pysznych truskawek z bitą śmietaną co ostatnio?

Julia niezdecydowanie stała przy lodówce. Czy Weronika nie przyszła przypadkiem po olej do smażenia?

– Nie mam – odparła ostrożnie. – Jest jesień, skąd miałabym teraz wytrzasnąć truskawki…

– Hm. – Weronika nachyliła się do sąsiedniego fotela i zanurzyła palce w delikatnej sierści Pana Ministra. Rzucił na nią okiem, a kiedy stwierdził, że nie grozi mu z jej strony żadne niebezpieczeństwo, zaczął głośno mruczeć. – Jaki on jest mięciutki!

Julia zrozumiała, że w ogóle nie chodzi o olej. Weronika potrzebowała tylko pretekstu, żeby wejść do jej domu. Czy u sąsiadów coś się stało? Pokłócili się? Pobili się? Czy Juraj pobił żonę? Czy Weronika potrzebuje pomocy? A może po prostu czuje się samotna?

– Mogę zrobić herbatę – zaproponowała. Nie czekając na odpowiedź, włączyła czajnik. – Zieloną czy czarną?

– Czarną.

– Słodzisz?

– Nie.

Julia w milczeniu przygotowywała napój. Cieszyła się, że ma zajęcie i nie musi rozmawiać z Weroniką. O czym w ogóle można rozmawiać z szesnastoletnią dziewczyną? Już nawet nie pamiętała, co w tym wieku interesowało Klarę. „Pewnie nie wiedziałam tego nawet wtedy" – pomyślała gorzko. Były sobie tak dalekie, jakby każda mieszkała na innej planecie.

Mimowolnie sięgnęła po serwis herbaciany Rosenthala, z którego korzystała tylko przy wyjątkowych okazjach. Dopiero kiedy niosła dzbanek na stół, zdziwiła się, dlaczego nie wzięła z półki normalniejszych naczyń.

– Mleko?

Weronika spojrzała na nią pomalowanymi oczami.

– Do herbaty? Czy to nie obrzydliwe?

– Nie, w ogóle. Anglicy piją herbatę tylko z mlekiem. Im wyższa jest ich pozycja społeczna, tym więcej mleka sobie wlewają.

– Naprawdę? – Weronika nalała sobie z dzbanuszka dużą porcję mleka, ale zamiast się napić, nachyliła się nad Panem Ministrem. – Też chciałabym mieć kota, ale tata chyba by oszalał.

– Spróbuj go przekonać. Koty są fajne.

Dziewczyna się skrzywiła.

– Tata ich nie znosi. Wścieka się, kiedy pani koty przychodzą do naszego ogrodu. Grozi, że je otruje, ale myślę, że tak naprawdę nigdy by nic takiego nie zrobił. Nie jest zły, jest tylko nieprzyjemny.

Julia napięła się w fotelu. Przypomniała sobie, jak poszła oddać Jurajowi pułapkę. Weronika miała wtedy dziwną minę – jakby wiedziała więcej, niż odważyła się powiedzieć.

– To dlatego przyszłaś? Z powodu kotów?

Dziewczyna spojrzała na nią zdziwiona.

– Z powodu kotów? Nie. Dlaczego miałabym… – przerwała i ugryzła się w dolną wargę. – Chociaż właściwie… Właściwie tak, chodzi o koty. To dlatego przyszłam.

– A co chciałaś mi powiedzieć?

Dziewczyna wzięła łyk herbaty z mlekiem i skrzywiła wargi.

– Fuj! Z cytryną jest lepsza.

– To kwestia przyzwyczajenia.

– Możliwe. – Znów się napiła. – Chciałam pani powiedzieć… Ale pani chyba będzie się złościć.

– Nie będę. Obiecuję.

– Na pewno? – Weronika miała duże, lśniące, trochę psie oczy.

Julia przyłapała się na myśli, że chciałaby mieć taką córkę. Joanna Truskawka nie zasługuje na Weronikę. Juraj tym bardziej.

– Słowo harcerza – zażartowała niecierpliwie. Dopiero kiedy Weronika posłała jej zdziwione spojrzenie, zrozumiała, że dla szesnastolatki harcerstwo to słowo z prehistorii. – Obiecuję – poprawiła się. – Zamieniam się w słuch.

– Wie pani… kilka dni temu ja i mój chłopak weszliśmy do pani ogrodu. Chcieliśmy tylko zerwać jabłko… Pani i tak ich nie zrywa, prawda?

Julia pokręciła głową.

– Było tam ładnie. Tak spokojnie… Ma pani świetny ogród. Jest w nim dużo miejsc, w których człowiek może się schować i nikt go tam nie widzi. – Weronika poczerwieniała.

Julia wyczuła, do czego dziewczyna zmierza.

– Jeśli chcesz, możecie tam przychodzić – powiedziała. – Mnie to nie przeszkadza. Tylko nie krzywdźcie zwierząt.

– Dawid je uwielbia – uspokajała ją Weronika. – Twierdzi, że są lepsze niż ludzie.

Julia się uśmiechnęła.

– Też tak sądzę.

– Ja też. Ale nie to chciałam powiedzieć… – znów na chwilę zamilkła. – Wie pani, leżeliśmy w trawie między takimi krzakami i… rozmawialiśmy.

Julia doskonale umiała sobie wyobrazić tę „rozmowę", ale postanowiła tego nie komentować.

– Było już ciemno. Nagle usłyszeliśmy, że ktoś tam chodzi. W pani ogrodzie, rozumie pani? Jakiś mężczyzna.

Julia odstawiła filiżankę na podstawkę tak gwałtownie, że prawie ją stłukła.

– Twój ojciec?

Weronika szybko pokręciła głową.

– Nie, właśnie nie. Tatę bym poznała. To był jakiś grubas… Wyglądał trochę jak kucharz z restauracji na rogu, ale nie jestem pewna.

– Co zrobił? – spytała Julia, choć znała odpowiedź.

– Wyglądało to tak, jakby czegoś szukał. Pod świerkiem. Sapał i klął. Potem odszedł. Po chwili wrócił i przyniósł tę pułapkę, którą potem rzuciła pani w mojego tatę.

Julia poczuła się nagle strasznie zmęczona i słaba.

– Chcesz powiedzieć, że tej pułapki nie zastawił twój ojciec?

– No jasne, że nie. Przecież tatę bym poznała.

– Mówisz prawdę, Weroniko? Nie próbujesz po prostu kryć ojca?

Dziewczynie błysnęło w oczach.

– Dlaczego miałabym to robić?

– Może dlatego, że cię o to poprosił?

Weronika prychnęła.

– Gdybym to jego tam widziała, powiedziałabym to pani. I to z radością. Ale to nie był on.

Julii nie przyszło do głowy nic lepszego niż dolanie herbaty. Musiała się uspokoić. Zyskać czas. Uporządkować myśli.

– Czyli twierdzisz, że tę pułapkę przyniósł do mojego ogrodu kucharz z restauracji? Franciszek? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi!

– Nie wiem. Nie jestem pewna. Było ciemno…

– Pójdę go zapytać.

– Proszę spróbować. Może się przyzna.

– Może.

Przez kilka minut popijały w milczeniu herbatę. Za długo się parzyła i nawet z mlekiem smakowała gorzko.

– Mówisz, że już masz chłopaka – zagadnęła Julia. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, ale Weronika uznała, że wypada odpowiedzieć.

Spuściła wzrok na filiżankę.

– Mam – wymamrotała.

– Jesteś zakochana?

– Mhm-hm.

Julia się uśmiechnęła.

– A jesteś z nim szczęśliwa?

Weronika spojrzała na nią pytająco.

– Pytam, bo to, że kochasz, nie musi jeszcze znaczyć, że jesteś szczęśliwa – wyjaśniła Julia i znów dolała sobie herbaty. – Często jest dokładnie na odwrót – dodała niemal szeptem.

Weronika zaczęła szybko mieszać łyżeczką w filiżance, stukając o kruchą porcelanę. Nie przypominała sobie, by jakikolwiek dorosły rozmawiał z nią kiedyś w ten sposób, i zastanawiała się, czy to jest fajne, czy nie.

– Mogłabym przymierzyć tę pani bransoletkę po prababci? – wyrzuciła z siebie.

– Co? – Julię zaskoczyła ta nagła zmiana tematu.

– Tę złotą… pamięta pani? Pokazywała mi ją pani, kiedy byłam tu poprzednim razem. – Weronika trochę się zaczerwieniła. – Ja… tak pomyślałam… Chciałabym zobaczyć, jakby wyglądała do tej sukni.

Julia wstała ze źle skrywaną niechęcią. Wolałaby porozmawiać z dziewczyną o jej pierwszej miłości – przynajmniej trochę poprawiłoby jej to nastrój. Ale ten temat najwyraźniej wydał się Weronice zbyt intymny, a myśli Julii natychmiast powróciły do mężczyzny z klatką. Jeśli Weronice można wierzyć, pułapki nie zastawił Truskawka. Czy naprawdę mógł to zrobić kucharz z restauracji? Tylko dlaczego, na Boga, kucharz miałby łapać jej koty?

Wyjęła kluczyk z filiżanki w witrynie, otworzyła szufladę i wyciągnęła małą, drewnianą szkatułkę. Postawiła ją na stół i otworzyła. *Kucharz z restauracji. Kucharz… Czy w tej restauracji gotują koty?* Zrobiło się jej słabo.

– Oooo… Dziękuję. – Weronika zaczęła przeglądać biżuterię. Wyciągnęła bransoletkę, przewiesiła ją przez nadgarstek i przez chwilę męczyła się z zapięciem. – Chyba nie dam rady. – W końcu się jej udało. Podniosła rękę i patrzyła na nią z zadowoleniem. – Kiedyś robiono ładniejszą biżuterię niż teraz – stwierdziła.

To wyrwało Julię z rozmyślań o właścicielu klatki.

– Tak. Masz rację. Ta bransoletka jest bardzo, bardzo stara. Wtedy jubilerzy przykładali się do pracy. Liczyła się jakość, a nie niska cena, jak dzisiaj. Handlarze prześcigali się w proponowaniu coraz lepszych towarów. Dziś większość z nich próbuje okraść swoich klientów.

Weronika nagle zaczęła wyglądać na zniecierpliwioną. Odłożyła bransoletkę do szkatułki obłożonej drewnem.

– Pójdę już. Nie chcę zabierać pani czasu.

Wstała, a kubek, który przyniosła, zostawiła na stole.

– Nie chcesz tego oleju?

– No właśnie, olej! Całkiem o nim zapomniałam.

Julia napełniła kubek i odprowadziła młodą sąsiadkę do drzwi.

– A co słychać u twoich rodziców? – spytała, kiedy dziewczyna wiązała ubłocone buty.

– Nie ma ich. – Weronika wzruszyła ramionami. – Pojechali do prezydenta. Na jakąś głupią imprezę w zamku. Mama to strasznie przeżywała.

Julia się uśmiechnęła.

– A ciebie nie wzięli ze sobą?

– Nie. Ale nawet gdyby chcieli, i tak bym tam nie pojechała. To do widzenia, pani Keller.

Godzinę później w drzwiach pojawiła się Klara w długim płaszczu przeciwdeszczowym, lśniącym od deszczu. Płakała. Policzki miała mokre, a pasemka włosów przyklejały się jej do skroni tak jak przedtem Weronice. Wokół oczu czerniły się smugi od rozmazanego tuszu do rzęs. W półmroku wyglądały jak świeże sińce.

Julia poderwała się z fotela tak gwałtownie, że zabolało ją w krzyżu.

– Klaro, na litość boską, co ci się stało?

Klara upuściła torebkę, zrzuciła płaszcz z ramion i pozwoliła mu zsunąć się na posadzkę. Oparła się o blat stołu, jakby miała zaraz upaść.

– Potrzebuję kielicha.

Mówiła zachrypniętym głosem jak jakaś obca, stara kobieta. „Boże, ona chyba naprawdę bierze narkotyki" – przemknęło Julii przez głowę, kiedy drżącymi rękami wyciągała z domowego barku butelkę szkockiej słodowej whisky, którą dostała od Sebastiana. No proszę, myślała, że ten alkohol będzie tu nietknięty stać jeszcze za rok, a idzie w ruch już następnego dnia.

Klara wyglądała tak, że jeśli szybko nie napije się czegoś mocniejszego, zemdleje.

– Co ci się stało, córeczko? Czy ktoś cię skrzywdził? – Julia uświadomiła sobie, po jak strasznie długim czasie poczuła coś, do czego najbardziej pasuje określenie „miłość bezwarunkowa". Jej córka, jej krew!, jest w niebezpieczeństwie. Jeszcze kilka minut temu myślała o niej z chłodem i niechęcią, ale teraz zrobiłaby wszystko, by jej pomóc. Jak mogła wątpić, że kocha Klarę? Jak matka mogłaby nie kochać swojego dziecka? Julia nalewała złocistą whisky, zaciskając zęby ze wstydu i poniżenia. Naprawdę odmówiła córce wyciągnięcia jej z długów? „Zrobiłam to dla jej dobra" – broniła się w duchu. „Chciałam, żeby sięgnęła dna, wyciągnęła wnioski i stanęła na własnych nogach". Ale czy matka ma prawo do takich zachowań? Czy nie powinna raczej wspierać dziecka, niż podstawiać mu nogi, nawet jeśli robi to z pobudek wychowawczych? W tej chwili bolesnego poznania Julia uświadomiła sobie, że jej relacje z Klarą są długim łańcuchem błędów i pomyłek. Kocha Klarę, zawsze ją kochała, ale była tak egoistyczna i wyniszczona nieudanym małżeństwem, że tłumiła w sobie matczyną miłość. Prawdopodobnie to przez Julię Klara wpakowała się w kłopoty. Gdyby okazywała córce uczucia, Klara nie musiałaby kupować ich sobie od mężczyzn.

Julia postawiła kieliszek przed Klarą i spojrzała z bliska w twarz córki. Tak, te ciemne, nieregularne kręgi to naprawdę plamy od tuszu, nie sińce. Dzięki Bogu.

– Co ci się stało. Nie płacz! Mów!

Klara chciała odsunąć krzesło od stołu. Dopiero kiedy się to nie udało, przypomniała sobie, że jest przywiązane.

– Cholera, nie mogę nawet usiąść!

Julia wzięła whisky i bez słowa przeniosła ją na niski stolik pod oknem. Klara sunęła za nią i opadła na skraj fotela.

– Ktoś tu był? – spytała i spojrzała znacząco na dwie filiżanki po herbacie.

– Tylko Weronika. – Julia wzruszyła ramionami.

Klara zrobiła bojową minę.

– Czego chciała? Często tu przychodzi?

– Nie, dopiero drugi raz. Nie wiem, co jej strzeliło do głowy.

– To po co przyszła?

– Chyba było jej smutno. Zostawili ją w domu samą. – Julię zaskoczyła nienawistna mina Klary. Czy to możliwe, że jest o Weronikę *zazdrosna*?

– A wczoraj w nocy? Kto tu był? Widziałam przez okno jakiegoś faceta.

– Ty nie spałaś?

– Nie. A powinnam?

– Oczywiście, że nie. – Julia czuła, jak płoną jej policzki, ale miała nadzieję, że zdenerwowana Klara tego nie zauważy. – Odwiedził mnie jeden kolega. Czysto służbowa znajomość. Przywiózł mi… coś pokazać.

– O drugiej w nocy?

– Tak, o drugiej w nocy. Dziś w nocy znów przyjedzie. – Braterstwo dusz prysnęło, a Julia nienawidziła się za to, jak szybko oziębiły się jej uczucia wobec Klary. – Powiesz mi wreszcie, dlaczego wyglądasz tak strasznie?

– Wyrzucili mnie z pracy.

Julii spadł ogromny kamień z serca.

– Tylko tyle? – Ileż gorszych rzeczy mogło się przydarzyć! Straciła pracę, to znajdzie inną. Świat się nie kończy.

– Mamo, to dla ciebie mało? Mam setki tysięcy długów! I wyrzucili mnie z dnia na dzień, bez odprawy. Po prostu na bruk. Koniec.

– Dlaczego cię wyrzucili?

– Z kasy ginęły pieniądze.

– A co ty miałaś z tym wspólnego?

Klara spuściła wzrok.

– Klaro, ty chyba… – Umilkła w ostatniej chwili. Teraz nie jest czas na kazania wychowawcze.

– Nie zamierzałam kraść. Tylko pożyczyć. Myślałam, że oddam z wypłaty. Musiałam zapłacić jedną ratę i obiecałam… – Klara rzuciła mamie spojrzenie pełne skruchy, z którego Julia wyczytała niewypowiedziane słowa.

– Obiecałaś Piotrowi, że coś mu kupisz – dokończyła za córkę. – Mam rację?

Klara butnie wzruszyła ramionami.

– Tak.

– Niszczysz się, Klaro. – I znów to nieodparte poczucie, że wina, ta główna, leży po jej stronie, po stronie Julii…

– Może powinnam zniszczyć się całkiem – szepnęła Klara. – To rozwiązałoby mnóstwo problemów.

– Nie mów głupot.

– Dobrze. Tylko z czego mam teraz według ciebie spłacić te pożyczki? Nie mam pracy. Szef nikomu mnie nie poleci. Po biurach podróży rozniesie się, że kradnę. Myślisz, że gdzieś mnie przyjmą?

– To zmienisz branżę, nie?

– Na jaką? Na sprzątaczkę? – Klara zaśmiała się sucho. – Nic innego nie umiem. Nie mam nawet matury, do cholery!

Julia próbowała myśleć racjonalnie.

– Na pewno w umowach pożyczek masz ubezpieczenie na wypadek straty pracy. Potwierdzisz, że jesteś bezrobotna, a ubezpieczenie zapłaci raty za ciebie. Przecież tak to działa, prawda?

Klara nie odpowiedziała od razu, ale sposób, w jaki odwróciła wzrok, zdradzał, że się wstydzi.

– Nie ubezpieczyłam ani jednej pożyczki – powiedziała cicho. – To nie było obowiązkowe i myślałam, że lepiej nie wyrzucać pieniędzy w błoto…

Julia powoli usiadła w fotelu. Zabolały ją przy tym kolana. „Jestem stara, ja już się nie liczę" – pomyślała. „Może powinnam wreszcie przestać myśleć tylko o sobie?".

– Dobrze, Klaro. Pomogę ci. – Spojrzała córce w oczy. – Spłacę za ciebie te długi.

Klara się rozpromieniła.

– Dzięki, mamo! Wiedziałam, że nie pozwolisz, żebym…

– Ale zrobię to pod jednym warunkiem – kontynuowała zdecydowanym głosem Julia.

– Cała ty. Dlaczego nie możesz pomóc mi bezinteresownie?

– Bo cię kocham. Bo mi na tobie zależy. Bo nie mogę patrzeć, jak się krzywdzisz, Klaro.

– Dobra. – Klara wbiła w nią twarde, chłodne spojrzenie. – Co mam zrobić?

– Rozejść się z Piotrem.

Klara przez kilka sekund patrzyła na matkę bez słowa. Było jasne, że jej zaskoczenie jest nieudawane. Te słowa szczerze ją zaskoczyły. Tak okrutnego warunku się nie spodziewała.

– Żartujesz?

– Zaczął z tobą chodzić tylko dlatego, że wmówiłaś mu, że jesteś bogata. Przecież na pewno sama dobrze o tym wiesz. Dlatego tak się boisz powiedzieć mu prawdę o ojcu. Zadłużyłaś się tylko dla niego.

Klara znów buntowniczo wzruszyła ramionami.

– Co ci do tego? Nie wtrącaj się do mojego życia.

– Nie wtrącam się. Proponuję ci układ, a to duża różnica. Coś za coś. Decyzja należy do ciebie.

Twarz Klary zastygła.

– Wiesz co, mamo? Zostaw sobie te swoje pieniądze. Zresztą i tak na pewno ich nie masz. – Rozejrzała się po pokoju i zaśmiała się nieprzyjemnie. – Kiedy patrzę na ten dom, to zaczynam wierzyć, że naprawdę jesteś biedna jak mysz kościelna. Pewnie teraz tylko udajesz, a gdybym naprawdę rozeszła się z Piotrem, powiedziałabyś, że jednak nie możesz mi pomóc. Osiągnęłabyś swój cel, nie wydając ani korony. To by ci się podobało, co?

– Naprawdę myślisz o mnie w ten sposób, Klaro?

– No jasne. Gdybyś miała dwieście tysięcy, nie mieszkałabyś tu jak w squacie.

– Może mogłabym coś sprzedać.

– Tak? A co? Kocie futra?

– Nie bądź bezczelna.

– Będę taka, jak mi się spodoba, bo niczego od ciebie nie chcę. Nie muszę ci się podlizywać. Sama spłacę swoje długi, choćbym miała sobie te pieniądze gdzieś wykurwić!

Usłyszały pukanie do drzwi. Klara zbladła. Ostatnie zdanie krzyknęła tak głośno, że z pewnością było je słychać aż na ulicy. Szybko wstała.

– To na pewno Piotr. Otworzę mu.

– Powiesz mu, że zwolnili cię z pracy?

Klara obróciła się na progu przedpokoju.

– Powiem mu to, co uznam za stosowne. Jestem dorosłą kobietą, mamo. Sama dam sobie radę.

– Ciekawe jak. – Julia wbiła w córkę wzrok, jakby próbowała zgadnąć, jak daleko może się posunąć, by nie zniszczyć kruchej więzi między nimi. – Klaro, posłuchaj… Jeśli naprawdę chcesz żyć z tym mężczyzną, to nie pod moim dachem. Kocham cię, ale jego nie zniosę ani dnia dłużej. Albo wyprowadzi się sam, albo wyprowadzicie się oboje. To zależy od ciebie.

Wstała z fotela, obróciła się tyłem do Klary i podeszła do okna, by dać do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną. Chciała widzieć tylko ciemność, ale w szybie odbijał się pokój i Klara.

– Wyrzucasz mnie?

– Ciebie nie. Jego.

– Przecież wiesz, że odejdę razem z nim. I że nie mam dokąd pójść. – Klara szeptała. „Nie chce, żeby usłyszał ją Piotr" – pomyślała Julia.

– Więc nigdzie nie idź. Możesz tu spokojnie zostać. Sama. – Julię zaskakiwało, jak bardzo potrafi być nieustępliwa. Najchętniej podeszłaby do Klary i zaczęłaby ją pocieszać. Ale w ten sposób by jej nie pomogła. Absurdem tej sytuacji było to, że aby pomóc córce, musi ją najpierw skrzywdzić. A tym samym również siebie, ponieważ tej zdrady Klara prawdopodobnie nigdy jej nie wybaczy.

– Otwórz mu – ponagliła córkę. – Na zewnątrz jest zimno.

Klara ciężko przełknęła ślinę, a ścięgna na jej szyi napięły się.

– Dobrze – powiedziała cicho. – Ile mam czasu do namysłu?

– Czasu do namysłu miałaś już wystarczająco dużo. Wiesz co? Powiedz mu dziś prawdę. Powiedz, że wyrzucili cię z pracy, że twój tata nie jest bogatym przedsiębiorcą i że masz długi wszędzie, gdzie spojrzysz. Wyjaśnij

mu, dlaczego go okłamywałaś. Możliwe, że jestem wobec niego niesprawiedliwa, a on mimo wszystko zostanie z tobą. Jeśli tak będzie, ustąpię i jakoś zniosę jego obecność. Ale niezbyt wierzę w takie rozwiązanie.

Kolejne pukanie do drzwi. Potem przenikliwy dzwonek.

– Klaro! Otwieraj! Gdzie ty, kurwa, jesteś?

Klara odkrzyknęła:

– Poczekaj chwilę! Już idę! – A potem ciszej: – Boże, ja zwariuję.

Julia opanowała pragnienie podejścia do córki i położenia jej ręki na ramieniu.

– Koniec rozmowy – powiedziała. – Idź mu otworzyć.

Klara zrobiła dwa kroki w stronę drzwi, ale potem zmieniła zdanie i wróciła do Julii.

– Zapędziłaś mnie w kozi róg, mamo. Naprawdę się tego po tobie nie spodziewałam. Wiesz, jak nazywa się to, co próbujesz ze mną zrobić? Szantaż. Jeśli Piotr mnie zostawi, nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy.

ROZDZIAŁ 14

Gdyby Klara Keller nie była taka blada i rozczochrana, prawdopodobnie wydałaby się Józefowi Bergmanowi dość atrakcyjna. Miała po matce wystające kości policzkowe, szpiczastą brodę i nieznaczny przodozgryz, który nadawał jej twarzy głodnego, trochę wilczego wyrazu. Była ładna w ten nienachalny, nietuzinkowy sposób, który być może nie oczaruje na pierwszy rzut oka, ale tym dłużej potrafi potem pociągać i podniecać. Klara, podobnie jak Julia, prawdopodobnie nie uświadamiała sobie swej urody lub nie uważała jej za rzecz istotną. Bo czy w przeciwnym razie przyszłaby na spotkanie bez makijażu i w bezkształtnym golfie w kolorze brudnego bruku?

Nie chciała rozmawiać z inspektorem w domu matki, a on za nic nie chciał zapraszać jej do komisariatu, gdzie surowe, niegościnne wnętrze wywołałoby w niej strach i związałoby jej język. W końcu Klara zaproponowała obiad w kawiarni Imperial niedaleko Mostu Karola. Był to jeden z tych rzekomo luksusowych lokali, w których za duże pieniądze dostaje się zwyczajną kawę i które odwiedzają ludzie z niską samooceną i wysokimi ambicjami, by kupić sobie poczucie własnej wyjątkowości. Właściwie Bergmana nie zaskoczyło, że Klara Keller wybrała to miejsce. Wyobrażał ją sobie jako trochę niezrównoważoną młodą kobietę, która ma o sobie tak niskie mniemanie, że pewność siebie musi czerpać z drogich, firmowych torebek i obiadów w luksusowych restauracjach. Spodziewał się wystrojonej i pachnącej piękności z doskonałą skórą i wyrafinowaną

fryzurą. Dlatego zaskoczyło go, gdy zamachała do niego blada dziewczyna w materiałowym kapelusiku, spod którego wystawały pasemka tłustych włosów. Wprawdzie miała skórzaną, firmową torebkę i wyciągnęła z niej bez wątpienia drogi, srebrny telefon, ale nie miała w sobie ani szczypty oczekiwanej przez Bergmana kokieterii. Wyglądała raczej na trzydzieści niż na osiemnaście lat.

Gdy położyła dłonie na marmurowym blacie kawiarnianego stołu, Bergman zwrócił uwagę na jej palce pełne zaropiałych ranek i świeżo obgryzione paznokcie.

– Widzę, że jest pani zdenerwowana – zauważył i skinął brodą na jej ręce.

Szybko schowała je na kolana.

– Obgryzam od dziecka. Taki nawyk. – Spróbowała się uśmiechnąć. – Przepraszam, że wyglądam tak strasznie. Wie pan, mam problemy i od kilku dni kiepsko się czuję… Nic mnie nie cieszy… Rano nie chce się mi nawet wstawać z łóżka. Dziś wyszłam z domu tylko dla pana i włożyłam na siebie pierwsze ubranie, które wpadło mi w ręce… – Spuściła wzrok na szarobrązowy golf. – Nawet nie umyłam włosów, jakoś nie miałam na to siły, więc nie ściągnę tego kapelusika, żeby pana nie przerazić… – Zamilkła, jakby przestraszyła się potoku słów, który z niej wypłynął.

– Cieszę się, że wreszcie znalazła pani dla mnie czas – odparł Bergman z poważną miną.

Klara Keller od trzech dni unikała spotkania, twierdząc, że „źle się czuje". Miał dużo innych zadań, więc nie nalegał. Lecz dziś rano do jego biura zadzwoniła Julia, a to, co mu powiedziała, katapultowało rozmowę z Klarą na pierwsze miejsce priorytetów inspektora. Natychmiast wykręcił numer telefonu komórkowego Klary i upierał się, że muszą się natychmiast spotkać.

Teraz zrobiła buntowniczą minę.

– Czego pan od mnie chce? Przecież nie zrobiłam nic złego.

– Nie twierdzę, że zrobiła pani coś złego. Ale wciąż pojawiają się nowe wątki, które prowadzą bezpośrednio od morderstwa Nory Mach do pani. Podejrzewam, że matka powiedziała pani już o podobieństwie łączącym panią z ofiarą?

Miał rację. Jak mógł choć przez sekundę wierzyć, że Julia go posłucha, gdy prosił ją, by nie wspominała córce o tej sprawie? Wprawdzie sam nie miał dzieci, ale w pracy wielokrotnie przekonał się, jak mocna bywa miłość rodzicielska. Julia chciała chronić Klarę, więc musiała być z nią szczera. Nie mógł mieć jej za złe, że wyjawiła córce wszystkie szczegóły. Pozbawiła go przez to elementu zaskoczenia, który zazwyczaj najwięcej mówi o świadkach i podejrzanych.

– Tak, powiedziała. – Klara rzeczywiście miała podobny kolor włosów, kształt twarzy i posturę jak Nora Mach. Jasne włosy, wąska talia, duże piersi. W półmroku lub w ciemności ktoś mógł je łatwo pomylić.

– I co pani o tym myśli?

W jej oczach pojawił się błysk.

– A co mogę o tym myśleć? Pyta pan tak samo jak matka. I odpowiem panu to co jej. Myślę, że to przypadek. Po prostu tamta dziewczyna była do mnie podobna. I co z tego?

– Nie przyszło pani do głowy, że to pani miała być ofiarą?

Otworzyła kartę dań w skórzanej oprawie i zaczęła szybko skakać wzrokiem po kolejnych nazwach.

– Poproszę podwójne espresso i sałatkę grecką – oświadczyła zamiast odpowiedzi.

– Nie pytałem, co pani zamawia, tylko czy się pani nie boi. Od pani matki wiem, że znalazła się pani w trudnej sytuacji finansowej. Czy nikt

pani na przykład nie groził?

Jej wargi zadrżały.

– Nie – odparła, ale bynajmniej nie zabrzmiało to przekonująco.

– Co matka powiedziała pani o tym morderstwie? – zarzucił wędkę i miał nadzieję, że Klara złapie się na haczyk. – Proszę mówić. Muszę wiedzieć, co już pani słyszała.

Do ich stolika podeszła kelnerka, więc Bergman musiał poczekać, aż Klara zamówi kawę i jedzenie. Sam poprosił tylko o duże piwo, ponieważ – jak często podkreślał – dopływ cieczy zwiększa bystrość umysłu, a detektywi są abstynentami tylko w podrzędnych serialach telewizyjnych.

– Pan nie będzie jadł?

– Wystarczą mi kalorie w płynie.

Kelnerka z delikatnym ukłonem wzięła karty dań, a inspektor znów spojrzał na Klarę.

– Zatem?

Klara w milczeniu patrzyła na swoje zaniedbane dłonie, które przed chwilą ułożyła na blacie stołu niczym grzeczna uczennica na ławce. Zaczęła mówić, nie podnosząc wzroku na Bergmana.

– Nie rozmawiałyśmy o tym zbyt dużo. Powiedziała tylko, że w lasku ktoś udusił dziewczynę. I że ta dziewczyna wyglądała tak samo jak ja…

Krew gotowała mu się w żyłach, ale nie dał po sobie poznać podekscytowania.

– A sąsiedzi? O tym morderstwie mówi na pewno cała ulica. Jakie szczegóły do pani dotarły? Niech się pani skupi. Ta dziewczyna z domu obok, która znalazła ofiarę, Weronika Truskawka, nie mówiła czegoś ciekawego?

Klara prychnęła z pogardą.

– Z sąsiadami w ogóle nie rozmawiam. Są koszmarni. – Westchnęła zmęczona. – Naprawdę panu nie pomogę, panie Bergman. Nic nie wiem.

– Wie pani! – Uderzył dłońmi w stół, aż popielniczka podskoczyła i uderzyła w cukiernicę. Klara podniosła ku niemu oczy z tak rozszerzonymi źrenicami, że z tęczówek pozostały tylko wąskie kręgi. – Szanowna pani Klaro, pani coś przede mną ukrywa. Matka na pewno nie powiedziała pani, że „w lasku ktoś udusił dziewczynę". Pani matka nie ma pojęcia, w jaki sposób zmarła Nora Mach. Sama pani przyznała, że nie rozmawiała pani o tym z sąsiadami. Zatem proszę mówić. Skąd pani to wie?

Najpierw wyglądało na to, że Klara się rozpłacze. Jej wysunięta górna warga zadrżała, skrzywiła się i odsłoniła szparkę między przednimi zębami. Potem Klara wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy i znów je otworzyła.

– No dobrze – powiedziała zaskakująco silnym głosem. – Dobrze. Wszystko panu powiem. Już mnie to przerasta, do cholery!

Bergman czekał bez słowa.

– Dostałam dwa SMS-y. Jakiś tydzień temu. Myślałam, że przysłała mi je była dziewczyna Piotra. Nie wiem, czy pan wie: Piotr to mój chłopak. – Wzięła do ręki telefon, otworzyła srebrną osłonkę i przez chwilę wciskała klawisze. – „Nie zasługujesz na to, by żyć" – przeczytała cicho. – To był pierwszy. A ten dostałam dzień później: „Skręcę ci kark". – Zaśmiała się niewesoło. – Na początku nie traktowałam ich poważnie. Ktoś mógł po prostu pomylić numer, prawda? Ale potem mama powiedziała mi o tym morderstwie…

– A pani pomyślała, że być może jednak chodziło o panią.

Górna warga znów zadrżała. Z pewnością była to oznaka zdenerwowania, a Bergman natychmiast zapisał ją w pamięci. Każdy

człowiek okazuje strach lub napięcie trochę inaczej. Warto wiedzieć, jakie gesty czy miny zdradzają u świadka niepokój lub nerwy.

– Oczywiście, że przyszło mi to do głowy. Panu by nie przyszło, gdyby dostał pan taką wiadomość?

– Racja – przyznał. – Zatem podejrzewa pani, że tamta kobieta została uduszona, bo ktoś pani groził taką śmiercią? Zgadza się?

– Tak. – Szybko mieszała kawę i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w wirującą pianę. – A została? – Podniosła ku niemu wzrok. – To znaczy… została uduszona?

Przynajmniej jeden moment zaskoczenia został zachowany dla inspektora.

– Niestety tak, Klaro.

Przyjęła tę informację dość spokojnie, tylko źrenice rozszerzyły się jej jeszcze bardziej.

– Podejrzewa pani kogoś? Wspomniała pani o byłej dziewczynie swojego partnera. Czy myśli pani, że chciałaby panią skrzywdzić?

Zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie, w żadnym razie, ja… Po prostu w tamtej chwili nie przyszedł mi do głowy nikt inny, kto mógłby przysłać mi takiego SMS-a. Ta dziewczyna, nazywa się Marcelina Emer, jest wprawdzie trochę stuknięta, ale nie wierzę, żeby potrafiła kogoś zabić. – Klara potrząsnęła głową. – Po prostu w to nie wierzę.

– Czy może mi pani podyktować numer, z którego przyszły te SMS-y?

– Oczywiście. – Zrobiła to.

– Zna pani ten numer?

– Nie.

– Próbowała się pani z nim połączyć?

– Po co miałabym to robić?

Schował notes do kieszeni na piersi.

– Wróćmy jeszcze do tej Marceliny. Czy prześladowała również Piotra? Groziła pani kiedyś?

– Wie pan, Piotr odszedł od niej przeze mnie, a ona była… nieszczęśliwa. – Do jej głosu niechcący wkradł się triumfalny ton, który próbowała zamaskować westchnieniem. – Wydzwaniała do nas po nocach, zostawiała mnóstwo wiadomości na sekretarce. Raz czekała przed domem, kiedy wracaliśmy z kina, i uderzyła Piotra w twarz. A potem… – Zaśmiała się. – Potem przyjechała po niego limuzyną, takim śmiesznie długim, białym autem, jak on się nazywa…

– Lincoln – pomógł jej.

– No jasne, lincoln. Wynajęła go na dwie godziny. Tylko dlatego, że Piotr powiedział jej kiedyś, że podniecałby go seks w takim samochodzie… – Trochę się zaczerwieniła. Napiła się kawy, żeby przywrócić sobie równowagę. Bergman czekał w milczeniu. – Oczywiście Piotr nigdzie z nią nie pojechał. Oboje zgodnie stwierdziliśmy, że Marcelina wynajęła to auto, by pokazać mu, że też nie jest całkiem biedna. Była zazdrosna o to, że Piotr znalazł sobie bogatą…

Zorientowała się, ale za późno. Bergman pytająco uniósł brwi.

– Myślałem, że jest pani zadłużona, a nie bogata.

Na policzkach rozlał się jej ciemny karmin.

– Moja sytuacja finansowa to nie pańska sprawa.

– Droga Klaro, nie ma pani racji. Obawiam się, że nadeszła chwila, w której musi mi pani powiedzieć o sobie wszystko.

Górna warga zadrżała jej wyraźnie.

– Dlaczego miałabym to zrobić? Jeśli chce pan coś o mnie wiedzieć, niech pan spyta moją matkę. To ona nagadała panu o moich długach,

prawda? Plotkara! Co jeszcze panu naopowiadała?

– Tylko najważniejsze rzeczy. – Bergman wzruszył ramionami. Przeczuwał, że dziś Klara nie powie mu już za wiele. Nie szkodzi. Znajdzie ją sobie w innym miejscu, w innym czasie. Dopił ostatni łyk piwa i ostrożnie odłożył kufel na podstawkę. – Dzisiaj zostawię już panią w spokoju. Ale niestety w najbliższym czasie będziemy musieli spotkać się ponownie. – Wstał. – Jeśli planowałaby pani jakieś wyjazdy, proszę mnie poinformować.

Spojrzała na niego zadziornie.

– Chyba powinien pan za mnie zapłacić, Sherlocku. To pan chciał ze mną mówić, nie ja z panem. – Kiedy nie odpowiadał, uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały zimne. – Jestem biedna i zadłużona, pamięta pan?

Z pierwszej napotkanej budki telefonicznej Bergman spróbował zadzwonić pod numer, z którego ktoś groził Klarze Keller. Nawet go nie zaskoczyło, gdy usłyszał w słuchawce: „Numer, pod który dzwonisz, jest chwilowo niedostępny". Wydaje się, że nieprzyjemne SMS-y pisał ktoś mądry, kto wie, że policja potrafi namierzyć włączony telefon komórkowy dzięki nadajnikom, z których odbiera sygnał. Wrócił do biura i poprosił techników o wypis rozmów z podejrzanego numeru oraz lokalizację nadajników, z których rozmowy zostały wykonane.

Akurat gdy z automatu na korytarzu przyniósł sobie kawę w plastikowym kubku, zadzwoniła Joanna Truskawka z ulicy Krokusowej. Wczoraj w nocy, kiedy wracała z mężem z imprezy w zamku prezydenckim, znów widziała na parkingu pod laskiem to duże, czarne audi, które stało tam również w chwili morderstwa. Poprosiła taksówkarza, żeby się zatrzymał, i spisała numery rejestracyjne.

– Chciałam mieć swój wkład w walkę z przestępczością w naszym kraju – oświadczyła patetycznie, a Bergman pomyślał, że nawet jej głos jest nieprzyjemny. Niemniej inspektor był kobiecie wdzięczny za to, że z własnej inicjatywy udzieliła mu cennej informacji, więc musiał być dla niej uprzejmy, choć najchętniej pożegnałby się z nią szybko i odłożyłby słuchawkę. Wydawało się jednak, że pani Truskawka nie zamierza kończyć rozmowy.

– A to bynajmniej nie wszystko, panie inspektorze. – Ostatnie słowa wypowiedziała niemal szeptem i zrobiła dramatyczną pauzę. „Może jest aktorką?" – przyszło Bergmanowi do głowy. – „A ten sposób komunikacji to choroba zawodowa". – Widziałam jeszcze coś. Mężczyznę, który akurat podchodził do tego auta. – Znów zamilkła, jakby czekała na reakcję Bergmana. Nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko odkaszlnął. – Wie pan, przez cały wieczór miałam przeczucie, że stanie się coś ważnego, więc byłam bardzo czujna. Mam mocno rozwiniętą intuicję…

Nie potrafił nad sobą zapanować.

– Do rzeczy, droga pani. Jestem wdzięczny za informacje, ale nie mam zbyt dużo czasu.

– Oczywiście. – Westchnęła urażona. – Krótko mówiąc, kiedy przejeżdżaliśmy obok domu naszej sąsiadki Julii Keller, wychodził z niego akurat mężczyzna. Gdy mąż płacił za taksówkę, patrzyłam przez tylne okno, dokąd ten mężczyzna pójdzie. I jak pan myśli? Wsiadł do tego audi!

– To naprawdę ciekawe, pani… ehm…

– Truskawko – uzupełniła szybko. – Czy chce mnie pan przesłuchać? To znaczy… czy nie powinniśmy omówić tego osobiście?

– Wystarczy zgłoszenie telefoniczne. Nie będę zawracać pani głowy. – Spragniony spojrzał na kubek stygnącej kawy. – Bardzo mi pani pomogła, pani Truskawko. Do widzenia.

Siedział za biurkiem i w bezruchu wpatrywał się w podrapany blat z taniej sklejki. Dziwne. Przez cały tydzień sprawa prawie nie ruszyła z miejsca, a teraz jednego dnia pojawiło się tyle przełomowych informacji. Bergman zatrzymał na języku kawę i zastanawiał się nad tym, czego tak właściwie się dowiedział. Znowu rodzina Kellerów. Dlaczego wszystkie tropy prowadzą do jednego domu?

ROZDZIAŁ 15

Znów wyszła z domu i znów nie powiedziała, dokąd idzie. Śledził ją. Czuł się jak wyżeł, ale niestety stary, schorowany, powolny wyżeł, który dawno stracił węch. Dotarł za nią na Rynek Staromiejski i spod śmierdzących arkad obserwował, jak jego żona spotyka się pod zegarem słonecznym z bardzo bladym mężczyzną w sztruksowej marynarce i pogniecionych płóciennych spodniach. Mężczyzna był młody, miał najwyżej trzydzieści pięć lat, zatem wiekowo pasował do Zuzanny dużo bardziej niż jej mąż. To chyba bolało Ludwika najbardziej. Zdradza go z młodziakiem! A przecież zawsze zarzekała się, że pociągają ją tylko starsi mężczyźni. Ludwik był ostatnio nadzwyczaj porywczy, ale tym razem zamiast wściekłości ogarnęła go bezradność. Czuł się spisany na straty, niepotrzebny. Może gdyby potrafił jakoś się zemścić, przyniosłoby mu to ulgę, ale wiedział, że nie ma na to siły.

Zuzanna nie rozmawiała z mężczyzną zbyt długo. Nie pocałowali się na powitanie, tylko skinęli sobie głowami. Wzięła od niego małą kanciastą paczuszkę, potem przez chwilę rozmawiali i raz czy dwa zaśmiali się niczym spiskowcy. To wystarczyło, by Ludwik zaczął się trząść jak w gorączce. Dziwka! Zdradza go, to pewne. Niemal pragnął przyłapać ją na pocałunku lub na tym, że wsiada z kochankiem do auta. To byłby dowód. Nie miałby wątpliwości. Wszystko byłoby bardziej miłosierne niż okrutne wizje, które od teraz będą męczyć go we dnie i w nocy… Zuzanna po dziesięciu minutach pożegnała się z tym młodzieńcem i każdy poszedł

w swoją stronę, ale tego już Ludwik nie widział. Wszedł do najbliższego baru – czegoś tak odważnego nie zrobił od kilku lat – i zamówił koniak.

Kiedy dwie godziny później, nieco wstawiony, wrócił do domu, nie zastał tam Zuzanny. Z niedowierzaniem patrzył na ciemną kuchnię i zimne garnki na palnikach. Zakładał, że żona wróci przed nim, a gdy zobaczył, że się mylił, gardło zacisnęło mu się ze strachu. Jak mogła zniknąć bez wyjaśnienia? Nigdy wcześniej mu tego nie zrobiła. Przecież był piątkowy wieczór, z którym nieodłącznie wiąże się spaghetti po mediolańsku, kieliszek czerwonego wina i film na video. Jedzenie i film przygotowywała zawsze Zuzanna i punktualnie o dziewiętnastej siadali do stołu. Ludwik uwielbiał ten rytuał, podobnie jak pozostałe wymyślone przez siebie rytuały. Zawsze ściśle ich przestrzegał, bowiem pomagały mu stawić czoła niebezpiecznemu, niepewnemu światu, w którym człowieka czekają wyłącznie nieprzyjemności.

Kuchnia bez Zuzanny wydawała się dziwnie pusta i zimna. Na zewnątrz zapadł zmrok, ale przez okno wciąż wpadało trochę światła, więc Ludwik postanowił nie włączać lampy. Postawił czajnik na kuchenkę, a do filiżanki wrzucił torebkę herbaty z rana. Zaparzy ją jeszcze raz – nie można szastać pieniędzmi, takie życie. Ogarnęło go poczucie zadowolenia, jak zawsze, gdy udawało mu się zaoszczędzić kilka groszy.

Herbata prawie nie miała smaku, ale Ludwik ją wypił. Potem spojrzał na zegarek. Wpół do siódmej. Podszedł do okna, otworzył je i wychylił się. Jak na koniec października był stosunkowo ciepły wieczór, wiał wiatr, a kryształowo czyste powietrze pachniało butwiejącymi liśćmi. Od przystanku autobusowego szła szybkim krokiem kobieta, ale nie była to Zuzanna. A jeśli coś się jej stało? Może wracała z tej randki z młodzieńcem w sztruksowej kurtce, w głowie miała fiubździu, nie rozejrzała się na przejściu dla pieszych i potrąciło ją auto… Ludwik zamknął okno

i pomyślał, że dziś na pewno nie wydarzyła się żadna tragedia – jest przecież zielony, czyli dość bezpieczny dzień. Sprawdził w kalendarzu kolor odpowiedniego pola. Tak, naprawdę dziś jest zielony. Nie powinno przydarzyć się nic wyjątkowego. Ale czy naprawdę można wierzyć w przepowiednie astrologiczne? Pierwszy raz w życiu Ludwik w to zwątpił.

Wbiegł do sypialni i pochylił się nad szafką nocną Zuzanny. Był to jedyny mebel w całym mieszkaniu, z którego korzystała tylko ona – wszystkimi pozostałymi szafami się dzielili. Zuzanna zamykała szafkę nocną, ale Ludwik wiedział, gdzie ukrywa kluczyk. Sięgnął pod dywan i namacał metalowy przedmiot. Dzięki Bogu nie zmieniła kryjówki.

Po chwili grzebał z obrzydzeniem w szufladzie pełnej spinek do włosów i na wpół wyschniętych lakierów do paznokci, z których ulatniał się lekki smród acetonu. Ludwik kilka lat temu zabronił żonie malować paznokcie, bo wydawała mu się z nimi zbyt wyzywająca, niebezpieczna, ordynarna. Otworzył pudełko z ciężkimi kolczykami z mnóstwem błyszczących kamyczków i ozdóbek. Je też zakazał jej nosić. Nie lubił, kiedy się przesadnie stroiła – przecież mężatka nie musi się nikomu podobać. Tolerował tylko perły, w których wyglądała należycie i skromnie. Kiedy raz wyszła mu naprzeciw, gdy wracał z pracy, a z uszu zwisały jej tanie, błyszczące kółka, wyszarpnął je tak brutalnie, że naderwał jedną małżowinę. Polało się mnóstwo krwi i wyrzutów, ale Zuzanna w końcu mu wybaczyła i nigdy więcej nie włożyła na siebie żadnej ekstrawaganckiej biżuterii. Ludwik cieszył się, że dopiął swego. Żona i tak najbardziej podobała mu się ozdobiona tylko grzywą długich, świeżo umytych włosów.

Zastanawiał się, czego tak właściwie w tej szufladzie szuka. Listu od kochanka lub innego dowodu zdrady? Kiedy w stosiku dokumentów natrafił na paszport i pięćdziesiąt euro, trochę się uspokoił. Jeśli Zuzanna chciałaby odejść na zawsze, na pewno zabrałaby ze sobą dokumenty.

Spod pudełka z sypkim pudrem wystawał oderwany kawałek gazety. Coś było na nim napisane. Nazwisko i numer. Ludwik musiał iść po okulary, a kiedy je wkładał, ręce drżały mu niecierpliwie.

Dr Franciszek Macak, prywatny psychiatra, Praga 8, Náhorní 5. I numer telefonu.

Zuzanna chodzi do psychiatry? Czyli nie kłamała i we wtorek wcześnie rano naprawdę wymknęła się z domu do lekarza? Jest chora psychicznie? Ma depresję? Dlaczego mu o tym nie powiedziała? Ludwik zmarszczył czoło. Nie był pewien, na ile może wierzyć swojej żonie. Przecież w sobotę też twierdziła, że idzie na badania, a w rzeczywistości spotkała się z Julią.

Zamyślony obrócił urywek gazety w palcach. Julia Keller, Krokusowa 25 – było napisane na drugiej stronie. A obok adresu znów numer telefonu.

Zaskoczony patrzył na krągłe pismo Zuzanny. To nie trzymało się kupy. Co Julia ma wspólnego z psychiatrą, do którego najwyraźniej chodzi Zuzanna? Dlaczego dane kontaktowe tych dwóch osób znalazły się na jednym kawałku papieru.

Długimi krokami podbiegł do telefonu i wykręcił numer, który wciąż znał na pamięć, choć nie korzystał z niego od ponad czterech lat.

Oddychał głęboko i czekał, aż usłyszy głos Julii.

W piątek Julia nie mogła pozbyć się złego nastroju. W ogóle nie miała ochoty na popołudniowe grillowanie u Hrubeszów. Od dnia, gdy znalazła w skrzynce pocztowej klepsydrę Jacquesa, była dziwnie otępiała i zmęczona. Jak w tym stanie mogłaby świętować urodziny przyjaciółki?

Potajemnie miała nadzieję, że kiedy rano się obudzi, będzie padać, ale nad miastem nie wisiała ani jedna chmurka, a koniec października był wyjątkowo ciepły. Gdy o czternastej wyjrzała przez okno, zobaczyła, jak w ogrodzie po drugiej stronie ulicy Lada wyciera ścierką białe plastikowe

krzesła i zmiata ze stolików suche liście. Na betonowych płytach przed domem Hrubeszów stał już przygotowany grill z lśniącą pokrywą.

Wygląda na to, że nie wykręci się z tej imprezy. Czy Hrubeszowie nabraliby się na to, że zachorowała? Sięgnęła do kieszeni fartucha i ścisnęła w palcach wygniecioną klepsydrę. Właściwie sama nie wiedziała, dlaczego nosi ją przy sobie. Zanim wczoraj rano wyszła z domu, ogarnął ją irracjonalny strach, że jeśli zostawi tę kartkę w szufladzie, Klara znajdzie ją i zażąda wyjaśnień: kim był Jacques i skąd matka go znała. Julia wiedziała, że nie potrafiłaby odpowiedzieć na te pytania. Już nigdy nie chce z nikim rozmawiać o Jacques'u Lapinie. To przeszłość. Zniknął. Nareszcie. Wsunęła więc kopertę do torebki, a wieczorem przełożyła klepsydrę do kieszeni fartucha, skąd potem wielokrotnie ją wyciągała i przygląda się jej z niedowierzaniem. Teraz również rozłożyła kartkę i przesunęła wzrok po kilku rzędach liter.

Tak, zniknął. Powinna zapomnieć i żyć teraźniejszością. Pójdzie do Hrubeszów. Musi tam iść.

O piątej po południu do domu wpadli Klara z Piotrem. Nawet się nie przywitali, tylko z tupotem poszli na poddasze. Od wtorkowego konfliktu Klara nie odezwała się do Julii ani słowem, a Piotr ani razu nie pokazał się na parterze. Jego obecność w domu zdradzał tylko słaby smród tytoniu, dochodzący z najwyższego piętra. Julia mogła się tylko domyślać, czy Klara już wtajemniczyła swojego chłopaka w swoją prawdziwą sytuację finansową, czy może Piotr wciąż żyje w błogiej nieświadomości. Postanowiła, że będzie wspaniałomyślna i da Klarze czas do soboty. Potem, jeśli zajdzie taka konieczność, sama powie Piotrowi, jak się sprawy mają.

Akurat wkładała do piekarnika serowe paluchy z ciasta francuskiego, które planowała zanieść do Hrubeszów, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Wytarła dłonie w fartuch i bez pośpiechu poszła otworzyć. To na pewno

znów Weronika – ostatnio wyglądała, jakby się jej tu spodobało. A może inspektor Bergman przygotował kolejne pytania? Uświadomiła sobie, że wprawdzie zdecydowanie wolałaby uniknąć wizyty detektywa w domu, ale bardzo chętnie spotkałaby się z Józefem Bergmanem prywatnie.

Tyle że na schodach stała druga żona Ludwika.

– Dzień dobry, Julio. Czy mogę na chwilę wejść?

Julia mimowolnie wsunęła prawą dłoń do kieszeni fartucha, jakby z pogniecionej klepsydry mogła nabrać siłę.

– Czy coś się stało?

Odsunęła się, by wpuścić Zuzannę do środka.

– To zależy… – Zuzanna zaczęła w przedpokoju ściągać buty.

– Proszę nie ściągać. Dziś nie pada.

– Nie… Wolę ściągnąć… – Zuzanna drżącymi palcami walczyła z zamkiem zamszowych kozaczków.

– Jak pani uważa. – Julia niecierpliwie wzruszyła ramionami, ale natychmiast pożałowała tego gestu. Nie chciała zachować się wobec Zuzanny zbyt nieprzyjaźnie. Właściwie ciekawiło ją, co sprowadza tę młodą kobietę. – Napije się pani herbaty?

– Chętnie. Poproszę bez cukru i z mlekiem. – Zuzanna zająknęła się i spuściła wzrok, jakby sama przestraszyła się swojej odwagi.

– A może zupę gulaszową? – przyszło do głowy Julii. – Jadłam ją na obiad i mam jeszcze jedną porcję.

– Zupę? No nie wiem. Nie jestem głodna… Chociaż dziś jeszcze prawie nic nie jadłam.

– Świetnie, w takim razie zaraz pani zje.

– Dziękuję. – Zuzanna automatycznie podeszła do stołu.

– Tam proszę nie siadać – przypomniała jej Julia. – Krzesła są przywiązane… Zresztą przecież pani już to wie. Nie będę ich dla pani odwiązywać. Może pani zjeść zupę na stojąco, jak przy barze. – A potem dodała pojednawczo: – A może woli pani w kuchni? Mam tam jeszcze jeden, mniejszy stół, przy którym można usiąść.

Zuzanna poszła za nią bez słowa. Gdy Julia postawiła przed nią talerz parującej zupy, na blat wskoczyły dwa koty. Chude, bure zwierzę usadowiło się w bezpiecznej odległości od gościa i złotymi oczami obserwowało ruch łyżki, ale spasiony, czarno-biały kot odważył się podejść bliżej i, korzystając z chwili nieuwagi, spróbował zamoczyć łapkę w talerzu.

– A kysz! – Zuzanna odłożyła łyżkę i klasnęła, lecz zwierzęta nawet nie drgnęły. – Czy miała je pani też przed rozwodem z Ludwikiem?

– Oczywiście, że nie. Nie zniósłby ich.

– Pani naprawdę jest całkowicie inna niż on. Jak się poznaliście?

– Normalnie. W knajpie, przez wspólnych znajomych. A potem… – Zamilkła, jakby zawahała się, ile może Zuzannie wyjawić. – Potem zaczęliśmy ze sobą chodzić i szybko wzięliśmy ślub.

– Dostosowywała się pani do niego?

– Jasne. Jak inaczej mogłabym przeżyć z nim tyle lat? – Julia wytarła dłonie w fartuch. – Dlaczego znów pani tu przyszła? Czy potrzebuje pani czegoś? Nie chcę być nieuprzejma, ale wybieram się dziś na imprezę urodzinową i nie mam zbyt dużo czasu.

– Wie pani… Ja właściwie…

Julia niecierpliwie uniosła brwi. Zaczynała żałować, że wpuściła Zuzannę do domu. Czy to możliwe, że po ich poprzednim spotkaniu druga żona Ludwika zaczęła uważać ją za przyjaciółkę?

– We wtorek znów mnie uderzył.

– To niech się z nim pani rozwiedzie.

– Sama nie wiem… Chciałabym mu pomóc. Byłby miły, gdyby trochę doszedł do siebie. – Zuzanna zaczęła szperać w torebce. – Posłuchałam pani rady. Ludwik naprawdę musi się leczyć. We wtorek rano widziałam się z jednym psychiatrą, którego poleciła mi koleżanka. Wyjaśniłam mu, że Ludwik miewa stany lękowe i ataki wściekłości, ale za żadne skarby nie pozwoli się przebadać. – Położyła na stole małe, żółte pudełko. – To dobry lekarz. Młody, ale już dość znany. Najpierw nie chciał wystawić recepty bez spotkania z pacjentem, ale w końcu udało mi się go przekonać. Dziś spotkałam się z nim na mieście i przyniósł mi te leki. Mam je potajemnie dosypywać Ludwikowi do jedzenia albo powiedzieć mu, że to witaminy. Podobno będzie po nich potulny jak baranek.

– Gratuluję. Czego w takim razie chce pani ode mnie? – spytała chłodno Julia. Dlaczego Zuzanna Keller wciąga ją do swoich problemów?

– Tego, co ostatnio. Rady – odpowiedziała prostolinijnie Zuzanna. – Nie mam żadnej przyjaciółki. Nigdy nie miałam ich zbyt wiele, nawet w dzieciństwie. A kiedy rozpada się małżeństwo, człowiek zrobi cokolwiek… Zwróci się o pomoc do kogokolwiek… Czy pani przed rozwodem czuła inaczej? Wierzę, że zna pani Ludwika lepiej niż ja. Któż inny mógłby mi coś doradzić?

– Wątpię, czy go znam. Z pani opowieści widzę, że w ostatnich latach bardzo się zmienił.

– Możliwe, ale proszę wczuć się w moją sytuację. Czy pani powiedziałaby Ludwikowi, na co są te tabletki? Próbowałaby pani wyjaśnić mu, że ma problem i musi się leczyć? Jedyną alternatywą jest działanie po kryjomu. Gdyby wybrała pani to rozwiązanie, to czy przesypałaby pani tabletki do opakowania po witaminach, czy rozkruszałaby je pani i dodawała do jedzenia?

„Rozpuściłabym mu w kawie taką dawkę, że już by się nie obudził" – pomyślała Julia, ale oczywiście nie mogła powiedzieć tego na głos.

– Nie wiem – odparła zmęczona. Drażniło ją, że Zuzanna jest tak niesamodzielna. Nigdy nie rozumiała ludzi, którzy każdy swój ważniejszy krok muszą konsultować z kimś innym. – Nie chcę pani doradzać. Musi pani podjąć tę decyzję sama. Przecież to pani mąż, nie mój.

Zadzwonił telefon, a Julia szybko spojrzała na zegarek.

– To na pewno koleżanka. Obchodzi dziś urodziny. Zaprosiła mnie na grilla, wprawdzie jest już dość chłodno, ale daty urodzin człowiek sobie nie wybiera, prawda…? – Podniosła słuchawkę.

– Julia? Czy nie ma u ciebie przypadkiem Zuzanny?

Ludwik. Nie rozmawiała z nim od kilku lat, ale natychmiast poznała ten metaliczny głos. Ręce zaczęły się jej trząść jak za czasów małżeństwa.

Próbowała nie okazywać zdenerwowania.

– Cześć. Jak się masz?

– Nie twoja sprawa. Czy moja żona jest u ciebie, czy nie?

– Tak. Jest tu. Chcesz z nią porozmawiać?

– Co tam robi?

– Przyszła mnie odwiedzić. Pijemy herbatę, rozmawiamy o życiu… – Uśmiechnęła się złośliwie, bo wiedziała, jak jej odpowiedź zdenerwuje Ludwika.

– Rozmawiacie o życiu?

– Tak.

– O ile mi wiadomo, wcześniej się nie znałyście.

– Nie bądź tego taki pewien – drażniła się z nim. To, że ma nad Ludwikiem przewagę, przynosiło jej perwersyjne zadowolenie. W przeszłości nieczęsto się to zdarzało.

– Do czego ty ją namawiasz, stara babo? Buntujesz ją przeciwko mnie, co? Znam cię na wylot. Chcesz się zemścić za to, że cię zostawiłem i zacząłem od nowa. Próbujesz odebrać mi wszystko, co mam!

Julia się roześmiała, ale nawet w jej uszach brzmiało to jak garnki spadające na kafelki. Im dłużej rozmawiała z Ludwikiem, tym bardziej się go bała. Jakby znów zapadała się w przeszłość.

– Ostrzegam cię, Julio. Zostaw Zuzannę w spokoju albo będziesz mieć ze mną do czynienia.

– Wpadniesz porzucać we mnie talerzami? Fajnie, dawno tego nie grali. Przyjdź, powspominamy stare czasy.

Zuzanna zbladła i wbiła krótko przycięte paznokcie w blat stołu.

Julia obróciła się do niej i przykryła dłonią słuchawkę.

– Pani Zuzanno, telefon. Mąż dzwoni – oświadczyła chłodno.

ROZDZIAŁ 16

Ludwik wygłosił Zuzannie przez telefon dwudziestominutowe kazanie. Julia mierzyła mu czas na wiszącym nad kuchenką antycznym zegarze z wahadłem. Zaskoczyło ją, jak długo jej eksmąż potrafi bez przerwy mówić. Zuzanna ograniczała się do niepewnego „tak", „przepraszam" i ewentualnie „wiem, kochanie".

Wreszcie odłożyła słuchawkę i spojrzała na Julię. Na twarzy pojawiły się jej czerwone plamy.

– Już nie mogę – szepnęła i opadła na krzesło. Podniosła rękę, żeby przegonić czarno-białego kota, który tymczasem dobrał się do jej zupy gulaszowej, ale potem zmieniła zdanie i zaczęła zwierzę głaskać. – Nie mogę tak dalej żyć.

Julia stała nad nią z rękami na biodrach. „Powinnam ją już wyprosić" – myślała niecierpliwie. Najwyższy czas, by się przebrać i iść na grill do Hrubeszów.

– Nie chcę być nieuprzejma, Zuzanno, ale muszę już…

– Powiedział, że panią zabije.

– Proszę? – Julia miała nadzieję, że się przesłyszała.

– Powiedział, że panią zabije, bo szczuje mnie pani przeciw niemu. Twierdzi, że jestem ostatnio nieposłuszna i że to pani wina! – Roześmiała się histerycznie. – Nieposłuszna! Rozumie to pani? Mówi o mnie jak o dziesięcioletniej dziewczynce!

– Mężczyźni tacy jak Ludwik nie powinni się żenić. Właściwie zrozumiałam to już kilka lat po ślubie. On jest despotą, który powinien żyć sam, ponieważ tyranizuje wszystkich w swoim otoczeniu. Niech pani się z nim rozwiedzie. Jest pani jeszcze młoda, życie przed panią.

– Nie chce mieć już dzieci – szepnęła Zuzanna.

– A pani chce?

– Co za pytanie? Mam prawie czterdzieści lat i jestem bezdzietna! Proszę pokazać mi zdrową, normalnie myślącą kobietę, która nie chce mieć rodziny! Gdyby pani wiedziała, jak zazdroszczę pani Klary i Michała… Dla mnie to już najwyższy czas.

– To na co pani czeka?

Zuzanna wbiła w nią puste spojrzenie.

– Nie wiem. Kochałam Ludwika jak… jak ojca. Trudno jest podnieść kotwicę i odejść.

– Jest pani już dużą dziewczynką. Nie potrzebuje pani zastępczego taty, tylko kochającego partnera. Coś pani powiem. Zamiast dosypywać mu leki uspokajające do jedzenia, niech pani się jutro spakuje i zacznie wreszcie żyć jak dorosła kobieta. Fajnie jest być za siebie odpowiedzialnym. Wprawdzie kosztuje to dużo więcej sił niż ciągłe podporządkowywanie się i pozwalanie decydować za siebie komuś innemu, ale kiedy już zasmakuje pani samodzielności, nie będzie pani chciała żyć inaczej.

Zuzanna skinęła głową bez słowa i sięgnęła po dzbanek z herbatą, żeby nalać sobie kolejną filiżankę.

Julia położyła dłoń na jej ręce.

– Proszę się nie gniewać, ale muszę już iść na te urodziny.

– Oczywiście. – Zuzanna przygryzła górną wargę, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, że bez zaproszenia wtargnęła do domu, w którym najwyraźniej nie jest mile widziana. – Oczywiście. Już wychodzę.

Julia wstała, znacząco obróciła się do niej plecami i zaczęła układać serowe paluchy w plastikowym pudełku wyłożonym chusteczkami. Słyszała skrzypnięcie krzesła o parkiet i kroki Zuzanny zmierzające do drzwi. Ogarnął ją smutek, całkowicie absurdalny, ponieważ dotyczył kobiety, która odebrała jej męża.

– Niech pani poczeka! – Julia wybiegła do przedpokoju. Choć jeszcze przed chwilą nie mogła się doczekać, aż pozbędzie się Zuzanny, spytała: – Może chciałaby pani pójść na te urodziny ze mną?

– Z panią?

– No tak. Chyba przydałoby się pani jakieś odprężenie.

Zuzanna cofnęła się przerażona.

– Nie mogę. Jak wytłumaczyłabym to Ludwikowi? Obiecałam mu, że pojadę prosto do domu.

– Zadzwoni pani do niego i powie mu, że została pani zaproszona na grill, więc wróci pani później.

– Nigdy by mi na to nie pozwolił!

– Nie pozwolił? – Julia uniosła brwi. – Przecież nikt nie musi pani na nic pozwalać. Jest pani dorosłą kobietą. Sama decyduje pani o swoim życiu.

Zuzanna nie odpowiadała, więc Julia objęła ją wokół ramion i zaprowadziła z powrotem do kuchni.

– Proszę usiąść i czuć się jak u siebie w domu. Ja tylko skoczę się przebrać i zaraz do pani wracam.

Sąsiadka Julii, Lada Hrubesz, uwielbiała gościć przyjaciół w swoim domu. Prawdopodobnie było tak dlatego, że nie miała dzieci, a jej codzienne życie upływało zbyt leniwie i spokojnie. Przy każdej okazji urządzała więc kameralne imprezy: obchodziła urodziny swoje i męża, rocznice ślubu, pierwszy dzień wiosny, pierwszy dzień lata i sylwestra. W ostatni dzień

kwietnia paliła nawet w ogrodzie czarownice i właśnie to wydarzenie cieszyło się zazwyczaj największym zainteresowaniem.

Urodziny miała trzydziestego pierwszego października, stanowiły więc jedną z ostatnich okazji do świętowania pod gołym niebem, zanim przyjdzie zima i imprezy zostaną na pół roku przeniesione pod dach. Lada starała się dopracować wszystkie szczegóły do perfekcji. W życiu miała wiele pustych miejsc, zatem z mniejszymi lub większymi sukcesami próbowała wypełnić czas pasją do gotowania i prowadzenia domu. Rola gospodyni dawała jej pełnię szczęścia: w bezpiecznych granicach własnego domostwa, a jednocześnie otoczona przyjaciółmi, mogła prezentować swoje zdolności kulinarne i choć przez jeden wieczór czuć się niezastąpiona i przyjemnie zapracowana.

Weszła do kuchni i zaczęła przygotowywać grog dla gości skarżących się, że w ogrodzie jest im zimno. Po zmroku temperatura spadła do zaledwie kilku stopni powyżej zera, a Lada zastanawiała się, czy nie powinna była jednak zorganizować imprezy w domu. Przez okno tarasowe widziała grupkę przyjaciół w ciepłych płaszczach i kurtkach, tłoczących się wokół ogniska. Wacław przed chwilą dorzucił do ognia, więc płomienie strzelały wysoko i oblizywały dolne gałęzie starej wiśni. W tle pobłyskiwały żółtoczerwone rozżarzone węgielki w grillu ogrodowym, na którym Wacław obracał steki i kiełbaski. Lada po południu rozwiesiła na tujach kolorowe żarówki, które teraz przyjaźnie świeciły w mroku.

Z zewnątrz dobiegł do niej głos lekko wstawionego Juraja Truskawki:

– No przestańcie, przecież nie będziemy się tu bawić w abstynentów. Przyjechaliście autem? Nie? To o co wam chodzi?

Westchnęła z dezaprobatą i włączyła czajnik. Wolałaby, żeby impreza przebiegała w spokojniejszym duchu, ale rozumiała, że Wacław musiał zaprosić również tych bardziej problemowych gości. Szczególnie

przeszkadzała jej obecność Juraja i Joanny Truskawków, którzy zazwyczaj na imprezach najpierw się upijali, a potem kłócili.

Dziesięć minut później gospodyni wyszła do ciemnego ogrodu z tacą pełną tanich szklanek z grubego szkła. Chłodne powietrze szczypało, ale temperatura wciąż trzymała się powyżej zera. Od głośno strzelającego, hojnie karmionego ognia emanowało przyjemne ciepło. Lada musiała na chwilkę przystanąć, by się rozejrzeć i nie potknąć o kępę trawy.

– Jeszcze po jednym. Żadnych wykrętów – krzyczał po jej lewej stronie Juraj Truskawka. – To prawdziwa domowa śliwowica, a nie te sklepowe podróbki. Przywozi mi ją kuzyn z Mikulova. Pani nie lubi śliwowicy?

Obróciła się, by sprawdzić, do kogo przykleił się Juraj. No jasne, przeczuwała, że wziął w obroty tę spiętą blondynkę, która przyszła z Julią. Siedzieli sami przy białym plastikowym stole pod jabłonią, opatuleni płaszczami, a przed nimi stała opróżniona do połowy butelka śliwowicy. Joanna Truskawka stała przy ognisku w grupce omawiającej od dłuższego czasu morderstwo w lasku. Udawała, że w ogóle nie zwraca uwagi na to, z kim rozmawia mąż, ale jej oczy co jakiś czas błądziły w jego kierunku.

Jasnowłosa towarzyszka Juraja wyglądała na przerażoną. Kolana trzymała złączone, ręce dystyngowanie ułożyła na udach i niespokojnym wzrokiem skakała z miejsca na miejsce. Trochę przypominała udomowionego kota, który przez przypadek po raz pierwszy w życiu wyszedł na dwór i z mieszanką strachu i podniecenia uczy się nieznanych zapachów. Dziwna kobieta. Lada chętnie by z nią porozmawiała, ale nie chciała mieszać się między nią i Juraja, więc udała się do pozostałych gości. Nie rozumiała, dlaczego Julia przyprowadziła tu swoją koleżankę, skoro w ogóle się nią nie zajmuje. Przedstawiła się tylko imieniem: Zuzanna. Od kiedy Julia się z nią przyjaźni i skąd ją zna? Trzeba ją o to zapytać.

Taca po chwili była pusta, a Lada wróciła do domu, by teraz dla odmiany przygotować kawę. Lubiła krążyć między gośćmi i kuchnią. Może mogłaby przygotować też kilka kanapek – już się kończą, a alkohol powinno się czymś zagryzać.

Tym razem zabawiła w domu dłużej, a kiedy wreszcie znów wyszła do ogrodu, zobaczyła, że obok Zuzanny siedzi zamiast Truskawki jej mąż Wacław. Nie wiedziała, czy ją to cieszy, czy drażni. Celowo ominęła tę parę przy plastikowym stole i ruszyła z kawą i kanapkami w stronę ognia.

Julia położyła jej rękę na przedramieniu.

– Muszę ci potem coś powiedzieć.

– Ja tobie też.

– Dobrze. Usiądziemy na chwilę w domu?

Lada rzuciła okiem na swojego męża i blondynkę Zuzannę. Uświadomiła sobie, że nie chce zostawiać ich samych.

– Później – odparła.

– W takim razie przyjdź po mnie, jak będziesz mieć czas.

Julia obróciła się ku Klarze i jej chłopakowi Piotrowi, którzy przyszli dopiero przed chwilą. Lada nie mogła pozbyć się wrażenia, że wpadli tylko na darmową kolację, bo od razu rzucili się do stołu z jedzeniem i nawet nie złożyli jej życzeń urodzinowych. Klara przyniosła tylko butelkę taniego wina, a Piotr nie zdobył się nawet na to. Od razu nie spodobał się Ladzie. Ten jego wodnisty wzrok, zapadnięte policzki i wąskie wargi! Znała się na ludziach, a w Piotrze wyczuwała głód.

Wolała podejść do Weroniki Truskawki, która w rogu ogrodu karmiła kota grubym stekiem.

– Napijesz się kawy, Weroniko?

– Jasne. Już jestem duża.

– Wiem. Nie to miałam na myśli. Po prostu wolałam się upewnić. – Lada podała jej filiżankę. – Nie smakuje ci stek? – spytała i spojrzała na kota, zajadającego właśnie olbrzymi kawał mięsa.

– Smakuje, ale ta pani kotka też się nim zajada. Nie jestem skąpa. Lubię się dzielić.

Lada się uśmiechnęła. Weronika Truskawka była jej ulubioną sąsiadką. Czasem przyłapywała się na myśli, że chciałaby mieć taką córkę. Niestety córki nigdy mieć nie będzie: ani takiej, ani innej.

– To miło z twojej strony. Trzymajcie się, dziewczyny. – Znów podeszła do ognia. Wacław wciąż siedział z Zuzanną przy stole ogrodowym. Rozmawiali cicho, nachylając głowy ku sobie. Ladzie ścisnęło się gardło. Teraz już dobrze wiedziała, co czuje – przeszkadzało jej, że jej mąż szepcze z obcą, wystrojoną blondynką. Do cholery, dlaczego ta Julia ją tu przyprowadziła?

– …że to dla mnie ostatni moment, by mieć dzieci – dobiegło do Lady, gdy mijała siedzącą parę. Zuzanna była wyraźnie podpita. Ożywiła się, jej oczy błyszczały i nienaturalnie gestykulowała.

– Ile ma pani lat? – spytał Wacław.

– Niedługo skończę czterdzieści. Mam od tego depresję. Czterdzieści! Czuję się o dwadzieścia lat młodziej.

– I tak też pani wygląda.

Lada potknęła się w ciemności i w ostatniej chwili złapała równowagę. Do oczu napłynęły jej łzy. Nie, naprawdę nie w ten sposób wyobrażała sobie dzisiejsze przyjęcie.

Julia zauważyła, że Lada zniknęła gdzieś na dłużej. Miała ochotę na kolejną filiżankę kawy, więc postanowiła poszukać przyjaciółki w kuchni. Światło było włączone, ale parter wydawał się cichy i pusty.

– Lado? – Julia zajrzała do salonu, ale nie odważyła się wejść dalej. Może Lada poszła na piętro się przebrać.

Włączyła czajnik i w zamyśleniu obserwowała ogród. Cieszyła się, że nie została w domu i że spotkała się ze znajomymi. Przyszli też Klara z Piotrem i zachowywali się jak dwa gołąbki. Czy Piotr zna już szczegóły sytuacji finansowej Klary? Raczej nie. Postanowiła, że zapyta o to córkę.

Czajnik brzęknął i wydobyła się z niego para. Julia zrobiła sobie kawę i wlała do niej dużą porcję mleka. Z filiżanką w dłoniach wróciła do ogrodu.

Podeszła do Zuzanny, która od dłuższego czasu rozmawiała z Wacławem Hrubeszem. „Jeśli zaraz nie podniesie kotwicy i nie ruszy do domu, Ludwik każe policji rozpocząć poszukiwania" – pomyślała Julia z grymasem.

– Dobrze się pani bawi, Zuzanno?

Zuzanna uniosła ku niej błyszczące oczy.

– Całkiem nieźle. Dziękuję, że mnie tu pani przyprowadziła.

– Nie ma za co. – Julia opadła na wolne białe krzesło. – Mogę? – spytała, kiedy już siedziała.

– Oczywiście. Nie wiedziałem, że Zuzka to druga żona Ludwika. Dlaczego nam nie powiedziałaś? Ja i Lada myśleliśmy, że po prostu przyprowadziłaś koleżankę.

Julia wzruszyła ramionami.

– Nie wydało mi się to istotne.

– Akurat rozmawialiśmy o twojej pracy – kontynuował Wacław. – Zuzanna chciałaby zobaczyć, jak wygląda taka aukcja dzieł sztuki. Dlaczego takie przyjaciółki jak wy nigdy nie chodzą tam razem? Może w sobotę pójdziemy w czwórkę: ty, Zuzanna, ja i Lada.

– Moglibyśmy – odparła ostrożnie Julia i napiła się kawy, która na zimnym powietrzu szybko stygła. „One przyjaciółkami? Boże, co ta Zuzanna mu naopowiadała?". – Ale nie będę mieć tam czasu, by się wami zająć. Muszę ciągle pilnować wydarzeń w sali… Zapisywać wyniki… I tak dalej. – Spuściła wzrok.

– Nie wiedziałam, gdzie pani pracuje – powiedziała Zuzanna. – Ludwik nigdy o pani nie mówi. – Na dźwięk imienia męża spojrzała na zegarek. – Jezu, już tak późno! On mnie zabije! – Zaczęła grzebać w torebce, aż wyciągnęła mały, srebrny telefon. – No jasne! Dwadzieścia sześć nieodebranych połączeń. Wyłączyłam dźwięk, kiedy wychodziłam na to spotkanie z psychiatrą – wyjaśniła Julii. – Myślałam, że za godzinę wrócę do domu, ale potem przyszłam do pani i wszystko się pogmatwało.

Wacław uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Mąż jest o panią zazdrosny?

Zaśmiała się sucho.

– Wciąż i bezpodstawnie.

– Naprawdę?

– Przez te cztery lata byłam mu wierna. Ale kiedy ktoś człowieka tak pilnuje, osiąga tylko to, że chce się przed nim uciec… – Zrobiła znaczącą pauzę. – Wie pan, dziś postanowiłam, że odejdę od męża. To Julia dodała mi odwagi. Jestem jej za to wdzięczna. – Podniosła kieliszek śliwowicy, wlała jego zawartość do gardła i otrząsnęła się z obrzydzeniem. – Julio, pani zdrowie. Boże, jaki ten bimber jest obrzydliwy!

Julia skinęła jej filiżanką ze stygnącą kawą i odwróciła się zniesmaczona. Dlaczego przyprowadziła tę zrozpaczoną kobietę do swoich przyjaciół?

Kątem oka spostrzegła ruch w otwartym oknie tarasowym. Lada właśnie wychodziła z domu, a kolorowe żarówki oświetliły jej spuchniętą

twarz. Płakała? Julia szybko wstała i podeszła do przyjaciółki.

– Gdzie zniknęłaś na tak długo? Wyglądasz na zapłakaną.

Lada otarła oczy grzbietem ręki.

– Trochę kręciło mi się w głowie. Poszłam się na chwilę położyć.

Julia dyplomatycznie zmieniła temat.

– Co chciałaś mi przedtem powiedzieć?

– A, rzeczywiście! – Lada ożyła i konspiracyjnie chwyciła Julię za łokieć. – W zeszłą sobotę widziałam tu Ludwika. Śmiesznie to wyglądało. Chował się za budką telefoniczną i obserwował twój dom. Przyszedł chwilkę po twojej koleżance. – Wskazała brodą na Zuzannę.

Julia głośno westchnęła. Czyli Ludwik śledził wtedy swoją żonę. Świetnie! Nietrudno sobie wyobrazić, że jeśli Zuzanna naprawdę zażąda rozwodu, Ludwik obwini o to Julię.

– Do moich drzwi z pewnością nie dzwonił. Nie widzieliśmy się od rozwodu. A przy okazji: Zuzanna to druga żona Ludwika. Przepraszam, że nie wyjaśniłam tego od razu. Jakoś mi się… nie chciało.

– Co? I ty się z nią przyjaźnisz?

– Nie. Przychodzi do mnie i wyciąga ze mnie informacje na temat mojego małżeństwa z Ludwikiem. Teraz chce się rozwieść i twierdzi, że to ja jej to doradziłam.

Lada spoważniała.

– Uważaj na nią. Wydaje mi się fałszywa jak banknot bez znaku wodnego. – Obróciła się i spojrzała w ciemność. Z grymasem na twarzy zauważyła, że jasne ciemię Zuzanny prawie dotyka skroni Wacława. – Tylko spójrz, jak się do niego zaleca!

– Oboje są pijani.

– Wiem, ale to ich nie usprawiedliwia – oświadczyła Lada, a w jej głosie zabrzmiała rozpacz. Nie, Julia naprawdę nie powinna była przyprowadzać tu Zuzanny.

– Pójdę już do domu i wezmę ją ze sobą – obiecała przyjaciółce.

Kiedy dziesięć minut później Julia żegnała się w ogrodzie z Wacławem i Ladą, podniosła ze stołu swoją filiżankę z trzema centymetrami kawy na dnie. Chciała dopić tę resztkę jednym łykiem, ale coś twardego stuknęło w jej przednie zęby. Instynktownie wypluła kawę z powrotem do filiżanki.

– Chyba jest tam kawałek szkła. I to duży!

– Kawałek szkła? – Lada zbladła. – Boże, Julio, przepraszam…

Julia włożyła do filiżanki dwa palce.

– Tak, naprawdę coś tam jest. – Wyciągnęła pinezkę z ostrym grotem.

Zuzanna wytrzeszczyła lśniące oczy.

– Ktoś to tam pani dorzucił.

– Dorzucił? To byłby dość głupi dowcip.

– Julio, nie sądzę, żeby ten ktoś zrobił to dla żartu. Gdyby to pani połknęła, mogłaby pani umrzeć! – Zuzanna wzięła od niej pinezkę i podniosła ją do światła.

– Może w kuchni jest jakaś tablica korkowa, z której pinezka spadła mi do kawy? – zastanawiała się Julia. – Lado, czy to możliwe?

Przyjaciółka zdecydowanie pokręciła głową. Julia wzruszyła ramionami.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Hej, kochani! – krzyknęła do grupki przy ogniu. – Uważajcie, co pijecie! Właśnie znalazłam w kawie pinezkę!

Wśród gości zaszumiało. Ktoś się zaśmiał. O morderstwie w lasku powiedziano już wszystko, zabawa trochę podupadała, więc teraz

przynajmniej będzie nowy temat do rozmowy. Julia uścisnęła Ladę na pożegnanie i w sposób nieznoszący sprzeciwu chwyciła Zuzannę za łokieć.

– My już pójdziemy. Bawcie się dobrze. Cześć, Weroniko. – Pomachała dziewczynie, która wpatrywała się w nią zaniepokojona, i ruszyła w stronę furtki. Czy to możliwe, że ktoś celowo wrzucił jej do kawy pinezkę? Nie chciało się jej w to wierzyć. Juraj Truskawka na pewno chętnie uprzykrzyłby jej życie, ale wątpiła, by zniżył się do takiej dziecinady. Poza tym kawa była już całkiem zimna. Nikt nie mógł być pewien, że jeszcze ją dopije.

Kiedy tylko wyszły z Zuzanną na chodnik, Julia zatrzymała się i wyciągnęła do młodszej kobiety rękę.

– Do widzenia. Życzę pani dużo szczęścia. – Było jej Zuzanny trochę żal, ale nie mogła się doczekać, aż się jej pozbędzie.

Lecz Zuzanna najwyraźniej uznała za konieczne podzielenie się swoimi planami.

– Pojadę teraz do rodziców. Ludwik na pewno jest wściekły, a ja nie chcę mieć kolejnych sińców. Jutro do niego zadzwonię i powiem mu, że chcę się rozwieść. Jeszcze raz dziękuję za rady, Julio. Gdyby nie pani, nigdy bym się na to nie zdobyła…

– To nie moja zasługa. Sama podjęła pani decyzję. Prawdopodobnie marzyła pani o rozwodzie długo przed wizytą u mnie, tylko nie dopuszczała pani do siebie tej myśli.

– Może ma pani rację.

Julia spojrzała na bezchmurne niebo, powoli wciągnęła w płuca zimne powietrze i słuchała oddalającego się stukotu obcasów Zuzanny. Klara i Piotr zostali jeszcze u Hrubeszów, a na nią czeka pusty, ciemny dom. Zrobi sobie kakao, usiądzie w fotelu i zamiast kakofonii obcych głosów – będzie słuchać ciszy. Cieszyła się na samotność jak na nieszkodliwy środek

dopingowy, który doda jej energii na kolejne dni. Jak wspaniale byłoby, gdyby młodzi się wyprowadzili, a ona odzyskałaby dom tylko dla siebie.

Po niszczejących schodach podeszła do drzwi i wcisnęła włącznik światła, ale zewnętrzna lampa nie zareagowała. Pewnie znów coś wybiło bezpieczniki. Po omacku otworzyła dom i weszła do przedpokoju.

Chwilę trwało, zanim zaczęła rozpoznawać w ciemności zarysy mebli. Odwiesiła płaszcz na wieszak i z wyciągniętymi przed siebie rękami szła do starej komody z trzema szufladami. Po drodze potknęła się o gumowce, w których – gdy na zewnątrz było mokro – chodziła karmić koty. Prawie upadła. Wreszcie namacała metalowy krążek i otworzyła górną szufladę. Gdzieś tu powinna być latarka. Tak, jest.

Chociaż Julia miała trochę alkoholu we krwi, była pewna, że kiedy wychodziły z Zuzanną, światło działało bez problemów. Stwierdziła, że korki musieli wybić Klara z Piotrem, ale dlaczego, na litość boską, nie spróbowali ich włączyć? Czy dziś wszyscy młodzi ludzie są tak strasznie nieodpowiedzialni, czy może jest to domena tylko jej córki?

Najpierw musi przynieść z kuchni krzesło, żeby dostać się do skrzynki z bezpiecznikami. Przesunęła światłem po wydeptanym dywanie i uświadomiła sobie, że w ogóle nie chce się jej chodzić po ciemnym domu. Wcześniej dużo razy zdarzały się problemy z prądem, ale Julii nigdy nie ogarnął przy tym taki lęk jak teraz.

Żeby dodać sobie odwagi, zaczęła cicho podśpiewywać. Pewnym krokiem przeszła przez pokój, weszła do kuchni – a gdy usłyszała ciche skrzypnięcie parkietu, którego z pewnością nie mogła spowodować ona, włosy na karku stanęły jej ze strachu. W kolejnej sekundzie światło latarki wyłowiło z ciemności sylwetkę mężczyzny, siedzącego w bezruchu przy stole.

Julia krzyknęła. Serce podskoczyło jej do gardła. Chciała się obrócić i rzucić do ucieczki, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Przestraszyłem cię?

Ludwik. Dzięki Bogu! Spotkanie z byłym mężem wydało się lepszym wariantem, niż gdyby w kuchni miał na nią czyhać ktoś obcy.

– Co tu robisz, do cholery? – Głos jej drżał. Wiedziała, jaką przyjemność sprawia to Ludwikowi. Wejście na scenę naprawdę mu się udało.

– Czekam na ciebie. Gdzie Zuzanna?

– Pojechała do rodziców. – Julia musiała oprzeć się o ścianę. Nogi się jej trzęsły. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była tak przerażona. – Dlaczego, na Boga, siedzisz tu tak cicho. Prawie przez ciebie umarłam! – Poświeciła mu latarką w twarz. – Wyłączyłeś korki, żeby mnie przestraszyć?

Zignorował jej pytanie.

– Zuzanna pojechała do rodziców? Do swoich rodziców?

– No raczej nie do twoich, skoro od dwudziestu lat nie żyją.

Mrugnął z niedowierzaniem.

– Nie pojechała do domu?

Julia wzruszyła ramionami i opuściła latarkę. Nie chciała, żeby to od niej Ludwik dowiedział się, że druga żona go opuszcza.

– Na pewno do ciebie zadzwoni.

– Zadzwoni?

Znów na niego poświeciła.

– Jak tu wszedłeś, Ludwiku? Myślałam, że po rozwodzie oddałeś mi klucze.

– Nie jestem głupi. Oczywiście zrobiłem sobie zapasowe.

Zmroziło ją na myśl, że być może nie wszedł tu po raz pierwszy.

– Po co? Nie masz tu już czego szukać! Wynoś się!

Złość dodała jej odwagi. Chwyciła krzesło i odmaszerowała z nim do przedpokoju. Szybko włączyła bezpieczniki – miała w tym wprawę. Cały dom natychmiast zalało światło, co świadczyło o tym, że chyba niechcący wybiła je Klara.

Julia wróciła do Ludwika. Siedział jak posąg i patrzył na swoje ręce, ułożone na drewnianym blacie stołu. Wyglądał na starego i zmęczonego.

– Oddaj mi te klucze, Ludwiku. A potem wyjdź. – Zaskoczyło ją, że potrafi być taka stanowcza. Może to dzięki temu przerażeniu i późniejszej uldze, że do jej domu nie wszedł nikt obcy.

– Widziałem was – zaczął powoli, nie podnosząc ku Julii wzroku. – Szukałem was tutaj, ale w domu było ciemno… Tych bezpieczników nie wyłączyłem ja, skoro już o tym mowa. Wróciłem na ulicę i usłyszałem głosy w ogrodzie po drugiej stronie. Wydawało mi się, że jeden z nich należy do Zuzanny. Zrozumiałem, że jest tam jakieś przyjęcie, ale wstydziłem się zadzwonić do drzwi i pytać o żonę, skoro równie dobrze mogło jej tam nie być. Przelazłem więc przez płot, podkradłem się bliżej i… I zobaczyłem ją tam. Ciebie też. Co zrobiłabyś na moim miejscu?

Nie odpowiedziała. Dopiero teraz spostrzegła, że Ludwik ma podartą nogawkę szarych spodni. Wyobraziła sobie, jak przechodzi przez ten dość wysoki płot, dodatkowo zabezpieczony na górze drutem kolczastym. Godny podziwu wyczyn dla mężczyzny w jego wieku i z jego kondycją.

– Potrafisz to sobie wyobrazić? Stałem tam w ciemności i widziałem, jak siedzi kilka metrów ode mnie w towarzystwie innego faceta i z czegoś się śmieje. Chciało mi się płakać. Poczułem się strasznie… samotny. Nie potrafiłem wyjść z tego cienia i zabrać Zuzanny do domu. Dlatego przyszedłem poczekać tutaj. Myślałem, że wrócicie razem.

Ponieważ na nią nie patrzył, mogła dobrze mu się przyjrzeć. Wciąż był dość przystojny, ale miał dużo więcej zmarszczek niż w czasie rozwodu, a włosy całkiem mu posiwiały. Wzbudzał raczej współczucie niż strach. A kiedy podniósł wzrok, Julia zrozumiała, że ten mężczyzna cierpi. Męczy się każdego dnia, każdej minuty. Uważa świat za nieprzyjazne miejsce, a wszystkich ludzi łącznie ze swoją żoną za potencjalnych zdrajców. On nie jest zły, tylko bardzo nieszczęśliwy.

– Rozmawiała z Hrubeszem – jęknął.

– Przecież on jest żonaty. Tylko rozmawiali – oświadczyła Julia stanowczo, choć wiedziała, że to Ludwika nie pocieszy. Najgorsze go dopiero czeka. Dokąd pójdzie, gdy Zuzanna wyrzuci go ze swojego mieszkania? Julia wzruszyła ramionami: niech idzie choćby do noclegowni. To już nie jest jej problem.

– Od kiedy się z nią przyjaźnisz?

– Nie przyjaźnię się z nią. Przyszła do mnie dwa razy, bo potrzebowała… Powiedzmy, że potrzebowała rady starszej i bardziej doświadczonej kobiety. – Podetknęła mu dłoń prawie pod nos. – Daj mi te klucze.

Przypomniała sobie, jak kiedyś ją krzywdził i poniżał. Dlaczego się na to godziła? Gdy teraz, cztery lata później, stała z nim twarzą w twarz, stwierdziła, że w ogóle się go nie boi. Był słaby. Właściwie nawet jej nie zaskoczyło, że sięgnął do kieszeni i położył pęk kluczy na stół.

– Idź już.

Posłusznie wstał i bez słowa poszedł do przedpokoju. Julia gratulowała sobie w duchu, że tak łatwo się go pozbyła, lecz nagle zatrzymał się i spojrzał na nią.

– Ty szmato – powiedział cicho. – Ty obrzydliwa, podła, intrygancka szmato.

Potem nareszcie zamknęły się za nim drzwi.

ROZDZIAŁ 17

Tym razem spędzali wieczór w starym volkswagenie matki Dawida, zaparkowanym trochę ryzykownie na początku ulicy Krokusowej. Weronika przyszła tu prosto z ogrodu Hrubeszów. Nawet nie pożegnała się z rodzicami, ale wiedziała, że nie odczują braku jej towarzystwa. Kiedy wychodziła, ojciec i matka byli już wstawieni, a jeśli nawet w trakcie dalszego imprezowania przypomną sobie, że mają córkę, zapewne stwierdzą po prostu, że poszła spać. Wybiegła przez furtkę, zostawiła ją za sobą otwartą, a ponieważ wiedziała, że jest już pięć minut spóźniona, pędziła do auta Dawida, ile sił w nogach.

Opuścili przednie siedzenia i całowali się. Przeszkadzała im dźwignia zmiany biegów, ale ta niewygoda wydała się Weronice romantyczna. Przez przednie okno wpadało na deskę rozdzielczą żółte światło latarni i rzucało do wnętrza auta migotliwe cienie drzew. Weronika pomyślała, że migocząca lampa uliczna już zawsze, nawet za pięćdziesiąt lat, będzie jej przypominać pierwszą miłość.

Przeszkadzało jej, że Dawid ciągle mówi o kradzieży biżuterii Julii, ale była w nim zakochana i zrobiłaby dla niego wszystko, więc nie protestowała. Niestety darzyła sąsiadkę coraz większą sympatią. Przecież tak miło ją ostatnio ugościła i słuchała z takim zainteresowaniem! Weronika pomyślała, że mogłaby znów odwiedzić Julię. Miała nadzieję, że Dawid o włamaniu tylko mówi i że nigdy nie zdobędzie się na prawdziwą kradzież.

Przestał ją całować i położył się wygodnie na siedzeniu.

– Zrobimy to w niedzielę – powiedział, jakby czytał jej w myślach.

– Co? – szepnęła, choć dobrze wiedziała, o czym jej chłopak mówi.

– Pożyczymy od twojej sąsiadki trochę złota. – Zaśmiał się złowieszczo.

Weronikę rozbolał brzuch. Po co w ogóle wspominała o tych kosztownościach?

– A może jeszcze kilka dni… poczekamy? – spytała zduszonym głosem.

– Na co chcesz czekać? Na niedzielę nie masz żadnych planów. Siądziesz przy oknie i dasz mi znać, kiedy Julia wyjdzie z domu.

– Może w ogóle nie wyjdzie. A jeśli nawet, to po czym poznam, że nie idzie tylko po chleb do całodobowego?

– Przecież jesteś kobietą, nie? Zobaczysz, jak będzie ubrana. Jeśli się wystroi, to znaczy, że wybiera się do kawiarni, do kina na seans dla emerytów albo w jakieś inne miejsce, do którego chodzą takie stare baby, i nie wróci szybciej niż za cztery godziny. Stąd jest wszędzie strasznie daleko.

– A co zrobisz ty?

– Wejdę do domu od tyłu. Zwinę złoto i tyle.

– Ale Julia skojarzy, że niedawno pytałam ją o te przedmioty! Niepotrzebnie tam wtedy poszłam i przymierzałam tę bransoletkę.

– Nie skojarzy. Wszystko porozrzucam i będzie to wyglądać tak, jakby złodziej szukał na ślepo i przewrócił dom do góry nogami.

– No nie wiem…

Rzucił jej pogardliwe spojrzenie.

– Boisz się?

– Nie, oczywiście, że się nie boję.

– To dobrze. – Podniósł rękę i pogłaskał Weronikę po włosach. – Zapewnisz sobie tak niepodważalne alibi, że nikt nie będzie cię podejrzewać. Czy twoi starzy bywają w niedzielę w domu?

– Mama zawsze piecze kaczkę lub gęś, a ojciec ogląda telewizję. – Super. Zadzwonisz do mnie, jak ta baba wyjdzie z domu. Potem szybko pobiegniesz na dół do rodziców i nie ruszysz się od nich na krok do końca dnia. Postarasz się, żeby ciągle cię widzieli. A mnie tu przecież nikt nie zna. Nawet twoi starzy nie wiedzą, że ze sobą chodzimy, prawda?

– Tak.

– No widzisz. Możliwe, że przyjdą do was gliny i spytają, co w tym czasie robiłaś. Ty powiesz, że byłaś z rodzicami. Jeśli będą pytać, czy masz chłopaka, powiesz, że nie masz. Ja spróbuję sprzedać te rzeczy i będziemy bogaci! – Rozmarzył się. – Kupię ci wszystko, czego zapragniesz.

Uśmiechnęła się do niego.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Kocham cię, Weroniko.

Brzmiało to szczerze. Weronika zamknęła oczy. Dlaczego miałaby się przejmować Julią Keller? Ważniejszy jest Dawid, jedyny człowiek, który naprawdę ją kocha.

W sobotę o świcie Julię obudziły krzyki – Klara i Piotr kłócili się na poddaszu. Julia rozłożyła ręce na chłodnym prześcieradle i obserwowała, jak z półmroku powoli wyłaniają się kontury mebli. Wiedziała, że nie może wtrącać się w konflikt. Wprawdzie Klara i Piotr mieszkają pod jej dachem, ale są dorośli i muszą sami rozwiązywać swoje problemy. Ogarnęła ją ulga, którą szybko wyparło poczucie winy. Czy dobra matka nie powinna natychmiast nadciągnąć córce z pomocą?

Kłótnia robiła się coraz głośniejsza, a do Julii docierały urywki niektórych zdań, ale starała się nie nadstawiać uszu. W związek Klary i Piotra mieszała się aż zanadto.

Wstała, wzięła prysznic, włączyła radio i zrobiła sobie na śniadanie jajecznicę. Po głośnym trzaśnięciu drzwiami na poddaszu zapanowała cisza. Julia zastanawiała się, czy to dobry, czy zły znak. Może jednak powinna sprawdzić, co się dzieje.

Akurat kiedy chciała wstać od niedokończonego śniadania, zaskrzypiały drzwi i Klara wsunęła głowę do pokoju.

– Mogę?

Julia szybko zmierzyła ją od stóp do głów. Córka była rozczochrana i chwiała się jej górna warga – w ten sposób już od najmłodszych lat przejawiało się jej zdenerwowanie.

– Pokłóciliście się? O co?

Podrażniona Klara wzruszyła ramionami.

– Dlaczego pytasz, skoro dobrze wiesz?

– Nie wiem. Nie zrozumiałam tu na dole ani słowa.

– Nie mów, że nie podsłuchiwałaś na schodach.

– Nie podsłuchiwałam! Za kogo ty mnie masz?

Klara skrzywiła się z niedowierzaniem i opadła na krzesło naprzeciwko matki. Podniosła dłoń ze smukłymi palcami i zaczęła obgryzać paznokcie.

– Przestań – upomniała ją odruchowo Julia.

Córka rzuciła jej twarde, chłodne spojrzenie.

– Powiedziałam mu prawdę. Jest wkurzony, ale o rozstaniu nie powiedział ani słowa. Zadowolona?

– Powiedziałaś mu wszystko?

Klara spuściła wzrok.

– Powiedziałam, że mam długi. Przecież tyle wystarczy.

– Czyli wciąż wierzy w tę bajeczkę o firmie Ludwika?

– A co za różnica, do cholery? Powiedziałam, że tato zbankrutował. Dlaczego miałabym przyznawać, że przez cały czas go oszukiwałam?

Zrezygnowana Julia wzruszyła ramionami.

– To twoje życie, więc proszę bardzo, zepsuj je sobie.

Klara zaczęła jeździć roztrzęsionym paznokciem po rysie w blacie stołu.

– Czy skoro zrobiłam to, czego chciałaś, możemy jeszcze raz porozmawiać o moich długach?

– Chcesz, żebym je za ciebie spłaciła. – To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. – Wykorzystujesz moje dobre serce, Klaro.

– Jak mogłabym wykorzystywać coś, co nie istnieje?

– Nie bądź bezczelna! – Julia już po raz drugi uświadomiła sobie, że traktuje swoją córkę jak małą dziewczynkę. Ale czy ona zasługuje na coś innego?

– Mamo, proszę, pomóż mi. Grozi mi sąd. Komornik. A zameldowana jestem tutaj, więc jeśli ten komornik przyjdzie, zabierze również twoje rzeczy. Słyszałam, że to działa w ten sposób.

– Na kiedy potrzebujesz tych pieniędzy?

– Na wczoraj – skrzywiła się Klara. – Do poniedziałku muszę zdobyć przynajmniej sto tysięcy.

– *Przynajmniej* sto tysięcy? Zwariowałaś? Jest sobota rano! Czy ty naprawdę myślisz, że ja ot tak mogę ci dać sto tysięcy? Ja? – Julia rozłożyła ręce i rozejrzała się wymownie po skromnie urządzonym pokoju.

– Proszę cię, nie rób z siebie żebraczki! – wyrzuciła z siebie podrażniona Klara. – Gdybyś nie miała pieniędzy, nie opłacałabyś

ubezpieczenia na milion… – Zakryła dłonią usta i gwałtownie nabrała powietrza. Za późno uświadomiła sobie, że lepiej trzymać język za zębami.

– Skąd o tym wiesz?

– Ja… Piotr…

Nastała cisza, którą dopiero po dwudziestu sekundach przerwała Julia.

– Czyli Piotr zaglądał mi do szuflad? Grzebał w moich rzeczach? Powiedz, że to nieprawda, Klaro. Powiedz, że to nieprawda, bo zaraz wpadnę na górę i…

– Skoro zostawiłaś go tu samego, mogłaś się tego spodziewać. – Klara użyła argumentu, który kilka dni wcześniej zaskoczył ją w ustach Piotra. Ale natychmiast zrozumiała, że powinna była raczej milczeć.

Julia rzuciła sztućce na stół, poderwała się gwałtownie i bez słowa wybiegła z pokoju. Klara potrzebowała kilku sekund, by zebrać w sobie siłę i biec za nią.

Dogoniła matkę przed drzwiami pokoju na poddaszu.

– Mamo, nie mów mu o tym – jęknęła, ale było już za późno. Julia nie traciła czasu na pukanie. Wpadła do pokoju, a wystraszony Piotr w rozpiętej koszuli i w slipach wskoczył za otwarte drzwi szafy.

– Chyba nagle nie zrobił się pan taki wstydliwy, młody człowieku? To do pana niepodobne!

Julia nie poznawała swojego głosu. Był chłodny i okrutny. Zastanawiała się, kiedy ostatnio ogarnęła ją tak straszna, zaślepiająca, zżerająca wściekłość. Zdarzyło się to bardzo niedawno, ale w jakiej sytuacji? Potem przypomniała sobie pułapkę w ogrodzie i ciemną sylwetkę za oknem willi Truskawków. Dlaczego musi rozwiązywać jeden problem za drugim? Na którym skrzyżowaniu życia skręciła w niewłaściwą stronę, prowadzącą do wiecznych konfliktów?

– C-co się dzieje? – jęknął Piotr, a Julia zauważyła, że pod trzydniowym zarostem robią się mu czerwone pryszcze. Niektóre miały żółte czapeczki. Z obrzydzenia żołądek podszedł jej do gardła.

– Jak mogłeś grzebać w szufladach w moim domu? – Odruchowo zaczęła mówić do niego na „ty" i natychmiast ogarnęło ją poczucie wyższości, całkiem uzasadnione z uwagi na to, z kim rozmawiała.

– W żadnych szufladach…

– Nie próbuj zaprzeczać. Gdybyś chociaż zachował się jak mężczyzna i wyznał prawdę. Klara wszystko mi powiedziała. Wyszperałeś moje ubezpieczenie na życie. Co jeszcze znalazłeś? Może powinnam sprawdzić, czy nie brakuje mi żadnej biżuterii?

Piotr rzucił zirytowane spojrzenie Klarze, która wciąż stała na progu.

– No dobrze. Nudziłem się. Kiedy byłyście na wycieczce, przeszedłem się po domu. Chciałem się tylko trochę rozejrzeć… Szukałem… – Znów spojrzał na Klarę, ale tym razem raczej bezradnie niż groźnie.

– Spakuj swoje rzeczy i wynoś się – rozkazała Julia.

Zadrżał.

– Nie ma sprawy. I tak wszystkiego się tu brzydzę. Śmierdzi tu pleśnią i kotami. Ohydna nora. Nie dziwię się, Klaro, że wyniosłaś się stąd, jak miałaś siedemnaście lat. – Zmarszczył nos z obrzydzeniem.

– Czekaj. Powiem ci coś jeszcze. – Julia podeszła bardzo blisko niego. – Moja córka się zadłużyła, żeby zrobić na tobie wrażenie. Jej ojciec nie jest i nigdy nie był przedsiębiorcą. Pracuje na pół etatu w urzędzie skarbowym i zarabia mniej niż średnia krajowa. Nigdy w życiu nie przysłał Klarze ani grosza. Moja córka okłamywała cię, że jest bogata, bo wierzyła, że biednej byś jej nie chciał. Zapożyczyła się i ma ćwierć miliona długów. Grozi jej komornik. – Pomyślała, że siłę tych słów mogłaby zwiększyć dramatyczna pauza, więc ją zrobiła. – Zrób z tą informacją to, co uznasz za stosowne.

Usłyszała, jak Klara na progu cicho jęknęła. Piotr zbladł. Nie powiedział ani słowa, tylko powoli przesunął wzrok z Julii na Klarę. Wypaczona rama okienna skrzypiała pod naporem wiatru, poza tym w pomieszczeniu panowała cisza.

Julia cicho kontynuowała:

– Nawet jeśli moja córka wciąż marnowałaby z tobą czas, zapewniam cię, że nie zobaczysz z moich pieniędzy ani grosza. Jeśli przypadkiem udałoby ci się namówić Klarę na ślub, co, mam nadzieję, nigdy się nie zdarzy, zmienię testament, a ubezpieczenie przepiszę tylko na syna.

Zrobiła w tył zwrot, z opuszczoną głową przeszła obok Klary i zeszła po schodach na parter. W głowie miała pustkę, jakby jej czaszkę wypełniała zamiast mózgu wata nasiąknięta krwią. Usiadła do zimnej jajecznicy, spojrzała na zegar z wahadłem wiszący na ścianie i uświadomiła sobie, że dziś, pierwszego listopada dwa tysiące szóstego roku o dziewiątej dwadzieścia pięć najprawdopodobniej definitywnie straciła swoją jedyną córkę.

– Trzy miliony czterysta tysięcy po raz pierwszy. Trzy miliony czterysta tysięcy po raz drugi. Akt autorstwa Rudolfa Kremlički. Bardzo ciekawy okaz dla kolekcjonerów. Czy nikt nie da więcej? Trzy miliony czterysta tysięcy po raz trzeci dla numeru siedemdziesiąt pięć. Dziękuję!

Licytator stuknął drewnianym młoteczkiem w pulpit, a na sali rozległy się brawa. Julia też kilka razy klasnęła, pochyliła się nad katalogiem aukcyjnym i zapisała cenę. Zabrakło tak niewiele do rekordowej kwoty zapłaconej za dzieło Kremlički kilka miesięcy temu. Szkoda, że pozostali chętni do zakupu aktu z początku dwudziestego wieku po kolei zrezygnowali z walki i przestali podbijać cenę. Gdyby padł rekord, Julia mogłaby napisać o tym bardzo ciekawy artykuł.

Obróciła stronę w katalogu, a ponieważ najbliższe licytacje jakoś szczególnie jej nie interesowały, zaczęła rozglądać się po sali. Uwielbiała tę pełną ekscytacji atmosferę na aukcjach sztuki i antyków, przede wszystkim zacięte boje licytujących, którzy pod wpływem adrenaliny niebotycznie podbijali cenę upatrzonych dzieł. Już nie mogła się doczekać, aż na końcu przyjdzie kolej na tanie prace na papierze, z których kilka tak chętnie kupiłaby do swojej kolekcji. Tylko tu potrafiła oderwać myśli od porannej kłótni z Klarą i Piotrem. Wiedziała, że kiedy wróci do domu, znów opadnie na nią ciężki koc utkany z wątpliwości, wściekłości i wyrzutów sumienia.

Uniosła oczy znad katalogu i spotkała się wzrokiem ze szczupłym mężczyzną z falowanymi włosami sięgającymi do ramion. Opierał się o ścianę tuż przy wejściu, obserwował licytacje, ale co chwilę błądził oczami ku Julii. Teraz kąciki jego warg uniosły się, a Julia odwzajemniła uśmiech.

Szybko znów spojrzała na licytatora, lecz nagle przestała cieszyć ją atmosfera aukcji. Nie lubiła spotykać się z Sebastianem w miejscach publicznych, gdzie zazwyczaj udawali, że się nie znają, ale jednocześnie nie potrafili odmówić sobie namiętnych spojrzeń, a czasem nawet ukradkowych dotyków. Licytacje dzieł sztuki i antyków odwiedzał zawsze ten sam krąg ludzi, a Julii towarzyszyło nieprzyjemne przeczucie, że wielu z nich już wie o jej potajemnym związku ze znanym reżyserem Sebastianem Zającem.

Zaczęła potupywać obcasem o parkiet i jednocześnie stukać długopisem w udo. W sali rozległ się szum, a następie brawa – kolejny przedmiot został sprzedany za siedmiocyfrową kwotę. Nie potrafiła jednak przyciągnąć uwagi Julii.

Obejrzała się i zahaczyła wzrokiem o profil Juraja Truskawki, pochylonego ku śnieżnobiałej szyi dużo młodszej, wysokiej, rudowłosej

kobiety. Tylko jego tu brakowało! Spotkała Juraja na aukcji dopiero po raz trzeci – do niedawna nie miała pojęcia, że jej sąsiad interesuje się sztuką i antykami. Może na te aukcje zabiera go kochanka (bo kim innym mogłaby być jego towarzyszka?). Ciekawe, jak Juraj wyjaśnia swoje sobotnie wyjścia żonie? Czy twierdzi, że musi jechać do biura? Julia wzruszyła ramionami i odwróciła się. Jeśli w przerwie na płacenie spotka się z sąsiadem twarzą w twarz, przywita się z nim chłodno, nie wdając się w żadną rozmowę. A po zakończeniu wszystkich licytacji spróbuje opuścić salę innym wyjściem niż on.

Wciąż przyglądała się rzędom wypełnionym niemal do ostatniego miejsca. Właśnie rozgorzała bitwa o wczesną pracę rosyjskiego malarza Konstantina Aleksiejewicza Korowina, a cena w kilka minut wzrosła od czterystu tysięcy koron do półtora miliona. Julia widziała już dziesiątki aukcji, ale nie przestawało jej dziwić to, że niektórzy ludzie podbijają cenę o setki tysięcy z lekkością, jakby chodziło o grosze.

Obróciła się na krześle i znów spojrzała na tylną część sali, by sprawdzić, kto podbił kwotę na półtora miliona. Oczywiście Sebastian. Uśmiechnęła się i poczuła w klatce piersiowej delikatne mrowienie. Cieszyła ją świadomość, że zamożny i znany mężczyzna wybrał ze wszystkich kobiet, które go podziwiają (a jest ich niemało), akurat ją. Już chciała obrócić się z powrotem do licytatora, gdy zauważyła postać w przeciwnym rogu sali.

Był to blady mężczyzna w niebieskiej kurtce ortalionowej i kolorowych, skórzanych tenisówkach, ubrany niezwykle nieodpowiednio na tak prestiżową aukcję. Lecz to nie jego wygląd zaniepokoił Julię, tylko to, że ów młodzieniec uparcie się jej przyglądał. Przypomniała sobie, że dziś przed rozpoczęciem aukcji niemal się z nim zderzyła. Wtedy również przeszył ją przenikliwym, niemal rentgenowskim spojrzeniem. Szybko się

odwróciła i zaczęła nerwowo bawić się sprzączką torebki. Kto to jest? Dlaczego tak się na nią gapi? „Może mu się podobasz?" – uspokajała się, ale zaraz potem uśmiechnęła się ironicznie. Przecież mógłby być jej synem! Udawała, że rozgląda się po sali, i powoli znów zmierzała wzrokiem do miejsca, w którym stał ten mężczyzna. Lecz już go tam nie było.

Julia poczuła wielką ulgę.

Tyle że kiedy godzinę później w przerwie na płacenie wyszła z sali, mężczyzna opierał się niedbale o bar, jakby tam na nią czekał.

– Pani Keller! – zawołał ją, gdy próbowała obejść go z opuszczoną głową.

Spojrzała na niego chłodno. Prawdopodobnie to kolekcjoner, który chce wyciągnąć od niej zakulisowe informacje o przewidywaniach wzrostu lub spadku cen.

Sięgnął do kieszeni na piersi i pokazał jej odznakę.

– Alesz Horak, policja kryminalna. Czy ma pani chwilkę?

Nerwowo skakała wzrokiem z jego twarzy na drzwi i z powrotem. Czyli policja. Na pewno chodzi o to morderstwo. O Klarę. Ten mężczyzna, prawdopodobnie pomocnik Józefa Bergmana, przyszedł tu do niej dlatego, żeby Klara nie wiedziała o ich rozmowie. Czy okazało się, że ofiarą naprawdę miała być jej córka? Zadarła z półświatkiem? Depczą jej po piętach jacyś lichwiarze? Julii zrobiło się tak słabo, że musiała mocno chwycić się blatu baru.

– Oczywiście – powiedziała. – Czy moglibyśmy pójść gdzieś… indziej? – Nie chciała, żeby znajomi widzieli, że przesłuchuje ją policja, chociaż ten mężczyzna był w cywilu i w ogóle nie wyglądał na detektywa. Ale ktoś mógłby usłyszeć, o czym rozmawiają. Wiedziała, że w wąskich kręgach kolekcjonerskich pomówienia rozchodzą się z prędkością światła. – Chodzi

o to morderstwo w lasku, prawda? Dowiedzieliście się czegoś nowego? Czy to dotyczy mojej córki? Dlaczego nie przyszedł do mnie pan Bergman?

Przyglądał się jej z kamienną twarzą.

– To nie dotyczy pani córki. Jestem z…

– Proszę posłuchać, jestem tu służbowo i w przerwie muszę przeprowadzić wywiad z właścicielem domu aukcyjnego. Czy nie moglibyśmy porozmawiać kiedy indziej? – Jeśli nie chodzi o Klarę, ten mężczyzna na pewno chce z nią rozmawiać o tej zamordowanej przedstawicielce handlowej. A to znaczy, że rozmowa może poczekać. Julia zauważyła, że spod przeciwległej ściany obserwuje ją Juraj Truskawka, przez co zrobiła się jeszcze bardziej nerwowa. Boże, dlaczego musiała zostać zamieszana w śledztwo dotyczące morderstwa? Policja zawraca jej głowę już nawet w pracy. Sięgnęła do torebki i wcisnęła Horakowi swoją wizytówkę. – Proszę do mnie zadzwonić, umówimy się na jakiś dzień roboczy. Niech się pan nie obawia, nie zamierzam opuszczać miasta – zażartowała.

Przyjął wizytówkę i z szorstkim skinięciem głową schował ją do kieszeni, nawet na nią nie spoglądając.

– Dobrze – powiedział po chwili namysłu. – To nie jest aż takie pilne. Zadzwonię.

Kiedy Julia zmierzała za kulisy, by spotkać się ze swoim znajomym, pogratulowała sobie w duchu, że tak elegancko pozbyła się tego człowieka. W poniedziałek z samego rana zadzwoni do Bergmana i poprosi, żeby jego podwładni przestali śledzić ją po mieście. Najchętniej rozmawiałaby tylko z nim.

Na dworze zerwał się wiatr, a Klara słuchała, jak przeciąg wieje pod drzwiami i szarpie nieszczelnymi oknami, kwiląc przy tym złowieszczo.

Bezpieczników dziś nie wybiło, ale dla odmiany przestało działać ogrzewanie gazowe, więc w domu było zimno i wilgotno. Klara otuliła się ciepłym swetrem i napełniła czajnik elektryczny wodą. Była otępiała i słaba, jakby dochodziła do siebie po porządnym kacu. A przecież nie wypiła dziś ani kropli alkoholu. Stało się coś dużo gorszego: opuścił ją chłopak, z którym chciała spędzić resztę życia.

Czy naprawdę *chciała*?

Niepewnie wzruszyła ramionami i zalała wrzątkiem torebkę herbaty Earl Grey. Wyobraziła sobie, z jaką pogardą spojrzałaby na nią matka, gdyby ją teraz widziała. Julia uważała herbatę ekspresową za napój drugiej kategorii, odpowiedni najwyżej dla nieproszonych gości. Pija wyłącznie sypaną herbatę wysokiej jakości, na którą wydaje bajońskie kwoty, a jej przygotowanie w wykonaniu Julii stanowiło prawdziwy rytuał. Najpierw nagrzewała porcelanowy imbryczek, potem wsypywała do niego duże liście herbaty, a dopiero na końcu przychodziła kolej na wrzątek. „Dzięki temu najpełniej rozwija się smak herbaty" – wyjaśniała Julia, ale Klarze było to teraz całkowicie obojętne. Chciała się zagrzać, a nawet jeśli napój byłby Bóg wie jak dobry, dziś i tak by jej to nie cieszyło.

Piotr spakował rzeczy o wpół do trzeciej, po kilkugodzinnej kłótni. O tej porze matka od dawna była na aukcji antyków – Klara widziała, jak wychodzi około dwunastej. Od kiedy Piotr oświadczył jej, że z nimi koniec, czuła się jak w transie. Nie potrafiła płakać, prosić ani krzyczeć. Właściwie nie dziwiła się, że ją opuszcza. Tylko wariatowi zależałoby na związku opartym na kłamstwach. Nie dopuszczała do siebie myśli, że Piotr żyje z nią tylko z powodu jej fikcyjnego bogactwa, ale kiedy dowiedział się, że jest biedna, natychmiast straciła dla niego wartość.

– Już nigdy nie potrafiłbym ci wierzyć – powiedział, ale to Klary nie zaskoczyło. Jak mogła mieć nadzieję, że tak straszne kłamstwa ujdą jej

płazem? Pewnego dnia prawda i tak wyszłaby na jaw. Tyle że gdyby nie interwencja matki, mogłoby się to stać w dużo bardziej cywilizowanych okolicznościach.

Klara wypiła łyk herbaty i oparzyła się w język. Była tak wyczerpana długą kłótnią z Piotrem, że nie czuła żalu ani złości. Z filiżanką w dłoniach błąkała się po pustym domu, aż w końcu zatrzymała się w przedpokoju przed dużym lustrem. Zaskoczona spojrzała na wychudzoną kobietę z nienaturalnie wydepilowanymi brwiami, ziemistą skórą i nastroszonymi włosami, zniszczonymi ciągłym farbowaniem. „Czy to naprawdę jestem ja? Przecież kiedyś byłam całkiem ładna... Albo przynajmniej potrafiłam zadbać o swój wygląd. Kiedy tak właściwie przestałam się o siebie troszczyć? Czy wtedy, gdy długi mnie przerosły i ogarnął mnie strach, że moje kłamstwa wyjdą na jaw i Piotr mnie opuści?"

– Dziwne, że już dawno cię nie rzucił. Kto chciałby żyć z takim widmem? – syknęła nienawistnie do odbicia w lustrze, a zaraz potem przypomniała sobie słowa Julii: „Jesteś ładną i mądrą dziewczyną, Klaro". Nie, nie myślała o sobie w ten sposób. Od dzieciństwa walczyła z brakiem pewności siebie i z mnóstwem kompleksów, które nie pozwalały jej na beztroskie życie. „Nigdy nie będę nawet w połowie tak samodzielna jak moja matka" – pomyślała ze smutkiem – „i pewnie nawet na starość nie zacznę siebie lubić. Wciąż będzie we mnie siedzieć ta zastraszona dziewczynka, która na próżno próbuje spełnić wymagania ojca i nieustannie się obwinia, że to na pewno przez nią kłócą się rodzice. Że to jej wina, że są razem nieszczęśliwi". Do dziś umiała wczuć się w to sześcioletnie dziecko, które siedzi na schodach na poddaszu i słucha kłótni na dole. „Bóg wie, z kim zrobiłaś tego bachora!" – krzyczał ojciec. „Raz na ciebie wlazłem i od razu zaskoczyłaś. Nie wydaje ci się to dziwne? Przyznaj, że po prostu

szukałaś osła, który będzie ci tego bękarta utrzymywać! Powiedz, Julio, czy Klara jest moja?". A matka nie odpowiedziała.

Z ponurych rozmyślań wyrwał ją dzwonek telefonu. Dzwonił Michał.

– Jak się masz, siostrzyczko? Jesteś u mamy z wizytą?

Głos miał wciąż taki sam jak jedenaście lat temu, kiedy wyprowadzał się do Francji. Zawsze, kiedy Klara z nim rozmawiała, wyobrażała go sobie jako urwisowatego nastolatka, a nie dorosłego mężczyznę. A kiedy potem przyjeżdżał – gładko ogolony, krótko ostrzyżony i w białej koszuli z wykrochmalonym kołnierzykiem – Klara musiała przypominać sobie, że ten obcy, pewny siebie biznesmen to jej młodszy brat.

– Wprowadziłam się tu – odpowiedziała cicho.

– Wprowadziłaś się do matki? – W jego głosie pojawiła się nuta pogardy, jakby Klara powiedziała mu, że dorabia sobie do wypłaty grzebaniem w śmietnikach i sypia pod mostem kolejowym.

„Znów zawiodłam" – pomyślała. „Michał, samodzielny, poważny i bogaty ojciec dwójki dzieci potrafił ułożyć sobie życie inaczej. A przecież startowaliśmy z tego samego miejsca" – uświadomiła sobie.

– Tylko… tymczasowo – skłamała. – Zrezygnowałam z wynajmowanego mieszkania i szukam nowego.

– A co z tym twoim chłopakiem? Kiedy ślub?

Wreszcie do oczu napłynęły jej łzy. Pozwoliła im spływać po policzkach, wdzięczna za ulgę, którą przynosiły.

– Już nie jesteśmy razem.

Mlasnął z niezadowoleniem jak ojciec dający reprymendę córce.

– Kiedy ty się ustatkujesz, Klaruniu?

– Nie mów tak do mnie!

– Przepraszam. Wszystko dobrze? To znaczy… Mogę ci jakoś pomóc?

Z tonu głosu wyczuła, że to tylko pytanie grzecznościowe. Michał pochodził z rodu egoistów, którzy z bliskimi dzielą tylko miłe chwile, a w razie problemów uciekają, gdzie pieprz rośnie. Gdyby poprosiła brata o pieniądze, nie dałby jej ani grosza.

– Wszystko dobrze.

– Dasz mi matkę?

– Poszła na aukcję.

– To przekaż jej, że wybieram się do Pragi. Ciągle trzyma tyle kotów?

– Coraz więcej.

– W takim razie zatrzymam się w hotelu. Nie chciałbym przeżyć kolejnego ataku astmy. Moglibyśmy pójść razem na kolację.

Odpowiedziała bez entuzjazmu:

– Dobra. To trzymaj się. – Ale jeszcze zanim zdążyła się rozłączyć, przyszło jej coś do głowy. – Poczekaj! Skoro już rozmawiamy, to powiedz mi, czy mama ci mówiła, że ma ubezpieczenie na życie na milion koron?

– Nasza mama? Proszę cię, skąd wzięłaby na to pieniądze.

– Wiedziałeś o tym czy nie?

– Jasne, że nie. I nawet w to nie wierzę. Wiesz, jak wysokie składki musiałaby płacić?

– Przed chwilą widziałam tę umowę na własne oczy. – Przypomniała sobie, jak wielkie poczucie winy dręczyło ją, gdy przeszukiwała szufladę, o której mówił jej Piotr. Ale musiała przekonać się, że ten dokument naprawdę istnieje. – Po śmierci matki oboje dostaniemy po pięćset tysięcy.

Ta wiadomość nie wyprowadziła brata z równowagi. Zapewne pół miliona nie było dla niego zbyt wysoką kwotą.

– Chyba zwariowała. Wiesz, ile takie zabawy kosztują? Jak przyjadę, porozmawiam z nią o tym. Powinna tę umowę wypowiedzieć. Nie muszę

niczego po niej dziedziczyć. Zarabiam wystarczająco dużo.

Klara żałowała, że nie trzymała języka za zębami.

– Zapomnij o tym – poprosiła. – Znalazłam tę umowę przypadkiem, a… a kiedy powiedziałam o tym matce, pokłóciłyśmy się.

– Jak chcesz. – Natychmiast wyrzucił tę informację z głowy. – Przekaż jej, że mam dla niej dobrego szampana. Dom Pérignon, rocznik 1995. Ale tobie to nic nie mówi, co?

Mówiło jej to bardzo dużo. Piotr uwielbiał drogi alkohol, a przez te pół roku Klara sporo się od niego nauczyła. Wiedziała, że za butelkę Dom Pérignon, rocznik 1995, w porządnej restauracji zapłaciłaby około sześciu tysięcy koron. Michał z pewnością żyje w luksusie, skoro może przywozić matce takie drogie prezenty.

A Klara znów zanurzyła się w poczuciu zazdrości i świadomości całkowitej życiowej klęski.

ROZDZIAŁ 18

Bezosobowa dzielnica nowych domków jednorodzinnych pochłonęła wielki kawał pola na skraju miasta i odgryzała coraz to nowe kęsy udręczonej przyrody peryferii. Na większości działek trwała jeszcze budowa, ale niektóre wille były już niemal gotowe, a ich ściany lśniły niezbyt gustownymi pastelami. Ziemię w ogrodach rozryły koparki i zdeptały podeszwy ciężkich butów. Nigdzie nie rosło ani jedno większe drzewo. Tylko gdzieniegdzie przebijały się z gliny zabrudzone kępy trawy.

Bergman opuścił drogę szybkiego ruchu i zjeżdżał ze wzgórza po wąskiej, zniszczonej jezdni, na którą koła aut ciężarowych naniosły olbrzymie pasy bagna. Niskie niebo było dziś stalowoszare, a wiatr ciskał w przednią szybę dżipa kłęby piasku i liści. Było tak zimno, że Bergman musiał włączyć w aucie ogrzewanie. Miał dziś kiepski nastrój, ale nawet nie chciało mu się zastanawiać, co jest tego przyczyną. Najłatwiej było zrzucić to na listopadową aurę. Inspektor zatrzymał się na skraju szosy i czekał, aż w przeciwnym kierunku przejedzie szeroki wóz transportowy. Wykorzystał tę chwilę, by rozejrzeć się wokół. Horyzont kończył się na nasypie autostrady, a na polach wznosiły się olbrzymie hale – prawdopodobnie magazyny. Pstrokate domki wyglądały z daleka jak ciasteczka z polewą, do której cukiernik dodał zbyt wiele barwników. Bergman zastanawiał się, czym kierują się ludzie zapuszczający korzenie w tak przygnębiającym miejscu. Co będą tu robić całymi dniami? Dokąd pójdą na spacer? Zaczęło kropić, więc włączył wycieraczki i ruszył w dół.

Małą willę, w której kręcono serial Miasteczko satelickie, znalazł bez trudu dzięki białym kamperom filmowców i autom dostawczym, parkującym jak popadnie. Podczas gdy inne ulice były puste, tu chodzili ludzie, na chodniku stały rozkładane krzesełka, a po błotnistym ogrodzie wiły się splątane kable. Bergman zaparkował dżipa na rogu posesji i pieszo ruszył do centrum wydarzeń. Wyglądało na to, że deszcz przeszkodził filmowcom w nakręceniu sceny przy furtce ogrodowej. Padało coraz mocniej, a ludzie i sprzęt zniknęli w pośpiechu wewnątrz domu.

Bergman poklepał po ramieniu mężczyznę zwijającego przy jednym z aut dostawczych gruby zielony kabel.

– Przepraszam, gdzie znajdę Sebastiana Zająca?

Zapytany wskazał brodą wysokiego pięćdziesięciolatka, który nie zważał na deszcz i dyskutował z dziewczyną, niedbale oparty o słupek ogrodzenia. Bergman rozpoznał w niej jedną z gwiazdeczek serialu. Sebastian Zając był szczupły i miał delikatną twarz. Wprawdzie falujące włosy już przerzedziły mu się na ciemieniu, lecz wciąż nosił je do ramion. Może należał do mężczyzn, którzy rozwianą fryzurę traktują jako ostatni łącznik z młodością? Reżyser miał na sobie luźny jasny płaszcz, a drogi kaszmirowy szal z frędzlami powiewał mu na wietrze.

Bergman podszedł bliżej.

– Dzień dobry. Czy mogę przerwać państwa rozmowę?

Młoda aktorka spojrzała na niego wielkimi oczami łani. Była dużo szczuplejsza i ładniejsza niż na ekranie telewizora.

– Bergman, policja kryminalna – przedstawił się. – Czy może mi pani zdradzić jedną rzecz? W kolejnym odcinku wyjdzie pani za tego łajdaka Szparę, czy wreszcie wywali go pani za drzwi?

Zaskoczona dziewczyna spojrzała na reżysera, jakby prosiła go o pozwolenie, ale nie doczekawszy się żadnej reakcji, znów spojrzała na

Bergmana.

– Nie mogę nikomu zdradzać akcji przed emisją – odparła. – Trudno. – Wiedział, że od mężczyzny takiego jak on nikt nie oczekuje znajomości niekończących się seriali. Lecz jego siostra Karla była wręcz opętana skomplikowanymi fabułami. Zawsze, kiedy jadł u niej kolację, jego talerz był oświetlany przez migający ekran telewizora. Potem Karla opowiadała mu losy poszczególnych postaci, jakby chodziło o prawdziwych ludzi. Bergmana w ogóle nie dziwiło, że jego siostra tak chętnie ucieka do sztucznego świata i reaguje emocjonalnie na perypetie osób, które nie istnieją. Jej własne życie było tak mocno spętane zasadami i rytuałami, że nie było w nim miejsca na improwizację i ekscytację. Siostra zrezygnowała z własnych ambicji, żyła tylko dla męża i dzieci i była przekonana, że taki styl życia jest jedynym właściwym. Współczuła Bergmanowi, że wieczorami towarzyszy mu tylko kot. A Bergman często przyłapywał się na tym, że współczuje siostrze.

Teraz wyciągnął z kieszeni pióro i swoją wizytówkę, obrócił ją i spytał aktorkę:

– Czy mogę poprosić o autograf? Moja siostra utożsamia się z pani postacią.

Aktorka wreszcie przestała nieufnie się mu przyglądać i uśmiechnęła się olśniewająco.

– Pewka.

Twarz inspektora niemal niezauważalnie się wydłużyła. Cóż to za moda na to dziwne słowo? Cierpliwie czekał, aż aktorka odda mu wizytówkę skropioną deszczem. Przez cały czas czuł na sobie nerwowe spojrzenie Sebastiana Zająca. Reżyser już po pierwszych zdaniach wypowiedzianych przez Bergmana przestał się nonszalancko opierać o płot i stał teraz bez

ruchu, z rękami defensywnie założonymi na piersiach. Emanowało z niego niemal namacalne napięcie.

– Czy zostawi mnie pani z reżyserem sam na sam? – spytał Bergman aktorkę, która naciągnęła na głowę kaptur wiatrówki i najwyraźniej zamierzała im towarzyszyć. Dopiero na wyraźną prośbę wzruszyła ramionami i odeszła bez pożegnania.

Zając aż do teraz milczał, ale kiedy tylko dziewczyna się oddaliła, twarz skrzywiła się mu ze złości.

– Teraz w ogóle nie mam czasu!

Gdyby Bergman dostawał jedną koronę za każdym razem, kiedy świadek lub podejrzany próbował go spławić tym zdaniem, miałby w domu kilka skarbonek zapełnionych po brzegi.

– Albo załatwimy to tutaj, albo każę wezwać pana oficjalnie do komisariatu na przesłuchanie. Tak czy inaczej, nie uniknie pan rozmowy ze mną.

– Ale ja teraz pracuję.

– Ja też.

Zając wbił w inspektora chłodne, zielone oczy i przejechał dłonią po mokrych początkach łysiny.

– W takim razie chodźmy do środka. Nie zamierzam stać przez pana na deszczu i się przeziębić.

Bergman ruszył za nim w milczeniu do domu, którego wnętrze pachniało nowymi drewnianymi meblami i niedawnym malowaniem. Na parterze najwyraźniej trwały przygotowania do nakręcenia kolejnej sceny. Przez otwarte drzwi Bergman zobaczył duże reflektory i makijażystkę doprowadzającą do porządku zmoknięte twarze aktorów. Mężczyźni w zniszczonych ubraniach biegali w tę i z powrotem, przenosząc z miejsca na miejsce przedmioty, których inspektor nie potrafiłby nawet nazwać.

Sebastian Zając chwycił jednego z nich za ramię, szepnął mu coś do ucha, a potem wszedł po schodach na pierwsze piętro.

Zaprowadził Bergmana do nieumeblowanego pomieszczenia, w którym stały tylko dwa rozkładane krzesła i plastikowy stół. Parapet zdobiła przepełniona popielniczka. Zając ściągnął mokry płaszcz i powiesił go na klamce okna. Następnie usiadł na jednym z krzeseł.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Trzeba było najpierw zadzwonić. Czego pan ode mnie chce?

– Ciekawi mnie, gdzie pan był w piątek dwudziestego czwartego października między godziną dwudziestą a północą.

Reżyser wyciągnął chustkę i głośno się wysmarkał, najwyraźniej po to, by zyskać chwilę na zastanowienie.

– To kawał czasu temu – oświadczył i spojrzał Bergmanowi w oczy. – Zawsze mnie fascynuje, jak w filmach wszyscy bez namysłu mówią, że tydzień wcześniej o piątej wieczorem stali na przystanku autobusowym, a o wpół do szóstej siedzieli w domu przy kolacji. Ja niezbyt wiem, co robiłem wczoraj.

– Może mógłby pan sprawdzić w kalendarzu?

Małe pomieszczenie wypełnił chrypliwy śmiech, w ogóle niepasujący do wydelikaconego wyglądu Zająca.

– Nie mam żadnego kalendarza. Swoje plany noszę w głowie.

– W takim razie na pewno potrafi pan z niej wydobyć informację, co pan robił w zeszły piątek.

Sebastian Zając zaczął bębnić palcami w blat stołu. Jego zadbane paznokcie zdradzały profesjonalny manicure, a Bergman przyłapał się na tym, że wyobraża sobie tego mężczyznę w niszczejącym pokoju Julii Keller. Jak ona, tak naturalna, zetknęła się z tym wychuchanym, zapatrzonym w siebie gogusiem? Było niemal pewne, że reżyser jest jej

kochankiem. Co ich do siebie ciągnie? Bergman nie mógł pozbyć się wrażenia, że Julia i Sebastian ani trochę do siebie nie pasują i że łączy ich coś zupełnie innego niż miłość.

– No więc? – uniósł brwi.

– Prawdopodobnie byłem w domu z żoną – oświadczył Zając. – Gdzie indziej mógłbym być? W piątek nie kręcimy, a za imprezami nie przepadam. Dlaczego pan o to pyta?

– Czy przypadkiem nie był pan tej nocy przy ulicy Krokusowej na Babie?

Nieznacznie się wzdrygnął i natychmiast spróbował zamaskować to kaszlem.

– Na pewno nie. Dlaczego miałbym… ehm… – Zamilkł. – Mówię panu, że byłem w domu.

Bergman skinął głową.

– Czy pańska żona to potwierdzi?

Reżyser odwrócił wzrok. Denerwował się, ale to jeszcze nie znaczyło, że ma coś wspólnego z morderstwem. „Nic dziwnego, że na czoło wystąpił mu pot" – pomyślał Bergman. „Przecież właśnie został odkryty jego romans".

– Teraz sobie przypominam, że jednak nie byłem wtedy w domu. Jeździłem autem po mieście i obmyślałem kolejny odcinek serialu. Wie pan, kierowanie bardzo mnie uspokaja. To najlepszy relaks, jaki znam.

– A czy przypadkiem nie zatrzymał się pan przy ulicy Krokusowej?

– Już panu powiedziałem, że nie.

– Zakładam, że nie istnieje nikt, kto mógłby potwierdzić pańskie alibi? – odparł kąśliwie Bergman.

Sebastian Zając poderwał się z rozkładanego krzesła i uderzył dłonią w blat plastikowego stołu.

– O jakim alibi pan mówi, do diabła? Może wreszcie mi pan wyjaśni, o co w tej komedii chodzi? Wpada pan tutaj i zaczyna mnie pan wypytywać o zdarzenia sprzed tygodnia. I to tak okropnym tonem, jakby mnie pan o coś podejrzewał.

– Podejrzewam pana przynajmniej o kłamstwo, ponieważ w nocy z dwudziestego czwartego na dwudziestego piątego października pański wóz był widziany przy ulicy Krokusowej. Tak się składa, że tej samej nocy w przyległym lasku została zamordowana kobieta. Sprawdzam każdego, kto przebywał w tym czasie w okolicy. Może jednak zechce mi pan wyjaśnić, jak pański wóz się tam znalazł?

Sebastian Zając wziął głęboki oddech, jakby chciał zacząć krzyczeć, ale potem zamknął usta i patrzył na Bergmana bez słowa. Opadł z powrotem na płócienne krzesło i westchnął zrezygnowany. Najwyraźniej dopiero teraz zrozumiał, że to nie on, ale detektyw zdecyduje, kiedy ta rozmowa dobiegnie końca.

– No dobrze. Odwiedzałem znajomą. Julię Keller. Czy to coś złego?

– Dlaczego nie powiedział pan tego od razu?

– Zapomniałem o tym – odparł szybko Zając, ale nie brzmiało to przekonująco.

– Co pana łączy z Julią Keller?

Przystojna twarz Sebastiana Zająca znów skrzywiła się z wściekłości, ale potem reżyser się opanował i przemówił zaskakująco spokojnym głosem.

– To nie pańska sprawa, ale podejrzewam, że w końcu i tak wywęszy pan prawdę, więc będzie lepiej, jeśli usłyszy ją pan ode mnie. Ja i Julia jesteśmy kochankami. Odwiedziłem ją wtedy około północy. Spędziłem

tam jakieś pół godziny. Wypiliśmy drinka i pojechałem do… To znaczy… Wie pan, zazwyczaj nie siadam za kierownicę po alkoholu, ale…

– Tym się nie zajmujmy – przerwał mu zniecierpliwiony Bergman. Takimi przestępstwami zajmują się inni policjanci. – Czy kiedy pan wchodził albo wychodził, zauważył pan coś lub kogoś podejrzanego? Czy spotkał pan kogoś po drodze?

Reżyser pokręcił głową.

– Jeżdżę do Julii tak późno w nocy, żeby na nikogo się nie natknąć. Niestety nie mogę korzystać z uroków anonimowości, a nie marzę o tym, by jakiś szmatławiec opisywał moje życie prywatne. Ale widzę, że przy tamtej ulicy nawet ściany mają oczy. Czy może mi pan powiedzieć, kto panu zgłosił, że mnie tam widział?

– Pewna spostrzegawcza obywatelka. – Bergman zrobił pauzę. – Czy Julia Keller potwierdzi, że odwiedził ją pan tamtej nocy?

Pochylił głowę, a grzywka opadła mu na czoło.

– Z pewnością.

– A co pan robił, zanim pan do niej przyjechał?

– Byłem u znajomego, który chce odkupić część mojej kolekcji antyków.

Nagle okazało się, że doskonale pamięta przebieg całego wieczora. Bergman się uśmiechnął.

– To też przypomniał pan sobie dopiero teraz, czy może również próbował pan to ukryć?

– Nie próbuję niczego ukryć! Kiedy zacząłem mówić o Julii, stopniowo… ehm… odświeżył mi się w pamięci cały ten wieczór. Czyli mówię… Do Julii przyjechałem od jednego kolekcjonera. – Uśmiechnął się zadowolony z siebie. – Wie pan, lubię ładne rzeczy. Mają duszę. Nie są bezosobowe jak ta nowoczesna tandeta. – Postukał palcami w plastikowy

stół. – To właśnie kolekcjonerstwo połączyło mnie i Julię. Ten znajomy oczywiście potwierdzi panu, że spędziłem z nim wieczór. Dam panu jego numer.

Pomimo iż Bergman o to nie prosił, reżyser wyciągnął z kieszeni zmięty rachunek i napisał na tylnej stronie kilka cyfr.

– O której godzinie pan od niego wyjechał?

– Nie wiem. O dziesiątej, może trochę wcześniej… Mieszka na przedmieściach, godzinę drogi od Baby. Jechałem lokalnymi drogami, nie śpieszyłem się. Zatrzymałem się na stacji benzynowej na kawę… U Julii chciałem być po północy, żeby nikt nie widział, jak wchodzę do jej domu. Czy takie alibi panu wystarczy, panie detektywie?

Było dziurawe, ale Bergman postanowił, że na razie się nim zadowoli. Wstał.

– Na razie tak.

– Czy mogę pana o coś poprosić? Proszę nie wciągać w to mojej żony. Ona nie wie… Chcę przez to powiedzieć, że kocham ją i nie chcę jej ranić.

Bergman odpuścił sobie uwagę, że o tym Sebastian Zając powinien był pomyśleć, zanim zaczął spotykać się z Julią Keller.

– Oczywiście, staramy się działać dyskretnie, lecz nie mogę obiecać, że pańska żona o niczym się nie dowie. Wyjaśnienie tej sprawy jest dla mnie najważniejsze, a moja rozmowa z pańską żoną jest konieczna. Musi mi na przykład powiedzieć, o której godzinie wrócił pan tamtej nocy do domu.

Zając westchnął.

– Nie pomoże panu. Spała.

– I tak ją o to zapytam.

Reżyser zrobił tak zrozpaczoną minę, że Bergman nie mógł powstrzymać współczucia. Ten mężczyzna w ogóle nie wydawał się mu sympatyczny, ale mimo to nie chciał go niepotrzebnie krzywdzić.

– Proszę się nie bać. Potrafię zachować dyskrecję. Nie ma powodu, by wyjawiać pańskiej małżonce, gdzie pan był. Na pewno wymyśli pan jakieś wyjaśnienie.

Uśmiechnęli się do siebie jak spiskowcy, ale był to tylko króciutki przebłysk porozumienia. Zniknął szybciej, niż Bergman zaczął się wstydzić za swoją przesadną miękkość.

– Jeśli to wszystko, chciałbym wrócić do pracy – oświadczył Zając chłodno, a Bergman skinął głową.

Kiedy otworzyli drzwi, prawie zderzyli się z młodą aktorką. Stała na korytarzu z dwoma plastikowymi kubkami w rękach i nawet nie próbowała ukrywać, że podsłuchiwała ich rozmowę.

Wbiła w reżysera wielkie oczy.

– Chciałam przynieść panu kawę, ale nie wiedziałam, czy mogę przeszkodzić.

Zając poczerwieniał. Purpura zalała mu szyję, twarz i skórę pod włosami. Na czoło wystąpiła mu zygzakowata żyła.

– Nie wiedziałaś? Oczywiście, że nie możesz mi przeszkadzać. Kiedy mam spotkanie, nikt nie może mi przeszkadzać, do cholery! Ile razy mam to powtarzać? Ja tu naprawdę zwariuję. – Grubiańsko odepchnął ją ramieniem i zbiegł po schodach. – Zwariuję!

Bergman posłał dziewczynie przepraszające spojrzenie. Co tak zdenerwowało reżysera? Boi się szantażu? Inspektor wątpił, by ta młoda aktorka zamierzała pobiec z najnowszymi wieściami do pani Zając.

Sebastian Zając odprowadził go aż przed dom, jakby chciał się upewnić, że policjant nie zacznie rozmawiać z żadnym z jego kolegów. Wciąż padało, a po pochyłym chodniku spływały strumyki bagnistej wody. Wzrok Bergmana spoczął na czarnym audi, zaparkowanym między dwoma autami dostawczymi. Był to nowy model z najwyższej półki, piękna

limuzyna ze skórzanymi fotelami, stojąca na dużych kołach ze stalowymi felgami. Mogła kosztować około dwóch milionów koron – ocenił Bergman i dla porównania zerknął na swojego zniszczonego dżipa na końcu ulicy.

– Ma pan ładne auto – spojrzał na Zająca. – Widzę, że na reżyserowaniu można nieźle zarobić.

Zając po raz pierwszy uśmiechnął się luźno.

– Nie każdy może. Ja należę w swoim fachu do najlepszych i to znajduje odbicie w honorariach. Czasem wolałbym być anonimowy, ale to – skinął głową na wóz – rekompensuje mi niedogodności. Czy już niczego pan ode mnie nie potrzebuje?

– Na razie nie.

– Dobrze. W takim razie do widzenia. Najbliższy wjazd na autostradę jest tam na wzgórzu.

Bergman patrzył, jak reżyser szybkim krokiem wchodzi do domku z malinowym tynkiem i nagle poczuł absolutną pewność, że Zając nie powiedział mu o sobie wszystkiego. Całkiem możliwe, że ma więcej kochanek, nie tylko Julię Keller. O ileż łatwiejsze byłyby śledztwa w sprawie morderstw, gdyby na liście świadków nie figurowały tak często osoby prowadzące podwójne życie…

Z auta od razu zadzwonił do Julii, żeby sprawdzić, czy Zając rzeczywiście odwiedził ją tamtej nocy.

Zamiast odpowiedzi westchnęła:

– Czyli już pan o nas wie. Świetnie. Jutro pod płotem pewnie będą tu koczować paparazzi.

– Musiała się pani z tym liczyć, kiedy zaczynała pani romans ze znanym reżyserem. Co działo się tamtej nocy? Czy pan Zając przyjechał do pani?

– Tak, koło północy.

– Dlaczego tak późno? – spytał Bergman, choć rozmawiał o tym z Zającem. Chciał znać też wersję Julii.

– Zawsze przyjeżdża późno, zazwyczaj po drodze z planu albo po jakiejś imprezie… Wyszedł koło pierwszej.

– Od jak dawna są państwo kochankami?

W słuchawce panowała cisza, jakby Julia nie mogła się zdecydować, co odpowiedzieć.

– To nie pańska sprawa, inspektorze – odparła w końcu. – Przepraszam, ale nie mam teraz czasu. Muszę kończyć. Proszę się nie gniewać.

I rozłączyła się.

Kiedy przestało padać, Klara Keller włożyła dres, skórzane tenisówki i wyszła z domu. Zachmurzone niebo przedwcześnie pociemniało, a w mokrych maskach aut odbijały się światła latarń ulicznych. Klara zatrzymała się na środku chodnika i przez chwilę wyczekująco patrzyła na skrzyżowanie Krokusowej z nieco szerszą ulicą, przy której znajdował się najbliższy przystanek. Autobus kilka sekund temu z trudem wgramolił się na wzgórze. Jeśli Piotr by nim wrócił, za chwilę pojawiłby się na rogu ulicy.

– Raz, dwa, trzy, cztery… – Klara odliczyła całą minutę, ale Piotr oczywiście się nie pojawił, już nigdy się nie pojawi, a nawet jeśli, to tylko po to, żeby wziąć swoją zapomnianą książkę lub podkoszulek.

Do oczu Klary znów napłynęły łzy, a ona pozwoliła im ściekać po policzkach. Niech wszyscy widzą, jaka jest nieszczęśliwa. Powoli ruszyła w stronę lasku, który w półmroku wyglądał jak czarny mur wybudowany na końcu ulicy. Zawsze, kiedy Klara topiła się w rozpaczy, potrzebowała ruchu, a dzisiejszy dzień nie był pod tym względem wyjątkiem. Uwielbiała sport. Zazwyczaj biegła do granicy wyczerpania. Wytężała siły aż do

chwili, gdy jej płuca zmieniały się w kłębek bólu, a z mózgu stawała się olbrzymia, rozżarzona kula, w której nie było już miejsca na myśli. Dziś znów zażyje swój skuteczny, a przy tym całkowicie nieszkodliwy narkotyk. Po przepłakanym popołudniu czuła się słaba jak w gorączce, ale mimo to palce w tenisówkach świerzbiły ją do biegu.

Na próbę przez chwilę biegła w miejscu, a potem przyśpieszyła kroku. Mijała ogrody domów przy ulicy Krokusowej i zatrzymała się przy żywopłocie ostatniego z nich. W dzieciństwie uciekała tu przed kłótniami rodziców. Pod niskimi gałęziami tui miała swój bunkier, swoje jedyne schronienie. Teraz też przyłapała się na tym, że najchętniej weszłaby w tę gęstwinę na czworakach i zwinęłaby się w kłębek w tej zielonej jaskini. Ale poczucie bezsilności i zawodu prawdopodobnie dogoniłoby ją nawet tam. Przed nim nie dało się uciec.

Klara nagle z całą mocą zrozumiała, że od dawna nie jest dzieckiem. Aż do dziś miała wrażenie, że dorosłość to coś odległego, upragniony cel, do którego wprawdzie się zbliża, ale z niezbyt zawrotną prędkością. Lecz dziś pojęła, że dorosłość jest już tu i teraz. Nikt inny nie jest za nią odpowiedzialny i tylko od niej zależy, jak ułoży sobie życie.

Może powinna odciąć się od przeszłości grubą kreską i zacząć od nowa. W jakimś zupełnie innym miejscu. Sama.

Znów podbiegła w miejscu, zaciągnęła sznurówki tenisówek i żeby się trochę rozgrzać, wymachiwała przy chodzie ramionami. Doszła do końca ulicy, gdzie niczym olbrzymia czarna gardziel otwierało się przed nią wejście do lasku. Wielokrotnie chadzała tu wieczorem sama, ale dziś po raz pierwszy ogarnął ją strach. Czy naprawdę powinna wbiec w ten wilgotny, zimny gąszcz? Pragnienie długiego, wyczerpującego biegu zeszło na drugi plan. Klara zatrzymała się i z mieszanką ciekawości i przerażenia patrzyła

w ciemność. Kilkadziesiąt metrów stąd została zamordowana dziewczyna, a morderca wciąż był na wolności. Może już wybiera kolejną ofiarę.

Kto będzie następny?

CZĘŚĆ II

DRUGIE MORDERSTWO

ROZDZIAŁ 19

W niedzielę rano o solniczkę na kuchennym blacie stała oparta wiadomość. Julia już z daleka widziała, że zawiera ona tylko jedno słowo. Była jeszcze zaspana i bez okularów, ale i tak nie miała wątpliwości, co chcą jej przekazać czarne, drukowane litery. Żegnaj. Czyli Klara odeszła? Cóż innego mogłaby ta wiadomość oznaczać?

Obróciła ją, ale druga strona była pusta. Ostrożnie odłożyła więc kartkę na miejsce, opuściła bezwładnie ramiona i zaczęła w duchu liczyć. *Raz, dwa, trzy, cztery…* Czasem uspokajała się w ten sposób, gdy jej myśli zaczynały dziko wirować w głowie. Nauczyła się tego od Ludwika. „Boże, ile innych zwyczajów jeszcze od niego przejęłam? Dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście".

Wiedziała, że Piotr odszedł już wczoraj. Z przedpokoju zniknęły dwie jego kurtki i trzy pary modnych tenisówek. A kiedy Klara zeszła wieczorem do kuchni, miała w zmęczonych oczach wykrzykniki pełne wyrzutów. „Cierpię. I to twoja wina, mamo!". „Tak, to moja wina".

Julia powoli weszła po schodach na poddasze i popchnęła uchylone drzwi pokoju Klary. Nawet jej nie zaskoczyło, że łóżko jest starannie posłane, poszewki ściągnięte, a szafa pusta. Obok łóżka niczym dwaj żołnierze stały kapcie Klary, umieszczone dokładnie w środku rombowego wzoru na dywanie, stykające się palcami i piętami. Klara dostała je od Julii w zeszłym roku na Gwiazdkę, a to, że je tu zostawiła, miało

prawdopodobnie stanowić buntowniczy sygnał: „Niczego od ciebie nie chcę, mamo".

To zabolało Julię może nawet bardziej niż odejście córki. Odwróciła wzrok od kapci i zaczęła chodzić po pokoju jak robot. Wywietrzyła, wzięła złożone poszewki leżące w nogach łóżka i domknęła uchyloną szufladę szafki nocnej. Kiedy wracała na parter, przyszło jej do głowy, że powinna być zadowolona – przecież czyż jeszcze wczoraj nie opłakiwała swej utraconej prywatności? Teraz ma ją z powrotem. Z lodówki nie będą już znikać przysmaki dla gości, wieczorem nie będzie wyrywać jej z zamyślenia głośna muzyka, nikt nie będzie jej przeszkadzać w nocnych spotkaniach z Sebastianem. Dlaczego więc ogarnęło ją dotkliwe poczucie straty? Znów zaczęła liczyć w duchu do stu i poszła do kuchni, żeby przygotować kotom śniadanie.

Pułapka leżała w tym samym miejscu co dwie poprzednie, tylko w odróżnieniu od nich była całkiem nowa. Julia już z daleka widziała, jak w szarych, metalowych drutach klatki odbija się poranne słońce.

– Nie wierzę! – Z oburzenia zaczęło jej walić serce. W skroniach huczało jej tak głośno, że prawie przestała słyszeć szum drzew i krzewów, targanych silnym wiatrem. Kiedy zbliżała się do pułapki, zaczęła słyszeć oprócz bicia serca jeszcze jeden dźwięk – przerażone miauczenie.

Upuściła konserwę z karmą na trawę i podbiegła do pułapki. Kiedy zajrzała do malutkiej prostokątnej klatki, poczuła w oczach łzy. Obok przynęty – dużego kawałka wołowego żebra – kurczył się Pan Minister. Źrenice miał rozszerzone z przerażenia i miauczał cichym, chrypliwym głosem, jakby na próżno wzywał pomocy od kilku długich godzin i powoli zaczynało mu brakować sił.

Julia padła na kolana, ciesząc się, że potrafi już obsługiwać te klatki i że zaraz wypuści wystraszone zwierzę na wolność. Wielkie szczęście, że znów przyszła do ogrodu przed wschodem słońca i nie odkładała karmienia na przedpołudnie. Gdy uświadomiła sobie, jak straszną noc musiał przeżyć Pan Minister, zaczęła głośno płakać. Palce się jej trzęsły, a oczy miała zamglone od łez, ale po chwili udało się jej zwolnić zapadkę i otworzyć drzwiczki klatki. Mówiła do kota łagodnie. Nie ruszał się. Był tak odrętwiały ze strachu, że musiała namawiać go przez kilka minut, by wyszedł na wolność. Kiedy wreszcie rozedrgany przytulił się do jej nóg, wzięła go na ręce, lecz jego futro tak śmierdziało zepsutą przynętą, że szybko odłożyła go z powrotem na trawę.

Tym razem Juraj Truskawka przesadził! Wściekle obróciła się do jego domu i w nagłym przypływie złości pogroziła mu pięścią. Któż inny niż Juraj mógłby łapać jej koty? Przypomniała sobie słowa Weroniki: *Widziałam u pani w ogrodzie mężczyznę. Wyglądał jak kucharz z restauracji Pod Koroną*. Nie, nie wierzyła jej. Brzmiało to zbyt absurdalnie. Weronika Truskawka na pewno opowiedziała jej zmyśloną bajeczkę, żeby kryć ojca. Śmieszne! Jak mogła myśleć, że Julia uwierzy w taką naciąganą bzdurę? Ale kiedy szła z klatką w stronę domu, wersja Weroniki już nie wydawała się jej tak niewiarygodna. Czy powinna ją sprawdzić? Wprawdzie kucharz Franciszek pomagał jej w domu z różnymi naprawami i zachowywał się wobec niej przyjaźnie, ale to jeszcze nie wykluczało go z kręgu podejrzanych. Poza tym młoda Truskawka wygląda dość wiarygodnie – na pewno najwiarygodniej z całej tej udanej rodzinki. Julia postawiła pułapkę w piwnicy obok dwóch poprzednich i z uśmiechem pomyślała, że jej kolekcja szybko się rozrasta. Jak tak dalej pójdzie, będzie mogła otworzyć sklep z artykułami dla myśliwych.

Restaurację Pod Koroną otwierano o jedenastej, a Julia wpadła do środka, kiedy tylko klucz przekręcił się w przeszklonych drzwiach.

– Jest już kucharz?

Brzuchaty kelner dobrotliwie wskazał na uchylone drzwi do kuchni.

– Znowu coś się spieprzyło w domu? – Wziął z baru ścierkę i zaczął wycierać stoły. – Ale teraz mi go nie zabieraj, kotku. Za chwilę obiad, ludzie będą walić drzwiami i oknami.

Niecierpliwie machnęła ręką.

– Chcę tylko o coś zapytać.

Kelner położył ręce na biodrach.

– To proszę bardzo, proszę bardzo. Wszystko w porządku? – Przyjrzał się jej badawczo. – Jest pani jakaś tego… Wkurzona, nie?

– Trochę się śpieszę. – Przeczesała palcami świeżo umyte włosy i odwróciła się do kelnera plecami. „Właściwie nie kłamię" – pomyślała. „Przecież idę dziś na aukcję". Ta dzisiejsza będzie wyjątkowo prestiżowa, wyjątkowo ważna. Julia powinna przyjść tam punktualnie.

Kiedy zajrzała do kuchni, Franciszek akurat nachylał się nad kawałkiem wędzonych żeberek i porcjował je olbrzymim nożem. Był chudy, miał wodniste oczy, a pasemka cienkich, rudych włosów pełzały mu brzydko po błyszczącej łysinie. Kiedy kroił żeberka, na ramionach porośniętych rzadkimi, rudymi włoskami napinały mu się mięśnie. Julia zadrżała. Identyczne żebro ktoś podłożył do klatki jako przynętę.

– Kogóż to ja widzę! – Podniósł na chwilkę wzrok i przywitał ją uśmiechem. Julia zauważyła, że na białych kafelkach za jego plecami zasychają ciemnoczerwone plamy, wyglądające jak krew. „Pewnie to jakiś sos albo keczup" – pomyślała, ale i tak ją zmroziło. – Co się dzieje? Znów trzeba pani z czymś pomóc?

Pod wpływem niedawnych wydarzeń zrozumiała, że kilkukrotne wpuszczenie tego człowieka do domu i traktowanie go jak przyjaciela było skrajną lekkomyślnością. Przecież w ogóle go nie zna! Co o nim tak właściwie wie? Spod wysoko zakasanych rękawów wystawał niezbyt udany tatuaż, jaki mężczyźni robią sobie zazwyczaj w więzieniu i który po zakończeniu kary uniemożliwia im wyparcie się kryminalnej przeszłości. Jak to możliwe, że ten tatuaż nie ostrzegł Julii wcześniej? Natychmiast sobie odpowiedziała: po prostu potrzebowała taniego rzemieślnika, a Franciszek zawsze chętnie jej we wszystkim pomagał. Kiedy Ludwik się wyprowadził, w domu brakowało męskiej ręki. Kropka. Mimo to przeraziła się, gdy przypomniała sobie, że kiedyś zostawiła Franciszkowi klucze, żeby naprawił jej bojler, gdy była w pracy.

Odsunęła od siebie nieprzyjemne myśli i spróbowała się uśmiechnąć.

– Niczego nie potrzebuję. Tylko… Chciałam zapytać… – Zamilkła. Jak sformułować to pytanie, żeby nie obrazić kucharza, jeśli jest niewinny? – Ciekawi mnie, czy nie dał pan… Czy pan nie zastawił…

Wydawało się jej, czy on naprawdę niemal niezauważalnie przymrużył oczy, jakby spodziewał się ataku? Przyglądała mu się uważnie. Czyżby Weronika Truskawka mówiła prawdę? Ale po co temu mężczyźnie byłyby jej koty? Jej wzrok mimowolnie przesunął się na ciemnoczerwone plamy na ścianie.

– Dobrze, panie Franciszku, grajmy w otwarte karty. Mam nadzieję, że się pan nie obrazi, jeśli… Po prostu ktoś już trzy razy zastawił w moim ogrodzie pułapki na zwierzęta. Dwa razy złapał się do nich kot. Jedna… sąsiadka twierdzi, że to pańska sprawka. Widziała pana.

Drgnął, ale to jeszcze niczego nie dowodziło.

– O czym pani mówi? – spytał powoli.

– Pytam, czy zastawił pan w moim ogrodzie pułapki na zwierzęta. Mam świadka, który pana widział – powtórzyła i przyłapała się na tym, że mówi przesadnie wyraźnie, jakby rozmawiała z głuchym człowiekiem.

– Widział? – powtórzył z niedowierzaniem. Potem przeszył Julię wściekłym spojrzeniem, a na twarzy z kilkudniowym, rudym zarostem pojawiły się czerwone plamy. – Czy pani zwariowała? Jak pani śmie wpadać tu i bezczelnie mnie oskarżać? Akurat pani, której pomogłem tyle razy! – Wściekły ruszył ku Julii, wciąż ściskając w ręce olbrzymi nóż. – Dlaczego, u licha, miałbym zastawiać w pani ogrodzie jakieś zasrane pułapki? Czy pani myśli, że jem koty? Aż tak źle ze mną nie jest!

Julia cofnęła się o krok. Wiedziała, że okazuje w ten sposób słabość, ale nie mogła nic na to poradzić.

– W takim razie proszę się nie gniewać. Po prostu myślałam… – Wiedziała, że niezależnie od tego, co powie, przyjazne stosunki z tym mężczyzną zostały bezpowrotnie zniszczone. Ogrzewanie będzie jej musiał naprawić ktoś inny.

– Źle pani myślała. Niech się pani wynosi, zanim własnoręcznie panią wyprowadzę. I niech już pani do mnie nie przyłazi z tym, że cieknie jakiś pieprzony kran, ty głupia babo!

– Dlaczego pan się tak wścieka? – nie odpuściła sobie Julia. – Prawie zaczynam myśleć, że naprawdę ma pan z tym coś wspólnego.

Uderzył pięścią w stół.

– Powiem pani, dlaczego się wściekam. – Podszedł do niej tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech. – To jest porządna restauracja. Ludzie lubią tu przychodzić. Jeśli zacznie pani rozpowiadać, że tutejszy kucharz łapie okoliczne koty, to co pomyślą sobie nasi goście? Że zamiast królika mają na talerzu mięso z kota. I nie przyjdą tu nigdy więcej. Tą swoją głupią bajeczką może nas pani zniszczyć, rozumie to pani? Zniszczyć!

A znalezienie tej roboty kosztowało mnie cholernie dużo wysiłku, więc bardzo mi na niej zależy. Radzę pani trzymać język za zębami.

– Rozumiem. Bez potwierdzenia o niekaralności musi być ciężko o dobrą pracę. – Nie wiedziała, skąd wzięła w sobie siłę na tak odważny kontratak. Był to strzał w ciemno, ale najwyraźniej trafił do celu. Kucharz zmrużył oczy.

– Skąd pani o tym wie?

Wzruszyła ramionami.

– Nie pańska sprawa. Jeśli nie chce pan mieć kolejnych problemów z policją, proszę trzymać się jak najdalej od mojego ogrodu i moich kotów.

– A pani niech się trzyma jak najdalej ode mnie!

Julia starała się zachować spokój. Powoli przesunęła się na bok, namacała za plecami klamkę i wyszła na salę.

– Będę robić to, co uznam za stosowne – rzuciła ze złością, zanim zamknęła za sobą drzwi. Potem z podniesioną głową wyszła na ulicę.

Policja przyjechała szybciej, niż Julia się spodziewała. Piętnaście minut po wykręceniu numeru 112 przed jej domem zahamował radiowóz.

Otworzyła drzwi, zanim policjanci zdążyli zadzwonić.

– Proszę wejść – krzyknęła. – Furtkę wystarczy popchnąć. Jest otwarta.

Odsunęła się, żeby wpuścić ich do przedpokoju. Młody, chudy funkcjonariusz przywitał się obojętnie i stanął w progu, więc Julia nie mogła zamknąć drzwi. Po drugiej stronie ulicy, jak na złość, szła Joanna Truskawka z niedzielną gazetą pod pachą i ciekawsko podniosła wzrok od radiowozu do pleców umundurowanego stróża prawa. Zrobiła złośliwą minę, jakby w duchu już formułowała plotkę, którą – jeszcze ciepłą – rozniesie zaraz po okolicy. Na przykład: *Proszę sobie wyobrazić, że u starej Kellerowej była dziś policja. W ogóle bym się nie zdziwiła, gdyby ta jej*

córka brała narkotyki. Jest taka blada i wychudzona… Julia posłała sąsiadce promienny uśmiech.

– To słuchamy – ponagliła Julię niecierpliwie policjantka, około czterdziestoletnia rudowłosa kobieta z bardzo rozłożystymi pośladkami.

– Chodzi o to, że ostatnio dzieją się tu dziwne rzeczy – zaczęła bardzo ogólnie Julia i od razu uświadomiła sobie, że brzmi to tak, jakby grała w podrzędnym horrorze, w którym po ogrodzie głównej bohaterki biegają trupy.

Policjantka spojrzała na nią z ukosa.

– Czy dobrze wywnioskowałam z pani zgłoszenia, że wezwała nas pani z powodu pułapek na szkodniki zastawianych przez kogoś w pani ogrodzie?

– Dokładnie. – Julia straciła pewność siebie. – Ktoś chciał mi ukraść kota. Ściślej mówiąc, zdarzyło się to już po raz trzeci. Pierwszą pułapkę znalazłam w zeszłą sobotę, tego poranka, gdy w lasku znalezioną tę martwą dziewczynę… – Zamilkła. Policjantka świdrowała ją pustym wzrokiem, z którego nie dało się wyczytać, ile wie o popełnionym morderstwie. Tak czy inaczej, uwaga o martwej dziewczynie niezbyt ją zainteresowała. Julia wolała szybko kontynuować: – Drugą pułapkę znalazłam we wtorek, a trzecią dziś rano.

Policjanci patrzyli na nią wyczekująco, jakby to najważniejsze miało dopiero zostać powiedziane. Julia poczuła jeszcze większe zwątpienie. Co jeszcze mogłaby dodać? Powoli zaczynała żałować, że wezwała patrol. Zresztą: czy zastawianie pułapek na zwierzęta domowe jest karalne?

– Chcą je państwo obejrzeć? – zaproponowała. Usłyszała, jak przed domem zatrzymuje się auto, ale ze swojego miejsca w przedpokoju go nie widziała. Do jej uszu docierały tylko ciche pomruki silnika, którego kierowca nie wyłączył. Boże, żeby to tylko nie był kolejny sąsiad! Potrafiła sobie wyobrazić, z jaką prędkością rozniesie się po całej dzielnicy wieść, że

Julię Keller w niedzielę przed południem odwiedziła policja. Nie, nie powinna była dzwonić na 112. Czego się spodziewała? Nawet gdyby złożyła oficjalne doniesienie o popełnieniu przestępstwa, nikt nie będzie się zajmować taką bzdurą. Policja ma mnóstwo pracy z poważniejszymi sprawami, na przykład z morderstwem tej dziewczyny ze sklepu zoologicznego.

– Możemy rzucić okiem. – Policjant wzruszył ramionami i wreszcie odstąpił od drzwi. Julia szybko je za nim zatrzasnęła.

Przed przyjazdem patrolu wyniosła z piwnicy wszystkie trzy klatki: dwie stare, zardzewiałe i jedną całkiem nową. Obejrzeli je obojętnym wzrokiem, a Julia mogłaby przysiąc, że gruba policjantka odwróciła się na chwilę, żeby ziewnąć z nudów.

– Chciałabym złożyć doniesienie o popełnieniu przestępstwa polegającego na wtargnięciu na teren prywatny i próbie kradzieży – powiedziała zdecydowanym tonem Julia. – Ktoś przechodził przez płot do mojego ogrodu i już trzy razy próbował ukraść mi kota. Dlaczego miałabym na to pozwalać?

Oboje spojrzeli na nią pytająco.

– Czy podejrzewa pani kogoś konkretnego? – rzucił policjant, a głos przeskoczył mu przy tym, jakby wydobywał się nie z trzydziestoletniego mężczyzny, tylko z piętnastoletniego chłopca.

– Chyba tak – przyznała. – Podejrzewam sąsiada Juraja Truskawkę. Niedawno groził, że dosypie moim kotom do karmy trutkę na szczury. Wprawdzie jego córka twierdzi, że widziała w moim ogrodzie kucharza z restauracji Pod Koroną, ale myślę, że po prostu kryje ojca. Rozmawiałam o tych klatkach z sąsiadem i z kucharzem. Oczywiście żaden z nich się nie przyznał. – Rozłożyła bezradnie ręce.

Pusty wzrok policjanta podpowiadał jej, że młody mężczyzna błądzi myślami gdzieś indziej.

– A czy zginął pani jakiś kot? – spytał w końcu, kiedy z pełnego napięcia spojrzenia Julii wydedukował, że oczekuje od niego dodatkowych pytań.

– Nie zginął, ale to przecież…

– A czy zginęło pani coś innego?

– Nie, nic.

– To czego tak właściwie pani od nas chce?

– Myślałam… – Julia skakała wzrokiem z policjantki na policjanta. – Czy z tych klatek nie można by ściągnąć odcisków palców? – Przyszło jej do głowy.

Młodzieniec w mundurze uśmiechnął się życzliwie.

– Wie pani, gdyby coś pani zginęło, to może i byśmy… Ale skoro…

Policjantka znów ziewnęła, nie próbując już tego nawet ukrywać.

– Szczerze mówiąc, myślę, że zbytnio pani nie pomożemy. Proszę nie obiecywać sobie zbyt wiele po złożeniu doniesienia. Może powinna się pani zwrócić do urzędu miejskiego. Według mnie chodzi tu raczej o zakłócanie porządku prawno-społecznego. Oni wezwą tych panów, o których pani mówiła. Spiszą z nimi oświadczenie, pogrożą im mandatem i tak dalej. Czasem to zniechęca kłopotliwych sąsiadów i przestają robić problemy.

Zrezygnowana Julia skinęła głową. Zrozumiała, że od policji nie doczeka się pomocy. Sama musi wyśledzić i ukarać złodzieja kotów, jeśli będzie to w jej siłach.

– Ma pani rację. Napiszę skargę do urzędu miejskiego – oświadczyła, choć wcale tego nie planowała. – Przepraszam, że przeszkodziłam państwu w ważniejszych zadaniach. – Postarała się, żeby ostatnie zdanie zawierało nutkę ironii, ale policjantce nawet nie drgnęła brew.

– Nie ma problemu. Miłego dnia.

Julia stała przy drzwiach. Patrzyła, jak policjanci wsiadają do służbowej fabii, i z ulgą stwierdziła, że w pobliżu jej domu nie parkuje żadne inne auto. Może przedtem tylko się jej zdawało, że słyszy hamujący wóz? Naprawdę nie marzyła o tym, by rozniosło się, że w weekendy przyjeżdża tu na przesłuchania policja.

Cicho zamknęła drzwi, wzięła głęboki oddech i poszła do sypialni, by wybrać ubranie na popołudniową aukcję.

Weronika stała przy oknie w pokoju gościnnym, a na gołych ramionach czuła zimny dotyk świeżo umytych włosów. Miała dziś od rana obserwować furtkę Julii Keller i zadzwonić do Dawida, jeśli zobaczy, że sąsiadka wychodzi, ale musiała sama przed sobą przyznać, że nie wywiązuje się ze swojego zadania zbyt dobrze. Wprawdzie nastawiła budzik na ósmą, ale do dziewiątej leniuchowała w łóżku, a potem wytrzymała przy oknie tylko pięćdziesiąt minut. O dziesiątej była już w kuchni, zrobiła sobie płatki kukurydziane z mlekiem i białą kawę, zjadła śniadanie przed telewizorem, wzięła prysznic, a na stanowisko wróciła dopiero przed jedenastą. Nad dzielnicą willową powoli rozrzedzała się przedpołudniowa mgła, a szyby domu Julii Keller błyszczały w mlecznym świetle pierwszych promieni słońca. Weronika spojrzała na róg ogrodu sąsiadki, ale nic się tam nie działo. Jedyną akcją była poranna toaleta dużego, rudego kocura, odbywająca się na dachu szopy.

Weronika westchnęła i oparła się łokciami o parapet. Miała nadzieję, że Julia już wyszła niezauważona lub że dziś w ogóle nie ruszy się z domu. A jeśli w kolejnej sekundzie stanie w progu, uczesana i wystrojona? Weronice wcale nie podobała się myśl, że zamierza zdradzić swoją sąsiadkę.

Drzwi willi otworzyły się jak na rozkaz, a na niszczejące kamienne schodki wyszła Julia. Włosy miała schowane pod chustą, a spod płaszcza wystawał jej młodzieżowy dres z białymi pasami na bokach i znoszone tenisówki, co Weronikę niezmiernie ucieszyło. W domowym stroju Julia na pewno nie idzie daleko. Nie trzeba zgłaszać tego Dawidowi. Weronika podbiegła do drugiego okna, żeby sprawdzić, dokąd jej sąsiadka się wybiera, i zobaczyła, jak wchodzi do restauracji Pod Koroną. Poszła na wczesny obiad, czy zebrała się na odwagę i zamierza porozmawiać z kucharzem o zastawionej pułapce na koty?

Weronice było to obojętne. Zrobiła piruet na pięcie i opadła na łóżko. Była niespokojna jak przed sprawdzianem z matematyki. Boże, to będzie koszmarny dzień. Po co ona mówiła Dawidowi o tej biżuterii? Gdyby trzymała język za zębami, nie musiałaby się teraz pocić z nerwów. Pomyślała, że może powinna odpuścić sobie swoje szpiegowskie zapędy i przestać obserwować dom Julii. Wieczorem po prostu powie Dawidowi, że sąsiadka nigdzie nie wychodziła, i wszystko znów będzie dobrze. Tyle że Dawid obiecał jej, że jeśli uda mu się ukraść tę biżuterię, będą razem wspaniale żyć…

Nie była pewna, jak długo leży na łóżku i gapi się w sufit. Kiedy jednak postanowiła wreszcie wstać i wrócić do okna, włosy miała już prawie suche. Przed sąsiednim domem właśnie zaparkował radiowóz. Otyła policjantka rozejrzała się po pustej ulicy, podrapała się pod spodniami po pupie, a kiedy myślała, że jej chudy kolega nie patrzy, pogrzebała również w nosie. Gdy tylko policjant na nią spojrzał, szybko wyciągnęła palec z dziurki i udawała, że poprawia włosy. Weronika zaśmiała się głośno. Dziś z wdzięcznością przyjmowała wszystko, co choć na chwilę wyrywało ją z nudy.

Lecz potem policjanci otworzyli furtkę Julii, a Weronika zamarła. *Julia wezwała policję*. Przeczuwa, że coś się święci. Wie, że Weronika i Dawid chcą ją okraść. Wie wszystko! Ale skąd mogłaby się dowiedzieć? Przecież włamanie planowali w aucie i na pewno nikt ich nie słyszał! Weronika przycisnęła nos do zimnej szyby. Serce waliło jej dziko, a policzki piekły. „Uspokój się. Julia nie wie, że chcecie ją okraść. Nie może tego wiedzieć. Pomyśl – po co mogła wezwać policję? Przed chwilą była w restauracji Pod Koroną. Prawdopodobnie rozmawiała tam z kucharzem o pułapkach na koty i pokłócili się. Może jej groził, więc zadzwoniła na 112".

Tak, na pewno tak właśnie było. Weronika wzięła głęboki oddech, żeby rozluźnić boleśnie napięte mięśnie brzucha. Boże, kiedy jej życie tak bardzo się skomplikowało? Jeszcze rok temu budowała w ogrodzie domki dla lalek z mchu i liści, a jej największym grzechem było pośpieszne zjedzenie niezapłaconego batonika między regałami sklepu samoobsługowego. A teraz zamierza okraść jedyną kobietę, która traktowała ją naprawdę miło.

Policjanci wyszli z domu Julii, śmiali się z czegoś, a policjantka porozumiewawczo trąciła kolegę w żebra. Obejrzeli się na zamknięte drzwi, wsiedli do auta i ruszyli z piskiem opon. Słońce już przedarło się przez mgłę, miękko przebijało się przez korony jabłoni, a w ukośnych promieniach błyszczały gdzieniegdzie nitki babiego lata. Weronika oparła się wygodnie o parapet, a jej wzrok przesuwał się po dachach okolicznych domów. Była zmęczona, a gdyby przystawiła sobie do okna fotel, najprawdopodobniej szybko zmorzyłby ją sen.

Kątem oka zauważyła ruch. Znów Julia. „Boże, nie!". Zamykała za sobą drzwi, włosy miała spięte w luźny kok, a w czarnych czółenkach na wysokim obcasie wyglądała dużo bardziej elegancko niż zazwyczaj. Wychodzi. Prawdopodobnie wróci dopiero za kilka godzin.

Weronika wsunęła rękę do kieszeni i dotknęła małego telefonu komórkowego, ciepłego od leżenia w przylegających spodniach. Czy nadszedł czas, by zadzwonić do Dawida?

Julia zniknęła z zasięgu wzroku, ale gdy Weronika uchyliła okno, wciąż dobiegał ją stukot obcasów sąsiadki. Fajnie byłoby mieć taką matkę jak Julia. Matkę, która jest spokojna, wyrozumiała i naprawdę słucha, kiedy coś się jej opowiada. Matkę, która zadaje pytania typu *Czy jesteś z nim szczęśliwa? zamiast Dlaczego nie umyłaś po sobie szklanki?*

Weronika niepewnie przejechała palcem po gładkich klawiszach telefonu. Przypomniała sobie, jak poprzedniego wieczora Dawid ściągnął jej podkoszulek, potem ściągnął też swój i przytulali się do siebie na wpół nadzy w żółtym świetle latarni ulicznej. Miał gładką, gorącą skórę i pachniał mydłem, którym zawsze starannie się mył przed przyjazdem. Już nie mogła się doczekać, aż znów wciągnie ten zapach głęboko w płuca. To Dawid jest częścią jej życia, nie Julia.

Wcisnęła przycisk szybkiego wyboru numeru.

– Dawid? To ja. Właśnie wyszła. Wygląda na to, że nieprędko wróci. – Umilkła i słuchała w napięciu. – Jasne, schodzę do rodziców. Nie opuszczę ich na krok. Pośpiesz się. I uważaj na siebie.

Julia dziarskim krokiem szła wzdłuż ogrodów i z rozkoszą wdychała chłodne powietrze, doprawione typowo jesiennym zapachem butwiejących liści i ziemi przemoczonej nocnym deszczem. Przedpołudniowa mgła zniknęła bez śladu, a o wilgotne plamy na chodniku opierały się promienie słoneczne, które w miejscach osłoniętych od wiatru wciąż przyjemnie grzały. Julia spojrzała na zegarek i w nagłym przypływie dobrego humoru postanowiła nie czekać na autobus, tylko przejść się do kolejnego lub jeszcze następnego przystanku. Zwolniła – ma przecież dużo czasu, aukcja

antyków zaczyna się dopiero za półtorej godziny – i błogo mrużyła oczy do słońca. Policjant Alesz Horak na razie do niej nie dzwonił, z Bergmanem też nie rozmawiała od dłuższego czasu, więc lęk wywołany morderstwem w lasku powoli zaczynał przemijać. Julię uspokoiły również słowa Horaka: Nie chodzi o pani córkę. Nie, oczywiście, że nie chodzi o nią. Cała ta teoria o przypadkowej zamianie ofiar była strasznie naciągana.

Julię ogarnęła lekkość, którą jednak szybko naruszyło nieznaczne ukłucie winy. Zbyt szybko przestała męczyć ją tęsknota za Klarą. Właściwie zapomniała o niej w chwili, gdy znalazła w ogrodzie trzecią pułapkę. Czy to nie dowodzi, jak kiepską jest matką? Po krótkim namyśle stwierdziła, że być może kiedyś powinna była bardziej poświęcać się dla dzieci, ale po pięćdziesiątce może sobie pozwolić na egoizm. A tak w ogóle – co jest złego w egoizmie? Lu dzie powinni robić tylko to, czego naprawdę pragną, i mówić tylko to, co naprawdę myślą. Przecież nikt inny tego za nich nie zrobi.

W doskonałym humorze przeszła przez ulicę i skręciła na szerokie schody, wzdłuż których rosły rzędy jarzębin. Nasycona czerwień kiści dojrzałych owoców kontrastowała z błękitnym niebem, a korony drzew mieniły się dziesiątkami odcieni zieleni, brązu i żółci. Na ich widok Julia poczuła, że czeka ją coś pozytywnego. Tak, już wkrótce radykalnie zmieni swoje życie. Była tego pewna równie mocno jak tego, że nazajutrz wzejdzie słońce.

W torebce zadźwięczał telefon. Numer był ukryty – mógł dzwonić ktokolwiek.

– No, słucham? – Trochę ją rozgniewało, że ktoś wyrwał ją z przyjemnych rozmyślań.

– Jesteś jeszcze w domu?

– Cześć. Nie. Przecież to oczywiste, że nie jestem w domu. Mówiłam ci, że idę na aukcję.

– A czy mogłabyś jeszcze zawrócić i wziąć ze sobą tę książkę, którą ci pożyczyłam? Julio, proszę cię! Przyjdę po nią na licytację. Muszę zamieścić w artykule kilka cytatów, mam czas do końca weekendu. A skoro już o tym mowa, dowiedziałam się kilku istotnych rzeczy dotyczących tego wielkiego tematu, nad którym pracujesz. Nie chcę rozmawiać o tym przez telefon. Pewnie rozumiesz dlaczego.

Julia przytaknęła. Koleżance Lindzie nigdy nie potrafiła odmówić. Energiczna, optymistyczna, ambitna Linda. Była w wieku Klary i posiadała wszystkie cechy, których Julia na próżno szukała u córki. W pewnym sensie zastępowała jej Klarę.

– Dobrze. Wrócę po nią. Przyjdź do domu aukcyjnego, będę tam do wieczora.

Zawróciła i zaczęła wchodzić po schodach z powrotem na górę. Weźmie tę książkę dla Lindy i pojedzie do centrum autobusem. Pomimo iż plany na najbliższą przyszłość uległy zmianie, doskonały nastrój jej nie opuszczał, wręcz przeciwnie. Kiedy otwierała drzwi swojej willi, czuła się niemal szczęśliwa.

W pracowni panował bałagan, ale książkę o secesyjnych klejnotach znalazła szybko. Gdy wycierała z niej warstwę kurzu, usłyszała szmer w sąsiednim pomieszczeniu, ale nie zaniepokoiło jej to – pewnie Pan Minister gania któregoś kocura. Zdecydowanym krokiem weszła do pokoju i zatrzymała się. Kiedy kilka minut temu przechodziła tędy w pośpiechu, nie widziała błotnistych plam na parkiecie. Były to wyraźne ślady butów. Cudzych butów.

Zmroziło ją. W tej samej chwili z głębi domu znów dobiegł szmer… To nie był odgłos kociej walki, tylko kroki człowieka.

Julia ze strachu wypuściła z ręki duży pęk kluczy, który uderzył ją w podbicie prawej stopy. Jednocześnie zauważyła, że szuflady mebli są pootwierane, a szkło witryny odsunięte. W domu ukrywa się złodziej i kto wie, co strzeli mu do głowy, jeśli zorientuje się, że Julia wróciła. Powinna uciec stąd jak najszybciej!

Wybiegła do przedpokoju, ale zanim zdążyła dobiec do drzwi, z ciemnego kąta pod schodami wyłoniła się postać. Julia się cofnęła. Na ucieczkę w przeciwnym kierunku było już za późno. Krzyknęła tuż przed tym, jak coś twardego uderzyło ją w głowę.

Jeszcze przez kilka sekund wiedziała, co się z nią dzieje, i czuła, że po policzkach i szyi ścieka coś gęstego i ciepłego. Bolała ją potylica – był to ostry, rwący, straszny i nieznośny ból. Przed oczami miała purpurową ciemność.

„Zatem tak to się stanie, taki będzie koniec" – przemknęło jej przez głowę tuż przed utratą świadomości. „Nie zabije mnie żadna ciężka choroba ani wypadek samochodowy, tylko prosty, szybki cios w głowę".

ROZDZIAŁ 20

– Ona nie żyje!

– Co? Co? Dawid, to naprawdę głupi żart.

– Mówię ci, jest sztywna! Leży między pokojem i korytarzem. Nie rusza się.

– Ściemniasz.

– Chryste Panie, przed chwilą ją widziałem. Julia-jest-martwa.

– Przecież wyszła z domu. Jak mogłaby…

Weronika spojrzała na matkę, która przyglądała się jej z ciekawością, mieszając obiad. Dziewczyna miała nadzieję, że rodzice nie słyszeli słów Dawida.

– Czy coś się dzieje? – Joanna Truskawka wytarła ręce o fartuch i zaniepokojona podeszła do córki.

– A co by się miało dziać? – Weronika wstała z fotela i wybiegła z kuchni. – Poczekaj chwilę – syknęła do słuchawki. Nogi się pod nią uginały, a serce skakało aż do gardła, ale instynkt samozachowawczy gnał ją jak najdalej od matki. Dopiero kiedy wbiegła po schodach do swojego pokoju na poddaszu, znów odezwała się do Dawida. – Jesteś tam?

– No jestem. – Głos mu się trząsł. Płakał. Nie wiedziała, że chłopcy pokroju Dawida też płaczą. Trochę ją to rozczarowało.

– Skąd dzwonisz?

– Jak to skąd? Z jej domu. Jestem w pokoju, a ona tu obok… Ona tu obok… – zaszlochał głośno. Było to coś między jękiem i wyciem, a Weronika mimowolnie odsunęła słuchawkę od ucha. – Jest tu mnóstwo krwi. Nie znoszę krwi. Robi mi się od niej niedobrze.

– Dawid, czy ty ją zabiłeś?

– Nie! Boże, nie! Nie, nie, nie.

– Ściemniasz. Nakryła cię, a ty ją załatwiłeś. Przyznaj się.

– Nie! To nieprawda! Nie!

– To co się stało?

– Ja… Ja… Słuchaj, przede wszystkim muszę stąd jak najszybciej spieprzać. – Dawid jakby trochę się uspokoił. – Przyjdź za dziesięć minut na koniec ulicy.

Weronika usiadła na skraju łóżka. „To nie może być prawda" – pomyślała. „To tylko sen. Za chwilę się obudzę, wyjrzę przez okno, a Julia będzie karmić w ogrodzie koty".

Opadła na łóżko i mocno zacisnęła powieki.

– Jeśli to sen, chcę się z niego obudzić. Teraz. Kiedy policzę do dziesięciu, obudzę się. Raz, dwa, trzy…

– Weroniko!

Usiadła.

– Weroniko!

Często zdarzało się jej, że w przerażającym śnie prosiła o przebudzenie, a w kolejnej sekundzie naprawdę otwierała oczy i widziała uspokajającą ciemność w cichej sypialni. Lecz teraz nie miała tyle szczęścia. Podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz. Matka właśnie wołała ją po raz trzeci, a w jej głosie pobrzmiewało już wyraźne podrażnienie.

– Co chcesz? – odkrzyknęła Weronika.

– Zejdź na dół. Za dziesięć minut obiad.

– Dobra.

Weronika wróciła do swojego pokoju, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Czyli to nie jest sen. Dawid naprawdę włamał się do domu Julii Keller i zastał ją tam w przedpokoju w kałuży krwi. *Zastał?*

Włoski na przedramionach się jej zjeżyły. Podniosła z łóżka mały srebrny telefon komórkowy, wsunęła go do kieszeni i na palcach zeszła na dół. Tyle że zamiast pójść do jadalni, wymknęła się z domu i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Dawid czekał na nią w aucie zaparkowanym na tradycyjnym miejscu na końcu ulicy. Był blady, a jego wargi poruszały się, jakby szeptał coś do siebie bezgłośnie. Weronika otworzyła drzwi, usiadła i spojrzała na niego wyczekująco.

– Robisz sobie ze mnie jaja, co? – Wciąż miała nadzieję, że jej chłopak zaraz wyciągnie z głębokich kieszeni luźnych spodni starą biżuterię, mrugnie do niej konspiracyjnie i łobuzersko się zaśmieje.

– Nie. – Dawid się nie ruszał i patrzył przez zaparowaną przednią szybę na ulicę zalaną południowym słońcem. – Ona nie żyje. Ktoś ją załatwił.

– Załatwił? – Weronika powtórzyła z niedowierzaniem i na chwilę zamilkła, jakby czekała, aż dotrze do niej prawdziwe znaczenie tego słowa. – Ale dlaczego? – wyrzuciła z siebie po kilku sekundach. – Przecież była dobra. Wszyscy ją lubili. – Kiedy tylko to powiedziała, zrozumiała, że to nie jest tak do końca prawda. Na przykład ojciec Weroniki nie znosił Julii Keller. A matka wciąż z niej drwiła i wywyższała się nad nią. – Kto mógłby chcieć to zrobić? – spytała przerażona.

– Kurwa, a skąd ja mam wiedzieć?

Dawid wybuchł takim gniewem, że Weronika skurczyła się na swoim siedzeniu. Wsunął klucz do stacyjki i przekręcił go. Nie wcisnął jednak sprzęgła, więc auto tylko podskoczyło do przodu i silnik zgasł.

– Kurwa! – syknął znów Dawid, jakby po przeżytym stresie jego zasób słów ograniczył się do tego jednego przekleństwa. – Kurwa!

Weronika milczała, dopóki wóz nie ruszył.

– Dokąd mnie wieziesz? – spytała potem. – Powinnam wrócić do domu na obiad.

– Nie pieprz mi teraz o obiedzie. Muszę stąd natychmiast zniknąć.

Pojednawczo wzruszyła ramionami.

– I tak nie jestem głodna. – Obróciła się do okna i patrzyła, jak za szybą mkną z szaleńczą prędkością zielone, brązowe i czarne płoty ogrodów. Dawid dodał gazu. – Zwolnij – poprosiła go odruchowo. – Bo jeszcze nas złapią gliny.

Posłusznie przełożył stopę na hamulec. Wóz podskakiwał po nierównych płytach ślepej ulicy, na której końcu znajdował się parking dla pięciu aut i wejście do lasku miejskiego. „Niedaleko stąd znaleźli tę dziewczynę" – pomyślała Weronika, a włoski na szyi znów stanęły jej z przerażenia. Drugie morderstwo w przeciągu tygodnia. Co stało się z jej życiem, że nagle zaczęła tak często stykać się ze śmiercią?

Dawid zatrzymał się na pustym parkingu, wyłączył silnik i oparł się czołem o kierownicę.

– Zabiłeś ją? – spytała ostrożnie Weronika.

– Przecież już ci mówiłem, że nie – odparł, ale nie spojrzał jej w oczy.

– Nie wierzę ci. – Weronika wyciągnęła z kieszeni wiatrówki srebrny pilniczek i zaczęła nerwowo poprawiać paznokcie. Każda czynność była lepsza od bezczynnego siedzenia i ulegania strachowi. – Myślę, że kiedy tam byłeś, ona wróciła, nakryła cię, a ty walnąłeś ją czymś w głowę.

– Kogo obchodzi, co myślisz?! – Dawid podniósł głowę. – To wszystko twoja wina! Gdybyś porządnie siedziała przy oknie i nie zajmowała się pierdołami, jak na przykład teraz, nie miałbym żadnych problemów. Powiedziałaś, że wyszła z domu, a ona tam była. – Wściekle uderzył w kierownicę. – Przestań, do cholery, zajmować się tymi pazurami i słuchaj, co do ciebie mówię, bo ci przywalę!

Wciąż piłowała paznokcie. W domu przyzwyczaiła się do krzyku i pustych pogróżek.

– Ale ja naprawdę widziałam, jak wychodzi. Potem pobiegłam na dół do rodziców, tak jak mi kazałeś, żebym miała alibi, więc bądź tak dobry i przestań mnie o coś obwiniać. – Weronice wydawało się absurdalne, że całkiem poważnie rozmawia ze swoim chłopakiem o morderstwie i o alibi. „Chcę z powrotem swoje stare życie" – pomyślała zrozpaczona. „Chcę się obudzić". Ale dobrze wiedziała, że ten koszmar nieprędko się skończy.

– Racja. – Dawid najwyraźniej trochę się uspokoił. Sięgnął do kieszeni i coś zachrzęściło mu w dłoniach. Do przegródki przy dźwigni zmiany biegów wysypał garść błyszczącej biżuterii i spróbował się uśmiechnąć. – Już to miałem, kiedy ją znalazłem. Chciałem się zwijać, ale nagle poczułem… poczułem… taki dziwny… smród. To była… krew. – Na czoło wystąpiły mu krople potu. – Boże! Nigdy wcześniej nie widziałem trupa!

„Ja jednego znalazłam niedawno w lesie" – chciała mu przypomnieć – „i nie robiłam przy tym takich scen". Ale nie powiedziała ani słowa, bo wydało się jej to zbyt okrutne.

– Ta krew tak dziwnie… słodko śmierdziała… – Dawid zaczął się krztusić, namacał klamkę drzwi i pobiegł zwymiotować na skraju lasku. Weronika patrzyła na niego z obrzydzeniem i pomyślała: „Jeszcze rano był niewinny i go kochałam. Teraz być może ma na sumieniu morderstwo, a ja nic do niego nie czuję. Dziwne. Wystarczy jedna sekunda i wszystko się

zmienia". Nagle poczuła się stara i zmęczona, jakby miała nie szesnaście, tylko sto sześćdziesiąt lat.

Dawid wrócił, wytarł usta chusteczką, a oczy błyszczały mu jak w gorączce.

– Co z tym zrobimy? – spytał i skinął głową na biżuterię.

– Jeśli to sprzedasz, policja cię wyśledzi i pójdziesz siedzieć. Wsadzą cię za morderstwo na tle rabunkowym. Nie oglądasz kryminałów? Pozbądź się tego.

– Chcesz powiedzieć, że mam to wyrzucić? – Wytrzeszczył oczy, jakby dopiero teraz zrozumiał, że cała jego wyprawa była zbyteczna. Podniósł bransoletkę po babci Julii i zważył ją w dłoni. – Nie byłoby ci szkoda?

Spojrzała na niego chłodno.

– A życia Julii ci nie szkoda?

– Kurwa, ile razy mam ci mówić, że ja jej nie sprzątnąłem?

Weronika westchnęła.

– Spoko. Może po prostu upadła i uderzyła się w głowę.

– Może. – Dawid odłożył bransoletkę do pozostałych kosztowności i delikatnie przesunął po nich opuszkami palców. – Wiesz, co było dziwne?

– Co?

– Kiedy tam wszedłem, w pokoju były pootwierane wszystkie szuflady, jakby ktoś wcześniej je przeszukiwał. W pierwszej chwili mnie to nie zastanowiło. Cieszyłem się, że nie muszę szukać klucza. Wyciągnąłem biżuterię z trzeciej szuflady, wcisnąłem ją do kieszeni i chciałem szybko uciekać. Potem zobaczyłem Julię a… a kiedy się nad nią pochyliłem, gdzieś w domu skrzypnął parkiet.

– Myślisz, że tam był ktoś jeszcze? Ten morderca? – Pomimo iż Weronika nie wiedziała, czy powinna Dawidowi wierzyć, strach znów

wgryzł się jej w potylicę jak mały drapieżnik z ostrymi ząbkami.

– Możliwe.

– Co chcesz zrobić? Nie zgłosisz tego na policję, nie?

– Jasne, że nie! Nie jestem taki głupi, żeby kablować na samego siebie! Będę milczał jak grób. Nigdy w życiu nie byłem w tamtym domu. Nigdy w życiu nie byłem w tej dzielnicy. A ciebie w ogóle nie znam. Miałem rękawiczki, nie zostawiłem nigdzie odcisków palców. Jeśli ty też będziesz trzymać język za zębami, Weroniko, nikt nas nie wyśledzi. – Znów delikatnie przejechał opuszkami palców po gładkich brzegach złotej bransoletki, a Weronika przypomniała sobie, co czuła, gdy tymi palcami dotykał jej warg, piersi, brzucha… Ale to już przeszłość.

– Nic nikomu nie powiem – odparła cicho. – Nie bój się.

Skinął głową i głośno przełknął ślinę. A potem nagle spod mocno zaciśniętych powiek spłynęła mu duża, lśniąca łza.

– Boże, Wera, co myśmy zrobili?

Wolała otworzyć drzwi i wysiąść z auta.

– Jedź do domu – powiedziała miękko. – Jedź do domu, a te kradzione rzeczy wyrzuć gdzieś do rowu. – Zanim zatrzasnęła za sobą drzwi, dodała jeszcze: – I już do mnie nie dzwoń. Zapomnij o mnie. Tak będzie bezpieczniej.

Dawid najchętniej wyskoczyłby z auta i zawołał ją z powrotem. Nie potrafił sobie wyobrazić, że teraz tak po prostu włączy silnik, odjedzie i nigdy więcej jej nie zobaczy. Przecież ona nie może zostawić go z tym samego! Wiedział jednak, że jeśli chce się uratować, nie powinien już pokazywać się przy ulicy Krokusowej. I musi trzymać się z dala od Weroniki, bo w przeciwnym razie ktoś mógłby skojarzyć go z morderstwem jej sąsiadki.

Przejeżdżał opuszkami palców po ciężkiej, złotej bransoletce, ale łup bynajmniej go nie uspokajał. Wręcz przeciwnie. Może rzeczywiście posłucha rady Weroniki i wieczorem wyrzuci te rzeczy z mostu do rzeki. Sprzedanie ich byłoby niepotrzebnym ryzykiem. Ale jeśli naprawdę się ich pozbędzie, straci szansę na całkiem niezłe pieniądze. Skoro już wpakował się w takie kłopoty, może powinien przynajmniej coś z tego mieć? Przekręcił kluczyk w stacyjce, a do głowy przyszła mu dziwna myśl: Jeśli Weronika się obejrzy, wszystko dobrze się skończy.

Na rogu ulicy dziewczyna trochę zwolniła i wyciągnęła jedną rękę z kieszeni wiatrówki, jakby zamierzała mu pomachać. Lecz potem zmieniła zdanie, wbiła wzrok w chodnik, przyśpieszyła i zniknęła za gęstym żywopłotem.

W tej samej chwili Józef Bergman otwierał drzwi wejściowe jednej z sześciu klatek schodowych olbrzymiego, dziesięciopiętrowego bloku na praskim Opatowie. Marcelina Emer, którą Klara podejrzewała o wysyłanie SMS-ów z pogróżkami, mieszkała w okolicach o bardzo kiepskiej reputacji. Anonimowość w połączeniu z biedą stały się doskonałym gruntem do rozkwitu przestępczości. Miejscowi policjanci nazywali ten wielki blok Domem Grozy, ponieważ niemal każdej nocy przyjeżdżali tu na interwencję. Wykryli tam już dwa lokale, w których produkowano perwitynę. Z klatek schodowych regularnie wywozili pijanych bezdomnych, kilka razy wzywano ich też do pożaru piwnic. W jednej z sześciu wind rok temu dokonano gwałtu, a sprawca do dziś nie został zatrzymany.

Bergman sądził, że z domu o tak strasznej renomie wyprowadzili się już wszyscy porządni i choć odrobinę majętni mieszkańcy, ale najwyraźniej sporo ich tu jeszcze zostało. Przy chodniku parkowały błyszczące auta klasy średniej. Przez okno na parterze widać było część gustownie

urządzonego pokoju. Na klatce schodowej inspektor minął elegancką młodą mamę z pachnącym dzieckiem, a do windy wsiadła razem z nim czterdziestolatka z menadżerską aktówką. Bergman odetchnął, gdy zrozumiał, że rzeczywistość okazała się dużo mniej dramatyczna niż wyobrażenia o bloku pełnym narkomanów i bezrobotnych ludzi z marginesu.

– Jak się tu mieszka? – spytał, spoglądając na wulgarne napisy namazane w windzie flamastrem. Tylną ścianę najwyraźniej kiedyś zdobiło lustro, ale ktoś je odkręcił. Pozostał tylko ciemny prostokąt i cztery otwory po śrubach.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Można się przyzwyczaić.

Wysiedli na tym samym piętrze. Korytarz bez okien tonął w ciemności, a zamiast włącznika światła sterczał tylko kłąb drutów. Kobieta podeszła do przeciwnej ściany i włączyła lampy. Nie miały kloszy, a ostre światło żarówek kłuło w oczy.

– Tu nigdy nie przestanie się kraść – rzuciła i obejrzała się zdegustowana. – Kogo pan szuka?

Bergman zrozumiał, że prawdopodobnie się go boi. Jak to jest – codziennie wracać do domu z poczuciem zagrożenia?

– Marceliny Emer – odparł i posłał kobiecie uśmiech. – Może pani wie, do których drzwi powinienem zadzwonić? – Nie miał najmniejszej ochoty na błądzenie po labiryncie korytarzy.

Kobieta również się uśmiechnęła.

– Oczywiście.

Kiedy zostawiła inspektora przed poobijanymi drzwiami bez wizytówki, marzył o tym, by zastać Marcelinę Emer w domu, wszystko szybko z nią omówić i już nigdy tu nie wracać.

Stała przy oknie i patrzyła na sąsiedni blok, długie rzędy błyszczących okien i malutkie balkony z bielizną powiewającą na suszarkach. Była dość ładna, ale nie w ten niepokojący sposób jak Julia Keller. Bergman zwrócił uwagę przede wszystkim na jej oczy, które potrafiły się śmiać, choć uśmiech nawet nie muskał warg. Przyjęła go miło, zaproponowała mu herbatę, a teraz rozmawiali o Domu Grozy.

– Zawsze wieczorem staję tu i patrzę na te wszystkie okna. – Palcem wskazującym zastukała w szybę. – Kiedy mieszka się na osiedlu, można szybciej niż gdzie indziej zrozumieć, że jest się tylko jednym z wielu. Mrówką w mrowisku. Lubię to uczucie. Nauczyłam się tu… – zamilkła, szukając odpowiedniego słowa – …pokory.

– Nie jestem do końca pewien, czy mnie podoba się wrażenie, że jestem tylko molekułą wody w morzu. Ludzie lubią czuć się wyjątkowi, nie sądzi pani?

Wzruszyła ramionami.

– Ja nie. Kiedy jest mi smutno, to – wskazała brodą za okno – mi pomaga. Zawsze myślę, że wiele osób tam, na zewnątrz, musi radzić sobie ze swoimi osobistymi katastrofami, ale niezależnie od tego, czy im się to uda, czy nie, świat będzie kręcić się dalej.

Bergman skinął głową. Dziwne, że siedzi tu już dziesięć minut, a o prawdziwym powodzie jego wizyty nie padło jeszcze ani słowo. Marcelina Emer najwyraźniej należy do osób potrafiących rozmawiać z całkowicie obcymi ludźmi, jakby znała ich od zawsze. Inspektor się nie śpieszył, pozwolił jej mówić i czekał, co zdradzą mu o niej ton jej głosu, słowa, gesty. Na razie wyciągnął jeden wniosek: z tej kobiety emanuje spokój. W ogóle nie wydaje się „walnięta", jak określiła ją Klara. Autorkę SMS-ów z pogróżkami wyobrażał sobie inaczej…

Zmienił temat.

– Nie bała się pani wpuścić mnie do mieszkania?

Uśmiechnęła się prostodusznie.

– Przecież pokazał mi pan odznakę.

– Racja. – Patrzył, jak wyłącza gaz pod czajnikiem i zalewa wrzątkiem dwie torebki taniej, czarnej herbaty. Uświadomił sobie, że nie chce jej pić, ale przyjął napój z cichym westchnieniem. – Chyba powinienem wreszcie wyjaśnić, co mnie sprowadza.

Usiadła naprzeciw i wyczekująco wpatrywała się w niego fiołkowymi oczami.

– Czy zna pani Klarę Keller?

Nie poruszyła nawet brwią.

– Owszem. Pół roku temu rzucił mnie dla niej mój facet. To dziwne, że pan o nią pyta. Akurat wczoraj Piotr, czyli ten mój były facet, do mnie dzwonił. Twierdził, że się rozeszli. Chce do mnie wrócić.

Ciekawy zwrot akcji. Jeśli pamięć Bergmana nie myli, kilka dni temu Klara Keller mówiła o Piotrze jak o swoim obecnym chłopaku. Inspektora zaskoczyło, że Marcelina w ogóle nie zachowuje się triumfalnie. Przecież wyszło na jej, czyż nie?

– Co mu pani na to powiedziała? – spytał i wypił łyk herbaty. Smakowała jak napar z siana i czuć w niej było wyraźną chemiczną nutę. Może to resztki płynu do naczyń w niedokładnie umytej filiżance?

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Odmówiłam.

– Naprawdę? – Zatem Klara kłamała, kiedy nazwała Marcelinę psychopatką gotową zrobić wszystko, byle tylko odzyskać Piotra? Tak czy inaczej: to, że Marcelina jest autorką SMS-ów, stawało się coraz mniej prawdopodobne. Bergman spojrzał jej w oczy. – Pani nie chciała, żeby wrócił? Słyszałem, że kiedyś bardzo pani o to zabiegała.

Trochę poczerwieniała, ale wytrzymała jego spojrzenie.

– Pewnie rozmawiał pan z Klarą… Wie pan, bardzo kochałam Piotra. Chyba bardziej niż na to zasługiwał. Zrobiłam kilka głupstw. – Zakryła twarz dłońmi i ze śmiechem pokręciła głową. – Kiedyś wynajęłam wielką limuzynę i przyjechałam nią po niego. Nie wiem, co mnie napadło. Piotr zawsze śnił o bogactwie. A ja chciałam zrobić na nim wrażenie… Zachowałam się jak wariatka. – Znów spojrzała na Bergmana. – Po kilku tygodniach mi przeszło. Pewnego ranka obudziłam się i zrozumiałam, że moje życie bez Piotra jest przyjemniejsze, niż było z nim.

Bergman prawie znów napił się herbaty, ale kiedy filiżanka w jego dłoni pokonała połowę drogi do ust, rozmyślił się i odłożył ją. Nie ma sensu dalej tracić czasu. To fałszywy trop. Kropka. Mimo to postanowił zadać Marcelinie Emer jeszcze jedno pytanie.

– Czy zna pani ten numer?

Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął z niej kartkę z numerem telefonu, z którego Klara otrzymała podejrzane wiadomości.

Marcelina bez wahania pokręciła głową.

– Ktoś z tego numeru grozi Klarze Keller – wyjaśnił.

Dziewczyna westchnęła w nagłym olśnieniu.

– A, to dlatego pan przyszedł. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Klara Keller jest mi obojętna – dodała niemal opryskliwie.

– Czy może mi pani, tylko dla porządku, powiedzieć, co robiła pani w zeszły piątek między dwudziestą pierwszą a północą?

– Dlaczego pan pyta?

– Po prostu muszę coś sprawdzić.

– Dobrze. – Wstała, wyszła z pokoju, a po chwili wróciła z kalendarzem. – Prowadzę tu niedaleko salon kosmetyczny. Robię też masaże… Od ósmej do dziewiątej chyba miałam klientkę. Koleżankę. –

Szybko przewracała strony. – Tak. Mogę panu dać jej numer telefonu. Wymasowałam jej plecy, a potem piłyśmy herbatę. Kiedy wyszła, wróciłam do mieszkania i poszłam spać.

Czyli nie ma alibi na czas po dwudziestej pierwszej. Teoretycznie Marcelina Emer mogła pojechać na Babę, spotkać tam kobietę, która wyglądała tak samo jak jej rywalka, i udusić ją w głębi lasku… Z pewnością miałaby wystarczająco dużo siły – robi masaże, a Bergman zauważył, jak okazałe bicepsy zarysowują jej się pod luźnym podkoszulkiem. Ale z kim zamordowana dziewczyna spędziła te kilka godzin między wyjściem od Julii Keller a śmiercią? Najwyraźniej nie z Marceliną Emer, ponieważ ona ma na ten czas alibi. I dlaczego Marcelina miałaby zamordować swoją rywalkę dopiero teraz, pół roku po tym, jak rzucił ją chłopak? Poza tym niezbyt się to zgadza z jej obecnym, chłodnym przyjęciem propozycji od byłego partnera. Ale może jest po prostu sprytna i tylko udaje, że Piotr jej nie interesuje, żeby wprowadzić Bergmana w błąd?

Zamyślony inspektor stukał aluminiową łyżeczką w spodeczek.

– Pytam o to – zaczął powoli – ponieważ w nocy z zeszłego piątku na sobotę została na Babie zamordowana kobieta ude rzająco podobna do Klary Keller. Tuż przedtem Klara dostała SMS-y, w których ktoś groził jej śmiercią. Obecnie sprawdzamy, czy możliwe jest, że morderca chciał zabić Klarę, lecz się pomylił.

Nie ruszyła nawet brwią, ale w jej spojrzeniu pojawiła się twardość.

– Ja tego nie zrobiłam – powiedziała chłodno.

– Mam nadzieję. – Wstał. – Dziękuję za herbatę.

Kiedy Marcelina szła przed Bergmanem do ciemnego przedpokoju, obejrzała się.

– Wie pan, dlaczego Piotr rozstał się z Klarą? Zmyśliła sobie, że ma bogatego ojca, a Piotr przez pół roku to łykał. Dopiero jej matka wyjawiła mu prawdę. Opowiedział mi to przez telefon. Był wściekły. Wyobraża pan sobie coś takiego? – Ściągnęła z drzwi łańcuch, otworzyła je i stanęła z boku, żeby Bergman mógł przejść. – Może Klara okłamała również pana? Czy nie mogła sama napisać do siebie tych SMS-ów z innego numeru?

Oczywiście takie rozwiązanie też przyszło Bergmanowi do głowy. Kiedy jechał na parter zniszczoną windą, postanowił, że nazajutrz znów odwiedzi Julię Keller. Zapyta ją o całą tę sprawę z Klarą i jej wymysłami. Może ta dziewczyna nie jest całkiem zdrowa psychicznie i nie rozpoznaje granicy między rzeczywistością a fikcją?

Julia powinna udzielić mu kilku cennych informacji. Ale to nie był jedyny powód, który ciągnął Bergmana na ulicę Krokusową. Mógł sobie sto razy powtarzać, że ta kobieta jest zamieszana w morderstwo i że powinien zachować do niej odpowiedni dystans, ale na nic się to nie zdawało.

Chciał się z nią zobaczyć. Porozmawiać z nią. Dlaczego nie poznali się w innych okolicznościach?

ROZDZIAŁ 21

Dziwne, że Julia przez cały dzień nie odbiera telefonu. Bergman dzwonił na numer komórkowy i domowy, ale bez skutku. Wyobraził sobie, jak dzwonek rozlega się w pustym domu, a koty na fotelach i w pudełkach po butach podnoszą głowy i mrugają w półmroku zaspanymi oczami. Może przy następnej rozmowie z Julią powinien skierować rozmowę na swojego Diega. Czasem takie pozorne zbliżenie ze świadkiem i zdradzenie mu kilku szczegółów z prywatnego życia pomaga – rozmówca traci w takich sytuacjach czujność i staje się dużo bardziej otwarty.

W redakcji „Czeskiego atelier" inspektorowi powiedziano, że pani Keller miała w zeszłym tygodniu wolne. Dziś na razie się nie pojawiła, ale podobno w poniedziałek to nie jest nic niezwykłego, ponieważ redaktorzy mają nienormowany czas pracy i obowiązkowo muszą pojawiać się tylko na naradach odbywających się w środy o godzinie dziesiątej. „Królestwo za taką pracę" – pomyślał Bergman, który tego dnia był na nogach od wpół do szóstej, a o siódmej już siedział w biurze.

– Czyli nie wie pani, jakie plany ma na dziś Julia Keller? – rutynowo spytał koleżankę Julii. Przedstawiła mu się jako Linda. Sądząc po głosie, miała około trzydziestki. Najwyraźniej to, że rozmawia z wysokim funkcjonariuszem policji, nie wyprowadziło jej z równowagi. Mówiła uprzejmie, ale chłodno – chyba mniej więcej tak, jak rozmawia z kiepskim autorem próbującym wcisnąć jej swoje teksty.

– Nie zwierza się mi – odpowiedziała lakonicznie. – Też chciałabym się nią skontaktować. Wczoraj po południu miałyśmy się spotkać na aukcji Ametystu, ale Julia się tam nie pojawiła, chociaż w południe umawiałyśmy się przez telefon, że odda mi tam książkę.

– Dzwoniła pani do niej?

– Tak, dużo razy. Od wczorajszego popołudnia nie odbiera.

Bergman zaczął stukać palcami w blat biurka. Czy powinien zacząć się martwić? Czy w morderstwie na Babie Julia odgrywa dużo ważniejszą rolę, niż jej dotychczas przypisywał? Czy morderca mógł zacząć się bać, że Julia zacznie mówić? Postanowił ją uciszyć?

– Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, gdzie i kiedy miała się pani spotkać z Julią Keller.

– W hotelu Palace na aukcji Ametystu. Nie umówiłyśmy się na konkretną godzinę. Julia powiedziała, żebym przyszła, kiedy mi pasuje, bo ona i tak będzie tam aż do wieczora. Czekałam na nią trzy godziny, ale nie pojawiła się. Znajomi mi potwierdzili, że nie widzieli jej tam również wcześniej.

Bergman przysunął sobie notes i wszystko zapisał. Miał nadzieję, że to fałszywy alarm i że Julia siedzi w domu z kotem na kolanach i nie odbiera telefonu, bo po prostu nie ma na to ochoty. A może dopadła ją grypa… Bergman patrzył, jak długopis ślizga się po papierze, i nagle pomyślał, że już nigdy nie zamieni z Julią ani słowa. Kończyny zdrętwiały mu ze słabości, w sposób bardzo nieadekwatny do tego, że myślał o kobiecie, której prawie nie znał.

– Co było przedmiotem tej aukcji?

– Antyki i dzieła sztuki. Naprawdę ciekawe. – Na chwilę zamilkła. – Wie pan, domy aukcyjne zazwyczaj zostawiają sobie największe perełki na jesienne licytacje. Wtedy właściciele prześcigają się w pokazaniu jak

największej bomby – dodała, choć Bergman wcale o to nie pytał. Inspektor pomyślał, jakie to dziwne, że tyle osób nie potrafi odpowiedzieć na konkretne pytanie, nie dodając jednocześnie informacji, o które nikt nie prosi. To chyba dobrze, bo w przeciwnym razie policja miałaby dużo więcej pracy.

– Czy myśli pani, że Julii mogło się coś stać?

– Stać? Nie, skąd taki pomysł?

Szybko się rozłączył. Najchętniej natychmiast pojechałby na Krokusową, ale nie chciał ulegać panice i działać pod wpływem emocji. To nie było w jego stylu. Najpierw zrobił sobie kawę rozpuszczalną i podszedł z filiżanką do okna. To właśnie tu przychodziły mu do głowy najlepsze pomysły, ale dziś był tak zmęczony, że potrafił tylko otępiale obserwować rój aut i pieszych. „Powinienem wziąć urlop" – pomyślał. „Muszę odpocząć". Lecz teraz to nie wchodziło w grę. Najpierw musi znaleźć mordercę z lasku miejskiego.

Otworzył okno i sypnął garść płatków owsianych na parapet, po którym od dłuższej chwili paradowały cztery niecierpliwe gołębie. Karmienie tych pierzastych stworów zapoczątkował pół roku wcześniej Danesz i oswoił je na tyle, że wystarczyło, by ktoś tylko podszedł do okna, a z okolicznych dachów już zaczęły zlatywać się ptaki. Rolnik ich nienawidziła – przecież przenoszą mnóstwo chorób, brudzą odchodami parapet i w ogóle są obrzydliwe. Ostatnimi czasy Bergman kilka razy przyłapał się na myśli, że lubi słuchać dobrodusznego gruchania gołębi. „Starzeję się" – pomyślał, odkładając woreczek z płatkami na półkę. „Jeszcze kilka lat temu czysty parapet był dla mnie dużo ważniejszy niż iluzja kontaktu z przyrodą".

W kieszeni zawibrował mu telefon.

– Szefie, chyba mam numer rejestracyjny tego czerwonego volkswagena, który w czasie morderstwa stał przy Krokusowej – oznajmiła

Rolnik. Odwiedziła dziś po raz kolejny rodziców Nory Mach. Znaleźli notesik z nazwiskami i numerami telefonicznymi przyjaciół zamordowanej córki. – Po drodze podje chałam na miejsce zbrodni. Zajęło mi to tylko chwilę – dodała od razu na obronę, jakby Bergman mógł jej zarzucić, że marnuje czas. – Zostawiłam wóz przy Krokusowej i poszłam do lasu. Kiedy wracałam, w ulicę wjechał czerwony volkswagen. Za kierownicą siedział młody chłopak, najwyżej dwudziestoletni. Zatrzymał się, nie wyłączył silnika i zza kierownicy gapił się na jeden z domów, numer dwadzieścia trzy. Stał tam tak z minutę, a potem wcisnął gaz, przy lesie zawrócił i przemknął obok mnie. – Na chwilę zamilkła. – Na tylnej szybie miał naklejkę diablicy z trzema ogonami. Zapisałam numer rejestracyjny.

– Proszę mi go podyktować.

Zrobiła to.

– Myśli pan, że to się do czegoś przyda?

Patrzył, jak gołębie rytmicznie stukają dziobami w metalowy parapet.

– Nie wiem. Ta sprawa jest pełna ślepych ulic, ale i tak musimy je wszystkie sprawdzić. Czy jest pani jeszcze na Krokusowej?

– Nie, już wracam do biura.

– Chyba się miniemy. Pojadę do Julii Keller. Niech Danesz w tym czasie sprawdzi tego volkswagena, a pani niech obdzwoni wszystkich przyjaciół zamordowanej, których znajdzie pani w tym notesie. Chociaż… – Nie dokończył zdania. Najchętniej dodałby: „Chociaż według mnie na nic się to nie zda", ale nie chciał odbierać Rolnik zapału. Niech jego podwładni pociągną za wszystkie sznurki. Tymczasem on będzie się trzymać tropu prowadzącego na ulicę Krokusową.

Od kiedy czas zmienił się z letniego na zimowy, ściemniało się nieznośnie wcześnie. Gdy Bergman zaparkował o wpół do szóstej przed domem Julii

Keller, niebo nad dachami było już ciemnoniebieskie. „Na wsi jest to najpiękniejsza część dnia" – pomyślał inspektor. Godzina między psem a wilkiem. W gospodarstwie w Kozich Górach zazwyczaj delektował się każdym odcieniem zmroku, ale w mieście w ogóle go to nie cieszyło.

Wcisnął dzwonek w zniszczonym, ceglastym słupku furtki, a z domu dobiegł stłumiony brzęk. Drzwi pozostały zamknięte, a okna ciemne. Bergman wodził wzrokiem po fasadzie willi, a gdy spostrzegł ruch firanki na pierwszym piętrze, trochę przyśpieszyło mu tętno, ale to tylko kot wskoczył na parapet, usiadł na nim i przyglądał się ulicy okrągłymi, żółtymi oczami.

Bergman zadzwonił jeszcze raz, choć przeczuwał, że robi to na próżno. Może Julia śpi? Może wyjechała? Albo stoi bez ruchu w jednym z tych ciemnych pomieszczeń, obserwuje go przez szparę między zasłonami i czeka, aż policjantowi znudzi się gapienie w ciemność…

Ruszył z powrotem do auta, ale w połowie drogi jeszcze raz spojrzał za siebie. Na parapecie na pierwszym piętrze siedziały już dwa koty i obserwowały go poważnie. W tej chwili Bergman zrozumiał, że coś nie gra. Czy Julia nie mówiła przypadkiem, że nigdy nie wpuszcza zwierząt na pierwsze piętro? „Mam tam sypialnię i potrzebuję choć odrobiny prywatności" – jakoś tak to ujęła. „Przeszkadzałoby mi, gdyby spały ze mną w łóżku".

Dwoma długimi krokami doskoczył do klamki i nawet go nie zaskoczyło, że furtka nie jest zamknięta na klucz. Kobiety pokroju Julii ich nie zamykają, uważają to za stratę czasu i przesadny pedantyzm. Nacisnął też klamkę drzwi wejściowych, ale one nie ustąpiły. Ruszył do ogrodu po żwirowej ścieżce, która w ciemnoniebieskim mroku wyglądała na jeszcze bardziej zapuszczoną niż w świetle dnia. Na drewnianym stoliku, przy którym niedawno inspektor pił z Julią kawę, stał porcelanowy wazonik

z bukietem wątłych, jesiennych stokrotek. Krzesła z metalowymi oparciami stały dokładnie w tej samej pozycji, w których Bergman i Julia zostawili je kilka dni temu. Napadały na nie liście, więc inspektor strzepnął je z bliższego krzesła i usiadł.

Z drugiej strony domu również wszystkie okna były ciemne i nic się za nimi nie ruszało. Policjant wytężał wzrok w gęstnącym mroku i zastanawiał się, dlaczego nie może pozbyć się wrażenia, że coś jest nie w porządku. No dobrze, koty przedostały się do pokoju na pierwszym piętrze. Wyjaśnienie może być proste: Julia wyjechała, zapomniawszy zamknąć drzwi. Ale dlaczego nie przyszła wczoraj na spotkanie z koleżanką? Bergman przejechał palcami po blacie stołu, wilgotnym od rosy, a za paznokciem utkwił mu kawałek odłupanego, białego lakieru. Może jednak mógłby podejść od strony tarasu i zajrzeć do środka?

Wstał, podciągnął nogawki i niepewnie wszedł na zarośnięty trawnik. Jego wzrok spoczął na pięciu lub sześciu miskach, ułożonych w rządku pod krzakiem dzikiej róży. Były pełne wody deszczowej i nawianych liści brzozy, a jedna leżała nawet do góry dnem. Ostatnio padało wczoraj, więc jest jasne, dziś kotów nikt nie karmił. To nie pasowało do Julii. Bergman był pewien, że jeśli by wyjechała, na pewno najpierw zapewniłaby swoim zwierzętom doskonałą opiekę. Pokiwał głową i znów ruszył w stronę domu, tym razem dużo szybszym i bardziej zdecydowanym krokiem.

Nawet w mroku widział, że nie jest pierwszym nieproszonym gościem, który zakradał się tędy do domu Julii.

Okno tarasowe było wyłamane, a z jego ramy w kilku miejscach sterczały trzaski.

Kiedy leżała tu teraz z rozbitą głową, nagle nie rozumiał, dlaczego za życia wydawała mu się tak pociągająca. Śmierć zmieniła jej twarz, stłumiła całe

piękno i podkreśliła nieproporcjonalne, niemal brzydkie rysy. Mimo to na widok martwej Julii ogarnęło Bergmana poczucie wielkiej straty – tym dziwniejsze, że patrzył na całkiem obcą kobietę, a jedynym, co stracił, była szansa poznania jej bliżej.

Uklęknął i dotknął jej – była sztywna i zimna. Obejrzał z bliska straszną ranę na skroni i kałużę zaschniętej krwi na parkiecie. „Uderzenie tępym przedmiotem" – pomyślał. Ilomaż podobnymi morderstwami już się zajmował…

Wstał i rozejrzał się po pokoju. Splądrowane szuflady i szafy sugerowały morderstwo na tle rabunkowym, ale Bergman wiedział, że motyw może być dużo bardziej skomplikowany. Możliwe, że mordercy zależało przede wszystkim na śmierci Julii, a pootwierane szuflady miały służyć tylko odwróceniu uwagi policji. A może chciał ukraść coś konkretnego – czy to znalazł? Bergman wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i poprosił Danesza, żeby przysłał na ulicę Krokusową specjalistów. Potem szybko włączył światło. Dopóki jest sam, rozejrzy się porządnie po domu.

Gdyby nie smród śmierci i nieruchome ciało na podłodze, pokój zalany miękkim, żółtym światłem wyglądałby przytulnie. Noc i migające cienie gałęzi zostały za oknami. W szybach krzywo odbijały się meble i reszta wyposażenia. Światło odcięło Bergmana od zewnętrznego świata i stworzyło iluzję zamkniętego, bezpiecznego gniazda.

Tyle tylko, że to gniazdo nie należało do niego i można by o nim powiedzieć wszystko oprócz tego, że jest bezpieczne.

Inspektor potrząsnął głową, odganiając myśli, na które z pewnością nie było teraz czasu. Kątem oka ujrzał blask, pochylił się i znalazł na podłodze szklany odłamek, prawdopodobnie z rozbitego kieliszka. Obok leżał kolejny, a do mebli kuchennych doturlała się większa część kieliszka na

wino wraz z kawałkiem nóżki. Na dnie została zaschnięta resztka czerwonego płynu. Bergman niczego nie dotykał – zebranie dowodów, włożenie ich do plastikowych woreczków i odesłanie do laboratorium zostawi technikom. Ruszył w głąb pokoju i powoli wodził wzrokiem po ścianach i meblach. Wszystko wyglądało tak jak podczas jego pierwszej wizyty. Czy może nie? Przyjrzał się ścianie na przeciw kompletu wypoczynkowego. Czy poprzednio nie wisiał na niej obraz Josefa Jíry? Tak, na pewno, inspektor dokładnie pamiętał motywy i barwy: ciemny karmin, czerń i biel. Teraz na miejscu tego dużego płótna widniał nieco mniejszy olejny wizerunek Madonny z Dzieciątkiem, zbyt podniosły i stary do tego wnętrza. Bergman podszedł do dzieła i zdjął je z haka. Na poszarzałym tynku pozostał po nim jasny kwadrat tej samej wielkości. Zatem na tej ścianie wisiała właśnie Madonna, a nie Jíra. Dlaczego Julia ściągnęła ją przed pierwszą wizytą Bergmana?

Zamyślony odwiesił obraz na miejsce. Zrozumiał, że nie ma do czynienia z tuzinkowym malowidłem z XIX wieku, pochodzącym z jakieś zapadłej kapliczki. Ten obraz olejny namalowany na drewnianych deskach ma z pewnością olbrzymią wartość. Jak Julia go zdobyła? To kolejne pytanie, na które nie znał odpowiedzi… W tej sprawie było ich aż zanadto. I Bóg wie, czy wszystkie nie są ze sobą jakoś powiązane.

Przeszukał cały parter na wypadek, gdyby w domu znajdowało się narzędzie zbrodni, ale nie znalazł niczego. Dla formalności wszedł po schodach na pierwsze piętro, gdzie przywitał go tłumiony szmer, ale spowodowały go tylko koty uciekające przed intruzem pod meble i za ciężkie zasłony.

Bergman powoli wracał na parter, a niektóre schody jęczały pod jego stopami. „Julia ma piękny dom" – pomyślał. „Miała piękny dom". Teraz odziedziczą go jej dzieci: ta niesympatyczna Klara i jej brat Michał. A koty?

Kto się nimi zaopiekuje? Bergman wzruszył ramionami. To nie jego zmartwienie, zwierzętami musi zająć się ktoś inny.

Wilgotny północno-wschodni wiatr uderzał w tylną ścianę domu, przenikał przez szpary i stukał wyłamanym oknem. Bergman przykucnął w przeciągu i przyjrzał się z bliska odciskom zabłoconego obuwia na parterze. Były to ślady dużych, sportowych butów, bez wątpienia męskich. Inspektora zastanawiało, dlaczego nie prowadzą do okna, przez które intruz dostał się do środka. Zaczynały się w połowie pomieszczenia, jakby ten, kto je zostawił, spadł do domu Julii z nieba.

Zbadanie otwartych szuflad w pokoju Bergman zostawił sobie na koniec. Mogły zawierać wskazówki dotyczące motywu lub nawet sam motyw, ale prawdę mówiąc, policjant niezbyt w to wierzył. Jeśli skrywały coś, przez co Julia musiała umrzeć, morderca z pewnością to zabrał.

Pierwsza szuflada najwyraźniej służyła jako apteczka. Wypełniały ją pudełka, buteleczki i tuby pełne, na wpół opróżnione lub puste, zazwyczaj przeterminowane. Intruz niektóre wyrzucił na podłogę. Pomimo iż Bergman starał się stąpać bardzo ostrożnie, pod podeszwami co chwilę pękały mu tabletki węgla leczniczego. W tekturowym pudełku w drugiej szufladzie znajdowały się tylko zdjęcia – na górze kolorowe, niedawne, pod nimi starsze, czarno-białe, a na dole pożółkłe z czasu między wojnami i z II wojny światowej. Niektóre były drobne jak znaczki pocztowe z białymi, ząbkowatymi brzegami. Na wielu z nich zostali z pewnością uwiecznieni rodzice Julii i ona sama jako niemowlę, dziecko, dziewczyna. Rozpoznał ją dopiero w młodej kobiecie z oczami pomalowanymi na czarno, natapirowanymi włosami i okularami w stylu Jacqueline Kennedy. „Dziwne, że całe jej życie, schowane w tekturowym pudełku, zmierzało do takiej śmierci" – obejrzał się na nieruchome ciało. Do tak obrzydliwego końca.

Z zamka trzeciej szuflady zwisał klucz. Wewnątrz znajdował się niski stosik przeźroczystych plastikowych teczek, możliwe, że wcześniej ładnie ułożony, ale teraz rozrzucony, jakby ktoś gorączkowo w nim grzebał. Intruz wysypał ich zawartość, więc z szuflady wystawała sterta pogniecionych kartek. Jedna z nich była złożona we czworo, a na lewą stronę prześwitywała czarna ramka. Klepsydra.

Bergman ją rozłożył – dotyczyła Francuza, który zmarł dość młodo w miejscu o poetyckiej nazwie Belle-Île. Zapewne jakiś przyjaciel Julii z młodości. Może korespondowała z nim na uniwersytecie? Nic ciekawego. Z rosnącą niechęcią przeglądał teczki z urywkami zapłaconych przekazów za gaz i prąd, książeczką szczepień kotów i wyciągami z rachunku bankowego (Julia dostawała na konto tylko regularną pensję z „Czeskiego atelier"). Z otępienia wyrwała go dopiero nieprzeźroczysta teczka oznaczona białą, samoprzylepną naklejką z napisem „Ubezpieczenie na życie". Uniósł brwi i otworzył ją. Rozwiedzione kobiety ze średnimi zarobkami i dorosłymi dziećmi zazwyczaj nie wykupują takich polis, więc dlaczego Julia postąpiła inaczej? Jeszcze bardziej zaskoczyła go wysokość ubezpieczenia: milion koron. Skąd ta kobieta brała na to pieniądze? Jeszcze raz sprawdził wyciągi z konta, ale żadne ubezpieczenie nie było z niego płacone. Zatem Julia płaciła w gotówce. Czy miała jakieś inne dochody? Oszczędności? Jedno jest pewne: na śmierci Julii bardzo skorzystają jej dzieci. Każde z nich dostanie pół miliona, a do tego ten dom.

„Klara pilnie potrzebuje pieniędzy, przecież ma długi" – przemknęło Bergmanowi przez głowę, ale szybko odgonił tę myśl. Nie może wyciągać pochopnych wniosków i skupiać się na tym, co wydaje się najoczywistsze. Prawda bywa zazwyczaj dużo bardziej skomplikowana, niespodziewana, dobrze ukryta…

Na dole, na dnie szuflady znalazł zwykły szkolny zeszyt. Jego strony zostały zapisane pośpiesznym, szpiczastym pismem, pod którego niekobiecym naciskiem aż zmarszczył się papier. Dziennik Julii? Bergman podszedł tyłem do fotela, usiadł na miękkich poduszkach i otworzył pierwszą stronę. Wyspa Belle-Île, Bretania, Francja – przeczytał, a żołądek skurczył się mu w niejasnym przeczuciu. Było niemal pewne, że klepsydra tego Francuza łączy się jakoś z zapiskami. Zaczynało się robić ciekawie. Bergman przysunął się do lampy.

Była to historia kobiety, która w latach siedemdziesiątych pojechała do Francji i zakochała się tam w mężu koleżanki. Została spisana w trzeciej osobie. *Julia* powiedziała, *Julia* zrobiła – nie ja powiedziałam, ja zrobiłam. Może to w ogóle nie jest dziennik, tylko opowiadanie, które nie ma z rzeczywistością nic wspólnego.

Lecz jeśli wszystko zostałoby zmyślone, na górze stosiku nie leżałaby klepsydra.

– Piwnica jest zamknięta – zawołała kapitan Rolnik z kamiennych schodów prowadzących z przedpokoju w dół, w wilgotną ciemność. Włącznik na niedbale otynkowanej ścianie nie działał, więc musiała świecić sobie latarką. – Klucza nie znalazłam. Czy chce pan zajrzeć do środka? Jeśli tak, chyba będziemy musieli wyważyć drzwi. – Obróciła się i skierowała stożek światła wprost w oczy Bergmana. – Przepraszam.

– To je wyważcie – powiedział lakonicznie i pokazał jej plecy. „Ma dziś wyjątkowo kiepski humor" – pomyślała Sylwia Rolnik. Mogłaby przysiąc, że kiedy pół godziny temu nad ciałem pochylał się patolog, Bergmanowi zrobiło się niedobrze. Był blady jak ściana, o ile takiego porównania można użyć w domu, w którym nie malowano od przynajmniej dziesięciu lat, a ściany miały odcień gołębich piór.

– Tak jest – odpowiedziała Rolnik bardziej do siebie niż do Bergmana i poszła szukać kogoś, kto potrafiłby poradzić sobie z drzwiami zamiast niej.

Ciało zostało wyniesione na noszach do auta, a na podłodze pozostały po nim tylko namalowane kredą kontury. Fotograf układał swój sprzęt w dużej torbie. Z bocznej kieszeni wyciągnął bagietkę, rozerwał celofanowe opakowanie i ze smakiem wgryzł się w pieczywo. Sylwii to zachowanie wydało się ohydne. Pomimo iż pracowała w wydziale zabójstw od kilku lat i nic nie powinno robić na niej wrażenia, po miejscu zbrodni zawsze poruszała się cicho i ostrożnie. Odrobina szacunku była najmniejszym poświęceniem, jakie mogła ponieść wobec ofiar.

Technicy właśnie ściągali odciski palców z wyłamanego okna tarasowego, a Danesz stał przy nich z rękami na biodrach jak dozorujący nauczyciel.

– Szef kazał mi wyważyć drzwi do piwnicy – oświadczyła mu Rolnik.

– Boże, a po co? Czego się tam spodziewa? Kolejnego trupa?

– Albo zabarykadowanego mordercy – dorzuciła.

Technicy zaśmiali się chórem.

– Szklarni z marihuaną – zaproponował jeden z nich.

– Uchodźcy z Albanii – przyszło do głowy drugiemu.

– Zrobisz to? – Sylwia wbiła w kolegę niezapominajkowe oczy i niewinnie zamrugała długimi rzęsami. – Mam na myśli te drzwi. Naprawdę nie jestem jedną z tych kobiet, które czują się dyskryminowane, kiedy facet naprawi im cieknący kran. Doceniam, kiedy mężczyzna pomaga mi włożyć płaszcz i wykonuje za mnie brudną robotę.

Adam skinął głową.

– Nie ma sprawy. Później.

Zrobiło się jej przykro, że nawet na nią nie spojrzał. Naprawdę nie miała już pomysłów, jak przyciągnąć jego uwagę. Jeśli posiadała dobre informacje, to Adam Danesz nie chodzi z żadną dziewczyną. I to od dawna. Zatem w czym problem?

Wolała wrócić do szefa.

Bergman grzebał w kanciastej torebce z czarnej, błyszczącej skóry, którą znaleziono pod ciałem Julii. Wyciągnął na blat stołu elegancką szminkę i błyszczący puder, obie rzeczy już na pierwszy rzut oka drogie i porządne. Potem wyłowił opakowanie chusteczek higienicznych, telefon komórkowy i mały skórzany portfel. Ostrożnie go otworzył, a między palcami zaszeleściły mu banknoty.

– Dwa tysiące pięćset pięćdziesiąt. – Spojrzał na Rolnik, ale nie patrzył na nią, tylko raczej przez nią. – Zatem mamy drugą ofiarę, której morderca nie zabrał pieniędzy.

– Splądrował szuflady – przypomniała mu ostrożnie Sylwia. To było morderstwo na tle rabunkowym. Ta kobieta prawdopodobnie go przyłapała, więc czymś ją uderzył. Częsty scenariusz.

Skupił na niej wzrok.

– Czy pani przy tym była, że jest pani taka pewna?

Naprawdę miał dziś bardzo kiepski humor.

Po chwili znów zanurzył dłoń w satynowych kieszeniach torebki, a rysy jego twarzy rozluźniły się, jakby na chwilę ustąpił skurcz. Wyciągnął jeden duży klucz na metalowym krążku.

– Proszę spróbować ten. – Podał klucz Sylwii. Wargi nawet mu nie drgnęły, ale przelotnie uśmiechnął się do niej oczami.

Klucz gładko obrócił się w zamku, a Sylwia się odsunęła, żeby Bergman mógł wejść jako pierwszy. Piwnica była stara i śmierdziała kurzem, jabłkami, stęchlizną i czymś jeszcze, co Bergman dobrze znał, ale teraz nie potrafił tego nazwać. Obok drzwi namacał włącznik, a pomieszczenie wypełniło żółte światło nieosłoniętej kloszem żarówki. Bergman westchnął zrezygnowany. Nie było tu nic ciekawego, tylko stare meble przykryte folią i kawałkami wydeptanego dywanu. Na drewnianych półkach stały słoiki z morelami, ułożone w doskonałych formacjach niczym żołnierze na apelu, z etykietami starannie umieszczonymi z przodu. Bergman starł palcem z jednego słoika warstwę kurzu i pajęczyn, żeby przeczytać datę. Ktoś zagotował te przetwory sześć lat temu i dziś zapewne wszystkie były już zepsute.

W najciemniejszym kącie piwnicy zobaczył trzy klatki, ułożone na sobie od największej do najmniejszej. Ta na górze wyglądała na nową, a jej cienkie, metalowe pręty srebrzyły się w świetle żarówki. Bergman przejechał po nich palcem wskazującym. Nie były ani trochę zakurzone. Zatem ta rzecz leży w piwnicy od niedawna…

– Do czego, na Boga, jej takie klatki?

– Na szczury?

Obejrzał się zaskoczony. Nie uświadomił sobie, że myśli na głos. Rolnik unosiła właśnie z obrzydzeniem róg starego dywanu, pod którym widniały jakieś deski – pewnie stare półki lub drzwi szafy. Dlaczego ludzie składują tyle przedmiotów, których prawdopodobnie już nigdy nie wykorzystają? Zniechęcony Bergman cmoknął.

– Ma pani rację. Pewnie na szczury.

Szybko podszedł do drzwi, zgasił światło i jeszcze raz spojrzał za siebie. Czego się spodziewał? Że zamknięta piwnica udzieli mu odpowiedzi

na wszystkie pytania? Powinien wrócić na ziemię i przestać wierzyć w nieomylność swojej intuicji. Z grymasem zatrzasnął za sobą drzwi.

– Zanim skończycie, sprawdźcie, proszę, czy drzwiczki dla kotów są otwarte – krzyknął do Rolnik. – Nie chciałbym, żeby pozdychały z głodu.

Kiedy około północy nareszcie dotarł do domu, włączył lampę do czytania i otworzył zapiski Julii. Nawet się nie zdziwił, że opowieść natychmiast go pochłonęła – przecież stworzyła ją kobieta, która żyła z pisania. Fragment napisany jasnoniebieskim długopisem kończył się słowami *A potem stało się coś strasznego.* Kolejną stronę pokrywał ciemniejszy atrament, a przede wszystkim inne pismo – mniejsze, porządniejsze, już nie tak ostre. Najwyraźniej Julia zrobiła w pisaniu przerwę, nabrała sił i wróciła do swej opowieści w całkiem innym, spokojniejszym nastroju. Jakby uleciała z niej ta przepełniona złością energia, z którą na początku niemal ryła w papierze, przerywając go w kilku miejscach.

Przez ramię Jacquesa ujrzała, jak dziewczynka wstaje od krzaka janowca i z garściami pełnymi żółtych kwiatów podbiega do urwiska. „Powinnam ją zawołać, zatrzymać" – przemknęło kobiecie przez głowę, ale nie zrobiła nic, nawet się nie ruszyła, tylko czekała, aż przylgną do niej wargi Jacquesa. Ta chwila była zbyt wyjątkowa, zbyt wyczekiwana, by Julia zepsuła ją z powodu głupiej dziecięcej zabawy. Dominique na pewno będzie ostrożna, nie podejdzie do przepaści, zatrzyma się, nie trzeba się o nią bać…

Julia zamknęła oczy.

Potem był już tylko krzyk, wołanie, płacz, poszukiwania, złość, wyrzuty sumienia, obwinianie się i radiowóz na sygnale. O ziemię zaczęły rozbijać się ciężkie krople deszczu, a promy naprawdę nie wypłynęły tego dnia w morze.

Ciało Dominique nurkowie wyłowili z wody trzy dni później.

Bergman do późna w nocy siedział przed kominkiem z kotem Diego na kolanach i otwierał jedno piwo za drugim. Pierwszą butelkę wypił powoli, delektując się doskonałym smakiem na języku. Drugą, trzecią i czwartą wlał w siebie tylko z powodu alkoholu. Potem wyszedł w ciemność bez świateł miasta i z mnóstwem gwiazd. Głęboko wciągnął ostre powietrze z nutą zapachów z chlewu. Po raz pierwszy od wielu lat żałował, że żyje sam.

Chciałby mówić, mówić, mówić.

Aż do rana.

ROZDZIAŁ 22

Kiedy siedziała teraz w fotelu z aksamitną narzutą naprzeciw Ludwika, wydawało się jej niemożliwe, że jeszcze przedwczoraj zastanawiała się nad rozwodem. Czy to naprawdę ona popijała w piątek śliwowicę na imprezie ogrodowej u całkowicie obcych ludzi? Nie rozumiała, skąd wzięła w sobie odwagę, by wyłączyć dźwięk w telefonie i spokojnie bawić się przez cały wieczór ze świadomością, że w domu Ludwik szaleje ze strachu i zazdrości. Kiedy na nocnej ulicy pożegnała się z Julią, udała się prosto do rodziców. W nocnym autobusie z podłogą zalaną winem wcisnęła się w kąt, obserwowała drzemiących bezdomnych i upajała się poczuciem wolności, które dla kobiety w jej wieku powinno być czymś całkowicie oczywistym. Co jakiś czas sprawdzała ekran telefonu, ale Ludwik już przestał dzwonić. Ostatnie nieodebrane połączenie miała sprzed ponad godziny. W autobusie było chłodno, a przeciąg z uchylonych okien ganiał po podłodze zmięte opakowanie po herbatnikach. Zuzanna oparła się czołem o szybę i patrzyła na krzaki, niszczejące płoty magazynów i brudne ściany peryferyjnych domków, niemal przyklejonych do jezdni. Nocna linia krążyła po przedmieściach, których Zuzanna nie widziała nigdy wcześniej, dzięki czemu wyprawa wydawała się jej jeszcze bardziej ekscytująca. Teraz tylko od niej zależy, czy dojedzie do rodziców, czy może wysiądzie już na najbliższym przystanku, wejdzie do pierwszego napotkanego baru i zostanie tam aż do zamknięcia. Wspaniale! Czuła się podobnie jak w wieku szesnastu lat, kiedy rodzice po raz pierwszy zostawili ją w domu

samą, a ona poszła na imprezę ze świadomością, że tej nocy w ogóle nie musi wracać, jeśli nie będzie tego chcieć. Ostatecznie nie nocowała u przyjaciół ani nie zrobiła niczego, co normalnie było zabronione. Wystarczyła jej tylko świadomość, że może to zrobić.

Tym razem również nie wykorzystała swej wolności. Nie weszła do żadnego baru. Nie wyruszyła na wyprawę do nieznanych zakątków miasta. Po prostu wysiadła na odpowiednim przystanku i ruszyła w stronę bloku, w którym mieszkają jej rodzice. Czuła się spokojna i po raz pierwszy od dawna niemal szczęśliwa. Ale potem wcisnęła dzwonek, ojciec i matka przyszli jej otworzyć – oboje już w piżamie, zaskoczeni – i nagle cały ten bunt wydał się jej dziecinny i bezsensowny. Matka pościeliła jej w pokoju dziennym wersalkę śmierdzącą detergentami, a kiedy Zuzanna obudziła się w środku nocy, czuła się jak w drogerii. Leżała z otwartymi oczami i myślała o tym, czy naprawdę chce odejść od Ludwika. Co zrobi ze swoim życiem, gdy zostanie sama? „Wolność jest fajna" – pomyślała nad ranem – „ale nie zajdę od niej w ciążę". Po wytrzeźwieniu uznała, że łatwiej będzie namówić Ludwika na ponowne ojcostwo niż znaleźć w wieku czterdziestu lat innego mężczyznę do założenia rodziny. A dziecko zajmowało teraz w jej hierarchii wartości pierwsze miejsce. Rozmyślała o tym przez całą sobotę i niedzielę, ale wciąż dochodziła do tych samych wniosków. Nieznaczną rolę w jej decyzji odegrał również fakt, że od piątkowego wieczoru Ludwik nie odezwał się ani razu i nie próbował skontaktować się z teściami. To było do niego niepodobne. Dlaczego jej nie szuka? Czy nie interesuje go, gdzie zniknęła? Czy żyje? Zuzanna uświadomiła sobie, że trochę się o niego martwi.

W końcu wróciła.

Oczywiście najpierw zadzwoniła. Chciała, żeby ta pierwsza, najgwałtowniejsza kłótnia odbyła się przez telefon. Tyle że Ludwik nie

krzyczał. Jeszcze dużo bardziej Zuzannę zaskoczyło to, że nie spytał, gdzie była.

– Dobrze się bawiłaś? – zagadnął tylko, jakby wiedział, co robiła w piątkowy wieczór. Czyżby ją śledził? Natychmiast odrzuciła tę myśl, oczywiście, że nie, przecież na pewno by go zauważyła. Ściskała w dłoni słuchawkę prehistorycznego aparatu z okrągłym cyferblatem i po raz ostatni zastanawiała się, czy ma powiedzieć „odchodzę", czy może raczej „za godzinę będę w domu".

– Przyjadę – oświadczyła w końcu. – Ojciec mnie podrzuci.

Chociaż stało się to wczoraj wieczorem, Zuzanna miała wrażenie, że od tej chwili dzieli ją wieczność. Do mieszkania wchodziła ze świadomością, że powrót może boleć, ale przecież ona już przywykła do ciosów. Lecz Ludwik jej nie uderzył. Właściwie w ogóle jej nie dotknął, ani w dobrym, ani w złym znaczeniu. Trzymał się z dala i obserwował ją z ukosa, jakby była niebezpiecznym zwierzęciem, które wskutek jakiegoś niedopatrzenia wtargnęło mu do mieszkania.

– Zdradziłaś mnie?

– Nie – odparła spokojnie. – Nigdy cię nie zdradziłam.

Przez resztę dnia Ludwik gapił się w telewizor. A Zuzanna, choć wierzyła, że o problemach lepiej rozmawiać niż znacząco milczeć, nie odważyła się poruszyć żadnego drażliwego tematu.

Teraz siedziała w fotelu naprzeciwko Ludwika ze złączonymi kolanami i łokciami przyciśniętymi do tułowia. Starała się wyglądać na jak najmniejszą, skruszoną, łagodną. Z porcelanowych filiżanek pili herbatę, którą Zuzanna zaparzyła w dużym dzbanku, i rozmawiali o pogodzie oraz programie telewizyjnym, jakby w miniony weekend nie zaszło między nimi nic, co należałoby jakoś wyjaśnić.

– Jutro mam czarny dzień – oświadczył nagle Ludwik i dolał sobie herbaty. – Powinnaś na siebie uważać. – Uniósł ku niej wzrok. – No nie patrz tak na mnie. Po prostu się o ciebie boję.

Po raz pierwszy w życiu wydał się jej śmieszny. Odwzajemniła jego spojrzenie, a ku jej zaskoczeniu to on odwrócił wzrok jako pierwszy.

– Ty naprawdę wierzysz w te przepowiednie? – spytała i samą ją zaskoczyło, że naprawdę zdobyła się na ten choćby słowny bunt. Wprawdzie próba rozstania skończyła się fiaskiem, ale chyba i tak na coś się przydała. Dzięki niej Zuzanna nabrała odwagi.

– Tak, wierzę. – Ludwik się zawahał. – Choć muszę przyznać, że ostatnio rzadko się sprawdzają. Na przykład w zeszły piątek…

Zuzanna gwałtownie nabrała powietrza. Teraz! Musi wykorzystać okazję i wyjaśnić mu, dlaczego w piątek odeszła i co skłoniło ją do powrotu.

– W ten piątek… Powiem ci, gdzie byłam.

– Nie będziemy o tym rozmawiać.

– Ale ja chcę. Muszę ci to powiedzieć! Chciałam cię zostawić, tak było! Nigdy nie przyszło ci do głowy, że jestem z tobą nieszczęśliwa, że się z tobą męczę? Nie interesuje cię, dlaczego wróciłam?

– Milcz!

Odkąd wróciła, zaskakiwał ją spokojem i rozwagą, ale teraz stało się jasne, że tylko udawał. „Jeśli z nim zostanę, zawsze będę musiała się podporządkowywać" – uświadomiła sobie Zuzanna. Ale to nie szkodzi. Nawet gdyby kontrolował ją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nigdy całkowicie jej nie opanuje, bo nie ma wglądu w jej myśli. Żona może siedzieć obok niego i myśleć, o czym się jej żywnie spodoba, na przykład o procesie rozwodowym… To jest malutki odłamek wolności, ale za to nietykalny. Uśmiechnęła się.

– Skoro nie chcesz wiedzieć, gdzie byłam i dlaczego odeszłam, to się nie dowiesz – odparła cicho. – Ale powiem ci chociaż…

– Milcz!

– …dlaczego wróciłam. Chcę mieć z tobą…

– Mówię ci, milcz!

– …dzieci. Przynajmniej jedno dziecko. – Uparcie patrzyła mu w oczy. – Dlatego wróciłam, Ludwiku. Powiedzmy, że to jest taki mój warunek.

Starał się zachować spokój, ale zaskoczyła go, nie potrafił tego ukryć. Bezgłośnie poruszał wargami i skakał wzrokiem z miejsca na miejsce.

– Nic mi na to nie odpowiesz? – spytała. Po raz pierwszy spojrzała na niego z dystansem i zobaczyła niepewnego, żałosnego, starzejącego się mężczyznę, który bardziej potrzebuje jej niż ona jego. W trakcie dotychczasowych czterech lat małżeństwa nigdy nie czuła nad nim takiej przewagi. Może Julia miała rację: mężczyzna dojdzie w związku tak daleko, jak pozwoli mu na to kobieta. Szkoda, że nie zrozumiała tego wcześniej.

– To przez tę szmatę Julię – oświadczył Ludwik. Czyżby czytał jej w myślach? – Steruje tobą, żebyś mnie zniszczyła. Dopóki nie zaczęłaś się z nią spotykać, zachowywałaś się jak porządna żona, okazywałaś mi szacunek i wdzięczność, wiedziałaś, gdzie jest twoje miejsce. Co jeszcze ci nagadała?

Zuzanna przez chwilę zastanawiała się nad tymi słowami. Co może ujawnić, a co powinna zachować dla siebie?

– To jest moja decyzja i traktuję ją poważnie. Jutro przestaję brać tabletki, Ludwiku – powiedziała potem.

Telefon zadzwonił pół godziny później. Zuzanna i Ludwik siedzieli po przeciwległych stronach pokoju, pochylali się nad książkami i udawali, że

czytają, nie obracając nawet stron.

– Keller – powiedział do słuchawki Ludwik swym najbardziej metalicznym tonem. – Tak, były mąż Julii Keller. Zgadza się. Co? *Nie żyje? Zamordowana?* – Nastąpiła długa przerwa. – Kiedy to się stało? – Kolejna pauza. – Oczywiście, może pan z nią porozmawiać, tylko nie wiem, co mogłaby… Dobrze, proszę przyjść, kiedy panu pasuje. Pracuję na trzy czwarte etatu i codziennie najpóźniej o trzeciej jestem w domu. Tylko proszę najpierw zadzwonić.

Zuzanna wbiła w męża źrenice rozszerzone z przerażenia.

Ludwik powoli odłożył słuchawkę na widełki i zamyślony przez kilka sekund jeździł po niej palcami.

– Ktoś zamordował Julię – powiedział cicho. – Właściwie nawet mnie to nie dziwi. Nie rozumiem tylko, dlaczego policja chce rozmawiać *ze mną*.

Zanim Zuzanna zdążyła zareagować, szybko wyszedł z pokoju i zamknął się w łazience.

Weronika przeszła przez płot do ogrodu Julii w tym samym miejscu, w którym tydzień temu przechodziła z Dawidem. Nad ranem mocno padało, ziemia nasiąkła wodą, a zaspy z liści pluskały pod nogami. Było wcześnie, przed chwilą się rozwidniło, a koc z chmur przepuszczał tylko słabe, srebrzyste światło. Weronika weszła na ścieżkę w wysokiej trawie. Po kilku krokach miała dżinsy przemoczone aż do kolan, ale nie zatrzymała się. Nie ma wyjścia, inną drogą nie dotrze do celu.

W nocy nie mogła spać, więc planowała tę wyprawę. W ciemności, pod kołdrą i w azylu własnego pokoju wszystko wydawało się jej niezmiernie łatwe, ale rzeczywistość okazała się inna. Weronika najchętniej odwróciłaby się i uciekła. Jej ciało zrobiło się dziwnie ciężkie, a kolana tak słabe, że każdy krok traktowała jak sukces. Było to uczucie podobne do

tego, jakie towarzyszyło jej w drodze do dentysty, tylko dużo silniejsze, zwielokrotnione. Chyba jednak nie powinna była tu przychodzić. Niepotrzebnie nadstawia karku. Ale skoro dotarła już tak daleko, naprawdę byłaby tchórzem, gdyby nie zrealizowała planu do końca.

Decyzję podjęła wczoraj wieczorem, gdy zobaczyła, jak z domu Julii wynoszą ciało przykryte czarną płachtą. Czyli Dawid nie kłamał. Julia Keller nie żyje. Weronikę to zaszokowało, choć od dawna wiedziała, co się stało. Tyle że słyszeć to coś zupełnie innego niż *widzieć*. Dopóki nie miała przed oczami dowodu, mogła sobie wyobrażać, że Julia żyje, chodzi po domu, pieści się w swoim pokoju z kotami. Teraz na dźwięk imienia sąsiadki Weronice stanęła przed oczami tylko płachta z grubej, czarnej folii, powiewająca na wietrze.

Łzy jakoś się jej zacięły. Czuła je wewnątrz, szukały ujścia, ale go nie znajdowały. Próbowała płakać na sucho, ale to nie było to samo, a ulga nie nadchodziła. A potem przyszło jej do głowy coś, co mogłoby jej pomóc. Zrobi to, bo *musi*, w pewnym sensie jest to jej obowiązek. Może dobrym uczynkiem odkupi część swej winy, wymaże ją jak nieudane słowo wpisane do zeszytu.

Zatrzymała się przy mokrym od deszczu stole ogrodowym, pokrytym warstwą butwiejących liści. Stąd było dobrze widać dom Julii, otoczony przerośniętymi krzakami i drzewami niczym zamek Śpiącej Królewny. Czy powinna podejść bliżej? Czy to nie jest zbyt ryzykowne? A jeśli jest tam ktoś z policji? Niepewnie cofnęła się na ścieżkę w wysokiej trawie.

Kiedy jej wzrok padł na plastikowe miski dla kotów, pełne deszczu, rozrzucone bezładnie pod krzakiem dzikiej róży, ogarnęła ją ulga. Nie musi wchodzić do domu. Wypełni swą misję tu, w ogrodzie. Miała tylko nadzieję, że nikt nie zamknął kotom tych zabawnych malutkich drzwiczek, przez które mogą wchodzić i wychodzić z wilii. Plecak wpijał się jej już

boleśnie w ramiona, więc zrzuciła go na mokrą trawę i zaczęła wyciągać konserwy z karmą dla kotów. Kupiła ich dużo, a gdy płaciła za nie swoimi pieniędzmi na szkolne obiady, opadła z niej część winy, ciężka jak wiosenna lawina. Aż zahuczało, gdy zderzyła się z podłogą w markecie. A Weronika znów mogła wziąć głęboki oddech.

Teraz kucnęła pod dziką różą, ustawiła pod nią konserwy i zakryła je kępą wysokiej trawy. Tu będą bezpieczne. Wylała wodę z plastikowych misek, wyrzuciła z nich liście i napełniła je zawartością trzech puszek. Na dziś to powinno wystarczyć. Jutro znów tu przyjdzie.

Trochę ją dziwiło, że nie widzi żadnego kota. Czy zwabi je zapach jedzenia? Zapięła plecak, zarzuciła go sobie na plecy, wstała i spróbowała przywołać zwierzęta tak, jak co rano i co wieczór robiła to Julia:

– Kici kici!

W gąszczu nic się nie ruszyło, tylko przerzedzone liście jabłoni zaszeleściły na wietrze.

Spróbowała głośniej.

– Kici kici!

Na żwirowej ścieżce rozległy się kroki! Weronikę ten dźwięk tak przeraził, że głośno krzyknęła.

– Co pani tu robi? Halo! – Od domu Julii zbliżała się do niej krótko ostrzyżona blondynka w czarnym płaszczu. Weronika najchętniej by uciekła, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Ja tylko… Chciałam… To znaczy… Koty pani Keller chyba od niedzieli nic nie jadły, więc…

Kobieta przyśpieszyła, jednocześnie sięgając do kieszeni płaszcza. Wyciągnęła odznakę w skórzanym futerale.

– Policja kryminalna. Pójdzie pani ze mną.

Wstawanie było z roku na rok coraz cięższe. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio wyskoczył z łóżka wypoczęty i pełen energii. Często żartował, że rano musi najpierw namówić swoje ciało do działania. Nie było w tym wiele przesady. Brał długi, gorący prysznic (pod zimną wodą nie wytrzymałby dłużej niż dwie sekundy) i wypijał trzy filiżanki kawy, żeby móc zacząć cieszyć się nowym dniem.

Dziś również nie było inaczej, tyle że lekki kac dodatkowo skomplikował cały proces. Dopiero po obfitym śniadaniu Bergman pozbył się wrażenia, że zamiast głowy ma pusty bęben. Pozmywał naczynia i starannie wytarł ściereczką kran, bo nie znosił białawych plamek od zaschniętych kropel wody. Julii Keller takie drobne niedoskonałości z pewnością nie denerwowały – przecież miała je w całym domu. Była zupełnie inna niż Bergman, ale mimo to czuł, że jeśli by się o to postarali, znaleźliby wiele płaszczyzn porozumienia.

Tylko czy to ważne? Julia nie żyje. A on dziś po południu weźmie udział w jej sekcji zwłok.

Wyjechał dżipem ze stodoły, zamknął za sobą ciężkie wrota i przez chwilę stał na błotnistym podwórzu z rękami w kieszeniach. Musi uwolnić się od uczuć, które w niczym mu nie pomagają, a jedynie zaciemniają umysł. Gdyby tak można je było wyłączyć jak radio! Z westchnieniem wspiął się do wysokiej kabiny. Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, w kieszeni zadzwonił mu telefon.

– Tak, Rolnik?

Kiedy powiedziała mu o Weronice, od razu stwierdził, że papiery w biurze mogą poczekać. – Na razie niech jej pani nie przesłuchuje. Proszę dać jej jakąś gazetę i poprosić kogoś, żeby zrobił jej herbatę. Już do was jadę.

Dziewczyna się bała, to było oczywiste. Siedziała na skraju wygodnego fotela Julii z łokciami przyciśniętymi do tułowia i dłońmi wsuniętymi między kolana. Była blada, a kiedy do pokoju wszedł Bergman, zwróciła ku niemu oczy z olbrzymimi źrenicami. Wyglądała jak spłoszone zwierzę, a Bergman wiedział, że musi zachować się odpowiednio do sytuacji.

– Dzień dobry, Weroniko. – Przyjaźnie podał jej rękę, dbając o odpowiedni uścisk. Nie za słaby i nie za mocny. W ten sposób wzbudzi w dziewczynie poczucie bezpieczeństwa. Nie chciał jej straszyć, to nie był jego styl. Zaufanie ludzi przynosiło mu zazwyczaj dużo więcej korzyści niż ich lęk.

– Dzień dobry – pisnęła i zbladła jeszcze bardziej. Jej policzki miały teraz zielonkawy odcień trujących grzybów, które latem rosną w lesie za gospodarstwem Bergmana. – Jestem przemarznięta – dodała, jakby czuła, jak wygląda i chciała to jakoś wyjaśnić.

– Nie będziemy tu dla ciebie rozpalać w piecu. – Zrobił pauzę. – Co robiłaś w ogrodzie pani Keller?

– Chciałam nakarmić koty.

– Dlaczego?

– Na pewno są głodne…

Uniósł brwi.

– Dlaczego miałyby być głodne?

– No… – Jej oczy błądziły po ścianach, jakby szukały pomocy. Rolnik, która weszła do pokoju z Bergmanem i została przy drzwiach, unikała kontaktu wzrokowego.

– Weroniko, mów.

Chciało się jej płakać, ale opanowała się.

– Widziałam, jak wczoraj wynoszono stąd… zwłoki. – Tym razem spojrzała Bergmanowi w twarz, jakby w ten sposób chciała mu pokazać, że

nie kłamie. – Znam to z filmów. Nosze, czarna płachta, auto pogrzebowe i tak dalej. Pomyślałam, że pewnie Julia… Że coś się jej stało… – Spuściła głowę i oblizała wargi. – Może zawał albo coś w tym stylu.

– Ale wczoraj był poniedziałek.

Zrobiła buntowniczą minę.

– No i?

– Kapitan Rolnik powiedziałaś w ogrodzie, że kotów nikt nie karmił od niedzieli.

Źrenice miała już jak dwa wielkie talerze.

– Po-pomyliłam s-się.

– Nie kłam.

– Nie kłamię! Dlaczego miałabym kłamać? – Zaczęła panikować. – Nie zrobiłam nic złego! Proszę mnie stąd wypuścić! Jestem głodna i muszę iść do szkoły… Przez pana będę mieć nieusprawiedliwioną nieobecność i rodzice mnie zabiją.

Bergman podszedł do niej tak blisko, że musiało to być dla niej nieprzyjemne.

– Wypuszczę cię dopiero, kiedy powiesz mi prawdę.

– Ale ja panu *mówię* prawdę! Chcę iść do szkoły! – Teraz nie potrafiła już powstrzymać płaczu. – Chciałam tylko nakarmić te głupie koty… Po co ja się nimi przejmowałam!

Bergman wymienił spojrzenie z Rolnik. Ta dziewczyna oczywiście mogła mówić prawdę, ale dużo prawdopodobniejsze jest, że coś wie i boi się to wyjawić. Czy w niedzielę widziała u Julii mordercę? Słyszała z domu sąsiadki kłótnię lub odgłosy walki? Bergman spojrzał z góry na jej złocistą potylicę. W zeszłym tygodniu popełniono na Babie dwa morderstwa, a Weronikę Truskawkę coś łączy z każdym z nich. Dziwny zbieg okoliczności…

Przykucnął przy niej.

– Weroniko, twoją sąsiadkę ktoś zamordował – powiedział poważnym głosem. – Jeśli wiesz coś, co pomoże nam znaleźć mordercę, nie powinnaś tego taić.

Zaczęła się trząść.

– Nic nie wiem. Naprawdę nic nie wiem!

Westchnął niecierpliwie.

– Ukrywanie dowodów to czyn karalny. Jesteś niepełnoletnia, ale to nie znaczy, że możesz sobie z nas kpić.

– Po prostu się przejęzyczyłam. Pomyliłam niedzielę z poniedziałkiem. Wielkie rzeczy. Zamknięcie mnie za to? – Butnie wysunęła brodę, a Bergman zauważył, że na twarz powróciły jej kolory. Wyglądała, jakby właśnie coś wymyśliła; coś, co może uratować jej skórę. – Możliwe, że mogłabym jakoś panu pomóc – oświadczyła poważnym tonem i nagle była to znów ta stara Weronika, którą Bergman pamiętał z przesłuchania na temat morderstwa w lasku.

Uniesieniem brwi zachęcił ją, by mówiła dalej.

– Wiem dwie rzeczy. – Nie odpuściła sobie krótkiej, dramatycznej pauzy, podobnie jak jej matka, kiedy rozmawiała z Bergmanem przez telefon. – Pierwsza, to że Julii ktoś podkładał w ogrodzie pułapki. Takie klatki z mięsem w środku. Łapał koty, rozumie pan? Julia się wściekała i chciała odkryć, kto za tym stoi. Najpierw podejrzewała mojego tatę, bo on nie znosi kotów, ale powiedziałam jej, że to bzdura i że mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego. Widziałam u niej w ogrodzie kucharza z restauracji Pod Koroną, tego rudego, z tatuażami. W niedzielę rano Julia chyba zrobiła mu awanturę. Widziałam, jak tam szła. Może się pokłócili, potem wszedł do niej do domu i… sam pan wie. Mogło tak być? A ta druga rzecz jest jeszcze dziwniejsza. W piątek na imprezie u sąsiadów ktoś wrzucił Julii do kawy

pinezkę. – Wytrzeszczyła oczy. – A ona prawie ją połknęła. To mogłoby ją zabić, nie? Może ktoś chciał wysłać ją na tamten świat, nie udało mu się za pierwszym razem, więc spróbował ponownie.

– Ciekawe. – Bergman mlasnął w zamyśleniu. – Gdzie była ta impreza?

– Naprzeciwko, u Hrubeszów.

– Czy ktoś oprócz ciebie to widział?

Pokręciła się niecierpliwie.

– No przecież wszyscy! Mój tata, mama, pani Hrubesz, pan Hrubesz, Klara i jej chłopak, ta baba, co przyszła z Julią… Ale nic więcej naprawdę nie wiem. Czy mogę już iść?

Przez próg zajrzał Adam Danesz.

– Szefie? Jest tu Michał Keller, syn ofiary. Przyleciał z Francji, mieszka tam. Przez dwa dni nie mógł się dodzwonić do matki, więc przyjechał sprawdzić, czy wszystko w porządku. Kiedy powiedzieliśmy mu, co się stało, trochę się nam tu… załamał. Siedzi przed domem w swoim aucie.

Bergman westchnął.

– Jeszcze tego tu brakowało – westchnął, ale kiedy tylko to powiedział, ogarnął go wstyd. Ten mężczyzna właśnie dowiedział się, że stracił matkę. Boże! Ma pełne prawo do załamania. I dobrze, że się pojawił, przynajmniej powie im, czy z domu nic nie zginęło. Klara Keller zapewne wiedziałaby więcej, ale od wczoraj nie odbiera telefonu. Gdzie może być? Bergman obrócił się plecami do dziewczyny siedzącej w fotelu.

– Rolnik, niech pani spisze z Weroniką zeznanie i wypuści ją do domu – poprosił podwładną. – A ja porozmawiam z panem Kellerem.

Kiedy wychodził z domu Julii na wilgotną i burą aurę przedpołudnia, pomyślał, że są dni, w których w ogóle nie lubi swojej pracy. Na przykład dzisiaj.

Ale znów będzie lepiej, to pewne.

ROZDZIAŁ 23

Zniknęła szkatułka, w której Julia trzymała złotą bransoletkę z końca osiemnastego wieku, wycenianą na dwieście pięćdziesiąt tysięcy koron, oraz kilka innych bransoletek, broszek, pierścieni i kolczyków o mniejszej wartości. Michał Keller był pewien, że matka trzymała je w dolnej szufladzie mebli w pokoju na parterze. Szufladę zamykała, a klucz chowała w witrynie. Teraz sterczał z zamka szuflady. Zatem intruz znalazł go lub wiedział, gdzie się znajduje.

– Czyli jednak morderstwo na tle rabunkowym? – bąknął Bergman ledwo słyszalnie. Dziwiło go, że zniknęła biżuteria, ale cenne obrazy i antyki pozostały na swoim miejscu. To może znaczyć, że sprawcą jest ignorant niepotrafiący odróżnić arcydzieł od bezwartościowych szpargałów. Albo że mordercą nie kierowała rządza kradzieży, a szkatułkę zabrał tylko po to, by ukryć prawdziwy motyw i zmylić policję.

Bergman przeszedł z Michałem Kellerem po całym domu, ale syn Julii nie zauważył, by brakowało czegoś oprócz szkatułki. Nie miał jednak stuprocentowej pewności, ponieważ od dawna nie mieszkał z matką, a ostatnimi czasy nawet jej nie odwiedzał, bo ma alergię na koty. Teraz również trzymał przy nosie chusteczkę i wyjaśnił inspektorowi, że na wszelki wypadek przed przyjazdem na Krokusową zażył dwie tabletki antyalergiczne.

– Czy możemy tu porozmawiać? – spytał Bergman. – Wystarczyłoby mi pięć-dziesięć minut. Czy może woli pan wyjść na zewnątrz?

Michał wyjrzał na ogród. Niebo opadało coraz niżej. Mżyło.

– Możemy zostać tutaj – oświadczył apatycznie. – Najwyżej będę miał atak. To już bez znaczenia.

Bergman podszedł do dużego stołu w pokoju na parterze, ale nie udało mu się odsunąć krzesła. Było przywiązane do nóg stołu.

– To z powodu kotów – wyjaśnił mu Michał obojętnym głosem. – Mama zawsze… – A potem się rozpłakał. Po raz trzeci w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Bergman wiele razy widział płaczących mężczyzn, ale nigdy nie wiedział, jak się w takiej sytuacji zachować. Odsunął się o krok, czekał, aż syn ofiary trochę się uspokoi i przyglądał się jego profilowi. Michał Keller miał piaskowe włosy, orzechowe oczy i powszednią, trudną do zapamiętania twarz. Nosił konserwatywne krótkie włosy, a z wizytą do matki przyjechał w szarym garniturze z dobrego materiału, prawdopodobnie szytym na miarę. „Taki trochę suchar" – pomyślał Bergman. Mimo to Michał wzbudzał w nim więcej sympatii niż Klara. Był rozluźniony i pewny siebie w ten uspokajający sposób typowy dla ludzi zadowolonych z własnego życia. Inspektor przypomniał sobie kompulsywne zachowanie jego siostry. Jak to możliwe, że z rodzeństwa o tak podobnym wyposażeniu genetycznym często wyrastają całkowicie odmienne istoty?

Michał się uspokoił, wytarł chusteczką oczy i skinął głową w stronę kuchni.

– Możemy usiąść tam.

Nie czekał na odpowiedź i z uniesioną brodą przeszedł obok białych konturów, które pozostały na podłodze po ciele Julii. Wezwanie go do oględzin miejsca zbrodni pół godziny po tym, jak dowiedział się, że stracił matkę, było okrutne. „Ale śledztwo i przesadna empatia zazwyczaj nie idą

w parze" – pomyślał Bergman. Ktoś musiał sprawdzić, czy w domu niczego nie brakuje.

Opadł naprzeciw Michała przy małym stole z podrapanym, drewnianym blatem, przy którym zapewne Julia zazwyczaj jadała swoje posiłki. Wzrok inspektora padł na okruchy chleba, które prawdopodobnie zostawiła tu gospodyni. Możliwe, że tego ostatniego ranka siedziała na tym samym krześle, co on teraz… Przeciągle westchnął.

– Zatem mieszka pan we Francji? Skąd taki pomysł?

Młodzieniec wzruszył ramionami.

– To długa historia. Kiedy skończyłem osiemnaście lat, chciałem wyjechać gdziekolwiek, byle tylko nie musieć mieszkać z rodzicami. – Uśmiechnął się. – W Paryżu zaczynałem jako model. Potrafi pan to sobie wyobrazić?

Bergman wbił w niego puste spojrzenie.

– Szczerze mówiąc, nie potrafię – odpowiedział zgodnie z prawdą. Ten chłopak nie wydawał się mu ani trochę ładny lub ciekawy wizualnie.

– Byłem szczuplejszy, miałem długie włosy… Nie narzekałem na nadmiar zleceń, więc dorabiałem jako taksówkarz. Zaoszczędziłem trochę pieniędzy, złapałem fuchę w studiu graficznym, popodglądałem, o co w tym chodzi i założyłem z kumplem własny biznes. Robimy ulotki, wizytówki, kalendarze reklamowe i tego typu bzdury.

– Interes się kręci?

Zaczerwione oczy rozjaśniły się.

– Da się wyżyć. Jestem swoim panem, to mi wystarcza.

Bergman wyczuł, że jego towarzysz się rozluźnił, więc szybko zmienił temat.

– Skąd pańska matka wzięła tak cenną rzecz jak ta bransoletka?

Nie wydawało się, żeby to pytanie zaskoczyło Michała. Obojętnie wzruszył ramionami.

– O ile mi wiadomo, dziedziczyło się ją w rodzinie z matki na córkę, podobnie jak pozostałą biżuterię z tej szkatułki.

Bergman skinął głową.

– Skąd pan wie, że ta bransoletka miała tak wysoką wartość?

– Matka zamówiła kiedyś wycenę. Zaczęła pisać o tych aukcjach antyków i nagle zrozumiała, że to może być droga rzecz. Wie pan, tak właściwie nigdy ze mną o tym nie rozmawiała. Kiedyś przez przypadek usłyszałem, jak rozmawia z jakąś koleżanką o majątku. Ciągle mówiła o tej bransoletce. Chyba nawet ją sfotografowała. Może natrafi pan gdzieś na te zdjęcia.

Bergman zapisał w notesie kilka uwag.

– Czy pańska matka miała nieprzyjaciół?

– Wiem tylko o moim ojcu.

– O pańskim ojcu? Czy może mi pan to wyjaśnić?

Młodzieniec znów wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, żeby jej nienawidził, ale nie wyraża się o niej najlepiej. Wie pan, ojciec to choleryk i trochę wariat. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że podejrzewam go… Boże, to straszne… o morderstwo. Proszę mi pokazać rozwiedzione małżeństwo utrzymujące ze sobą wzorowe kontakty. Według mnie to normalne, że przy każdej okazji skaczą sobie do gardeł. Nie doszukiwałbym się w tym żadnej patologii.

„W rzeczy samej" – pomyślał Bergman, ale oczywiście nie powiedział tego głośno.

– Czy pan wie, że pańska matka wykupiła ubezpieczenie na życie, na podstawie którego panu i pańskiej siostrze przypadnie do podziału milion koron?

Michał zbladł.

– No… Tak… Wiem. Klara wspomniała mi o tym kilka dni temu. Grzebała w szufladach matki i natrafiła na umowę. Ale jeśli myśli pan, że ja… W żadnym… – Zamilkł. – A na tych pieniądzach w ogóle mi nie zależy. Już mówiłem, że sam potrafię zarobić na wszystko, czego potrzebuję.

Zamyślony Bergman skinął głową.

– Kiedy przyjechał pan do kraju?

– W niedzielę rano, ale zameldowałem się w hotelu, bo tu nie mógłbym spać z powodu alergii. Dzwoniłem do mamy i… – Nagle twarz Michała zrobiła się niemal przeźroczysta. – Pan mnie podejrzewa? Chyba nie myśli pan poważnie! Nigdy bym jej nie skrzywdził!

– Nic takiego nie sugerowałem – odparł chłodno Bergman. – Co pan robił w niedzielę około południa?

– Grałem w golfa z kolegą. Potwierdzi to. Chryste Panie! Jak pan może podejrzewać *mnie*! Przecież widział pan moją reakcję, kiedy powiedzieliście mi, co się stało.

– Zdziwiłby się pan, na jak doskonałe występy aktorskie stać niektórych morderców – odparł Bergman.

Michał Keller nabrał powietrza.

– Ale ja…

– Nie powiedziałem, że pana podejrzewam, ale muszę sprawdzić alibi wszystkich, którzy mają motyw. A pan jako spadkobierca go ma. Nie może pan zaprzeczyć.

Mężczyzna przycisnął chustkę do ust, próbując zaczerpnąć powietrza jak karp wyciągnięty z wody.

– Proszę lepiej już iść, bo zaraz zacznie mi się pan tu dusić – powiedział Bergman. – Jeśli będę chciał z panem porozmawiać, zadzwonię do pana. Na

kiedy ma pan wykupiony bilet powrotny?

– Na piątek wieczór. Zostawiłem w Paryżu rodzinę, mam tam firmę, która nie obejdzie się beze mnie zbyt długo. Z tym że teraz… – Bezradnie rozłożył ręce. – Teraz wygląda na to, że w piątek do domu nie polecę, prawda?

Fotografie bransoletki zostały znalezione w zniszczonej kopercie. Leżały w biblioteczce w poprzek na grzbietach kolekcjonerskiego wydania serii encyklopedii. Sylwia Rolnik przyznała, że znalazła je tam już rano podczas przeszukiwania osobistych rzeczy Julii, ale nie sądziła wówczas, że mogą być dla śledztwa istotne. Uznała je za ilustracje do jednego z artykułów, nad którymi pracowała Julia. Bergman natychmiast wysłał podwładną ze zdjęciami do biura, żeby je zeskanowała i rozesłała e-mailem do wszystkich handlarzy i sprzedawców antyków. Jeden z nich zadzwonił o godzinie szesnastej, akurat kiedy Bergman wrócił w fatalnym nastroju z sekcji zwłok. Według patologa zgon nastąpił w niedzielę tuż po południu, czyli chwilę po rozmowie Julii z koleżanką. Przyczyną śmierci było uderzenie tępym przedmiotem, który przebił czaszkę. W żołądku Julii znaleziono resztki gotowanego jajka, grzanki i czerwonego wina. „Dziwne śniadanie" – pomyślał Bergman, odwiesił płaszcz na wieszak i przeczesał dłonią mokre od deszczu włosy.

Założył ręce na piersi i czekał, aż Rolnik dokończy rozmowę. Z jej słów zrozumiał, co się stało. Znalazły się kosztowności Julii. Czyżby wreszcie mogli ruszyć z miejsca?

– Mają bransoletkę w komisie na Żiżkowie – oświadczyła triumfalnie Rolnik, kiedy tylko odłożyła słuchawkę. – Wykupili ją dziś rano od faceta, który twierdził, że w śmietniku przy lesie w Krczu znalazł reklamówkę

z biżuterią. Niezła bajeczka, prawda? Mają jego nazwisko i numer dowodu osobistego.

Zsunęła się z biurka Bergmana, na którym siedziała w czasie rozmowy telefonicznej, i ściągnęła swój płaszcz z wieszaka. – Jadę tam. A co najlepsze… – Odwróciła się w progu i przesunęła wzrok z Bergmana na Danesza. – Wiecie, ile dali mu za wszystkie te rzeczy? Pięć tysięcy.

Zamknęła za sobą drzwi, ale po chwili otworzyła je gwałtownie.

– Szefie, i jeszcze coś. Obeszłam całą ulicę, a efekt jest taki sam jak poprzednio. Wszyscy siedzieli w swoich domach, nikt niczego nie widział, nikt nic nie wie. Z jednym wyjątkiem: w czasie morderstwa znów pojawił się przy Krokusowej ten czerwony volkswagen. Tym razem młody kierowca jechał tak szybko, że jeden emeryt podszedł do okna, by sprawdzić, kto urządza sobie pod jego oknem wyścigi. Ciekawe, nie?

I zatrzasnęły się za nią drzwi.

Bergman w ogóle nie został dopuszczony do słowa. Usiadł za biurkiem, podparł brodę dłońmi i zastanawiał się, czy Sylwia Rolnik nie zaczyna się tu trochę za bardzo szarogęsić. Ostatnimi czasy była wręcz przesadnie przebojowa i zadziorna, szczególnie jeśli w pobliżu pojawił się Adam Danesz. Bergmanowi po raz pierwszy przyszło do głowy, że jej dziwne zachowanie może wynikać z czegoś całkowicie innego niż rywalizacja. Czy Sylwia próbuje zaimponować Daneszowi?

Inspektor nie myślał o tym dłużej niż kilka sekund. Rozważania na temat życia prywatnego innych ludzi uważał za karygodne marnowanie czasu i energii.

– Te kosztowności znalazły się podejrzanie szybko – rzucił do Danesza. – Facet, który je sprzedał, raczej nie jest mordercą. Może naprawdę wygrzebał je ze śmietnika. Ale przy odrobinie szczęścia znajdziemy na nich odciski palców osoby, której szukamy.

– Dlaczego pan myśli, że to nie morderca je sprzedał?

– Musiałby być niespełna rozumu, żeby zdradzić się w tak głupi sposób. Ale oczywiście taką możliwość też musimy brać pod uwagę. Spodziewałbym się, że raczej spróbuje pozbyć się tych rzeczy na czarnym rynku. Może się wystraszył i po prostu je wyrzucił.

Danesz znów karmił gołębie. Odszedł od okna i z błogą miną obserwował, jak jego pierzaści ulubieńcy stukają dziobami w parapet.

– Tego czerwonego volkswagena już sprawdziłem – powiedział, nie patrząc nawet na Bergmana. – Należy do jakiejś kobiety z Krcza. Już z nią rozmawiałem. Podobno auto często pożycza od niej syn i jeździ sobie nim po Pradze.

Bergman uniósł brwi.

– Jeździ sobie?

– Dokładnie. Był akurat w domu, rozmawiałem z nim. Twierdzi, że jest fanem motoryzacji i że jeździ po mieście bez celu, dla zabawy. „Wypalam benzynę", tak to ujął. Ulicy Krokusowej nie zna, a jeśli tam był, to niecelowo. Powiedziałem mu, że widziano go tam przynajmniej trzy razy, a on odparł, że nie musi przecież pamiętać nazw wszystkich ulic, po których jeździ. – Danesz wzruszył ramionami. – Chyba powinniśmy trochę go prześwietlić, prawda, szefie?

– Pan powinien. – Bergman wziął tak głęboki oddech, że zabolały go płuca. Zmęczenie znów leżało mu na ramionach jak ciężki, wygrzany koc. Najchętniej wsiadłby do dżipa i pojechał w Kozie Góry, lecz na leniuchowanie przy kominku będzie musiał jeszcze poczekać.

– Chodźmy na piwo, Danesz. Muszę z kimś pogadać. – Gdy zauważył, że jego podwładny się waha, dodał poważnie: – Powiem panu, co myślę o tych dwóch morderstwach na Babie.

Z lokalu U Króla Jerzego owionął ich już w progu smród dymu papierosowego i piwnej piany. Duży, metalowy wiatrak pod sufitem leniwie kroił gęste powietrze, a na wpół zaciągnięte żaluzje wpuszczały do środka tylko wąskie smugi dziennego światła. Stoły stałych klientów w pobliżu baru były zajęte. Bergman minął je obojętnie i ruszył do ciemnego kąta za filarem, gdzie zazwyczaj siadywał na narożnej ławie. Lubił knajpę U Króla Jerzego i wszystkie podobne do niej speluny, które nie udają niczego, czym nie są. Knajpy z drewnianymi stołami bez obrusów, okopconymi ścianami, rozchybotanymi krzesłami i podłogą ze skrzypiących desek. W lokalu nie grała żadna muzyka, a jedynym dźwiękowym tłem były głośne debaty stałych bywalców. Już to samo w sobie stanowiło dla Bergmana powód do radości. Nie przepadał za rykami dziennikarzy radiowych i dudniącą muzyką, które w ostatnim czasie rozlegały się w większości praskich restauracji.

Kelner znał już Bergmana i Danesza, więc bez pytania przyniósł im dwa zroszone kufle.

Bergman opróżnił swój jednym haustem.

Danesz się zaśmiał.

– Widzę, że otworzył pan dziś śluzę!

– Niech pan nie gada, tylko pije. – Bergman uniesionym palcem przywołał kelnera i podał mu pusty kufel. – Jeszcze jedno. – Piwo przyjemnie schłodziło mu przełyk i rozgrzało wnętrzności. Krew zaczęła krążyć w żyłach nieco żwawiej i radośniej, a to było dokładnie to, czego inspektor potrzebował. Z wyrzutami sumienia pomyślał, że ten sam efekt przyniósłby mu szybki spacer lub pół godziny uprawiania jakiegoś sportu, ale na widok puszystej, białej piany odgonił od siebie te pomysły.

– No, proszę mówić – ponaglił go zniecierpliwiony Danesz. – Według mnie nie mamy na razie niczego. W dzisiejszej „Błyskawicy" pisali, że na

Babie grasuje maniak, a policja jest bezradna. Podobno poinformowało ich o tym anonimowe źródło z policji kryminalnej.

– Pan czyta „Błyskawicę"? – Bergman bawił się tekturową podstawką z powyginanymi rogami. – Pan nie wie, jak te bulwarowe gryzipióry zmyślają? Niedawno opublikowali rozmowę ze mną, choć nie zadali mi ani jednego pytania, a kiedy zadzwoniłem tam i powiedziałem, że żadnego wywiadu nie udzielałem, wyśmiali mnie. Powiedzieli, że nigdzie tam nie jest napisane, że wywiad jest autoryzowany, więc to nie musiały być dokładnie moje słowa i nie mam podstaw do skargi. W sądzie bym przegrał. Kropka.

– A naprawdę by pan przegrał?

Bergman wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Nie sprawdzałem. Czasem łatwiej jest problemy ignorować, niż rozwiązywać. – Długim haustem skończył drugie piwo. – A skoro już o tym mowa, wcale nie jesteśmy bezradni. Mamy skradzione kosztowności. Zdejmiemy z nich odciski palców, sprawdzimy je i zobaczymy. Na pewno jest to krok do przodu.

– Ale ma pan jeszcze inny pomysł – odparł Danesz.

– Dokładnie. Niech pan myśli razem ze mną. W lasku miejskim na Babie została zamordowana młoda kobieta. Tydzień później taki sam los spotkał jednego z ważnych świadków. Nie chce mi się wierzyć, że to przypadek. Oba morderstwa są ze sobą powiązane, tego jestem pewien. Tylko w jaki sposób? Jeśli Julia Keller nas nie okłamała, te dwie kobiety się nie znały. – Zamilkł. – Ciekawi mnie pańska opinia, Adamie. Kogo pan podejrzewa?

– Faceta w czarnym audi, tego reżysera – odpowiedział Danesz po chwili wahania. – W czasie pierwszego morderstwa przebywał na Babie, a druga ofiara była jego kochanką.

– Ma pan rację. Na wieczór, gdy popełniono pierwsze morderstwo, ma alibi, ale dziurawe. Jeden dość znany kolekcjoner sztuki potwierdził mi, że Sebastian Zając spędził u niego wieczór i rozstali się dopiero wpół do jedenastej. Potem reżyser pojechał na ulicę Krokusową. Sąsiadka widziała, jak wchodzi do domu Julii. Zanim poszedł do Julii, teoretycznie zdążyłby zabić Norę Mach, ale czy przychodzi panu do głowy jakiś powód, dla którego mógłby to zrobić?

– Nie – przyznał Danesz.

– Mnie też nie. – Bergman poprosił kelnera gestem o trzecie piwo. – Ale i tak się mu przyjrzymy. Jednak mnie przyszła do głowy jeszcze jedna teoria.

– Mnie też. Pierwsze morderstwo popełnił przypadkowy sprawca, prawdopodobnie sadysta. Pamięta pan mordercę spartakiadowego z lat osiemdziesiątych? A Julię Keller sprzątnęła jej córka, bo chciała dostać spadek. Gdzie ona się tak w ogóle podziewa? Dlaczego nie odbiera telefonów? Myślę, że się ukrywa, bo ma coś na sumieniu.

Bergman się uśmiechnął.

– Wszystko możliwe. Ale teraz niech mnie pan posłucha. Znalazłem jeden łącznik między oboma morderstwami. Nie posiadam żadnego dowodu na to, że stało się to, co myślę. Opieram się jedynie na prostej dedukcji. – Popukał się palcem w czoło. – Nora Mach była uderzająco podobna do córki Julii Keller. Duży biust, podobna fryzura. Wyszła z domu Julii. Morderca mógł w ciemności uznać, że to Klara Keller, prawda?

– Bez wątpienia. Tylko nie wiem, kto…

– Niech pan poczeka. Julia Keller była w siedemdziesiątym piątym we Francji z wizytą u koleżanki. Trochę romansowała tam z jej mężem, pojechali razem na wycieczkę i zamiast pilnować na skalistym brzegu dziecka, zajmowali się sobą.

– Dziecko spadło i się utopiło – dokończył Danesz.

– Dokładnie tak. Widzę, że słuchał pan uważnie. – Bergman znów się uśmiechnął. – Ten Francuz, Jacques Lapin, ojciec tego dziecka, zmarł jakieś dwa tygodnie temu. Mamy jego klepsydrę. Wciąż nic nie przychodzi panu do głowy?

– Skoro umarł, to nie mógł zabić Nory ani Julii – odparł ponuro Adam Danesz.

– To prawda, nie mógł. – Inspektor zrobił pauzę. – Ale jego żona, czy raczej wdowa po nim, mogła. Miała motyw.

Danesz wbił w niego martwe spojrzenie.

– Poważnie?

– Poważnie.

– Ma pan na myśli to dziecko, które zginęło? Czy to nie jest trochę… ehm… głupie, szefie? Przecież utopiło się trzydzieści jeden lat temu. Gdyby ta przyjaciółka chciała się zemścić, zrobiłaby to od razu. I w ogóle…

– Niech pan pomyśli, Adamie. Kamila Lapin, przynajmniej podejrzewam, że właśnie tak nazywa się ta kobieta, mogła przez całe trzydzieści jeden lat nie wiedzieć, jak doszło do tego wypadku. Nie miała pojęcia, że jej mąż próbował uwieść Julię i że podczas wycieczki bardziej zajmowali się sobą niż dzieckiem. Już pan rozumie? On mógł dopiero przed śmiercią wyjawić, co się stało. Wyspowiadać się ze swoich grzechów.

– A ona przyjechała do Czech, żeby zabić dziecko Julii, czy raczej kobietę, którą uznała za dziecko Julii. A potem też Julię? Naprawdę pan w to wierzy?

– Nie twierdzę, że w to wierzę. Po prostu taka możliwość przyszła mi do głowy. My, mężczyźni, nie potrafimy sobie wyobrazić, jak cierpi kobieta, która straciła czteroletnią córkę. – Bergman odsunął od siebie kufel

z kilkoma centymetrami złotawego płynu. Kiedy tylko wypowiedział ten pomysł na głos, zaczął poważnie wątpić w jego prawdopodobieństwo. – Nie będę już pić. Muszę wytrzeźwieć, zanim pojadę wieczorem do domu… Jak mówiłem, Adamie, nie mam dowodów. Przyznaję, że ta teoria jest dość szalona. Ale skoro już pojawiła się w mojej głowie, nie pozostaje nic innego, jak tylko ją sprawdzić. – Pochylił się i poklepał Danesza po ramieniu. – Zostawię to panu. Proszę sprawdzić, czy Kamila Lapin przypadkiem nie przyleciała do Pragi między pogrzebem swojego męża a pierwszym morderstwem. Oczywiście mogła przyjechać autem, ale tego sprawdzić nie możemy… Zatem jeśli nie pojawi się na listach pasażerów, proszę sprawdzić, czy opuściła wyspę Belle-Île w Bretanii, podam panu dokładny adres.

– Ja myślę, że tę dziewczynę w lasku załatwił facet. Uduszenie kogoś to nie żarty. Do tego potrzeba siły.

Bergman pokręcił głową.

– Istnieje wiele silnych kobiet. Uświadomiłem to sobie, kiedy odwiedziłem dziewczynę, którą Klara Keller podejrzewa o wysyłanie SMS-ów z pogróżkami. Jest masażystką. Ma takie bicepsy – dodał inspektor i zakreślił dłonią duży łuk nad własnym ramieniem. – Podczas rozmowy z nią pojąłem, że o morderstwo w lasku nie możemy *a priori* podejrzewać tylko mężczyzn.

Danesz miał sceptyczną minę.

– Jak pan uważa. Spróbuję znaleźć Kamilę Lapin, ale najpierw pojadę przesłuchać tego chłopaka od czerwonego volkswagena.

– Proszę samemu ustalić kolejność. Najważniejsze, żeby oba zadania zostały wypełnione jutro. – Bergman wstał, włożył płaszcz, a idąc w stronę baru, odwrócił się jeszcze do podwładnego. – Czyja kolej na płacenie? Moja? Nie wydaje się panu, że płacę dziwnie często?

Półmrok gęstniał, a kąty pokoju już pochłaniała ciemność, ale Weronika nie włączyła światła. Siedziała w fotelu z kolanami przyciągniętymi do piersi i patrzyła na przeciwległą ścianę. Od śmierci Julii nie potrafiła skupić się na czytaniu gazet ani na nauce. Kiedy włączała muzykę, miała wrażenie, że czaszka rozpada się jej na dziesiątki kawałków jak szklany przycisk do papieru, który ostatnio w ataku furii stłukła matka. Męczyło ją, że wie o morderstwie sąsiadki więcej, niż mogłaby komukolwiek powiedzieć. Gdyby tak mogła porozmawiać z Dawidem! Ale jeśli spróbowałaby się z nim skontaktować, ściągnęłaby na niego niebezpieczeństwo. Jest zamieszana już w dwa morderstwa, więc policja może ją śledzić albo podsłuchiwać jej telefon… Weronika wiedziała z seriali, że obie możliwości są prawdopodobne.

A potem to usłyszała. Huk pękniętej rury wydechowej, który rozpoznałaby wśród setek innych. On? Ryzykuje spotkanie z policją, żeby zatrzymać się przed jej domem i popatrzeć w jej okno? Cieszyło ją to, ale jednocześnie pod żebrami dał o sobie znać strach.

Wstała z fotela, powoli podeszła do zaciągniętej koronkowej firanki, bardzo uważając, by jej nie dotknąć. Wiedziała, że Dawid nie wysiądzie i nie zadzwoni do drzwi, podobnie jak ona nie zejdzie na dół i nie pomacha do niego. Już raz tak przyjechał – tuż przed tym, jak w domu Julii zaczęło roić się od policjantów. Zatrzymał się na środku ulicy, zostawił włączony silnik i patrzyli z Weroniką na siebie, on z łokciami opartymi o kierownicę, ona sama w pokoju, schowana za firanką, dobre pół metra od okna. „Ale tak nie możemy żyć wiecznie" – pomyślała Weronika. To nie jest prawdziwy związek, prawdziwa miłość. Niech lepiej Dawid tu nie przyjeżdża, skoro i tak nie możemy być razem.

Tym razem również zatrzymał się przed furtką willi, wyłączył światła, ale silnik zostawił włączony. W ciemności Weronika nie widziała wnętrza

kabiny, mogła tylko podejrzewać, że kierowca pochylił się nad kierownicą i patrzy w jej stronę. Chciałaby zadać mu tyle pytań i zwierzyć się z tylu spraw… Na przykład wygarnęłaby mu, że wciąż tak trochę podejrzewa go o zabicie Julii. I czy przypadkiem nie załatwił też tej dziewczyny w lasku? Przecież był tamtej nocy przy Krokusowej, a Weronika nie mogła do niego wyjść… Tak, to wszystko by mu powiedziała. Chciałaby zobaczyć jego minę, przede wszystkim oczy, z których potrafiłaby wyczytać prawdę. Wszystko byłoby lepsze niż strach, żal i podejrzenia, z którymi od kilku dni była sama.

„To serio beznadziejna sytuacja" – pomyślała i odsunęła się od firanki. „Jeśli porozmawiam z Dawidem, zaszkodzę mu. A dopóki milczę, robię krzywdę sobie…" Najchętniej wybiegłaby na ulicę i wykrzyczała tam wszystkie wątpliwości, ale krzywdzenie siebie wydawało się jej dużo łatwiejsze, ponieważ odbywało się po kryjomu i nie towarzyszyły temu żadne kłótnie. Stała więc bez ruchu i czekała, aż Dawid odjedzie.

Wreszcie okrągłe przednie reflektory volkswagena rozkroiły ciemność, wóz gwałtownie ruszył i pomknął z hukiem ku głównej ulicy.

ROZDZIAŁ 24

Pomimo iż paliła w domku od trzech dni, ze wszystkich kątów ciągnął wilgotny chłód. O świcie Klara obudziła się z zimna i już nie usnęła. Teraz leżała pod kocem, skulona w pozycji embrionalnej, patrzyła, jak słońce głaszcze zaparowane szyby starych okien i było jej… dobrze. Po raz pierwszy od kilku lat czuła stosunkowy spokój i pogodzenie ze sobą i z otaczającym ją światem. A przecież kiedy w niedzielę uciekła tu od matki, dusiła się z wściekłości, przerażenia i beznadziei. Wydawała się sobie nieporadna i niepotrzebna. Teraz wszystko się zmieniło. Czy ten cud został wywołany przez samotny pobyt w domku leśnym? Jeśli tak, lekarze powinni przepisywać taką terapię zamiast leków antydepresyjnych.

Minęło wpół do dziesiątej. Powinna rozpalić w piecu i zrobić coś do jedzenia. Zsunęła z siebie koc, na flanelową koszulę narzuciła futrzaną kamizelkę, włożyła do pieca zmiętą gazetę, drzazgi z sosnowego drewna, a na końcu kilka grubszych polan. Po raz pierwszy w życiu była tu sama. Przedtem paleniem w piecu zawsze zajmowali się mężczyźni: ojciec, brat, Piotr. Lecz teraz wszystkie czynności wydawały się jej całkiem oczywiste. Bez problemów porąbała drewno, ogień zapłonął przy pierwszej próbie, a z pieca w ogóle się nie dymiło.

„Jestem samodzielna" – pomyślała triumfalnie Klara. „Nie potrzebuję nikogo. A już na pewno nie Piotra, jego w ogóle mi nie brakuje". Tęskniła za nim dokładnie dwa dni. Potem uświadomiła sobie, że bez niego jest dużo spokojniejsza, zrównoważona. Dlaczego nie widziała tego wcześniej?

Umyła sobie twarz zimną wodą, zrobiła mocną herbatę i posmarowała kromkę chleba masłem. Żyje tu skromnie, więc pieniądze, które przywiozła, powinny wystarczyć jej na tydzień, może nawet na dziesięć dni. A potem? Pewnie wróci do matki i zacznie szukać pracy. Dziś w nocy przyszedł jej do głowy pomysł, który ukazał przyszłość w pozytywnych barwach. Spróbuje rozkręcić swój biznes. Wynajmie instruktorów sportowych i otworzy w jakiejś szkole podstawowej kursy gier drużynowych dla dzieci. Nie będzie potrzebować prawie żadnego kapitału początkowego, a ponadto lubi sport, więc dlaczego miałaby nie spróbować się z niego utrzymywać? Jeśli kursy będą opłacalne, szybko spłaci długi. Mogłaby też zrobić maturę i złożyć dokumenty na akademię wychowania fizycznego…

Posmarowała jeszcze jedną kromkę, przysunęła krzesło do pieca i żuła zadowolona. Sosnowe drewno cicho strzelało, a stęchlizna starego domu mieszała się ze słodko-gorzkim zapachem żywicy. Wahadło sfatygowanego zegara przy drzwiach odmierzało czas jakby wolniej niż sekundnik nowoczesnych zegarków. Klara zamknęła oczy. Tik… tak. I nagle uświadomiła sobie, że właśnie tego potrzebowała, żeby pogodzić się ze sobą. Nie zakupów o północy na stacjach benzynowych i drogich biletów do luksusowych lóż w multikinie. Przy Piotrze skupiła się tylko na pieniądzach i uwierzyła, że bez nich nie może być szczęśliwa. Właściwie matka bardzo jej pomogła, gdy wyrzuciła Piotra z domu.

Klara dołożyła do pieca, a żar z otwartych drzwiczek oblizał jej twarz. Plan dotyczący pracy i studiów podobał się jej coraz bardziej. Zaczęła nawet z radością myśleć o powrocie do Pragi. W pierwszej kolejności pogodzi się z matką. Potem uzgodni z bankami harmonogram spłat, żeby przestały bombardować ją pismami i upomnieniami. Wszystko znów będzie dobrze.

Nerwy wywołane morderstwem w lasku miejskim również dawno ją opuściły. Klara przestała dostawać SMS-y z pogróżkami i nagle wydało się jej absurdalne, że pozwoliła się tak głupio zastraszyć. Ktoś zamordował kobietę, która była podobna do niej. I co z tego? To na pewno był tylko przypadek. Chociaż inspektor Bergman najwyraźniej ma na ten temat inne zdanie, bo od poniedziałku kilka razy dzwonił do niej na komórkę, ale Klara nie odbierała. Dostała od niego nawet SMS-a z prośbą o pilny kontakt. Nie zareagowała. Uciekła tu przed całym światem, więc dlaczego miałaby pozwolić wciągnąć się z powrotem za pośrednictwem tego przeklętego małego urządzonka.

Znów zaczęło dzwonić, jakby potrafiło czytać jej w myślach i chciało ją zdenerwować. Brzęcząca melodia brzmiała w cichym pomieszczeniu odpustowo i ordynarnie. Klara się skrzywiła. Właściwie dlaczego wybrała sobie taki ohydny dzwonek?

Niechętnie wstała od stołu i podeszła do telefonu. Oczywiście, znów Bergman. Czego od niej chce, na Boga? Zrozumiała, że dopóki z nim nie porozmawia, nie da jej spokoju.

– Keller.

– No wreszcie! Gdzie się pani podziewa?

„A co panu do tego?" – odburknęłaby najchętniej, ale ograniczyła się do podrażnionego westchnienia.

– Wyjechałam do domku letniskowego.

– Sama?

– Tak.

– Kiedy?

– W niedzielę rano.

– O której godzinie?

„Po co ten cholerny policjant chce to wiedzieć?"

– Wcześnie. Autobusem o siódmej trzydzieści.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

„Co to ma znaczyć?" – Klara zaczynała się denerwować.

– Nie wiem… Może mógłby mnie pamiętać kierowca. Jechałam do Liberca, a potem z Liberca do Cvikova. Resztę trasy pokonałam autostopem.

– Dlaczego nie odbierała pani telefonu? – spytał chłodno. Postanowiła, że tym razem będzie szczera.

– Nie miałam ochoty. Musiałam pobyć sama.

– Dlaczego?

Pomyślała, że Bergman wypytuje ją jak trzyletnie dziecko: dlaczego, dlaczego, dlaczego. „Nic ci do tego" – odpowiedziała w myślach.

– Czułam się fatalnie. Oszczędzę panu pracy i od razu wyjaśnię *dlaczego* – dodała kąśliwie. – W sobotę zostawił mnie chłopak. Musiałam trochę dojść do siebie.

Ku jej zaskoczeniu inspektor się nie obraził. Kiedy się odezwał, jego głos był trochę miększy niż na początku rozmowy.

– Obawiam się, że będzie pani musiała jak najszybciej wrócić do Pragi.

– A ja się obawiam, że to niemożliwe. Chcę tu zostać jeszcze przynajmniej tydzień. Proszę posłuchać, inspektorze, przecież ja nie jestem o nic podejrzana. Nie może mnie pan zmusić, żebym siedziała w domu na tyłku i przez cały czas była do pańskiej dyspozycji.

Odkaszlnął.

– Radziłbym pani usiąść. Mam dla pani złą wiadomość.

Przeraził ją grobowy głos, jakim to powiedział. Mimowolnie cofnęła się, dotknęła krawędzią ręki gorącego pieca i syknęła z bólu.

– Co się stało? – spytał od razu. – Czy wszystko w porządku?

– Tylko oparzyłam się o piec. Jaką złą wiadomość pan dla mnie ma? – W pierwszej chwili pomyślała, że na pewno chodzi o Piotra. Miał wypadek w aucie, które mu kupiła i którym bez najmniejszego wahania odjechał, gdy ją rzucił. Przyciągnęła drewniane krzesło z malowanym oparciem i przycupnęła na jego skraju.

– Czy mojemu chłopakowi coś się stało? To znaczy: byłemu chłopakowi.

– Chodzi o pani matkę. Znalazłem ją w poniedziałek w domu bez oznak życia. Została zamordowana.

– Zamordowana?

– Bardzo mi przykro. – Zamilkł, jakby spodziewał się, że Klara jakoś zareaguje, ale ona również milczała. – Teraz z pewnością pani rozumie, że musi pani pilnie wrócić do domu. Jeśli by tak pani nie uczyniła, musielibyśmy wydać nakaz doprowadzenia pani na przesłuchanie.

– Na przesłuchanie?

Nagle była zdolna jedynie powtarzać ostatnie słowa wypowiedzi inspektora. Pomimo iż za jej plecami stał rozgrzany piec, zrobiło się jej strasznie zimno. W rękach i palcach u nóg poczuła mrowienie, a w piersiach paliło ją, jakby cała krew spłynęła jej do serca. „Może naprawdę tam spłynęła" – pomyślała, a zaraz potem zdziwiła się, jakie bzdury zaprzątają jej myśli w tej strasznej sytuacji.

– Czy pani tam jeszcze jest? Słyszy mnie pani? Mamy już podejrzanego – oświadczył jej Bergman. – Czy pani przyjedzie?

– Nie – odparła, nie zastanawiając się nad tym, co mówi.

– Pani Klaro, rozumiem, że to dla pani…

Odsunęła telefon od ucha i rozłączyła się. Gdyby tak jednym przyciskiem mogła odciąć się od rzeczywistości i wyłączyć ją jak ten telefon! Siedziała w bezruchu i suchymi oczami wodziła po ścianach

pokoju, pobielonych wapnem. Wydawało się jej, że straciła panowanie nad swoim ciałem i że już nigdy nie będzie mogła ruszyć się z miejsca.

Trwało prawie godzinę, zanim wreszcie się rozpłakała.

„Mamy podejrzanego" – powiedział Bergman Klarze przez telefon i to nie był blef. Naprawdę go mieli. Odciski palców na antycznych kosztownościach Julii należały do dziewiętnastoletniego Dawida Minksa, który – jak na swój wiek – miał dość bogatą kartotekę policyjną. Półtora roku temu siedział krótko w areszcie z powodu podejrzenia o udział w przestępczości zorganizowanej. Utrzymywał wtedy kontakty z kilkoma starszymi mężczyznami, którzy „zatrudniali" złodziei mieszkaniowych, odbierali od nich łup i sprzedawali go. Dawid Minks trafił do aresztu, ale nie udało się udowodnić, że naprawdę dokonał czynów karalnych. Zamiast wyciągnąć wnioski z pobytu za kratkami, kilka tygodni później ukradł sprzed sklepu rower górski, ale nie zrobił tego zbyt dobrze i został złapany następnego dnia. Wyszedł z tego z warunkowym i od tego czasu niczego nie przeskrobał.

Tyle że teraz okazało się, że Dawid Minks i młodzieniec jeżdżący po Pradze w czerwonym volkswagenie z trójogonową diablicą na tylnej szybie to jedna i ta sama osoba.

– W takim razie mogę sobie odpuścić sprawdzanie tej Francuzki – oświadczył z zadowoleniem Danesz, kiedy przeczytał wyniki daktyloskopii. – Ten chłopak był na Krokusowej w czasie popełnienia obu morderstw. Według mnie wszystko jasne, szefie.

– Nie byłbym tego taki pewien.

Bergman stał w swoim ulubionym miejscu przy oknie, obserwując auta i przechodniów. W przestrzeni między domami widział nawet fragment linii kolejowej. Tam lubił patrzeć najbardziej, szczególnie o świcie i o zmroku,

kiedy pociągi zmieniały się w rzędy jasnych okien. W dzieciństwie kolej kojarzyła mu się z ucieczką i trochę tak pozostało do dzisiaj. Lecz lata pracy w wydziale kryminalnym odcisnęły na inspektorze piętno, więc gdy teraz patrzył na jadący skład, zastanawiał się, ilu w nim siedzi niezłapanych przestępców? Ilu morderców i ich przyszłych ofiar?

Wiedział, że dopóki nie ma dowodów, nie może skupić się na jednym podejrzanym i przykleić mu w duchu naklejki „winny". Jeśli jego czujność by osłabła, mógłby przeoczyć ślady prowadzące do prawdziwego sprawcy. Wizja pozostawienia mordercy na wolności i posłania za kratki niewinnego człowieka przerażała Bergmana nawet w snach.

– Ten chłopak nie miał żadnego motywu do zabicia Nory Mach – stwierdził ponuro, wsunął ręce do kieszeni i odwrócił się od okna. – Ani w miejscu popełnienia pierwszego, ani drugiego morderstwa nie znaleźliśmy jego odcisków palców. Oczywiście mógł mieć rękawiczki, nie jest przecież żółtodziobem. Ale co z pinezką, którą ktoś wrzucił Julii Keller do kawy? Można by ją zakwalifikować jako próbę dokonania jedynie uszczerbku na zdrowiu, ale o ile mi wiadomo, Dawida tam wtedy nie było. I jeszcze jedno: na miejscu zbrodni zostały znalezione ślady obuwia sportowego o numerze czterdzieści dwa. W kartotece wyczytałem, że Dawid nosi czterdzieści cztery. Te ślady mógł tam zostawić ktoś inny, nie morderca, może na przykład gość, ale… – Na kilka sekund umilkł i zamyślił się. – Po przesłuchaniu tego chłopaka będziemy mądrzejsi. Adamie, proszę, wezwij go do nas. Tę dziewczynę, Weronikę Truskawkę, też.

– A ją dlaczego?

– Kiedy Rolnik widziała tego volkswagena przy ulicy Krokusowej, stał przed domem numer dwadzieścia trzy, a tam mieszka ta dziewczyna. Podejrzewam, że ona wie więcej, niż nam powiedziała.

Danesz spojrzał na zegarek.

– Kiedy chce pan z nimi porozmawiać? Ta dziewczyna pewnie jest teraz w szkole.

– Niech pan spróbuje ściągnąć ich tu dziś po południu. – Bergman znów obrócił się do okna, zdążył jeszcze zobaczyć długi pociąg pośpieszny jadący z centrum, i dodał: – A ta Francuzka i jej ewentualne wyjazdy wciąż mnie interesują. Proszę pamiętać, że jeszcze niczego nikomu nie udowodniliśmy. Po obiedzie chcę mieć na biurku informację, czego udało się panu dowiedzieć.

Skromne wyposażenie małego pokoju przesłuchań nie wywołało u Dawida Minska lęku, towarzyszącego w tym pomieszczeniu większości ludzi. Rozsiadł się wygodnie na krześle przykręconym do podłogi, przełożył gumę do żucia z jednej strony ust na drugą i spojrzał Bergmanowi prosto w oczy, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że się go nie boi. „Nie jest tu po raz pierwszy" – przypomniał sobie Bergman. „Już wie, co go czeka". Zanim zawołał Dawida Minksa do środka, kazał mu chwilę posiedzieć w poczekalni, wyposażonej tylko w wieszak, kilka krzeseł i stolik konferencyjny. Bergman mógł obserwować czekające osoby przez lustro weneckie i tym razem skorzystał z tej możliwości. Niektórzy ludzie przed przesłuchaniem krążą od ściany do ściany, inni obgryzają paznokcie, potupują niecierpliwie lub powtarzają sobie na głos to, co chcą powiedzieć policjantom, ale Dawid Minks siedział bez ruchu, przyglądał się nielicznym meblom i nie okazywał najmniejszych oznak strachu. Czasopisma ułożone na stoliku pozostały nietknięte, ale to nie było nic dziwnego. Ludziom przed przesłuchaniem rzadko chce się czytać.

– Chyba pan wie, dlaczego pana tu wezwałem – zaczął Bergman, kiedy tylko sprawdził tożsamość młodzieńca i załatwił wszystkie pozostałe

formalności.

– Nie mam pojęcia. – Guma wędrowała z jednej strony na drugą. – Przejechałem gdzieś na czerwonym świetle?

Bergman pokręcił głową.

– Ciekawi mnie, gdzie pan był w niedzielę około południa.

– Pewnie jeździłem autem po Pradze. Ale pytał mnie już o to przez telefon pański kolega. Dlaczego muszę to mówić jeszcze panu?

– Czy jeździł pan po ulicy Krokusowej na Babie?

Chłopak nieznacznie poczerwieniał.

– Może tak, a może nie. Nie znam takiej ulicy. Jeśli tam byłem, to nawet o tym nie wiem. O co panu chodzi? Niczego nie zrobiłem.

Bergman położył przed nim zdjęcie bransoletki Julii.

– Czy widział pan kiedyś ten przedmiot?

Dawid przestał żuć gumę.

– N-nie. Nie widziałem.

– Jak mi pan wyjaśni, że znalazły się na nim pańskie odciski palców?

Twarz Dawida zmieniła kolor jak skóra kameleona. Teraz była gipsowo biała.

– A… Już sobie przypominam… Znalazłem na ulicy reklamówkę z jakąś biżuterią. Przejrzałem ją, ale nic mi się nie spodobało, więc wyrzuciłem ją do śmieci.

– W Krczu? – spytał Bergman. Już wiedział, że mężczyzna, który znalazł kosztowności w śmietniku w Krczu i sprzedał je, to praski bezdomny o ksywce Transformator. Na czas morderstwa Julii miał niepodważalne alibi: siedział w barze Nadzieja nad zupą. Z pięciu tysięcy koron, które dostał za biżuterię, niewiele mu zostało, bo zaprosił kolegów

na popijawę na dworzec główny, a to, czego nie wydał, rozdał w stanie upojenia alkoholowego.

– Tak, w Krczu. – Chłopak zaczął się kręcić na niewygodnym krześle. Było mocno przykręcone do podłogi, żeby przesłuchiwany nie mógł zaatakować nim przesłuchującego. – I co z tego?

Bergman wzruszył ramionami i spojrzał Dawidowi w oczy.

– Te przedmioty należały do kobiety, która mieszkała przy ulicy Krokusowej, numer dwadzieścia pięć. Ta kobieta, Julia Keller, została w niedzielę po południu zamordowana. Mamy świadka, który widział w tym czasie w pobliżu miejsca zbrodni pańskie auto. Dlatego podejrzewam, że nie znalazł pan tych kosztowności w Krczu, tylko porzucił je pan tam po morderstwie. Nie było to zbyt mądre, ponieważ wkrótce wyciągnął je stamtąd bezdomny i zaniósł je do komisu. – Zrobił pauzę, wstał i nachylił się do chłopaka nad stołem. – Nie wygląda to dla pana zbyt dobrze, panie Minks. Nie wolałby pan jednak powiedzieć mi prawdy na temat tego, co robił pan w niedzielę?

Chłopak zaczął oddychać przez usta jak zganiany pies.

– Przecież już powiedziałem – wydusił z siebie.

– Od Weroniki Truskawki mam inne informacje – burknął Bergman. Był to strzał na ślepo, bo Weronika Truskawka wprawdzie siedziała z Daneszem w jego biurze, ale na razie nie pisnęła ani słowa. Twierdziła, że nie spotyka się z Dawidem Minksem i że o morderstwie sąsiadki nie wie nic ponadto, co już zeznała. Ale wyglądała na śmiertelnie przerażoną. Dlatego Bergman zdecydował się na prosty trik: jeśli chłopak nie zna Weroniki, zrobi zdziwioną minę lub zapyta: od kogo? Ale jeśli ją zna…

– Co za krowa! – wybuchnął Dawid Minks. – Co za głupia krowa! – Natychmiast umilkł i rzucił Bergmanowi przerażone spojrzenie, lecz było już za późno.

– Weronika właśnie rozmawia z moim kolegą w sąsiednim pokoju – kontynuował Bergman, starając się ukryć triumfalny uśmiech. – Jeśli mi pan nie wierzy, mogę tam pana zaprowadzić. Proszę się dobrze zastanowić, czy wciąż chce mnie pan okłamywać.

Nastąpiła długa cisza, a Bergman postanowił, że jej nie przerwie. Miał dużo czasu i czuł, że milczenie skruszy Dawida bardziej niż naleganie lub zastraszanie.

– Dobrze. Powiem panu, jak to jest. Weronika to moja dziewczyna. To znaczy: była dziewczyna. Odwiedzałem ją przy Krokusowej. W niedzielę też tam byłem, pokłóciliśmy się i zerwałem z nią. Potem pojechałem do domu. Pewnie jest na mnie wkurzona i chce się zemścić. Jestem serio ciekaw, jakich bzdur panu naopowiadała.

Bergman nie wierzył w ani jedno słowo. Kiedy Dawid mówił, patrzył mu w oczy i ani na sekundę nie odwrócił wzroku, ale niektórzy łgarze, ci bardziej doświadczeni, robią to właśnie w tych chwilach, kiedy wyrzucają z siebie największe kłamstwa.

– Czyli twierdzi pan, że w niedzielę po południu w ogóle nie wszedł pan do domu Julii Keller?

– Nigdy w życiu nie widziałem tego babska.

– Skąd pan wie, że chodzi o „babsko", a nie o młodą dziewczynę?

Tym razem Dawid spuścił wzrok.

– Pewnie Wera mi o niej opowiadała. – Zrobił przerwę. – Próbuje pan mnie przyłapać, ale nie uda się to panu, bo ja niczego nie zrobiłem.

Bergman skinął głową.

– Czy wciąż pan twierdzi, że na ulicę Krokusową jeździł pan tylko w odwiedziny do swojej dziewczyny Weroniki Truskawki?

– Dokładnie tak.

– Jeśli więc to wszystko jest takie niewinne, to czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego na początku upierał się pan, że w ogóle nie zna pan tej ulicy?

Jeśli ktoś chce kłamać, musi być dobrym aktorem, a o Dawidzie Minksie tego powiedzieć nie można. Najwyraźniej nie przyszła mu do głowy żadna sensowna odpowiedź, więc spróbował zyskać trochę czasu, udając atak kaszlu.

– Jest pan chory?

– Nie… To znaczy… Ja…

Bergman był całkowicie przekonany, że ten chłopak przez cały czas opowiada bujdy.

– Zapytam raz jeszcze. Dlaczego nie przyznał pan od razu, że zna pan ulicę Krokusową i że jeździł pan tam do dziewczyny?

– Nie wiem – odpowiedział Dawid. – Chyba mnie pan przestraszył. Czy pan byłby spokojny, gdyby nagle zadzwoniła do pana policja i zostałby pan wezwany na przesłuchanie? – Zorientował się, z kim rozmawia. – No, pan pewnie tak, skoro jest pan gliną.

Bergman nie zareagował na obraźliwą uwagę. Sam czułby się przed sobą śmieszny, gdyby dał się sprowokować tak prymitywnym atakiem. Wolał bardziej wyrafinowane sposoby walki.

– Proszę chwilę poczekać – odparł chłodno i wstał. – Pójdę sprawdzić, czego dowiedział się mój kolega od pańskiej dziewczyny. Oczywiście mam na myśli pańską byłą dziewczynę.

I wyszedł.

Z Weroniką Truskawką byli Danesz i Rolnik, ale pytania zadawał tylko Adam, a Sylwia słuchała. Obawiali się, że gdyby niepełnoletnia dziewczyna została w pomieszczeniu sam na sam z mężczyzną, mogłaby się wystraszyć

i nie powiedzieć niczego. Lecz nawet obecność kobiety nie rozwiązała Weronice języka. Dziewczyna odpowiadała jednosylabowo i niechętnie. Nie, nie wie, kim jest Dawid Minks. Nie, w niedzielę nie zauważyła niczego podejrzanego. I w ogóle nie jest zdenerwowana – czym miałaby się denerwować? Danesz próbował przyłapać ją na kłamstwie, zadając skomplikowane pytania, a Sylwia wysyłała jej uśmiechy dodające otuchy, ale żadna taktyka nie przyniosła efektu. Pół godziny później Adam stwierdził, że marnuje czas i energię, więc z westchnieniem zamienił się z Sylwią miejscami.

– Spróbuj ty – szepnął jej. – Ale ja myślę, że ta dziewczyna naprawdę nic nie wie. Wypuściłbym ją do domu.

Sylwia usiadła naprzeciwko Weroniki, ściskającej w dłoniach szklankę, z której nie wypiła ani kropli, i obserwującej pyłek kurzu pływający po powierzchni wody.

– Nalać ci nowej wody? – spytała miękkim głosem Rolnik.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Spróbuj jeszcze raz opowiedzieć mi, co robiłaś w niedzielę – poprosiła Sylwia.

– No więc wstałam, wzięłam prysznic – zaczęła dziewczyna znudzonym głosem – umyłam włosy i czekałam w swoim pokoju, aż mama zrobi obiad… – Spojrzała Sylwii w oczy. – Dlaczego muszę w kółko to powtarzać?

Zanim Sylwia zdążyła odpowiedzieć, do pomieszczenia zajrzał Bergman. Przywołał Rolnik do drzwi i coś jej szepnął.

– Rozumiem.

Kiedy wyszedł, powoli wróciła do dziewczyny, która przez cały ten czas nie spuszczała jej z oka.

– Koniec żartów, Weroniko. Twój chłopak, Dawid Minks, wszystko nam wyśpiewał – oświadczyła powoli. – Nie sądzisz, że już czas zacząć mówić prawdę?

W bursztynowych oczach błysnął strach, na ułamek sekundy przeszedł w prawdziwe przerażenie, ale natychmiast rozpłynął się w chłodnym spokoju. Weronika widziała zbyt wiele seriali, by nabrać się na ten wyświechtany trik.

– Kto? – spytała i wyczarowała na swej pięknej twarzyczce zdziwioną minę. – To musi być jakaś pomyłka. Już wam mówiłam, że nie znam żadnego Dawida.

Rolnik wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Dobrze. W takim razie nie będziemy cię już męczyć.

Obróciła się do Danesza.

– Adamie, odwieziesz Weronikę do domu?

Uzgodnili, że kiedy Danesz będzie wyprowadzać z gabinetu Weronikę, zadzwoni do Bergmana. Minutę później Bergman wyjdzie z Dawidem z pokoju przesłuchań. Wszyscy czworo spotkają się na schodach.

Józef Bergman w milczeniu patrzył, jak chłopak po przeciwnej stronie stołu niestrudzenie ugniata szczękami gumę do żucia. Był chudy, miał płaską klatkę piersiową, a na ramionach ani śladu bicepsów. Wąski nos z drobnymi, kasztanowymi piegami i wystające kości policzkowe równie dobrze mogłyby należeć do dziewczyny. Na prawym, kościstym nadgarstku nosił skórzaną bransoletkę, a teraz bawił się nią nerwowo.

Bergman wyobraził sobie, jak te ręce podnoszą przycisk do papieru lub jakąś statuetkę i zadają Julii cios w potylicę. Mogło się to zdarzyć. Inspektor położył obie dłonie na blat stołu i wstał.

– Wypuszczę pana teraz do domu, panie Minks, ale proszę liczyć się z tym, że niedługo znów pana wezwiemy – oświadczył. – Proszę do tego czasu nie wyjeżdżać z miasta. Jesteśmy umówieni?

Dawid skinął głową i bez słowa przekroczył próg.

Dopadną go prędzej czy później, tego Dawid był pewien. Kiedy szedł przez poczekalnię przed pokojem przesłuchań, uginały się pod nim kolana, jakby zamiast stawów miał dwie grudki żelu. Boże, dlaczego ta Wera nie mogła trzymać jęzora za zębami? Co wygadała? Chyba nie wszystko, bo Bergman od razu oskarżyłby go o włamanie, a może nawet o morderstwo. Pewnie przyznała, że Dawid do niej jeździ i że się znają. Z czasem policjanci wyciągną z niej resztę. A czego innego się spodziewał? Przecież Weronika to jeszcze dziecko, głupia nastolatka, rozwydrzona gówniara, która pragnie być w centrum uwagi. A na nim w ogóle jej nie zależy.

Dawid zerwał swoją brązową, skórzaną kurtkę z wieszaka w poczekalni. Rozedrganą ręką długo nie mógł znaleźć prawego rękawa, a zanim się ubrał, ujrzał na twarzy Bergmana lekko prześmiewczy grymas.

– Mogę już iść?

Inspektor spojrzał na zegarek.

– Proszę jeszcze sekundkę poczekać. Wrócę po coś i odprowadzę pana do wyjścia.

Dawid został w poczekalni sam i poczuł się jak zwierzę w klatce. Jakoś tak czują się na pewno wszystkie te tygrysy i lwy w zoo. Nie po raz pierwszy był przesłuchiwany, ale znajomość sytuacji w ogóle go nie uspokajała. Próbował udawać obojętność, ale trudno ocenić, na ile mu to wychodziło.

Kiedy policja przyszła po niego po raz pierwszy, miał zaledwie osiemnaście lat. Brał udział w sprzedawaniu kradzionych rzeczy, ale zrobił

to tylko kilka razy i właściwie nie należał nawet do szajki, którą później całą zamknęli. Jeden z tych łobuzów, jego daleki kuzyn, znał złodziei mieszkaniowych, którzy dla niego „pracowali", a Dawid roznosił skradzione rzeczy po lombardach lub sprzedawał je przez ogłoszenia. Ale zanim policja zadzwoniła do jego drzwi, zdążył zgarnąć tylko trzydzieści trzy tysiące koron. To był prawdziwy pech.

Wtedy pilnie potrzebował pieniędzy. Budził się i zasypiał, rozmyślając, jak je zdobyć. Wydawał je na Monikę, która była o dziesięć lat starsza od niego, głupia i żądająca ciągłych wydatków. Twierdziła, że biedni faceci nie są seksowni, a Dawid w to wierzył, zresztą uwierzyłby w cokolwiek, bo miała cudownie miękkie ciało, piersi jak dwa olbrzymie miechy przetkane niebieskimi żyłkami i szerokie uda, które wspaniale pocierały o siebie przy każdym kroku. Zarabiać Dawid zbytnio nie potrafił, więc kradł. Z początku po to, żeby móc zaprosić Monikę na kolację, a potem dla samej adrenaliny płynącej z zakazanego czynu – dla ciśnienia krwi w nozdrzach i przyśpieszonego oddechu, kiedy uciekał po ulicy z radiem samochodowym pod kurtką. Ukradł mnóstwo rzeczy, sprzedał je w lombardach i nikt go przy tym nie złapał. Ale raz był nieostrożny i wpadł przy kradzieży tego cholernego roweru górskiego. Dostał zawiasy… Potem zwinął ojczymowi z aktówki woreczek z utargiem z restauracji i to go zniszczyło. Wszystkie pieniądze wydał z Moniką w tydzień. Kupił jej mnóstwo ubrań, perfum, biżuterii, poszli na wyścigi konne, na drogą kolację i przepuścili tysiące w kasynie niczym bohaterowie jakiegoś amerykańskiego filmu z lat sześćdziesiątych.

Ojczym myślał, że woreczek się zgubił. Musiał oddać pieniądze i wyrzucili go z pracy, bo jego obowiązkiem było wpłacanie utargu od razu do banku, a nie noszenie go do domu w aktówce. Potem matka znalazła

przy praniu zaginiony papierowy woreczek w tylnej kieszeni dżinsów Dawida i prawie zemdlała…

Stało się to trzy miesiące temu, a skradziony utarg wynosił sto dwadzieścia tysięcy koron. Ojczym zgodził się na milczenie, jeśli dostanie pieniądze z powrotem co do grosza. Dawid zaczął oddawać mu prawie całą wypłatę, a Monika oczywiście go rzuciła…

Dlatego postanowił okraść Julię. Chciał oddać dług, a potem zacząć żyć lepiej.

– Chodźmy. – Bergman wziął go za łokieć i zrobił to zaskakująco delikatnie, niemal ze współczuciem, lecz od razu dodał uszczypliwie: – Dlaczego pan się tak krzywi? Jakiś problem?

– Zamyśliłem się.

Detektyw wyprowadził go na długi korytarz z podłogą pokrytą zielonkawym linoleum, w którym odbijało się zimne światło jarzeniówek. Piętro wyżej rozlegały się głosy i kroki – ktoś schodził po schodach.

Po chwili Dawid ujrzał Weronikę, szła u boku młodego mężczyzny w cywilu i akurat odpowiadała mu na zadane szeptem pytanie.

– Nie. Naprawdę nie ma potrzeby. Pojadę autobusem.

Była blada, miała podkrążone oczy, ale mówiła zdecydowanym, spokojnym głosem. Kiedy zobaczyła Dawida i Bergmana, na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

– Do widzenia – rzuciła inspektorowi bez uśmiechu, a na Dawida spojrzała obojętnie, jakby interesował ją tyle co plakat na pomalowanej emalią ścianie korytarza.

– Do widzenia – odparł Bergman niezadowolony.

Wtedy Dawid zrozumiał, że ta dziewczyna jest silniejsza i doroślejsza niż on. W tej krótkiej chwili wyczytał z jej oczu, że nie wyjawiła im niczego, absolutnie niczego, natomiast on dał się głupio nabrać i zaszkodził

sam sobie. Kiedy przyznał, że zna Weronikę, dał im broń: teraz wiedzą, że na początku kłamał. Będą go dręczyć, jego i Weronikę, nie dadzą im spokoju, dopóki nie wyciągną z nich prawdy. Dawidowi chciało się płakać.

– Miłego dnia, panie Minks – pożegnał się z nim złośliwie inspektor i otworzył zakratowane drzwi. – Wkrótce się do pana odezwiemy.

Dawid wyszedł na ulicę i rozejrzał się. Czerwona wiatrówka Weroniki właśnie skręcała w lewo, za róg. Ruszył więc w przeciwnym kierunku na wypadek, gdyby go śledzili, i wściekle kopał przed sobą puszkę po piwie.

Najchętniej wsiadłby do auta i zaszyłby się gdzieś, gdzie go nie znajdą, ale wiedział, że tego nie zrobi. Przecież nie zostawi Weroniki z tymi problemami samej.

Muszą się jak najszybciej spotkać i wymyślić, co powiedzą glinom.

ROZDZIAŁ 25

– I tak myślę, że mordercą jest Minks – oświadczył Adam Danesz, wyjeżdżając tyłem z wąskiego miejsca parkingowego w garażu podziemnym. – Niech pan zobaczy: twierdzi, że chodził z Weroniką Truskawką i że jeździł do niej na Krokusową. Ta dziewczyna ma stanowić jego alibi. Tyle że ona upiera się, że w ogóle go nie zna. Wierzę jej. Widział ją pan? Kiedy spotkali się na korytarzu, nawet nie mrugnęła.

Bergman patrzył, jak po zakurzonej przedniej szybie ślizgają się zielonkawe światła jarzeniówek sufitowych. Przez tę posępną surowość betonowych katakumb zazwyczaj ogarniał go smutek i nie mógł się doczekać wyjechania na światło dnia. Dlaczego architekci garażów podziemnych nigdy nie zadają sobie trudu, by nadać im choć odrobiny uroku?

– Obserwowałem bardziej jego – odpowiedział. – Zbladł, jakby zobaczył ducha. Ale ma pan rację, jej to spotkanie nie poruszyło… Wierzyłem, że konfrontacja z Minksem wyprowadzi ją z równowagi i wreszcie powie nam coś ciekawego, ale myliłem się. – Umilkł. – To ciekawa dziewczyna.

– W bieliźnie byłaby ciekawsza. – Danesz się zaśmiał i skręcił w stronę wyjazdu z garażu tak gwałtownie, że zapiszczały opony.

– Boże, przecież ona ma szesnaście lat.

– Żartowałem.

Bergman mlasnął z dezaprobatą.

– Wie pan, co myślę ja, panie Adamie? Ci dwoje dobrze się znają, może nawet ze sobą chodzą, ale wcześniej uzgodnili, że nie będą się do tego przyznawać. Weronika się tego trzyma, ale Dawid nie jest tak dobrym kłamcą jak ona. Wygadał się, a potem już musiał wyznać, że coś go łączy z Weroniką. Może naprawdę był u niej w niedzielę. Ale stało się jeszcze coś, co oboje przed nami tają. Coś, przez co postanowili udawać, że nigdy w życiu się nie widzieli.

– Przecież to oczywiste. Załatwili Julię Keller.

– Nie jestem tego taki pewien.

Wreszcie wyjechali na ulicę zalaną ostrym, jesiennym słońcem. Lodowaty wiatr miotał poskręcanymi, suchymi liśćmi, a ludzie przedzierali się przez zawieruchę z kołnierzami podciągniętymi pod brodę i dziko powiewającymi połami płaszczy. Bergman pochylił się do okna, żeby promienie słońca trochę rozgrzały go przez szybę.

– Mnie wydaje się to jasne – upierał się Danesz. – Ten chłopak to złodziej i morderca. Włamał się do Julii Keller, ona przyłapała go na tym, że grzebie jej w szufladach, więc oberwała po głowie przyciskiem do papieru.

– Nie wiemy, czy to był przycisk do papieru. Narzędzie zbrodni zapadło się pod ziemię – przypomniał Bergman. – Poza tym nie mamy żadnego dowodu na to, że Dawid Minks naprawdę był w domu Julii Keller. Twierdzi, że kosztowności znalazł w reklamówce na ulicy, przejrzał je i wyrzucił do śmieci. Wprawdzie my w to nie wierzymy, ale cóż z tego. Jak dowieść, że ukradł je z willi? W domu nie znaleziono jego odcisków palców, co oczywiście może znaczyć tylko tyle, że miał rękawice… Gdybyśmy znaleźli świadka, który widział, jak wyłamuje okno tarasowe, sytuacja wyglądałaby inaczej.

Danesz wzruszył ramionami.

– Ale przecież był na Krokusowej w czasie popełnienia morderstwa. A ta dziewczyna, ta Weronika, nie potwierdziła, że przyjechał do niej. Nie ma alibi, na bransoletce są jego odciski… Czy to nie wystarczy? Powinniśmy go aresztować. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego go pan wypuścił.

– Bez pośpiechu. Wkrótce wezwiemy go na kolejne przesłuchanie – odpowiedział rozkojarzony Bergman, którego uwagę przykuły smugi na szybie. Otworzył czarną aktówkę, wyciągnął z niej papierową chusteczkę i zaczął od wewnątrz wycierać zabrudzone okno.

– Na Boga, czy pan czasami myje to auto? Przecież wie pan, jak nie znoszę brudu.

Adam zamiast odpowiedzi przewrócił oczami.

– Wie pan, co jest dziwne? – Bergman zaczął kolejną chustką czyścić przegródkę na okulary. Było w niej kilka paragonów ze stacji benzynowej, stara guma do żucia i lepki ślad po kawie. – Niektórzy ludzie potrafią tak dbać o auto, że nawet po dziesięciu latach wygląda jak nowe. A inni – spojrzał na kolegę – w pół roku zrobią z niego chlew.

Adam włączył się do ruchu.

– Mnie bałagan nie przeszkadza. Moja mama mawia: porządek jest dla głupców, inteligent poradzi sobie z chaosem. – Zaśmiał się, ale po chwili zrozumiał, jak Bergman mógł zinterpretować jego słowa. Oderwał wzrok od jezdni i spojrzał przepraszająco na przełożonego. – Oczywiście nie chciałem przez to powiedzieć, że pan… że myślę… – Na szyi i na policzkach zaczęła mu się rozlewać purpura. – Po prostu przypomniało mi się, co mówi mama. Nie miałem na myśli nic złego. Naprawdę.

– I tylko to pana ratuje – odpowiedział surowym tonem Bergman, ale kiedy ich spojrzenia się spotkały, w oczach inspektora iskrzyło się rozbawienie.

Ulica Krokusowa wygląda spokojnie jak zawsze. Puszyste poduchy bluszczu na drewnianym płocie Hrubeszów targał wiatr. Bergman podszedł do furtki, wsunął rękę w gąszcz ciemnozielonych pędów i namacał dzwonek.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, a do furtki zbiegła po schodach około czterdziestopięcioletnia kobieta w fartuchu. Orzechowe włosy miała upięte w luźny kok, który z daleka wyglądał niedbale, ale przy spojrzeniu z bliska można było w nim dostrzec warstwę lakieru oraz wiele spinek wsuniętych w wyrafinowany sposób. Gospodynię zdobił również delikatny makijaż, a na obojczykach spoczywał gustowny naszyjnik. Kobieta trochę przypominała Bergmanowi bohaterki płytkich filmów amerykańskich, które gotują, sprzątają, budzą się i zasypiają umalowane i z nienaganną fryzurą. Inspektor dotychczas sądził, że takie osoby nie istnieją poza studiami filmowymi.

Kobieta się uśmiechnęła, a krzywe przednie zęby trochę zbliżyły jej doskonały wygląd do człowieka.

– W czym mogę pomóc?

Bergman pokazał odznakę.

– Józef Bergman, policja kryminalna. Czy mam przyjemność z panią Ladą Hrubesz? Czy możemy zadać pani kilka pytań?

Wytarła dłonie w biodra w typowym geście gospodyni, której ktoś przeszkodził w pracy.

– Oczywiście – powiedziała cicho i otworzyła furtkę. – Ale niech panowie wejdą do środka. Nie chciałabym robić tu przedstawienia dla sąsiadów. – Rozejrzała się ostrożnie po pustej ulicy. – Mogę poczęstować panów strudlem, za chwilę będzie gotowy – dodała, jakby zakładała, że jeśli nie zaproponuje im żadnej przynęty, nie będą chcieli wejść i zaczną

przesłuchiwać ją na chodniku. – Właściwie spodziewam się gości, teścia i teściowej, ale mam jeszcze godzinę. Chętnie panom pomogę.

– Gites – powiedział Danesz.

– To byłoby z pani strony bardzo miłe – dodał z rezerwą Bergman.

Z zewnątrz willa Hrubeszów niemal nie różniła się od willi Julii, ale wnętrze było całkowicie inne. Bergmana zafascynowały duże wolne przestrzenie i proste, nowoczesne meble w naturalnych barwach. Panowała tam przemyślana oszczędność, jaką znał raczej z czasopism niż z prawdziwych domów. Nic nie zostało pozostawione przypadkowi, wszystkie krawędzie ze sobą współgrały. Zadbano o każdy szczegół. Efekt był trochę chłodny, a Bergmanowi przyszło do głowy, że Hrubeszowie podczas urządzania domu przywiązywali większą uwagę do wyglądu niż wygody. Lecz kiedy opadł na białe, skórzane meble wypoczynkowe, musiał przyznać, że są dużo wygodniejsze, niż sądził.

– Napiją się panowie czegoś? Kawy? Herbaty?

Gdyby Bergman przyjął podczas każdej wizyty filiżankę kawy, pod koniec dnia pracy groziłoby mu zatrucie kofeiną. Lecz dziś zdążył wypić tylko swoje dwie poranne filiżanki, więc skinął głową.

– Poproszę kawę. Dużo mleka i bez cukru.

– A dla mnie dużo mleka i dużo cukru – złożył zamówienie Danesz i niecierpliwie pokręcił się na skraju skórzanego fotela. – Muszę się szybko postawić na nogi.

Lada Hrubesz poruszała się po domu powoli, jakby miała do dyspozycji cały czas świata. Obróciła się i poszła do kuchni. Pod fartuchem miała dziwne ubranie, wyglądało jak satynowe kimono. Podkreślało jej sylwetkę, zaokrągloną w pożądanych miejscach. „Bezrobotna pani domu" – ocenił ją w duchu Bergman. „Wypoczęta, trochę znudzona, a mimo to zadowolona.

Zamknęła się w swoim małym, bezpiecznym świecie, z którego nie chce, a może nawet nie potrafi wyściubić nosa. A może się mylę?".

– Ta kanapa kosztowała minimalnie sto tysięcy – szepnął Danesz. – Niech mi pan powie, skąd ludzie biorą na to pieniądze? Sprzedają narkotyki? Nagrywają porno? Bo ja uczciwą pracą zarobię w najlepszym razie na meble z IKEA.

Lada wróciła powłóczystym krokiem do salonu. Niosła ceramiczną tacę z trzema filiżankami, dzbankiem i cukiernicą. Wszystkie naczynia były jednokolorowe, a filiżanki kanciaste. Każda z nich wyglądała trochę inaczej. Bergman zorientował się, że malutkie uszko jego filiżanki ma tak dziwny kształt, że nie da rady utrzymać go w palcach. Ale kawa smakowała doskonale, dawno nie pił tak wyśmienitej. Przyłapał się na tym, że pierwszym łykiem delektuje się z zamkniętymi oczami.

– Panowie przyszli w sprawie Julii – zaczęła Lada i oparła się w fotelu. – Proszę mi powiedzieć, co się stało. Cała ulica mówi tylko o tym, że została wyniesiona pod czarną płachtą i od tego czasu jej dom jest pełen gli… policjantów. Potem była tu jakaś pańska koleżanka, obeszła chyba całą ulicę. Pytała, czy w niedzielę widzieliśmy kogoś u Julii w ogrodzie lub w domu, ale nie chciała mi powiedzieć, co się stało. – Zrobiła pauzę i posłała Bergmanowi ponaglające spojrzenie. – Muszą panowie wiedzieć, że byłyśmy z Julią najlepszymi przyjaciółkami. Co się jej przydarzyło?

Inspektora zaskoczyło, że te dwie kobiety były sobie tak bliskie, skoro ich domy i styl życia tak bardzo się od siebie różniły. Co mogło je łączyć? Odłożył filiżankę.

– Została zamordowana. Wszystko wskazuje na to, że stało się to w niedzielę tuż po południu. Więcej nie mogę powiedzieć z uwagi na dobro śledztwa.

Kobieta przejechała dłońmi po twarzy, a Bergman dopiero teraz zauważył, że makijażem zamaskowała wyraźnie podkrążone oczy. Na swój wiek miała bardzo mało zmarszczek, lecz mimo to wyglądała na zmęczoną.

– Tak myślałam. Boże! Już wiecie, kto to zrobił?

– Niestety nie.

– Biedna Julia. To była cudowna kobieta. Nigdy bym nie pomyślała…

Do oczu napłynęły jej łzy, a Bergman taktownie milczał.

– Ale ja panom nie pomogę – powiedziała po chwili. – Niczego nie widziałam. W niedzielę robiłam duże porządki. Z domu wyszłam dopiero po południu.

Bergman odłożył filiżankę.

– Chodzi mi o imprezę, która odbyła się u państwa… – zajrzał do notatnika – w zeszły piątek.

W oczach kobiety błysnął lęk. Czy to pytanie się jej nie spodobało? Westchnęła.

– O imprezę? A co ona ma wspólnego z…

– Dowiedziałem się, że ktoś wrzucił Julii Keller do kawy pinezkę. Wie pani o tym?

Ledwo zauważalnie skinęła głową.

– Czy może mi pani opisać, jak to się stało?

Lada Hrubesz milczała. Potem poderwała się z krzesła tak gwałtownie, że przestraszony Bergman prawie wylał kawę.

– Strudel… Przepraszam… Muszę go wyciągnąć z piekarnika.

I zniknęła.

Danesz uniósł brwi.

– Nie sądzi pan, że jest przy nas jakaś zdenerwowana?

– A kto nie jest?

W milczeniu czekali na powrót Lady.

Zajęło to jej prawie dziesięć minut, ale zrekompensowała im czekanie dwoma kawałkami puszystego ciasta, jeszcze parującego. Na każdy talerzyk dodała odrobinę bitej śmietany.

– Proszę, panowie. Smacznego.

– Dziękujemy. – Bergmanowi ciekła ślinka, ale postanowił jeszcze wstrzymać się z jedzeniem. – A więc?

Podniosła ku niemu karmelowe oczy.

– To była moja wina – wyznała spokojnie.

– Pani? Czy sugeruje pani, że to pani wrzuciła Julii do kawy pinezkę?

– Tak.

– Boże, dlaczego? Przed chwilą pani twierdziła, że były panie najlepszymi przyjaciółkami.

Pochyliła się i objęła ramionami kolana.

– *Byłyśmy* najlepszymi przyjaciółkami. Ta pinezka nie miała przestraszyć Julii, tylko tę kobietę, która z nią przyszła. Tę Zuzannę. Pomyliłam filiżanki i… – Zaczęła nieznacznie kołysać się w przód i w tył. – Boże, jak ja się za to wstydzę! Byłam pijana i nieszczęśliwa, ale to nie jest żadne usprawiedliwienie. – Spojrzała na Bergmana. – Chyba powinnam wyjaśnić od początku, co stało się tego wieczora.

– Rzeczywiście, tak będzie najlepiej.

Skinęła.

– Zacznę bardzo ogólnie. Wie pan, nie mamy z Wacławem dzieci. Długo to odkładaliśmy, a potem okazało się, że ja i tak nie mogę zajść w ciążę. Prawdę mówiąc, jakoś bardzo nas to nie dotknęło, nigdy nie czułam fizycznej potrzeby macierzyństwa i przywykliśmy do wygodnego życia… – Zamilkła, a Bergman pomyślał, że naprawdę zaczęła bardzo

ogólnie. Może przeszłaby już do rzeczy? – Mówię panu o tym tylko po to, żeby zrozumiał pan, że jestem z Wacławem bardzo związana, chyba bardziej, niż zazwyczaj żony bywają związane z mężami. Krótko mówiąc, nie mam nikogo innego – kontynuowała nieco przepraszającym tonem. – Jesteśmy ciągle razem. Wszystko robimy razem. Od ślubu tylko dwie noce spędziliśmy osobno.

Bergman nie potrafił wyobrazić sobie osoby, z którą chciałby robić wszystko razem. Właściwie cieszyło go, że taki ktoś nie istnieje. Życie w tak zżytej parze porównał w duchu do egzystencji zwierzęcia w klatce, a żadna z korzyści płynących z takiego związku nie wynagrodziłaby mu codziennej klaustrofobii. Dziwne, że to, co go przeraża, Lada Hrubesz uznaje za sukces. Pomimo iż oboje lubią porządek i na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że mają dużo wspólnego, każde z nich wybrało całkowicie odmienny styl życia.

Na chwilę przestał słuchać, ale najwyraźniej nie stracił nic ważnego.

– …więc postanowiłam zająć się domem – mówiła właśnie. – Studio łazienkowe Wacława zapewnia nam godziwe życie. Sprawiłam sobie koty, Wacław twierdzi, że tylko po to, bym mogła zaspokoić instynkt macierzyński, ale ja sądzę…

Bergman pochylił się niecierpliwie.

– Wszystko rozumiem, ale czy nie wolałaby mi pani opowiedzieć, jak to było z pinezką?

Utkwiła w nim rozkojarzony wzrok, jakby wyrwał ją z transu.

– Wacław flirtował z tą kobietą – oświadczyła zgorszona. – Siedział obok niej, dotykał jej, szeptali do siebie… Nigdy wcześniej niczego takiego nie robił… To znaczy, o ile mi wiadomo. – Ostatnim słowom towarzyszył gorzki śmiech. – Słyszałam, jak rozmawiają o dzieciach. I zrozumiałam – uniosła ku Bergmanowi oczy pociemniałe od smutku – że Wacław ich

pragnie, ale nie chciał mnie krzywdzić, więc nigdy mi o tym nie powiedział.

Bergman sięgnął po talerzyk ze strudlem i nabrał na łyżeczkę kruchy kęs. Nie, naprawdę nie może współczuć każdemu, kto wtajemniczy go w swoją rozpacz. Nie chciał być nieuprzejmy, ale nasilało się w nim poczucie bezcelowości. „Sprawa z pinezką wyjaśniona" – pomyślał. Kolejny trop, który donikąd go nie zaprowadził…

Lada kontynuowała:

– Upiłam się. Kiedy nalewałam wodę w kuchni, zobaczyłam na podłodze pinezkę. Bóg wie, skąd się tam wzięła. Pomyślałam, że dyskretnie wrzucę ją do kawy tej babie, tej wypindrzonej latawicy. I tak też zrobiłam. Chciałam ją wystraszyć, zepsuć jej wieczór, odciągnąć ją od Wacława albo nie wiem… Tyle że ta filiżanka należała do Julii.

– Kim była ta „wypindrzona latawica"?

– Drugą żoną byłego męża Julii. Nazywa się Zuzanna Keller. Zaskoczyło mnie, że Julia się z nią przyjaźni. To dość nietypowa sytuacja, nie sądzą panowie?

Bergman odłożył talerzyk, myśląc, jak szybko się pożegnać, nie urażając gospodyni.

– Czy pani wie, że pani czyn mógłby zostać zakwalifikowany jako spowodowanie zagrożenia życia? – zapytał.

– Tak. – Na jej policzkach pojawiły się karminowe plamy.

– Powinna się pani cieszyć, że Julia tej pinezki nie połknęła. – Pozwolił zdaniu wybrzmieć złowrogo, a gdy Lada nie odpowiedziała, uśmiechnął się do niej pocieszająco. – Ma pani szczęście, że nikomu się nic nie stało. Zapomnę o tym, co mi pani powiedziała, dobrze?

Odwzajemniła jego uśmiech, a on uświadomił sobie, że jej krzywe przednie zęby wręcz dodają jej uroku.

– Dziękuję – odparła.

Wstali i podeszli do drzwi, Bergman pierwszy, za nim Danesz, a Lada Hrubesz na końcu. Na korytarzu z podłogą wyłożoną dużymi kaflami Lada wyprzedziła ich i zastąpiła im drogę.

– Czy mogę jeszcze o coś panów spytać?

– Oczywiście – odpowiedział Danesz.

– W ogrodzie Julii zostały koty. Czy ktoś je karmi?

– To drapieżniki, prawda? Podejrzewam, że coś sobie upolują.

– W mieście to nie wystarczy. Czy mogę co jakiś czas podrzucić im coś do jedzenia? Chodzi o to… Tego domu pewnie pilnuje ktoś od was, prawda. Czy byłoby problemem, gdybym…

Bergman jej przerwał.

– Coś pani zdradzę, pani Hrubesz. Do ogrodu Julii codziennie wchodzi przez płot ta mała blondynka z sąsiedniego domu i karmi koty konserwami. Nie powinna tego robić, ale trudno… – Uśmiechnął się. – Jeśli chce pani do niej dołączyć, proszę bardzo. Nikt nie będzie sprawiać pani problemów. Ale byłoby lepiej, gdyby tej pomocy żywieniowej udzielała pani z ulicy, przez dziurę w płocie.

Chciał ją rozbawić, ale pozostała poważna.

– Dziękuję. Wie pan, pomyślałam, że mogłabym te koty adoptować. Wprawdzie jest ich dwanaście, ale… Są to w pewnym sensie sieroty, prawda? A ja mam straszne poczucie winy z powodu tej pinezki.

– Weźmie je pani do siebie?

Wtedy się uśmiechnęła.

– Raczej postaram się je przekonać, żeby się do mnie wprowadziły. Z kotami inaczej się nie da, inspektorze. Robią tylko to, co chcą. Właśnie dlatego tak je lubię.

W tym całkowicie się z nią zgadzał.

Truskawowie posiadali największą willę przy ulicy Krokusowej. Na zboczu za furtką znajdowało się kilka schodków prowadzących do starannie zagrabionej ścieżki ze śnieżnobiałego żwirku. Ogród z oczkami wodnymi i sztucznymi pofałdowaniami terenu trochę przypominał Bergmanowi pole golfowe. Na pięciocentymetrowy trawnik opadała z kilku dysz jedwabista wodna mgiełka.

Joanna Truskawka prowadziła ich w stronę domu z miną pełną ekscytacji i zaskoczenia, jakby nie potrafiła się zdecydować, czy ta wizyta ją ucieszyła, czy przestraszyła. Pachniała potem i dymem papierosowym, co próbowała ukryć dużą ilością perfum. Kiedy odezwała się do Bergmana z bliska, owionął go smród słodkiego alkoholu.

– Niech panowie nawet na mnie nie patrzą. Gdybym wiedziała, że będę mieć tak ważnych gości, wystroiłabym się na galowo – szczebiotała właśnie. Pośliniła dwa palce i wyrównała nimi brwi, wydepilowane w cienkie kreski. – Trzeba było zadzwonić i powiedzieć, o czym chcą panowie ze mną rozmawiać. Przygotowałabym sobie odpowiedzi na piśmie. Może mi panowie nie uwierzą, ale wypowiedzi pisemne są mi dużo bliższe niż ustne. Właściwie obecnie pracuję jako niezależny copywriter. Zakładam, że panowie wiedzą, z czym taka praca się wiąże. – Ponieważ jednak nie zareagowali w żaden sposób, dodała poważnym głosem: – Wymyślam na przykład slogany reklamowe. To ciężka praca i tylko dla wybranych. Trzeba mieć wyczucie językowe i poetyckie korzenie.

Za jej plecami Bergman i Danesz wymienili znaczące spojrzenia. Danesz zasugerował gestem, że ich rozmówczyni jest pijana. Bergman skinął na potwierdzenie.

– Chcą panowie usiąść w ogrodzie zimowym? – Joanna Truskawka zatrzymała się przy ścianie domu, spojrzała na swoje odbicie w szybie i poczochrała natapirowaną grzywkę. – Mogę zaproponować kawę, herbatę, lemoniadę. A może raczej kieliszek czegoś mocniejszego? Jeśli panowie pozwolą, ja wezmę sobie kropelkę wermutu. Mieni mi się w oczach i trochę kręci mi się w głowie… Mam niskie ciśnienie i przed południem bywam słaba jak mucha. Kiedy powiedziałam o tym lekarce, doradziła mi: „Niech pani walnie sobie co rano kielicha. To postawi panią na nogi". I miała rację, to naprawdę działa. – Weszła przed nimi do zalanego słońcem ogrodu zimowego i wskazała na foteliki ratanowe. – Proszę się rozgościć. Chcą panowie poczekać na Weronikę i ją przesłuchać? Powiem panom, że ta dziewczyna ostatnio w ogóle mi się nie podoba. Od kiedy znalazła tego… trupa – z obrzydzeniem skrzywiła wargi – zachowuje się zupełnie inaczej. Jest taka cicha, blada i ciągle chowa się w swoim pokoju. Pomyślałam nawet, że…

– Pani Truskawko. – Bergman delikatnie położył dłoń na jej przedramieniu i tonem głosu dał do zrozumienia, że ucieszyłoby go, gdyby zamilkła. Wzdrygnęła się i spojrzała nań, jakby zrobił coś niewybaczalnego. – Muszę zadać pani kilka pytań i śpieszę się, więc może moglibyśmy przejść od razu do rzeczy.

– Proszę bardzo. Jak pan sobie życzy. – Założyła ręce na piersiach. – Tylko jeśli pan pozwoli, najpierw naleję sobie tego…

– Czy pani mąż zastawiał pułapki na koty pani Keller?

Jej twarz stwardniała.

– No wie pan! Proszę sobie uświadomić, że mój mąż jest wykształconym człowiekiem, przedsiębiorcą, kolekcjonerem antyków, krótko mówiąc, jest mężczyzną na poziomie. Obawiam się, że nawet nie potrafiłby zastawić takiej pułapki.

– Rozumiem. Jak opisałaby pani swoją znajomość z sąsiadką?

– No… – Odwróciła wzrok. – Nie byłyśmy przyjaciółkami. Powiedzmy, że nasze stosunki określiłabym jako… chłodne.

– Co robiła pani w niedzielę około południa?

Przejechała grzbietem ręki po czole w teatralnym geście, który, jak pomyślał Bergman, zapożyczyła z filmów dokumentalnych, w których kobiety opowiadały o swoim życiu. – Ach, Boże, ależ pan mi daje wycisk, inspektorze. Jeszcze proszę powiedzieć, że podejrzewa mnie pan o morderstwo. Mnie, świadka, który chciał panu pomóc! W niedzielę koło południa oczywiście byłam w domu i gotowałam obiad. Weronika kilka razy schodziła na dół i widziała mnie w kuchni, na pewno to potwierdzi.

– Czy w tym czasie odwiedzał państwa jej chłopak?

Zasępiła się.

– Jej chłopak? Jaki chłopak? To chyba nieporozumienie. Weronika z nikim nie chodzi. Przecież wiedziałabym, gdyby miała… – Przeskoczyła wzrokiem z jednego na drugiego. – Czy ona wam powiedziała, że ma chłopaka?

Bergman i Danesz wymienili się spojrzeniami.

– Nie – odparł Bergman. – Nic takiego nam nie powiedziała. Po prostu coś sprawdzam. Jeszcze jedno pytanie: gdzie spędził niedzielne południe pani mąż? Zakładam, że teraz nie ma go w domu i nie mogę spytać go osobiście?

– Dobrze pan zakłada. Ale w niedzielne południe tu był. Bazgrał pędzelkami te swoje antyczne rupiecie, na które wyrzuca absurdalne kwoty, zamiast… – Na chwilę wypadła z roli „kobiety na poziomie", a kiedy to sobie uświadomiła, ściszyła głos. – Chciałam powiedzieć, że zajmował się swoją kolekcją antyków. – Wstała. – Naprawdę nie napiją się panowie kieliszeczka?

Odmówili i ruszyli do wyjścia. Joanna Truskawka nawet nie odprowadziła ich do furtki, tylko krzyknęła, żeby ją za sobą zatrzasnęli. Kiedy wsiedli do auta, Bergman się otrząsnął.

– Brr! Nie chciałbym być w skórze faceta, który co wieczór zasypia przy tej babie.

Danesz włączył silnik i uśmiechnął się.

– Ale córkę ma ładną. Jakby w ogóle nie miała jej genów, ta Weronika. Nie sądzi pan?

Nie spał od chwili, kiedy Bergman zadzwonił i powiedział mu, że Julia nie żyje. Po czterdziestu ośmiu godzinach bez odpoczynku jego kończyny zrobiły się ciężkie, a oczy kłuły, jakby pod powiekami miał piasek. „Przyjdę z panem porozmawiać" – powiedział inspektor Bergman, więc dlaczego jeszcze się nie pojawił? Wczoraj wezwali Ludwika na komisariat, żeby zdjąć mu odciski palców. Poszedł, ale nikt go tam o nic nie pytał, od razu wypuścili go do domu. To było gorsze, niż gdyby zabrali go na przesłuchanie krzyżowe. Ludwik trząsł się wewnętrznie, myśli szaleńczo wirowały mu w głowie i nie uspokajało go nawet powolne liczenie do stu.

Policja na pewno wie od dawna, że w był w niedzielę przy ulicy Krokusowej. Mógł go tam zobaczyć któryś z sąsiadów – przecież nie próbował się ukrywać i paradował po chodniku w tę i z powrotem minimalnie przez pół godziny. Gdyby umiał cofnąć czas do niedzielnego południa, z pewnością nie udałby się na Babę. Tyle że wtedy oczywiście nie podejrzewał, w jakie kłopoty wpakuje się przez tę wyprawę. Samotność w cichym mieszkaniu go denerwowała, a Zuzanna wciąż nie wracała i nawet nie zadzwoniła. Chciał porozmawiać z Julią, wypytać ją o plany swojej żony, a przy okazji trochę zwyzywać, ale ostatecznie nie znalazł w sobie na to odwagi, więc błąkał się po ulicach bez celu. Tylko kto w to

uwierzy? Nikt nie potwierdzi tego alibi. Motyw ma oczywisty – przecież prawdopodobnie już połowa Krokusowej wie, że Julia zbuntowała Zuzannę przeciw niemu. A policja bez wątpienia znalazła w domu Julii jego świeże odciski palców. Dużo odcisków. Jakżeby inaczej, skoro był tam dwa dni przed morderstwem i dotykał wielu rzeczy! Kiedy Ludwik zastanawiał się nad swoimi perspektywami, ogarniało go coraz bardziej lodowate przerażenie.

Była piąta, więc tak jak codziennie zrobił sobie kawę i popijał ją powoli przy niskim stoliku w pokoju. Zuzanna przyniosła robótki ręczne, usiadła na wersalce i ze wzrokiem wlepionym w telewizor cicho brzękała drutami. „Przestała brać tabletki" – przypomniał sobie Ludwik, ale ku jego własnemu zaskoczeniu ta myśl nie pogłębiła rozpaczy. Wręcz przeciwnie. Może jeśli jego żona będzie w ciąży, sąd spojrzy na niego łaskawszym okiem? To jedyna nadzieja, by całe to utrapienie nie skończyło się oskarżeniem Ludwika o morderstwo i wyrokiem skazującym.

Podniósł filiżankę do warg. Kawa była smaczna, ale podświadomość podszeptywała mu złośliwie: „jeśli wylejesz tę kawę, wszystko dobrze się ułoży". Posłusznie wstał, podszedł do zlewu i obrócił filiżankę do góry dnem.

– Co robisz? – spytała Zuzanna z uniesionymi brwiami.

– Mleko było skiśnięte – skłamał, ale cienki głosik w jego wnętrzu wciąż nie dawał mu spokoju. „To nie wystarczy" – droczył się z nim. „Konieczna będzie jeszcze jakaś ofiara". Ludwik gorliwie rozglądał się po pokoju, aż jego wzrok spoczął na pilocie od telewizora.

„Jeśli rzucisz go na ziemię i rozdepczesz, nie aresztują cię" – obiecał mu chochlik siedzący w głowie, który coraz częściej zdobywał nad nim władzę absolutną. A Ludwik powoli podszedł do stołu, podniósł szary, plastikowy przedmiot, zważył go w dłoniach…

Ktoś zadzwonił do drzwi.

– Idź otworzyć – rozkazała mu Zuzanna chłodno. Ostatnio była właśnie taka: surowa i z dystansem. Do domu zamiast niej wróciła obca kobieta, z którą Ludwik nie potrafił sobie poradzić. Przerażała go. – I daj tu tego pilota, chcę przełączyć – warknęła.

Posłuchał jej.

Nie wykonał zadania, które sam sobie wyznaczył, więc w ogóle go nie zaskoczyło, że gdy otworzył drzwi, przed oczami błysnęła mu odznaka inspektora policji kryminalnej. „Dziś jest zielony dzień" – przemknęło Ludwikowi przez głowę, zanim się przywitał. Jest zielony dzień, więc nie powinno stać się nic złego. Tylko czy można w to wierzyć?

Na widok Ludwika Kellera Bergman stwierdził, że ten mężczyzna pasuje do Julii jeszcze mniej niż Sebastian Zając. „Może wybierała tylko nieodpowiednich partnerów" – pomyślał, kiedy przypomniał sobie Francuza, o którym pisała w swoim zeszycie. Ludwik Keller był siwiejącym człowieczkiem ze świdrującymi oczami, zjeżonymi brwiami i „wklęsłą" brodą. Pomimo iż na nogach miał drewniaki z wysoką podeszwą, jego ciemię z początkami łysiny dosięgało zaledwie do ramion jego młodej, jasnowłosej żony. W kraciastej koszuli, brązowym swetrze na guziki i luźnych płóciennych spodniach wyglądał jak Woody Allen, któremu zmęczenie lub zła konstelacja gwiazd odebrała wszelką charyzmę.

„Boże, co w nim widzi ta atrakcyjna czterdziestolatka?"

Zuzanna podeszła do błyszczącego blatu kuchennego i włączyła czajnik elektryczny.

– Napiją się panowie kawy? Niestety skisło nam mleko, więc…

– Dziękuję, już dziś piliśmy.

Wzruszyła ramionami i zaczęła wycierać ściereczką niewidzialne kropelki wody z blatu. Bergman zauważył, że mieszkanie jest tak doskonale czyste, jakby nikt w nim nie mieszkał. Oprócz pilota od telewizora i odłożonej robótki ręcznej nigdzie nie leżał żaden przedmiot zdradzający cokolwiek o upodobaniach lokatorów.

– Napiłbym się trochę wody – powiedział Adam Danesz, a kiedy Zuzanna schyliła się do lodówki po butelkę, długo przyglądał się jej pośladkom.

Na szczęście Ludwik tego nie zauważył. Siedział na skraju krzesła, miął ręce, a na wysokie czoło wystąpiły mu krople potu.

– Nie zajmiemy dużo czasu – zaczął Bergman, zastanawiając się, dlaczego ten mężczyzna tak strasznie się denerwuje. – Proszę mi powiedzieć, kiedy ostatnio widział pan swoją byłą żonę.

Ludwik Keller przetarł oczy. Wyglądał na zmęczonego.

– Jeśli miałbym być całkiem dokładny, to… nie wiem.

– Nie wie pan?

Mężczyzna spojrzał na żonę, która układała herbatniki na półmisku deserowym, potem przesunął wzrok na Bergmana i uśmiechnął się panicznie. Bergman zrozumiał.

– Pani Keller? Czy mógłbym porozmawiać z pani mężem na osobności?

Wzdrygnęła się.

– Oczywiście. – Położyła przed nimi półmisek i wyprostowana wyszła z kuchni.

Ludwik natychmiast trochę się rozluźnił.

– Dziękuję. Nie chcę, żeby wiedziała, że byłem u Julii. Wie pan, przechodzimy teraz mały… kryzys. – Wstał, otworzył barek i wyciągnął butelkę koniaku. – Napiją się panowie? Nie? A nie będzie panom przeszkadzać, jeśli sam się posilę?

Nalał sobie i podniósł kieliszek do ust niezgrabnym ruchem człowieka, który nie pije regularnie.

Bergman wiercił się zniecierpliwiony.

– Nie chcę być nieuprzejmy, ale nie mam dla pana całego dnia, panie Keller. Czy może mi pan łaskawie powiedzieć, kiedy po raz ostatni widział pan swoją pierwszą żonę? W jej domu jest mnóstwo pańskich odcisków palców, a przecież rozwód wzięliście cztery lata temu. Nie sądzi pan, że to trochę dziwne?

– Wyjaśnię to panu. – Ludwik wrócił do stołu i wypił kolejny łyk koniaku. – Byłem u Julii w piątek w nocy. Musiałem omówić z nią coś ważnego. Wie pan, ona ostatnio spotykała się z moją żoną i byłem na nią wściekły, bo… – Zamilkł. – Właściwie nie, bzdura, źle się wyraziłem. Nie byłem na Julię wściekły, bynajmniej… W żadnym razie. Po prostu bałem się, żeby nie nastawiła Zuzanny przeciwko mnie. Ale tak się nie stało, nie, bynajmniej tak się nie stało, proszę mi wierzyć. Trochę pokłóciłem się z Julią tamtej nocy, ale pożegnaliśmy się w zgodzie. Naprawdę, w zgodzie… Przysięgam.

Wyrzucał z siebie słowa tak prędko, że trudno było go zrozumieć. Bergman w zamyśleniu zmarszczył czoło. Doświadczenie wyczuliło go na najmniejsze przejawy strachu, ale przerażenie Ludwika było tak oczywiste, że nie umknęłoby nawet całkowitemu laikowi. Czy to możliwe, że ten pionek odgrywa w tej partii szachów dużo większą rolę, niż na początku przypisywał mu inspektor?

– A potem? – zawiesił głos Bergman i pozwolił mężczyźnie samemu zinterpretować to pytanie.

– Potem? Chodzi panu o niedzielę? No… W niedzielę znów pojechałem na Babę. Zuzanna ode mnie uciekła, byłem zły jak pies, nie mogłem wytrzymać w domu. Chciałem spytać Julię, co Zuzanna jej o mnie mówiła,

ale kiedy już stałem przed jej domem, dotarło do mnie, że strasznie bym się w ten sposób przed nią poniżył. – Spojrzał inspektorowi prosto w oczy. – Nie wszedłem do środka. Przysięgam. Nie wszedłem ani na krok. Pospacerowałem po lesie, żeby trochę się uspokoić, a potem wróciłem do mieszkania.

Kiedy obaj policjanci milczeli, Ludwik zamrugał małymi, świńskimi oczkami.

– Panowie mi nie wierzą? Boże mój! Jaki ja jestem głupi. Wiecznie się pilnuję, żeby nic mi się nie stało, no i proszę! Ostatecznie i tak na nic się to nie zdaje, bo napatoczę się w czasie morderstwa byłej żony. Boże mój!

Adam Danesz przestał robić notatki i patrzył na Ludwika z niezbyt inteligentnie rozwartymi ustami. Bergman też był zaskoczony, ale nie dał tego po sobie poznać. Policjanci nie mieli pojęcia, że Ludwik Keller znajdował się w czasie morderstwa na Babie. A on w dwie minuty wyjawił im, że nie ma alibi i posiada bardzo dobry motyw.

– Czyli pan był na ulicy Krokusowej w niedzielę w południe? – wolał się upewnić Bergman.

Teraz zaskoczony zamrugał Ludwik Keller.

– A czy pan o tym nie wiedział?

– Nie wiedziałem, dopóki przed chwilą mnie pan o tym nie poinformował. Przyszedłem tu tylko w sprawie tych odcisków. Wydało mi się dziwne, że było ich tam tak dużo.

– Co? Naprawdę? Zatem… – Ludwik skakał wzrokiem z Bergmana na Danesza. Potem chwycił kieliszek i jednym haustem wypił resztę koniaku. – Jestem idiotą – szepnął załamany.

– Doceniamy to, że wszystko nam pan szczerze wyznał – oświadczył inspektor. – Nie każdy ma tyle odwagi.

Ludwik Keller zmarszczył twarz, jakby lada chwila miał się rozpłakać.

– Ale ja jej nie zabiłem! Nie zrobiłem tego! Byłem tam, to prawda, ale nie w domu, tylko na ulicy. Proszę mi wierzyć. Przecież ja bym nie skrzywdził nawet muchy!

– Nawet muchy? Ludwiku, nie bądź śmieszny.

Wszyscy trzej spojrzeli w stronę drzwi. Zuzanna wróciła tak cicho, że żaden z nich jej nie usłyszał. Opierała się o futrynę, a jej twarz wyglądała jak wyciosana z granitu.

– To ty ją załatwiłeś, Ludwiku, prawda? Zabiłeś ją, bo chciała mi pomóc. Boże, jak ja cię nienawidzę! Proszę, powiedz panom policjantom, że jesteś agresywnym durniem, że nad sobą nie panujesz i że jakieś głupie głosy z góry podpowiadają ci, co masz robić. Powiedz im to!

Obróciła się na pięcie i trzasnęła za sobą drzwiami tak mocno, aż zabrzęczała w nich szyba.

ROZDZIAŁ 26

Ten dom będzie dla niej zbyt duży. Nie da rady o niego zadbać i będzie się bała tu mieszkać. Wierzyła, że w miejscach, w których stało się coś złego, gromadzi się negatywna energia, a ludzie o większej wrażliwości wyczuwają ją nawet po długim czasie. Czasem w lesie lub w obcym budynku jej klatkę piersiową bez powodu przygniatał lęk. Podobno właśnie w ten sposób przejawia się ciężar dawnej gwałtownej śmierci, a Klara zdecydowanie nie chciałaby przeżywać tego we własnym domu.

Ciekawe, w którym pomieszczeniu zmarła matka? Jak straciła życie? Klara chętnie zadałaby inspektorowi wiele pytań, ale mimo to nie odbierała telefonów. Dopóki nie wykręci numeru Bergmana, może sobie wmawiać, że to wszystko tylko się jej śniło, że matka siedzi w swoim fotelu przy oknie tarasowym i czyta kotom bajki…

Wracała z żelazną konewką ze studni, ostrożnie stawiała nogi na ścieżce i patrzyła, jak wilgotna trawa biczuje jej czarne kalosze. Wiatr zamiótł niebo, ale słońce było już słabe, a w cieniu utrzymywały się wysepki szronu. Klara przerzuciła ciężką konewkę do drugiej ręki i przyśpieszyła. Ku jej zaskoczeniu, fizyczny wysiłek jej nie wyczerpywał, wręcz przeciwnie, ładował ją radosną energią. „Jeszcze dziś" – postanowiła. „Podaruję sobie jeszcze jeden dzień. Potem zadzwonię do Bergmana i przyjmę rzeczywistość bez względu na to, jak bardzo będzie bolesna".

Między gołymi gałęziami starych jabłoni pojawił się domek z cienką smugą dymu wijącą się z komina. Drewniany budynek w wąskiej dolinie

pierwotnie był młynem, ale nic już tego nie przypominało. Po II wojnie światowej odbyła się tu dzika deportacja niemieckich mieszkańców, a nowych właścicieli nie połączyły z tym miejscem osobiste więzi. Pewnej szczególnie srogiej zimy skończyły się im zapasy drewna, więc palili w piecu po kolei poszczególne „niepotrzebne" części domu: niedziałające koło młyńskie, pomieszczenie gospodarcze i dużą część tylnej werandy. Kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych domek kupili rodzice Klary, był w żałosnym stanie.

Klara znała dom tylko w obecnym kształcie: z nową werandą, zamurowaną piwnicą (matka się jej bała) i wyschniętą młynówką. Kiedyś jeździła tu z matką, ojcem i bratem, później tylko z matką, a na końcu z Piotrem. Dziwne, jak szybko ci ludzie zniknęli z jej życia… Z ojcem straciła więź, brat mieszka za granicą, Piotr ją opuścił, a matka nie żyje. Została sama, ale – ku własnemu zaskoczeniu – nie czuje się słabsza. Przeciwnie. Czy nie jest tak, że największą opoką dla każdego człowieka jest on sam?

Otworzyła drzwi, a wilgotną kamienną podłogę zalało słońce. Klara przekroczyła szeroki próg, w którym ludzkie podeszwy przez dwieście lat wydeptały wgłębienie, a z ciemnego korytarza owiał ją smród pleśniejącego tynku i butwiejących belek. Na zewnątrz rozszumiały się korony drzew, a końska uprząż wisząca na ścianie zadźwięczała w przeciągu. „Dobrze mi tu" – pomyślała Klara. – „A jeśli bym tu została? Co by się stało, gdybym spróbowała tu mieszkać, pracować, zapuścić korzenie? Nie mam nikogo, kto czekałby na mnie w domu, ani niczego, czego nie mogłabym opuścić". Nagle zamiast rozpaczy czy bezradności zalała ją niespodziewana fala euforii, bardzo nieodpowiednia z uwagi na niedawną śmierć matki. Nie mam niczego, więc mogę wszystko.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak silna.

W izbie powitało ją huczenie rozgrzanego pieca, więc od razu postawiła na niego garnek z grochówką w proszku. „Obiad za piętnaście koron" – uświadomiła sobie zdziwiona. Nagle wydało się jej niewiarygodne, że jeszcze dwa tygodnie temu jadła z Piotrem w kawiarni przy Moście Karola wędzonego łososia z hiszpańskimi oliwkami, sałatkę z kaparami i piła świeży sok pomarańczowy. Czy to naprawdę ona odmawiała picia zwykłej wody mineralnej i kupowała tę drogą, francuską, którą pewien typ ludzi traktuje jako symbol własnego sukcesu? Pokręciła głową. Nie, czarowi życia na kredyt nie ulegnie nigdy więcej – nie może, nie pozwoli na to. Lecz po chwili zadzwonił jej telefon, jakby próbował przywołać ją do starego świata.

Zdjęła garnek z płyty i poczłapała do dźwięczącego urządzenia – bardziej żeby sprawdzić, kto dzwoni, niż żeby odbierać. Bergman? *Piotr?*

Kiedy wzięła telefon do ręki, prawie upuściła go ze strachu. Z ekranu mrugał do niej numer, z którego dostawała SMS-y z pogróżkami.

Odebrała bez zastanowienia, jakby nie miała żadnego innego wyjścia. Może wreszcie dowie się, kto za tym wszystkim stoi.

– Klara Keller.

W słuchawce odezwał się czyjś oddech.

– Z kim rozmawiam? – spytała Klara, a choć starała się mówić spokojnie, głos zdradził ją i zadrżał strachliwie. – Do cholery, skoro już dzwonisz, to może dowiem się, czego chcesz?

Klik. Nieznajomy się rozłączył.

Zupa grochowa stygła na rogu płyty, a stary dom wypełniły nagle złe, podstępne duchy.

Sebastian Zając płakał. W pomieszczeniu z wysokim, stiukowym sufitem rozlegał się szloch dorosłego mężczyzny, jękliwy i niegodny. Bergmanowi

wydawał się raczej odpychający niż wzruszający. Jakoś nie potrafił znaleźć w sobie współczucia, choć najwyraźniej ten mężczyzna był nieszczęśliwy i głęboko wstrząśnięty. Inspektor nie rozumiał, dlaczego Zając nie może opanować emocji, pożegnać się, a potem popłakać sobie w osamotnieniu. Dlaczego musi mieć świadka swoich cierpień? Może to ma coś wspólnego z jego zawodem. Artyści bywają teatralni i są przyzwyczajeni do dzielenia się emocjami – na tym polega ich praca. A może Zając rzeczywiście szczerze kochał Julię? Mimo to Bergman naprawdę byłyby wdzięczny, gdyby oszczędzono mu takich wystąpień.

– Julia jest… była dla mnie wszystkim – wybełkotał Zając, jakby czytał w myślach rozmówcy, i głośno się wysmarkał. – Myślałem, że dzięki niej przestanę pić. A skończyło się to w taki sposób.

Bergman zaczął cofać się po rozległym holu luksusowego mieszkania Zająca w stronę dwuskrzydłowych drzwi wejściowych. Cieszył się, że zapytał reżysera o alibi na niedzielne południe, zanim wyjaśnił mu, dlaczego ta informacja jest mu potrzebna. Alibi było niepodważalne: Zając znów spędzał czas w towarzystwie swojego znajomego – kolekcjonera antyków. Wypili razem po kieliszku, a potem poszli na aukcję, na którą wybierała się również Julia.

– Dziwiłem się, że nie przyszła i że nie odbiera telefonu, ale nie chciałem pojawiać się u niej niezapowiedziany. Julia nie znosi… nie znosiła wrażenia, że mężczyzna ją kontroluje. Zawsze mówiła: nie węsz jak wyżeł. Kochała wolność… Boże! A ja myślałem, że ta kobieta mnie uratuje! Moja muza, moja zbawczyni…

Kiedy Bergman cofał się do drzwi, stuknął w coś nogą. Była to około osiemdziesięciocentymetrowa rzeźba z twardego drewna, bez wątpienia bardzo stara i cenna. Tylko tego by jeszcze brakowało, żeby tu coś zniszczył i musiał to rekompensować.

– Przepraszam. Panie Zając, ja już naprawdę muszę iść.

– Myślałem, że dzięki niej skończę z piciem! Wybierałem się na leczenie. Teraz już nie dam rady. Whisky to moje narzędzie pracy, jeśli pan wie, o czym mówię. Nie potrafię pracować nad scenariuszem w trzeźwości, myśli zawsze mi się wtedy tak jakoś… rozbiegają. Ale po kilku kieliszkach zaczyna się cwał. Gdzie tam cwał! Galop! Julii to picie przeszkadzało, a ja… – Znów się rozpłakał. Bergman podejrzewał, że jego rozmówca jest pod wpływem alkoholu. – Proszę się nie gniewać, inspektorze. Dorosły facet powinien panować nad emocjami… Ale kiedy tylko pomyślę, że Julia… Moja Julia… Piękne imię, prawda? Uwielbiam Szekspira i wydało mi się symboliczne, że zakochałem się w kobiecie, która ma na imię Julia…

Bergman postawił oczy w słup. Artyści! Nie rozumiał ich, wydawali mu się strasznie dziecinni, oderwani, bezużyteczni. Co to za praca: pisanie scenariuszy do seriali i rozkazywanie z rozkładanego krzesełka grupce aktorów? Komu to pomoże i komu to jest potrzebne? Czasem żartował, że gdyby na świecie byli tylko nawiedzeni intelektualiści, ludzkość umarłaby z głodu.

– Rzeczywiście, to bardzo ciekawe, panie Zając – powiedział nieobecnym głosem. – Niestety muszę się już z panem pożegnać.

Dopiero kiedy zbiegał po marmurowych schodach okazałej kamienicy na Vinohradach, niechętnie przyznał przed sobą, dlaczego ten mężczyzna tak działa mu na nerwy. Wszystko wskazuje na to, że Sebastian Zając naprawdę kochał Julię. Gdyby nie została zamordowana, Bergman prędzej czy później zacząłby uważać go za rywala.

Godzinę później Józef Bergman stał oparty o maskę dżipa na parkingu za stacją benzynową pośród pól i popijał z plastikowego kubeczka napój, smakujący raczej jak wywar ze szmaty do podłogi niż jak kawa. Inspektor

nie pozwolił jednak, by to zepsuło mu nastrój. Przejrzyste chłodne niebo przyjemnie pobudziło krew w jego żyłach, a wizja dwugodzinnej jazdy na wieś napełniła go radosnym podekscytowaniem. Być może wizyta u Klary Keller nie jest niezbędna, ale co oprócz czasu straci, gdy tam pojedzie? Musiał zmienić otoczenie i popuścić wodze swym myślom. Nie potrafił pozbyć się uczucia, że podczas śledztwa w sprawie dwóch morderstw na Babie zaniedbał coś istotnego, przegapił drogowskaz, wyruszył w złym kierunku. Było to podobne odczucie, jak gdyby szedł po oznaczonej trasie i nagle ogarnęłoby go podejrzenie, że minął jeden zakręt i że jeśli nie wróci na poprzednie skrzyżowanie, zgubi się w lesie. Tylko kiedy i gdzie minął ten zakręt?

Wzruszył ramionami, trafił zgniecionym kubeczkiem do kosza na śmieci i wsiadł do auta. Może powinien jeszcze raz zastanowić się nad tym, co łączyło Norę Mach i Julię Keller… Dzwonek telefonu wyrwał go z rozważań w tak nieodpowiedniej chwili, że Bergman z wściekłości uderzył pięścią w kierownicę. Czy życie nie było łatwiejsze, zanim te przeklęte pudełka z anteną zrobiły z ludzi zwierzynę łowną? Lecz nie mógł odrzucić połączenia – podczas śledztwa dotyczącego dwóch zabójstw to po prostu nie wchodziło w grę.

– Czego chcesz, Danesz? Jestem poza Pragą. Jadę w Góry Łużyckie do Klary Keller. Jej ojciec powiedział mi, gdzie ją znajdę.

– Wiem, szefie, ale to pana zaciekawi. Jest pan gotów? Sprawdziliśmy tę Francuzkę.

Bergman skupił uwagę.

– I?

– Kamila Lapin wyjechała z Francji dzień po pogrzebie męża, czyli około tydzień przed pierwszym morderstwem na Babie. – Adam na chwilę zamilkł, jakby chciał sprawić, że jego kolejne zdania zabrzmią

wystarczająco triumfalnie. – Przyjechała do Czech. Niby do rodziców, ale…

– Kiedy dokładnie przyleciała?

– Przyjechała autem, więc możemy tylko zgadywać, ile zajęła jej podróż. Ale te tysiąc siedemset kilometrów z Bretanii można spokojnie przejechać w jeden dzień.

Bergmanowi zjeżyły się włoski na karku jak hazardziście, który zamierza postawić całą wypłatę na jednego konia. Dokładnie wtedy Klara zaczęła dostawać SMS-y z pogróżkami.

– Czy znalazł ją pan w Czechach?

– Tak, jest u rodziców w Teplicach. Tyle że z Teplic można bez problemu w godzinę dojechać do Pragi i… – Nie dokończył zdania, ale Bergman łatwo domyślił się słowa „mordować".

– Dziękuję – odpowiedział krótko. Właściwie w ogóle go to nie zaskoczyło. Był niemal pewien, że te dwa morderstwa mają wspólny mianownik i raczej nie jest to Dawid Minks. Może i ten cherlawiec kradnie jak sroka, ale rola mordercy do niego nie pasuje. Z Norą Mach prawdopodobnie nie miał nic wspólnego, nie znał jej. A gdyby spotkał ją na Babie przypadkiem i udusił z zamiarem kradzieży, dlaczego miałby zostawić wszystkie pieniądze w torebce? Czy ktoś mu przeszkodził? Hm. Hipoteza o przemyślanej zemście za śmierć dziecka wydała się Bergmanowi dużo bardziej wiarygodna…

– Szefie, jest pan tam? Mam jeszcze jedną wiadomość – kontynuował Danesz niemal przepraszającym tonem. – Już chciałem do pana dzwonić, że z tą Francuzką trafił pan w dziesiątkę, ale akurat pojawiła się tu Lada Hrubesz, ta wypindrzona paniusia, która poczęstowała nas strudlem. Przyniosła drewnianą szkatułkę. Znalazła ją w krzakach, kiedy karmiła

osierocone koty. Twierdzi, że należała do Julii Keller. Są na niej odciski palców. Należą do…

– Dawida Minksa – dokończył Bergman posępnie, zapominając o wizji kobiety, która jedzie przez pół Europy, żeby po trzydziestu latach zemścić się za śmierć dziecka i zdradę. „To byłoby możliwe, ale chyba tylko w filmie" – pomyślał. Rzeczywistość zazwyczaj bywa dużo bardziej przyziemna.

– Dobrze. Niech pan go aresztuje. Może jeśli go przyciśniemy, przyzna się też do tego pierwszego morderstwa, chociaż bardzo w to wątpię. Ja zabiorę Klarę Keller z jej kryjówki i wrócę do Pragi najszybciej, jak to będzie możliwe.

Za bardzo by ryzykował, gdyby po tym wszystkim przyjechał pod jej dom, więc czekał na nią przed szkołą. Przyjechał tuż przed południem, zaparkował w długim szeregu aut, trochę opuścił oparcie i przez brudną przednią szybę patrzył na portal liceum. Ciężkie drzwi otwierały się co chwilę i wypuszczały na chodnik grupki uczniów, ale Weroniki między nimi nie było. Dawid sprawdził na desce rozdzielczej, która godzina. Jego ukochana powinna zaraz się pojawić. A jeśli nie? Ścisnęło mu się gardło, a on uświadomił sobie, że nie wytrzyma do kolejnego dnia. Jeśli nie zastanie Weroniki tutaj, znajdzie ją gdzie indziej i zmusi do rozmowy. Za wszelką cenę.

Rzucił spojrzenie na drzwi szkoły akurat w chwili, gdy się w nich pojawiła. Miała na sobie prążkowane podkolanówki i krótką sukienkę w kratkę, której Dawid nie znał. W jej czystych, jasnych włosach odbijało się słońce. Trzymała za łokieć chudą brunetkę, właśnie szepnęła jej coś do ucha i obie się zaśmiały. „Wygląda na szczęśliwą" – pomyślał Dawid i zagotował się ze złości. – „Śmieje się, jak gdyby nigdy nic". Potem

przypomniał sobie, jak dzielnie zachowała się na komisariacie i ciśnienie trochę mu opadło.

Weronika pożegnała się na chodniku z koleżanką. Brunetka ruszyła na przystanek autobusowy. Dawid przesiadł się na fotel pasażera i uchylił drzwi. Za kilka sekund Weronika przejdzie tuż obok niego. Musi działać szybko. Nie chciał jej wystraszyć, ale jak inaczej niż siłą nakłonić ją do rozmowy? Był pewien, że gdyby ujrzała go z daleka, uciekłaby. Nie odbierała telefonu, nie reagowała na SMS-y, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że wprawdzie nie wydała go policji, ale ich związek uważa za zakończony.

Dawid czuł inaczej.

Obejrzała się przez ramię i pomachała koleżance. Od auta Dawida dzieliły ją dwa kroki. Teraz! Gwałtownie otworzył drzwi, wychylił się, złapał Weronikę za przedramię i wciągnął ją sobie na kolana. Stało się to tak szybko, że nawet nie zdążyła krzyknąć. Bursztynowe oczy zamarły ze strachu.

– Dawid, co wariujesz? – sapnęła. – Przestraszyłeś mnie.

Wciąż trzymał ją mocno.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Przecież uzgodniliśmy, że nie będziemy się spotykać. – Ostatnie słowo przeciągnęła z wyrzutem.

– Mam to gdzieś. Teraz wszystko jest inaczej.

– Dlaczego? Myślisz, że cię wtedy wsypałam? Jeśli tak ci mówią, to kłamią. Nie wyciągnęli ze mnie niczego. I puść mnie, to boli!

Posłusznie zabrał rękę, choć ryzykował, że dziewczyna mu ucieknie. Ale ku jego zaskoczeniu Weronika została w aucie, a nawet wciągnęła długie nogi w podkolanówkach do ciasnej kabiny i zamknęła drzwi. Powiedziała cicho:

– Przez kilka dni myślałam, że już nie chcę cię znać.

– A potem?

– Potem zaczęłam tęsknić. – Obróciła ku niemu twarz, która wciąż nosiła znamiona dziecięcej pucołowatości. Miała poważną minę. – Zawsze przyjeżdżałeś wieczorem pod okno… To było miłe. Obserwowałam cię, ale tak, żebyś o tym nie wiedział.

Nie potrafił wymyślić sensownej odpowiedzi. Tak jakby przestała mu działać część mózgu, w której tworzą się słowa. Czy to uczucie, które boleśnie wypełniało mu klatkę piersiową, to wzruszenie? Dawid nie wiedział.

– Przejedziemy się?

Skinęła głową, więc wygrzebał się spod niej i usiadł za kierownicą. Kiedy przekręcał kluczyk, trzęsły mu się ręce. Nie zapomniała o nim! „Ale to jeszcze nic nie znaczy" – pomyślał. Co zrobi Weronika, gdy dowie się, że ona pozostała silna i milczała, a on się złamał i prawie wszystko wyśpiewał policjantom? Chciał jej o tym powiedzieć dopiero, gdy ruszą, żeby nie mogła wysiąść.

Tak jak zawsze włączyła radio.

– Czyli wszystkiego się wyparłaś? – zaczął ostrożnie.

– Pewka. Niczego ze mnie nie wyciągną.

– Wiesz, a ja jestem takim debilem, że się wygadałem… – wyznał, patrząc wciąż na jezdnię. Do diabła, akurat ma czerwone światło. Będzie musiał się zatrzymać właśnie teraz, kiedy zasugerował jej, że jest mięczakiem! A jeśli Weronika się wkurzy i ucieknie?

– Co im powiedziałeś? – spytała.

– No… Twierdzili, że mnie zakablowałaś. A ja to łyknąłem. Przyznałem, że cię znam i że ze sobą chodziliśmy. To był podstęp, ale zorientowałem się dopiero po fakcie.

– Ale ty jesteś durny.

Tylko tyle? Spojrzał na nią. Z obojętną miną nakręcała na palec pasemko jasnych włosów.

– Nic więcej na to nie powiesz?

– A co jeszcze chciałbyś usłyszeć? Jesteś durny, kropka. Jeśli teraz zrzucą wszystko na ciebie, całe to morderstwo, będzie to wyłącznie twoja wina. Ja próbowałam cię uratować i trzymałam język za zębami.

Milczeli, a Dawid automatycznie jechał najkrótszą drogą poza miasto, przez brzydkie peryferie ku polom i lasom. „Gdyby myślała, że jestem mordercą, już by się broniła, chciałaby uciec, byłaby zdenerwowana" – myślał z zadowoleniem. Przy pierwszej okazji zjechał z szosy na nierówną leśną dróżkę i zatrzymał auto.

– Dawid?

Spojrzał na nią nieprzytomnie. Mogliby wyjąć koc z bagażnika i położyć się na trawie albo opuścić oparcia i kochać się w aucie. Te jej nogi w podkolanówkach… Nie wytrzyma już tego czekania ani sekundy.

– Co jest?

– Zrobiłeś to?

Mocno ścisnął kierownicę.

– Myślałem, że mi wierzysz.

– Nie wiem, czy mogę ci wierzyć. Pamiętasz, jak zamordowali tę dziewczynę w lesie? Tej nocy byłeś u mnie, a ja nie mogłam wyjść. Skąd mam wiedzieć, że nie zaczaiłeś się na nią i jej nie sprzątnąłeś? Potem włamałeś się do Julii, a następnego dnia wynieśli ją pod płachtą. – Na chwilę zamilkła. – Dlaczego miałabym wierzyć, że to tylko zbieg okoliczności. Przecież w ogóle cię nie znam.

„Ale jedziesz ze mną do lasu" – dodał Dawid w duchu. „Jeśli naprawdę mnie podejrzewasz, to dlaczego tu ze mną siedzisz?"

– Już ci mówiłem, że nie zabiłem Julii. Nigdy nikogo nie zabiłem.

Głośno przełknęła ślinę.

– Spójrz na mnie i powiedz to jeszcze raz.

Zrobił to. Bursztynowe oczy wpiły się mu w twarz.

– No dobra – oświadczyła Weronika uroczyście. – Wierzę ci.

I choć Dawid wiedział, że teraz powinien wszystko wyjaśnić lub przynajmniej podziękować za zaufanie, nie zrobił tego. Objął Weronikę i pociągnął za dźwignię opuszczającą oparcie.

Dwie godziny później wysadził Weronikę niedaleko ulicy Krokusowej i mknął przez miasto do domu jeszcze szybciej i ryzykowniej niż zazwyczaj. Dawno nie był w tak świetnym nastroju. Uzgodnili, że oboje będą się upierać przy jego wersji: znają się, chodzili ze sobą, ale już się rozeszli. Tej niedzieli, gdy zginęła Julia, Dawid był u Weroniki. Zagwizdał pod jej oknem, ona przyszła mu otworzyć i po kryjomu zaprowadziła go do swojego pokoju. Weronika wyjaśni, że podczas przesłuchania kłamała, bo nie chciała, żeby rodzice dowiedzieli się o Dawidzie. Wściekliby się, gdyby wiedzieli, że przemyciła na poddasze chłopaka. Brzmiało to dość wiarygodnie.

Dawid z olbrzymią prędkością wpadł na rondo i bez kierunkowskazu zjechał z niego w ulicę, przy której mieszkał. W lusterku wstecznym zobaczył, jak kierowca w aucie jadącym za nim wymownie stuka się w czoło. Dawid odpowiedział mu wyprostowanym środkowym palcem. Niech wszyscy się wypchają, on ma dziś szczęśliwy dzień!

Znalazł ostatnie wolne miejsce na wiecznie przepełnionym parkingu osiedlowym i zatrzymał się tak gwałtownie, że zapiszczały opony. Kiedy wysiadał z auta, gwizdał z zadowolenia. Nagle wszystko wyglądało dużo lepiej: Weronika się na niego nie złości, wierzy mu i da mu alibi. Co policja

mogłaby mu udowodnić? Trochę męczyło go tylko wspomnienie drewnianej szkatułki, którą wtedy podczas ucieczki z willi gdzieś wyrzucił. Nie był pewien, gdzie dokładnie to zrobił. W ogrodzie? Przeszkadzała, była duża, a on chciał schować łup do kieszeni. Otworzył ją, wyjął zawartość i wyrzucił w krzaki… *Tyle że nie miał wtedy rękawic. Ściągnął je zaraz po wyjściu z domu*. Z przerażenia zrobiło mu się niedobrze. Cholera, dlaczego nie zaniósł tej szkatułki do auta? Teraz może się tylko modlić, żeby gliny jej nie wywęszyły. Bo jeśli wpadnie w ich łapska, znajdą na niej jego odciski, a wtedy nie będzie mógł twierdzić, że to nie on ukradł kosztowności.

Do diabła! Dobry humor zniknął bezpowrotnie. Dawid zbliżał się po schodach do drzwi mieszkania, a kolana miał słabe, jakby od tygodnia nie jadł i nie spał. Kiedy przekręcał klucz w drzwiach, obawiał się, że w pokoju zastanie matkę z dwoma umundurowanymi policjantami, którzy przyszli go aresztować.

Na szczęście mieszkanie było puste.

ROZDZIAŁ 27

Starannie zamknęła drzwi domku i ruszyła ścieżką do wioski. W kieszeni futrzanej kamizelki ciążył jej telefon i wywoływał strach, jakby niosła bombę zegarową. Kiedy znów zadzwoni? I kto będzie po drugiej stronie? Morderca matki? Morderca tej kobiety, którą znaleźli uduszoną w lasku na Babie? Czego od niej chce? Odezwie się jeszcze? Czekanie na kolejny dzwonek wyczerpywało ją. W końcu wyłączyła dźwięk w telefonie i trochę się uspokoiła.

Ścieżka zanurzyła się w lesie i wiodła przez wąską dolinę wzdłuż podnóży granitowych skał. Klara przyśpieszyła. Samotność nie przynosiła jej już ukojenia, wręcz przeciwnie. A jeśli ten ktoś wie, gdzie ją znaleźć? Jeśli ją teraz obserwuje? „Bzdura" – szybko zganiła się za takie myśli. „Gdyby wiedział, gdzie jesteś, nie musiałby do ciebie dzwonić".

Skrót do wioski nie należał do zbyt uczęszczanych i gdzieniegdzie zarosły go koniczyny. Długie pędy jeżyn smagały nogi Klary, a podmokła ziemia pluskała pod podeszwami. Dlaczego poszła tędy, a nie po jezdni? Przyśpieszyła jeszcze bardziej, teraz już prawie biegła. Długo nie trenowała, więc szybko zaczęło ją kłuć w boku i piec w płucach, ale nie zwalniała. Trochę wysiłku jej nie zaszkodzi. Właściwie nie znała lepszego leku na strach i smutek.

Zwolniła dopiero między płotami pierwszych ogrodów, a do czerwono-białego kościoła stojącego na pagórku w centrum Marzenic doszła już

spacerowym krokiem. Miała wrażenie, że tak wypada: do kościoła należy wchodzić dostojnie, a nie wedrzeć się tam jak powódź.

Postała kilka minut przed obrazem Maryi Panny. Dlaczego przychodzi po pocieszenie właśnie do niej? Może dlatego, że do niej jako do kobiety czuje większe zaufanie?

Gdy wyszła ze świątyni, przerażenie dziwną rozmową telefoniczną wydało się jej absurdalne. Co tak właściwie ją przestraszyło? Ktoś sobie z niej żartuje i tyle. Prawdopodobnie Marcelina, była dziewczyna Piotra. Któżby inny?

Wyciągnęła telefon z kieszeni, żeby zobaczyć, czy ten człowiek znów próbował się do niej dodzwonić. Możliwe! Nieodebrane połączenie – widniał napis na ekranie. Ale kiedy Klara z mocno walącym sercem wcisnęła klawisz, pojawił się numer inspektora Bergmana.

Schowała się przed wiatrem przy murze cmentarnym i oddzwoniła. Powie mu, że osoba wysyłająca jej SMS-y z pogróżkami znów się odezwała i dla odmiany dyszała do słuchawki.

– Gdzie pani jest, do cholery? – szczeknął Bergman zamiast przywitania.

– Proszę?

– Stoję przed pani domkiem, ale jest zamknięty.

– Jak mnie pan znalazł? Przecież mówiłam panu, że…

– Nie było to aż takie trudne. Spytałem pani ojca, gdzie znajduje się ten dom – odparł niecierpliwie. – Panno Keller, zabawa w chowanego skończona. Zakładam, że jest pani niedaleko, bo z komina jeszcze się dymi.

Przeklęła w duchu.

– Chciałam być sama – rzekła cicho. – Zabili mi matkę, pamięta pan?

– Tak, pamiętam. I właśnie dlatego potrzebuję pani w Pradze. Gdzie mogę po panią podjechać?

Mówił tak bezkompromisowym tonem, że nie odważyła się sprzeciwić.

– W wiosce. Przy kościele.

– Proszę się stamtąd nie ruszać. Będę za dziesięć minut.

Nie chciała posłusznie dreptać w miejscu, więc weszła na cmentarz. Jej matka lubiła chadzać po takich miejscach, a Klara zapragnęła ją naśladować. Zaskoczyło ją, że nie ogarnął jej smutek, wręcz przeciwnie – wypełniło ją nieznane dotychczas uczucie pogodzenia się z przyszłością. Oglądała stare nagrobki i czytała wyblakłe napisy. Uspokajała ją świadomość, że ci ludzie – tacy sami ludzie jak ona – mają już życie za sobą. Urodzili się, kochali, cierpieli, radowali, a potem umarli. Ich imiona na nagrobkach stanowiły dla Klary dowód, że przez śmierć da się przejść. Inni sobie z tym poradzili, więc poradzi sobie również ona.

Było w tym coś niezmiernie kojącego.

– Ładne miejsce. – Bergman zostawił silnik włączony, wysiadł z dżipa i przyglądał się kościołowi. Był to gustownie odnowiony, pseudobarokowy, jednonawowy budynek z wieżą w kształcie prostopadłościanu i balkonem nad portalem. Na wschodniej ścianie do kościoła przylegał ambit z kaplicą. Bergman przypomniał sobie, że ostatnio czytał gdzieś o kościele w Marzenicach. Trzydzieści lat temu był zdewastowany i skazany na zburzenie, ale ostatecznie udało się go wyremontować.

– Tam w środku są jakieś bardzo stare nagrobki, prawda?

Klara skinęła głową.

– Z początku siedemnastego wieku. Dlaczego pan po mnie przyjechał? Poradziłabym sobie sama.

Odwrócił się od kościoła.

– Proszę na to spojrzeć z dobrej strony. Zaoszczędzi pani na bilecie.

– A jeśli nie chcę oszczędzać? Zabierze mnie pan siłą? Proszę posłuchać, nie chcę wracać do domu, w którym…

– Tam pani wrócić nawet nie może. Przynajmniej nie przed zakończeniem śledztwa. Czy ma pani gdzie się zatrzymać do tego czasu?

– W hotelu – odparła ponuro. – Ale nie stać mnie na to.

Obszedł auto, otworzył drzwi pasażera i pokazał, żeby wsiadła. Foliowe zabezpieczenie sufitu zaszeleściło na wietrze, a Klara uśmiechnęła się rozbawiona. Trochę się schyliła, żeby zajrzeć do środka, ale wciąż stała przed wozem. Bergman westchnął.

– Panno Keller, proszę nie robić problemów. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa pani matki i potrzebuję pani pomocy w kilku kwestiach. Czy pani w ogóle wie, że pani brat jest w Pradze? Może mógłby pani pomóc z tym hotelem.

Prychnęła niechętnie.

– To już wolałabym zostać tutaj.

– Czy dobrze zrozumiałem, że brat przyjechał do kraju po dość długim czasie? Nie chce się z nim pani zobaczyć?

– Nie bardzo.

Uniósł brwi. Dlaczego wśród osób spokrewnionych tak często panuje napięta atmosfera? Ludzie nienawidzą swoich rodziców i rodzeństwa za rzeczy, które przyjaciołom i znajomym odpuściliby bez mrugnięcia okiem. Czy sądzą, że jednym z obowiązków członków rodziny jest wzajemne komplikowanie sobie życia?

– A ze spadku się pani nie cieszy? – rzucił z udawaną obojętnością, lecz tak naprawdę bardzo go ciekawiło, co odpowie Klara. – Prawdopodobnie przypadnie pani, ponieważ ze słów pani brata wynika, że nie zamierza powracać na stałe do Czech. Ponadto wcale nie oczekuje, że sprzeda pani willę, żeby przekazać mu połowę jej ceny. Formalnie oboje będziecie

właścicielami, ale może z niej pani korzystać samodzielnie. To bardzo wspaniałomyślne z jego strony.

– Raczej wyrachowane. Dobrze wie, że z czasem wartość domu będzie rosła. Gdy będzie potrzebować pieniędzy, na pewno się po nie zgłosi. Co do tego nie mam wątpliwości.

Bergman oparł się o bok auta i założył ręce na klatce piersiowej.

– Wiedziała pani, że matka ma wysokie ubezpieczenie na życie. – To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Kto panu o tym powiedział?

– Pani brat. Podobno znalazła pani umowę podczas szperania w szufladach. Czego pani w nich szukała?

„Nie pańska sprawa" – chciała odparować, ale uświadomiła sobie, że późniejsze wrogie nastawienie inspektora nie przyniosłoby jej żadnych korzyści.

– Właściwie to nie ja ją znalazłam, tylko mój były chłopak – odpowiedziała pojednawczo. – Przetrząsnął matce szuflady i pod jakimiś wycinkami z gazet natrafił na tę umowę. Powiedział mi o niej. – Wzruszyła ramionami. – Cieszył się, że kiedyś będę bogata, że odziedziczę pół domu, pieniądze z ubezpieczenia… Zaczął nawet mówić o ślubie.

To przypomniało mu jej sytuację finansową sprzed śmierci matki.

– Właściwie dlaczego tak strasznie się pani zadłużyła?

– No… Dużo kupowałam. Ubrania, elektronikę, prezenty…

– Hm. Najwyraźniej nikt pani nie powiedział, że pożyczki brane na życie to samobójstwo ekonomiczne.

Zrobiła urażoną minę.

– Przecież wszyscy je biorą! Niech pan poczyta w gazetach, ile osób żyje na kredyt. To zupełnie normalne. Dlaczego wszystkim przechodzi to

płazem, a mnie wszyscy się czepiają?

– Nigdy nie przyszło pani do głowy, że w ten sposób traci pani wolność? Najwyraźniej nie – odpowiedział sam sobie. – To śmieszne, jak łatwo można manipulować ludźmi. Wystarczy rozdać im plastikowe karty i wmówić, jak wiele zyskują dzięki temu, że mogą z nich korzystać. A oni pędzą szczęśliwi na zakupy i nic innego ich nie interesuje… – Zignorował jej zasępioną minę. – Czy płacenie odsetek pani nie przeszkadza? Przecież co miesiąc musi pani oddać bankowi część zarobionych pieniędzy.

Wydawało się, że Klara się nad tym zastanawia. W końcu odparła:

– Przecież to po prostu podatek za to, że mogłam kupić rzeczy, na które nie było mnie stać, prawda?

Teraz to on wzruszył ramionami. Ta debata nagle zaczęła go nużyć.

– Wie pani co? – Schylił się do auta, wyłączył silnik i wyjął kluczyki ze stacyjki. – Skoro już wlokłem się tu taki kawał, to chociaż zajrzę do tego kościoła. Sporo o nim słyszałem. – Przeszedł obok niej, a pod podeszwami przyjemnie zaskrzypiał mu żwir. Na progu się odwrócił. – Może pani poczekać w aucie. Skoczymy jeszcze do pani domku po rzeczy, zrobi mi pani kawę i pojedziemy do Pragi. Śpieszę się, bo moi współpracownicy zatrzymali mężczyznę podejrzanego o morderstwo pani matki.

– Kto to?

– Pewien młodzieniec. Nie zna go pani. – Jego powiązanie z Weroniką Truskawką wolał przemilczeć. – Myślimy, że włamał się w celach rabunkowych. Pani matka go przyłapała. A on czymś ją uderzył.

Przy ostatnich słowach inspektora oddech Klary zrobił się płytki i kobieta trochę się zachwiała. Chyba był wobec niej zbyt okrutny, ale nic nie mógł poradzić na to, że wzbudzała w nim raczej złość niż współczucie. Za kogo ona się uważa, do cholery? Zaszywa się na tej wsi zabitej dechami, nie odbiera telefonu i nie współpracuje z detektywami prowadzącymi

śledztwo w sprawie morderstwa matki. Zachowuje się jak krnąbrny dzieciak, a nie jak trzydziestolatka.

Wszedł do kościoła i głęboko wciągnął typowy zapach kadzidła, starego drewna i stęchlizny. Coś mu przypomniał, ale było to tylko ulotne wrażenie, które zniknęło, zanim Bergman zaczął się nad nim zastanawiać. Krążył wzrokiem po gołych, pobielonych ścianach, drewnianych ławkach i prostym ołtarzu. Przez wysokie okna wpadały do wewnątrz promienie słoneczne, a w ich ukośnych pasmach pobłyskiwały drobinki kurzu. Gdy Bergman zbliżał się do prezbiterium, nagle ogarnęło go dziwne przeczucie, że wpadł na trop czegoś ważnego… Ale czego? Odchylił głowę ku sklepieniu.

I nagle zrozumiał, jak to wszystko mogło przebiegać. Kawałki układanki trafiły na swoje miejsca. Nareszcie! Wcisnął dłonie do kieszeni, obrócił się na pięcie i zdecydowanym krokiem opuścił kościół.

– Proszę wsiadać – nakazał Klarze, a kiedy wciąż stała z twarzą zwróconą ku słońcu, krzyknął: – Kobieto, na Boga, niech pani się wreszcie ruszy! Nie mam na panią całego dnia!

O zmroku Weronika wyszła z domu, a w budce na rogu Krokusowej wykręciła numer Dawida. Nie odważyła się zadzwonić z telefonu komórkowego, wydawało się jej to zbyt ryzykowne. Policja może ją podsłuchiwać. Ale jeśli zadzwoni z budki i nie przedstawi się, nikt jej nie udowodni, że z nim rozmawiała. W słuchawce rozbrzmiewał sygnał, ale Dawid nie odbierał. Spróbowała jeszcze raz. Bez skutku.

Gdzie się podziewa, do diabła? Weronika wiedziała, przy której ulicy mieszka Dawid, więc wzięła z półki sfatygowaną książkę telefoniczną i próbowała znaleźć numer stacjonarny. Słuchawkę podniosła starsza

kobieta, prawdopodobnie pani Minks. Miała niewyraźny głos, nosowy, jakby cierpiała na zapalenie zatok lub płakała.

– Z tej strony Weronika – przedstawiła się, choć wiedziała, że matka Dawida prawdopodobnie nie wie nawet o jej istnieniu. – Chciałabym porozmawiać z Dawidem. Czy jest w domu?

– Nie i raczej nieprędko będzie.

– Jak to?! – Weronikę przeszły dreszcze. Coś się stało. Czy miał wypadek, kiedy wczoraj po południu wracał od niej do domu? – Dlaczego Dawid nie odbiera telefonu? Kiedy wróci?

– O to trzeba zapytać policję, panienko. Zabrali go godzinę temu. To przez ciebie wpakował się w te tarapaty, co? A ja wierzyłam, że ten głupek wreszcie nabrał trochę rozumu!

– Policję? Przecież on jest niewinny! – krzyknęła Klara, ale z drugiej strony rozległ się tylko brzęk odkładanej słuchawki.

Policja. Czyli aresztowali go. A skoro uznali go za głównego podejrzanego, na pewno znajdą jakiś sposób, żeby mu to udowodnić i postawić przed sądem. Weronika nie wierzyła, że policjantom chodzi o sprawiedliwość. Jak to powiedział Dawid? Interesują ich tylko premie za dopadnięcie sprawcy. Bez skrupułów wsadzą za kratki niewinnego, byle tylko sprzątnąć sprawę z biurka i włożyć do akt jako wyjaśnioną. Tym razem zapłaci za to Dawid. Po wczorajszym dniu Weronika była pewna, że jej chłopak nikogo nie zamordował, choć bez wątpienia okradł – i raczej nie zrobił tego po raz pierwszy.

Było dopiero tuż po szóstej, ale na ulicach roztaczała się wilgotna i lepka mgła. Weronika wyszła z budki telefonicznej i zatrzymała się w kręgu światła latarni. Dokładnie tak samo stała tu z Dawidem dwa tygodnie temu, a jej największym problemem było to, czy powinna odstawić tabletki antykoncepcyjne, żeby zajść w ciążę na złość rodzicom.

Razem z Dawidem stwierdzili zgodnie, że ich życie jest zbyt nudne i że przydałoby się urozmaicenie… Jakiekolwiek.

I urozmaicili je sobie morderstwem.

„Ale przecież Dawid tego nie zrobił" – skarciła się w duchu. Poszedł do Julii po biżuterię i zastał ją tam martwą. Skądś dochodziły kroki. *Kroki mordercy*. Weronika wierzyła, że gdyby Dawid kłamał, poznałaby to.

Powoli wracała pustą ulicą do domu i zatrzymała się z ręką na klamce furtki. Kiedy wychodziła, rodzice się kłócili, a teraz przez uchylone okno w kuchni dobiegały urywki ich słów. O czym rozmawiają? Weronika wytężała słuch, a na jej twarzy pojawiał się grymas podrażnienia za każdym razem, gdy podekscytowane głosy zagłuszał jakiś inny dźwięk: szczekanie psa z naprzeciwka lub huk silników samolotu schodzącego do lądowania.

– Boże, dlaczego akurat ja muszę żyć z taką krową? Moja matka, niech jej ziemia lekką będzie, miała rację, kiedy mówiła, że tak długo wybierałem, aż nic ciekawego nie zostało.

Weronika postawiła oczy w słup. Ojciec na pewno stał przy oknie, bo słyszała teraz każde słowo. Jeśli dobrze zrozumiała, dziś kłócili się dlatego, że matka znalazła w garażu obrazy i antyki, które ojciec kupił na weekendowych licytacjach. Wściekała się, bo podobno te rzeczy kosztowały więcej niż dwutygodniowy urlop na Wyspach Kanaryjskich. Weronika tym razem przyznawała jej w duchu rację. Po co są im jacyś święci na wyblakłym obrazie z krzywą ramą? Gdyby to zależało od niej, dużo bardziej wolałaby ozdobić cały dom dużymi czarno-białymi zdjęciami w nowoczesnych metalowych ramkach.

W oknie pojawiła się sylwetka ojca.

– Weroniko! Co ty robisz na dworze?

W jego głosie słychać było nutę groźby, zresztą jak zawsze, gdy rozmawiał z córką.

– Poszłam się przejść – odpowiedziała.

– Ile razy mam ci powtarzać, że po zmroku nie możesz wychodzić, jeśli nie powiesz nam, dokąd idziesz? Dlaczego ani mnie, ani matki nie poprosiłaś o pozwolenie?

– Bo się kłócicie.

Matka krzyknęła coś z głębi kuchni, ale Weronika jej nie zrozumiała.

– Natychmiast wracaj do domu! – rozkazał ojciec i obrócił się do kuchni. – A ty się ucisz, do cholery! Czy ktoś z tobą rozmawia? Nie, więc zamknij dziób i zajmij się sobą.

Trzasnął oknem, jakby dopiero teraz zrozumiał, że odgłosy kłótni rozlegają się w całej ulicy.

Weronika oparła się plecami o furtkę, powoli oddychała ustami i patrzyła, jak obłoczki pary kłębią się w świetle latarni. Gdyby mieszkała z Dawidem, na pewno nigdy by się nie kłócili. Całymi dniami nie wychodziliby z łóżka, a nawet jeśli – to byliby tak zmęczeni miłością, że na żadne awantury nie mieliby siły.

Im dłużej myślała o Dawidzie, tym większy czuła smutek i pustkę. Dopiero zrozumiała, jak bardzo jest dla niej ważny, a już go traci. Oni go zamkną. A może nie?

Wtedy wpadł jej do głowy pomysł: pomoże mu. Bo któż inny mógłby mu pomóc? Nie powinno to być aż tak trudne, widziała przecież mnóstwo seriali kryminalnych i wie, jak przebiega śledztwo. Jeśli Weronika znajdzie prawdziwego mordercę, policja będzie musiała wypuścić Dawida! Tętno przyśpieszyło jej z podekscytowania. Owszem, będzie to ryzykowne, a w najgorszym wypadku może nawet ryzykować życiem. No i co? Wyobraziła sobie swój pogrzeb: księdza podkreślającego, że zginęła podczas odważnego poszukiwania niebezpiecznego przestępcy, i matkę

płaczącą głośno w pierwszej ławce. Szkoda, że ona sama nie mogłaby tego zobaczyć i porządnie nacieszyć się tym widokiem.

Ruszyła do restauracji Pod Koroną, której neon rozświetlał ciemność na rogu ulicy. Wydawało się jej oczywiste, że śledztwo powinno rozpocząć się właśnie tutaj. Przecież kucharz Franciszek zastawiał pułapki na koty, a Julia rozmawiała z nim o tym w dniu swej śmierci. Prawdopodobnie pogroziła mu, że jeśli przyniesie do jej ogrodu jeszcze jedną klatkę, cała Baba dowie się, że Pod Koroną serwują koty zamiast kurczaków. Brr! A jak zareagował Franciszek? Czy przypadkiem nie zaczął się bać straty pracy? Weronikę z ekscytacji zaczęły swędzieć koniuszki palców. Co powinna zrobić? Wejść do lokalu, kazać zawołać Franciszka i powiedzieć mu, o co go podejrzewa? Czy może najpierw zadzwonić do Bergmana? Ciekawiło ją, czy inspektor w ogóle rozmawiał z kucharzem o tych pułapkach.

Zatrzymała się przed restauracją i zajrzała do środka. Lokal był prawie pusty, zresztą jak w każdy dzień powszedni. Do Korony ludzie chodzili przede wszystkim na obiady, a w weekendy spotykało się tu na piwie kilku stałych bywalców, ale ogólnie interes zbytnio się nie kręcił. „Może naprawdę gotują koty, żeby zaoszczędzić?". Weronice zrobiło się trochę niedobrze.

Właściwie nie do końca wiedziała, o co chce zapytać kucharza, ale nie było czasu na myślenie, bo już weszła do restauracji i stała przy barze.

– Co podać?

Nie miała przy sobie pieniędzy, więc nic.

– Muszę porozmawiać z kucharzem.

– Z którym?

– Powoli ogarniał ją strach. Co jej strzeliło do głowy, żeby tu przychodzić? Jak mogła pomyśleć, że rozwiąże sprawę, z którą nie radzi sobie wydział kryminalny?

– No… Z tym lepiej zbudowanym… Rudym… Brodatym… – Opuściła wzrok na metalowy bar, na którym zasychała resztka spienionego piwa.

– Franciszka?

– Chyba tak.

Kiedy barman wyszedł do kuchni, Weronika zaczęła cofać się do wyjścia, ale drzwi otworzyły się gwałtownie i pojawił się w nich kucharz w brudnym, białym fartuchu. „Ratuję Dawida" – przypomniała sobie Weronika. „Robię to dla niego".

– To ty kazałaś mnie zawołać? – Franciszek miał przenikliwy wzrok, którego nie dało się długo wytrzymać. Weronika pomyślała, że nie lubi ludzi z takimi oczami. – Mała Truskawka, prawda?

Skinęła głową.

– Czy mogę porozmawiać z panem na osobności?

– W jakiej sprawie? – odparł, ale ruszył do odległego kąta lokalu. – Przysłał cię tata?

Nie rozumiała, dlaczego miałby ją tu przysłać tata. Nie skomentowała tego jednak i szła za kucharzem. Sąsiednie stoły były wolne, a nad nimi wisiał głośnik, z którego płynęła głośna muzyka, więc raczej nikt nie usłyszy, o czym rozmawiają.

– Wiem, że zastawiał pan pułapki na koty Julii – oświadczyła i cieszyła się, że tym razem udało się jej przemówić zdecydowanym głosem. – Widziałam pana w jej ogrodzie. I nie tylko ja. Był ze mną mój chłopak.

Zmrużył oczy.

– Czego ode mnie chcesz?

To dodało jej odwagi. Skoro nie protestował, to tak jakby się przyznał. Czy może nie?

– Dlaczego pan to robił? Podaje pan tu gościom kotlety z kotów? Czy pański szef o tym wie?

Uśmiechnął się arogancko.

– Jesteś trochę zbyt pewna siebie, gówniaro. Przyszłaś mnie tu szantażować czy co?

– Możliwe – szepnęła. Właściwie nie wiedziała, w jakim celu go wypytuje. Powinna mu raczej powiedzieć prosto w oczy, że na pewno zabił Julię, bo nie chciał, żeby te jego przekręty z kocim mięsem wyszły na jaw.

Kucharz roześmiał się głośno.

– Nie no, bomba! Że akurat ty z tym do mnie wyskoczysz, to serio się nie spodziewałem. – Pochylił się ku niej tak blisko, że widziała, jak z szerokich porów na policzku wyrastają mu rude włoski. – A teraz posłuchaj, dziewczynko. Wiesz, dlaczego zastawiałem pułapki w ogrodzie tej baby? Bo twój ojciec mi za to płacił. Tak, dokładnie tak, nie przesłyszałaś się. Płacił, i to dużo. Nie chwalił się tym w domu, co? Kiedyś przyszedł do restauracji i narzekał, że ciągle przyłażą mu na ogród koty, że ma fobię i że chciałby się ich pozbyć. A ja zaproponowałem, że je wyłapię. Jestem myśliwym. Znam się na tym. – Ostatnie zdanie wypowiedział z dumą, ale w następnej chwili jego twarz skrzywiła się z wściekłości. – A wiesz, jak to się skończyło? Ta krowa Keller ukradła mi trzy klatki na szkodniki. Masz pojęcie, ile takie coś kosztuje?

Weronika patrzyła na niego z niedowierzaniem. Tata? Potem przypomniała sobie, że tak właściwie nie przyszła tu szukać złodzieja kotów, tylko mordercy Julii.

– Ale ja myślę, że pan zabił panią Keller – oświadczyła, nie potrafiąc opanować drżenia głosu. – W zeszłą niedzielę przed południem widziałam, jak wchodzi do restauracji. A potem… Potem widziałam, jak pan idzie do jej ogrodu. Następnego dnia została znaleziona martwa.

Nie było prawdą, że przyłapała Franciszka w niedzielę u Julii w ogrodzie, ale z seriali kryminalnych wiedziała, że śledczy musi podczas przesłuchania czasem blefować. Przecież podobną sztuczkę zastosował Bergman z nią i z Dawidem.

Tym razem Franciszek pochylił się jeszcze bliżej. Z fascynacją patrzyła na malutkie żółte kropki w jego zielonych oczach.

– Byłem w niedzielę w ogrodzie tej baby. I co z tego? Widziałem, jak wychodzi gdzieś wystrojona, więc pomyślałem, że sprawdzę, czy nie zostawiła moich klatek gdzieś w ogrodzie. – Zamilkł, ale nie przestawał świdrować jej wzrokiem. – Ale do domu nie wlazłem, nie jestem aż taki głupi. Widziałem za to, że wchodzi tam ktoś inny.

Weronikę zmroziło. Oczywiście widział Dawida. Po co się w to mieszała! Zaczęła śledztwo, żeby pomóc Dawidowi, a zamiast tego dodatkowo go pogrąży. Bo jeśli ten facet zgłosi się na policję jako świadek, nic nie uchroni już Dawida przed więzieniem.

– Powiedział pan o tym policji? – spytała.

Zaśmiał się głośno i bez ostrzeżenia położył dłonie na jej ramionach. Pochylał się nad nią groźnie, a ona nagle poczuła się jak więzień. Nie, naprawdę nie powinna była tu przychodzić.

– Byli tu, ale nie pisnąłem im ani słówka, bo nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Już raz siedziałem i to mi wystarczy. Zaraz zaczęliby węszyć, a ja musiałbym wyjaśniać, co robiłem w ogrodzie Julii. Może wiem, kto ją zabił, a może nie. Co mnie to interesuje? Jeśli pały są kumate, to się domyślą. Ale jeśli pójdziesz podsuwać im pod nos te swoje teorie, że to ja sprzątnąłem tę wariatkę… – zamilkł i ścisnął ramiona Weroniki tak, że ją to zabolało – …to pewnie zmienię zdanie i powiem im, kogo widziałem. I od razu się ze wszystkiego oczyszczę. Jarzysz?

Skinęła głową.

– Więc żaden szantaż nie wchodzi w grę, królewno. Nic z tych rzeczy. Jeśli potrzebujesz pieniędzy na nowe szmaty, to idź do tatusia. A teraz spieprzaj.

Puścił ją, a Weronika musiała wziąć dwa głębokie oddechy, żeby się uspokoić. Wiedziała, że musi jak najszybciej zniknąć z restauracji, ale nogi jakoś jej nie słuchały.

– Kogo pan tam widział? – spytała wyschniętymi ustami. Ciekawiło ją, jak kucharz opisze Dawida. Może mają na tyle dużo szczęścia, że nie zapamiętał go zbyt dobrze… – Kto wszedł do Julii? – nalegała.

Kucharz jej odpowiedział.

Szczegółowo opisał, kto w niedzielne południe wszedł do domu Julii. I nie był to Dawid.

ROZDZIAŁ 28

Szosa wiła się przez dolinę i zanurzała się czasem w obłoki mgły, w których Bergman musiał zwalniać niemal do prędkości pieszego. Było już późno, a inspektora irytowała każda sekunda poświęcona na coś innego niż praca. W domku letniskowym wciąż ponaglał Klarę, ale ruszała się jak lunatyczka, a zanim wyruszyli, zaczął zapadać zmrok. Bergman kilka razy miał na końcu języka zdanie, że pojedzie sam, a po nią przyśle któregoś z kolegów, lecz ostatecznie stwierdził, że to tylko opóźniłoby przebieg śledztwa. Chciał, żeby Klara powiedziała mu, czy z domu jej matki zniknęło coś oprócz biżuterii. Tylko ona mogła mu w tym pomóc.

Teraz drzemała na siedzeniu pasażera lub przynajmniej udawała to bardzo przekonująco. Przejechali przez nasyp kolejowy, a w ciemności pod nimi pojawiła się prostokątna powierzchnia migających światełek.

– Cmentarz – mruknęła Klara raczej do siebie niż Bergmana. – Były Zaduszki.

„Czyli nie śpi" – pomyślał i poczuł wdzięczność, że nie musi z nią rozmawiać. Nie lubił ludzi, którzy mówią tylko po to, by wypełnić ciszę. Wydawało się, że przynajmniej ta jedna rzecz łączy go z Klarą.

Gdzieś między Nowym Borem a Czeską Lipą powiedziała mu, że ktoś dzwonił dziś do niej z numeru, z którego przyszły SMS-y z pogróżkami.

Nie zwolnił, ale wyciągnął telefon z kieszeni na piersi.

– Proszę podyktować mi ten numer.

– Po co?

– Sprawdzimy, czy jest włączony.

Abonent oczywiście był nieosiągalny.

– Korzysta z tego numeru tylko po to, by panią dręczyć – oświadczył Bergman. – Pewnie wie, że włączony telefon łatwo namierzyć. Nasi ludzie monitorują ten numer od chwili, gdy zgłosiła pani te dwa SMS-y. Jest to niezarejestrowana karta prepaid i przez cały czas była niedostępna. Czy jest pani pewna, że ktoś z niej dziś do pani dzwonił?

Usta Klary skrzywiły się z wściekłości.

– Sugeruje pan, że zmyślam? Mogę pokazać panu listę połączeń.

– Nie trzeba. Proszę posłuchać, jeśli ten człowiek jeszcze kiedyś zadzwoni, proszę zmusić go do rozmowy. Może pozna go pani po głosie.

Mruknęła coś do siebie.

– Widzę, że nie rozmawiał pan z tą dziewczyną, którą podejrzewam, prawda? – obwiniła go głośniej.

– Z Marceliną Emer? Oczywiście, że rozmawiałem. Ale raczej to nie ona za tym stoi.

Klara patrzyła przez okno na zaorane pola posrebrzone światłem księżyca. Uchyliła szybę, a kabinę wypełniło chłodne powietrze przesycone zapachem wilgotnej gliny.

– Czy powinnam się bać? – spytała po chwili dużo łagodniejszym tonem.

Pokręcił głową.

– Myślę, że nie. Ale jeśli będzie pani chcieć, możemy przydzielić pani na jakiś czas ochronę.

– Hm. – Wcisnęła przycisk w drzwiach, a szyba z cichym szmerem podniosła się. Akurat kiedy Bergman miał nadzieję, że rozmowa zmęczyła Klarę i w aucie znów zapanuje milczenie, zapytała:

– Czyli już aresztowaliście człowieka podejrzanego o zabicie mamy?

– Tak.

– A co z tym pierwszym morderstwem? Tej dziewczyny podobnej do mnie? To też jego sprawka?

– To się okaże.

Zdenerwowało ją to, jak ją zbył.

– Wie pan, co myślę? Że nie macie pojęcia, kto zabił moją mamę. Aresztowaliście pierwszego lepszego, który podszedł wam pod rękę, żeby móc zamknąć dochodzenie. Ale ja chcę wiedzieć, kto to naprawdę zrobił. Czy pan poważnie wierzy w to, że zabił ją złodziej? Nie wydaje się panu dziwne, że na Babie popełniono dwa morderstwa w tak krótkim czasie? Na pewno są jakoś powiązane. Na pańskim miejscu…

– Nie potrzebuję rad. Wiem, co mam robić.

Wytrzymała w ciszy dziesięć sekund, a potem oświadczyła agresywnym tonem:

– Chciałabym zobaczyć całe to śledztwo. Wie pan, co zrobili policjanci, kiedy koleżance skradziono auto? Spisali protokół, a po trzech miesiącach napisali jej, że zamykają sprawę bez wykrycia sprawcy. Nie zdziałali nic. – Przez chwilę patrzyła w dal. – Założę się, że nawet pan nie wie, że mama miała kochanka.

– Wiem. Nazywa się Sebastian Zając.

– Ten reżyser? Jak się pan o nim dowiedział?

– Dość łatwo. – „Teraz udaje spryciarę, ale gdzie była, kiedy chciałem przesłuchać ją tuż po morderstwie" – pomyślał podrażniony.

– Myślałam, że mama to ukrywa. Mnie nigdy o nim nie mówiła, ale raz w nocy widziałam, jak przyszedł do niej jakiś facet. Myśleli, że śpię, ale wszystko słyszałam. Od razu się domyśliłam, że są kochankami. – Mlasnęła zamyślona. – Czyli to był Sebastian Zając? Widzę, że matka mierzyła

wysoko… Gdybym widziała jego twarz, na pewno bym go poznała. Przesłuchał go pan?

– Tak.

– Ma alibi?

– Tak.

– A mój ojciec? Nie przyszło panu do głowy, że to on mógł zabić matkę? Nienawidził jej. A ona tuż przed śmiercią knuła coś z jego drugą żoną… Ona też nas odwiedziła, kiedy byłam w domu. Podsłuchiwałam na schodach, jak rozmawia z matką. Zuzanna chciała się rozwieść, a mama ją w tym utwierdzała. Czy to nie jest motyw idealny? – Spojrzała na inspektora. – Ja po prostu nie wierzę w tę teorię ze złodziejem, to wszystko. Jest zbyt prosta.

Zamiast odpowiedzieć, Bergman tylko wzruszył ramionami, wjechał na autostradę i przycisnął pedał gazu do podłogi. Przecież nie będzie tej kobiecie opowiadać, że nagle całą sprawę widzi w zupełnie nowym świetle. Śledztwo to nie jej sprawa, a on nie ma czasu na czcze gadanie. Musi myśleć, poukładać wszystko w głowie, jakby porządkował dokumenty do odpowiednich przegródek.

Wsunął do odtwarzacza płytę z jazzem, żeby dać do zrozumienia, że nie ma najmniejszej ochoty na dyskusję.

Klara zrozumiała.

– Jedziemy do domu pani matki – wycedził, gdy minęli tablicę informującą, że wita ich Miasto Stołeczne Praga.

– Teraz, wieczorem? Myślałam, że poproszę pana o podrzucenie do hotelu, w którym mieszka Michał.

– Potem tam panią zawiozę.

Westchnęła z niezadowoleniem, ale nie protestowała.

Dwadzieścia minut później Bergman zjechał z głównej drogi w ulicę jednokierunkową, wznoszącą się stromo ku wysoko położonej dzielnicy domków jednorodzinnych. Między koronami wysokich drzew w ogrodach i murami domów otwierał się widok na setki jasnych okien w dolinie, odległą sygnalizację świetlną, neony i ruchliwe ulice, przypominające w ciemności strużki ciekłego złota.

Inspektor wyłączył muzykę i cicho westchnął. Najchętniej pojechałby najkrótszą drogą do domu, zaparkował dżipa w stodole i ułożył się na wersalce obok Diega, ale wiedział, że to marzenie należy dziś do kategorii nierealnych. Na sen prawdopodobnie w ogóle nie będzie czasu.

Przy ulicy Krokusowej nie świeciły się lampy, a dom Julii Keller wyglądał w ciemności przerażająco. Reflektory dżipa oblizały rozpadający się płot i listki bluszczu, powiewające na wietrze. W krzakach błysnęły zielone, zwierzęce oczy. Zastygnięte obserwowały Bergmana.

Zaparkował przy chodniku i wyłączył światła oraz silnik. Klara siedziała obok, patrząc przed siebie.

– Nie chce się mi tam iść – poskarżyła się. – Nie, proszę nic nie mówić. Wiem, że muszę.

– Rzeczywiście, musi pani – potwierdził. Wysiadł i niecierpliwie zabrzęczał kluczykami. Pomimo iż po długim siedzeniu w aucie zdrętwiały mu plecy i przez cały dzień nie jadł żadnego porządnego posiłku, adrenalina utrzymywała jego skupienie na najwyższym poziomie. Za kilka minut dowie się, czy jego przeczucia się potwierdzą…

Kiedy otwierali dom, tętno inspektora przyśpieszyło. W uszach mu huczało, w skroniach pobolewało, a kołnierzyk koszuli nieprzyjemnie wpijał się w szyję. Ostatnimi czasy zdarzało się mu to coraz częściej.

„Może powinienem zmierzyć sobie ciśnienie" – pomyślał, a zaraz potem zdziwił się, o jak trywialnych rzeczach myśli w tak ważnej chwili.

Wszedł do pokoju, a pod podeszwami zaskrzypiał mu wypaczony parkiet. Niewietrzone wnętrze pachniało kurzem. Bergman włączył lampę i rozejrzał się po pomieszczeniu, które zaczynało mu się już wydawać bardzo znajome. Nawet z zamkniętymi oczami potrafił przypomnieć sobie dużo rzeczy: kremowo-brązowy zestaw wypoczynkowy z wysiedzianymi poduchami, fascynującą mieszankę kiczowatych suwenirów i pierwszorzędnych eksponatów w witrynie oraz wazę, którą zaprojektował Émile Gallé. Podczas pierwszej wizyty inspektora okraszał ją duży bukiet pięknych dalii. Teraz sterczały z niej tylko bliżej niezidentyfikowane brązowoszare badyle.

Prawie zapomniał, że nie jest w domu sam. Klara przypomniała o swojej obecności przyduszonym dźwiękiem, który równie dobrze mógł być śmiechem i jęknięciem. Kiedy Bergman się do niej obrócił, trzymała dłoń na gardle, a klatka piersiowa pulsowała jej szybko pod jasnoniebieską, bawełnianą bluzą.

– Gdzie…?

– Naprawdę chce pani to wiedzieć?

Skinęła głową.

Brodą wskazał miejsce, gdzie drewniana podłoga pokoju graniczyła z kaflami korytarza.

– Leżała na progu. Morderca zaatakował ją, gdy wychodziła z pokoju.

Klara nic nie powiedziała, tylko zamknęła oczy. Potem z głębi domu dobiegł dźwięk, który ją wystraszył.

– Co to było?

Bergman wzruszył ramionami.

– Koty. Zostały tu. Co mieliśmy z nimi zrobić? Mogą wchodzić przez swoje drzwiczki, a sąsiadki noszą im do ogrodu jedzenie. – Ostatnie zdanie wypowiedział z odrobiną wyrzutu, ponieważ według niego osieroconymi zwierzętami powinna zająć się Klara. – Dziwne, że nawet ich tu nie czuć.

Wbiła w niego puste spojrzenie, jakby w ogóle go nie słyszała. Lecz było to tylko złudzenie, bo odparła:

– Zawsze załatwiały się na dworze.

– Teraz należą do pani. Co pani z nimi zrobi?

– Ja… – Zakryła twarz dłońmi. – Nie wiem. Chyba nie potrafiłabym tu mieszkać. Ale z drugiej strony… Dokąd mogłabym pójść? Spróbowała odsunąć od stołu krzesło i przeklęła cicho, gdy się to nie udało.

– Może pani usiąść tam. Krzesła są przywiązane – pouczył ją automatycznie Bergman.

Spojrzeli na siebie i oboje się uśmiechnęli. Był to tak krótki moment porozumienia, że sekundę później Bergman nie był pewien, czy nie rozegrał się tylko w jego wyobraźni.

Klara usiadła na skraju fotela, przycisnęła do siebie kolana i pochyliła się trochę na bok jak dobrze wychowane dziecko podczas wizyty u obcych ludzi.

– Dziwne, że mamy już tu nie ma – powiedziała cicho.

Bergman nie potrafił dłużej czekać. Dopiero teraz uświadomił sobie, że z nerwów napina mięsień czworoboczny i rozbolały go ramiona i kark.

– Czy mogę panią na chwilę zostawić? Muszę coś sprawdzić.

– Pan wychodzi?

– Nie. Tylko rozejrzę się po domu.

Skinęła głową, wzięła ze stołu gazetę i zaczęła ją przeglądać, nawet nie patrząc na przewracane kartki.

Bergman zbiegł po schodach do piwnicy. Z uchylonych drzwi owionęło go zimne powietrze nasycone smrodem wilgotnego betonu, starego drewna i pleśniejącego tynku. Wziął głęboki oddech. I – tak! – wyczuł ślad zapachu, którego szukał.

Przekroczył próg, przejechał palcami po szorstkiej ścianie, namacał plastikowy włącznik i przekręcił go. Goła żarówka pod sufitem zalała pomieszczenie słabym światłem.

Potem już pewnym krokiem podszedł do miejsca, gdzie stary dywan przykrywał szereg różnej wielkości płyt opartych o ścianę. Kiedy przy oględzinach miejsca zbrodni sprawdzał razem z Sylwią Rolnik piwnicę po raz pierwszy, nawet się tym rzeczom nie przyjrzał, bo uznał je za stare półki lub kawałki płyty wiórowej. Teraz zrzucił dywan, a ciasną piwnicę natychmiast wypełniły chmury wirującego kurzu. Bergman kaszlał cicho w dłoń, a drugą ręką wysunął jedną z płyt. Była ciężka i owinięta kilkoma warstwami jedwabnego papieru. Rozerwał róg opakowania. W świetle żarówki płyta zalśniła złoto. Palce trochę mu drżały. Rwał dalej. Nawet go nie zaskoczyło, gdy ujrzał owalną twarzy Madonny z Jezuskiem na rękach.

Zatem nie mylił się.

Wszystkie kolejne „półki" okazały się starymi, drogocennymi ikonami. Łącznie było ich siedem, a niektóre zamiast papieru pokrywała tylko gruba warstwa kurzu. Wszystkie te dzieła musiały mieć wielką wartość i prawdopodobnie widniały na liście zagubionego dziedzictwa kulturowego. Kiedy nieco później Bergman wchodził po schodach z powrotem na korytarz, radosne podekscytowanie mieszało się w nim ze świadomością tego, że zawiódł. Dwa plus dwa powinien był zliczyć dużo wcześniej. Dlaczego nie odkrył tych przedmiotów przy pierwszej okazji?

Klara Keller siedziała z czasopismem na kolanach, a policzki miała mokre od łez. Bergman postanowił udawać, że tego nie widzi.

– Kiedy pytałem o ubezpieczenie matki, mówiła pani o jakichś wycinkach, wśród których pani chłopak znalazł umowę – zaczął rzeczowo. – Czy pani też je widziała?

– Oczywiście.

– Może mi je pani pokazać?

Odłożyła gazetę na sąsiedni fotel, podeszła do mebli i bez wahania otworzyła dolną szufladę.

– Tu… – powiedziała, ale zaraz się poprawiła. – To znaczy… Tu były wtedy. Teraz ich nie ma.

Bergman był pewien, że podczas oględzin miejsca zbrodni żadne wycinki nie zostały zabezpieczone jako materiał dowodowy.

– Czy przychodzi pani do głowy jakieś inne miejsce, gdzie pani matka mogła je schować?

Wzruszyła ramionami.

– No… Może tu? – Otworzyła pierwszą i drugą szufladę. – Albo tu? – Podeszła do przeciwległej ściany, przy której stało małe biurko z jedną podłużną szufladką pod blatem. Wewnątrz znajdowały się jednak tylko artykuły biurowe, a Bergman już to wiedział. – Albo… – Rozejrzała się bezradnie.

– W porządku. – Inspektor machnął ręką. – Proszę nie szukać. Czy pamięta pani, czego dotyczyły?

Usiadła z powrotem w fotelu.

– Jakichś bzdur, o których mama pisała artykuł. Sztuki, wie pan – dodała lekceważąco. – Mnie to zbyt nie kręci.

Skinął głową.

– Proszę pomyśleć. Niech pani spróbuje sobie przypomnieć, jak te wycinki wyglądały. Czy były w jakiejś teczce? Jaki ta teczka miała kolor?

– Była z przeźroczystego plastiku. Biała.

– Jak to wyglądało, gdy widziała je pani po raz pierwszy. Leżały na wierzchu, a umowa pod nimi? Odsunęła je pani na bok, żeby wyciągnąć teczkę z umową?

Zasępiła się.

– Tak, jakoś tak.

– A teraz proszę sobie wyobrazić, że robi to pani ponownie. Pani Klaro, proszę, niech się pani skupi. Nie przypomina sobie pani tytułu któregoś z wycinków? Jakiegoś słowa?

Chwilę milczała.

– Ochrona dziedzictwa kulturowego – powiedziała powoli. – Albo coś w tym stylu.

Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze między zębami. Wszystko zaczynało do siebie pasować. Bogu dzięki.

– Dobrze – powiedział lakonicznie. – Dziękuję za pomoc. Teraz zawiozę panią do hotelu.

Pod neonowym napisem Hotel Esplanade podał plecak Klary portierowi, wcisnął mu do ręki pięćdziesiąt koron napiwku, a potem na najbliższej stacji benzynowej kupił sobie tanią kawę z automatu. Następnie zadzwonił do Danesza.

– Jak się miewa pan Minks? – spytał zamiast przywitania.

– Siedzi w areszcie. Zwinęliśmy go z Sylwią z domu. Oczywiście wszystkiemu zaprzecza. Teraz dla odmiany twierdzi, że poszedł do Julii tylko po te kosztowności, zastał ją tam leżącą na ziemi i uciekł. Oczywiście

z łupem. – Danesz się zaśmiał. – Podobno nawet słyszał jakieś kroki, jakby ktoś się tam chował. Nie wierzę w ani jedno jego słowo.

Bergman pozostawił to bez komentarza.

– Panie Adamie, czy ma pan gdzieś pod ręką dokumentację Nory Mach? Dobrze. Proszę zobaczyć, co zostało znalezione na jej biurku. Chodziło o jakieś artykuły branżowe. Proszę sprawdzić, czego dotyczyły.

– Oczywiście, szefie.

Danesz odłożył słuchawkę i było słychać, jak chodzi po gabinecie. Potem jego kroki się zbliżyły.

– Szefie? Te wycinki dotyczyły antyków. Nic ciekawego. Przecież ona chciała studiować te sprawy, przygotowywała się do egzaminów. Dlaczego to pana interesuje?

– Wyjaśnię to panu, jak przyjadę. Proszę poczekać na mnie w biurze. Zdziwi się pan.

Pozostawało już tylko sprawdzić jedno alibi. Krótki telefon w odpowiednie miejsce potwierdził przeczucia Bergmana. Świadek jest niewiarygodny, a poświadczone przez niego alibi ma prawdopodobnie tyle wspólnego z prawdą co bajka o Czerwonym Kapturku.

Dlaczego nie wpadł na to wcześniej?

Kiedy zapinał w aucie pas bezpieczeństwa, w kieszeni koszuli rozległy się dwa krótkie dźwięki. SMS. Co znowu? Z westchnięciem wyjął telefon i przeczytał:

PANIE BERGMAN, DAWID NIKOGO NIE ZABIŁ. ZACZĘŁAM SWOJE ŚLEDZTWO I MORDERCĄ JEST KTOŚ INNY!!! WERONIKA TRUSKAWKA.

Bergman natychmiast wykręcił jej numer, ale połączył się z pocztą głosową. Zadzwonił więc do domu, ale tam zastał tylko Joannę Truskawkę. Powiedziała mu, że Weronika wyszła z domu cztery godziny temu, nie pytając rodziców o pozwolenie. Kiedy widzieli ją po raz ostatni, opierała się o furtkę. Potem zniknęła.

ROZDZIAŁ 29

Zegar na desce rozdzielczej wskazywał dwudziestą trzecią czterdzieści. Zaczęło siąpić, ulice błyszczały, a wycieraczki rozmazywały na przedniej szybie służbowej limuzyny mieszankę kurzu i deszczu, której nie było czym usunąć, bo Danesz znów zapomniał dolać płynu do spryskiwaczy.

– Gaz do dechy – rozkazał ponuro Bergman. – Dlaczego pan jedzie tak powoli?

– Tu jest czterdziestka.

– Do diabła z przepisami. Śpieszymy się.

Kiedy inspektor przesiadł się przed komisariatem do ciemnoniebieskiego forda Adama, wyjaśnił podwładnemu w kilku zdaniach, co odkrył i kogo podejrzewa. Teraz mknęli po mokrym bruku pokrytym śliską warstwą miejskiego brudu.

– Dlaczego? – spytał Adam, na kilka sekund puścił pedał gazu, ale zaraz potem nacisnął go gwałtownie i przemknął przez skrzyżowanie na czerwonym świetle. – Nie ucieknie.

– Nie byłbym tego taki pewien. Jeśli Weronika dotarła aż do niego… – Zamilkł. – Wątpię, żeby odkryła prawdę, ale musimy brać pod uwagę najgorsze. Bynajmniej nie marzę o trzeciej ofierze.

– Czy pan myśli, że mógłby ją…

– A może tak skupi się pan na kierowaniu?

Przez chwilę panowała cisza. Potem znów odezwał się Adam.

– Pan od początku przeczuwał, że te morderstwa są ze sobą powiązane, prawda?

– Tak. Tylko nie wiedziałem w jaki sposób. Zmyliło mnie podobieństwo Nory Mach do córki Julii Keller. Myślałem, że obie zbrodnie łączy to, że pierwszą ofiarą miała być Klara. Dopiero dziś zrozumiałem, że klucz znajduje się gdzie indziej.

– A te SMS-y z pogróżkami, które dostawała Klara?

– Nie wiem. Zaczynam skłaniać się ku opinii, że Klara ma wybujałą fantazję. Widziałem te SMS-y, ale właściwie nie zdziwiłbym się, gdyby wysłała je sama z karty SIM, którą kupiła wyłącznie w tym celu. Albo namówiła do tego jakąś koleżankę.

– Po co miałaby to robić?

– Może na początku chciała urządzić teatr swojemu chłopakowi? Och, jaka ja jestem biedna, żałuj mnie, bój się o mnie… Zna to pan. Histeryczna kobieta nie ma hamulców. Potem doszło do morderstwa w lasku, a Klara uświadomiła sobie, że może wokół siebie wywołać spore zamieszanie… To się jej spodobało, więc pokazała mi te SMS-y. Możliwe, że jestem wobec niej niesprawiedliwy, ale nawet jeśli te wiadomości były prawdziwe, nie wysłał ich nasz morderca. Klara Keller w ogóle go nie interesowała.

Adam skręcił w wąską ulicę wznoszącą się na stromym zboczu.

– Kiedy zaczął mi pan opowiadać, jak to według pana przebiegało, wie pan, co najpierw przyszło mi do głowy? Że mordercą jest Juraj Truskawka, a Weronika uciekła z domu, bo jakoś się domyśliła, że jej ojciec ma krew na rękach.

Bergman pokręcił głową.

– To nie był Truskawka. Mam nadzieję, że Weronika nie odkryła prawdziwego sprawcy. Bo jeśli tak…

Adam Danesz zahamował przed niedawno wyremontowaną secesyjną kamienicą, a zanim zdążył wyłączyć silnik, Bergman już wyskoczył na deszcz.

– Mam nadzieję, że nie przybyliśmy za późno – wycedził przez zęby.

Lecz w domu zastali tylko żonę Sebastiana Zająca. Była to szczupła brunetka z wydepilowanymi brwiami, gładko napiętą skórą na twarzy i pomarszczoną szyją, zdradzającą prawdziwy wiek i liczbę przebytych operacji plastycznych. Otworzyła im w szlafroku, a jej zaspane oczy mrugały przy kontakcie ze światłem z korytarza.

Bergman pokazał jej odznakę. Spytał:

– Czy możemy pomówić z panem Zającem?

– Męża nie ma w domu.

– A czy wie pani, gdzie moglibyśmy go teraz znaleźć?

Kobieta wzięła głęboki oddech. Mówiła powoli i niewyraźnie, jakby wciąż na wpół przez sen.

– Wieczorem ktoś do niego dzwonił. Słyszałam, jak Seba umawia się na spotkanie. Potem powiedział, że wyjeżdża i że wróci późno. Podobno coś pilnego w pracy. Pewnie znów jakiś problem z tym filmem, nad którym zaczyna pracować. Ma mnóstwo roboty, serial, a teraz jeszcze film… Powinien bardziej się oszczędzać…

– Z kim rozmawiał pani mąż?

Ziewnęła.

– Nie wiem. Byłam w łazience, kiedy zadzwonił telefon. Stacjonarny. Seba odebrał, a potem przyszedł powiedzieć mi, że wyjeżdża.

– Myśli pani, że to naprawdę było z pracy?

– Oczywiście – odparła oburzonym tonem. Kobieta, która wierzy mężowi na słowo, bo tak jest wygodniej niż wątpić w jego wyjaśnienia.

– Przepraszam, że panią obudziliśmy. Do widzenia.

Spojrzała na Bergmana badawczo i zasępiła się, jakby dopiero teraz dotarło do niej, z kim rozmawia.

– A czego pan chce od Seby? Czy coś się stało? Mogę panu jakoś pomóc? – Nagle była całkowicie obudzona. Światło na korytarzu zgasło, a Bergman żałował, że nie widzi już twarzy pani Zając.

– Musimy z nim porozmawiać. A pani może nam pomóc, jeśli wie pani, gdzie zastaniemy teraz pani męża.

Nie wiedziała, więc policjanci pożegnali się i zaczęli schodzić po marmurowych schodach zanurzonych w mroku. Pani Zając została na progu i wpatrywała się w nich, jakby ich plecy mogły jej wyjaśnić, co ich tu sprowadziło. Dopiero kiedy zeszli piętro niżej, odkaszlnęła i stukając głośno kapciami, podeszła do włącznika i zapaliła im światło na pożegnanie.

W aucie Adam położył ręce na kierownicę, ale nie włączył silnika.

– Może to nie była Weronika? Mógł do niego zadzwonić ktokolwiek. – Wyciągnął z kieszeni telefon i wykręcił numer Sebastiana Zająca. – Nie odbiera. Ale to przecież jeszcze nie musi nic znaczyć. Może naprawdę ma jakieś spotkanie służbowe.

Bergman patrzył, jak po przedniej szybie spływają krople deszczu. „Oby Adam miał rację" – pomyślał. „Że też wydałem rano nakaz aresztowania Dawida Minksa! Gdybym tego nie zrobił, Weronika siedziałaby teraz bezpieczna w domu, a Sebastiana Zająca zastalibyśmy pewnie w łóżku obok żony".

– Wciąż mi pan nie powiedział, skąd wniosek, że to Zając jest mordercą – odezwał się Adam.

– Zrozumiałem to w Marzenicach, gdzie Klara Keller była w domku letniskowym. Na marginesie, to cudowna sudecka wioska, niech pan tam

kiedyś pojedzie. Rozmawiałem z Klarą przed kościołem, a ona wspomniała o wycinkach w szufladzie Julii. Byłem pewien, że podczas oględzin nie znaleźliśmy żadnych wycinków. Nora Mach też miała w domu wycinki, prawda? Dziwny zbieg okoliczności. Pomyślałem, że muszę się dowiedzieć, czego dotyczyły… A potem wszedłem do kościoła i poczułem zapach starego, zatęchłego drewna. Podobną woń zapamiętałem z piwnicy Julii. Przypomniałem sobie, że widziałem tam też jakieś drewniane płyty, którym nie przyjrzeliśmy się dokładniej, bo nie wydały się nam wtedy istotne… I wówczas pomyślałem, że może znam motyw. To był tylko pomysł, ale warty sprawdzenia. Pojechałem obejrzeć te płyty i właściwie wcale mnie nie zaskoczyło, że były to stare, cenne obrazy sakralne. A Klara Keller przypomniała sobie, że wycinki matki dotyczyły walki z nielegalnym handlem antykami.

– Jasne. Potem sprawdził pan tego faceta, który dał alibi Zającowi. I okazało się, że jest podejrzany o handel przedmiotami kradzionymi z kościołów. Uznał go pan więc za niewiarygodnego świadka. A ja potwierdziłem panu, że wycinki u Nory Mach również dotyczyły skradzionych antyków. Myśli pan, że Nora szantażowała Zająca? Skąd mogli się znać?

Bergman wzruszył ramionami. Przypomniał sobie, jak podczas pierwszego spotkania uznał Zająca za podstarzałego playboya i jak pomyślał, że Julia prawdopodobnie nie jest jego jedyną kochanką.

– Myślę, że Sebastian Zając zna wiele kobiet. To ten typ mężczyzny.

– A co z Julią? Przecież nie zabił jej tylko dlatego, że wiedziała o jego… jak to powiedzieć… karierze handlowej. Mówił panu przecież, że chodził z nią od lat, prawda? Prawdopodobnie od początku wiedziała, w jaki sposób dorabia sobie jej kochanek.

– Dokładny motyw zna tylko Zając. Ale nagle wszystkie poszlaki wskazują na niego. Alibi na czas obu morderstw poświadczył mu człowiek zamieszany w handel kradzionymi antykami. I obie ofiary miały przy sobie wycinki o nielegalnym handlu antykami.

– Ale to w sądzie nie wystarczy. Nie mamy żadnego dowodu.

Bergman posłał podwładnemu długie spojrzenie.

– Mam jeszcze asa w rękawie. Pomyślałem, że tym niezidentyfikowanym tępym przedmiotem, którym została zabita Julia, może być jedna nieduża rzeźba, którą widziałem dziś rano w domu Zająca. Niechcący ją kopnąłem, gdy wychodziłem. Wydaje mi się, że wcześniej stała u Julii w korytarzu… Przy odrobinie szczęścia moglibyśmy na niej znaleźć ślady biologiczne. – Potarł dłońmi zmęczone oczy. – Wie pan, ten człowiek uwielbia sztukę. Nie wyrzuciłby drogiej rzeźby tylko dlatego, że kogoś nią zamordował, więc wziął ją sobie do domu.

– Czy to nie jest trochę…

– Nieprawdopodobne. Nie w przypadku Zająca. Jeszcze kilka godzin temu wierzyłem, że dopadnę go bez żadnych komplikacji… Ale teraz we wszystko wmieszała się ta głupia dziewucha. Nie wiem, jak mogła wyśledzić Zająca, ale jeśli naprawdę wyciągnęła go na jakieś spotkanie i zaczęła rozmawiać z nim o morderstwach, napędziła mu strachu. Teraz może chodzić o jej życie.

– Pan od początku wiedział, że mordercą nie jest ten Minks, prawda?

– Przeczuwałem to. Ale nie wiedziałem. – Bergmanowi zaświtało w głowie, że powinien był kierować się intuicją, pomimo iż przeczyła faktom. Lecz na głos powiedział tylko: – Niech pan już odpali tę maszynę. Chyba wiem, gdzie znajdziemy Zająca.

W dolinie z budowami domków rodzinnych nie świeciły jeszcze latarnie, więc gdy patrzyło się na nią z góry, przypominała rozwartą, czarną gardziel. Autostrada z lśniącymi bilbordami wiła się na horyzoncie niczym wstążka fosforyzujących koralików.

Danesz włączył światła drogowe i wprawnie omijał dziury w asfalcie, nawet przed nimi nie zwalniając. Czasem podjeżdżał zbyt blisko pobocza, a drzwi auta ocierały się o gałązki krzaków lub czubki wysokiej, żółtej trawy.

– Tu jest jak na wsi. – Adam wskazał na błyszczące oczy jakiegoś zwierzęcia schowanego w gęstwinie.

– Tak się panu wydaje, bo jest ciemno – odparł Bergman. – Za dnia jest to najohydniejszy typ przedmieścia, jaki mógłby pan sobie wyobrazić. Z tego zbocza roztacza się widok na hale produkcyjne, magazyny i budowy. Kiedy byłem tu ostatnio, zastanawiałem się, kto mógłby sobie kupić dom w takim miejscu.

Inspektor uświadomił sobie, że mówi po to, by opanować nerwy. Ludzie tak robią, ale on? Czy nie powinien dawno uodpornić się na takie uczucia?

Danesz trochę zwolnił, bo na jezdni zaczęły pojawiać się olbrzymie grudy gliny. Reflektory wycięły z ciemności skrzyżowanie bez kierunkowskazów.

– Którędy teraz?

– W prawo.

Wjechali między niezamieszkałe domki. Niektóre były już dokończone, inne miały w oknach folię zamiast szyb, jeszcze innym brakowało dachu lub tynku. Na jednej działce budowa dopiero się rozpoczynała, a między kopcami gliny stała koparka z podniesioną łyżką. Minęli kontener stróża nocnego. Za zakratowanym oknem widzieli słabe światło, ale nie wyjrzał przez nie nikt, by zerknąć na przejeżdżające auto.

– Teraz w lewo.

Danesz posłuchał, a reflektory auta ukazały elegancką, czarną limuzynę. Stała dokładnie w tym samym miejscu, co podczas pierwszej wizyty Bergmana.

– Niech pan wezwie posiłki – rozkazał natychmiast inspektor.

– A jeśli ten facet naprawdę ma tam jakieś spotkanie robocze.

– Nie sądzę.

– Może w ogóle go tu nie ma? W środku jest ciemno.

To było niepokojące. Spóźnili się? Czy Zając już wyszedł z willi, żeby na budowie lub gdzieś na przedmiejskim pustkowiu, rozrytym kołami ciężarówek, ukryć… No tak, zwłoki. Bergman uświadomił sobie, że w związku z Weroniką Truskawką nie chce o tym słowie nawet myśleć. Ale powinien spojrzeć prawdzie w oczy: ta dziewczyna jest w niebezpieczeństwie, a on ponosi za to część odpowiedzialności. Gdyby wytropił mordercę po tym, jak zabił swą pierwszą ofiarę, nie musiałaby zginąć druga. A gdyby odkrył prawdę tuż po drugim morderstwie, nie musiałaby się teraz zbliżać kolejna tragedia.

Wszedł po schodach do drzwi wilii, którą widzowie telewizji widują dwa razy w tygodniu na ekranach jako dom głównej bohaterki serialu Miasteczko satelickie. Nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte.

Odwrócił się do Danesza.

– Niech pan poczeka na zewnątrz na wypadek, gdyby próbował uciec przez okno.

Wkroczył do przedpokoju. Z poprzedniej wizyty pamiętał mgliście, jak urządzona jest willa: po prawej stronie schody na pierwsze piętro, na wprost łazienka, po lewej hol, a za nim salon. Namacał na ścianie włącznik, nacisnął go, a hol zalało światło. Czyli bezpieczniki są włączone. Dlaczego przed domem stoi auto Zająca, skoro w środku nikogo nie ma?

Zawahał się, dokąd pójść w pierwszej kolejności. W końcu wybrał salon. Pomieszczenie było luksusowo wyposażone. Bergman poznał ekstrawagancki zestaw wypoczynkowy z czerwonej skóry, który widział w telewizji, gdy raz siostra zmusiła go do oglądania serialu. Zajrzał do spiżarni, wszedł do łazienki, sprawdził sypialnię. Pusto. Ale od okna ciągnął przeciąg, a powiewająca firanka zdradziła, że jest otwarte. Czyli Zając uciekł? Wziął Weronikę ze sobą? Czy może tej dziewczyny w ogóle tu nie było?

A potem na pierwszym piętrze rozległ się hałas, jakby przewróciło się tam krzesło.

Bergman biegł co trzy schody, w prawej dłoni ściskał broń, a lewą automatycznie zaciskał w pięść. „Boże, spraw, żeby Weronika żyła, tu lub gdzie indziej".

Na piętrze również było ciemno, więc musiał najpierw włączyć światło. A potem zobaczył ją przez otwarte drzwi pokoju: siedziała na ziemi z ustami zaklejonymi taśmą i ze związanymi rękami i nogami. Obok leżało plastikowe krzesło. Najwyraźniej Weronika przewróciła je, by przywołać pomoc.

Uklęknął przy niej, najpierw uwolnił usta, potem nogi, a na końcu ręce. Kiedy wreszcie mogła mówić, powiedziała:

– Zwiał od razu, gdy usłyszał, że pan nadjeżdża.

– Na piechotę daleko stąd nie ucieknie.

Bergman podszedł do okna, przez chwilę mocował się z klamką, a potem wychylił się na zewnątrz. Ze zbocza zjeżdżały właśnie dwa radiowozy z włączonymi syrenami.

– Adamie!

– Tak, szefie?

– Kiedy tylko przyjadą posiłki, przeczeszcie okolicę. Zając nam umknął.

– Jasne, szefie.

Bergman stał nad Weroniką i walczył z chęcią potrząśnięcia nią porządnie. Boże, dlaczego tak ryzykowała? Zamiast tego przykucnął obok niej i zapytał:

– Jak go wytropiłaś?

Bursztynowe oczy otoczone rozmazanym tuszem błysnęły triumfalnie.

– Trochę przycisnęłam kucharza z restauracji. To ten facet, co zastawiał w ogrodzie Julii pułapki na koty. Powiedział mi, że w niedzielę koło południa widział, jak do domu Julii wchodzi ten reżyser, co kręci Miasteczko satelickie, i o którym co chwilę piszą w „Błyskawicy". Od razu go poznał.

– Ale moja podwładna przesłuchiwała tego kucharza i nic jej o tym nie wspomniał.

Weronika wzruszyła ramionami.

– No tak, bo on nie chciał zeznawać. Mówił, że jeśli policjanci są coś warci, to sami dojdą do prawdy. Twierdził, że się was, to znaczy wydziału kryminalnego, boi. Już raz siedział i nie chce się znów w coś wmieszać.

Zaczęła pocierać dłońmi kostki, obolałe od sznurka.

– A co zrobiłaś potem?

– No, pomyślałam, że najszybciej będzie rozpocząć śledztwo na własną rękę. Zakradłam się do domu. Rodzice kłócili się w kuchni i nie słyszeli mnie. Wzięłam kalendarz z biurka matki. Ma dużo kontaktów z czasu, gdy jeszcze pracowała. Zna producentów, filmowców i tak dalej. Była menadżerką. Zadzwoniłam do jednego z tych producentów i powiedziałam, że potrzebuję dla matki numer telefonu reżysera Zająca. Podał mi go. To była łatwizna.

Łatwizna…

– Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie?

– Pan by mi nie uwierzył. I proszę nie mówić, że byłoby inaczej. Chciał pan wsadzić Dawida. Myślałby pan, że zmyślam, bo chcę go uratować. A poza tym… – podniosła ku niemu skruszone oczy – myślałam, że to będzie ekscytujące: wyśledzić mordercę jak prywatny detektyw i przyjść do pana z dowodem.

– Aha. – Bergman zachował kamienną twarz. – A potem?

– Znów wymknęłam się z domu. Dryndnęłam z budki do Zająca i powiedziałam mu, że widziałam, jak wchodził wtedy do Julii i że chcę pieniędzy za milczenie. Umówiłam się z nim na placu Wacława, tam jest zawsze mnóstwo ludzi i myślałam, że w takim tłumie nie odważy się czegoś mi zrobić. W kieszeni miałam dyktafon matki. Chciałam nagrać naszą rozmowę. Gdyby przyznał, że jest mordercą, dałabym panu to nagranie.

Inspektor mimowolnie uśmiechnął się nad jej naiwnością.

– Ale?

– Ale on chwycił mnie za rękę i zaciągnął do auta. Niech pan to sobie wyobrazi! Krzyczałam i broniłam się, wokół chodzili ludzie, ale nikt mi nie pomógł. Odwracali wzrok! A on wepchnął mnie do środka i zamknął drzwi zamkiem centralnym. Przywiózł mnie tu, związał, a potem usiadł przy stole i tak tylko siedział i się gapił, jakby nie wiedział, co ma robić.

– Mógł cię zabić.

– Zorientowałam się. – Wreszcie przestała udawać odwagę i zaczęła płakać. Łzy kapały jej na dekolt pstrokatego podkoszulka. – Zorientowałam się, do cholery!

– Skrzywdził cię? Boli cię coś?

– Ręce. Nogi. Głowa. Trochę się z nim pobiłam, gdy ciągnął mnie do środka. Ale to nic takiego…

– Boże, co ci strzeliło do głowy? Trzeba było poczytać w łóżku książkę!

– To mnie nie bawi. Po co miałabym czytać o obcych ludziach? Wolę sama coś przeżyć. – Wstała i podeszła do Bergmana. – Czy wypuści pan teraz Dawida?

Wiedział, że ryzykowała przede wszystkim dlatego, żeby uratować tego chłopaka, ale nie mógł odpowiedzieć twierdząco. Położył jej dłonie na ramionach.

– Nie, Weroniko, nie wypuścimy go. Ale jeśli cię to uspokoi, wyroki za włamania są dużo niższe niż za morderstwa.

Przywieźli go pół godziny później. Drogą kurtkę z delikatnej skóry miał zabłoconą, a z włosów sterczały mu źdźbła suchej trawy, bo policjanci powalili go na ziemię, by skuć mu kajdankami ręce wygięte za plecy. Siedział na tylnym siedzeniu radiowozu, a na twarzy odbijało mu się migoczące niebieskie światło policyjnego koguta. Nagle ze szlachetnego rozrodczego ogiera zmienił się w dzikie zwierzę, zaszczute i zamknięte w klatce.

Bergman otworzył drzwi wozu. Jeszcze zanim zdążył coś powiedzieć, Zając oświadczył:

– Chcę się przyznać.

– Nikt nie będzie w tym panu przeszkadzać.

– Nie potrafię dalej żyć ze świadomością, że pewnego dnia i tak mnie pan dopadnie. Mogę wszystkiemu zaprzeczać, ale to będzie tylko gra na czas i kolejne tygodnie i miesiące strachu przed więzieniem. – Na chwilę zamilkł. – Ostatnio czytałem gdzieś, że czekanie na katastrofę często bywa

gorsze niż sama katastrofa. Mogę to potwierdzić. Właściwie gdy mnie znaleźliście, poczułem ulgę.

Bergman obszedł radiowóz i usiadł obok Zająca na tylnym siedzeniu. Daneszowi skinięciem głowy dał do zrozumienia, żeby poczekał na zewnątrz. Kiedy tylko zatrzasnął za sobą drzwi, spytał:

– Czy pan naprawdę zamordował te kobiety tylko dlatego, że wiedziały o pańskich nielegalnych interesach?

Zając bez ruchu patrzył przed siebie.

– Zdradziły mnie – odparł cicho. – Wie pan, byłem wściekły. Strasznie wściekły.

– Gdyby każdy mordował, kiedy się wścieknie, ludzie powybijaliby się nawzajem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu w wyziębionej kabinie radiowozu, a na zimnych oknach skraplał się ich oddech. Bergman przyciągnął płaszcz do ciała i postanowił czekać, aż mężczyzna u jego boku zacznie mówić sam z siebie. Wreszcie Zając wziął głęboki oddech i powiedział:

– Handluję kradzionymi przedmiotami sakralnymi. Od lat. Mamy sieć klientów, którzy wykupują od nas te rzeczy do prywatnych kolekcji, oraz ludzi, którzy dostarczają nam towar. Zdziwi się pan, ale są wśród nich nawet duchowni. Mają łatwy dostęp. Na legalnym rynku antyków nie ma zbytniego popytu na przedmioty o wartości kulturalnej, ponieważ nie można ich wywozić z kraju. Ale my potrafimy zdobyć fałszywe oświadczenia, że nie chodzi o dobra kultury, i dzięki temu obrazy i rzeźby można wywieźć za granicę. Po prostu robimy kopię danej rzeczy, uzyskujemy do niej zaświadczenie, że nie posiada żadnej wartości, a klient wywozi oryginał…

– A pańskim wspólnikiem jest Ivan Frycz, który dał panu alibi – uzupełnił Bergman. – Wie pan, że wydział kryminalny już ma go na oku?

Takimi przestępstwami zajmuje się Jednostka Ochrony Dziedzictwa Kulturowego. Kiedy zacząłem pana podejrzewać, od razu sprawdziłem u ich kierownika, pułkownika Alesza Horaka, czy nazwisko pańskie lub Frycza nie znajduje się na ich liście osób podejrzanych. O panu nie wiedzieli nic, ale Frycza obserwują od dłuższego czasu. Myślę, że to by wystarczyło, żeby uznać go za niewiarygodnego świadka i podważyć pańskie alibi. Ale nie musimy tego robić, skoro chce się pan przyznać. – Ponieważ Zając nie odpowiedział, Bergman go zachęcił: – Proszę mówić dalej.

– Nora Mach zadzwoniła do mnie dwa miesiące temu. Twierdziła, że chce kupić barokowe rzeźby sakralne dla znajomego kolekcjonera z Niemiec. Kontakt do mnie dostała od jednego z moich klientów, więc nie miałem powodu, by jej nie wierzyć. To, że czeski pośrednik kupuje antyki dla zagranicznego klienta, jest normalną praktyką. Spotkaliśmy się, pokazałem jej kilka rzeczy. Ostatecznie zrezygnowała z zakupu. Twierdziła, że ten jej znajomy już nie jest zainteresowany. Ale między nami zdążyło…

– Zaiskrzyć?

– Niech pan to nazywa, jak chce. Wie pan, ja uważam, że przyroda stworzyła mężczyzn tak, by pragnęli wielu kobiet, nie tylko tej jednej, którą mają w domu. Kobiety takie nie są, przynajmniej tak mi się wydaje, ale mężczyźni…

– Więc zaczął się pan spotykać z Norą Mach?

Wzruszył ramionami.

– Była piękna, młoda, inteligentna, uwielbiała sztukę. A przy okazji wyglądała jak młodsza kopia mojej ukochanej Julii. Spokojnie mogłaby być jej córką. Opowiadała mi o restaurowaniu, a ja jej o swoich… ehm… interesach. Od początku wiedziała o mnie wszystko, więc byłem wobec niej całkiem szczery. Później okazało się, że to był błąd.

Bergman nie potrafił opanować wściekłości. Myślał o Julii. Pogodziła się z rolą kochanki żonatego mężczyzny, ale z pewnością nie podejrzewała, że dzieli się tą rolą z inną kobietą. Przemówił głosem brzmiącym, jakby nie należał do niego:

– A Julia Keller?

– Julia? To było coś zupełnie innego. Julia była moją opoką, matczynym uściskiem, najlepszą przyjaciółką. Zawsze, gdy z kimś się pokłóciłem, ktoś mnie rozczarował, przychodziłem do niej, by lizać swe rany… Oczywiście nie miała pojęcia o Norze. A ja czasem jechałem do niej prosto od Nory, a świadomość, że te dwie kobiety mnie kochają i że w swoim wieku potrafię utrzymać przy sobie dwie kochanki, robiła mi dobrze. Przed żoną udało mi się je ukryć. Od lat strzegę prywatności przed gazetami plotkarskimi, więc potrafię sobie radzić. Wystarczy tajny numer telefonu i kolega, który osłania w razie potrzeby… – Zaśmiał się, lecz brzmiało to, jakby śmiał się z siebie, a nie z prawdziwego rozbawienia. – Tyle że potem zrobiłem coś głupiego. Poleciłem Julii sklep internetowy, w którym dorabiała sobie Nora… Taki chłopięcy psikus. Po prostu pomyślałem, że doprowadzę do spotkania tych dwóch kobiet. Wiedziałem, że jeśli Julia zamówi towar, Nora go jej przywiezie. Była jedyną przedstawicielką handlową na całą Pragę.

– Dlaczego pan to zrobił?

– Uwielbiam sterować ludźmi. To część mojej pracy. A poza tym nie cierpię nudy. Pan nie lubi ryzyka?

Bergman nie odpowiedział.

– Chyba chciałem zobaczyć te dwie kobiety razem. Cieszyć się świadomością, że ze sobą rozmawiają, ale żadna z nich nie wie, że ta druga również jest moją kochanką. Podobna sytuacja pasowałaby do scenariusza

Miasteczka satelickiego, nie sądzi pan? Spróbowałem, czy mi się to uda. Perwersyjne, prawda?

Bergman znów pozostawił jego słowa bez komentarza.

– Wiedziałem, że Julia coś zamówiła. Spytałem więc od niechcenia Norę, dokąd jedzie tego dnia z towarem. Kiedy wspomniała o ulicy Krokusowej, zaproponowałem, że spotkam się tam z nią, przejdziemy się po lasku miejskim, a potem gdzieś w okolicy zjemy kolację… Podałem jakieś trywialne wyjaśnienie, chyba takie, że na Babie jest pięknie. Zaparkowałem na końcu ulicy. Ryzykowałem, że kiedy Julia otworzy drzwi, zobaczy moje auto, ale właśnie to mnie kręciło. Lecz ona nawet się nie rozejrzała. Potem przybiegła Nora, usiadła obok mnie i była bardzo podekscytowana… Powiedziała coś w stylu: „Wyobraź sobie, że ta pani, u której teraz byłam, jest redaktorką «Czeskiego atelier»". A ja na to: „Poważnie? I co z tego?". A Nora odpowiedziała, że od dawna chce pisać dla tej gazety. I że ma plan. Jeśli nie dostanie się na studia, spróbuje swoich sił jako dziennikarka. Nigdy wcześniej mi o tym nie wspominała. Poszliśmy do lasku, a ona zachowywała się jakoś dziwnie. Milczała, jakby o czymś myślała. Spacerowaliśmy długo, był ładny wieczór… aż w końcu Nora powiedziała mi nagle, że okłamała mnie przy naszym pierwszym spotkaniu. Zadzwoniła do mnie wtedy tylko po to, żeby wyciągnąć ode mnie informacje na temat handlu kradzionymi przedmiotami sakralnymi. Chciała napisać o tym artykuł i zaproponować go „Czeskiemu atelier".

– I to pana rozwścieczyło.

– W furii powiedziałem jej, że Julia Keller to moja kochanka i że ich spotkanie zaaranżowałem dla żartu, żeby zobaczyć je razem. Zapytałem: „Nie zauważyłaś, jak bardzo jesteś podobna do Julii? Wyglądasz identycznie jak jej córka". Chciałem, żeby te słowa ją zraniły. Ale ona się roześmiała!

– Co panu powiedziała?

– Że jej to nie przeszkadza, bo i tak sypia ze mną tylko po to, żeby nazbierać jak najwięcej informacji do swojego artykułu. Kiedy się kłóciliśmy, zeszliśmy ze ścieżki. Brodziliśmy przez liście i paprocie. Potem nagle Nora zaczęła się śmiać i powiedziała coś w stylu: „Myślałam, że faceci w twoim wieku są pogodzeni z tym, że młode dziewczyny nie rżną się z nimi bezinteresownie". Tego było dla mnie za wiele. Chwyciłem ją za szyję i ścisnąłem… Broniła się, a to rozwścieczyło mnie jeszcze bardziej… Potem ugięły się pod nią kolana. Przestała się ruszać. Stało się to bardzo szybko. W ogóle nie miałem czasu pomyśleć. – Spojrzał Bergmanowi w oczy, jakby wierzył, że ujrzy w nich zrozumienie. – Pan z pewnością też czuje czasem pokusę, by zrobić coś złego, ale jednocześnie wie pan, że na pewno się opanuje. No… a ja się nie opanowałem. Po fakcie pogratulowałem sobie, że miałem na dłoniach rękawice, bo był chłodny dzień. Naprawdę miałem je na rękach tylko z powodu chłodu. To nie było zaplanowane morderstwo.

– Dlaczego Nora miała przy sobie tyle pieniędzy?

– Dzień wcześniej zadzwoniła do mnie i powiedziała, że jej znajomy chce kupić jedną… rzeźbę. Miała przynieść dwadzieścia tysięcy, a ja towar. Miałem tę rzecz w aucie. Ale nie zdążyliśmy dobić targu. – Odkaszlnął. – Wątpię, żeby naprawdę chciała ode mnie coś kupić. To była tylko część jej ohydnej gry. Nie zdziwiłbym się, gdyby z krzaków wyskoczył jakiś jej znajomy i zrobił mi zdjęcie, jak sprzedaję tę figurkę. Dzięki temu Nora miałaby świetny reportaż, a ja policję na karku. – Pokiwał głową, jakby przekonywał sam siebie, że postąpił słusznie. – Musiałem się jej pozbyć. Nie miałem innego wyjścia.

– Ale dlaczego Julia? Odniosłem wrażenie, że ją pan kochał. Czy może oprócz scenariuszy i reżyserowania telenowel bierze pan też fuchy

aktorskie?

– Julia…

– Dlaczego ją pan zabił?

– Kiedy udusiłem Norę, chodziłem po lesie w tę i z powrotem. Pamiętam to jak przez mgłę. Wiem tylko, że modliłem się, żeby to był tylko zły sen. Długo siedziałem w aucie, a kiedy trochę się opamiętałem, zadzwoniłem do drzwi Julii. To była całkowicie automatyczna reakcja, jak zawsze, kiedy potrzebowałem pocieszenia, uspokojenia. Oczywiście nie powiedziałem jej, co zrobiłem. Ale chyba jakoś to wyczuła, bo od tamtej nocy zaczęła dziwnie się zachowywać. Nie chciała, żebym ją odwiedzał. Twierdziła, że nie możemy się już tak często spotykać, bo mieszka u niej córka. Nagle zrobiła się taka… oziębła. A ja zrozumiałem, że tak właściwie nie wiem, co Nora zdążyła powiedzieć jej tego wieczoru, gdy przekazywała jej w progu zakupy. Może próbowała wykorzystać sytuację i pochwaliła się, że też chce pisać dla „Czeskiego atelier" i że pracuje nad artykułem o handlu kradzionymi przedmiotami sakralnymi? A może Julia wyjrzała za Norą na ulicę, zobaczyła, że wsiada do mojego auta, i domyśliła się, co nas łączy? Jeśli tak było, mogłaby łatwo skojarzyć mnie z morderstwem.

– Zasugerowała coś takiego?

– Nie, ale kiedy odwiedziłem ją kilka dni później, schowała coś do szuflady. Na wierzchu leżała teczka z wycinkami, a ja zauważyłem, że dotyczą tego, czym się zajmuję. Wtedy wpadłem w paranoję. We wszystkim widziałem dowody na to, że Julia zamierza mnie wydać. Myślałem, że przejmie temat reportażu, nad którym pracowała Nora. Dla Julii byłoby to bardzo łatwe, wiedziała o mnie wszystko. Miała mnie w garści. A na sobotniej aukcji galerii Sen moje złe przeczucia się potwierdziły. Rozmawiała tam z policjantem w cywilu! Widziałem, jak

czekał na nią w przerwie na płacenie i pokazywał jej odznakę. Podszedłem bliżej i słyszałem, jak umawiają się na spotkanie. Wtedy...

Bergman mu przerwał:

– Źle to pan zinterpretował. To nie Julia skontaktowała się z tym policjantem. To on chciał rozmawiać z nią.

– Skąd może pan to wiedzieć?

– Był to mężczyzna, o którym mówiłem przed chwilą, pułkownik Alesz Horak z Jednostki Ochrony Dziedzictwa Kulturowego. Gdy zadzwoniłem dziś do niego i powiedziałem, że prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Julii Keller, znał to nazwisko. Powiedział mi, że w sobotę zagadnął Julię na aukcji Snu, bo nawiązuje kontakty z dziennikarzami piszącymi o handlu dziełami sztuki i antykami. Chciał ją tylko poprosić, żeby dała mu znać, jeśli dowie się o czymś nielegalnym. Nie zamierzał omawiać żadnej konkretnej sprawy. Ale Julia nie miała czasu, więc nie zdążył jej powiedzieć, o co mu chodzi.

– To jeszcze nie znaczy, że nie wydałaby mnie podczas ich późniejszego spotkania – odparł ponuro Zając.

Bergman wzruszył ramionami.

– Co było dalej?

– Jak to co? Obleciał mnie strach.

– I w niedzielę pojechał pan do Julii, by na wszelki wypadek ją uciszyć?

– Nie! Nie, nie, nie. W ogóle nie chciałem… – Reżyser wydał z siebie przerywane westchnienie. – Powiem panu, jak to było. Wiedziałem, że Julia wybiera się na aukcję Ametystu. Zaparkowałem więc na końcu Krokusowej i czekałem, aż wyjdzie z domu. Ale nagle przyjechał radiowóz, wysiadło z niego dwoje policjantów i poszli do jej domu! Co by pan pomyślał na moim miejscu? Przyjąłem to jako kolejny z wielu dowodów, że Julia knuje coś przeciwko mnie.

– Wezwała patrol z powodu pułapek na koty, które ktoś zastawiał w jej ogródku.

– Naprawdę? – Zając zmarszczył czoło. – Wątpię, żeby z powodu jakichś pułapek…

– I co pan zrobił?

– Siedziałem w aucie. Policjanci odjechali. Poczekałem, aż się wystroi i pójdzie na aukcję. A potem po prostu podszedłem do drzwi jej domu, otworzyłem je i wszedłem do środka. Wie pan, kiedyś dała mi klucze jako wyraz… zaufania czy czegoś takiego. Nigdy wcześniej z nich nie skorzystałem.

– Dlaczego zakradł się pan tam po kryjomu? Chciał pan poczekać na nią w środku i wtedy z nią skończyć?

– Ile razy mam panu powtarzać, że wcale nie chciałem jej zabić?

– To dlaczego się pan tam włamał? Chciał pan coś zabrać?

– Julia przez cały czas wiedziała, czym handluję. Podarowałem jej kilka przepięknych obrazów tablicowych i rzeźb w drewnie, było to moje podziękowanie za milczenie. Dawałem jej też pieniądze, za które opłacała ubezpieczenie na życie lub coś w tym stylu. Ale chciałem stamtąd zabrać te obrazy i rzeźby, bo mogłyby posłużyć jako dowód. Bałem się, że już pokazała je policjantom… Po prostu musiałem je szybko gdzieś ukryć.

– Mógł pan po prostu poprosić, żeby je panu oddała.

– Nie chciałem się z nią o nie wykłócać. Pomyślałem, że najpierw te rzeczy zabiorę, a potem wyjaśnię jej, dlaczego to zrobiłem.

– Ale ostatecznie wyjechał pan bez nich.

Zając westchnął.

– Wiedziałem, że obrazy są w piwnicy. Julia je tam schowała, a na ścianę powiesiła tylko jedną Madonnę, o której wiedziała, że została nabyta legalnie. Tyle że piwnica była zamknięta. Szukałem klucza, pootwierałem

wszystkie szuflady, przeszukałem cały parter, ale na próżno. Zrzuciłem przy tym ze stołu kieliszek, stanąłem na szkło i skaleczyłem się. Na parkiecie mogła zostać moja krew. Wytarłem ją tylko skarpetką…

– Pan tam chodził boso? – Bergman z niedowierzaniem wyobraził sobie mężczyznę, który włamuje się do domu swojej kochanki, by ją okraść, a w przedpokoju kulturalnie ściąga buty.

– No… Tak. Ściągnąłem buty od razu po wejściu. Zrobiłem to odruchowo. Zabawne, prawda? Miałem zabłocone podeszwy, bo ciągle chodzę po tym błocie. – Wskazał brodą na rozmokły teren wokół wilii. – Kiedy się skaleczyłem, sięgnąłem po buty, ale jeszcze przez chwilę chodziłem z nimi w ręce i wahałem się, czy je włożyć. Wie pan, mam obsesję na punkcie czystości.

Jakież proste wyjaśnienie rozbitego kieliszka i błotnistych śladów daleko od drzwi… Bergman odhaczył w duchu kolejną rozwiązaną zagadkę. Reżyser kontynuował:

– Kiedy zastanawiałem się, czym wyłamać te drzwi do piwnicy, zadzwonił telefon i włączyła się automatyczna sekretarka. Usłyszałem głos tego policjanta, z którym Julia rozmawiała na sobotniej aukcji… Wie pan, tego Alesza… Hanaka?

– Horaka.

– Jasne, Horaka. Przestawił się nazwiskiem i tą swoją funkcją, o której przed chwilą rozmawialiśmy. Kierownik Jednostki Ochrony…

– …Dziedzictwa Kulturowego.

– Dokładnie. Powiedział, że proponuje spotkanie w czwartek w południe. Wtedy wiedziałem już na pewno, że Julia zamierza mnie wydać. Co za dziwka, myślałem. Przecież w przeciwnym razie nie umawiałaby się z tym facetem, prawda? – Wziął głęboki oddech, a gdy wypuszczał powietrze z płuc, zmieniało się w srebrzystą parę. –

Skasowałem tę wiadomość. Chciało mi się płakać. Ufałem jej, kochałem ją, a tymczasem ona… – Teraz też wyglądało na to, że zaraz się rozpłacze.

– Proszę mówić dalej.

– Gdyby Julia nie wróciła tak szybko do domu, wciąż by żyła. Lecz wtedy nie miałem czasu, by ochłonąć. Z wściekłości zrobiło mi się niedobrze. Chciało mi się wymiotować. A ona nagle pojawiła się w środku, szła na tych swoich obcasikach do pokoju… stuk-puk, stuk-puk, wystrojona, pewna siebie… Potem zauważyła pootwierane szuflady, przestraszyła się, wybiegła do przedpokoju, a ja… ja…

Teraz naprawdę płakał. Bergman odwrócił się od niego w przypływie obrzydzenia. Okno było zaparowane, więc przetarł je palcami, żeby zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. W ciemności poruszał się mały, rozżarzony punkcik: o płot opierał się Danesz i palił.

– Resztę już pan zna – dokończył Zając.

– Nie znam. Proszę opowiedzieć mi dokładnie, co się stało.

– No... W tamtej chwili nienawidziłem Julii. Miłość i nienawiść dzieli cienka granica… Już wcześniej, kiedy klucz zazgrzytał w zamku, wziąłem do ręki coś do obrony. A kiedy Julia się zbliżyła, uniosłem tę rzecz i uderzyłem nią Julię w głowę. Z całej siły. – Po kilku sekundach dodał: – Wie pan, inspektorze, jedno morderstwo miałem już na koncie. To jest jak z niedźwiedziami w Kanadzie. Jeśli raz zaatakuje człowieka, myśliwi go zabijają, bo w przeciwnym razie niemal na pewno zaatakowałby ponownie.

Bergman pomyślał, że to bardzo trafne porównanie.

– Wie pan, co jest dziwne? – kontynuował Zając. – Kiedy Julia tak tam leżała, w ogóle nie było mi jej żal. Dopiero potem. Zostawiłem ją i próbowałem dostać się do piwnicy, ale drzwi nie ustępowały. Nie jestem zbyt silny. Nie dałem rady ich wyważyć. W końcu pobiegłem na pierwsze piętro. Chciałem znaleźć chociaż laptop Julii. Mógł w nim być artykuł

o handlu kradzionymi przedmiotami sakralnymi, a ja nie chciałem, by trafił w ręce policji. Ale ten cholerny komputer jakby zapadł się pod ziemię. A potem z dołu dobiegło trzaskanie drewna, uderzenia, kroki… Ktoś tam chodził, a po chwili krzyknął, chyba zobaczył Julię i zaczął uciekać… Przez chwilę stałem nieruchomo i nasłuchiwałem, ale panowała cisza. Mimo to postanowiłem stamtąd zniknąć. – Zrobił pauzę. – Potem już tam nie wróciłem. Czekałem tylko, aż odkryje pan te obrazy tablicowe w piwnicy, znajdzie pan na nich moje odciski, powiąże pan ze sobą fakty i przyjdzie pan po mnie.

– Laptop Julii Keller leżał w jej łóżku. Pod poduszką. Nie wie dział pan, że zawsze go tam odkłada? A skoro już o tym mowa, na jego dyskach nie znaleźliśmy żadnego artykułu o pańskiej… ehm… działalności.

– Naprawdę? – Zając był szczerze zaskoczony. – No widzi pan, a ja byłem prawie pewien, że…

– Czym ją pan zabił?

Zając odpowiedział bez wahania:

– Barokową rzeźbą świętego Jana Nepomucena. Ją również dostała ode mnie. Stała w przedpokoju w kącie, w absolutnie nieodpowiednim miejscu dla tak cennej rzeczy. Oczywiście potem ją zabrałem, bo prawie się nie uszkodziła i ma olbrzymią wartość.

Ostatnie zdanie powiedział tonem tak rzeczowym, że Bergmana przeszły ciarki. Odparł:

– I to był pański największy błąd. Widziałem tę rzeźbę w pańskim mieszkaniu. I pamiętałem, że wcześniej stała u Julii. Dzięki temu wszystko się połączyło: uderzenie tępym narzędziem, którego nie znaleźliśmy na miejscu zbrodni, i figurka, która zmieniła właściciela. Najpierw uznałem ten pomysł za dość naciągany, bo nie sądziłem, iż jest pan takim cynikiem, by ozdabiać sobie pokój narzędziem zbrodni. Ale nie doceniłem pana.

– Ta rzecz ma olbrzymią wartość – powtórzył Zając, jakby to było wystarczające wyjaśnienie. – Gdyby, oczywiście tylko hipotetycznie, została wystawiona na aukcji, cena wywoławcza wynosiłaby przynajmniej ćwierć miliona.

– A jak to było z Weroniką? Tym porwaniem właściwie potwierdził pan swoją winę. Dlaczego pan to zrobił?

– To był impuls. Powiedziała, że wie, co zrobiłem, że jestem mordercą i że chce pieniędzy za swoje milczenie. Głupia dziewucha! A kiedy już miałem ją w aucie, nie mogłem się wycofać.

– Chciał pan ją zabić?

– Z początku tak. Ale potem zrozumiałem, że nie dam rady. – Wytarł zaparowane okno po swojej stronie, tak jak przedtem zrobił to Bergman. Trochę się pochylił, żeby spojrzeć na willę i papierosa jarzącego się w ciemności. – Siedziałem na górze przy stole i myślałem. Ona leżała związana na podłodze obok mnie. I wie pan, do jakiego doszedłem wniosku? Że oba morderstwa popełniłem z namiętności. Z miłości i z nienawiści. Ale wobec tej młodej dziewczyny nie czułem nic, więc nie potrafiłem jej skrzywdzić. Dziwna logika, prawda?

Zamiast odpowiedzi Bergman otworzył drzwi i wpuścił do zaduchu kabiny zimne, wilgotne powietrze. Wszystko, co było ważne, zostało już powiedziane, a on uświadomił sobie, że nie chce siedzieć obok Zająca ani sekundy dłużej. Otworzył usta, by zawołać Danesza, gdy nagle w ciemności obróciła się ku niemu blada twarz Zająca. Reżyser patrzył mu w oczy, jakby oczekiwał rozgrzeszenia. Bergman nie chciał i nie mógł mu go dać. Wręcz przeciwnie: walczył z pokusą sprawienia temu mężczyźnie bólu. I w końcu tej pokusie uległ.

– Julia pana nie wydała i wcale nie zamierzała tego robić – powiedział cicho. – Nie miał się pan za co mścić. Umarła niepotrzebnie.

ROZDZIAŁ 30

Dziwnie było stać przy kuchence, na której kiedyś gotowała matka, i mieszać zupę jarzynową jej łyżką. Wolną ręką Klara przyciągnęła sweter i zadrżała, prawdopodobnie dlatego, że nikt nie palił w piecu od kilku tygodni, a zimne ściany emanowały chłodem. Mieszkała w willi matki sama już cztery dni i nie było tak źle, jak wyobrażała sobie na początku. Tak naprawdę bała się tylko podczas pierwszej nocy.

O łydkę otarł się jej gruby, rudy kocur, który przed chwilą wślizgnął się przez drzwiczki dla kotów i prowokacyjnie drapał drzwi lodówki, dopóki Klara nie dała mu kawałka szynki. Nie mogła sobie przypomnieć, jak nazywała go mama. Rudzielec? Będzie musiała spytać Lady Hrubesz, która teraz zajmuje się kotami.

Klara pochyliła się i zanurzyła palce w jedwabistym futerku. Właściwie byłoby całkiem fajnie, gdyby te zwierzęta mieszkały tu z nią. Nie czułaby się taka samotna. Mogłaby zajmować się nimi razem z Ladą. Zajrzy do niej po południu i porozmawia z nią o tym.

Kiedy nalewała zupę do starego, porcelanowego talerza, nagle uświadomiła sobie, że dokładnie wie, dlaczego jej matka żyła tak, jak żyła. To chwila poznania poraziła ją niczym piorun.

Szkoda, że nie nadeszła kilka miesięcy wcześniej.

Kamila Lapin miała przed sobą tysiąc sześćset kilometrów długiej drogi powrotnej do Bretanii, ale mimo to nie potrafiła oprzeć się pokusie,

zjechała w Pradze z obwodnicy i kazała wdrapać się swojemu astmatycznemu renaultowi na Babę.

Ulicę Krokusową oglądała na mapie tyle razy, że znalazła ją bez problemu. Dom numer dwadzieścia pięć był zaniedbany, ale większy i piękniejszy, niż wyobrażała sobie Kamila. Zatem to tu mieszka Julia. Co by się stało, gdyby Kamila nacisnęła teraz dzwonek przy furtce?

Zostawiła włączony silnik, pochyliła się z rękami na kierownicy i patrzyła na witraże w drzwiach secesyjnej willi. Oczywiście, że nie wysiądzie i nie pokaże się Julii. Co by zyskała? Możliwość wykrzyczenia byłej koleżance w twarz swego żalu, powiedzenia: wiem o wszystkim? „Nie trzeba" – pomyślała. Ból po stracie dziecka, choć świeżo rozbudzony, był po trzydziestu jeden latach zaledwie słabym echem dawnej rozpaczy.

Kiedy miesiąc temu wiozła Jacquesa z zawałem do szpitala, powiedział jej, jak zginęła Dominique. Całował się na skałach z Julią. Nie uważał na córkę. Gdy kilka tygodni później pojechali do Czech, by odwiedzić rodziców Kamili, potajemnie spotkał się z Julią. Dokończyli to, co zaczęli na skałach. Dziewięć miesięcy później Julii urodziło się dziecko.

Drugie odkrycie bolało Kamilę mniej niż pierwsze, lecz mimo to przez jakiś czas myślała, że nienawidzi Klary Keller. Chciała usłyszeć jej głos, więc próbowała wyśledzić ją przez Internet. Znalazła jej biuro podróży. Zadzwoniła tam, ale mieli akurat przerwę obiadową. Kiedy sprytnie przedstawiła się jako urzędniczka z zakładu ubezpieczeń, sympatyczny młodzieniec podyktował jej numer komórkowy Klary. Potem Kamila kupiła tani telefon i kartę SIM. Zaczęła wysyłać Klarze te straszne SMS-y. Sama nie wiedziała, co ją napadło… Prawdopodobnie miała nadzieję, że Julia się o tym dowie i zacznie się bać. Tak. Dokładnie o to chodziło. Chciała się zemścić, zasiać lęk i sprawić ból. Przecież miała do tego prawo, czyż nie?

Kilka dni temu wreszcie zebrała się na odwagę i zadzwoniła do Klary. Nie odezwała się, tylko oddychała do słuchawki, celowo sapała bardzo głośno. Niech Klara się boi. Moja dziewczynka już nie może się bać, nie może się bać od długich trzydziestu jeden lat…

Na śmiertelnym łożu Jacques wyjawił jej, że Julia nie jest pewna, czy Klarę poczęła z nim, czy z przyszłym mężem. Ludwika poznała zaledwie tydzień po tym, jak kochała się z Jacquesem. W akcie urodzenia jest wpisany Ludwik. A Jacques nigdy tej dziewczynki nie widział.

Ona mogłaby ją teraz zobaczyć. Porozmawiałaby z Julią. Sprawdziłaby, czy Klara jest podobna do Jacquesa. Było to kuszące. Wystarczyłoby wysiąść z auta, zadzwonić i pozwolić zaprosić się dalej… Czego się nie dowie, gdy tego nie zrobi?

Otworzyła drzwi auta i zawahała się z jedną nogą na chodniku.

W sumie czy nie lepiej będzie nie dowiedzieć się niczego?

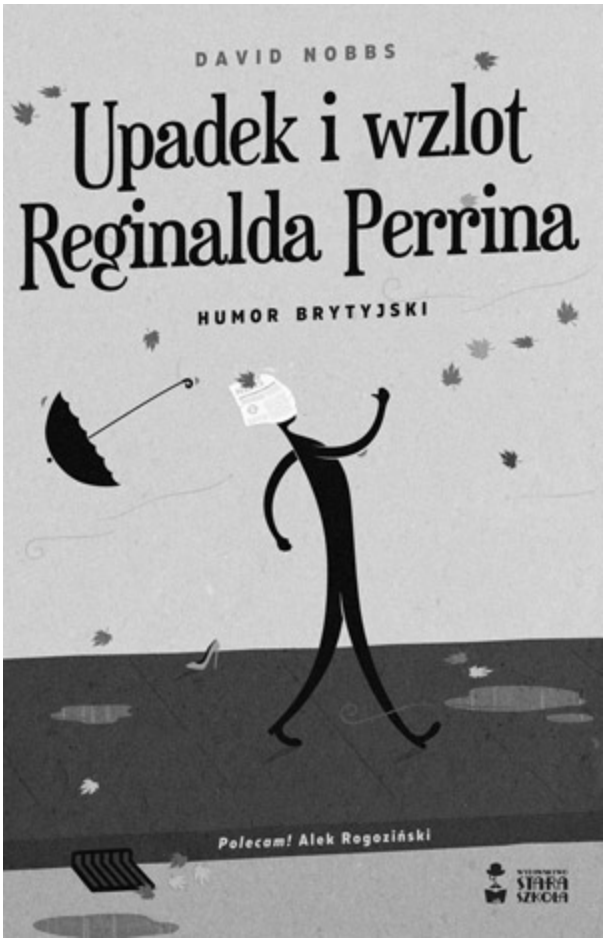

Jedna z najpopularniejszych brytyjskich komedii literackich!

Kiedy Reginald I. Perrin, pracownik Słonecznych Deserów, obudził się pewnego czwartkowego poranka, bynajmniej nie zamierzał nazwać swej teściowej hipopotamem. Lecz później wszystko uległo diametralnej zmianie.

Reggie poczuł, że musi zmienić swoje życie. Nie chciał,

by ograniczało się do nudnej pracy i przewidywalnego małżeństwa. Przewraca więc swój świat do góry nogami. Czy to pozwoli mu odwrócić złą kartę?

Brytyjski humor w najlepszym, starym stylu!

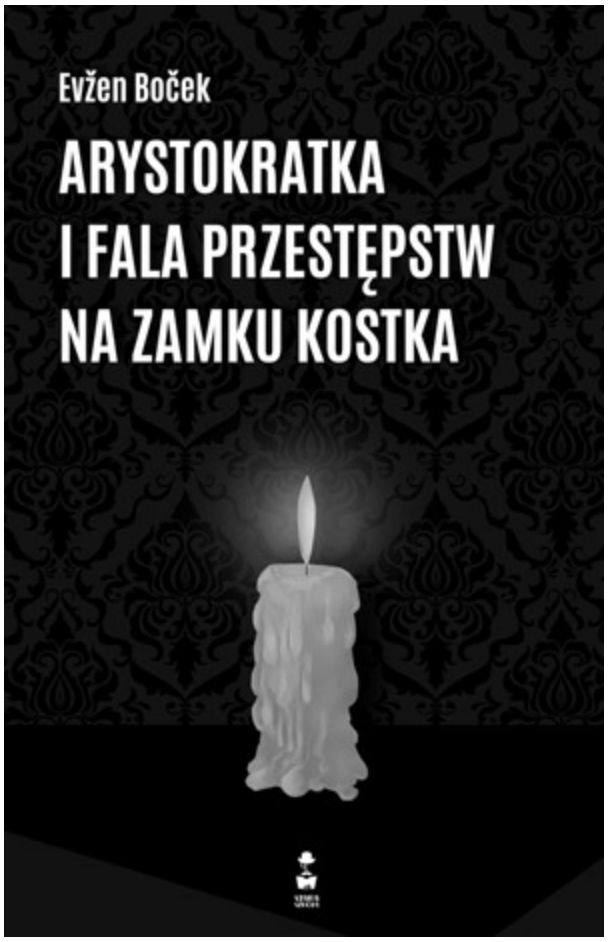

Czwarta część najpopularniejszego literackiego sitcomu ostatnich lat!

Spokój na zamku zostaje zakłócony. Personel musi zmierzyć się z falą przestępstw przetaczających się przez Kostkę.

Czy w obliczu tak dramatycznych wydarzeń można zachować dobry humor? Oczywiście! Nowi bohaterowie, nowe wątki i kolejna dawka doskonałej rozrywki. Evžen Boček mistrzowsko bawi się konwencją, serwując gagi i humor sytuacyjny, za które pokochały go setki tysięcy czytelników!

Pamiętnik surrealistyczny. Gwarancja czeskiego humoru.

Przewrotny humor i galeria nietuzinkowych osobowości gwarantują dobrą zabawę. Obok historii opowiedzianej w taki sposób nie można przejść obojętnie. Mamy do czynienia z jedną z najzabawniejszych książek XXI wieku!

Rodzina Kostków powraca z Ameryki do Czech, by przejąć dawną siedzibę rodu – zamek Kostka. W zamku zastają dotychczasowych pracowników: kasztelana, ogrodnika oraz kucharkę. Jak nowi właściciele poradzą sobie w nowej rzeczywistości? Jak odnajdą się w rolach dotychczas nieodgrywanych?

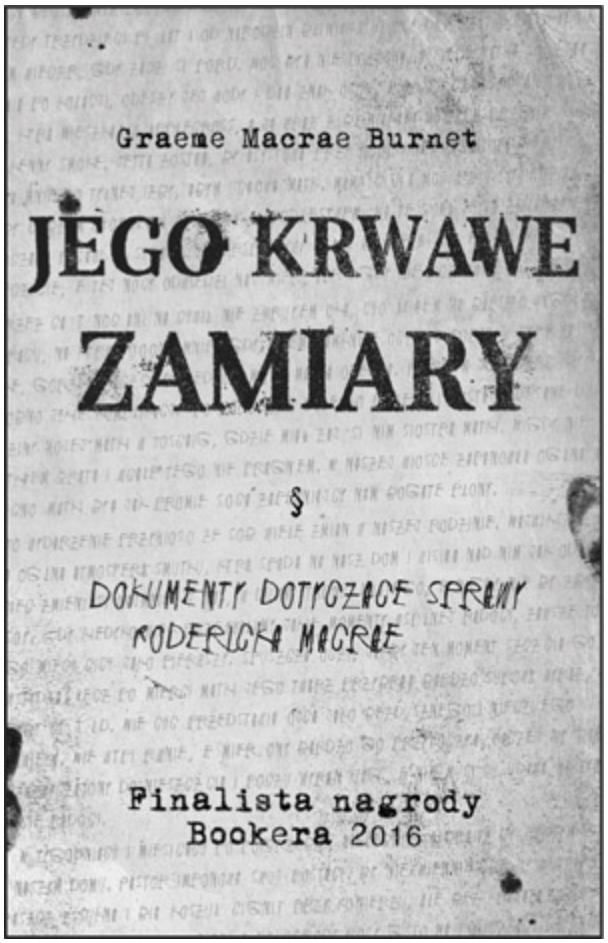

Thriller psychologiczno-sądowy.
Jedna z najważniejszych powieści grozy ostatnich lat.

Szkocja, 1869 rok. W zapomnianej przez Boga i ludzi osadzie zostaje popełnione potrójne morderstwo. Do winy przyznaje się siedemnastoletni Roderick Macrae. Czy rzeczywiście jest odpowiedzialny za zbrodnię. Co mogło sprawić, że postanowił zrealizować swe krwawe zamiary?

Finalista Nagrody Bookera 2016
Zdobywca Nagrody Saltire 2016 w kategorii Najlepsza Powieść 2016
Zdobywca Nagrody Vrij Nederland w kategorii Najlepszy Thriller 2017

Finalista Nagrody Los Angeles Times w kategorii Najlepsza Książka Grozy 2017
Finalista Sunday Herald Culture Awards w kategorii Autor Roku 2017

Trybecz, pasmo górskie na Słowacji. Od dziesięcioleci krążą o nim legendy z powodu tajemniczych zaginięć. Niektóre ofiary zostały znalezione martwe. Niektóre zniknęły bez śladu. A jeszcze inne powróciły – ranne i niezdolne do życia.

Igor zdobył tytuł magistra. Po pięciu latach wreszcie może zacząć karierę jako… robotnik budowlany. Na swojej pierwszej budowie odkrywa tajemniczy sejf. Znajduje w nim płyty gramofonowe sprzed kilkudziesięciu

lat. Słyszy na nich głos człowieka, który przez ponad trzy miesiące błąkał się w górach Trybecza.

Legenda, mistyfikacja czy przerażająca rzeczywistość?

Świetna powieść najpopularniejszego słowackiego pisarza. Jozef Karika staje twarzą w twarz z legendą Trybecza.

Szczelina zdobyła najważniejszą słowacką nagrodę literacką

ANASOFT LITERA w kategorii NAGRODA CZYTELNIKÓW!

Jakie wydarzenie najbardziej zmienia świat dorosłego mężczyzny? Oczywiście narodziny dziecka.

Dziecko w wieku przedszkolnym to zbiór opowieści napisanych przez tatę trzyletniej Wiki. M. M. Cabicar opisuje rodzicielską rzeczywistość bezkompromisowo, czasem dosadnie, ale przede wszystkim z rozbrajającą szczerością i kapitalnym poczuciem humoru. Nie zdejmuje różowych okularów nawet w najbardziej kłopotliwych sytuacjach, wychowując dzięki temu niezwykle pogodne dziecko!

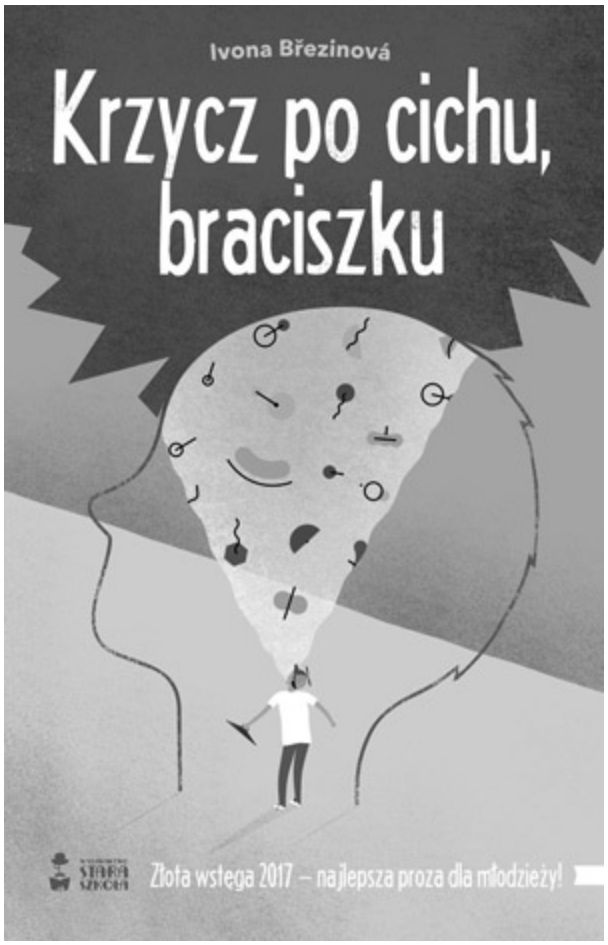

Jeremiasz jest inny. Żyjew świecie, w którym dni tygodnia mają swoje kolory, a najlepszą zabawką jest zamek błyskawiczny. Jeremiasz wychodzi z domu tylko z olbrzymią pokrywką.

Jeremiaszem opiekuje się siostra Pamela. Dlaczego to właśnie ona rozumie go najlepiej? Chłopiec, jego siostra oraz ich mama przeprowadzają się do kolejnego miasta. Muszą rozpocząć życie na nowo. Czy tym razem im się to uda?

Ta pełna ciepła i humoru historia łamie serca i uczy zrozumienia.

Ta powieść chwyta za gardło i trzyma do ostatniej strony!

Zmęczony metropolią Wiktor wyjeżdża z Pragi, by zostać kasztelanem morawskiego zamku. Pragnie odnaleźć wewnętrzną równowagę i zażegnać kryzys małżeński. Jednak wizja spokojnego życia wśród zabytkowych

mebli i dzieł sztuki szybko odchodzi w zapomnienie. Na zamku czeka dość zagadkowy personel oraz… demony przeszłości.

Tajemnicze odgłosy i niewyjaśnione zdarzenia przejmują władzę nad Wiktorem i jego rodziną. Czy mają swoje wytłumaczenie? Czy racjonalny umysł Wiktora rozwikła tajemnicę zamku?

Pamiętajcie: niczemu się tutaj nie dziwcie!

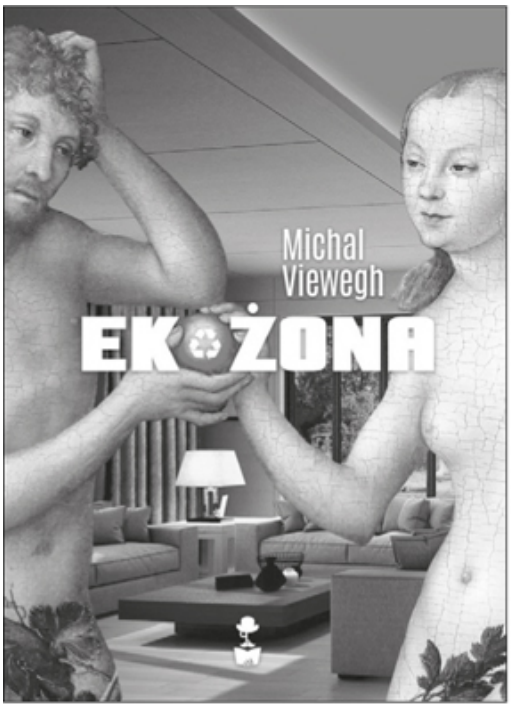

Zabawna powieść o kobietach i mężczyznach. Tę książkę kupił co setny Czech!

Ekożona stawia wiele aktualnych pytań: Czego oczekujemy od swoich partnerów? Jakie jest znaczenie porodu naturalnego? Co tak naprawdę oznacza życie w zgodzie z naturą i z samym sobą? Czy naturalny jest na przykład ogród? Albo małżeństwo?

Poruszane przez autora poważne tematy zostały ubrane w brawurową narrację. Szczerość, autoironia i humor sprawiają, że mamy do czynienia z powieścią niezwykle inteligentną i nowoczesną.

Kiedy Mojmirowi pęka aorta, jego świat oraz światopogląd ulegają gwałtownym zmianom. Mojmir zmienia się z butnego racjonalisty… no właśnie, w kogo?

W tej brawurowej narracji pełnej ciętych ripost Michal Viewegh z humorem i autoironią opowiada o byciu pacjentem VIP oraz o poszukiwaniu nowej drogi życiowej po osobistym kataklizmie.

Ekomąż to jedna z najważniejszych powieści najpopularniejszego czeskiego pisarza.

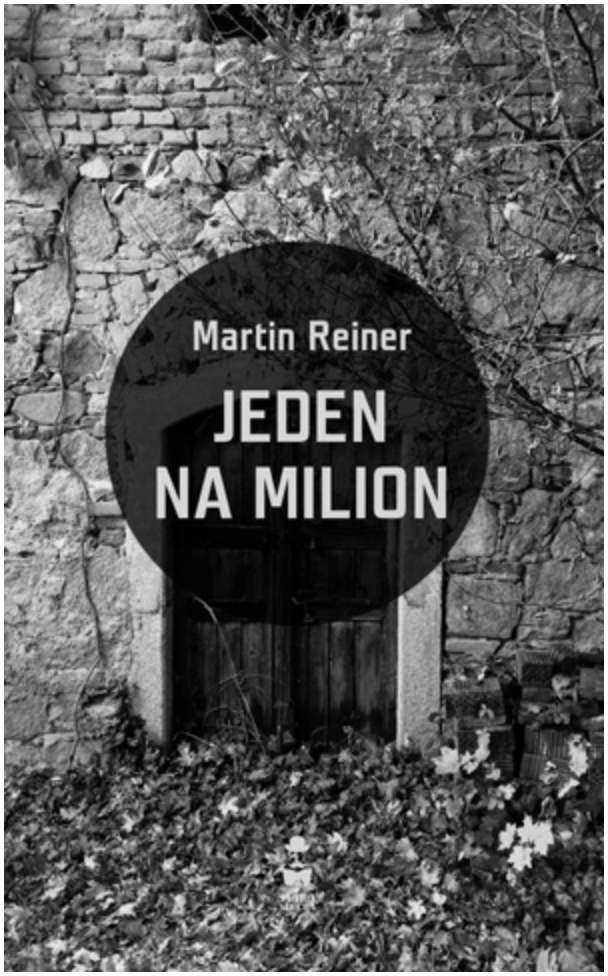

Jeden na milion to zbiór czternastu opowiadań jednego z najpopularniejszych czeskich prozaików. Martin Reiner zabiera nas na łąki pełne hipisów, na próby chóru więziennego, do Ameryki – a szerokiemu wachlarzowi tematów towarzyszą różnorodne formy literackie. Lektura dla smakoszy!

MISTYCZNY PORNO-GASTRO THRILLER Z XIX-WIECZNEJ PRAGI

Nadchodzi nowy rok. Kiedy praski Orloj wybija północ, odkryta zostaje bestialska zbrodnia. Śledztwo w tej sprawie prowadzi ekscentryczny komisarz Durman. Czy jego nietypowe metody doprowadzą do ujęcia sprawcy? Jak powstrzymać mordercę, który zawsze o krok wyprzedza policję? I czym jest tajemnicze Ordo Novi Ordinis?

Pewien praski bankier z braku innego pomysłu kupuje synowi na Boże Narodzenie świnkę morską. Jak dalece to niewinne wydarzenie zmieni życie rodziny? Jakie sekrety skrywa bank narodowy? I czy przed kryzysem finansowym można schować się w beczce?

W żadnym innym utworze literatura czeska nie zbliżyła się do twórczości Franza Kafki tak bardzo, jak w Świnkach morskich. (Milan Exner)

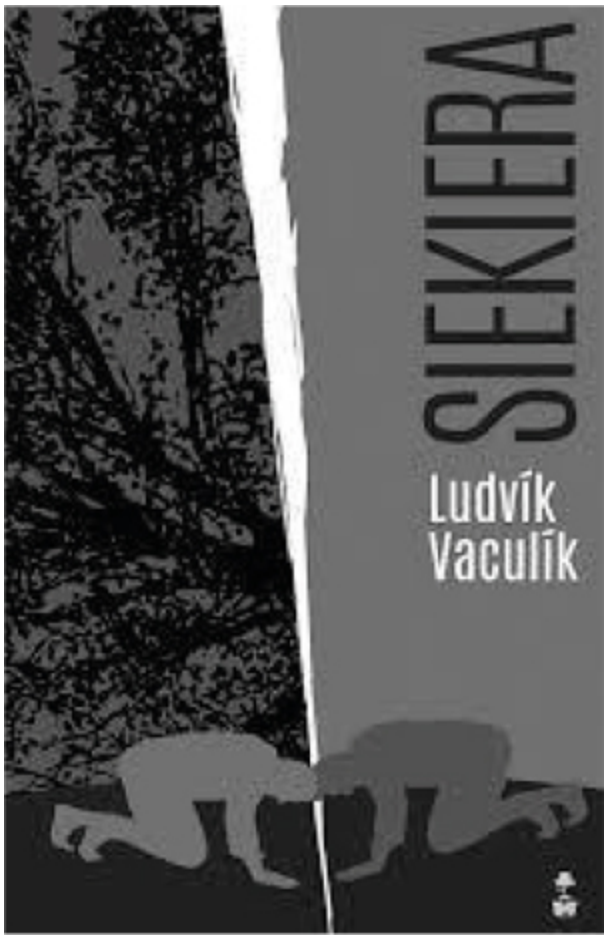

Powracający w rodzinne morawskie góry praski dziennikarz dokonuje bilansu swojego życia.

Siekiera jest dowodem na to, że sytuacja człowieka w społeczeństwie i w rodzinie nie zmieniła się w przeciągu ostatniego półwiecza tak bardzo, jak zwykliśmy sądzić. Ta powieść wciąż jest niezwykle aktualna.

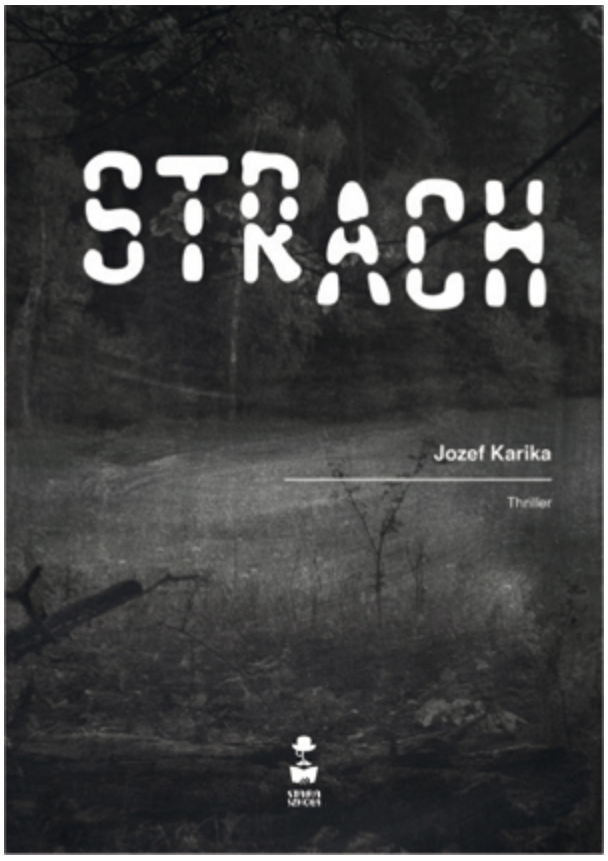

Mistyczny thriller przesiąknięty strachem.

Po rozpadzie kilkuletniego związku Jożo Karski powraca do rodzinnego Rużomberka. Tam czeka na niego puste mieszkanie rodziców, najmroźniejsza od kilku dziesięcioleci zima i podnóże góry skrywające mroczną tajemnicę.
Wkrótce w sąsiedztwie zaczynają znikać dzieci.

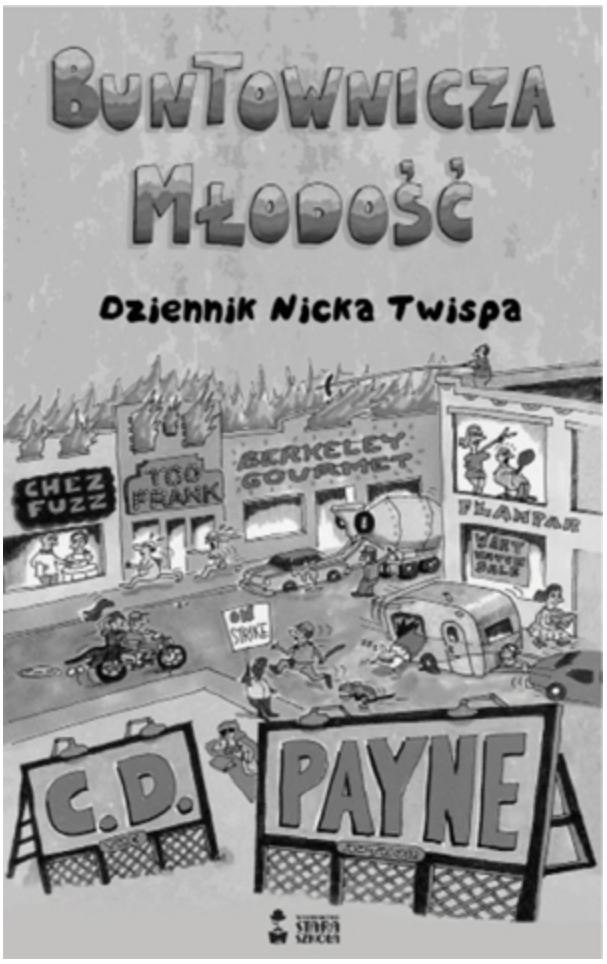

Pamiętacie, jak to jest: mieć czternaście lat i być zagubionym, wrażliwym, lekkomyślnym, romantycznym i niezwykle napalonym nastolatkiem? Przypomni Wam to Nick Twisp – młody buntownik, którego zna cała Ameryka!

Miłość, bunt, inicjacje seksualne, młodzieńcze przyjaźnie, problemy w szkole, problemy w domu – i szalone wakacje. A to wszystko doprawione czarnym humorem i przezabawnymi dialogami.

Uczniowie Cobaina to pełna dzikich przygód i humoru historia grupy nastolatków uwielbiających Johna Lennona i Kurta Cobaina. Razem przeżywają imprezy, zakładają zespoły rockowe i próbują osiągnąć sukces.

To również – a może przede wszystkim – poszukiwanie źródeł wyalienowania i bezradności w dzisiejszym świecie. Co czeka bohaterów, gdy karuzela młodości nieubłaganie się zatrzyma?

Puchar od Pana Boga to zbiór tekstów, w których sport stanowi pretekst do opowieści o sprawach najważniejszych: życiu i śmierci, miłości, przyjaźni i pasji. Ota Pavel mówi o zwycięstwach i porażkach równie pięknie, jak o sarnach i rybach.

Lektura dla czytelników w każdym wieku i wspaniała lekcja życia.

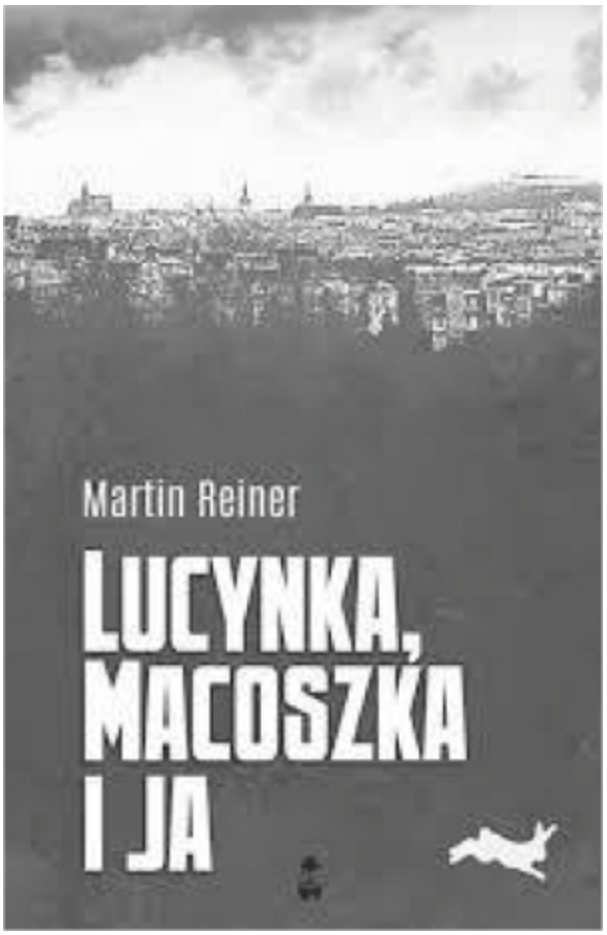

Lucynka, Macoszka i ja to opowieść o sile przeszłości, o miłości do dziecka i tęsknocie za samym sobą. Ta książka – choć w dużej mierze oparta na prawdziwych wydarzeniach – zabiera czytelników do innego świata. Znacznie piękniejszego.

Czytelnik ma tu do czynienia z prozą niemal doskonałą. (Pavel Janoušek, „Tvar”)

Chcesz wygrać z Barceloną, a potem zostać mistrzem świata w piłce nożnej? Musisz być biednym rolnikiem i mieć jedenastu synów. Załóż drużynę piłkarską, a potem będzie już z górki. Rozgrywki ligowe, mistrzostwo kraju...

Książka mądra, z uśmiechem. Podróże, relacje z meczów, niekłamane emocje.
Świetna dla dzieci. Wciągająca dla dorosłych.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

PROLOG

CZĘŚĆ I. PIERWSZE MORDERSTWO

- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15
- Rozdział 16
- Rozdział 17
- Rozdział 18

CZĘŚĆ II. DRUGIE MORDERSTWO

- Rozdział 19
- Rozdział 20
- Rozdział 21

Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Karta redakcyjna

Copyright © Michaela Klevisová, 2007
Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2019
All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, udostępnianie i rozpowszechnianie całości lub fragmentów bez pisemnej zgody wydawnictwa zabronione.

Książka została wydana dzięki wsparciu finansowemu Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej.

Tłumaczenie: Mirosław Śmigielski
Redakcja: Dagmara Ślęk-Paw
Korekta: Ewa Żak
Projekt okładki: Tomáš Cikán

Wydawca:
Stara Szkoła Sp. z o.o.
Rudno 16, 56-100 Wołów
biuro@stara-szkola.com
www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-66013-17-9

Na zlecenie Woblink
woblink.com
plik przygotowała Katarzyna Rek